

**Victor Hugo**

# **Nędznicy**

**(Przełożyła Krystyna Byczewska)**

**Część pierwsza**

**Fantyna**

*Dopóki istnieć będzie, mocą praw i obyczajów, potępienie społeczne, które w pełni rozwoju cywilizacji stwarza sztuczne piekła i ręką ludzką wikła przeznaczenie, dzieło Boga; póki trzy problemy naszego czasu nie zostaną rozwiązane i nędza będzie sprawcą poniżenia mężczyzny, głód - upadku kobiety, a ciemnota - zatruty dziecka; póki śmierć moralna możliwa będzie w niektórych warstwach społecznych; innymi słowy i z ogólniejszego punktu widzenia rzecz biorąc: póki istnieć będzie na ziemi ciemnota i nędza, książki takie, jak ta, mogą być użyteczne.*

*Hauteville-House, 1 stycznia 1862*

**Księga pierwsza**

**Sprawiedliwy**

# I

## Ksiądz Myriel

W roku 1815 biskupem Digne był ksiądz Karol Franciszek P Benvenuto Myriel. Był to starzec prawie siedemdziesięcioletni. Piastował tę godność od roku 1806.

Jakkolwiek szczegół ten nie dotyczy bynajmniej istoty naszego opowiadania, nie będzie może od rzeczy wspomnieć tutaj - dla samej choćby dokładności - o pogłoskach i plotkach, które krążyły na jego temat, w chwili kiedy przybył do swej diecezji. To, co się mówi o ludziach - prawda czy fałsz - częstokroć może tak samo zaważyć na ich życiu, a zwłaszcza na ich losie, jak własne ich uczynki. Ksiądz Myriel był synem radcy parlamentu w Aix; pochodził więc ze szlachty sądowniczej. Mówiono, że ojciec, przeznaczając go na swego następcę zgodnie ze zwyczajem dość rozpowszechnionym w rodzinach sadowników ożenił go bardzo młodo, w osiemnastym czy dwudziestym roku życia. Pomimo tego małżeństwa Karol Myriel - jak powiadano - nieraz bywał brany na języki. Zgrabny, choć niewysoki, elegancki, miły i dowcipny, pierwszą część swego życia strawił na uciechach światowych i na miłostkach. Przyszła rewolucja; wypadki potoczyły się gwałtownie, rodziny dygnitarzy sądowych rozproszyły się, zdziesiątkowane, wypędzane, prześladowane. Karol Myriel wyemigrował do Włoch w pierwszych dniach rewolucji. Żona jego zmarła tam na chorobę piersiową, trapiącą ją od dawna. Dzieci nie mieli. Jak potoczyły się dalej losy Karola Myriel? Czy rozsypanie się w gruzy dawnego społeczeństwa francuskiego, upadek własnej rodziny i tragiczne widowisko 93 roku, może jeszcze bardziej przerażające dla emigrantów, którzy widzieli je z daleka przez powiększające szkła strachu, sprawiły, że poczęła kiełkować w nim myśl o wyrzeczeniu się świata i o samotności? Czy może wśród rozrywek i miłostek, wypełniających mu życie, raził go nagle jeden z tych tajemniczych a straszliwych ciosów, co godząc w serce powalają czasami człowieka, którym nie mogłyby zachwiać katastrofy ogólne, rujnujące jego byt i majątek? Nikt nie umiałby dać na to odpowiedzi; wiadano tylko jedno: kiedy powrócił z Włoch, był już księdzem.

W roku 1804 ksiądz Myriel był proboszczem w B. (Brignolles). Był już stary i zupełnie odsunął się od świata.

W dobie koronacji jakaś drobna sprawa parafialna, nie wiadomo już dziś jaka, sprowadziła go do Paryża. Orędując za swoimi parafianami u wielu wysoko postawionych osobistości, udał się i do kardynała Fescha. Pewnego dnia, gdy cesarz przybył odwiedzić

swego wuja, zacny proboszcz, wyczekujący w przedpokoju, znalazł się na drodze jego cesarskiej mości. Widząc, że starzec przygląda mu się z pewną ciekawością, Napoleon odwrócił się i zapytał szorstko:

- Cóż to za pocziwiec tak mi się przygląda?

- Najjaśniejszy panie - rzekł ksiądz Myriel - wasza cesarska mość patrzy na pocziwego człeka, a ja na wielkiego człowieka. Każdy z nas może na tym skorzystać.

Tego samego wieczora cesarz zapytał kardynała o nazwisko proboszcza i wkrótce potem ksiądz Myriel dowiedział się ku swemu wielkiemu zdumieniu, że został mianowany biskupem Digne.

Ile było zresztą prawdy w tych gadkach, które krążyły na temat pierwszego okresu życia księdza Myriel? Nikt tego nie wiedział. Mało kto znał rodzinę Myriel przed rewolucją. Ksiądz Myriel musiał podzielić zwykły los nowo przybyłych w małych miasteczkach, gdzie wiele jest ust, które mówią, a bardzo mało głów, które myślą. Musiał podzielić ten los, chociaż był biskupem i dlatego że był biskupem. Zresztą mimo wszystko rozmowy, które obracały się wokół jego osoby, były to tylko puste rozmowy, pogłoski, słowa, mniej niż słowa, "mielenie jęzorem", jak się to mówi dobitnie w języku południowców.

Jakkolwiek tam było, po dziewięciu latach rządów biskupich w Digne wszystkie te plotki - przedmiot rozmów, które w pierwszej chwili tak zajmują małe miasteczko i małych ludzi - poszły w całkowite zapomnienie. Nikt nie śmiałyby o nich wspomnieć; nikt nie śmiałyby nawet o nich pamiętać.

Ksiądz Myriel przybył do Digne w towarzystwie swej siostry Baptistyny, starej panny, młodszej od niego o lat dziesięć.

Całą ich służbę stanowiła rówieśniczka panny Baptistyny zwana panią Magloire, która dawniej była służącą księdza proboszcza, a która teraz nosiła podwójny tytuł pokojowej panny Baptistyny i gospodyni księdza biskupa.

Panna Baptistyna była osobą wysoką, bladą, szczupłą i łagodną - idealne uosobienie tego, co określa się słowem "szanowna"; wydaje się bowiem, że kobieta musi zostać matką, aby nosić miano czcigodnej. Nigdy nie była ładna; jednak całe jej życie, jedno pasmo świątobliwych uczynków, sprawiło, że promieniowała z niej jakaś świetlistość i biel; i na starość zyskała to, co można by nazwać pięknem dobroci. Szczupła w młodości, w wieku dojrzałym stała się przezroczyta, a poprzez tę przejrzystość przezierał anioł. Była raczej duchem niż dziewczyną. Jej postać zdawała się utkana z cienia; ciała tyle zaledwie, ile potrzeba, aby zaznaczyć płęć; odrobina materii przesycona blaskiem, wielkie oczy zawsze spuszczone - tylko pretekst, aby duszę zatrzymać na ziemi.

Pani Magloire była małą staruszką, siwiutką, okrągłą, zażywną, wiecznie krzątającą się i wiecznie zadyszana z powodu swej ruchliwości przede wszystkim, ale także z powodu astmy.

Po przyjeździe wprowadzono księdza Myriel do pałacu biskupiego ze wszystkimi honorami przewidzianymi przez dekrety cesarskie, które stawiają biskupa bezpośrednio po generale brygady.

Mer i prezydent pierwsi złożyli mu wizytę; on zaś, ze swej strony, pierwszy złożył wizytę generałowi i prefektowi. Kiedy ksiądz Myriel urządził się już u siebie, miasto zaczęło patrzeć z zaciekawieniem, jak jego biskup zabierze się do pracy.

## II

### **Książdz Myriel zostaje Eksceleacją Benvenuto**

Pałac biskupi w Digne przylegał do szpitala.

Pałac biskupi był obszernym i pięknym budynkiem z kamienia, wybudowanym w ubiegłym stuleciu przez jego eksceleację Henryka Pugeta, doktora teologii uniwersytetu paryskiego, opata Simore, który w 1712 roku był biskupem Digne. Pałac ten był siedzibą prawdziwie wielkopańską. Wszystko tu było zakrojone na wielką skalę: apartamenty biskupa, salony, pokoje gościnne, szeroki dziedziniec z podcieniami na starą modłę florencką, ogrody pełne przepięknych drzew. W sali jadalnej, długiej i wspaniałej galerii, która mieściła się na parterze i wychodziła na ogrody, jego eksceleacja Henryk Puget podejmował 29 lipca 1714 roku obiadem ich eksceleację Karola Brûlart de Genlis, księcia arcybiskupa Embrun, Antoniego de Mesgrigny, kapucyna, biskupa Grasse, Filipa de Vendôme, Wielkiego Jał-mużnika Francji, opata z Saint-Honoré de Lérins, biskupa Franciszka de Bertok de Grillon, barona na Yence, biskupa Cezarego de Sabran de Forcalquier, pana na Glandéve, i biskupa Jana Soanen, kapelana i kaznodzieję królewskiego, pana na Senez. Portrety tych siedmiu wielbnych osób zdobiły salę, a pamiętna data 29 lipca 1714 roku została wyryta złotymi zgłoskami na tablicy z białego marmuru.

Szpital był ciasnym i niskim jednopiętrowym domkiem z małym ogródkiem.

W trzy dni po przyjeździe do Digne biskup odwiedził szpital. Po skończonej wizycie poprosił dyrektora, aby zechciał przyjść do niego.

- Ilu ma pan w tej chwili chorych, panie dyrektorze? - zapytał.

- Dwudziestu sześciu, eksceleacjo.

- I ja tylu naliczyłem - rzekł biskup.

- Łóżka - ciągnął dalej dyrektor - stoją bardzo blisko obok siebie.

- Zauważyłem to.

- Sale szpitalne to właściwie pokoiki; bardzo trudno dobrze je przewietrzyć.

- Tak i mnie się wydaje.

- A poza tym nasz ogródek, z którego w dniach słonecznych mogą korzystać rekonwalescenci, jest bardzo mały.

- Właśnie o tym myślałem.

- Podczas epidemii - w tym roku mieliśmy tyfus, dwa lata temu gorączkę potną - bywa czasami po stu chorych. Nie wiadomo wtedy, co począć.

- To również przyszło mi na myśl.

- Cóż robić, ekscelencjo - rzekł dyrektor - trzeba się z tym pogodzić.

Rozmowa ta toczyła się w sali jadalnej na parterze.

Po chwili milczenia biskup zwrócił się żywo do dyrektora szpitala.

- Jak pan sądzi - rzekł - ile łóżek zmieściłoby się w tej sali?

- W sali jadalnej waszej ekscelencji? - zawołał zdumiony dyrektor.

Biskup rozglądał się po sali, zdawał się mierzyć ją oczyma i robić jakieś obliczenia.

- Tak, zmieściłoby się tu z łatwością dwadzieścia łóżek - rzekł jakby mówiąc do siebie, głośniej zaś dodał: - Coś panu powiem, dyrektorze. To oczywista pomyłka. Wygnieździecie się w dwadzieścia sześć osób w pięciu czy sześciu małych pokoikach; nas jest tu troje, a miejsca mamy na sześćdziesiąt osób. To pomyłka, mówię panu. Pan ma moje mieszkanie, a ja zajmuję pańskie. Oddaj mi pan mój dom. Pański dom jest tutaj.

Nazajutrz dwudziestu sześciu biedaków zostało umieszczonych w pałacu biskupim, a biskup zamieszkał w szpitalu.

Ksiądz Myriel nie miał majątku, rodzina jego została zrujnowana przez rewolucję. Siostra jego miała rentę dożywotnią w wysokości pięciuset franków rocznie, która na plebanii wystarczała jej na wydatki osobiste. Ksiądz Myriel jako biskup otrzymywał od rządu pensję w wysokości piętnastu tysięcy franków. Ksiądz Myriel tegoż dnia, w którym sprowadził się do budynku szpitalnego, ustalił raz na zawsze sposób, w jaki suma ta ma być zużyta.

Przepisujemy tu jego własnoręczną notatkę:

*Moje wydatki domowe:*

Na niższe seminarium duchowne	1500	<i>Liwrów</i>
Dla Bractwa Misyjnego	100	“
Dla księży-misjonarzy z Montdidier	100	“
Seminarium Misji Zagranicznych w Paryżu	200	“
Bractwo Ducha Św.	150	“
Instytucje religijne w Ziemi Świętej	100	“
Stowarzyszenie Opieki nad Matkami	300	“
Dla tegoż Stowarzyszenia w Arles	50	“

Towarzystwo Reformy Więzień	400	“
Towarzystwo Pomocy Więżniom	500	“
Na wykup ojców rodzin z wiezienia za długi	1000	“
Dodatek do pensji ubogich nauczycieli w diecezji	2000	“
Na spichrz zapasowy w departamencie Wysokich Alp	100	“
Stowarzyszenie Pań w Digne, w Manosque i w Sisteron, na bezpłatną naukę ubogich dziewcząt	1500	“
Na biednych	6000	“
Moje wydatki osobiste	1000	“
Razem 15000 liwrów		

Przez cały czas sprawowania rządów biskupich w Digne ksiądz Myriel w niczym nie zmienił tej decyzji. Nazywał to - jak widzimy - “ustaleniem wydatków domowych”.

Decyzja ta została przyjęta przez pannę Baptistynę z całkowitą uległością. Dla tej świątobliwej istoty ekscelencja z Digne był zarazem bratem i biskupem; przyjacielem, według praw natury, i przełożonym, według praw Kościoła. Po prostu kochała go i czciła. Gdy coś mówił - zgadzała się; gdy coś czynił - stawała u jego boku. Jedynie gospodyni, pani Magloire, szemrała nieco. Ksiądz biskup, jak to można było zauważyć, zostawił dla siebie tylko tysiąc liwrów, co wraz z rentą panny Baptistyny stanowiło tysiąc pięćset franków rocznie. Za te tysiąc pięćset franków żyły obie staruszki i starzec.

Ale gdy któryś z wiejskich proboszczów przyjeżdżał do Digne, ksiądz biskup mógł go jednak ugościć, a to dzięki surowej oszczędności pani Magloire i mądrej gospodarce panny Baptistyny.

Pewnego dnia, mniej więcej po trzech miesiącach pobytu w Digne, biskup rzekł:

- Bardzo mi jednak brak pieniędzy.

- Ja myślę - zawołała pani Magloire - ekscelencja nie zażądał nawet dodatku, który mu się należy od departamentu na koszt utrzymania karety w mieście i na objazdy diecezji. To weszło w zwyczaj za dawnych biskupów.

- Rzeczywiście, masz słuszość, pani Magloire - powiedział biskup.

I upomniał się o te pieniądze.

Po pewnym czasie Rada Główna rozpatrzyła jego prośbę i przyznała mu trzy tysiące

franków rocznie jako dodatek dla księdza biskupa na kosztą karety, karetki pocztowej i na kosztą objazdów pasterskich.

Wywołało to wielkie oburzenie wśród miejscowego mieszczaństwa i z tej okazji pewien senator Cesarstwa, dawny członek Rady Pięciuset, przychylny osiemnastemu Brumaire'owi, posiadający wspaniałą siedzibę nie opodal Digne, napisał do ministra wyznań, Bigota de Prémeneu, poufny liścik, pełen irytacji, z którego cytujemy te autentyczne słowa:

*Kosztą karety? Na cóż kareta w mieście, które ma mniej niż cztery tysiące mieszkańców? Kosztą objazdów? - Przede wszystkim po co te objazdy? - A następnie, jak używać karetki pocztowej w górskiej okolicy? Nie ma dróg. Jeździ się tylko konno. Nawet most na Durance w Château-Arnoux może ledwie utrzymać ciężar wozu zaprzęzonego w woły. Tacy są wszyscy ci księża! Chciwi i skąpi! Ten po przyjeździe udawał dobrego pasterza. Teraz postępuje już tak samo jak inni. Potrzeba mu karety i karetki pocztowej! Trzeba mu przepychu jak dawnym biskupom! O, te klechy! Panie hrabio, nie będzie się działo dobrze, póki cesarz nas nie uwolni od katabasów! Precz z papieżem (stosunki z Rzymem psuły się właśnie). Jeśli o mnie chodzi, uznaję jedynie Cezara... itd., itd.*

Pani Magloire natomiast ucieszyła się bardzo z takiego obrotu rzeczy.

- Ano, tak - powiedziała do panny Baptistyny - ekscelencja zaczął od innych, ale w końcu przecie zatroszczył się i o siebie. Rozdał już wszystkie jałmużny.

Te trzy tysiące franków są dla nas. Nareszcie!

Tego samego wieczoru biskup napisał i wręczył siostrze notatkę tej treści:

<i>Koszty karety i objazdów:</i>		
		<i>liwrów</i>
Na rosół dla chorych w szpitalu	<i>1500</i>	
Na Stowarzyszenie Opieki nad matkami w Aix	<i>250</i>	“
Na Stowarzyszenie Opieki nad matkami w Draguignan	<i>250</i>	“
Na podrzutków	<i>500</i>	“
Na sieroty	<i>500</i>	“
		<i>Razem: 3000 liwrów</i>

Taki był budżet księdza Myriel.

Jeśli zaś chodzi o dochody kościelne: opłaty za zapowiedzi, dyspensy, chrzty, kazania, poświęcanie kościołów czy kaplic, śluby itd., biskup tym bezwzględniej ściągał pieniądze z

bogaty, że dawał je biednym.

Wkrótce zaczęły obficie napływać datki pieniężne. Zarówno posiadający, jak i potrzebujący kołatali do drzwi księdza Myriel, jedni składając jałmużnę, drudzy przychodząc po nią. Nie upłynął rok, a biskup stał się skarbnikiem wszystkich miłosiernych uczynków i kasjerem wszelkiego strapienia. Przez ręce jego przechodziły znaczne sumy, ale nic nie mogło sprawić, aby zmienił w czymkolwiek tryb życia i pozwolił sobie na najmniejszy zbytek poza tym, co było niezbędnie konieczne.

Przeciwnie. Ponieważ zawsze więcej jest jeszcze nędzy w dole niż uczuć braterskich w górze, pieniądze szybciej się rozchodziły, prawdę mówiąc, niż wpływały; była to jakby woda wylana na suchą ziemię. Choćby nie wiem ile biskup dostawał pieniędzy, nigdy ich nie miał. A więc dawał ze swoich.

Stosownie do zwyczaju biskup umieszcza swoje chrzestne imiona w nagłówku orędzi i listów pasterskich. Miejscowi biedacy wiedzeni tkliwym instynktem wybrali sobie spomiędzy imion biskupa to, które miało dla nich szczególny sens, i nie nazywali go inaczej jak biskupem Benvenuto<sup>\*</sup>. Pójdziemy za ich przykładem i również tak będziemy go nazywać. Zresztą podobało się to samemu biskupowi. “Lubię to imię - mówił - Benvenuto łagodzi znacznie tytuł eksceleńcji”.

Nie utrzymujemy, że skreślony przez nas wizerunek jest prawdopodobny, ograniczamy się jedynie do stwierdzenia, że jest podobny.

---

<sup>\*</sup> W oryg.: Bienvenu, dosłownie: “mile widziany”.

### III

#### Dobry biskup w trudnej Diecezji

Chociaż ksiądz biskup zamienił karetę na jałmużny, nie zrezygnował jednak z objazdów pasterskich. Diecezja Digne należy do bardzo uciążliwych. Równin jest w niej mało, gór - wiele; dróg, jak już wspomniano, nie ma prawie wcale; trzydzieści dwa probostwa, czterdzieści jeden wikariatów i dwieście osiemdziesiąt pięć kościołów filialnych. Objechać wszystkie to trud nie lada. Ale biskup potrafił temu podołać: jeśli było niedaleko - szedł pieszo, jechał bryczką - jeśli droga wiodła przez niziny, w koszu zaś na mule - jeśli przez góry. Towarzyszyły mu zazwyczaj obie staruszki; kiedy droga była dla nich zbyt męcząca, podróżował sam.

Pewnego razu przyjechał do Senez, dawnego miasta diecezjalnego, na osła. Sakiewka, świecąca pustką w tej chwili, nie pozwoliła mu na wynajęcie innego pojazdu. Mer miasta wyszedł, aby go przywitać u drzwi biskupiego pałacu, i patrzył ze zgorzaniem, jak biskup zsiada z osła. Kilku mieszczan stojących koło niego śmiało się.

- Panie merze - rzekł biskup - panowie mieszczenie! Rozumiem dobrze, co was tak zgorzowało: uważacie, iż jest wielką pychą ze strony biednego księżyny, że jeździ na osła tak samo jak Jezus Chrystus. Zapewniam was, że zrobiłem to z konieczności, a nie przez próżność.

Podczas objazdów pasterskich był wyrozumiały i dobrotliwy; gawędził raczej z wiernymi, niż wygłaszał kazania. Żadnej z cnót nie stawiał na nieosiągalnych wyżynach. Argumentów i przykładów nie szukał daleko. Mieszkańcom jednej wsi dawał za wzór sąsiadów. W okręgach, gdzie nie okazywano serca ubogim, mawiał: "Spójrzcie na ludzi z Briançon; u nich biedacy, wdowy i sieroty mają prawo kosić łąki na trzy dni przed wszystkimi innymi. A gdy chaty ich się wałają, odbudowują je im za darmo. Toteż cieszą się błogosławieństwem bożym: od stu lat nie było w ich okolicy ani jednego mordercy".

Do wieśniaków chciwych zysku mówił: "Spójrzcie na ludzi z Embrun. Tam, jeśli w czasie żniw który z ojców rodziny ma synów w służbie wojskowej, córki na służbie w mieście, a sam jest chory lub niezdolny do pracy, proboszcz w czasie kazania poleca go swoim parafianom, i w niedzielę, po mszy, wszyscy mieszkańcy wioski - mężczyźni, kobiety, dzieci - idą żąć na pole tego biedaka i odnoszą mu cały zbiór do spichrza".

Do rodzin poważnionych na tle pieniężnym i spadkowym mówił: “Przyjrzyjcie się góralom z Devolny, z okolicy tak surowej, że słowika nie usłyszysz tam nawet raz na pięćdziesiąt lat. Otóż tam, gdy w rodzinie umrze ojciec, synowie idą w świat szukać zarobku, zostawiając ojcowiznę siostron, aby łatwiej mogły znaleźć sobie mężów”.

W okręgach, gdzie pieniało się pieniactwo i gospodarze rujnowali się na opłaty sądowe, zwykł był mówić: “Spójrzcie na tych poczciwych wieśniaków z doliny Queyras. Jest ich trzy tysiące. Mój Boże! To jakby mała republika. Nie znają ani komornika, ani sędziego. Wszystko załatwia mer. On wymierza podatki, on nakłada je na każdego według własnego uznania, on - za darmo - rozstrzyga spory i dzieli ojcowizny, on - bez żadnych opłat - wydaje wyroki i słuchają go wszyscy, bo jest to człowiek sprawiedliwy wśród ludzi prostych”.

W wioskach, gdzie nie było nauczycieli, znowu dawał za przykład mieszkańców Queyras: “Wiecie, jak oni sobie radzą? - mówił. - Ponieważ mała wioska z dwunastu czy trzynastu dymów złożona nie zawsze może utrzymać bakałarza, mają nauczycieli opłacanych przez całą ludność doliny, którzy chodzą od wioski do wioski, tu nauczając tydzień, tam znów dziesięć dni. Ci bakałarze chodzą na jarmarki, tam ich widziałem. Można ich poznać po gęsich piórach zatkniętych za opaskę kapelusza. Ci, którzy tylko uczą czytać, noszą jedno pióro; ci, co uczą czytania i rachunków - dwa; ci zaś, co uczą czytania, rachunków i łaciny, mają trzy pióra. To są wielcy uczeni. Ale co to za wstyd być nieukiem. Róbcieź tak jak ludzie z Queyras”.

Przemawiał tak z powagą i po ojcowsku: w braku przykładów wymyślał przypowieści zmierzając prosto do celu za pomocą obrazów i niewielu słów, tak jak musiał mówić Chrystus; przekonywał, bo wierzył w to, co mówił.

## IV

### Jakie słowa - takie czyny

Ksiądz Myriel był w rozmowie uprzejmy i wesoły. Przystosowywał się do poziomu obu staruszek, które pędziły żywot u jego boku; gdy śmiał się, był to śmiech uczniaka. Pani Magloire chętnie tytułowała go “wasza wysokość”. Pewnego dnia biskup wstał z fotela i podszedł do biblioteki po jakąś książkę. Książka stała na jednej z wyższych półek. Biskup, który był niewielkiego wzrostu, nie mógł jej dosięgnąć.

- Pani Magloire - powiedział - podaj mi, proszę, krzesło. Moja wysokość nie sięga tej półki!

Pewna daleka krewna biskupa, hrabina de Lô, korzystała prawie z każdej okazji, aby w jego obecności wyliczać to, co nazywała “widokami na przyszłość” swoich synów. Dama ta miała wielu starych, nad grobem stojących krewnych, których spadkobiercami w prostej linii byli jej synowie. Najmłodszy miał odziedziczyć po ciotecznej babce dobre sto tysięcy franków renty; drugi miał dostać tytuł książęcy po wuju; najstarszy - godność para po dziadku. Biskup przysłuchiwał się zazwyczaj w milczeniu tym niewinnym, łatwym do wybaczenia przechwałkom dyktowanym macierzyńską dumą. Pewnego razu jednak wydawał się bardziej zamyślony niż zazwyczaj, gdy hrabina de Lô wyliczała znów szczegółowo owe sukcesje i sperandy. Hrabina przerwała swoje wywody z pewnym zniecierpliwieniem:

- Na Boga! O czym tak myślisz, kuzynie?

- Myślę - odrzekł - o pewnym dziwnym zdaniu, które jest, zdaje się, u św. Augustyna: “Pokładaj swe nadzieje w tym, po kim się nie dziedziczy”.

Innym razem, otrzymawszy zawiadomienie o śmierci pewnego szlachcica z okolicy, zawiadomienie, gdzie na całej stronie wypisane były nie tylko godności zmarłego, ale tytuły szlacheckie i rodowody wszystkich jego krewnych, zawołał:

- Ach! mocne bary ma śmierć! Jakiż wspaniały ciężar tytułów każą jej beztrósco dźwigać. I jakże ludzie są pomysłowi, skoro tak potrafią wykorzystać grób dla swej próżności!

Czasem posługiwał się dobrotliwą drwiną, w której prawie zawsze kryła się poważna myśl. Kiedyś - w okresie Wielkiego Postu - przyjechał do Digne młody wikary i wygłosił kazanie w katedrze. Mówił dość dobrze. Tematem kazania było miłosierdzie. Zachęcał

bogaczy, aby wspierali biednych, jeśli chcą uniknąć piekła, które odmalował najokropniej, jak tylko mógł, i zasłużyć na raj, który wyposażył we wszystkie powaby i rozkosze. Wśród słuchaczy znajdował się pewien bogacz, dawny kupiec i po trosze lichwiarz, nazwiskiem Géborand, który na handlu suknem, szarszą, kordelatem i suknem hańskim dorobił się pół miliona. Przez całe życie pan Géborand nie dał jałmużny nieszczęśliwemu. Ale po tym kazaniu zauważono, że co niedziela daje jeden su starym żebraczkom siedzącym u wejścia do katedry. Było ich sześć do podziąka. Pewnego dnia biskup zobaczył kupca dającego jałmużnę i rzekł z uśmiechem do siostry:

- Popatrz na pana Géborand, który kupuje sobie za pięć centymów nieba.

Jeśli chodziło o dobroczynność, nie zrażała go nawet odmowa; znajdował wówczas odpowiedź, która zmuszała do zastanowienia. Pewnego razu kwestował na biednych w jednym salonie w Digne. Znajdował się tam markiz de Champtercier, stary, bogaty i skąpy, który potrafił w jakiś sposób połączyć skrajnie monarchistyczne poglądy ze skrajnym wolterianizmem. Zdarzały się i takie okazy. Biskup zbliżył się do niego i dotknął jego ramienia:

- Panie markizie, musi mi pan coś ofiarować!

Markiz odwrócił się i odparł sucho:

- Ekscelencjo, mam swoich biednych.

- Niech mi pan ich odda, markizie - odrzekł biskup.

Pewnego dnia w katedrze wygłosił takie kazanie:

*Najmilsi bracia, drodzy przyjaciele! We Francji jest milion trzysta dwadzieścia tysięcy chat wieśniaczych, które mają tylko po trzy otwory; milion osiemset siedemnaście tysięcy, które mają dwa otwory: jedno okno i drzwi, i trzysta czterdzieści sześć tysięcy, posiadających jedynie jeden otwór: drzwi. A to dlatego, że istnieje u nas rzecz zwana podatkiem od drzwi i okien. Wyobraźcie sobie, że w tych lepiankach gnieźdzą się całe rodziny biedaków, staruszki, małe dzieci, i pomyślcie, jak pienią się tam choroby i złośliwa gorączka! Niestety! Pan Bóg daje ludziom powietrze, prawo je sprzedaje. Nie oskarżam prawa, ale błogostawię Boga. W departamencie Izery, Varu, Alp Niskich i Wysokich wieśniacy nie mają nawet taczek i nawóz noszą na plecach; nie mają świec i palą tuczywo lub sznurek umoczony w smole żywicznej. I tak jest w całym okręgu górnego Delfinatu. Ludzie robią chleb na sześć miesięcy, piekąc go w piecu opalanym wysuszonym nawozem krowim. W zimie rąbią ten chleb siekierą i moczą go przez dwadzieścia cztery godziny w wodzie, aby nadawał się do jedzenia. Bracia! Bądźcie miłosierni, zobaczcie, ile cierpienia jest wokół was!*

Rodem z Prowansji, biskup łatwo przyswoił sobie wszystkie dialekty południowe, mówił równie dobrze narzeczem dolnej Langwedocji jak Niskich Alp czy górnego Delfinatu. Podobało się to ludziom i niemało przyczyniło do pozyskania wszystkich umysłów. W chatach wiejskich i w górach czuł się jak u siebie. W najbardziej prostackiej gwarze umiał powiedzieć rzeczy bardzo wzniosłe. Mówiąc każdym językiem, docierał do każdej duszy.

Zresztą był taki sam dla ludzi z wielkiego świata jak i dla ludu.

Nic pochopnie nie potępiał, nim nie poznał dokładnie wszystkich okoliczności. Zwykł był mówić: “Zobaczmy, jaką drogą zło tu dotarło”.

Będąc, jak to z uśmiechem nazywał, “byłym grzesznikiem”, daleki od wszelkiej pryncypialności, bez groźnych min surowych wzorów cnoty wyznawał głośno zasady, które można by streścić w ten mniej więcej sposób:

“Człowiek ma ciało, które jest mu ciężarem i pokusą zarazem. Dźwiga je i ulega mu. Musi go pilnować, trzymać na wodzy, ujarzmiąć; ulegać mu zaś tylko w ostateczności. Ale nawet ta uległość może również być grzechem; tylko że jest to grzech powszedni. To upadek, zapewne! ale upadek na kolana, który może skończyć się modlitwą.

Być świętym - to wyjątek. Być sprawiedliwym - to zasada. Błądźcie, upadajcie, grzeszcie - ale bądźcie sprawiedliwi!

Jak najmniej grzeszyć - oto ludzkie prawo. Nie grzeszyć wcale - to marzenie anioła. Wszystko, co ziemskie, podlega grzechowi. Grzech jest ciężeniem ku ziemi”.

Kiedy widział, że wszyscy wokół głośno i pochopnie oburzają się na coś, mówił z uśmiechem: “Oho! wydaje się, że chodzi tu o jakiś powszechnie popełniany wielki błąd. Przerazona obłuda protestuje co prędzej i odzęgkuje się od podejrzeń”.

Dla kobiet i biedaków, na których ciążył ciężar społeczność, był bardzo wyrozumiały. “Błędy kobiet, dzieci, sług, ludzi słabych, biednych i ciemnych - mawiał - są błędami mężów, ojców, zwierzchników, ludzi silnych, bogatych i wykształconych”.

I mówił jeszcze: “Nauczajcie, ile tylko w waszej mocy, tych, co są ciemni; społeczeństwo jest winne, że nie daje bezpłatnego nauczania; jest odpowiedzialne za noc, którą wytwarza. Grzech łatwo się lęgnie w duszy pełnej mroku. Nie jest winny ten, kto grzech popełnił, lecz ten, kto mrok szerzy”.

Jak widać, ksiądz biskup miał dziwny i bardzo swoisty sposób oceniania rzeczy. Podejrzewam, że zaczerpnął go z Ewangelii.

Kiedyś przysłuchiwał się w salonie rozmowie o pewnej sprawie kryminalnej, w której właśnie toczyło się śledztwo i która miała być niebawem sądzona. Jakiś nieszczęśliwiec, z nędzy doprowadzony do ostateczności, z miłości dla kobiety i dziecka, które z nią miał, zaczął

falszować pieniądze. Falszowanie pieniędzy było jeszcze w owych czasach karane śmiercią. Kobieta aresztowana w chwili, gdy puszczała w obieg pierwszą fałszywą monetę. Uwięziono ją, ale dowody były tylko przeciwko niej. Ona jedna mogła oskarżyć swego kochanka i zgubić go wyznając prawdę. Wyparła się wszystkiego. Nalegano. Z uporem wypierała się nadal. Wtedy prokurator królewski wpadł na świetny pomysł: zmyślił historię o niewierności kochanka i doprowadził do tego, że na podstawie sprytnie dobranych fragmentów listów udało mu się przekonać nieszczęsną kobietę, że ma rywalkę i że ten człowiek ją zdradza. Wówczas, nieprzytomna z zazdrości, wydała kochanka, wyznała wszystko, na wszystko przedstawiła dowody. Człowiek ów był zgubiony. W niedługim czasie miał być wraz ze współniczką sądzony w Aix. Opowiadano tę historię i każdy zachwycał się zręcznością prokuratora. Grając na uczuciu zazdrości, z wybuchu gniewu wydobył prawdę; z zemsty - sprawiedliwość. Biskup słuchał w milczeniu. Gdy skończono opowiadać, zapytał:

- Gdzie będą sądzeni ci ludzie?

- Przed sądem przysięgłych.

Biskup pytał dalej:

- A gdzie będzie sądzony prokurator królewski?

Zdarzył się raz w Digne tragiczny wypadek. Pewien człowiek został skazany za morderstwo na karę śmierci. Był to nieszczęśnik, nie całkiem ciemny, ale i też niezbyt wykształcony, który zajmował się pokazywaniem sztuczek kuglarskich na jarmarkach i pisywaniem pozwów chłopom. Proces ten poruszył całe miasto. W wilię dnia wyznaczonego na stracenie skazańca zachorował kapelan więzienny. Potrzebny był ksiądz, który by asystował przy ostatnich chwilach delikwenta. Udano się do proboszcza. Odmówił podobno w tych słowach: "To nie moja rzecz. Nie będę sobie zawracał głowy całą tą historią i tym kuglarzem. Jestem chory, zresztą to nie moja rola". Powtórzono tę odpowiedź biskupowi, który rzekł: "Ksiądz proboszcz ma rację. To nie jego rola, ale moja".

Niezwłocznie udał się do więzienia, zszedł do celi "kuglarza", zawołał go po imieniu, ujął za rękę i przemówił doń. Zapominając o śnie i jedzeniu siedział przy nim cały dzień i noc, zanosząc modły do Boga za duszę skazańca i prosząc skazańca, by ten modlił się za niego. Mówił mu o prawdach największych, które są prawdami najprostszymi. Był mu ojcem, bratem, przyjacielem; biskupem tylko po to, aby go pobłogosławić. Pouczał krzepiąc go i pocieszając. Ten człowiek miał umrzeć z rozpaczą w sercu. Śmierć była dlań ciemną otchłanią: stał drżący nad jej brzegiem i cofał się ze zgrozą. Nie był na tyle ciemny aby być zupełnie obojętnym. Wyrok skazujący - ten potężny wstrząs - rozerwał niejako tu i ówdzie ową przegrodę, która oddziela nas od tajemnic rzeczy i którą nazywamy życiem. Patrzył

nieustannie poza ten świat przez te złowrogie szczeliny i widział tylko ciemności. Biskup ukazał mu światłość.

Nazajutrz, kiedy przyszli po nieszczęśnika, biskup był u niego. Podążył z nim razem. Ukazał się oczom tłumu w fioletowych biskupich szatach i z krzyżem na piersi obok skrepowanego sznurami skazańca.

Razem z nim siadł na wózek, razem z nim wszedł na szafot. Skazaniec, wczoraj tak ponury i zgnębiony, promieniał pogodą. Czuł, że dusza jego jest pogodzona z Bogiem, i w Bogu miał nadzieję. Biskup uściśnął go i nim nóż się opuścił, rzekł:

- Tego, kogo człowiek zabija, wskrzesza Bóg; ten, kogo bracia wypędzają, znajduje Ojca. Módl się, wierz, wkraczasz w życie! Ojciec twój czeka na ciebie.

Kiedy zszedł z szafotu, w jego spojrzeniu było coś takiego, że tłum rozstępował się przed nim. Nie wiadomo, co było bardziej godne podziwu, bladość czy pogoda rozlana na jego obliczu. Wróciwszy do skromnego mieszkanka, które nazywał ze śmiechem "swoim pałacem", biskup rzekł do siostry:

- Celebrowałem pontyfikalnie, jak na biskupa przystało.

Ponieważ jednak rzeczy najbardziej wzniosłe często są rzeczami najmniej zrozumiałymi, znaleźli się w mieście ludzie, którzy roztrząsając postępowanie biskupa mówili, że "to przesada"! Mówiono tak zresztą jedynie w salonach. Lud, który nie doszukuje się obłudnej gry w świętych uczynkach, był wzruszony i pełen uwielbienia.

Jeśli zaś chodzi o biskupa, owo zetknięcie się z gilotyną było dlań przeżyciem, z którego długo nie mógł się otrząsnąć.

Istotnie, gilotyna wzniesiona na placu straceń ma w sobie coś upiornego. Można z pewną obojętnością odnosić się do kary śmierci, nie mieć określonego zdania w tej sprawie, mówić tak i nie, póki się na własne oczy nie zobaczy gilotyny, ale skoro się raz ją zobaczy, wstrząs jest gwałtowny i trzeba zająć zdecydowane stanowisko: wypowiedzieć się albo za, albo przeciw. Jedni ją wielbią, jak de Maistre, inni przeklinają, jak Beccaria. Gilotyna, to ucieleśnienie prawa, imię jej *vindicta*\*. Ona nie jest obojętna i nie pozwala człowiekowi pozostać obojętnym. Każdego, kto ją ujrzy, przenika tajemny dreszcz. Wszystkie zagadnienia społeczne stawiają wokół tego noża swoje znaki zapytania. Gilotyna to upiór. Gilotyna to nie rusztowanie, gilotyna to nie maszyna, gilotyna to nie bezduszny mechanizm złożony z drewna, żelaza i sznurów. To - zda się - istota obdarzona ciemną wolą działania; rzecz by można, że to rusztowanie widzi, że ta maszyna słyszy, że ten mechanizm rozumie, że te sznury, to żelazo, to drewno czegoś pragną. W ponurej zadumie, która ogarnia duszę na jej widok,

gilotyna zjawia się jak widmo straszliwe, biorące świadomy udział w tym, czego dokonuje. Gilotyna jest współniczką kata; pożera, karmi się ciałem, poi krwią. Gilotyna to potwór zbudowany przez sędziego i przez cieślę, upiór, który, zda się, żyje jakimś przerażającym życiem i życie swoje czerpie z tych wszystkich śmierci, które zadaje.

Nie dziw więc, że widok jej zrobił wrażenie straszne i głębokie; następnego dnia po egzekucji i jeszcze przez wiele dni potem biskup wydawał się przybity. Znikł przejmujący spokój złowieszczej chwili śmierci; widmo sprawiedliwości społecznej trapiło go bezustannie. On, który zazwyczaj wracał po spełnieniu swych obowiązków z radosnym zadowoleniem, tym razem wyglądał tak, jakby czynił sobie wyrzuty. Czasami mówił coś do siebie i wiódł półgłosem ponure monologi. Oto jeden z nich, który pewnego wieczoru usłyszała i zapamiętała jego siostra: “Nie myślałem nigdy, że to może być aż tak potworne. Błędem jest zagłębić się w prawie bożym do tego stopnia, żeby nie dostrzegać praw ludzkich. Śmierć należy tylko do Boga. Jakim prawem ludzie ośmielają się dotykać tej rzeczy nieznannej?”

Z biegiem czasu wrażenie to osłabło, a nawet prawdopodobnie zatarło się zupełnie. Zauważono jednak, że odtąd biskup omijał zawsze miejsce straceń.

W każdej chwili można było wezwać księdza Myriel do łoża chorych czy konających. Wiedział, że był to jego najpoważniejszy obowiązek i najważniejsza praca. Osieroczone rodziny nie potrzebowały go prosić, przychodził sam. Umiał siedzieć w milczeniu przez długie godziny przy mężu, który stracił ukochaną żonę, czy przy matce, która utraciła dziecko. Ponieważ wiedział, kiedy należy milczeć, wiedział także, kiedy należy mówić. O, niezrównanym był pocieszycielem! Nie starał się umniejszyć smutku wskazując na zapomnienie, ale czynił go wznioślejszym i bardziej dostojnym ukazując nadzieję. Mówił: “Baczenie na to, w jaki sposób zwracacie się do zmarłych. Nie myślcie o tym, co ulega rozkładowi. Patrzcie uważnie. Ujrzycie w głębi nieba waszego ukochanego zmarłego”. Wiedział, że wiara jest zdrowiem. Starał się pouczyć i ukoić człowieka zrozpaczonego, wskazując mu rezygnację, i zmienić rozpacz, która patrzy w grób, na boleść, która patrzy w gwiazdy.

---

\* Sankcja prawna, kara.

## V

### **O tym, że jego Ekszelencja zbyt długo nosił swoje sutanny**

Życie wewnętrzne księdza Myriel przepojone było tym samym duchem co jego życie publiczne. Dobrowolne ubóstwo, w którym żył biskup Digne, byłoby dla każdego, kto mógłby je oglądać, widokiem pełnym powagi i czaru. Jak wszyscy starcy i jak większość myślicieli sypiał niewiele. Ten krótki sen był głęboki. Rano przez godzinę rozmyślał w skupieniu, po czym odprawiał mszę bądź w katedrze, bądź w swojej kaplicy. Po mszy jadł śniadanie składające się z żytniego chleba maczanego w mleku od własnych krów. Następnie zabierał się do pracy.

Biskup jest człowiekiem bardzo zajęтым: co dzień musi przyjąć sekretarza diecezji, który jest zwykle kanonikiem, prawie co dzień generalnych wikariuszy. Przeprowadza kontrolę kongregacji, nadaje przywileje, przegląda wydawnictwa kościelne, modlitewniki, katechizmy diecezjalne, książki do nabożeństwa itd., pisze listy pasterskie, zatwierdza kazania, godzi między sobą proboszczów i merów, prowadzi korespondencję z władzami kościelnymi i z władzami administracyjnymi; tu - państwo, tam - stolica apostolska, słowem, tysiąc spraw.

Czas, który mu zostawał po załatwieniu owego tysiąca spraw, po nabożeństwach i brewiarzu, poświęcał przede wszystkim potrzebującym, chorym i strapionym; czas, który mu zostawiali potrzebujący, chorzy i strapieni - poświęcał pracy. Albo kopał w swoim ogródku, albo czytał lub pisał. Oba te zajęcia określał zresztą jednym słowem "ogrodnictwo". "Umysł jest ogrodem" - mawiał.

W południe jadł obiad. Obiad podobny był do śniadania.

Okolo godziny drugiej, jeśli była pogoda, wychodził na spacer, przechadzał się po polach lub po mieście, wstępując często do nędznych lepierek. Widziano, jak kroczył samotnie, zatopiony w myślach, z oczyma spuszczoneymi, wspierając się na wysokiej lasce, ubrany w fioletową watowaną i bardzo ciepłą pelerynkę, fioletowe pończochy, grube buty i płaski kapelusz, u którego przy każdym z trzech rogów zwisał złoty chwast.

Pojawienie się biskupa budziło wszędzie radość. Zdawać by się mogło, że obecność jego rozgrzewa i rozjaśnia wszystkie serca. Starcy i dzieci wylęgali na próg na widok biskupa

jak na widok słońca. On błogosławił i jego błogosławiono. Dom jego wskazywano każdemu będącemu w potrzebie.

Tu i ówdzie biskup przystawał, gwarzył z dziećmi, uśmiechał się do matek. Odwiedzał biednych, dopóki miał pieniądze; gdy ich zabrakło, odwiedzał bogatych.

Ponieważ sutanny nosił bardzo długo, a nie chciał, aby to zauważono, wychodził zawsze na miasto w fioletowej pelerynce. W lecie było to dość uciążliwe.

O wpół do dziewiątej jadł wieczerzę razem z siostrą; pani Magloire stała za ich krzesłami i usługiwała. Trudno o skromniejszy posiłek. Jeżeli jednak biskup gościł u siebie któregoś z proboszczów, pani Magloire korzystała z okazji, żeby podać jego ekscelencji jakąś wyśmienitą rybę jeziorną lub wyborną górską zwierzynę. Wizyta każdego proboszcza była pretekstem do smacznego obiadu; biskup patrzył na to przez palce. Ale kiedy indziej kolacja jego składała się niezmiennie z gotowanych jarzyn i zupy na oliwie. Toteż mówiono na mieście: “Kiedy biskup nie jada jak proboszcz, to jada jak trapista”.

Po kolacji gawędził pół godziny z panną Baptistyną i panią Magloire, po czym wracał do swego pokoju i zasiadał do pisania; pisał albo na luźnych kartkach papieru, albo na marginesie jakiejś księgi. Był człowiekiem wykształconym, a nawet poniekąd uczonym. Zostawił pięć czy sześć dość ciekawych rękopisów, między innymi rozprawę na temat wersetu z Księgi Rodzaju: “Na początku duch Boży unosił się nad wodami”. Porównuje ten werset z trzema innymi tekstami: z wersją arabską, która mówi: “Wiatry Boże wiały”, z Józefem Flawiuszem, który powiada: “Wiatr z góry spadał na ziemię”, wreszcie z parafrazą chaldejską Onkelosa, która opiewa: “Wiatr, pochodzący od Boga, wiał po powierzchni wód”. W innej rozprawie bada dzieła teologiczne biskupa Ptolemaidy, Huga\* (pradziada tego, który pisze tę książkę), i ustala, że należy przypisać temu biskupowi różne dzieła, wydane w ubiegłym wieku pod pseudonimem Barleycourta.

Nieraz w trakcie czytania, bez względu na to, jaką książkę miał w ręku, zapadał nagle w głęboką zadumę, a ocknąwszy się kreślił kilka wierszy na kartach trzymanej książki. Słowa te częstokroć nie mają nic wspólnego z dziełem, do którego zostały wpisane. Mamy przed oczyma notatkę, umieszczoną na marginesie książki pod tytułem: “Korespondencja lorda Germain z generałami Clintonem, Cornwallisem i admirałami okrętów stacjonujących w Ameryce”, wydana w Wersalu u księgarza Poinçot i w Paryżu u księgarza Pissot, bulwar Augustynów.

A oto notatka:

---

\* Charles-Louis Hugo (zm. 1739) m- doktor teologii i biskup Ptolemaidy; pochodził z rodu, z którym autora “Nędzników” nic nie łączyło. Hugo, zwyczajem poetów romantycznych dorabiał sobie tradycję rodową.

*O Ty, któryś jest!*

*Eklezjasta zowie Cię Wszehmocą, Machabeusze zowią Cię Stwórcą, list do Efezjan zowie Cię Wolnością, Baruch zowie Cię Nieskończonością, Psalmy zwą Cię Mądrością i Prawdą, Jan zowie Cię Światłem, Królowie zwą Cię Panem, Księga Wyjścia zowie Cię Opatrznością, Księga Lewitów - Świętością, Ezdrasz -Sprawiedliwością, wszelkie stworzenie zowie Cię Bogiem, człowiek zowie Cię Ojcem, ale Salomon zowie Cię Miłosierdziem - i to jest najpiękniejsze ze wszystkich Twoich imion.*

Około godziny dziewiątej wieczór obie kobiety szły na pierwsze piętro do swoich pokoi, zostawiając biskupa samego na dole aż do rana.

I tu należy dać czytelnikowi dokładny opis mieszkania księdza biskupa Myriel.

## VI

### Kto strzegł domu Biskupa

Dom biskupa składał się, jak już wspominaliśmy, z parteru i pierwszego piętra; trzy pokoje na parterze, trzy pokoje na piętrze i strych. Za domem ćwierćmorgowy ogród. Obie kobiety zajmowały piętro. Biskup mieszkał na dole. Pierwszy pokój, wychodzący na ulicę, służył mu za jadalnię, drugi za sypialnię, trzeci za kaplicę. Nie można było wyjść z kaplicy nie przechodząc przez sypialnię ani z sypialni nie przechodząc przez pokój jadalny. W głębi kaplicy była zamknięta alkowa, a w niej łóżko gościnne. Tu ksiądz biskup dawał nocleg proboszczom wiejskim, gdy sprawy urzędowe czy potrzeby parafii sprowadzały ich do Digne.

Mała przybudówka od strony ogrodu, dawna apteczka szpitalna, została przerobiona na kuchnię i spiżarnię.

Poza tym w ogrodzie stała obórka, w której dawniej mieściła się kuchnia szpitalna, a gdzie biskup trzymał swoje dwie krowy. Bez względu na ilość mleka, którą mu dawały, niezmiennie każdego ranka połowę udoju posyłał chorym do szpitala. “Płacę moją dziesięcinę” - mówił.

Sypialnia była dość duża i zimą dość trudna do ogrzania. Ponieważ drzewo w Digne jest bardzo drogie, biskup wpadł na pomysł, aby w obórce zrobić sobie pomieszczenie odgrodzone przepierzeniem z desek. Tam w okresie mrozów spędzał wieczory. Był to, jak mówił, jego “salon zimowy”.

Zarówno w “salonie zimowym”, jak i w pokoju jadalnym jedyne umeblowanie stanowił kwadratowy stół z surowego drzewa i cztery krzesła wyplatane słomą; jadalnię ozdobił ponadto stary kredens malowany na różowo klejową farbą. Drugi podobny kredens, przystrojony, jak należy, białymi serwetkami i fabryczną koronką, służył biskupowi za ołtarz w jego kapliczce.

Bogate penitentki i nabożne damy z Digne nieraz robiły składki na nowy, piękny ołtarz do kaplicy jego ekscelencji; ekscelencja przyjmował pieniądze i dawał je biednym mówiąc: “Najpiękniejszym ołtarzem jest dusza nieszczęśliwego, która za doznaną pociechę dziękuje Bogu”.

W kaplicy stały jeszcze dwa wyplatane klęczniki, a w sypialni fotel, również wyplatany. Kiedy przypadkiem zebrało się u biskupa siedem czy osiem osób: prefekt, generał

czy wyżsi oficerowie z miejscowego garnizonu, czy też kilku kleryków z niższego seminarium, trzeba było przynosić krzesła z “salonu zimowego”, klęczniki z kaplicy i fotel z sypialni; w ten sposób można było zebrać aż jedenaście krzesel dla gości. Gdy przychodził nowy gość, opróżniano z krzesel jakiś pokój.

Ale czasem zeszło się dwanaście osób; wówczas biskup maskował kłopotliwą sytuację w ten sposób, że stawał przy kominku, jeśli to była zima, w lecie zaś zapraszał na przechadzkę po ogrodzie.

W alkowie było wprawdzie jeszcze jedno wyplatane krzesło, ale na pół wydarte, o trzech nogach, tak że stać mogło jedynie oparte o ścianę. Panna Baptistyna miała wprawdzie w swoim pokoju ogromny fotel ze złożonego niegdyś drzewa, pokryty jedwabiem w kwiaty, ale wciągnięto go na pierwsze piętro przez okno, schody okazały się bowiem zbyt wąskie; nie można więc było korzystać z niego w potrzebie.

Panna Baptistyna pragnęła kupić do salonu meble z mahoni o linii wygiętej w kształt łabędziej szyi, kryte żółtym utrechckim aksamitem w różyczki. Ale to kosztowałoby co najmniej pięćset franków; stwierdziwszy, że przez pięć lat zdołała zaoszczędzić na ten cel jedynie czterdzieści dwa franki i dziesięć su, zrezygnowała wreszcie ze swoich pragnień. Zresztą komuż udaje się ziścić swoje marzenia?

Trudno byłoby wyobrazić sobie coś skromniejszego od pokoju sypialnego biskupa. Oszklone drzwi wychodzące na ogród, naprzeciw żelazne szpitalne łóżko z kotarami z zielonej szarszy; obok łóżka, za zasłoną, umywalnia z przyborami toaletowymi, zdradzającymi dawne wytworne przyzwyczajenia światowego człowieka; dwoje drzwi: jedno obok kominka, wiodące do kaplicy, drugie obok biblioteki - do jadalni; biblioteka - wielka oszklona szafa pełna książek, kominek z drzewa naśladowującego marmur, zazwyczaj bez ognia; przy kominku dwa żelazne wilki ozdobione dwoma wazami z girlandami, które w wyźłobieniach zachowały resztki inkrustacji srebrem - jedyny luksus biskupi; nad kominkiem, w miejscu gdzie zazwyczaj wisi lustro, krucyfiks miedziany ze śladami posrebrzania, na tle wytartego, czarnego aksamitu, w drewnianych ramach o zblakłej pozłocie. Przy oszklonych drzwiach wielki stół, na nim kałamarz, stos papierów i grube księgi. Przed stołem wyplatany fotel. Przed łóżkiem klęcznik przeniesiony z kaplicy.

Dwa portrety w owalnych ramach wisały po obu stronach łóżka. Małe, złożone napisy, umieszczone obok postaci na bezbarwnym tle płótna, mówiły, że jeden z wizerunków przedstawia opata de Chaliot, biskupa z Saint-Claude, drugi zaś opata Tourteau, wikariusza generalnego z Agde, opata klasztoru Grand-Champ reguły cystersów z diecezji Chartes. Gdy biskup zajmował ten pokój po wyprowadzeniu się chorych ze szpitala, zastał oba portrety i

zostawił je na dawnym miejscu; przedstawiały one księży i prawdopodobnie dobroczyńców szpitala: dwa powody, dla których żywił do nich szacunek. Wiedział o nich jedynie, że obaj w tym samym dniu 27 kwietnia 1785 roku otrzymali nominację królewską: jeden na biskupstwo, drugi na opactwo. Gdy pani Magloire zdjęła te portrety, żeby je odkurzyć, biskup znalazł tę ciekawostkę zapisaną spłowiałym atramentem na kawałku pożółkłego papieru, przyczepionego lakiem na odwrocie portretu opata z Grand-Champ.

Na oknie wisiała stara zasłona z grubej, wełnianej materii, tak już zużyta, że pani Magloire, żeby uniknąć wydatku na kupno nowej, musiała ją przesyć przez środek. Szew ten rysował się na zasłonie znakiem krzyża. Biskup często zwracał na niego uwagę mówiąc: “Jakże to pięknie wygląda!”

Wszystkie pokoje w domu, zarówno na parterze, jak i na piętrze, były bez wyjątku bielone wapnem na modłę koszar i szpitali.

Jednakże w ostatnich latach pani Magloire odkryła, jak to dalej zobaczymy, w pokoju panny Baptistyny pod otynkowaną tapetą malowidła ściennie. Dom ten, nim został szpitalem, był salą posiedzeń Rady Miejskiej. Stąd ta dekoracja. Szorowana co tydzień podłoga w pokojach była z czerwonej cegły; przed łózkami leżały słomiane maty. Mieszkanie całe, od góry do dołu, utrzymywane było przez obie kobiety w nienagannej czystości - jedyny zbytek, na który pozwalał biskup. “To nic nie ujmuje biednym” - mawiał.

Trzeba jednak przyznać, że zostało mu z tego, co dawniej posiadał, sześć srebrnych nakryć i wielka łyżka wazowa, na które z zachwytem spoglądała co dzień pani Magloire, kiedy lśniły na bieli grubego płóciennego obrusa. Ponieważ zaś malujemy tu biskupa Digne takim, jakim był, zmuszeni jesteśmy zaznaczyć, że nieraz zdarzyło mu się mówić: “Trudno byłoby mi się odzwyczaić od jadań na srebrze”.

Do owych sreber dodać należy dwa wielkie i ciężkie świeczniki, które biskup odziedziczył po ciotecznej babce. Świeczniki te z dwiema woskowymi świecami stały zazwyczaj na kominku biskupa. Gdy zdarzył się gość na obiedzie, pani Magloire zapalała dwie świece i stawiała lichtarze na stole.

W pokoju biskupa nad wezgłowiem jego łóżka była mała szafka ścienna, do której pani Magloire chowała co wieczór sześć nakryć srebrnych i wazową łyżkę. Trzeba powiedzieć, że nigdy nie wyjmowano klucza z tej szafki.

Ogród zeszpecony nieco dość brzydkimi zabudowaniami, o których już wspominaliśmy, przecinały na krzyż cztery alejki; w miejscu ich skrzyżowania znajdowała się studnia; piąta alejka biegła wokoło ogrodu, wzdłuż otaczającego go białego muru. W ten sposób ogród podzielony był na cztery kwatery obsadzone bukszpanem. Na trzech pani

Magloire hodowała warzywa, w czwartej biskup zasadził kwiaty. Tu i ówdzie rosły drzewa owocowe.

Pewnego razu pani Magloire powiedziała do biskupa z łagodną drwiną:

- Wasza wysokość tak ze wszystkiego stara się wyciągnąć jakiś pożytek, a oto kilka grządek się marnuje. Lepiej byłoby zasadzić tu nie kwiatki, lecz sałatę!

- Mylisz się, pani Magloire - odrzekł biskup - piękno jest równie przydatne jak rzecz pożyteczna. Może nawet bardziej - dodał po chwili milczenia.

Te trzy czy cztery grządki zajmowały księdza biskupa w tym samym niemal stopniu co i książki. Chętnie spędzał tam godzinę czy dwie przycinając, plewając, robiąc tu i ówdzie dołki w ziemi, w które wkładał nasionka. Nie odnosił się tak wrogo do owadów, jakby tego sobie był życzył zawodowy ogrodnik. Zresztą nie miał żadnych pretensji do znajomości botaniki; nic nie wiedział o podziale na grupy ani o solidyzmie, nie przyszło mu nigdy do głowy, aby wybierać między metodą Toumeforta a metodą naturalną; nie opowiadał się za łagiewkami przeciw liścieniom ani za Jussieu przeciw Linneuszowi. Nie studiował roślin; kochał kwiaty. Szanował bardzo uczonych, jeszcze bardziej szanował prostaczków i nie sprzeniewierzając się nigdy żadnemu z tych dwóch uczuć szacunku podlewał w letnie wieczory swoje grządki blaszaną konewką pomalowaną na zielono.

Żadne drzwi w domu biskupa nie zamykały się na klucz. Drzwi od pokoju stołowego, jak już wspomnieliśmy, wychodziły bezpośrednio na plac przed katedrą i niegdyś były zaopatrzone w zamki i zasuwę, niczym bramy więzienia. Biskup kazał zdjąć to żelastwo i drzwi zarówno w dzień, jak i w nocy zamykały się tylko na klamkę. Każdy o każdej porze mógł wejść do mieszkania, wystarczyło pchnąć drzwi. Z początku wiecznie otwarte drzwi niepokoiły bardzo obie kobiety; ale biskup powiedział: "Założcie sobie zamki do waszych drzwi, jeśli chcecie". W końcu więc i one zaczęły podzielać jego ufność lub przynajmniej zachowywać się tak, jakby ją podzielały. Jedynie pani Magloire miewała od czasu do czasu napady lęku. Co do biskupa zaś, można znaleźć jego myśl wyjaśnioną lub co najmniej zaznaczoną w tych trzech wierszach wypisanych przez niego na marginesie Biblii: "Taka jest różnica: drzwi doktora nigdy nie powinny być zamknięte, drzwi księdza zawsze powinny być otwarte".

Na innej książce zatytułowanej: Filozofia wiedzy medycznej, napisał taką notatkę: "Czyż nie jestem lekarzem jak oni? Ja także mam swoich chorych; najpierw mam ich pacjentów, których oni nazywają chorymi, a następnie mam moich chorych, których nazywam nieszczęśliwymi".

Gdzie indziej jeszcze napisał: “Nie pytajcie o nazwisko człowieka, który prosi was o schronienie; właśnie ten, kto nie chce zdradzić swego nazwiska, najbardziej potrzebuje przytułku”.

Raz pewien zacny ksiądz - nie pamiętam już, czy był to proboszcz z parafii Coulobroux, czy też proboszcz z Pompierry, zapewne za namową pani Magloire ośmielił się zapytać, czy jego ekscelencja nie uważa, że popełnia w pewnej mierze nieostrożność pozostawiając we dnie i w nocy drzwi otwarte dla każdego, kto chciałby wejść, i czy nie obawia się, że może się zdarzyć jakaś zła przygoda w domu tak mało strzeżonym. Biskup dotknął jego ramienia z łagodną powagą i rzekł: *Nisi Dominus custodierit domum, in vanum vigilant, qui custodiunt eam*\* - potem zaczął mówić o czymś innym.

Chętnie powtarzał te słowa: “Istnieje męstwo kapłana tak samo, jak istnieje męstwo pułkownika dragonów. Tylko że nasza odwaga - dodawał - powinna być spokojna”.

---

\* Jeśli Pan nie będzie strzegł domu, daremnie czuwają ci, którzy go strzegą.

## VII

### Cravatte

Tu jest właściwe miejsce na opisanie zdarzenia, którego nie możemy pominąć, gdyż ono to właśnie pozwoli nam jasno zobaczyć, jakim człowiekiem był biskup Digne. Po rozgromieniu bandy Kaspra Bes, która grasowała w wąwozach Ollioules, jeden z jego ludzi, nazwiskiem Cravatte, schronił się w góry. Ukrywał się czas jakiś z niedobitkami bandy Kaspra w hrabstwie Nicejskim, później przedarł się do Piemontu i nagle ukazał się we Francji niedaleko Barcelonnette. Widziano go najpierw w Jauziers, potem w Tuiles. Ukrył się w grotach Joug-de-l'Aigle i stamtąd wąwozami Ubaye i Ubayette spadał na wioski i miasteczka. Odważył się nawet dotrzeć do Embrun, wtargnął nocą do katedry i obrabował zakrystię. Napady jego były plagą okolicy. Żandarmeria ściagała go, ale na próżno! Umykał zawsze, nieraz stawiał zbrojny opór. Był to zuchwały straceniec. Wśród tego popłochu nadjechał biskup. Odbywał pasterski objazd. W Chastelar mer wyszedł mu na spotkanie i nalegał, żeby zawrócił z drogi. Cravatte trzymał w swoim ręku góry aż po Arche i jeszcze dalej. Niebezpiecznie byłoby puszczać się w drogę, nawet z eskortą. Naraziłoby się tylko niepotrzebnie życie trzech czy czterech nieszczęśliwych żandarmów.

- Dlatego też - powiedział biskup - mam zamiar iść bez eskorty.

- Jak ekscelencja może myśleć o czymś podobnym? - zawołał mer.

- A jednak myślę o tym; stanowczo sprzeciwiam się, by mi towarzyszyli żandarmi, i za godzinę wyruszam w drogę.

- W drogę?

- W drogę.

- Sam?

- Sam.

- Ależ ekscelencja tego nie zrobi!

- Wysoko w górach - podjął biskup - jest biedna gmina, ot! taka mała. Nie byłem tam już trzy lata. To moi dobrzy przyjaciele. Poczciwi, zacni pasterze. Mają jedną własną kozę na trzydzieści, które pasą. Wyrabiają piękne sznurki z kolorowej wełny i grają góralskie piosenki na fujarkach z sześcioma dziurkami. Potrzebują, aby od czasu do czasu ktoś z nimi pomówił o

Bogu. Cóż by powiedzieli o biskupie, który się boi? Cóż by powiedzieli, gdybym tam nie poszedł?

- Ależ ekscelencjo, a rozbójnicy?

- Właśnie - powiedział biskup - myślę i o tym. Ma pan rację. Mogę ich spotkać. Ale oni także potrzebują, żeby ktoś z nimi pomówił o Bogu.

- Ekscelencjo! To zgraja! To stado wilków!

- Panie merze! A może Chrystus uczynił mnie pasterzem tego właśnie stada? Któż zna drogi Opatrzności?

- Oni ekscelencję obrabują!

- Ja nic nie mam.

- Zabijają ekscelencję!

- Starego księżynę, który idzie klepiąc po drodze zdrowaśki? Na cóż by im się to zdało?

- Ach! Boże! Jeśli ksiądz biskup ich spotka...

- To poproszę o jałmużnę dla moich biednych.

- Na miłość boską, ekscelencjo! Proszę tam nie chodzić! Ekscelencja naraża swoje życie!

- Panie merze - odrzekł biskup - więc o to tylko panu chodzi? Nie po to tu jestem, żeby dbać o swoje życie, ale żeby dbać o ludzkie dusze.

Trzeba było ustąpić. Biskup ruszył w drogę tylko w towarzystwie chłopca, który ofiarował mu się za przewodnika. Wieść o tym jego postanowieniu rozeszła się po okolicy i napęłniała wszystkich żywym niepokojem.

Nie chciał wziąć ze sobą ani siostry, ani pani Magloire. Przebył góry na mule, nikogo nie spotkał i zjawił się zdrów i cały u swych "drogich przyjaciół" - pasterzy. Przez dwa tygodnie przebywał u nich. Wygłaszał kazania, udzielał sakramentów świętych, dawał wskazania moralne, pouczał. Gdy zbliżała się już chwila odjazdu, postanowił odśpiewać uroczyste *Te Deum*. Powiedział o tym proboszczowi. Ale co począć? Nie było szat pontyfikalnych. W nędznej zakrystii wiejskiego kościółka, którą dano mu do dyspozycji, było kilka zniszczonych, adamaszkowych ornatów, obszytych galonem imitującym srebro.

- Co tam, księżę proboszczu - rzekł biskup - ogłośmy jednak z ambony o naszym *Te Deum*. Jakoś to będzie.

Szukano po okolicznych kościołach. Wszystkie wspaniałości tych ubożuchnych parafii zebrane razem nie wystarczyłyby, żeby ubrać przyzwoicie kantora katedralnego.

Gdy się właśnie nad tym biedzono, dwaj nieznani jeźdźcy przywieźli i złożyli na plebanii wielką skrzynię dla księdza biskupa, po czym spiesznie odjechali. Otwarto skrzynię; była w niej kapa złotolita, mitra ozdobiona diamentami, krzyż arcybiskupi, wspaniały pastorał, słowem, wszystkie pontyfikalne szaty zrabowane miesiąc temu z katedry Najświętszej Panny w Embrun. W skrzyni leżała kartka, na której wypisane były te słowa: "Dla biskupa Benvenuto - Cravatte".

- A co! Czy nie mówiłem, że jakoś to będzie?! - zawołał biskup, po czym dodał z uśmiechem: - Temu, co zadawała się komżą wiejskiego plebana, Bóg zsyła kapę arcybiskupią.

- Ekscelencjo - szepnął proboszcz i pokiwał głową z uśmiechem - Bóg czy... diabeł?

Biskup popatrzył uważnie na proboszcza i powiedział z powagą:

- Bóg!

Kiedy wrócił do Chastelar, a także podczas całej jego drogi powrotnej, gromadziły się tłumy ciekawych, którzy chcieli go zobaczyć. Na probostwie w Chastelar spotkał pannę Baptistynę i panią Magloire, które nań czekały, i powiedział do siostry:

- Widzisz? Czy nie miałem racji? Ubogi ksiądz poszedł do ubogich pasterzy z pustymi rękoma, a wraca od nich z pełnymi. Gdy wyruszałem, miałem tylko ufność w Bogu; przywożę skarb z katedry.

Wieczorem przed pójściem na spoczynek dodał jeszcze:

- Nie lękajmy się nigdy złodziei ani morderców. To niebezpieczeństwa zewnętrzne, niebezpieczeństwa błahe. Lękajmy się samych siebie. Przesady - oto złodzieje! Występki - oto mordercy! Prawdziwie wielkie niebezpieczeństwa są wewnątrz nas. Cóż z tego, że ktoś zagraża naszemu zdrowiu czy kieszeni! Myślmy tylko o tym, co grozi naszej duszy.

Potem zwracając się do siostry:

- Kapłan, moja siostrze, nigdy nie powinien podchodzić z nieufnością do bliźniego. To, co robi bliźni, dzieje się za zgodą Boga. Niech nam wystarczy modlitwa, gdy czujemy, że zbliża się do nas niebezpieczeństwo. Módlmy się nie za siebie, lecz o to, aby nasz brat nie zgrzeszył z naszej przyczyny.

Zresztą życie jego nie było bogate w wydarzenia. Opisujemy te, które znamy, ale zazwyczaj dnie upływały mu na wykonywaniu tych samych czynności w tym samym czasie: miesiąc w jego roku podobny był do godziny jego dnia.

Jakie były dalsze losy skarbu katedry w Embrun? Pytanie takie wprowadziłoby nas w zakłopotanie. Były to rzeczy bardzo piękne, bardzo kuszące i bardzo nadające się, aby je ukraść dla biednych. Zresztą już raz zostały ukradzione. Przygoda w połowie została

dokonana; teraz wystarczyło tylko zmienić kierunek skradzionych rzeczy i popchnąć je w stronę biednych.

Nie twierdzimy nic pewnego w tym względzie. Znaleziono tylko w papierach biskupa dość tajemniczy zapisek, który może dotyczy tej sprawy, brzmi zaś tak: “Należałoby się zastanowić, czy to ma wrócić z powrotem do katedry, czy też pójść na potrzeby szpitala”.

## VIII

### Filozofia po kieliszku

Senator, o którym już wspominaliśmy, był człowiekiem bystrym i kroczył raz wytkniętą drogą nie bacząc na takie przeszkody, jak sumienie, wiara, sprawiedliwość czy obowiązek. Dążył prosto do celu, nie zbaczając ani na krok z linii, którą mu wskazywała jego kariera czy interes. Był to dawny prokurator, którego charakter złagodziło powodzenie, człowiek nie zły bynajmniej, owszem, skłonny do oddawania wszystkich możliwych drobnych przysług swoim synom, zięciom, krewniakom, ba! nawet i przyjaciołom, umiejący roztropnie wykorzystać okazje, nadarzające się gratki, słowem, dobre strony życia. Resztę uważał za rzecz raczej głupią. Był dowcipny i akurat na tyle wykształcony, aby uważać się za ucznia Epikura, gdy może był tylko duchowym płodem Pigault-Lebruna. Chętnie i z zadowoleniem wyśmiewał się z rzeczy nieskończonych i wiecznych i z “banialuk tego poczciwego biskupa”. Czasami nawet w obecności słuchającego go księdza Myriel żartował sobie w ten sposób z łaskawą wyższością.

Nie wiem już dziś, z racji jakiej półoficjalnej uroczystości hrabia (ów senator) i ksiądz Myriel spotkali się na obiedzie u prefekta. Przy deserze senator nieco podochocony, aczkolwiek jak zawsze dostoyny zawołał:

- Księżę biskupie, pogadajmy sobie! Senator i biskup z trudem patrzą na siebie bez porozumiewawczego zmrużenia oczu. Jesteśmy obaj augurami. Zrobię ekscelencji pewne wyznanie: mam swoją filozofię.

- Bardzo słusznie - odparł biskup - jaką kto sobie filozofię ułoży, tak się i wyśpi. Pan, panie senatorze, spoczywa na łożu z purpury.

Senator zachęcony tą odpowiedzią ciągnął dalej:

- Porozmawiajmy sobie od serca!

- Nawet od wątroby - powiedział biskup.

- Otóż muszę oświadczyć - podjął senator - że markiz d Argens, Pyrrhon, Hobbes i Naigeon nie są w ciemni bici. Mam w bibliotece wszystkich moich filozofów w złoconych oprawach...

- Tak jak pan, panie hrabio - wtrącił biskup.

Senator ciągnął dalej:

- Nienawidzę Diderota! To marzyciel, deklamator, rewolucjonista, w głębi duszy wierzący w Boga i jeszcze większy bigot niż Wolter. Wolter wykpił Needhama; nie miał racji, węgorki Needhama bowiem dowodzą, że Bóg jest niepotrzebny. Kropla octu dodana do łyżki papki mącznej zastępuje *fiat lux*. Wyobraźmy sobie większą kroplę i większą łyżkę - ot, i mamy świat. Człowiek to węgorz. Po co więc Ojciec Przedwieczny? Księżu biskupie, nuży mnie hipoteza Jehowy. Nadaje się jedynie do stwarzania ludzi słabych na ciele i umyśle. Precz z tą Wielkością, która mnie męczy i dręczy! Niech żyje Zero, które mnie zostawia w spokoju. Mówiąc między nami, tak żeby się wygadać i żeby się wypowiedzieć, jak przystało przed moim pasterzem, muszę wyznać, że mam dużo zdrowego rozsądku. Wcale nie jestem zachwycony waszym Jezusem, który na każdym kroku głosi wyrzeczenie i poświęcenie. Rady skąpca dla żebraków! Wyrzeczenie - a to po co? Poświęcenie - a to na co? Nie widziałem, żeby jeden wilk poświęcał się dla drugiego wilka. Bądźmy w zgodzie z naturą! Stoimy na szczelbule najwyższym - miejmy zatem najwyższą filozofię. Cóż z tego, że stoimy tak wysoko, jeśli będziemy widzieli tylko czubek nosa innych ludzi? Żyjmy wesoło! Jedno jest życie! Żeby zaś człowieka miała czekać jakaś inna przyszłość gdzie indziej, w górze, w dole czy gdziekolwiek bądź, w to nie wierzę ani trochę. Ach! zaleca mi się poświęcenie, wyrzeczenie, mam baczyć na to, jak postępuję, łamać sobie głowę nad *fas et nefas*, nad tym, co dobre, a co złe, co słuszne, a co niesłuszne. Dlaczego? Bo będę musiał zdać sprawę ze swych uczynków. Kiedy? Po śmierci. Co za mrzonki. Chciałbym widzieć takiego, co mnie złapie po mojej śmierci. Niech no ręka cienia schwyty garść prochu. Powiedzmy sobie otwarcie, my, którzy jesteśmy wtajemniczeni i unieśliśmy rąbek szaty Izydy: nie ma ani dobra, ani zła, jest tylko wegetacja. Szukajmy rzeczywistości! Starajmy się wszystko zgłębić, wszystkiego dociec. Tak, u licha! Trzeba wytropić prawdę, wykopać ją spod ziemi i pochwytać. Wówczas dostarcza ona niezrównanych rozkoszy! Wówczas jesteśmy silni i możemy się śmiać ze wszystkiego. O, ja stoję na mocnych nogach. Nieśmiertelność - księżu biskupie - toż to "baj-baju, będziesz w raju"! Ach! urocza obiecanka! Wiercie w nią, proszę! Piękny los wygrał Adam! Jesteś duszą, będziesz aniołem, wyrosną ci u łopatek błękitne skrzydełka. Księżu biskupie, proszę dopomóc mej pamięci, wszak to Tertulian mówi, że błogosławieni będą fruwać z jednej gwiazdy na drugą? Pięknie! Będziemy gwiazdną szarańczą. A poza tym będziemy oglądać Boga. Tere fere! Głupstwa ten cały raj. Bóg jest potworną bzdurą! Nie mam zamiaru ogłaszać tego w "Monitorze", ale, do licha, szepczę to chętnie między przyjaciółmi. *Inter pocula*\* Poświęcać ziemię dla raju - to wypuścić z rąk zdobycz dla gonitwy za cieniem. Nabrać się na nieskończoność! Nie głupim! Jestem nicością. Nazywam

---

\* Przy kielichu

się pan hrabia Nicość, senator. Czy istniałem przed urodzeniem? Nie. Czy będę istniał po śmierci? Nie. Czym jestem? Garstką pyłu zlepioną w organizm. Co mam robić na tym świecie? Ano, mam do wyboru: cierpieć albo używać. Dokąd mnie zaprowadzi cierpienie? Do nicości. Ale się nacierpię. Dokąd mnie zaprowadzi używanie? Do nicości. Ale użyję! Dokonałem wyboru. Trzeba albo jeść, albo zostać zjedzonym. Wolę jeść. Lepiej być zębem niż trawą. Taka jest moja filozofia życiowa. A potem niech się dzieje, co chce; grabarz jest gotów, czeka nas Panteon, wszystko wpada w wielki dół. Koniec. *Finis*. Kres wszystkiego i wszystkich. Martwota. Śmierć jest naprawdę śmiercią, proszę mi wierzyć. I tam ma być ktoś, kto ma mi coś do powiedzenia? Na śmiech mi się zbiera, gdy o tym myślę. To są bajeczki piastunek. Dla dzieci - Baba Jaga, a dla dorosłych - Jehowa. Nie, nie. Nasze jutro - to noc. Poza grobem wszyscy będziemy jednaką nicością. Czy byłeś Sardanapalem, czy świętym Wincentym a Paulo, i tak będziesz niczym. Oto prawda! A więc niczym się nie przejmujemy, żyjmy! Korzystajmy z naszego, ja”, póki czas. Tak, księżo biskupie, mam - jak mówię - swoją filozofię i swoich filozofów i nie dam się zwieść głupim bajeczkom. Ale oczywiście trzeba coś dać pospólstwu, tej biedocie, obdartusom, nędzaczom. Więc daje im się do wierzenia legendy, chimery, duszę, nieśmiertelność, raj, gwiazdy. Oni to żują, kładą sobie na chleb niczym omastę. Kto nie ma nic, ten ma Pana Boga. Niech ma chociaż to! Nie mam nic przeciwko temu, ale dla siebie zachowam pana Naigeon. Bóg jest w sam raz dobry dla pospólstwa.

Biskup klasnął w ręce.

- Oto mądre słowa! - zawołał. - Cóż za wspaniała, cóż za znakomita rzecz taki materializm! Nie każdego stać na to. Ale gdy ktoś go posiada, ten się już nie da oszukać! O! ten nie pójdzie tak głupio na wygnanie jak Kato, nie da się ukamienować jak Szczepan ani spalić żywcem jak Joanna d'Arc. Ci, którzy potrafili osiąść ten cudowny materializm, mają radosne poczucie braku odpowiedzialności i myślą, że mogą spokojnie połykać wszystko: stanowiska, synekury, godności, władzę, źle czy dobrze zdobytą, zyskowne zaprzaństwa, korzystne zdrady, dobrze opłacone ugody z własnym sumieniem, i że legną w grobie strawiwszy to wszystko. Jakież to przyjemne! Nie mówię tego oczywiście o panu, panie senatorze. Nie mogę wszakże się powstrzymać, żeby panu nie powinszować. Wy, wielcy panowie, macie - jak mówicie - filozofię swoją i dla siebie, filozofię doskonałą, wyszukaną, dostępną jedynie dla bogaczy, dobrą pod każdą postacią i stanowiącą znakomitą przyprawę do rozkoszy życia. Filozofia ta zaczerpnięta jest z wielkich głębokości i odkryta przez specjalnych badaczy. Ale jesteście tak łaskawi, że zezwalacie, żeby wiara w Boga była filozofią ludu tak mniej więcej, jak gęś z kasztanami zastępuje biedakowi indyka z trufkami.

## IX

### Brat widziany oczyma siostry

Aby dać wyobrażenie o życiu domowym biskupa Digne i o tym, w jaki sposób obie świątobliwe niewiasty naginały swoje czyny, myśli, a nawet często lekliwą naturę kobiecą do zwyczajów i życzeń biskupa, tak że nie potrzebował on nawet słów, aby je wypowiadać, najlepiej zrobimy przytaczając tu list panny Baptistyny do przyjaciółki z lat dziecińczych, wi-cehrabiny de Boischevron. List ten znajduje się w naszym posiadaniu.

*Digne, 18 grudnia 18...*

*Moja droga Pani, nie ma dnia, byśmy o Tobie nie mówiły. Jest to naszym zwyczajem, ale teraz mamy także inny powód. Wyobraź sobie, proszę, że obmywając z kurzu sufity i ściany pani Magloire dokonała odkrycia: oba nasze pokoje, obite starą, pobielaną tapetą, nie zeszpecityby dziś nawet takiego pałacu jak Twój. Pani Magloire zdarta tapetę. Pod nią były różne rzeczy. Mój salon, w którym nie ma mebli i w którym suszymy bieliznę po praniu, ma piętnaście stóp wysokości, osiemnaście szerokości, sufit malowany dawną modą, ze złoceniami, oraz belkowania jak u Pani. Za czasów, gdy był tu szpital, wszystko to zakrywała tapeta. Krótko mówiąc, boazerie z czasów naszych babek. Ale przede wszystkim warto zobaczyć mój pokój. Pani Magloire odkryła w nim, pod dziesięcioma co najmniej warstwami tapet, malowidła, które nie są może wybitnie dobre, ale w każdym razie zupełnie niezłe. Jest tam pasowanie Telemaka na rycerza przez Minerwę, jest także Telemak w ogrodach. Nie pamiętam ich nazwy. Do tych ogrodów damy rzymskie udawały się nocą raz do roku. Cóż jeszcze? Mam Rzymian, Rzymianki (tu słowo nieczytelne), cały orszak. Pani Magloire odmyla to wszystko, w lecie naprawi niewielkie uszkodzenia i wszystko odświeży, a wtedy mój pokój będzie prawdziwym muzeum. Znalazła również na strychu, w kącie, dwie konsole w dawnym stylu. Za pozłocenie ich zażądano dwunastu liwrów, lepiej dać te pieniądze biednym, zresztą konsole są bardzo brzydkie i wolałabym okrągły stół mahoniowy.*

*Jestem, jak zawsze, bardzo szczęśliwa. Brat mój jest tak dobry! Wszystko, co ma, rozdaje biednym i chorym. Żyjemy bardzo skromnie. Zimy ciężkie są w tej okolicy i trzeba przecie coś zrobić dla tych, którzy są w potrzebie. Nasz dom jest mniej więcej ogrzany i oświetlony. Przyznasz mi, Pani, że to wielkie wygody.*

*Brat ma swój własny sposób postępowania. Mówi, że biskup powinien być takim właśnie. Wyobraź sobie, droga Pani, że drzwi do naszego domu nie są nigdy zamknięte. Kto chce, może wejść i od razu jest w pokoju mego brata. On niczego się nie boi, nawet w nocy. To jest jemu właściwa odwaga, jak mówi.*

*Nie chce, żebym się lękała o niego ani żeby pani Magloire się lękała. Naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa, ale nie życzy sobie, byśmy okazywały, że to dostrzegamy. Trzeba umieć go zrozumieć.*

*Wychodzi w słotę, brnie po wodzie, podróżuje w zimie. Nie przeraża go ani noc, ani niepewne drogi, ani niebezpieczne spotkania.*

*W zeszłym roku pojechał sam jeden w strony, w których grasowali rozbójnicy. Nie chciał nas wziąć ze sobą. Przez dwa tygodnie go nie było. Wrócił szczęśliwie.*

*Wszyscy myśleli, że już nie żyje, a on był w najlepszym zdrowiu; powiedział do mnie: "Popatrz, jak mnie okradziono", i otworzył kufer pełen skarbów z katedry w Embrun, które rozbójnicy mu ofiarowali.*

*Tym razem, w drodze powrotnej, gdyż wyjechałam mu dwie mile naprzeciw z naszymi przyjaciółmi, nie mogłam się powstrzymać, żeby go nieco nie złajać; starałam się mówić tylko wtedy, gdy koła głośno turkotały, aby nikt inny nie słyszał.*

*Dawniej mówiłam sobie: "Żadne niebezpieczeństwo go nie powstrzyma! On jest niemożliwy!" Teraz już się przyzwyczaiłam. Daję znaki pani Magloire, aby mu się nie sprzeciwiała. Naraża się więc, jak tylko chce. Zabieram panią Magloire, idę do mego pokoju, modlę się za niego i zasypiam. Jestem spokojna, gdyż dobrze wiem, że gdyby jemu zdarzyło się nieszczęście, nie przeżyłabym tego; poszłabym do Boga za moim bratem i moim biskupem. Pani Magloire trudniej było przyzwyczaić się do tej - jak mówiła - jego nierozwagi. Ale teraz i ona się wdrożyła. Obie się modlimy, obie się boimy i zasypiamy. Diabeł mógłby tu wejść i nikt by się nie sprzeciwił. Prawdę mówiąc, czego mamy się lękać w tym domu? Zawsze jest z nami Ktoś, kto jest najpotężniejszy. Diabeł może tu wejść, ale Bóg tu mieszka.*

*I to mi wystarcza. Brat nie potrzebuje mi teraz nic mówić; rozumiem go bez słów; i zdajemy się na łaskę Opatrzności.*

*Oto jak trzeba żyć z człowiekiem, który jest wielki duchem.*

*Pytałam brata o szczegóły dotyczące rodziny de Faux, jak Pani prosiłaś. Wiesz przecie, że on wie wszystko i wszystko pamięta, gdyż jest ciągle szczerym rojalistą. Rzeczywiście jest to bardzo stara rodzina normandzka z okolic Caen. Pięćset lat temu była już mowa o Raulu de Faux, o Janie de Faux i o Tomaszu de Faux, szlachcicach, z których jeden był panem na Rochefort. Ostatni, Wit Stefan Aleksander, był dowódcą pułku i czymś tam*

*jeszcze w lekkiej jeździe bretońskiej. Jego córka Maria Ludwika poślubiła Adriana Karola de Gramont, syna księcia Ludwika de Gramont, para Francji, pułkownika gwardii i generała wojsk. Nazwisko to pisze się Faux, Fauq i Faoucq.*

*Droga Pani, poleć nas modlitwom Twego świątobliwego kuzyna, księdza kardynała. Nasza droga Sylwia dobrze robi, że nie marnuje tych krótkich chwil, które z Panią spędza, na pisanie listów do mnie. Jest zdrowa, pracuje tak, jak Pani sobie tego życzysz, kocha mnie zawsze. Nic więcej nie chcę. Uradowały mnie jej pozdrowienia przekazane mi przez Panią. Zdrowie moje nie jest najgorsze, ale chudnę coraz bardziej. Do widzenia. Papier mi się kończy i zmusza do pożegnania drogiej Pani. Tysiące serdeczności.*

*Baptystyna*

*P. S. Bratowa Pani wraz ze swą rodziną jest nadal tutaj. Pani cioteczny wnuczek jest czarujący. Czy wiesz, że ma już prawie pięć lat? Wczoraj zobaczył konia w nakolankach i zapytał: "Co się stało konikowi w kolanko?" Ach! Cóż to za miła dziecina! Jego młodszy braciszek ciągnie po mieszkaniu starą miotłę, udając, że jedzie powozem, i woła: "Wio!"*

Jak widać z tego listu, obie niewiasty umiały się przystosować do postępowania biskupa z tą przedziwną zdolnością, właściwą kobiecie, która lepiej potrafi zrozumieć mężczyznę niż mężczyzna sam siebie. Biskup Digne ze zwykłą sobie łagodnością i prostotą, które go nigdy nie opuszczały, dokonywał czasem czynów wielkich, odważnych i wspaniałych, w taki sposób, jakby sobie tego nawet nie uświadamiał. One drżały o niego, ale nie sprzeciwiały mu się w niczym. Czasami pani Magloire ryzykowała jakąś uwagę, zanim biskup zaczął działać, nigdy w czasie działania lub potem. Nigdy nie przeszkadzały mu nawet znakiem w raz zaczętych przedsięwzięciu. Niekiedy, choć im tego nie mówił - sam może w swojej doskonałej prostocie nie zdając sobie z tego sprawy - rozumiały niejasno, że postępuje jako biskup; wówczas przemykały się po domu jak dwa cienie. Usługiwały mu nie narzucając się, a gdy posłuchać znaczyło usunąć się, usuwały się posłusznie. Rozumiały, wiedzione subtelnym instynktem, że i troskliwość może być natrętna. Toteż i wtedy nawet, gdy sądziły, że grozi mu niebezpieczeństwo, odgadywały nie tyle jego myśli, co naturę, i potrafiły nie narzucać mu swojej opieki. Powierzały go Bogu.

Zresztą Baptystyna mówiła, jak wiemy, że śmierć brata byłyby także jej śmiercią. Pani Magloire wprawdzie tego nie mówiła, ale dobrze o tym wiedziała.

## X

### **Biskup wobec nieznannej światłości**

W czasie nieco późniejszym od daty listu, przytoczonego przez nas na poprzednich stronach, biskup dokonał czynu, który zdaniem całego miasta wymagał o wiele większej odwagi niż owa podróż w góry opanowane przez rozbójników. Nie opodal Digne na wsi żył samotnie pewien człowiek. Był nim - wykrztuśmy od razu to straszne słowo - dawny członek Konwentu. Nazywał się G.

W małym świątku Digne mówiono o nim z odcieniem zgrozy. Członek Konwentu! Czy możecie to sobie wyobrazić? To istniało w owych czasach, kiedy wszyscy mówili sobie "ty" i nazywali się "obywatelami"! Ten człowiek to potwór nieledwie. Nie głosował wyraźnie za straceniem króla, ale był tego bliski. Był nieomal królobójcą. Był straszny! Jak to się stało, że po powrocie prawowitych władców nie postawiono tego człowieka przed sądem rewolucyjnym? Nie ucięto by mu głowy, trzeba być miłosiernym, zapewne; ale przydałoby mu się dobre, dożywotnie wygnanie. Dla przykładu! - itd., itd. Poza tym, jak wszyscy ci ludzie, był ateuszem. - Plotki gęsi na temat jastrzębia.

Czy G. był naprawdę jastrzębiem? Tak, sądząc z tego, w jak srogim żył odosobnieniu. Nie głosował za śmiercią króla, nie obejmowały go więc dekrety o wygnaniu i mógł pozostać we Francji.

Mieszkał o trzy kwadransy drogi od miasta, z dala od wiosek, z dala od dróg, w jakimś zapadłym kącie bardzo dzikiej dolinki. Powiadano, że miał tam jakieś poletko, swoją norę, swoją jaskinię. Żadnych sąsiadów, nawet żadnych przechodniów. Od czasu gdy zamieszkał w owej dolinie, ścieżka wiodąca do niej zarosła trawą. Mówiono o tym miejscu jak o domu kata.

A jednak biskup spoglądał czasami w zamyśleniu w dal na kępę drzew znaczącą siedzibę starego rewolucjonisty i mówił: "Tam żyje dusza, która jest samotna".

I w głębi serca dodawał: "Powinienem go odwiedzić".

Ale, powiedzmy szczerze, ta myśl, zrazu naturalna, po chwili zastanowienia wydawała mu się dziwna, niemożliwa, a nawet odpychająca. Gdyż w gruncie rzeczy podzielał ogólne zdanie i dawny członek Konwentu wzbudzał w nim uczucie, z którego może nie zdawał sobie jasno sprawy, graniczące z nienawiścią, a które trafnie oddaje słowo: "niechęć".

Czy jednak pasterz powinien unikać parszywej owcy? Nie, zapewne. Ale taka owca?!...

Zacny biskup był w rozterce. Nieraz zapuszczał się w owym kierunku i zawracał z drogi.

Pewnego dnia rozeszła się po mieście wieść, że mały pastuszek, który usługiwał rewolucjoniście w jego legowisku, przyszedł do lekarza; że stary zbrodniarz jest konający, że został sparaliżowany i nie przeżyje nocy. "Chwała Bogu" - dodawali niektórzy.

Biskup wziął kij, włożył płaszcz, żeby okryć nim, jak wiemy, swoją zniszczoną sutannę i ochronić się przed zimnym podmuchem wieczornego wiatru, który mógł zerwać się lada chwila, i poszedł.

Słońce zachodziło już prawie za widnokrąg, gdy stanął w miejscu wyklętym. Spostrzegł z bijącym sercem, że jest już niedaleko kryjówki. Przekroczył rów, przeszedł przez żywopłot, odsunął żerdź w furtce, wszedł do zapuszczonego ogródka, posunął się odważnie jeszcze parę kroków i nagle za ugorem i wysokimi krzakami ujrzał "jaskinię".

Była to niziutka chatynka, uboga, mała, czysta, od strony wejściowej obrośnięta winem.

Przed drzwiami, w starym, prostej roboty fotelu na kółkach, siedział człowiek o siwych włosach, który uśmiechał się do słońca.

Obok siedzącego starca stał chłopiec - ów pastuszek. Podawał starcowi kubek mleka.

Kiedy biskup przyglądał się tej scenie, starzec powiedział: "Dziękuję, nic mi już więcej nie trzeba" - i przeniósł uśmiechnięte spojrzenie ze słońca na chłopca.

Biskup podszedł bliżej. Na odgłos kroków stary człowiek odwrócił głowę i na twarzy jego odmalował się ten stopień zdziwienia, jaki można odczuwać jeszcze po długim życiu.

- Odkąd tu mieszkam, pierwszy raz mnie ktoś odwiedza. Kto pan jesteś?

Biskup odrzekł:

- Nazywam się Benvenuto Myriel.

- Benvenuto Myriel! Słyszałem to nazwisko. Czy to pana nazywa lud okoliczny ekscelencją Benvenuto?

- Tak.

Starzec podjął z półuśmiechem:

- Jest pan zatem moim biskupem?

- Do pewnego stopnia.

- Proszę wejść.

Rewolucjonista wyciągnął rękę do biskupa, ale biskup jej nie ujął. Ograniczył się tylko do słów:

- Cieszę się, że mylnie mnie poinformowano. Nie wygląda pan wcale na chorego.
- Tak - odparł starzec - wyzdrowieję niebawem.

I dodał po chwili:

- Za trzy godziny umrę.

Po czym ciągnął dalej:

- Jestem trochę lekarzem; wiem, w jaki sposób zbliża się ostatnia godzina. Wczoraj tylko stopy miałem zimne; dziś zimno posunęło się aż do kolan; teraz czuję, że dochodzi już do pasa; kiedy dojdzie do serca... zakończę życie. Piękne jest słońce, prawda? Kazałem wytoczyć mój fotel na dwór, żeby jeszcze raz wszystko ogarnąć spojrzeniem. Może ksiądz do mnie mówić, to mnie nie męczy. Dobrze ksiądz zrobił przychodząc popatrzeć na człowieka, który umiera; dobrze, że taka chwila nie minie bez świadka. Każdy ma swoje dziwactwa: ja tak bym pragnął doczekać świtu. Wiem jednak, że zostało mi zaledwie trzy godziny. Będzie wtedy noc... Ale, prawdę mówiąc, cóż to ma za znaczenie? Śmierć - prosta sprawa. Nie potrzeba na to poranka. Ha, trudno! Umrę przy blasku gwiazd.

Starzec zwrócił się do pastuszka:

- A ty idź spać. Czuwałeś ostatniej nocy, jesteś zmęczony.

Chłopiec wszedł do chaty.

Starzec odprowadził go wzrokiem i szepnął jakby mówiąc do siebie:

- Gdy on będzie spał - ja umrę. Nie zakłóca się nawzajem te dwa spoczynki...

Biskup nie był tak wzruszony, jak powinien był być. W tym sposobie umierania nie czuł Boga. Mówmy otwarcie - gdyż małe sprzeczności wielkich serc powinny także być pokazane - on, który tak chętnie śmiał się, gdy mówiono doń "wasza wysokość", czuł się prawie dotknięty, że nie nazwano go tu "ekscelencją", i miał ochotę odpowiedzieć "obywatelu". Uczuł chęć, aby potraktować starca z szorstką poufałością, często spotykaną u lekarzy i księży, ale jemu obcą zupełnie. A zresztą ten człowiek, ten dawny członek Konwentu, ten przedstawiciel ludu był niegdyś możliwym tego świata; po raz pierwszy chyba w życiu opanowała biskupa surowość.

Tymczasem starzec spoglądał na niego z nieśmiałą serdecznością nie pozbawioną być może pokory, jaka przystoi człowiekowi mającemu za chwilę obrócić się w proch.

Biskup zaś, choć zazwyczaj wystrzegał się ciekawości, która - jak twierdził - graniczy z obelgą, nie mógł się powstrzymać, by nie przyglądać się rewolucjoniście z uwagą, która, jako że nie płynęła z sympatii, w stosunku do każdego innego człowieka obudziłaby w nim

wyrzuty sumienia. Członek Konwentu wydawał mu się wyjęty spod prawa, nawet spod prawa miłosierdzia...

G. spokojny, trzymający się prosto, o dźwięcznym głosie, był jednym z tych osiemdziesięcioletnich starców, którzy zadziwiają fizjologa. Rewolucja miała wielu takich ludzi stworzonych na miarę epoki. Wyczuwało się, że starzec ten zwycięsko wyszedł z wszelkich prób. Tak bliski śmierci, zachował w ruchach wszystkie pozory zdrowia. Jego bystre spojrzenie, mocny głos, zamaszyste ruchy rąk mogły onieśmielić śmierć. Azrael, mahometański anioł grobów, odszedłby z powrotem myśląc, że się pomylił. Starzec zdawał się umierać dlatego, że sam tego chciał. W jego agonii była wolność. Nogi jedynie pozostawały nieruchome. Mrok zaczął go już zagarniać. Stopy były martwe i zimne, a głowa żyła całą potęgą życia i jasności myśli. W tej pełnej powagi chwili G. przypominał króla z bajki wschodniej, który od góry był ciałem, od dołu marmurem.

W pobliżu leżał kamień. Biskup usiadł na nim. Zaczął *ex abrupto* \*.

- Winszuję - rzekł takim tonem, jakim się udziela nagany - nie głosowałeś pan jednak za śmiercią króla.

Wydawało się, że starzec nie zwrócił uwagi na cierpkie niedomówienie, kryjące się w owym "jednak". Odpowiedział. Uśmiech znikł zupełnie z jego twarzy:

- Proszę mi nie wieszować zbyt pochopnie: głosowałem za końcem tyrana.

Na surowe słowa padła oschła odpowiedź.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - podjął biskup.

- Chcę powiedzieć, że człowiek ma jednego tyrana: ciemnotę. Głosowałem przeciwko temu tyranowi. Z tego tyrana zrodziło się królestwo, które swoją władzę opiera na fałszu, podczas gdy wiedza opiera swoją władzę na prawdzie. Tylko wiedza może rządzić człowiekiem.

- I sumienie - dorzucił biskup.

- To jedno i to samo. Sumienie to suma wiedzy przyrodzonej, którą nosimy w sobie.

Eksceleńca Benvenuto słuchał, nieco zdziwiony, tak nowych dla siebie słów.

Starzec ciągnął dalej:

- Co do Ludwika XVI - to powiedziałem: "Nie". Nie przyznaję sobie prawa zabijania człowieka; ale uważam, że obowiązkiem moim jest tępić zło. Głosowałem przeciwko tyranowi. To znaczy przeciw prostytutce kobiet, przeciw niewolnictwu mężczyzn, przeciw nocy, w jakiej żyje dziecko. Głosując za Republiką, głosowałem przeciw temu wszystkiemu. Głosowałem za braterstwem, za jednością, za jutrześcią. Przyczyniłem się do obalenia

przesądów i błędów. Zwalenie przesądów i błędów stwarza światło. To za naszą sprawą runął stary świat. I stary świat - to naczynie wszelakiej nędzy - wylewając się na rodzaj ludzki przeistoczył się w czarę radości.

- Nieczysta to radość - rzekł biskup.

- Niech ksiądz raczej powie - radość zamacona, a dziś po nieszczęsnym powrocie przeszłości, który nazywają rokiem 1814 - radość miniona. Niestety - dzieło nie zostało dokończone, przyznaję. Obaliliśmy dawny porządek jeśli idzie o fakty, lecz nie umieliśmy wyrugować go całkowicie z umysłów. Usunąć nadużycia - to nie wystarcza, trzeba zmienić obyczaje. Młyna już nie ma, lecz wiatr ciągle wieje.

- Niszczyliscie. Niszczenie może być użyteczne, ale nie ufam zniszczeniu, któremu towarzyszy gniew.

- I prawo umie się gniewać, księżo biskupie, a gniew prawa jest czynnikiem postępu. Mniejsza o to, niech mówią, co chcą. Rewolucja Francuska jest największym krokiem naprzód w dziejach ludzkości od czasu narodzin Chrystusa. Może niewystarczającym, ale wspaniałym. Wydobyła na jaw wszystkie niewiadome ustroju społecznego. Złagodziła umysły: ukołowała, uśmierzyła, oświeciła. Dzięki niej strumień cywilizacji rozlał się szeroko po świecie. Była dobra! Rewolucja Francuska - to uwieńczenie ludzkości!

Biskup nie mógł się powstrzymać i szepnął:

- Tak? A rok 93?

Stary rewolucjonista wyprostował się na krześle z jakimś ponurym majestatem i z całą mocą, na jaką stać konającego, zawołał:

- Ach! Otóż to! Rok 93! Czekałem na to słowo. Chmury zbierały się przez tysiąc pięćset lat, po piętnastu stuleciach rozdarły się. A wy wytaczacie sprawę piorunowi!

Biskup poczuł, nie przyznając się do tego być może przed sobą, że został jakoś trafiony. Opanował się jednak.

Odpowiedział:

- Sędzia przemawia w imię sprawiedliwości; kapłan przemawia w imię litości, która jest niczym innym jak wyższą formą sprawiedliwości. Piorun nie powinien się mylić.

I dodał patrząc badawczo na rewolucjonistę:

- A Ludwik XVII?

Starzec wyciągnął rękę i chwycił biskupa za ramię:

- Ludwik XVII? Ha! nad kim ksiądz płacze? Czy nad niewinnym dzieckiem? Jeśli tak, zgoda! Płacę razem z księdzem. Czy nad potomkiem królewskim? A wówczas zastanówmy

---

\* Bez wstępu.

się trochę. Dla mnie myśl o bracie Cartouche'a, niewinnym dziecku powieszonym za ramiona na placu Greve za tę jedyną zbrodnię, że był bratem Cartouche'a, jest nie mniej bolesna od myśli o wnuku Ludwika XV, niewinnym dziecku umęczonym w wieży Tempie za tę jedyną zbrodnię, że był wnukiem Ludwika XV.

- Panie - rzekł biskup - to zestawienie imion jest niewłaściwe.

- Dla Cartouche'a czy dla Ludwika XV? Za którym z nich ksiądz się wstawia?

Przez chwilę panowało milczenie. Biskup żałował prawie, że tu przyszedł, a jednak czuł się dziwnie i głęboko poruszony.

Starzec mówił dalej:

- Nie lubisz, księżo, surowości prawdy; Chrystus lubił ją jednak. Brał w rękę różgę i oczyszczał świątynie. Jego bicz, pełen błyskawic, był srogim głosicielem prawdy. A gdy mówił: *Sinite parvulos*<sup>\*</sup>, nie robił żadnej różnicy między dziećmi. Na pewno nie wahałby się postawić obok siebie syna Barabasa i syna Heroda. Niewinność sama sobie jest koroną. Tytułów jej nie trzeba. W purpurze czy łachmanach, zawsze jest równie dostojna.

- To prawda - powiedział biskup cichym głosem.

- Obstawę przy swoim - ciągnął dalej G. - Ksiądz mówi: "Ludwik XVII". Porozumy się. Czy opłakujemy wszystkich niewinnych, wszystkich męczenników, wszystkie dzieci, i dzieci z dołów, i dzieci ze szczytów? Zgoda. Ale wtedy, twierdząc, musimy sięgnąć wstecz, daleko poza rok 93, i wcześniej zacząć wylewać łzy niż przy Ludwiku XVII. Będę z księdzem płakał nad dziećmi królewskimi, jeśli ksiądz ze mną zapłacze nad dziećmi ludu.

- Ja płaczę nad wszystkimi - rzekł biskup.

- Ach! Nad wszystkimi jednakowo?! - zawołał G. - A przecież jeśli szala ma się przechylić, niech przechyli się na stronę ludu. On dawniej cierpi.

Zapadło znowu milczenie. Przerwał je starzec. Uniósł się na łokciu, ujął policzek w dwa palce, jak to czyni machinalnie ten, co bada lub osądza, i wbił w biskupa wzrok, w którym skupiały się wszystkie siły konania. Był to niemal wybuch.

- Tak, księżo, lud cierpi od dawna. A poza tym, nie o to chodzi; czemu to ksiądz przyszedł tutaj, żeby mnie wypytywać i rozmawiać o Ludwiku XVII? Nie znam księdza. Odkąd zamieszkałem w tej okolicy, żyję tu na odludziu sam, nigdzie nie chodzę, nikogo nie widuję oprócz tego chłopca, który mi pomaga. Doszły mnie wprawdzie o księdzu jakieś słuchy i przyznać muszę, że nie mówiono o księdzu źle. Ale to o niczym nie świadczy. Zręczni ludzie mają tyle sposobów, aby oszukiwać ten poczciwy lud! Prawda, nie słyszałem turkotu karety, zapewne zostawił ją ksiądz za laskiem przy rozwidleniu dróg. Nie znam

księdza, powtarzam. Powiedział mi ksiądz, że jest biskupem; ale to nic mi nie mówi o moralnej wartości księdza. Powtarzam więc moje pytanie: “Kim ksiądz jest?” Biskupem, a zatem księciem Kościoła, jednym z tych ludzi ozłoconych, herbowych, zasobnych, mających tłuste prebendy - biskupstwo w Digne, piętnaście tysięcy stałej pensji, dziesięć tysięcy dochodów dodatkowych, w sumie dwadzieścia pięć tysięcy franków - jednym z tych, co mają kucharzy, służbę, wyborny stół, którzy jedzą w piątek kurki wodne, paradują w galowych powozach z lokajem z tyłu i z lokajem z przodu; mają pałace i rozbijają się w karetach w imię Chrystusa, który chodził boso! Jest ksiądz prałatem: renta, pałace, konie, lokaje, wykwinna kuchnia, wszystkie rozkosze życia, ma ksiądz to wszystko tak jak inni i jak inni tego używa, dobrze, ale to mi mówi albo za mało, albo za wiele; nie mówi mi nic o wewnętrznej, istotnej wartości księdza, który tu przyszedł z tym zamiarem zapewne, żeby mnie oświecać. Z kimże ja mówię? Kto jesteś?

Biskup spuścił głowę i odpowiedział:

- *Vermis sum* \*.

- Robak w karocy - mruknął starzec.

Role się zmieniły. Teraz on był wyrozumiały, a biskup pokorny.

Biskup mówił łagodnie:

- Ma pan rację, ale wyjaśnij mi pan, proszę, w jaki sposób moja karetka, która stoi o dwa kroki stąd za drzewami, mój wykwinny stół i to, że jadam w piątek owe kurki wodne, w jaki sposób moje dwadzieścia pięć tysięcy franków renty, mój pałac i moi lokaje dowodzą, że litość nie jest cnotą, że miłosierdzie nie jest obowiązkiem i że rok 93 nie był bezlitosny?

Starzec przesunął ręką po czole, jakby chciał spędzić z niego jakąś chmurę.

- Nim odpowiem - rzekł - muszę prosić o wybaczenie. Źle postąpiłem. Ksiądz jest u mnie, ksiądz jest moim gościem. Winienem księdzu uprzejmość. Ksiądz kwestionuje moje poglądy. Powinienem się ograniczyć do zbijania rozumowania księdza. Bogactwo i rozkosze, w jakich ksiądz żyje, dają mi w tej chwili przewagę w dyskusji, lecz byłoby w złym guście, gdybym z niej skorzystał. Obiecuję, że już jej nie wyzyskam.

- Dziękuję panu - odrzekł biskup. G. ciągnął dalej:

- Wróćmy więc do wyjaśnień, o które ksiądz mnie pytał. Na czym skończyliśmy? Co to ksiądz mówił? Że rok 93 był bezlitosny?

- Tak, bezlitosny - rzekł biskup - co pan myśli o Maracie, który klaskał w ręce pod gilotyną?

---

\* Wpuściecie dzieci.

\* Jestem robakiem.

- A co ksiądz myśli o Bossuecie, który śpiewał *Te Deum* po masakrach religijnych?

Twarde to były słowa, ale trafiały w sedno rzeczy z nieomylnością stalowej klingi. Biskup drgnął; nie znajdował odpowiedzi, ale czuł się dotknięty takim sposobem wyrażania się o Bossuecie. Najteższe umysły miewają czasem swoje bożyszczka i czują się jakoś boleśnie urażone, gdy logika ich nie uszanuje.

G. zaczął ciężko dyszeć; duszność konania, która zakłóca ostatnie tchnienie, przerywała mu głos; z oczu jednak biła nadal jasność umysłu. Ciągnął dalej:

- Powiedzmy jeszcze parę słów o tym i owym. Chętnie porozmawiam. Niezależnie od rewolucji, która - ogólnie rzecz biorąc - jest wielką afirmacją człowieczeństwa, rok 93, niestety, jest odpowiedzią. Ksiądz uważa, że był bezlitosny. A monarchia? Carrier jest bandytą, a jak nazwie ksiądz Montrevela? Fouquier-Tinville jest łajdakiem, a jakie jest księdza zdanie o Lamoignon-Béville'u? Maillard jest straszny, a Saulx-Tavannes, jeśli łaska? Ojciec Duchene jest okrutny, ale jakiegoż określenia użyczy mi ksiądz dla ojca Letellier? Jourdan Ścinacz Główny to potwór, ale mniejszy potwór niż pan markiz de Louvois. O, księżo, księżo! Żał mi Marii Antoniny, arcyksiężniczki i królowej; lecz żał mi również owej biednej hugonotki karmiącej dziecko, którą w roku 1685, za Ludwika Wielkiego - tak, proszę księdza - przywiązano na wpół nagą do słupa: dziecko trzymano w pobliżu; pierś matki wzbierała mlekiem, a serce pękało z rozpacz; maleństwo blade i zgłodniałe widziało tę pierś, konało i krzyczało, a kat mówił do kobiety, matki i karmicielki: "Wyrzeknij się!", dając jej do wyboru śmierć dziecka lub śmierć sumienia. I co ksiądz powie o tej męce Tantalusa zastosowanej do matki? Niech ksiądz to sobie zapamięta: Rewolucja Francuska miała swoje racje. Przyszłość rozgrzeszy ją z gniewu. Skutki jej - to lepszy świat. Najsrozsze jej ciosy zamieniają się w pieszczotę dla rodzaju ludzkiego. Lecz nie będę się dłużej rozwodził. Kończę, zbyt wielką mam przewagę. Zresztą umieram.

I nie patrząc już na biskupa zakończył swoją myśl tymi spokojnymi słowami:

- Tak, okrucieństwa postępu nazywają się rewolucją. A gdy one przeminają, trzeba uznać jedno: ród ludzki otrzymał może tęgie ciosy, lecz postąpił naprzód.

Starzec nie przypuszczał, że swoimi słowami obalił jeden po drugim wszystkie szanse wewnętrzne biskupa. Pozostawał mu jeden, i spoza tego okopu - ostatecznego źródła oporu ekscelencji Benvenuto - padły słowa, które zabrzmiały tak surowo jak na początku rozmowy:

- Postęp powinien wierzyć w Boga. Dobro nie może mieć sług bezbożnych. Ateusz jest złym przywódcą ludzkości.

Stary przedstawiciel ludu nic nie odpowiedział. Zadrżał. Spojrzał w niebo, a spojrzenie jego powoli zaćmiło się łzą. Gdy powieka napełniła się, łza stoczyła się po

wybladłej twarzy i starzec powiedział niemal jękając się, cicho, zwracając się do siebie samego, z okiem zatopionym w przestworzach:

- O ty, ideale, ty jeden istniejesz!

Biskup doznał nie dającego się opisać wzruszenia.

Po chwili milczenia starzec podniósł palec ku niebu i rzekł:

- Nieskończoność istnieje. Jest tam... Gdyby nieskończoność nie miała swojego "ja", byłaby ograniczona, nie byłaby więc nieskończonością, czyli nie byłoby jej w ogóle. A ona jest. A zatem ma swoje "ja". A tym "ja" nieskończoności jest Bóg.

Konający wymówił ostatnie słowa głośno i z takim drzeniem zachwytu, jak gdyby kogoś widział. Gdy skończył mówić, przymknął oczy. Wysiłek go wyczerpał. Widać było, że w ciągu minuty przeżył tych kilka godzin, które mu jeszcze pozostawały. Wyrzeczone słowa przybliżyły go do Tego, który jest w śmierci. Zbliżała się ostatnia chwila.

Biskup zrozumiał to; czas naglił, przybył przecie jako kapłan. Od całkowitej oziębłości przeszedł stopniowo do najwyższego wzruszenia, spojrzął na te zamknięte oczy, ujął tę starą dłoń, pomarszczoną i zimną, i nachylił się nad umierającym:

- Ta godzina jest godziną Boga! Nie uważa pan, że szkoda byłoby, gdybyśmy mieli spotkać się na próżno?

Starzec otworzył oczy. Chmurna powaga rozlała się na jego twarzy.

- Księżę biskupie - rzekł z powolnością, wynikającą raczej z wielkiej godności duszy niż ze słabości ciała - spędziłem życie na rozmyślaniu, nauce i kontemplacji. Miałem sześćdziesiąt lat, gdy kraj wezwał mnie i kazał mi zająć się sprawami publicznymi. Usłuchałem. Były nadużycia - tępiłem je; był ucisk - zniósłem go; były prawa i zasady - głosiłem je, wyznawałem je. Wróg najechał naszą ziemię - broniłem jej; Francja była w niebezpieczeństwie - nadstawiłem własnej piersi. Nie byłem bogaty, jestem biedny. Byłem jednym z kierowników państwa; piwnice skarbcza były wówczas tak przepełnione pieniędzmi, że trzeba było wzmocniać mury, aby się nie zawaliły pod ciężarem złota i srebra; ja jadałem obiady za 22 centymy na ulicy l'Arbre-Sec. Pomagałem uciśnionym, niosłem ulgę cierpiącym. Zdarłem obrus z ołtarza, to prawda; lecz zrobiłem to dlatego, żeby przewiązać rany mojej ojczyzny. Wspierałem zawsze ludzkość w jej pochodzie naprzód ku światłu i opierałem się niekiedy postępowi bez litości. Czasami wspierałem i was, moich przeciwników. Jest we Flandrii w Peteghem, w miejscowości, gdzie królowie z rodu Merowingów mieli swój letni pałac, klasztor urbanistów, opactwo Św. Klary z Beaulieu, które uratowałem od zagłady w 1793 roku. Spełniałem swoje obowiązki w miarę sił; robiłem tyle dobrego, i ile mogłem. A potem zostałem wypędzony, żyłem ścigany, prześladowany, oczerniony, wyśmiany,

spotwarzony, przeklęty, skazany. Od lat wiem, że wielu ludzi uważa - mimo moich siwych włosów - iż może mną gardzić, że w oczach biednego, ciemnego tłumu mam twarz potępieńca, i nie żywiąc sam nienawiści do nikogo godzę się na tę moją samotność spowodowaną ludzką nienawiścią. Dzisiaj mam lat osiemdziesiąt sześć. Umrę za chwilę. Czego ksiądz chce ode mnie?

- Błogosławieństwa - rzekł biskup.

I ukląkł.

Gdy biskup podniósł głowę, dostojny spokój jaśniał na twarzy starca. Skonał.

Biskup wrócił do domu pogrążony głęboko w nieodgadnionych myślach. Całą noc spędził na modlitwie. Nazajutrz kilku odważnych ciekawskich starało się nawiązać z nim rozmowę o starym rewolucjonście; milcząc wskazał na niebo. Od tej chwili zdwoił swoją serdeczność i miłość braterską dla maluczkich i cierpiących.

Każde napomknienie o "starym zbrodniarzu" wtrącało go w dziwną zadumę. Duch jego spotkał się na chwilę z innym wielkim duchem, blask innego wielkiego sumienia padł na jego sumienie. Nikt nie umiałby powiedzieć, czy nie zbliżyło go to jeszcze bardziej do doskonałości.

Ta "wizyta duszpasterska" stała się oczywiście okazją do nieprzychylnych szeptów w miejscowych koteryjkach.

"Czy to odpowiednie miejsce dla biskupa u wezgłowia takiego konającego? Wszak nie można się było spodziewać nawrócenia! Wszyscy ci rewolucjoniści są odszczepieńcami. Więc po co było do niego chodzić? Co biskup chciał tam zobaczyć? Musiał być bardzo ciekawy, jak to wygląda, gdy diabli biorą duszę".

Pewnego razu zamożna wdowa, z gatunku osób impertynenckich, które uważają się za dowcipne, zaczepiła go takim żartem:

- Ekscelencjo! Ludzie się pytają, kiedy ekscelencja włoży czerwoną czapkę?

- Oho! czerwień - to bardzo jaskrawy kolor! - odparł biskup. - Na szczęście jednak ci, którzy pogardzają czerwoną czapką, bardzo szanują czerwony kapelusz.

## XI

### Nasze zastrzeżenia

Myliłby się bardzo ten, kto by myślał, że eksceleńcja Benvenuto był “biskupem filozofem” lub “księdzem patriotą”. Spotkanie — rzecz by prawie można - zespolenie ze starym rewolucjonistą G. zostawiło mu swego rodzaju zadziwienie, które uczyniło go jeszcze łagodniejszym. To wszystko.

Chociaż biskup Myriel w najmniejszej nawet mierze nie był politykiem, dobrze może będzie na tym miejscu wyjaśnić pokrótce, jakie było jego stanowisko wobec wypadków ówczesnych, jeśli można przypuścić, że myślał on kiedykolwiek o zajęciu jakiegokolwiek stanowiska.

Cofnijmy się więc o kilka lat wstecz.

W jakiś czas po wyniesieniu księdza Myriel na stolicę biskupią Napoleon mianował go wraz z innymi biskupami baronem cesarstwa. Uwięzienie papieża miało miejsce, jak wiadomo, w nocy z 5 na 6 lipca 1809 roku; z tej okazji biskup Myriel został wezwany przez Napoleona na synod biskupów Francji i Włoch, zwołany w Paryżu. Synod odbywał się w katedrze Marii Panny i zebrał się po raz pierwszy 15 czerwca 1811 roku pod przewodnictwem kardynała Fescha. Ksiądz Myriel należał do owych dziewięćdziesięciu pięciu biskupów, którzy brali udział w synodzie. Ale był tylko na jednym posiedzeniu i na trzech czy czterech konferencjach specjalnych. Biskup górskiej diecezji, żyjący tak blisko natury, w ubóstwie wieśniaczym, zdawał się wnosić w grono tych wielebnych osobistości myśli i poglądy, które ujemnie wpływały na nastrój zgromadzenia. Bardzo prędko wrócił do Digne. Zapytany o powód tak szybkiego powrotu, odpowiedział: “Zawadzałem im. Razem ze mną wtargnął tam powiew świeżego powietrza. Byłem równie niewygodny jak otwarte drzwi”.

Innym zaś razem rzekł: “Cóż chcecie? To są książęta, a ja jestem tylko biednym wiejskim biskupem”.

Nie ulega wątpliwości, że się nie spodobał. Mówił wiele dziwnych rzeczy, a pewnego wieczora, gdy był u jednego z najznacniejszych swych kolegów, wyrwały mu się takie słowa: “Piękne zegary, piękne dywany, piękne liberie! Jakież to musi być nużące! Och! Nie chciałbym za nic tego przepychu, który by mi wciąż krzyczał w ucho: “Ludzie cierpią chłód, ludzie cierpią głód! Wokoło jest nędza, nędza!”

Powiedzmy mimochodem, że nienawiść do przepychu byłaby nienawiścią nierozumną; wynikałaby z niej bowiem nienawiść do sztuki. Jednakże u duchownych (poza ceremoniałem kościelnym i reprezentacją) zamiłowanie do przepychu jest wadą. Zdaje się zdradzać przyzwyczajenia nie licujące z duchem miłosierdzia. Ksiądz bogaty - to sprzeczność sama w sobie. Ksiądz powinien żyć blisko ubogich. A czyż może ktoś ustawicznie, i dniem, i nocą, stykać się z wszelkim nieszczęściem, z biedą, ze smutkiem, aby nie wycisnęły one na nim piętna świętego ubóstwa, tak jak wyciska je znojna praca? Czyż można sobie wyobrazić człowieka stojącego przy ogniu, któremu nie byłoby gorąco? Czyż można sobie wyobrazić robotnika pracującego przy piecu, który nie ma ani osmalonego włoska, ani pobrudzonego paznokcia, ani kropli potu na czole, ani odrobiny popiołu na twarzy? Pierwszym dowodem miłosierdzia u księdza, a zwłaszcza u biskupa jest ubóstwo.

Tak też zapewne myślał ksiądz biskup Digne.

Nie należy zresztą mniemać, że podzielał on w pewnych drażliwych kwestiach to, co nazywalibyśmy "poglądami stulecia". Mało się mieszał do ówczesnych sporów teologicznych i nie zabierał głosu w waśniach Państwa i Kościoła; gdyby nań jednak bardzo nalegano, chyba opowiedziałby się raczej za ultramontanizmem niż za gallikanizmem. Ponieważ kreślimy tu jego wizerunek i niczego nie chcemy ukrywać, jesteśmy zmuszeni nadmienić, że do chylącego się ku upadkowi Napoleona odnosił się z lodowatą obojętnością. Począwszy od roku 1813 popierał i pochwalał wszystkie wrogie cesarzowi manifestacje. Nie chciał go widzieć po powrocie z Elby i nie nakazał w swej diecezji modłów publicznych za cesarza w czasie Stu Dni.

Oprócz siostry Baptistyny biskup miał dwóch braci: generała i prefekta. Pisywał do nich dość często. Z pierwszym z nich przez pewien czas stosunki ochłodziły, a to dlatego że generał, który dowodził oddziałami stacjonującymi w Prowansji, po wylądowaniu cesarza w Cannes w taki sposób ścigał go na czele swych dwu tysięcy ludzi, jakby umyślnie chciał mu się dać wymknąć. Serdeczniejszą korespondencję prowadził biskup z drugim bratem, byłym prefektem, zacnym i szanowanym człowiekiem, który mieszkał w Paryżu przy ulicy Cassette.

Tak więc i ekscelencja Benvenuto miał swoją godzinę, w której owładnął nim duch stronniczości, swoją godzinę gorczy, swoje chmury. Namietności chwili rzuciły przelotny cień na ten umysł łagodny i wzniosły, zajęty rzeczami wiecznymi. Zapewne, człowiek tego pokroju zasługiwałby na to, aby nie mieć "zapatrywań politycznych". Nie należy błędnie rozumieć naszej myśli: nie utożsamiamy tego, co się nazywa "zapatrywaniami politycznymi", ze szczytnym dążeniem do postępu ani ze wzniosłymi uczuciami patriotycznymi, demokratycznymi i ludzkimi, które w naszych czasach powinny być fundamentem każdej

szlachetnej natury. Nie wnikając więc głębiej w sprawy, które mają jedynie luźny związek z treścią tej książki, mówimy tylko to: byłoby pięknie, gdyby biskup Myriel nie był rojalistą i nie oderwał się nawet na chwilę od swej pogodnej kontemplacji, w której ponad burzliwym zamętem spraw ludzkich można podziwiać lśniąco wyraźnie trzy czyste światła: Prawdę, Sprawiedliwość i Miłosierdzie.

Przyznając więc, że Pan Bóg nie stworzył ekscelencji Benvenuta do działalności politycznej, zrozumielibyśmy i podziwiali protest w imię prawa i wolności, dumną opozycję, niebezpieczny a słuszny opór wobec wszechwładnego Napoleona. Ale to, co jest godne pochwały w stosunku do rosnących w potęgę, mniej godne jest pochwały w stosunku do ludzi, którzy się chylą ku upadkowi. Uznajemy walkę jedynie wówczas, gdy istnieje niebezpieczeństwo, w każdym razie tylko ci, którzy walczyli od pierwszej chwili, mają prawo zadawać ostatni cios. Kto nie zdobył się na to, aby być oskarżycielem w czasie powodzenia, powinien milczeć wobec upadku. I tylko ten, kto zawsze zwalczał potęgę, może być mścicielem w chwili klęski. Jeśli o nas chodzi, to gdy Opatrzność wchodzi na scenę dziejów i uderza, zachowujemy milczenie. Rok 1812 zaczyna nas rozbrajać. Oburza nas rok 1813, gdy potulne dotąd ciało ustawodawcze, rozzuchwalone niepowodzeniem cesarza, przerwało nikczemne swoje milczenie; temu przyklaskiwać się nie godzi. W roku 1814 wobec zdrady marszałków, wobec tego Senatu, który brnął z jednego bagna w drugie, łącząc to, co przed chwilą ubóstwiało, wobec tego bałwochwalstwa liżącego stopy, a potem plwającego na swoje bożyszczce - trzeba ze wstrętem odwrócić głowę. W roku 1815, gdy najsrozsze klęski były już w powietrzu, gdy Francją wstrząsał dreszcz złowrózbnego przeczucia, gdy dostrzegało się już niemal wyraźnie przepaść Waterloo otwierającą się przed Napoleonem, rozpaczliwe wołanie armii i ludu do skazanego przez los nie miało w sobie nic śmiesznego. I ze wszelkimi zastrzeżeniami, jakie można by mieć wobec despoty, człowiek tej miary, co biskup Digne, powinien był umieć ocenić, jak wzruszające i wzniosłe było owo zespolenie na skraju przepaści wielkiego człowieka i wielkiego narodu.

Ale poza tym biskup Myriel był zawsze i we wszystkim sprawiedliwy, prawy, wyrozumiały, mądry, pokorny i zacny. Czynił dobrze i dobrze życzył każdemu, co też jest pewną formą dobroczynności. Był to kapłan, mędrzec i człowiek.

I trzeba przyznać, że nawet w tych swoich poglądach politycznych, z których przed chwilą czyniliśmy mu zarzuty osądzając go może zbyt surowo, był też łagodny i wyrozumiały, bardziej od nas może. Był w ratuszu pewien woźny, umieszczony tam przez cesarza, wiarus ze starej gwardii, legionista spod Austerlitz, zażarty bonapartysta. Często wrywały się biedakowi jakieś nieopatrzne słówka, które ówczesne prawo uważało za

buntownicze. Odkąd wizerunek cesarza zniknął z Krzyża Legii Honorowej, stary żołnierz nie ubierał się nigdy “przepisowo”, jak to nazywał, aby nie być zmuszonym do noszenia orderu. Z najwyższą czcią sam zdjął podobiznę cesarza z krzyża, który Napoleon przypiął mu własnoręcznie do piersi; pozostało po niej puste miejsce, którego niczym nie chciał zakryć. “Raczej umrę - mówił - ale nie będę nosił na sercu trzech ropuch<sup>\*</sup>!” Chętnie kpił sobie na głos z Ludwika XVIII. “Stary podagryk w angielskich kamaszkach! A niechże sobie jedzie do Prus razem ze swoim harcapem!” - mówił, rad, że jednym przekleństwem udało mu się objąć dwie największe swoje nienawiści: Anglię i Prusy. Póty gadał, aż stracił pracę. I oto znalazł się bez chleba, wyrzucony na bruk z żoną i dziećmi. Biskup wezwał go do siebie, upomniał łagodnie i mianował odźwiernym przy kościele katedralnym.

Biskup Myriel był prawdziwym pasterzem w swojej diecezji, przyjacielem wszystkich ludzi.

W ciągu dziewięciu lat ekscelencja Benvenuto świętobliwymi uczynkami i łagodnym obejściem zaskarbił sobie tkliwy szacunek i synowską miłość całego miasta. Nawet jego stosunek do Napoleona został przyjęty i jakby milcząco wybaczony przez lud, trzódkę pocziwą a słabą; która uwielbiała swojego cesarza, ale kochała swojego biskupa.

---

\* Chodzi tu o trzy lilie, które umieszczono na Krzyżu Legii Honorowej po powrocie Burbonów na tron francuski.

## XII

### Samotność jego ekscelencji

Podobnie jak wokół generała kręci się gromada młodych oficerków, tak biskupa otacza zazwyczaj rój młodych księży, “księży-żółtodziobów”, jak nazywa ich czarujący św. Franciszek Salezy. W każdym zawodzie ubiegający się o powodzenie ciągną w orszaku tych, którzy już do czegoś doszli. Każda potęga ma swoją świtę, każda fortuna ma swój dwór. Poszukiwacze świetnej przyszłości tłoczą się wokół świetnej terażniejszości. Każda metropolia ma swój sztab. Każdy biskup, mający jakie takie wpływy, ma przy sobie zastęp cherubinków z seminarium, którzy stróżują i utrzymują ład w pałacu biskupim i czatują na uśmiech jego ekscelencji. Spodobać się biskupowi - to odskocznia dla diakona. Każdy musi umieć torować sobie drogę; apostołstwo nie gardzi urzędem kanonika.

Jak gdzie indziej są ważne tytuły, tak w kościele są ważne infuły. Są to biskupi, którzy potrafili zaskarbić sobie łaski dworu, bogaci, posiadający renty, zręczni, uznawani przez świat, umiejący modlić się - zapewne - ale umiejący też i zabiegać, bez zbytnich skrupułów pozwalający wyczekiwać w swoim przedpokoju całej diecezji, łącznicy między zakrystią a dyplomacją, raczej opaci niż kapłani, raczej prałaci niż biskupi. Szczęśliwy ten, komu udało się do nich zbliżyć! Ludzie z takim autorytetem sypią wokoło na gorliwców, na ulubieńców i na całą młodzież umiejącą się przypodobać tłuste probostwa, prebendy, archidiaconaty, kapelanie, urzędy katedralne, a w przyszłości godności biskupie. Wspinając się coraz wyżej, pociągają za sobą i swoich satelitów. To system słoneczny w ruchu. Ich blask opromienia cały orszak. Okruchy ich powodzenia spadają na otoczenie w postaci drobnych, a zyskownych awansów.

Im większa diecezja dla biskupa - tym bogatsze probostwo dla jego faworyta. A poza tym - jest Rzym. Biskup, który umie zostać arcybiskupem, arcybiskup, który umie zostać kardynałem, zabiera cię ze sobą jako konklawistę; wchodzisz do Roty, dostajesz paliusz i oto już jesteś audytorem, szambelanem, już jesteś ekscelencją. Od ekscelencji zaś do eminencji jest tylko jeden krok; a między eminencją a jego świętobliwością - tylko dym *scrutinum*...<sup>\*</sup> Każda piuska może marzyć o tiarze. W naszych czasach jedynie ksiądz może zostać legalnie

---

<sup>\*</sup> Dym *scrutinum* – w czasie konklawe wybór papieża obwieszcza kolor dymu po spaleniu kartek z oddanymi głosami.

królem, i to jakim królem! Królem nad króle! Ileż wysokich aspiracji hoduje się w każdym seminarium! Iluż rumieniących się ministrantów, iluż młodych księżyków nosi na głowie przysłowiowy dzban mleka\*! Jakże łatwo ambicja przybiera miano powołania. Kto wie? Może nawet w dobrej wierze, może sama błogo się oszukuje?

Ekscelencja Benvenuto, skromny, biedny dziwak, nie był zaliczany do owych “ważnych infu”. Można to było poznać po zupełnym braku młodych księży w jego otoczeniu. Jak wiadomo, w Paryżu “nie chwycił”. Nikt dbający o swą przyszłość nie myślał oprzeć się na tym samotnym starcu. Żadna kiełkująca ambicja nie była tak szalona, by chcieć wzrastać w jego cieniu. Jego kanonicy i generalni wikariusze, zacni, starzy ludzie, prości jak on i zamurovani jak on w tej diecezji, bez żadnych widoków na kapelusze kardynalskie, podobni byli do swego biskupa, z tą różnicą, że podczas gdy oni byli ludźmi skończonymi, on był pełnym człowiekiem. Niemożność wybicia się przy biskupie Myriel była tak oczywista, że zaraz po wyjściu z seminarium wyświęceni przez niego młodzi księża prosili go o polecenie do arcybiskupa w Aix lub w Auch i uciekali co żywo. Gdyż, jak już mówiliśmy, każdy szuka poparcia. Święty żyjący w nadmiernym wyrzeczeniu to bardzo niebezpieczne sąsiedztwo: może cię zarazić nieuleczalnym ubóstwem, może sparaliżować zdolności potrzebne ci do zrobienia kariery i skłonić do większych poświęceń, niżbyś miał na to ochotę; każdy więc ucieka od takiej cnoty jak od zarazy. I to było powodem samotności ekscelencji Benvenuta. Żyjemy w smutnym społeczeństwie. Zrobić karierę - oto nauka, którą z góry, kropla po kropli, sączy nam zepsucie.

Nawiasem mówiąc, paskudna to rzecz - powodzenie. Jego pozorne podobieństwo do zasługi wprowadza ludzi w błąd. Dla tłumu powodzenie i istotna wyższość mają prawie takie samo oblicze. Powodzenie, ten sobowtór talentu, potrafi omamić nawet historię; jedynie Juwenal i Tacyt gderzą nań trochę. W dzisiejszych zaś czasach powodzenie ma na swe usługi urzędową nieledwie filozofię, która nosi jego liberię i służy w jego przedpokoju. Mieć powodzenie - oto cała teoria! Pomyślność jest utożsamiana ze zdolnością. Wygrasz na loterii -już jesteś uznany za zręcznego człowieka. Kto triumfuje, ten jest czczony. W tym rzecz, by się w czepku urodzić. Miej powodzenie - będziesz miał i resztę; niech ci się poszczęści - okrzykną cię wielkim człowiekiem. Poza pięcioma czy sześcioma wybitnymi wyjątkami, które są chlubą wieku, podziw współczesnych jest raczej krótkowzrocznością: wszystko, co się świeci, brane jest za złoto. Nic nie szkodzi, że się jest pierwszym lepszym, jeśli się do

---

\* ... nosi na głowie przysłowiowy dzban mleka – roi niewczesne plany, buduje zamki na lodzie; powiedzenie zaczerpnięte z bajki La Fontaine’a “Pastuszka i dzbanek mleka”, której bohaterka niesie na głowie dzbanek mleka na sprzedaż i snuje projekty, co za to kupi; tymczasem dzbanek spada i tłucze się. Tu w znaczeniu: buduje zamki na lodzie.

czegoś doszło. Pospolitość jest starym Narcyzem rozmiłowanym w sobie i przyklaskującym pospolitości. Tę właściwość potężną, która stwarza z ludzi takich tytanów, jak Mojżesz, Ajschylos, Dante, Michał Anioł lub Napoleon, dzisiejszy tłum przyznaje ochoczo każdemu, komu się uda osiągnąć swój cel, wszystko jedno jaki. Niech notariusz zostanie posłem, niech fałszywy Corneille napisze "Tirydata", niech eunuch dojdzie do posiadania haremu, niech jakiś filister w mundurze wygra przypadkiem decydującą bitwę, niech aptekarz wymyśli podeszwy z tektury dla armii Sambry i Mozy i na tej tekturze, sprzedanej jako skóra, zarobi czterysta tysięcy liwrów, niech kramarz poślubi lichwę i spłodzi z nią siedem czy osiem milionów, niech kaznodzieja zostanie biskupem, dlatego że mówi przez nos, niech zarządca wielkiego domu opuści służbę tak wzbogacony, że zrobią go ministrem finansów - ludzie nazwą to genialnością, tak jak Piękno widzą w fizjonomii strażaka, a Majestat w byczym karku Klaudiusza. Dla nich - gwiazdy, które odcisną w błocie nogi kaczek, nie różnią się niczym od konstelacji niebieskich przestworzy.

## XI

### W co wierzył biskup Myriel

Nie będziemy badać biskupa Digne ze stanowiska ortodoksji. Wobec takiej duszy żywić można jedynie szacunek. Sumieniu sprawiedliwego wierzyć trzeba na słowo. Uważamy zresztą, że i w innej niż nasza wierze możliwy jest u niektórych natur pełny rozwój piękna cnót ludzkich.

Co myślał biskup o tej tajemnicy czy o owym dogmacie? Nie wiadomo. Tylko grób, do którego dusze zstępują nagie, poznać może te najgłębsze tajniki serca. Ale pewni jesteście jednego - nigdy nie pokrywał obłudą trudności wiary. Zgnilizna nie ima się diamentu. Wierzył, jak mógł, najmocniej. "*Credo in patrem*", wołał często. Poza tym zaś z dobrych uczynków czerpał owo zadowolenie, które daje spokój sumienia i szeptem cicho: "Bóg jest z tobą".

Musimy jednak zaznaczyć, że, jeśli tak rzec można, poza swoją wiarą i ponad swoją wiarą biskup kochał. I to właśnie, *quia multum amavit*<sup>\*</sup>, uważali za jego słabość "ludzie serio", "poważne osoby", "ludzie rozsądni", ulubione wyrażenie naszych smutnych czasów, czasów egoizmu i pedanterii. Czymże był ten nadmiar miłości? Pogodną życzliwością ogarniającą nie tylko ludzi, jak już o tym mówiliśmy, ale niekiedy nawet rzeczy. W życiu jego nie było miejsca na pogardę. Był wyrozumiały dla boskiego stworzenia. Każdy człowiek, nawet najlepszy, ma w sobie jakąś nieuświadomioną bezwzględność, która się ujawnia w stosunku do zwierząt. Biskupowi Digne obca była ta bezwzględność właściwa wielu księżom. Nie posuwał się aż do braminizmu, ale musiał przemyśleć głęboko słowa Eklezjasty: "Któż wie, dokąd idą dusze zwierząt?" Nie zrażała go szpetota, nie oburzała ułomność instynktów. Przeciwnie, wzruszały go, rozczulały prawie. Zdawało się, że szukał dla niej w zamyśleniu, poza widomą powierzchnią życia, jakiejś przyczyny, wyjaśnienia i wytłumaczenia. Były chwile, w których jakby prosił Boga o przemianę. Bez gniewu, okiem filologa badającego palimpsesty patrzył na to, co jest jeszcze chaosem w naturze. W tej zadumie wyrzywały mu się czasem dziwne słowa. Pewnego ranka przechadzał się po ogródku; myślał, że jest sam, ale siostra szła za nim, choć on jej nie widział. Nagle zatrzymał się i zaczął przyglądać się

---

\* Ponieważ wiele ukochał.

czemuś na ziemi: był to ogromny pająk, czarny, włochaty, ohydny. Siostra usłyszała, jak powiedział: “Nieszczęsne stworzenie! To nie jego wina...”

Dlaczego nie wspomnieć o tych drobiazgach błahych, boskich prawie w swej dobroci? Dziecinada? Dobrze! Ale taką samą wzniosłą dziecinadę widzimy u św. Franciszka z Asyżu i u Marka Aureliusza. Pewnego dnia biskup wykręcił sobie nogę nie chcąc rozdeptać mrówki.

Tak żył ten człowiek sprawiedliwy. Czasem zdrzemnął się w swym ogrodzie i wtedy postać jego miała w sobie coś niewymownie czcigodnego.

Ekscelencja Benvenuto był niegdyś, jeśli wierzyć opowiadaniom o czasach jego młodości, a nawet o wieku dojrzałym, człowiekiem namiętym, a może i gwałtownym. Późniejsza, wszystko obejmująca łagodność nie płynęła więc z wrodzonego usposobienia, lecz była wynikiem głębokiego przekonania, które w ciągu życia powoli przenikało do jego serca, myśl po myśli. Charakter bowiem podobnie jak skałę może wyźłobić kropla. A takiego wyźłobienia nic nie zetrze, takiego ukształtowania nic odmienić nie zdoła.

W 1815 roku, wspomnieliśmy już o tym chyba, biskup kończył siedemdziesiąt pięć lat, ale wyglądał najwyżej na sześćdziesiąt. Był niewysoki; trochę przytył i aby się bronić przed tuszą, chętnie odbywał dalekie, piesze spacerunki. Krok miał pewny, postać nieznacznie tylko przygarbioną, szczegóły, z którego nie zamierzamy wyciągać żadnych wniosków; Grzegorz XVI w osiemdziesiątym roku życia trzymał się prosto i był ciągle uśmiechnięty, co nie przeszkadzało mu być bardzo złym biskupem. Ekscelencja Benvenuto miał, jak się to mówi, “piękną głowę”, ale nade wszystko tak miłą, że zapominało się o jej piękności. Kiedy rozmawiał z ową dzieciną żywością, która była jednym z jego uroków, o czym już wspominaliśmy, każdy czuł się dobrze w jego towarzystwie; zdawało się, że z całej jego osoby tryska radość. Cera czerstwa i rumiana, białe, doskonale zachowane, połyskujące w uśmiechu zęby nadawały mu wyraz otwarty i szczery. O takim mężczyźnie zwykło się mówić: “To zacny chłop!”, a o takim starcu: “To pocziwiec”. Pamiętamy, że takie wrażenie wywarł biskup na Napoleonie. Kto go ujrzał po raz pierwszy, ten rzeczywiście brał go zrazu za pocziwca. Ale w oczach tego, kto spędził z nim parę godzin, a zwłaszcza zobaczył go zamyślonego, pocziwiec zmieniał się powoli i nabierał cech jakiejś wzniosłości. Szerokie i otwarte czoło, dostojne siwizną, stawało się dostojne również dzięki zadumie. Majestat promieniował z tej dobroci nie tłumiąc w niczym jej blasku; budziło to ten rodzaj wzruszenia, jaki wywołałby widok uśmiechniętego anioła, który powoli otwiera skrzydła nie przestając się uśmiechać. Szacunek, niewymowny szacunek przenikał cię stopniowo, ogarniał twoje serce, i czuleś, że masz przed sobą jedną z tych dusz silnych, doświadczonych życiem, a pobłażliwych, szybujących myślą tak wysoko, że mogą być jedynie łagodne.

Jak to już widzieliśmy, modlitwa, odprawianie nabożeństw, rozdawanie jałmużny, pocieszanie strapionych, uprawa kawałka ziemi, braterskie uczucia, umiarkowanie, gościnność, wyrzeczenie, ufność, nauka i praca wypełniały każdy dzień życia biskupa. *Wypełniały* - oto właściwe słowo, bo naprawdę każdy dzień jego pełen był po brzegi dobrych myśli, dobrych słów, dobrych uczynków. A jednak dzień ten nie był pełny, jeśli zimno czy słota nie pozwoliły biskupowi wieczorem, gdy już obie kobiety odeszły do swoich pokoi, spędzić przed spaniem jednej czy dwóch godzin w ogrodzie. Zdawało się, że te rozmyślania pod wspaniałym niebem wieczornym, przed pójściem na spoczynek stały się dlań pewnego rodzaju obrzędem. Niekiedy do późna w noc obie stare kobiety, jeśli nie spały, mogły słyszeć jego powolne kroki na ścieżkach ogródka. Był sam ze sobą, skupiony, spokojny, pełen uwielbienia, porównujący pogodę swego serca z pogodą przestworzy, w ciemnościach wzruszony widzialną wspaniałością gwiazdnych konstelacji i niewidzialną wspaniałością Boga - otwierał duszę dla myśli spływających z Nieznanej Wyżyny. Ofiarowując swoje serce w tej samej godzinie, w której kwiaty nocne ofiarowują swoje aromaty, płonący jak latarnia wśród nocy gwiazdzistej, pogrążony w ekstazie wśród cudów natury, sam nie umiałby zapewne powiedzieć, co się działo w jego duszy: czuł, że coś z niej wzlatuje, że coś na nią spływa. Tajemna wymiana otchłani duszy z otchłanią wszechświata.

Myślał o wielkości i obecności Boga; myślał o przyszłej wieczności, przedziwnej tajemnicy, o wieczności minionej - tajemnicy jeszcze dziwniejszej. O wszystkich nieskończonościach, które na wsze strony krzyżowały się w jego oczach; i nie starając się zrozumieć tego, co się zrozumieć nie da - patrzył. Nie badał Boga; wielbił Go. Patrzył na wspaniałe spotkanie atomów, które nadają materii jej postać, wyzwalają siły afirmując ich istnienie, w całości tworzą odrębne jednostki, w przestrzeni - wymiary, niezliczoność w nieskończoności, rodzą światło, a przez nie piękno. Łączą się wciąż i rozłączają; i to jest źródłem życia i śmierci.

Siadał na drewnianej ławce wspartej o starą altanę i poprzez wąż, rachityczne sylwetki drzew owocowych wpatrywał się w gwiazdy. Ten kawałek ziemi, tak ubogo obsadzony, zastawiony rudkami i szopami, był mu drogi i wystarczał w zupełności. Bo i cóż więcej trzeba było starcowi, który wolne chwile, a miał ich w życiu tak mało, poświęcał w dzień na uprawę ogródka, a w nocy na rozmyślania? Czyż ta mała zagroda, której stropem były niebiosa, nie wystarczała, aby uwielbiać Boga w jego dziełach najpiękniejszych i w jego dziełach najbardziej wzniosłych? W tym zawierało się wszystko, czegoż pragnąć więcej? Mały ogródek dla przechadzki i dal nieogarniona dla marzenia. Pod stopami to, co można uprawiać i zrywać, ponad głową to, nad czym można rozmyślać i zastanawiać się; kilka

kwiatów na ziemi i wszystkie gwiazdy na niebie.

## XIV

### Co myślał

Jeszcze jedno słowo.

Ponieważ szczegóły tego rodzaju mogą, zwłaszcza w naszych czasach, wywołać wrażenie, że - tu użyjemy modnego dziś określenia - biskup Digne był "panteistą", i obudzić podejrzenia, na jego korzyść lub niekorzyść, że hołdował jednej z tych osobistych filozofii, właściwych naszemu stuleciu, które rodzą się czasem w samotnych umysłach, kształtują się tam i rozrastają do tego stopnia, iż wypierają z nich religię, podkreślamy z naciskiem, że nikt, kto znał biskupa Myriel, nie ważyłby się o nim pomyśleć podobnych rzeczy. Człowiek ten rządził się sercem. Mądrość jego płynęła z tego samego źródła.

Żadnych systemów - dużo czynów. Mgliste spekulacje myślowe grożą zawrotem głowy; nic nie wskazuje na to, że ekscelencja Benvenuto zapuszczał się w badanie apokaliptycznych tajemnic. Apostoł może być zuchwały, ale biskup musi być pokorny. Zbytne zgłębianie pewnych problemów, które są niejako zastrzeżone tylko dla potężnych, przerażających duchów, obudziłyby w nim wielkie skrupuły. W przedśionkach tajemnicy kryje się święta groza. Te ciemne wrota stoją szeroko otwarte, ale coś ostrzega cię, przechodniu życia, że tu nie ma wejścia. Biada temu, kto się tam wdrze! Geniusze zapuszczający się w niezmierzone głębie abstrakcji i czystej spekulacji myślowej, stojący ponad dogmatami, jeśli tak rzecz można, przedkładają swoje myśli Bogu. Ich modlitwa zuchwale wyzywa do dyskusji. Ich uwielbienie domaga się odpowiedzi. Jest to religia bezpośrednia, pełna niepokoju i niebezpieczeństw dla tego, kto wdziera się na jej strome szczyty.

Myśl ludzka nie zna granic. Niepomna niebezpieczeństwa bada i zgłębia własne olśnienia. Można by prawie powiedzieć, że mocą jakiejś wspaniałej reakcji olśniewa tym naturę.

Tajemny otaczający nas świat zwraca to, co otrzymuje, i jest rzeczą możliwą, że myśliciele są również przedmiotem rozmyślań. Jakkolwiek jest, zdarzają się na świecie ludzie - o ile to są ludzie! - którzy ponad granicą marzenia dostrzegają wyraźnie szczyty prawdy bezwzględnej i mają straszliwe wizje niebotycznej góry. Ekscelencja Benvenuto nie należał do tych ludzi, ekscelencja Benvenuto nie był geniuszem. Lękałby się tych zawrotnych wyżyn,

z których niejeden wielki nawet umysł, jak Swedenborg czy Pascal, stoczył się w obłąd. Zapewne, te potężne wzloty mają swoją użyteczność moralną i stromą drogą prowadzą do najwyższej doskonałości. On obrał jednak krótszą ścieżkę: Ewangelię.

Nie drapował swego ornatu w fałdy Eliaszowego płaszcza, nie rzucał światła przyszłości na tajemniczy bieg wydarzeń, nie starał się z blasku rzeczy dobywać płomienia. Nie miał w sobie nic z proroka, nic z maga. To pokorne serce pełne było miłości; to wszystko.

Możliwe, że w modlitwie wznosił się na wyżyny nadludzkie; ale nie można za bardzo się modlić, tak jak nie można za bardzo kochać. Gdyby modły wykraczające poza tekst modlitwy uznane były za herezję, św. Teresa i św. Hieronim byłiby heretykami.

Pochylał się nad tym, co cierpi, i nad tym, co pokutuje. Świat wydawał mu się jedną wielką chorobą; wszędzie wyczuwał gorączkę, wszędzie odnajdował cierpienie i, nie szukając rozwiązania zagadki, starał się opatrzeć ranę. Przerażający widok stworzenia rozczulał go. Troszczył się tylko, aby znaleźć najlepszy sposób okazania współczucia i niesienia pomocy i innych do tego zachęcić. Wszystko, co istnieje, było dla tego dobrego i niezwykłego kapłana nieustannym smutkiem, który należało pocieszyć.

Są ludzie pracujący nad wydobywaniem złota. On pracował nad wydobywaniem litości. Kopalnią jego była powszechna nędza. Powszechny ból był tylko okazją do nieustannej dobroci. "Miłujcie się wzajemnie" - uważał, że w tym zamyka się wszystko, niczego więcej nie chciał i była to cała jego doktryna. Pewnego razu ów senator, o którym już była mowa i który miał się za "filozofa", rzekł do biskupa:

- Proszę spojrzeć na świat! Toż to wojna wszystkich przeciw wszystkim! Mądry jest ten, kto ma siłę. Głupstwem jest owo "Miłujcie się wzajemnie!"

- Jeśli to jest głupstwo - odrzekł biskup nie wdając się w dyskusję - dusza winna zamknąć się w tym głupstwie, jak perła w muszli.

Zamykał się tam naprawdę, żył tym, zadowalał się tym w zupełności, zostawiając na boku oszałamiające pytania, które przyciągają i napawają lękiem, niezgłębione możliwości abstrakcji, otchłanie metafizyki, wszystkie te głębiny, które doprowadzają apostoła do Boga, ateusza - do nicości: przeznaczenie, dobro i zło, wojna wszystkich przeciwko wszystkim, świadomość ludzka, senna zaduma zwierzęcia, przeobrażająca moc śmierci, suma egzystencji zawarta w grobie, niepojęte odradzanie się wciąż zmiennych nowych miłości w nieprzemijającym "ja", istota rzeczy, materia rzeczy, Nicość, Byt, dusza, natura, wolność, konieczność; zagadki karkołomne, ponure otchłanie, nad którymi pochylają się gigantyczne archanioły ludzkiego ducha; budzące grozę przepaście, w które Lukrecjusz, Manu, św. Paweł i Dante wpatrują się płonąca źrenicą, zapalając, zda się, gwiazdy w nieskończoności.

Ekscelencja Bennenuto był po prostu człowiekiem, który stwierdził z zewnątrz istnienie tajemnych spraw, nie badając ich, nie poruszając ich i nie mącąc nimi spokoju swojego umysłu, i który w duszy swojej żywił wielki szacunek dla cienia.

**Księga druga**

**Upadek**

## I

### Wieczór po całodziennej wędrówce

W pierwszych dniach października 1815 roku, na godzinę przed zachodem słońca, jakiś mężczyzna wchodził do miasteczka Digne. Nieliczni mieszkańcy, siedzący w owej chwili w oknach lub na progach swoich domów, patrzyli na tego podróżnego z pewnym niepokojem. Trudno spotkać człowieka o nędzniejszym wyglądzie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy i barczysty, w sile wieku. Mógł mieć około czterdziestu ośmiu lat. Czapka ze skórzanym daszkiem, nasunięta na oczy, zasłaniała częściowo twarz spaloną słońcem, ogorzałą i ociekającą potem. Koszula z grubego żółtego płótna, spięta u szyi srebrną kotwiczką, pozwalała dojrzeć obrośniętą pierś. Miał na szyi chustkę skręconą jak sznurek, spodnie z niebieskiego drelichu, zniszczone i stare, wytarte na jednym kolanie, dziurawe na drugim, szarą, obszarpaną bluzę, załataną na jednym łokciu kawałkiem zielonego sukna przyszytego sznurkiem; na plecach niósł żołnierski plecak dobrze wypchany, spięty rzemykami, zupełnie nowy, w rękę wielki sękaty kij, na gołych nogach podkute buty. Miał ogoloną głowę i długą brodę.

Pot, spiekota, pieszka wędrówka, kurz nadały tej obdartej postaci dziwnie plugawy wygląd.

Włosy miał obcięte przy skórze, a jednak sterczące, gdyż zaczynały odrastać i musiały nie być strzyżone od pewnego czasu.

Nikt go nie znał. Widocznie był to jakiś wędrowiec. Skąd szedł? Z południa. Od morza zapewne. Wszedł bowiem do Digne tą samą ulicą, która przed siedmiu miesiącami widziała cesarza Napoleona, gdy udawał się z Cannes do Paryża. Człowiek ten musiał wędrować cały dzień. Zdawał się być bardzo znużony. Kobiety ze starego miasta, położonego w dolnej części Digne, widziały, jak zatrzymał się pod drzewami bulwaru Gassendi i pił ze studni stojącej przy końcu spacerowej alei. Musiał być bardzo spragniony, bo dzieci, które biegły za nim, widziały, że zatrzymał się o dwieście kroków dalej i pił ze studni na rynku.

Doszedłszy do rogu ulicy Poichevert, wędrowiec zawrócił na lewo i skierował się do gmachu merostwa. Wszedł do merostwa, a po kwadransie wyszedł z powrotem na ulicę. Przed bramą, na kamiennej ławce, z której 4 marca generał Drouot odczytał zdumionemu tłumowi proklamację z zatoki Juan, siedział żandarm. Mężczyzna zdjął czapkę i ukłonił mu

się uniżenie.

Żandarm popatrzył nań uważnie, nie odpowiadając na ukłon, przez pewien czas śledził go oczyma, po czym wszedł do merostwa.

W Digne była wówczas piękna oberża "Pod Krzyżem Kolbasa". Właściciel jej, Jakub Labarre, cieszył się poważaniem w całym mieście z powodu pokrewieństwa z innym Labarre'em, który miał oberżę "Pod Trzema Delfinami" w Grenoble i służył dawniej w straży przybocznej. Po wylądowaniu cesarza wiele krążyło w okolicy pogłosek o tej oberży "Pod Trzema Delfinami". Opowiadano, że generał Bertrand w przebraniu furmana często zajeżdżał tam w styczniu i rozdawał Krzyże Zasługi żołnierzom, a garście napoleonów mieszczanom. Faktem jest, że cesarz, przybywszy do Grenoble, nie chciał zatrzymać się w gmachu prefektury; dziękując merowi powiedział: "Zamieszkam u dzielnego człeka, którego dobrze znam" - i udał się "Pod Trzy Delfiny". Blask chwały Labarre'a z "Pod Trzech Delfinów" padał na odległość dwudziestu pięciu mil na Labarre'a z "Pod Krzyża Kolbasa". Mówiono o nim w mieście: "To krewniak tego z Grenoble".

Podróżny skierował się do tej oberży, najlepszej w całej okolicy. Wszedł do kuchni, która wychodziła wprost na ulicę. Paliło się we wszystkich paleniskach; w kominie wielki ogień strzelał wesołym płomieniem. Gospodarz, który był zarazem kucharzem, chodził od rondli do paleniska, bardzo zajęty pilnowaniem wybornego obiadu dla woźniców, których głośne śmiechy i krzyki rozlegały się w sąsiedniej izbie. Kto podróżował, ten wie, że nikt lepiej nie jada od woźniców. Tłusty świstak, obłożony kuropatkami i cietrzewiami, obracał się na długim rożnie nad ogniem; w rondlach gotowały się dwa duże karpie z jeziora Lauzet i pstrąg z jeziora Alloz.

Słyszając, że drzwi się otworzyły i ktoś wchodzi, gospodarz zapytał nie podnosząc oczu od pieca:

- Czego pan sobie życzy?

- Jeść i spać - odpowiedział wędrowiec.

- Nic łatwiejszego - ciągnął gospodarz. W tej chwili odwrócił głowę, jednym spojrzeniem obrzucił podróżnego i dodał: - Za pieniądze...

Mężczyzna wyjął z kieszeni bluzy dużą sakiewkę skórzaną i odparł:

- Mam pieniądze.

- W takim razie, służę - rzekł gospodarz.

Przybysz schował sakiewkę do kieszeni, zdjął plecak, położył go na ziemi przy drzwiach i z kijem w ręku usiadł na niskiej ławie w pobliżu ognia. Digne leży w górach. Wieczory październikowe są tam chłodne.

Tymczasem gospodarz krzątając się po izbie przypatrywał się podróżnemu.

- Czy prędko będzie obiad? - zapytał nieznajomy.

- Za chwilę - odrzekł gospodarz.

Kiedy nowo przybyły grzał się przy ogniu, odwrócony plecami, zacny oberżysta Jakub Labarre wyjął z kieszeni ołówkę, urwał kawałek starej gazety leżącej na stoliku przy oknie. Na białym marginesie napisał parę linijek, złożył nie pieczętując i oddał świstek chłopcu, który, jak się zdaje, służył mu za kuchcika i lokaja jednocześnie. Oberżysta szepnął mu coś do ucha i chłopak pobiegł pędem do merostwa.

Podróżny nic nie zauważył. Zapytał raz jeszcze:

- Prędko będzie obiad?

- Zaraz - rzekł gospodarz.

Chłopiec powrócił z tym samym świstkiem papieru. Gospodarz rozwinął go z pośpiechem, jak ktoś, kto oczekuje odpowiedzi. Przeczytał go z uwagą, pokiwał głową i zastanowił się chwilę. Wreszcie podszedł do podróżnego, który zdawał się pogrążony w jakiejś niewesołej zadumie.

- Panie - rzekł - nie mogę pana przenocować.

Człowiek zerwał się z ławki.

- Jak to? Boi się pan, że nie zapłacę. Chce pan, żebym zapłacił z góry. Mam pieniądze, powiadam.

- Nie o to chodzi.

- O cóż więc?

- Pan ma pieniądze...

- Mam - rzekł przybyły.

- Ale ja - rzekł gospodarz - nie mam wolnej izby.

Nieznajomy odpowiedział spokojnie:

- Przenocuje mnie pan w stajni.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo stajnia zajęta przez konie.

- No to znajdzie się jakiś kącik na strychu - rzekł nieznajomy - wiązka słomy. Po obiedzie zobaczymy.

- Nie mogę dać panu obiadu.

To oświadczenie, wyrzeczone tonem spokojnym, lecz stanowczym, wydało się nieznajomemu groźne. Wstał.

- Ach, tak! Ale ja umieram z głodu; szedłem od wschodu słońca. Zrobiłem dwanaście mil. Płacę. Chcę jeść.

- Nie mam nic - rzekł gospodarz.

Człowiek wybuchnął śmiechem i obrócił się do komina.

- Nic! A to wszystko?

- To wszystko jest już zamówione.

- Przez kogo?

- Przez panów woźniców.

- Ilu ich jest?

- Dwunastu.

- Tu jest jedzenia na dwadzieścia osób.

- Zamówili wszystko i zapłacili z góry.

Mężczyzna usiadł i rzekł nie podnosząc głosu:

- Jestem w oberży, jestem głodny. Zostaję.

Wówczas gospodarz nachylił się i rzekł mu do ucha tonem, który wędrowca przejął dreszczem:

- Wynoś się stąd!

Podróżny, który był pochylony w tej chwili i końcem okutego kija popychał w głąb ognia parę rozpalonych węgli, odwrócił się szybko i już otwierał usta, aby odpowiedzieć, gdy gospodarz spojrział nań bystro i dodał po cichu:

- No, dość gadania po próżnicy. Chcesz, bym ci powiedział twoje nazwisko? Nazywasz się Jan Valjean. A teraz chcesz, bym ci powiedział, kim jesteś? Jak cię zobaczyłem wchodzącego, domyśliłem się czegoś i posłałem na merostwo; patrz, co mi odpowiedziano. Umiesz czytać?

Mówiąc to rozwinął przed oczyma wędrowca kartkę, która odbyła drogę z oberży do merostwa i z merostwa do oberży. Mężczyzna rzucił na nią okiem. Oberżysta powiedział po chwili milczenia:

- Mam zwyczaj być grzeczny ze wszystkimi. Wynoś się stąd.

Podróżny spuścił głowę, podniósł plecak, który złożył był na ziemi, i wyszedł.

Skręcił w główną ulicę. Szedł przed siebie sam nie wiedząc dokąd, przemykając się pod domami jak człowiek upokorzony i smutny. Nie obejrzał się ani razu. Gdyby się był odwrócił, zobaczyłby właściciela oberży "Pod Krzyżem Kolbasa", który stojąc na progu w otoczeniu podróżnych i przechodniów żywo rozprawiał i pokazywał nań palcem, a z nieufnych i pełnych przerażenia spojrzeń byłby odgadł, że niebawem jego przybycie stanie się

wydarzeniem dla całego miasteczka.

Ale on tego nie widział. Ludzie znękani nie oglądają się za siebie. Wiedzą aż nadto dobrze, że zły los idzie za nimi w trop.

Wędrował tak pewien czas, idąc wciąż przed siebie, krążąc bez celu po nie znanych sobie ulicach, zapominając o zmęczeniu, co zdarza się, gdy człowiek tonie w smutku. Nagle poczuł dojmujący głód. Zbliżała się noc. Rozejrzał się wkoło w poszukiwaniu schronienia.

Piękna gospoda zamknęła przed nim drzwi; szukał jakiejś podłej karczmy, jakiejś nędznej dziury.

Właśnie na końcu ulicy zapaliło się światło; wiecha sosnowa, zawieszona na żelaznym drągu, rysowała się na jasnym tle wieczornego nieba. Poszedł w tę stronę.

Była to rzeczywiście karczma. Karczma przy ulicy Chaffaut.

Podróżny zatrzymał się chwilę i zajrzał przez okno do wnętrza niskiej izby, oświetlonej małą lampką stojącą na stole i wielkim ogniem płonącym na kominie. Kilku mężczyzn piło. Gospodarz grzał się przy ogniu. Coś bulgotało w żelaznym garnku wiszącym na haku nad paleniskiem.

Karczma, będąca także zajazdem, miała dwa wejścia. Jedno wychodziło na ulicę, drugie na pełne gnoju podwórko. Podróżny nie śmiał wejść drzwiami od ulicy; wsunął się na podwórze, zatrzymał raz jeszcze, bojaźliwie ujął za klamkę i pchnął drzwi.

- Kto? - zapytał gospodarz.
- Ktoś, kto potrzebuje wieczerzy i noclegu.
- Prosimy; tu jest i jedno, i drugie.

Wszedł. Ludzie pijący przy stole odwrócili się. Lampa oświetlała go z jednej strony, ogień z drugiej. Przyglądali mu się chwilę, gdy zdejmował plecak.

Gospodarz powiedział do niego:

- Masz ogień. Wieczerza gotuje się w garnku. Chodź i ogrzej się przyjacielu!

Usiadł przy ognisku. Wyciągnął do ognia obolałe nogi. Z garnka zalatywał przyjemny zapach. Spod głęboko naciśniętej czapki można było dostrzec na jego twarzy błogie odprężenie i ów tak przejmujący wyraz, jaki daje nawyk cierpienia.

Profil miał zresztą mocny, energiczny i smutny. Dziwny był układ tej twarzy: zrazu wydawała się pokorna, później okazywała się surowa. Oczy błyskały spod brwi jak ognisko pośród zarośli.

Jeden z siedzących przy stole mężczyzn, handlarz ryb, zanim przyszedł do karczmy przy ulicy Chaffaut, zostawił swego konia w stajni u Labarre'a. Przypadek zaś zdarzył, że z rana spotkał był tego nieznanego o podejrzanym wyglądzie na drodze między Bras d'Asse

a... (zapomniałem nazwy: zdaje się, że Escoublon). Otóż nieznajomy ów, który zdawał się już bardzo zmęczony, prosił, aby handlarz wziął go za siebie na konia; ten za całą odpowiedź zaciął szkapę i puścił się kłusem. Należał on do gromadki otaczającej Jakuba Labarre'a pół godziny temu i sam opowiadał ludziom z oberży "Pod Krzyżem" o przykrym spotkaniu rannym. Nie ruszając się z miejsca skinął nieznacznie na karczmarza. Karczmarz podszedł do niego. Zamienili kilka słów po cichu. Nieznajomy pogрузzył się znowu w zadumie.

Karczmarz powrócił do komina, położył mu nagle rękę na ramieniu i rzekł:

- Idź sobie stąd!

Nieznajomy obejrzał się i rzekł łagodnie:

- A więc wiecie?

- Tak.

- Wypędzono mnie już z tamtej oberży.

- I z tej cię także wypędzają.

- Gdzie mam pójść?

- Gdzie chcesz.

Człowiek wziął kij, plecak i poszedł.

Gdy wychodził, kilkoro dzieci, które szły za nim od oberży "Pod Krzyżem Kolbasa" i, zdaje się, czekały nań, obrzuciły go kamieniami. Zawrócił rozgniewany, grożąc im kijem; dzieciaki rozpierchły się jak stado ptaków.

Przechodził koło więzienia. Przy bramie wisiał żelazny łańcuch przyczepiony do dzwonka. Zadzwoił.

Okienko otworzyło się.

- Panie odźwierny - rzekł zdejmując z uszanowaniem czapkę - czy nie byłby pan łaskaw otworzyć i przyjąć mnie na noc?

Głos odpowiedział:

- Więzienie to nie karczma! Niech cię zaaresztują. Wtedy ci otworzymy.

Okienko zamknęło się.

Wszedł w uliczkę otoczoną ogrodami. Niektóre ogrodzone były tylko żywopłotem, co nadawało ulicy wesoły wygląd. Pośród tych ogrodów i płotów ujrzał jednopiętrowy domek, którego okno było oświetlone. Zajrzał przez to okno, jak zajrzał do karczmy. Zobaczył obszerną, pobieloną izbę; stało w niej łóżko pokryte barwnym perkalem, kilka stołków, w kącie kołyska; na ścianie wisiała dwururka; pośrodku izby był nakryty stół. Miedziana lampa oświetlała grubą serwetę z białego płótna, cynowy dzban pełen wina, który błyszczał jak srebrny, i dymiącą glinianą wazę. Przy stole siedział mężczyzna lat około czterdziestu o

wesołej, otwartej twarzy i huśtał małe dziecko na kolanach. Obok niego młodziutka kobieta karmiła piersią drugie dziecko. Ojciec się śmiał, dziecko się śmiało, matka się uśmiechała.

Ten widok pełen łagodności i spokoju pogrążył na chwilę nieznanego w zadumę. Co się działo w jego duszy? On jeden mógłby na to odpowiedzieć... Prawdopodobnie pomyślał, że ten pogodny dom okaże się gościnnie i że tam, gdzie widzi tak wiele szczęścia, znajdzie może odrobinę litości.

Lekko zapukał w szybę.

Nikt go nie usłyszał.

Zastukał po raz drugi.

Usłyszał, jak kobieta rzekła:

- Mężu, zdaje się, ktoś stuka.

- Nie - odpowiedział mąż.

Zastukał po raz trzeci.

Mąż wstał, wziął lampę do ręki, poszedł do drzwi i otworzył.

Był to wysoki mężczyzna, pół-wieśniak, pół-rzemieślnik. Miał na sobie obszerny skórzany fartuch sięgający lewego ramienia; młotek, czerwona chustka, rozek z prochem i inne drobiazgi, zatknięte za pasek, sterczały jak z kieszeni. Przechylił w tył głowę, z otwartej koszuli wychylała się naga i biała szyja, mocna jak u bawołu. Miał gęste brwi, ogromne, czarne faworyty, wyłupiaste oczy, szczękę wysuniętą naprzód i ową nie dającą się opisać minę człowieka, który czuje, że jest u siebie.

- Przepraszam bardzo - rzekł podróżny - czy moglibyście za zapłatą dać mi talerz zupy i kącik do przespania się w tej szopie w ogrodzie? Powiedzcie, czy moglibyście? Za zapłatą?

- Kto pan jesteś? - zapytał gospodarz.

Podróżny odpowiedział:

- Idę z Puy-Moisson. Szedłem cały dzień. Zrobiłem dwanaście mil. Czy moglibyście?

Za zapłatą?

- Nie odmówiłbym - rzekł wieśniak - przyjęcia na noc uczciwego człowieka, gdyby zapłacił. Ale dlaczego nie idzie pan do oberży?

- Nie ma miejsca.

- Ech, to niemożliwe. Dziś nie ma ani jarmarku, ani targu. Byliście u Labarre'a?

- Byłem.

- I cóż?

Podróżny odpowiedział z zakłopotaniem:

- Nie wiem, nie przyjął mnie.

- A u tego drugiego przy ulicy Chaffaut byliście także?

Zakłopotanie nieznajomego wzrastało. Wybąkał:

- I ten mnie nie przyjął.

Twarz wieśniaka przybrała wyraz nieufności, zmierzył oczyma nowo przybyłego od stóp do głów i nagle zawołał z drzeniem w głosie:

- A może ty jesteś tym człowiekiem?...

Znowu spojrzął na nieznajomego, cofnął się o trzy kroki, postawił lampę na stole i zdjął dubeltówkę ze ściany.

Na okrzyk wieśniaka: "Może ty jesteś tym człowiekiem...", kobieta podniosła się, chwyciła w objęcia oboje dzieci, skryła się co tchu za męża i przerażona, z obnażoną piersią patrzyła błędnymi oczyma na nieznajomego szepcząc:

- O Jezu! To ten zbój!

Wszystko to trwało krócej, niż można sobie wyobrazić. Popatrzawszy kilka chwil na "tego człowieka", tak jak się patrzy na zmiję, gospodarz wrócił do drzwi i rzekł:

- Precz!

- Przez litość - błagał człowiek - dajcie szklanekę wody!

- Kulę w łeb! - odpowiedział wieśniak.

Potem gwałtownie zatrzaskał drzwi; wędrowiec słyszał, jak zamykał je na dwa spusty. Po chwili okiennice zawarły się i rozległ się stuk zakładanej żelaznej sztaby.

Noc zapadała. Od Alp wiał zimny wiatr. Przy świetle zamierającego dnia nieznajomy ujrzał w jednym z ogrodów, otaczających ulicę, budkę - jak mu się zdawało - skleconą z darni. Bez namysłu przeskoczył drewniany płot i znalazł się w ogrodzie. Zbliżył się do budki; zamiast drzwi miała wąski, bardzo niski otwór i podobna była do owych szałasów, które stawiają sobie dróżnicy przy gościńcach. Pomyślał zapewne, że jest to istotnie budka dróżnika; dokuczało mu zimno i głód. Pogodził się z głodem, lecz tu znajdował przynajmniej schronienie przed zimnem. Takie budki nie bywają zazwyczaj zajęte w nocy. Położył się na brzuchu i wśliznął do środka. Było tam ciepło, znalazł nawet wcale niezłe posłanie ze słomy. Przez pewien czas leżał na tym legowisku, niezdolny ze zmęczenia do najmniejszego ruchu. Po chwili, ponieważ zawadzał mu plecak, który zresztą znakomicie mógł służyć za poduszkę, zaczął odpinać rzemień. Wtem rozległo się gniewne warczenie. Podniósł się. W otworze budki ukazał się w mroku łeb ogromnego brytana.

Była to buda psa.

Nieznajomy był silnym i groźnym przeciwnikiem; uzbroił się w kij, plecakiem osłonił jak tarczą i jakoś wydobył się z budy, rozdzierając na sobie jeszcze bardziej łachmany.

W ten sam sposób wydostał się z ogrodu: cofał się tyłem i aby utrzymać brytana w należytej odległości, puścił kij w ruch, który fecht mistrze nazywają "młyńcem".

Kiedy nie bez trudu przelazł przez płot i znalazł się na ulicy sam, bez przytułku, bez dachu nad głową, wygnany nawet z tego legowiska ze słomy i z tej nędznej budy - padł raczej, niż usiadł na kamień, i podobno jakiś przechodzień usłyszał jego okrzyk: "Ach, więc nawet nie jestem psem!"

Podniósł się wkrótce i znów zaczął swą wędrówkę. Wyszedł za miasto myśląc, że znajdzie jakieś drzewo lub stóg w polu, aby się schronić.

Szedł tak jakiś czas ze spuszczoną wciąż głową. Gdy poczuł, że znajduje się już daleko od ludzkich osiedli, podniósł oczy i rozejrzał się dokoła. Był w polu; przed nim wznosiło się jedno z tych niskich wzgórz pokrytych rżyskiem, które po zniwach przypominają krótko ostrzyżone głowy.

Widnokrąg był zupełnie czarny; okrywał go nie tylko mrok nocy; niskie chmury opierały się jak gdyby o pagórek i wznosiły powoli, zasnuwając całe niebo. Ponieważ zaś księżyc miał niebawem wzejść i u zenitu drgały jeszcze resztki dziennego światła, chmury te tworzyły w górze coś w rodzaju białawego sklepienia, z którego sączyło się na ziemię blade światło.

Ziemia była zatem bardziej oświetlona niż niebo, co sprawia szczególnie przykre wrażenie; mdły i nikły, szarawy kontur pagórka majaczył niewyraźnie na tle ciemniejszego widnokregu. Cały ten widok był ohydny, ciasny, ponury i zamknięty. Na polu i na pagórku nic prócz koślawego drzewa, które wyginało się, wstrząsane dreszczem, o kilka kroków od podróznego.

Człowiek ten był oczywiście bardzo daleki od subtelnych nawyków umysłu i ducha, dzięki którym jesteśmy wrażliwi na tajemniczy wygląd rzeczy; a jednak w tym niebie, w tym wzgórzu, w tej równinie i w tym drzewie było coś tak głęboko rozpaczliwego, że postawszy chwilę bez ruchu, w zadumie, wędrowiec zawrócił nagle ku miastu. Są chwile, w których przyroda wydaje nam się wroga.

Wrócił tą samą drogą. Bramy były zamknięte. Miasto Digne, które podczas wojen religijnych przetrzymało kilka oblężeń, jeszcze w roku 1815 było otoczone starymi murami z kwadratowymi narożnymi wieżycami, które potem zburzono. Nieznajomy prześliznął się przez wyłom i wszedł do miasta.

Mogła być godzina ósma wieczór. Nie znając miasta zaczął znów błąkać się bez celu.

Tak doszedł do prefektury, potem do seminarium. Przechodząc przez plac katedralny, pogroził pięścią kościołowi.

Na jednym rogu tego placu jest drukarnia. Tam to po raz pierwszy wydrukowano proklamacje cesarza i gwardii cesarskiej do armii, przywiezione z wyspy Elby a dyktowane przez samego Napoleona.

Wyczerpany znużeniem i niczego się już nie spodziewając, wędrowiec położył się na ławie kamiennej przy wejściu do drukarni.

Jakaś staruszka wychodziła właśnie z kościoła. Zobaczyła człowieka leżącego w cieniu.

- Co tu robicie, przyjacielu? - zapytała.

Odpowiedział jej opryskliwie, ze złością:

- Widzisz przecie, moja dobra paniusiu, kładę się spać.

“Dobra paniusia”, w istocie godna tej nazwy, była margrabiną de R.

- Na tej ławie? - zapytała.

- Przez dziewiętnaście lat miałem materac z desek odparł nieznajomy - dziś mam materac z kamienia.

- Byliście w wojsku?

- Tak, paniusiu, w wojsku.

- Dlaczego nie pójdziecie do oberży?

- Bo nie mam pieniędzy.

- Niestety - rzekła pani de R. - mam w woreczku tylko cztery su.

- Daj pani i to.

Wziął cztery su. Pani R. ciągnęła:

- Za tych parę groszy nie dostaniecie miejsca w zajeździe. Ale czyście próbowali gdzieś przenocować? Niepodobna tak spędzić nocy. Zapewne zimno wam i jesteście głodni. Może by was kto przyjął z dobrego serca?

- Stukałem do wszystkich drzwi.

- I cóż?

- Wszędzie mnie odpędzono.

“Dobra paniusia” dotknęła ramienia wędrowca i wskazała mu niski domek po drugiej stronie placu, obok pałacu biskupiego.

- Stukaliście - powtórzyła - do wszystkich drzwi?

- Tak.

- A do tych również?

- Nie.

- No to zastukajcie tam.

## II

### **Roztropność zalecana mądrości**

Tego wieczoru, wróciwszy z przechadzki po mieście, biskup Digne siedział do późna w swoim pokoju. Pracował nad wielkim dziełem "O obowiązkach", które niestety nie zostało ukończone. Starannie analizował wszystko, co ojcowie i doktorowie Kościoła powiedzieli o tym ważnym przedmiocie. Książka jego dzieliła się na dwie części: pierwsza zawierała obowiązki wszystkich ludzi, druga - obowiązki człowieka zależne od jego stanu. Obowiązki wspólne wszystkim ludziom są to obowiązki podstawowe. Jest ich cztery; wymienia je św. Mateusz: obowiązki względem Boga (Mt., VI), obowiązki względem siebie samego (Mt., V, 29, 30), obowiązki względem bliźniego (Mt., VII, 12) i obowiązki względem stworzeń (Mt., VI, 20, 25). Wskazówki i przepisy dotyczące innych obowiązków biskup znalazł gdzie indziej; obowiązki panujących i poddanych w "Liście do Rzymian"; urzędników, żon matek i młodzieńców u św. Piotra; mężów, ojców, dzieci i sług w "Liście do Efezjan"; obowiązki wiernych w "Liście do Hebrajczyków"; wreszcie obowiązki dziewic - w "Liście do Koryntian". Ze wszystkich tych przepisów pracowicie układał harmonijną całość dla pożytku dusz.

Pracował jeszcze o ósmej wieczór; pisał w pozycji dość niewygodnej, na małych ćwiartkach papieru, trzymając grubą księgę otwartą na kolanach, gdy weszła pani Magloire, aby zgodnie ze swoim zwyczajem zabrać srebro stołowe z szafki nad łóżkiem. Po chwili biskup domyślając się, że już nakryto do stołu i że siostra prawdopodobnie na niego czeka, zamknął księgę, wstał od biurka i wszedł do jadalni.

Był to długi pokój z kominkiem; drzwi wychodziły wprost na ulicę (jak to już powiedzieliśmy), okno zaś na ogród.

Pani Magloire rzeczywiście kończyła już nakrywać do stołu.

Krzążąc się rozmawiała z panną Baptistyną.

Lampa stała na stole; stół stał w pobliżu kominka. Spory ogień płonął na kominku.

Łatwo można sobie wyobrazić obie kobiety, z których każda przekroczyła już sześćdziesiątkę: pani Magloire niska, zażywna, ruchliwa; panna Baptistyną łagodna, szczupła, wątła, nieco wyższa od brata, ubrana w ciemnobrązową jedwabną suknię według mody z roku 1806, wtedy to bowiem kupiła ją w Paryżu i nosiła dotychczas. Sięgając do

pospolitych określeń, które mają tę zaletę, iż w jednym słowie oddają to, co wymagałoby opisów na całą stronę, powiemy, że pani Magloire wyglądała jak wieśniaczka, panna Baptistyną zaś jak dama. Pani Magloire miała na głowie biały rurkowany czepek na szyi złoty krzyżyk - jedyny klejnot niewieści w całym domu - olśniewająco białą chusteczkę wychodzącą spod sukni z czarnego grubego sukna z krótkimi i szerokimi rękawami, płócienny fartuch w czerwono-zieloną kratę, związany zieloną wstążką w pasie, z takimże karczkiem, w dwóch rogach przypiętym szpilkami, na nogach grube trzewiki i żółte pończochy, jakie noszą kobiety w Marsylii. Suknia panny Baptistyny skrojona była według mody 1806 roku: wysoki stan, wąska spódnica, rękawy ozdobione wypustkami i guziczkami. Siwe włosy ukrywała pod fryzowaną peruką, zwaną d l 'enfant. Pani Magloire wyglądała na osobę rozumną, żwawą i zacną; nierówno podniesione kąciki ust i górna warga grubsza od dolnej nadawały jej twarzy wyraz nieco nadąsany i władczy. Póki biskup milczał, przemawiała do niego śmiało, swobodnie, choć z uszanowaniem; ale gdy tylko zaczął mówić, była - jak to już widzieliśmy - biernie posłuszna, tak jak "panienka". Panna Baptistyna nie mówiła nawet, ograniczając się do posłuszeństwa i przypodobania bratu. Nawet w młodości nie była ładna; miała wypukłe niebieskie oczy, długi nos z garbkiem; ale jak powiedzieliśmy na początku, cała jej twarz, cała postać tchnęła niewymowną dobrocią. Z usposobienia była zawsze łagodna; ale wiara, miłość i nadzieja, trzy cnoty ogrzewające delikatnym ciepłem duszę, podniosły tę łagodność do wyżyn świętości. Natura uczyniła ją jagnięciem, religia przekształciła ją w anioła. Biedna, święta dziewico! Słodkie wspomnienie, którego już nie ma.

Panna Baptistyna tyle razy opowiadała później, co zaszło w ów wieczór w mieszkaniu biskupa, że wiele osób, żyjących dziś jeszcze, pamięta najdrobniejsze szczegóły.

W chwili gdy do pokoju wszedł ksiądz biskup, pani Magloire żywo rozprawiała. Mówiła z "panienką" na swój ulubiony temat, dobrze znany biskupowi. Chodziło o zamek do drzwi wejściowych.

Robiąc zakupy do wieczery, pani Magloire tu i ówdzie zastała podobno to i owo. Opowiadano o jakimś podejrzanym włóczędze; że pojawił się jakiś obwieś, że gdzieś się jeszcze błąka po mieście; że tych, którzy tej nocy będą późno wracali do domu, może dziś na drodze spotkać zła przygoda; że zresztą policja jest bardzo nieudolna, bo pan prefekt i pan mer żyją ze sobą nie najlepiej i usiłują szkodzić sobie wzajemnie, dopuszczając do różnych zająć. Że ludzie roztropni muszą sami dbać o swoje bezpieczeństwo, strzec się dobrze, pamiętać, aby należycie zaryglować i zabarykadować dom i dobrze pozamykać drzwi.

Pani Magloire z naciskiem wymówiła ostatnie wyrazy; ale biskup, który przyszedł ze

swego pokoju, gdzie było dość zimno, usiadł przed kominkiem i grzał się, a poza tym myślał o czym innym. Puścił więc mimo uszu ważkie słowa pani Magloire. Powtórzyła je raz jeszcze. Wtedy panna Baptistyna, żeby zadowolić panią Magloire nie sprawiając zarazem przykrości bratu, odważyła się odezwać nieśmiało:

- Czy słyszysz, bracie, co mówi pani Magloire?

- Coś niecoś słyszałem - odpowiedział biskup.

Potem odwróciwszy się w jej stronę razem z krzesłem i kładąc obie ręce na kolanach, podniósł ku starej słudze twarz serdeczną i pogodną, oświetloną z dołu przez ogień:

- No, cóż tam takiego? Co takiego? Grozi nam jakieś wielkie niebezpieczeństwo?

Wtedy pani Magloire rozpoczęła na nowo całą historię, bezwiednie wpadając w lekką przesadę. Podobno jakiś Cygan, jakiś obdartus czy podejrzany żebrak błąka się po mieście. Chciał przenocować u Jakuba Labarre, ale oberżysta go nie przyjął. Widziano, jak wchodził przez bulwar Gassendi i o zmroku krążył po ulicach. Człek spod ciemnej gwiazdy, z przerażającą twarzą!

- Doprawdy? - zapytał biskup.

Pytanie to ośmieliło panią Magloire; wskazywało, jej zdaniem, że biskup gotów się zaniepokoić; mówiła dalej z triumfem:

- A tak, wasza wysokość. Nie inaczej! Tej nocy będzie jakieś nieszczęście w mieście. Wszyscy to mówią. A do tego policja jest tak niedołączna (pożyteczne powtórzenie). Mieszkamy w kraju górzystym i nie mamy nawet latarni w nocy na ulicach! Wychodzisz: ciemno, choć oko wykol! Powiadam waszej wysokości i panienka mówi to samo, że...

- Ja nic nie mówię - przerwała siostra. - Cokolwiek czyni mój brat, jest słuszne.

Pani Magloire mówiła dalej, jakby nie słyszała protestu:

- Powiadamy tedy, że ten dom wcale nie jest zabezpieczony, i jeżeli wasza wysokość pozwoli, pójde po Pawła Musebois, ślusarza, i powiem mu, żeby założył stare zamki i zasuwę do drzwi; są w domu, będzie mógł zrobić to w jednej chwili; a potrzebne są koniecznie, choćby na tę noc tylko; bo powiadam, nic okropniejszego nad drzwi, które pierwszy lepszy z ulicy może otworzyć; zwłaszcza że wasza wysokość ma zwyczaj mówić zawsze: proszę! A zresztą, mój Boże, nikt nie potrzebuje w nocy prosić o pozwolenie.

W tej chwili ktoś gwałtownie zastukał do drzwi.

- Proszę - rzekł biskup.

### III

#### **Bohaterstwo biernego posłuszeństwa**

Drzwi otworzyły się.

Otworzyły się gwałtownie, na oścież, jak gdyby ktoś je pchnął energicznie i z determinacją.

Wszedł jakiś człowiek.

Tego człowieka znamy już. Był to ów podróżny, którego widzieliśmy przed chwilą, bląkającego się w poszukiwaniu schronienia.

Człowiek wszedł, zrobił krok naprzód i zatrzymał się zostawiając za sobą drzwi otwarte. Na plecach dźwigał plecak, w ręku kij, wyraz oczu miał twardy, zuchwały, gwałtowny zarazem. Ogień z kominka oświetlał go. Był ohydny. Było to złowrogie widmo.

Pani Magloire nie miała nawet siły wydać krzyku. Zadrżała i znieruchomiała z otwartymi ustami.

Panna Baptistyna odwróciła się, ujrzała wchodzącego i z przerażeniem uniosła się nieco, później zaś, zwracając z wolna głowę ku kominkowi, spojrzała na brata i twarz jej stała się na powrót pogodna i jasna.

Biskup utkwiał w przybyszu spokojne spojrzenie.

Gdy otwierał usta, zapewne, by zapytać przybyłego, czego sobie życzy, człowiek wsparł obie ręce na kiju, powiódł wzrokiem kolejno po starcu i kobietach i nie czekając na słowa biskupa rzekł donośnym głosem:

- A więc... nazywam się Jan Valjean. Jestem galernikiem. Dziewiętnaście lat byłem w katordze! Przed czterema dniami zwolniono mnie; jestem w drodze do Pontarlier, dokąd mnie skierowano. Idę cztery dni z Tulonu. Dziś zrobiłem dwanaście mil pieszo. Wieczorem przybyłem w te strony i wstąpiłem do oberży; odprawiono mnie z powodu żółtego paszportu, który pokazałem w merostwie. Musiałem to zrobić. Poszedłem do innej oberży. Powiedziano mi: "Idź precz!" Byłem tu i tam. Nikt nie chciał mnie przyjąć. Zaszedłem do więzienia, odźwierny nie chciał mi otworzyć. Włazłem do psiej budy. Pies ugryzł mnie i wypędził, jak gdyby był człowiekiem; jak gdyby wiedział, kim jestem. Poszedłem w pole spędzić noc pod gołym niebem; niebo się zachmurzyło. Pomyślałem, że będzie padał deszcz, że nie ma Boga, który by mu zakazał padać, i wróciłem do miasta poszukać jakiejś wnęki przy bramie. Tam na

placu chciałem się ułożyć na kamieniu. Jakaś kobiecina pokazała mi wasz dom i powiedziała: “Zastukajcie tam”. Zastukałem. Co tu jest? Czy to oberża? Mam pieniądze, mam moją płacę: sto dziewięć franków, piętnaście su, które zarobiłem na galerach przez dziewiętnaście lat pracy. Zapłacę. Nie zależy mi na tym! Mam pieniądze. Jestem bardzo zmęczony, zrobiłem dwanaście mil pieszko, jestem głodny. Czy pozwolicie mi zostać?

- Pani Magloire - powiedział biskup - proszę postawić jeszcze jedno nakrycie.

Człowiek postąpił trzy kroki i zbliżył się do lampy stojącej na stole.

- Słuchajcie! - mówił dalej, jakby niedobrze zrozumiał. - Czyście mnie dobrze słyszeli? Jestem galernikiem. Kajdaniarzem! Wracam z galer!

Wyjął z kieszeni wielki arkusz żółtego papieru i rozwinął go.

- Oto mój paszport. Żółty, jak widzicie. Służy do tego, aby mnie zewsząd wypędzano. Chcecie przeczytać? Ja umiem czytać. Nauczyłem się w więzieniu. Jest tam szkoła dla tych, co chcą się uczyć. Patrzcie, co napisano w paszporcie: “Jan Valjean, galernik, zwolniony, rodem z... - to was zresztą nie obchodzi... - Był dziewiętnaście lat na galerach. Pięć za kradzież z włamaniem. Czternaście za czterokrotne usiłowanie ucieczki. Człowiek bardzo niebezpieczny”. Słyszycie? Wszyscy mnie wyrzucają za drzwi. A wy chcecie mnie przyjąć? Czy to oberża? Dacie mi zjeść i przespać się? Czy macie stajnię?

- Pani Magloire - rzekł biskup - niech pani położy świeże prześcieradło na łóżku w alkowie.

Wyjaśniliśmy już charakter posłuszeństwa obu kobiet. Pani Magloire wyszła, aby wykonać polecenie.

Biskup obrócił się do przybyłego:

- Niech pan spocznie i ogrzeje się trochę. Za chwilę podadzą do stołu, a zanim zjemy kolację, pościelą panu łóżko.

Tym razem człowiek zrozumiał. Twarz jego dotychczas ponura i surowa przybrała wyraz zdumienia, powątpiewania, radości i stała się niezwykła. Zaczął bełkotać jak szaleniec:

- Co? Jak to? Doprawdy? Przyjmiecie mnie? Nie wypędzicie mnie? Kajdaniarza? Mówicie do mnie “pan”! Nie mówicie: “Idź precz, ty psie” - jak mówią mi zawsze? Byłem pewny, że mnie wypędzicie. Dlatego od razu powiedziałem, kto jestem. Co to za pocziwa kobieta mnie tu skierowała! Zjem kolację! Będę miał łóżko! Łóżko z materacem i prześcieradłem! Jak wszyscy! Od dziewiętnastu lat nie spałem w łóżku! Pozwalacie, żebym został! Zacni z was ludzie! Zresztą mam pieniądze: dobrze zapłacę. Z przeproszeniem, panie oberżysto, jak godność pańska? Zapłacę, ile zechcecie. Zacny z pana człowiek. Pan jesteś oberżystą? Nieprawdaż?

- Jestem - rzekł biskup - kapłanem, który tu mieszka.

- Kapłanem! - powtórzył człowiek. - O! Dobry człowiek z księdza! A więc nie żąda ksiądz ode mnie pieniędzy? Ksiądz jest proboszczem, tak? Proboszczem tego wielkiego kościoła? Ach, prawda, co za głupiec ze mnie, nie zauważyłem księżej piuski!

Tak mówiąc złożył plecak i kij w kącie, schował paszport do kieszeni i usiadł. Baptistyna patrzyła nań łagodnie. Mówił dalej:

- Ksiądz jest ludzki, księżo proboszczu. Nie pogardza ksiądz ludźmi. Piękna to rzecz - zacny ksiądz. A więc nie potrzebuje ksiądz zapłaty?

- Nie - rzekł biskup. - Niech pan schowa pieniądze. Ile ich pan ma? Mówił pan - zdaje się - że sto dziewięć franków.

- I piętnaście su - dodał Jan Valjean.

- Sto dziewięć franków i piętnaście su. A ile czasu potrzebował pan, by je zarobić?

- Dziewiętnaście lat!

- Dziewiętnaście lat.

Biskup ciężko westchnął. Mężczyzna mówił dalej:

- Mam jeszcze wszystkie pieniądze. Przez cztery dni wydałem tylko dwadzieścia pięć su, które zarobiłem w Grasse pomagając wyładowywać towary. Ponieważ jest pan księdzem, powiem, że mieliśmy kapelana na galerach. Pewnego dnia widziałem też biskupa. Ekscelecja - tak go nazywają. Był to biskup z katedry Marii Panny w Marsylii. Biskup to taki proboszcz nad proboszczami. Ksiądz zresztą wie, przepraszam! Tak głupio mówię, ale dla mnie to takie dalekie. Rozumie ksiądz, dla takich jak my... Biskup u nas na galerach odprawiał mszę przy ołtarzu, a miał na głowie coś takiego wysokiego i spiczastego ze złota. W południe na słońcu to błyszczało. Staliśmy z trzech stron, ustawieni w szeregi, naprzeciw nas armaty z zapalonymi lontami. Niedobrześmy widzieli. Biskup coś mówił, ale stał za daleko od nas, nie słyszeliśmy. Otóż to jest biskup!

Gdy to mówił, biskup poszedł zamknąć drzwi, które zostały otwarte na oścież.

Pani Magloire wróciła. Niosła nakrycie, które ustawiła na stole.

- Pani Magloire - rzekł biskup - proszę przysunąć to nakrycie jak najbliżej ognia. - I odwracając się do gościa, dodał: - Nocny wiatr ostry jest w Alpach. Pewno panu zimno.

Ilekoć biskup wymówił słowo "pan" głosem łagodnym, poważnym i przyjaznym, twarz mężczyzny rozjaśniała się. Powiedzieć "panie" więźniowi z galer to podać szklanekę wody rozbitkowi z "Meduzy"\* . Upodlenie łaknie szacunku.

---

\* "Meduza" - wojenny statek francuski, który zatonął w lipcu 1816 r. w odległości 40 mil od zachodniego wybrzeża Afryki; ze stu dziesięciu rozbitków uratowało się tylko jedenastu.

- Ta lampa - powiedział biskup - bardzo słabo świeci.

Pani Magloire zrozumiała; wzięła srebrne lichtarze z kominka w sypialnym pokoju i zapaliwszy świece postawiła je na stole.

- Ksiądz jest dobry, księżę proboszczu - rzekł człowiek. - Ksiądz mną nie gardzi. Ksiądz przyjmuje mnie u siebie. Ksiądz zapala dla mnie świece. A przecież nie ukryłem, skąd przychodzę, i że jestem nieszczęśliwym człowiekiem.

Biskup siedzący przy nim dotknął lekko jego ręki:

- Mógł mi pan nie mówić, kim pan jest. To nie mój dom, to dom Chrystusa. Drzwi te nie pytają wchodzącego o imię, ale o to, czy cierpi. Pan jest nieszczęśliwy, spragniony i głodny; witamy cię całym sercem. I niech mi pan nie dziękuje ani nie mówi, że go przyjmuję u siebie. Nikt tu nie jest u siebie prócz tego, kto potrzebuje schronienia. Mówię to panu, przechodniowi, jesteś tu bardziej u siebie niż ja sam. Wszystko, co się tu znajduje, należy do pana. Po co mi pańskie nazwisko? Zresztą nim je pan powiedział, już wiedziałem, jak się pan nazywa.

Człowiek otworzył zdumione oczy:

- Doprawdy? Wiedział ksiądz, jak się nazywam?

- Tak - odpowiedział biskup - nazywa się pan moim bratem.

- Ach, księżę proboszczu - zawołał człowiek - gdym tu przyszedł, byłem bardzo głodny, ale ksiądz jest tak dobry, że teraz sam nie wiem, co mi jest. Głód minął.

Biskup spojrział na niego i zapytał:

- Bardzo pan cierpiał?

- O! Czerwona kurta, kula u nogi, deska za posłanie, skwar, zimno, ciężka praca, loch, kije. Podwójny łańcuch za byle co, karcer za jedno słówko. Nawet w czasie choroby w łóżku żelazny łańcuch. Psy, psy są szczęśliwsze. Dziewiętnaście lat! A mam lat czterdzieści sześć! Teraz żółty paszport. Tak!

- Tak - powiedział biskup - wraca pan z miejsca niedoli. Posłuchaj! Więcej radości będzie w niebie na widok zalanej łzami twarzy jednego skruszonego grzesznika niż z białej szaty stu sprawiedliwych. Jeżeli opuścił pan to miejsce bóleści z nienawiścią i gniewem do ludzi, jest pan godzien litości; jeżeli opuścił pan je z życzliwością, wyrozumiałością i spokojem, więcej pan jest wart od każdego z nas.

Tymczasem pani Magloire podała do stołu: zupę na wodzie z oliwą, chlebem i solą; kawałek słoniny, kawałek baraniny, figi, biały ser i bochenek razowego chleba. Do zwykłej wieczerzy dodała jeszcze z własnej inicjatywy butelkę starego wina.

Twarz biskupa przybrała nagle wyraz wesołości, właściwej ludziom gościnnym.

- Do stołu - zawołał żywo.

Nieznajomego posadził po prawej swojej ręce, jak zwykł był sadzać gości przy kolacji. Panna Baptistyna, całkowicie spokojna i naturalna, zajęła miejsce po lewej.

Biskup odmówił benedicite, potem, według swego zwyczaju, sam nalał zupę. Nieznajomy chciwie zabrał się do jedzenia.

Nagle biskup powiedział:

- Zdaje mi się, że czegoś brak na stole.

Pani Magloire w istocie położyła tylko trzy niezbędne nakrycia. Było zaś zwyczajem domu, że gdy ksiądz biskup miał kogo na wieczerzy, kładziono na obrusie sześć nakryć srebrnych; niewinny objaw próżności! Wdzięczny ten pozór zbytku był pełną uroku dziecinadą w tym cichym i surowym domu, który podnosił ubóstwo aż do dostojęstwa.

Pani Magloire zrozumiała uwagę, wyszła bez słowa i po chwili trzy srebrne nakrycia, o które upomniał się biskup, błyszczały na obrusie, symetrycznie ułożone przed każdym z trzech biesiadników.

## IV

### **Kilka szczegółów o serowarniach w Pontarlier**

Teraz, aby dać wyobrażenie o tym, co działo się przy stole, najlepiej zrobimy przepisując tu urywek listu panny Baptistyny do pani Boischevron, w którym rozmowa galernika z biskupem opowiedziana jest z naiwną drobiazgowością...

*...Człowiek ten nie zwracał na nikogo uwagi. Jadł żarłocznie jak ktoś wygłodniały. Po zupie powiedział:*

*- Księżę proboszczu, zapewne, wszystko to jest jeszcze zbyt dobre dla mnie; muszę jednak powiedzieć, że woźnice, którzy nie chcieli mi pozwolić jeść ze sobą, jadają lepiej niż ksiądz proboszcz.*

*Mówiąc między nami, ta uwaga nieco mnie dotknęła. Brat mój odpowiedział:*

*- Oni pracują ciężiej ode mnie.*

*- Nie - odparł ten człowiek - mają więcej pieniędzy. Ksiądz jest biedny. Widzę to. Może ksiądz nawet nie jest proboszczem? Czy aby ksiądz jest proboszczem? Ach, doprawdy, gdyby Pan Bóg był sprawiedliwy, to ksiądz powinien być proboszczem!*

*- Pan Bóg jest więcej niż sprawiedliwy - odpowiedział mój brat.*

*I po chwili dodał:*

*- Panie Valjean, pan idzie do Pontarlier?*

*- Mam przymusową marszrutę.*

*Zdaje mi się, że tak właśnie powiedział. Później mówił dalej:*

*- Jutro skoro świt muszę być już w drodze. Ciężka to droga. Noce są zimne, ale dni upalne.*

*- Udaje się pan - odparł mój brat - w dobrą okolicę. W czasie rewolucji, gdy rodzina moja wszystko straciła, schroniłem się początkowo do Franche-Comté, gdzie przez pewien czas utrzymywałem się z pracy rąk. Nie brakło mi dobrej woli. Znalazłem zajęcie. Jest w czym wybierać. Są tam papiernie, garbarnie, destylarnie, olejarnie, wielkie fabryki zegarów, odlewnie stali, miedzi, ze dwadzieścia co najmniej hut żelaznych, z których cztery - w Lods, Chétillon, Audincourt i w Beure, są bardzo znane.*

*Jak mi się zdaje, nie pomyliłam się w nazwach, które brat wymienił; później przerwał*

*opowiadanie i zwrócił się do mnie.*

*- Kochana siostró - rzekł - mamy, zdaje się, krewnych w tamtej okolicy?*

*Odpowiedziałam:*

*- Owszem, mieliśmy; między innymi mieszkał tam pan de Lucenet, który był dowódcą straży miejskiej w Pontarlier za dawnych rządów.*

*- A tak - ciągnął brat - ale w 93 roku nie miało się już krewnych, miało się tylko własne dziesięć palców. Pracowałem. W okolicy Pontarlier, dokąd się pan udaje, panie Valjean, istnieje przemysł pełen patriarchalnego uroku, droga siostró. Są to fabryki serów.*

*I brat mój, nie przestając zachęcać owego człowieka do jedzenia, opowiedział mi szczegółowo o serowarniach w Pontarlier; rozróżnia się dwa ich rodzaje: "wielkie serownie", należące do bogatych, gdzie jest czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt krów, które dają siedem do ośmiu tysięcy serów podczas lata, i "serownie zrzeszone", należące do biednych wieśniaków z podgórza, którzy wspólnie utrzymują krowy i dzielą się produktami. Najmują fabrykanta serów, którego nazywają "serowarem" i który bierze trzy razy dziennie mleko od stowarzyszonych i karbuje jego ilość; pod koniec kwietnia rozpoczyna się robota w serowniach, w połowie czerwca serowar wyprowadza krowy w góry.*

*Nieznamy ożywił się, w miarę jak jadł. Brat dolewał mu tego dobrego wina Mauves, którego sam nie pija, utrzymując, że jest bardzo drogie. Brat opowiadał mi te szczegóły ze znaną Pani niewymuszoną wesołością, wtrącając gdzieś uprzejmie słówko do mnie. Często wracał w opowiadaniu do szczęśliwego zawodu "serowara", jak gdyby chciał dać temu człowiekowi do zrozumienia, nie udzielając mi wszakże wprost rad bezpośrednich, że znalazłby tam schronienie. Jedna rzecz mnie uderzyła. Człowiek ten był taki, jak Pani mówiłam. A przecież brat mój w czasie kolacji i przez cały wieczór, z wyjątkiem kilku słów o Chrystusie wyrzeczonych zaraz na początku, nie powiedział nic, co by przypominało temu człowiekowi, kim jest, ani też uświadomiło mu, kim jest mój brat. Zdawać by się mogło, że nastęrczała się dobra sposobność do wygłoszenia kazania, aby galernik odczuł, że mówi z biskupem, i aby pozostał ślad tego spotkania. Każdy inny może by sądził, że mając tego nieszczęśnika pod ręką, należało jednocześnie nakarmić jego duszę - nie tylko ciało - i zrobić mu trochę wyrzutów zaprawionych moralami i dobrymi radami lub też okazać współczucie, a zarazem upomnieć, aby się lepiej prowadził w przyszłości. Brat mój nie zapytał go nawet, skąd pochodzi i jaka była jego przeszłość. W przeszłości bowiem tkwił jego występki, a brat zdawał się unikać wszystkiego, co by mu go mogło przypomnieć. Tak dalece, że mówiąc w pewnej chwili o góralach z Pontarlier, którzy mają wdzięczną pracę blisko nieba i, jak dodał, są szczęśliwi, bo niewinni, nagle zamilkł, jakby obawiając się, że słowo, które mu*

się wyrwało, mogło zadrasnąć tego człowieka. Zastanawiając się nad tym, rozumiałam chyba, co się działo w sercu mego brata. Myślał niewątpliwie, że człowiek, ten, który nazywa się Jan Valjean, aż nazbyt miał przytomną w myśli swoją nędzę i że lepiej było dać mu o niej zapomnieć, postępując z nim jak z równym sobie, aby uwierzył, bodaj na chwilę, że jest takim samym człowiekiem jak inni. W istocie, czyż nie na tym polega dobrze zrozumiane miłosierdzie? Czyż nie jest to, droga Pani, prawdziwie ewangeliczna delikatność, która unika morałów, strofowań i przymówek, i czy nie najlepszym miłosierdziem względem człowieka, który ma jakąś bolesną ranę, jest nie tykać jej wcale? Zdawało mi się, że taka była ukryta myśl mego brata. W każdym razie mogę powiedzieć, że jeśli tak myślał, to wcale tego nie dal poznać, nawet mnie; przez cały czas był taki sam jak każdego innego wieczora i wieczerzał z tym Janem Valjean z równą swobodą i serdecznością jak z panem Gedeonem Le Prevost lub z naszym proboszczem.

Pod koniec wieczerzy, gdyśmy jedli figi, zastukano do drzwi. Weszła matka Gerbaud z dzieckiem na ręku. Brat pocałował dziecię w czoło i pożyczył ode mnie piętnaście su, które miałam przy sobie, aby dać je matce Gerbaud. Ten człowiek niewiele zwracał na to wszystko uwagi. Przestał mówić i zdawał się bardzo znużony. Gdy biedna, stara Gerbaud odeszła, brat odmówił modlitwę dziękczynną, potem zwrócił się do tego człowieka i rzekł: "Pewno chciałby pan prędko znaleźć się w łóżku!" Pani Magloire szybko sprzątnęła ze stołu. Rozumiałam, że należało się oddalić, aby dać możność spoczynku podróżnemu, i poszłyśmy obydwie na górę. Po chwili jednak posłałam przez panią Magloire dla tego człowieka skórę jelenią z Szwarcwaldu, którą mam w moim pokoju. Noce są lodowate, a taka skóra grzeje. Szkoda, że jest już stara; cała sierść z niej wyłazi. Brat będąc w Niemczech, w Tottlingen, w pobliżu źródeł Dunaju, kupił ją wraz z nożykiem o rączce z kości słoniowej, którego używam przy stole.

Pani Magloire wróciła prawie natychmiast, pomodliłyśmy się w salonie, w którym suszy się bielizna, i później każda z nas udała się do swego pokoju, nie mówiąc ani słowa.

## V

### Spokój

Powiedziawszy dobranoc siostrze, ekscelencja Benvenuto wziął ze stołu jeden srebrny lichtarz, drugi podał gościowi i rzekł:

- Zaprowadzę pana do jego pokoju.

Człowiek poszedł za nim.

Jak wiadomo z tego, cośmy już powiedzieli, rozkład mieszkania był taki, że chcąc wejść do kaplicy, przy której była alkowa, lub wyjść z niej, trzeba było przechodzić przez sypialnię biskupa.

Gdy przechodzili przez ten pokój, pani Magloire chowała właśnie srebro w szafce nad łóżkiem. Była to jej ostatnia czynność gospodarska przed pójściem na spoczynek.

Biskup wprowadził gościa do alkowy. Łóżko zaściłone było świeżą, białą pościelą. Człowiek postawił świecznik na stoliku.

- A zatem, dobrej nocy - rzekł biskup. - Jutro rano przed drogą napije się pan ciepłego mleka od naszych krówek.

- Dziękuję księdzu - odpowiedział człowiek.

Zaledwie wymówił te pełne spokoju słowa, gdy nagle bez żadnego przejścia, zrobił dziwny ruch, który przeraziłby śmiertelnie obie świątobliwe kobiety, gdyby były świadkami tej sceny. Dziś nawet trudno pojąć, co go do tego pchnęło. Czy było to ostrzeżenie, czy groźba? Czy uległ jakiemuś popędowi niezrozumiałemu dla siebie samego? Znienacka obrócił się do starca, skrzyżował ręce na piersiach i utkwivszy dzikie spojrzenie w gospodarzu zawołał chrapliwym głosem:

- Ha! I cóż to? Daje mi ksiądz nocleg w swoim domu tak blisko siebie? Co?

Przerwał, a po chwili dodał ze śmiechem, w którym brzmiało coś potwornego:

- A czy dobrze się ksiądz zastanowił? Któż księdzu zaręczy, że nie jestem mordercą?

Biskup podniósł oczy ku górze i odpowiedział:

- To rzecz Pana Boga.

I poruszając wargami, jak ktoś, kto się modli lub mówi coś do siebie, z powagą wznosił dwa palce prawej ręki, pobłogosławił człowieka, który się nawet nie schylił, i nie odwracając głowy ani nie oglądając się za siebie, powrócił do swojego pokoju.

Kiedy ktoś spał w alkowie, ołtarz w kaplicy zasłonięty był kotarą z szarszy. Biskup, przechodząc, ukląkł przed tą zasłoną i zmówił krótki pacierz.

Po chwili był już w ogrodzie, przechadzał się, dumał, rozmyślał, pogrążony duszą i myślami w tych wielkich i tajemniczych rzeczach, jakie Bóg ukazuje w nocy oczom, które są otwarte.

Ów człowiek zaś był w istocie tak zmęczony, że nawet nie rozkoszował się świeżą, białą pościelą. Zdmuchnąwszy świecę nosem, jak to robią galernicy, rzucił się w ubraniu na łóżko i natychmiast głęboko zasnął.

Biła północ, kiedy biskup wrócił z ogrodu do swego pokoju.

W kilka chwil później wszyscy już spali w małym domku.

## VI

### Jan Valjean

W połowie nocy Jan Valjean obudził się. Jan Valjean pochodził z biednej chłopskiej rodziny zamieszkałej w Brie. Nie nauczył się czytać w dzieciństwie. Gdy doszedł lat męskich, pracował jako ogrodnik w Faverolles. Matka jego zwała się Joanna Mathieu, ojciec Jan Valjean albo Jan Vlajean; prawdopodobnie przezwisko to powstało ze skróconego voila Jean.

Jan Valjean miał charakter zamknięty, lecz nie smutny, co jest właściwością natur uczuciowych. Ogólnie biorąc, Jan Valjean - z pozoru przynajmniej - był jednak istotą jakby jeszcze nie rozbudzoną i pozbawioną indywidualności. Ojca i matkę stracił we wczesnym dzieciństwie. Matka umarła na zaniedbaną gorączkę pokarmową; ojciec - również ogrodnik - zabił się spadłszy z drzewa. Pozostała mu tylko starsza siostra, wdowa z siedmiorgiem dzieci. Siostra ta wychowała Jana Valjean i póki żył jej mąż, karmiła i odziewała młodszego brata. Mąż umarł. Najstarsze z siedmiorga dzieci miało osiem lat, najmłodsze rok; Jan Valjean skończył dwadzieścia pięć lat. Zastąpił dzieciom ojca i teraz on z kolei utrzymywał siostrę, która go wychowała. Robił to wszystko po prostu, jak zwykły obowiązek, a nawet z pewną opryskliwością. Tak upływała mu młodość na ciężkiej i źle płatnej pracy. Nie słyszano nigdy w okolicy, aby Jan miał "swoją dziewczynę". Nie miał czasu, aby się zakochać.

Wieczorem wracał zmęczony i zjadał swoją zupę nie mówiąc ani słowa. Podczas gdy jadł, siostra wyławiała mu nieraz z miski najlepsze kęski, kawałek mięsa lub słoniny, głąbek kapusty, aby je dać któremuś ze swoich dzieci; Jan jadł dalej, jakby niczego nie zauważał, pochylony nad stołem, z nosem w misce, i z włosami opadającymi na oczy.

W Faverolles niedaleko chaty Valjeanów, po drugiej stronie uliczki, mieszkała wieśniaczka imieniem Maria Klaudia; dzieci Valjeanów, zazwyczaj zgłodniałe, nieraz w imieniu matki pożyczaly od Marii Klaudivy kwaterkę mleka i wypijały ją po kryjomu za płotem lub gdzieś za rogiem uliczki, wydzierając sobie garnek i pijąc tak łapczywie, że tyleż mleka rozlewało się na fartuszki dziewczynkom, co trafiało do ust. Gdyby matka wiedziała o tej samowoli, surowo ukarałaby winowajców. Jan Valjean, porywczy i gderliwy, bez wiedzy matki płacił Marii Klaudivy za kwaterkę mleka i w ten sposób dzieci unikały kary.

W porze strzyżenia drzew zarabiał dwadzieścia cztery su dziennie, później najmował się do żniw, pracował jako robotnik, jako pastuch czy jako wyrobnik. Robił, co mógł. Siostra

jego pracowała także, ale co począć z siedmiorgiem drobnych dzieci? Smutną gromadkę nędza ujęła w swoje kleszcze i dławiła powoli. Nastąpiła bardzo ostra zima. Jan nie miał roboty. Rodzina nie miała chleba. Ani kawałka chleba. Dosłownie. Siedmioro dzieci!

Pewnej niedzieli wieczorem, gdy Maubert Isabeau, piekarz z placu kościelnego w Faverolles, kładł się do łóżka, usłyszał gwałtowne uderzenie w okratowaną szybę wystawową sklepu. Przybiegłszy, dostrzegł jeszcze rękę wsuniętą przez dziurę wybitą w szybie. Ręka porwała bochenek chleba, Isabeau wybiegł co tchu; złodziej uciekał ile sił w nogach. Isabeau pogonił za nim i złapał go. Złodziej rzucił chleb, ale rękę miał jeszcze zakrwawioną. Był to Jan Valjean.

Działo się to w roku 1795. Jan Valjean stanął przed ówczesnym sądem pod zarzutem “nocnej kradzieży z włamaniem do zamieszkałego domu”. Miał strzelbę i posługiwał się nią jak najlepszy strzelec; czasem uprawiał trochę kłusownictwa, to mu zaszkodziło. Przeciw kłusownikom istnieje uzasadnione uprzedzenie. Kłusownik, podobnie jak przemytnik, ma coś z rozbójnika. Jednakże, powiedzmy nawiasem, cała przepaść dzieli ten rodzaj ludzi od ohydnych morderców miejskich. Kłusownik żyje w lasach; przemytnik żyje w górach lub na morzu. Miasta tworzą ludzi okrutnych, bo znieprawionych. Góry, morze, lasy tworzą ludzi dzikich. Rozwijają one dzikość, często nie niszcząc wcale uczuć ludzkich.

Jan Valjean został uznany za winnego. Przepisy kodeksu były wyraźne. Są w naszej cywilizacji godziny grozy; są to te chwile, gdy prawo orzeka zagładę. Jakże złowieszczą jest chwila, w której społeczeństwo porzuca i skazuje na nieodwoalną samotność myślącą istotę! Jan Valjean został skazany na pięć lat galii.

22 kwietnia 1796 roku obwoływano w Paryżu zwycięstwo pod Montenotte, odniesione przez naczelnego generała armii włoskiej, który w piśmie Dyrektoriatu do Rady Pięciuset z dnia 2 Floreala IV roku nazywany jest Buona-Parte; tego samego dnia skuto wielki łańcuch ludzki w Bicetre. Jan Valjean stanowił jego ogniwo. Dawny odzwierny więzienia, liczący sobie dziś dziewięćdziesiąt lat, pamięta doskonale tego nieszczęśnika, którego przykuto do końca czwartego szeregu, w północnym rogu dziedzińca. Siedział na ziemi jak wszyscy więźniowie. Zdawał się nie rozumieć dobrze swego położenia; wiedział tylko, że jest okropne. Może ten ciemny biedak miał mglistą świadomość, że dzieje mu się jakaś nadmierna krzywda. Gdy ciężkimi uderzeniami młota skuwano mu na karku żelazną obręcz, płakał, łzy dławiły go i tamowały mu mowę, mógł tylko wykrztusić od czasu do czasu: “Byłem ogrodnikiem w Faverolles”. Potem, łkając, podnosił prawą rękę i stopniowo opuszczał ją siedem razy, jak gdyby kolejno dotykał siedmiu coraz mniejszych główek; z tego gestu można było się domyślić, że to, co zrobił, zrobił dlatego, aby odziać i wyżywić

siedmioro drobnych dzieci.

Odjechał do Tulonu. Przybył tam po dwudziestosiedmiodniowej podróży na wózku, z łańcuchem na szyi. W Tulonie ubrano go w czerwony kaftan. Zatarło się wszystko, co było jego dotychczasowym życiem, zatarło się nawet nazwisko: nie był już Janem Valjean; został numerem 24601. Co się stało z jego siostrą. Co się stało z siedmiorgiem dzieci? Kogóż to obchodzi? Co się dzieje z liśćmi młodego drzewka, ściętego przy samym pniu?

Zawsze ta sama historia. Te biedne żyjące istoty, te stworzenia boże, pozostawione odtąd bez pomocy, bez opieki, bez schronienia, poszły, gdzie oczy poniosą - kto wie - może każde w inną stronę, i powoli utonęły w zimnej mgle, która pochłania samotne losy, w posepnych mrokach, gdzie w ponurym pochodzie rodzaju ludzkiego ginie tyle pochyłonych nieszczęściem głów. Opuścili swoje strony; zapomniał o nich kościółek rodzinnej wioski, zapomniały o nich miedze rodzinnego pola; po kilku latach pobytu na galerach Jan Valjean także zapomniał o nich. W tym sercu, w którym była kiedyś żywa rana, pozostała tylko blizna. To wszystko. Raz tylko przez cały czas spędzony w Tulonie Jan Valjean usłyszał o swojej siostrze. Było to bodajże pod koniec czwartego roku jego pobytu na galerach. Nie wiem już, jaką drogą doszła doń ta wiadomość. Ktoś, kto ich znał w rodzinnych stronach, widział jego siostrę. Była w Paryżu. Mieszkała w ubogiej dzielnicy niedaleko Św. Sulpicjusza na ulicy du Geindre. Miała przy sobie tylko jedno dziecko, małego chłopca, najmłodszego. Gdzie podziało się tamtych sześcioro? Może i ona sama tego nie wiedziała. Co rano szła do drukarni przy ulicy Sabot nr 3, gdzie składała i zszywała książki. Musiała tam być o szóstej rano, w zimie na długo jeszcze przed świtem. W tym samym domu, co drukarnia, mieściła się szkoła, do tej szkoły prowadziła swojego synka, który miał siedem lat. A że matka musiała być w drukarni o szóstej, szkołę zaś otwierano dopiero o siódmej, dziecko przez godzinę czekało na podwórzu na otwarcie szkoły; w zimie, w nocy, całą godzinę pod gołym niebem! Nie pozwalano mu wchodzić do drukarni, bo mówiono, że zawadza. Robotnicy przechodząc rano widzieli to biedne małe stworzenie, siedzące na bruku, upadające z senności, a nieraz zwinięte w kłębek na swoim koszyku i drzemiące w ciemności. Kiedy padał deszcz, stara kobieta, odźwierna, litowała się nad nim; brała go do swojej izdebki, gdzie była tylko prycza, wrzeczono i dwa drewniane stołki. Mały zasypiał w kącie, tuląc się do kota, żeby się trochę ogrzać. O siódmej otwierała się szkoła i chłopak mógł wejść do środka. Oto, co powiedziano Janowi Valjean. Raz tylko usłyszał o swoich; była to chwila, błyskawica, okno, co się nagle otwarło na los tych istot, które niegdyś kochał, i znowu zatrasnęło się, tym razem na zawsze. Żadna wieść o nich już nigdy do niego nie dotarła; nie zobaczył ich nigdy; nigdy ich nie spotkał i w dalszym ciągu tej bolesnej opowieści i my nigdy ich już nie odnajdziemy.

Pod koniec tego czwartego roku przyszła na Jana Valjean kolej ucieczki. Dopomogli mu towarzysze, jak to zwykle się dzieje w tym smutnym miejscu. Uciekł. Wolny błądził dwa dni po polach; jeżeli można nazwać wolnym człowiekiem, który jest ścigany; który musi się nieustannie oglądać; drzeć za lada szmerem; bać się wszystkiego: i dymu z komina, i przechodzącego człowieka, i szczekającego psa, i cwałującego konia, i bijącego zegara, i dnia, bo jest widno, i nocy, bo jest ciemno; i drogi, i ścieżki, i krzaka, i snu. Schwymano go na drugi dzień wieczorem. Nie jadł i nie spał przez trzydzieści sześć godzin. Sąd morski przedłużył mu za to przestępstwo karę o trzy lata, co razem stanowiło lat osiem. Szóstego roku znów przyszła na niego kolej ucieczki, wykorzystał ją, ale i tym razem mu się nie powiodło. Nie stanął do apelu. Wystrzelono z działa i z nastaniem nocy żołnierze pełniący straż znaleźli zbiega pod kilem budującego się okrętu; stawiał zacięty opór straży, która go ujęła. Ucieczka i bunt. Ten występki, przewidziany w osobnym paragrafie, został ukarany przedłużeniem więzienia o lat pięć, z czego dwa lata w podwójnych kajdanach. Trzydzieści lat. Dziesiątego roku znowu nadeszła jego kolej... i znowu z niej skorzystał. I tym razem nie powiodło mu się lepiej. Trzy lata więzienia za nową próbę. Szesnaście lat. Wreszcie trzynastego roku, jeśli się nie mylę, po raz ostatni próbował uciec, lecz go schwymano po czterech godzinach nieobecności. Trzy lata więzienia za te cztery godziny. Dziewiętnaście lat. W październiku 1815 roku został zwolniony; zamknięto go w 1796 roku za wybicie szyby i zabranie bochenka chleba.

Tu wtrąćmy nawiasem kilka słów. Po raz drugi już w swych badaniach nad sprawami karnymi i wyrokami skazującymi autor tej książki spotyka się z tym, że kradzież chleba jest punktem wyjścia do zatyry człowieka. Klaudiusz Nędzarz ukradł bochenek chleba; Jan Valjean ukradł bochenek chleba. Statystyka angielska wykazuje, że w Londynie na pięć kradzieży bezpośrednią przyczyną czterech jest głód.

Jan Valjean wszedł do więzienia szlochając i drżąc; wyszedł niewzruszony. Wszedł, zrozpaczony; wyszedł ponury.

Co dokonało się w tej duszy?

## VII

### Wnętrze rozpaczy

Spróbujmy to opowiedzieć.

Spółeczeństwo powinno przyrzeć się tym sprawom, bo one są jego dziełem.

Był to, jak już powiedzieliśmy, człowiek ciemny, ale nie głupi. Tliło się w nim jakieś światło wrodzone. Nieszczęście, które ma także swoje światło, rozjaśniło trochę mroki tego umysłu. Pod batem, w kajdanach, w lochu i w znoju, pod palącym słońcem, na więziennej pryczy zagłębił się w swoje sumienie i zaczął zastanawiać się.

Teraz on był sędzią.

Naprzód zaczął sądzić siebie.

Uznał, że nie był niewinnym, którego ukarano niesprawiedliwie. Przyznał, że popełnił czyn karygodny i godny potępienia; że nie odmówiono by mu może tego bochenka chleba, gdyby o niego poprosił; że w każdym razie lepiej było zaczekać, aż mu go da ludzkie miłosierdzie czy praca; że niekoniecznie wystarczającym powodem jest powiedzieć sobie: "Czyż można czekać, gdy się jest głodnym!"; że przede wszystkim nader rzadko się zdarza, by ktoś umarł dosłownie z głodu, a poza tym, że na szczęście czy na nieszczęście, człowiek jest tak stworzony, iż może cierpieć bardzo wiele i bardzo długo zarówno moralnie, jak i fizycznie, i nie umiera; że należało zatem uzbroić się w cierpliwość; że lepiej by na tym wyszły nawet te biedne dzieci; że było szaleństwem, iż on, nędzny, nieszczęśliwy biedak, zadarł z całym społeczeństwem i wyobrażał sobie, iż kradzieżą można wydobyć się z nędzy; że w każdym razie nie wychodzi się z biedy drzwiami, które wiodą do hańby. Stwierdził, że nie miał racji.

Następnie zadał sobie pytanie:

Czy tylko on jeden nie miał racji w tej ponurej historii? Czy nie było to sprawą o zasadniczym znaczeniu, że on, robotnik, nie miał pracy? Że on, człowiek pracowity, nie miał chleba? I dalej, skoro popełnił występki i przyznał się do winy, czy kara nie była zbyt okrutna lub zbyt ciężka? Czy prawo nie dopuściło się większego nadużycia w wymiarze kary, niż on - winowajca - dopuścił się w swym występkach? Czy jedna szala, szala pokuty, nie była nadmiernie obciążona? Czy ten nadmiar kary nie zmasał występku i, w rezultacie, czy nie odwrócił sytuacji, zastępując winę przestępcy winą systemu sprawiedliwości, czyniąc z

przestępcy - ofiarę, z dłużnika - wierzyciela, i czy ostatecznie nie postawił prawa po stronie tego właśnie, który je pogwałcił? Czy ta kara, pomnożona i powiększona na skutek prób ucieczki, nie była w końcu gwałtem silniejszego na słabszym, zbrodnią społeczeństwa wobec jednostki, zbrodnią popełnianą codziennie, zbrodnią, która trwała dziewiętnaście lat?

Zastanawiał się, czy społeczeństwo może mieć prawo, by z jednej strony skazywać swoich członków na znoszenie skutków swej nierozumnej krótkowzroczności, z drugiej zaś swej nieubłaganej przezorności i trzymać stale biedaka w kleszczach niedostatku i nadużycia; niedostatku pracy, nadużycia kary?! Czy nie jest potworne, by społeczeństwo tak traktowało właśnie tych swoich członków, którzy zostali upośledzeni w przypadkowym rozdziale dóbr, a więc tych, którzy najbardziej są godni pobłażania?

Zadawszy sobie te pytania i odpowiedziawszy na nie osądził społeczeństwo i wydał wyrok skazujący.

Skazał je na swoją nienawiść.

Uczył je odpowiedzialnym za swój los i powiedział sobie, że kiedyś może nie zawaha się zażądać od niego wyrównania rachunku. Powiedział sobie, że nie ma wspólnej miary między szkodą, którą on wyrządził, a szkodą, którą jemu wyrządzono; orzekł wreszcie, że kara jego nie jest wprawdzie niesprawiedliwością, lecz na pewno jest niegodziwością.

Gniew może być szalony i bezsensowny; można się gniewać niesłusznie; oburzamy się zaś tylko wtedy, gdy czujemy, że jednak my mamy rację.

Jan Valjean był oburzony.

A przy tym społeczeństwo ludzkie wyrządziło mu tylko zło. Widział jedynie jego zagniewane oblicze, które zwie ono Sprawiedliwością i ukazuje tym, których uderza. Od ludzi doznał tylko udręki. Wszelkie zetknięcie z nimi było dlań ciosem bolesnym. Nigdy od czasów dzieciństwa, od utraty matki, od rozstania się z siostrą nie usłyszał przyjaznego słowa, nie spotkał życzliwego spojrzenia. Poprzez nieustanne cierpienie doszedł w końcu do przekonania, że życie jest walką i że w tej walce on został zwyciężony. Miał jedyną broń - nienawiść. Postanowił wyostrzyć ją w więzieniu, a wychodząc zabrać ze sobą.

W Tulonie była szkoła dla więźniów, utrzymywana przez braciszków od Jana Bożego, w której udzielano początków nauki tym spośród nieszczęśników, którzy chcieli się uczyć. Jan Valjean chciał się uczyć. Poszedł do szkoły w czterdziestym roku życia i nauczył się czytać, pisać i rachować. Czuł, że umacniając swój umysł umacnia swoją nienawiść. W pewnych wypadkach wykształcenie i oświata wspierają zło.

Przykro to powiedzieć, ale osądziwszy społeczeństwo, które stało się przyczyną jego nieszczęścia - Jan Valjean osądził i Opatrzność, która stworzyła społeczeństwo.

I ją również potępił.

Toteż przez te dziewiętnaście lat męczarni i niewoli dusza jego wzniosła się i upadła zarazem. Zabłyło w niej światło, a jednocześnie spowijał ją mrok.

Jan Valjean, jak widzieliśmy, nie był zły z natury. Był jeszcze dobry wchodząc do więzienia. Tam potępił społeczeństwo i poczuł, że staje się zły; potępił Opatrzność i poczuł, że staje się bezbożny.

Trudno jest nie zastanowić się tu chwilę.

Czy natura ludzka może zmienić się do gruntu? Czy człowiek stworzony przez Boga dobrym może stać się przez człowieka złym? Czy los może całkowicie odmienić duszę i uczynić ją złą dlatego, że los jest zły? Czy serce może stać się tak szpetne, chore, czy może się na zawsze wykoślawić pod ciężarem nadmiernych nieszczęść, jak grzbiet pod zbyt niskim sklepieniem? Czyż w każdej duszy ludzkiej, czy w duszy Jana Valjean także, nie było owej pierwszej iskry - pierwiastka boskiego - niezniszczalnej na tym świecie, nieśmiertelnej na tamtym, którą dobro może rozwinąć, rozżarzyć, rozpaścić, rozplómić wspaniale i której zło nigdy całkowicie zgasić nie zdoła?

Poważne to i zawile pytania, a na ostatnie z nich każdy fizjolog odpowiedziałby prawdopodobnie bez wahania "nie", gdyby zobaczył Jana Valjean w Tulonie w chwilach wypoczynku, które były dlań chwilami zadumy, gdyby zobaczył tego galernika, kiedy ze skrzyżowanymi rękami z końcem kajdan zatkniętym w kieszeń, aby się nie ciągnął po ziemi, siedział na belce jakiegoś żurawia portowego ponury, poważny, milczący, zamyślony, gdyby zobaczył tego pariasa praw, który patrzył z gniewem na człowieka, tego wyrzutka cywilizacji, który spoglądał surowo w niebo.

Oczywista, nie zamierzamy tego ukrywać: bacny fizjolog dostrzegłby w nim nieuleczalną nędzę duchową; może by i pożałował tego chorego z woli prawa, ale nawet nie próbowałby go leczyć; odwróciłby wzrok od ciemnych zakamarków tej duszy i - jak Dante z bramy piekieł - starłby z tego istnienia słowo, które przecież palec boży nakreślił na czole każdego człowieka, słowo: *Nadzieja*.

Czyż ten stan jego duszy, który próbowaliśmy zanalizować, był dla Jana Valjean równie jasny, jak staraliśmy się ukazać go czytelnikowi? Czy widział wyraźnie wszystkie elementy swojej nędzy moralnej, czy je rozróżniał, w miarę jak się tworzyły? Czy ten prymitywny i niewykształcony człowiek zdawał sobie dokładnie sprawę z rozwoju swoich myśli, które krok za krokiem wznosiły go i spychały jednocześnie do tych ponurych wizji, jakie od tyłu już lat tworzyły wewnętrzny horyzont jego ducha? Czy miał jasną świadomość wszystkiego, co się w nim działo i co w nim nurtowało? Nie śmielibyśmy tak twierdzić, nie

wierzmy w to nawet. Jan Valjean miał zbyt ciemny umysł, by nawet po tylu cierpieniach nie pozostało dlań wiele rzeczy niejasnych. Niekiedy nie wiedział nawet dobrze, co czuje. Otaczały go ciemności; cierpiał w ciemnościach; nienawidził w ciemnościach; rzec by można, że swoją nienawiścią żył, jak się żyje nadzieją. Zazwyczaj żył w tym mroku i kroczył po omacku jak ślepiec i jak marzyciel. Czasami tylko nachodziły go nagle, z wewnętrznych pobudek czy też z zewnątrz, wybuchy gniewu, wzmożona świadomość cierpienia, błada i nagła błyskawica, która oświeślała całą jego duszę i w swoim wrogim blasku ukazywała mu wszędzie dokoła przed nim i za nim przeraźliwe przepaście i ciemne perspektywy jego losu.

Gdy błyskawica gasła, zapadała noc, i gdzie był? - Nie wiedział sam.

Właściwością takich kar, w których przeważa to, co bezlitosne - a więc to, co otepiające - jest, iż powoli, mocą jakiejś nedorzeczonej przemiany, robią z człowieka dzikie zwierzę. Czasami nawet zwierzę okrutne. Kilkakrotne, uparcie powtarzane próby ucieczki Jana Valjean byłyby już wystarczającym dowodem dziwnego wpływu maszyny prawa na duszę ludzką. Jan Valjean tylekroć ponawiałby te usiłowania, tak całkowicie beznadziejne i szalone, ile razy nastęczyłaby się sposobność, ani chwili nie zastanawiając się nad ich skutkami ani nad nabytymi już doświadczeniami. Wyrwał się gwałtownie jak wilk, gdy znajdzie klatkę otwartą. Instynkt mówił mu: "Uciekaj!" Rozsądek powinien byłby powiedzieć: "Zostań!", ale wobec tak silnej pokusy rozsądek milczał; zostawał tylko instynkt. Jedynie zwierzę w nim działało. A kiedy chwymano go znowu, nowe kary pogłębiały tylko jego obłąkany lęk.

Nie możemy pominąć jednego szczegółu: Jan Valjean miał siłę fizyczną, którą nie dorównywał mu żaden z więźniów. Przy ciężkiej pracy, przy ściąganiu liny, przy wyciąganiu windy Jan Valjean starczał za czterech ludzi. Podnosił i dźwigał nieraz na plecach ogromne ciężary, a czasem zastępował sam ów przyrząd zwany lewarem, a który nazywano dawniej orgueil. Nawiasem mówiąc, stąd pochodzi nazwa ulicy Montorgueil w pobliżu paryskich Hal. Toteż towarzysze przewali go Jan Lewar. Pewnego razu, gdy naprawiano balkon ratusza w Tulonie, przepiękna kariatyda dłuta Pugeta, podpierająca ten balkon, oderwała się i groziła runięciem. Jan Valjean, będący wówczas w pobliżu, podtrzymał ramieniem kariatydę, póki nie nadbiegli inni robotnicy.

Jego zręczność przewyższała jeszcze siłę. Niektórzy galernicy, nieustannie marzący o ucieczce, dochodzą w końcu do tego, że z siły i zręczności czynią prawdziwy kunszt. Jest to kunszt mięśni. Więźniowie, wiecznie śledzący zawistnym okiem muchy i ptaki, uprawiają codziennie tajemnicze ćwiczenia z dziedziny statyki. Piąć się pionowo w górę i znaleźć punkt oparcia na niewidocznym dla oka występie było zabawką dla Jana Valjean. Wparłszy się

plecami w kąt wytworzony przez załamanie murów budynku, wyteżywszy grzbiet i nogi, podpierając się łokciami i piętami o chropowatość kamienia, jakimś magicznym sposobem pisał się w górę do wysokości trzeciego piętra. Niekiedy wchodził tak aż na dach więzienny.

Mówił mało. Nie śmiał się wcale. Trzeba było najżywszego wzruszenia, aby raz lub dwa razy do roku wydrzeć zeń ponury śmiech galernika, który brzmi niby echo śmiechu szatana. Zdawało się, że nieustannie wpatruje się w coś przerażającego.

W istocie pochłaniały go ciężkie myśli.

Poprzez chorobliwe wyobrażenia niezupełnie jeszcze ukształtowanej natury i udręczonego umysłu czuł niejasno, że ciąży na nim jakaś rzecz potworna. Ilekroć odwrócił głowę lub usiłował podnieść wzrok w tym gęstym i przyćmionym mroku, w którym pełzał, widział z przerażeniem, zaprawionym wściekłością, że piętrzy się przed nim, gromadzi, wznosi, jak okiem sięgnąć, jakieś urwisko budzące grozę, jakieś straszliwe nagromadzenie rzeczy, praw, przesądów, ludzi i faktów, którego zarysów nie ogarniał, które przerażało go swym ogromem, a które było ową monstrualną piramidą, zwaną przez nas cywilizacją. W tej masie rojącej się i bezkształtnej dostrzegał tu i ówdzie, czasem blisko, czasem daleko i na niedostępnych wyżynach jakąś grupę czy jakiś szczegół wyraźnie oświetlony: tu dozorca z batem, tam żandarm z pałaszem; ówdzie arcybiskup w infule, a na samej górze, w jakimś blasku, olśniewający cesarz w koronie. Wydawało mu się, że te odległe wspaniałości nie tylko nie rozpraszają nocy wokół niego, lecz czynią ją jeszcze bardziej żalobną i bardziej czarną. Wszystko to - prawa, przesady, fakty, ludzie, rzeczy - krążyło nad nim w owym skomplikowanym i tajemnym rytmie, jaki Bóg wyznaczył cywilizacji, deptało go i miażdżyło z jakimś nieczułym okrucieństwem i nieubłaganą obojętnością. Dusze strącone na samo dno niedoli, ludzie nieszczęśliwi, zagubieni w ostatnim kręgu piekieł, przed którym wzrok się nawet cofa, potępieni przez prawo, czują na sobie cały ciężar owej społeczności ludzkiej, tak strasznej dla tego, kto jest poza jej nawiasem, tak przerażającej dla tego, kto jest na jej spodzie.

W tym położeniu Jan Valjean rozmyślał; i o czymże mógł rozmyślać?

Gdyby ziarnko prosa w żarnach umiało myśleć, myślałoby niechybnie to samo co Jan Valjean.

Wszystkie te rzeczy - rzeczywistość pełna widm, widziadła pełne rzeczywistości - doprowadziły go w końcu do takiego stanu ducha, którego niepodobna wyrazić.

Czasem przerywał nagle swoją pracę galernika. Zamyślał się. Rozum jego, dojrzały, a zarazem bardziej zmacony niż dawniej, buntował się. Wszystko, co go spotkało, wydawało mu się niedorzeczne; wszystko, co go otaczało, wydawało mu się niemożliwe. Mówił sobie:

“To sen”. Patrzył na dozorcę stojącego o kilka kroków od niego; dozorca wydawał mu się widmem; i nagle widmo uderzało go kijem.

Świat widzialny prawie dlań nie istniał. Można by niemal powiedzieć, że dla Jana Valjean nie było ani słońca, ani pięknych dni letnich, ani pogodnego nieba, ani rześkich kwietniowych poranków. Jakieś światło piwniczne oświetlało zazwyczaj tę duszę.

Na zakończenie, streszczając to, co ze spraw tu poruszonych da się streścić i ująć w pewne konkretne wnioski, ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że po dziewiętnastu latach Jan Valjean, poczciwy ogrodnik z Faverolles, groźny galernik z Tulonu, skutkiem wpływu, jaki wywarła na niego katorga, stał się zdolny do dwojakiego rodzaju występków: po pierwsze, do złego czynu popełnionego w uniesieniu, nierozważnie, odruchowo, instynktownie, do pewnego rodzaju odwetu za wycierpiane zło; po wtóre - do złego czynu popełnionego świadomie, z zimną krwią i z całą rozważą, po głębokim namyśle, na podstawie błędnych wyobrażeń, jakie mogą się zrodzić w podobnym nieszczęściu. Jego postanowienia przechodziły trzy kolejne fazy, właściwe tylko naturom pewnego pokroju: rozumowanie, wolę i upór. Pobudką jego działania było nieustanne oburzenie, gorycz duszy, głębokie poczucie doznanych niesprawiedliwości i odruch niechęci, nawet w stosunku do ludzi dobrych, niewinnych i sprawiedliwych, jeśli tacy istnieją! Punktem wyjścia i rezultatem wszystkich jego myśli była nienawiść do ludzkiego prawa; owa nienawiść, która, jeżeli rozwoju jej nie powstrzyma jakiś opatrnościowy traf, staje się z czasem nienawiścią do społeczeństwa, później nienawiścią do rodzaju ludzkiego, wreszcie nienawiścią do wszelkiego stworzenia i wyraża się w nieokreślonej, nieustannej, brutalnej żądzy szkodzenia każdej żyjącej istocie. Jak widzimy, nie bez powodu określano Jana Valjean w paszporcie jako “człowieka bardzo niebezpiecznego”.

Rok po roku dusza ta wysychała coraz bardziej, wolno, ale nieuchronnie. Wyschłe serce - suche oko. Kiedy Jan Valjean wychodził z więzienia, upłynęło dziewiętnaście lat od czasu, gdy uronił ostatnią łzę.

## VIII

### Morze i mrok

Człowiek za burtą!

Ach, mniejsza o to! Okręt się nie zatrzymuje! Wiatr dmie, posepny okręt musi płynąć swoją drogą. Odpływa...

Człowiek znika, ukazuje się znowu, zanurza się i znów wypływa na powierzchnię, woła, wyciąga ramiona, nikt go nie słyszy. Okręt dygocący pod naporem huraganu pośpiesznie zwija żagle, majtkowie i podróżni nie widzą już nawet tonącego; nieszczęsna jego głowa jest tylko punktem wśród ogromu fal.

Człowiek rzuca rozpaczliwe wezwanie z otchłani. Ach, to widmo, ten żagiel odpływający w dal! Patrzy nań, patrzy zachłannie. A żagiel oddala się, blednie, maleje. Przed chwilą człowiek ten był na statku, należał do załogi, chodził wraz z innymi po pokładzie, miał swoją dozę powietrza i słońca, żył. A teraz cóż się stało? Pośliznął się, upadł; koniec.

I oto jest wśród potwornych wód. Wszystko wymyka mu się spod stóp i zapada w otchłani. Rozdarte, szarpane wichrem fale otaczają go nienawistnie, wiry porywają go, bryzgi wody miotają się wokół jego głowy, motłoch fal plwa mu w twarz, rozwarte czeluście pożerają go niemal. Ilekroć się zanurzy, widzi przepaście pełne mroku. Nieznane, okropne wodorosty chwytają go, oplatają mu nogi, ciągną ku sobie; czuje, że sam staje się otchłanią, że zamienia się w pianę, fale przerzucają go sobie, pije gorycz, nikczemny ocean topi go uparcie, ogrom igra z jego agonią. Zda się, że cały ten przestwór wodny - to nienawiść.

Walczy jednak, usiłuje się obronić, usiłuje utrzymać się na powierzchni, zdobywa się na wysiłek, płynie. On, ta wąta drobina siły, wyczerpująca się tak szybko, walczy z tym, co nigdy się nie wyczerpuje.

Gdzież jest okręt? Tam. Ledwie widoczny w bladym mroku spowijającym horyzont.

Dmą wichry; zalewają go zwały piany. Podnosi oczy i widzi tylko trupią siność chmur. Konając patrzy na nieogarnione szaleństwo morza. Ten szal pastwi się nad nim. Słyszy nie znane ludziom głosy, wydobywające się jakby spoza ziemi, z jakichś przerażających zaświatów.

Wśród chmur ptaki, podobnie jak aniołowie, unoszą się nad ludzką niedolą; lecz cóż mogą mu pomóc? Latają, śpiewają, krążą, a on rzezi.

Czuje, że pochłaniają go te dwie nieskończoności: ocean i niebo. Jedna jest mu całunem, druga grobem.

Noc zapada, a on płynie od tyłu godzin, jest u kresu sił; okręt, daleka łupina, na której byli ludzie, znikł; człowiek jest sam w straszliwej, mrocznej otchłani, zanurza się, pręży, wije, czuje pod sobą potwory niewidzialnego; woła.

Nie ma już ludzi. Gdzie jest Bóg?

Człowiek woła: "Na pomoc! Na pomoc!" Woła wciąż...

Pusty horyzont, puste niebo...

Człowiek błaga przestrzeń, fale, algi, skały: wszystko jest głuche. Zaklina nawałnicę; obojętna nawałnica posłuszna jest tylko nieskończoności.

Wokół niego ciemność, mgła, samotność, zamęt burzliwy i nieświadomy, nieustanne falowanie rozwścieczonych wód. W nim - zgroza i znużenie. Pod nim otchłań. Nie ma punktu oparcia. Myśli o ponurych losach trupa w bezkresnych mrokach. Zimno bez dna paraliżuje go. Ręce zamykają mu się kurczowo i otwierają, chwytają nicłość. Wichry, chmury, wiry, podmuchy, gwiazdy niepotrzebne! Co począć? Zrozpaczony, poddaje się, znużony, godzi się na śmierć, ulega, fala go unosi, rozwiera dłonie i oto stacza się na zawsze w złowrogie odmęty.

O nieubłagany pochodzie ludzkości! Iluż ludzi, ileż istnień zatraconych po drodze! Oceanie, który pochłaniasz wszystko, czego prawo się wyrzekło! Pomocy, która znikasz w złowrogiej dali! O śmierci moralna!

Morze - to nieubłagana noc społeczna, w którą prawo wtrąca potępionych. Morze - to ogrom nędzy.

Dusza, wtrącona do tej przepaści, może stać się trupem.

Któż ją wskrzesi?

## IX

### Nowe krzywdy

Kiedy nadszedł dzień opuszczenia galer, kiedy Jan Valjean usłyszał na własne uszy te dziwne słowa: "Jesteś wolny!" - przeżył nieprawdopodobną, niesłychaną chwilę: jasny promień światła, promień prawdziwego światła ludzi żywych przeniknął go nagle. Niebawem jednak zbladł. Myśl o wolności olśniła Jana Valjean. Uwierzył w nowe życie. Bardzo prędko jednak poznał, jaka jest ta wolność, która się legitymuje żółtym paszportem!

Już od samego początku czekały go rozczarowania. Obliczył sobie, że przez czas pobytu w więzieniu zarobił sto siedemdziesiąt jeden franków. Trzeba tu dodać, że w swoich rachubach zapomniał o przymusowym odpoczynku w niedziele i święta, co w przeciągu dziewiętnastu lat zmniejszyło sumę o blisko dwadzieścia cztery franki. W każdym razie, wskutek różnych potrażeń zarobek skurczył się do stu dziewięciu franków, piętnastu su, które mu wypłacono na odchodnym.

Nic z tego nie zrozumiał i uważał się za skrzywdzonego. Powiedzmy bez ogródek: za okradzionego.

Nazajutrz po uwolnieniu zobaczył w Grasse przed bramą destylarni olejku pomarańczowego ludzi zdejmujących paki. Ofiarował swoje usługi. Praca była pilna, więc został przyjęty. Wziął się do roboty. Był silny, zręczny, rozgarnięty; starał się jak najlepiej; właściciel destylarni wydawał się zadowolony. Gdy tak pracował, przechodzący żandarm zauważył go i zapytał o papiery. Musiał pokazać żółty paszport. Uczyniwszy to, Jan Valjean znowu zabrał się do pracy. Poprzednio zapytał się był jednego z robotników, ile płacą dziennie za tę robotę. Odpowiedziano mu: trzydzieści su. Ponieważ następnego dnia rano musiał udać się w dalszą drogę, wieczorem poszedł do właściciela destylarni i poprosił o zapłatę. Właściciel bez słowa wręczył mu dwadzieścia pięć su. Jan Valjean upomniął się o resztę. Odpowiedziano mu: "To i tak dosyć dla ciebie!" Zaczął nalegać. Właściciel spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: "Zatęskniłeś za paką?"

I teraz uznał, że go okradziono.

Spółceństwo, państwo, uszczuplając jego zarobek więzienny, okradło go na wielką skalę; teraz przyszła kolej na jednostkę, która okradła go na małą skalę.

Uwolnienie nie jest wyzwoleniem. Wychodzi się z więzienia, nie można się uwolnić od potępienia.

Oto, co spotkało go w Grasse. Widzieliśmy, w jaki sposób został przyjęty w Digne.

## X

### Jan Valjean nie śpi

A więc gdy na zegarze katedralnym biła druga, Jan Valjean obudził się.

Obudził się, bo miał zbyt wygodne poślanie. Od lat blisko dwudziestu nie spał na łóżku i choć się nie rozbierał, uczucie to było zbyt nowe, aby mu nie przerwać snu.

Spał przeszło cztery godziny. Znużenie minęło. Zresztą przywykł niewiele czasu poświęcać na spoczynek.

Otworzył oczy, popatrzył chwilę na ciemności dokoła i znów zamknął powieki, aby usnąć na nowo.

Kto we dnie doświadczy wielu różnych wrażeń, kto umysł ma zaprzątnięty myślami, ten zaśnie wprawdzie, ale obudzwszy się nie usnie już na nowo. Sen łatwiej przychodzi, niż powraca. Tak było z Janem Valjean. Nie mógł zasnąć po raz drugi i zaczął myśleć.

Przyszła na niego jedna z tych chwil, w których myśli są dziwnie skłócone. Wszystko kłębiło mu się w głowie. Dawne wspomnienia i wspomnienia najświeższe wirowały mu pod czaszką, krzyżowały się mgliście, tracąc kształty, olbrzymiejąc potwornie, potem znikając nagle, jak gdyby w jakiejś wodzie mętnej i wzburzonej. Ze wszystkich myśli, które mu się nasuwały, jedna powracała natrętnie i odpędzała inne. Powiemy od razu, jaka to była myśl: zauważył sześć srebrnych nakryć i wielką łyżkę wazową, które pani Magloire położyła na stole.

Myśl o srebrnych nakryciach nie dawała mu spokoju. Były tuż - o kilka kroków. Kiedy przechodził przez sąsiedni pokój, aby wejść do alkowy, widział, że stara służąca kładła je do szafki nad łóżkiem. Dobrze sobie zapamiętał tę szafkę. Stała, idąc z pokoju jadalnego, po prawej stronie. Masywne srebro. Staroświeckiej roboty. Wraz z łyżką wazową warte co najmniej dwieście franków. Dwa razy tyle, ile zarobił przez dziewiętnaście lat. Co prawda zarobiłby więcej, *gdyby go administracja nie okradła.*

Długą godzinę wahał się wśród tych myśli, walcząc trochę ze sobą. Wybiła trzecia. Otworzył oczy, usiadł nagle na poślaniu, wyciągnął rękę, po omacku chwycił plecak, który rzucił był w kąt alkowy, potem spuścił nogi, dotknął nimi podłogi i prawie nie wiedząc, jak to się stało, usiadł na łóżku.

Siedział tak jakiś czas, zadumany, w tej postawie, która wydałaby się złowieszczą każdemu, kto ujrzałby go w ciemnościach, jedyne, który czuwał w tym uspiętym domu. Nagle schylił się, zdjął trzewiki, delikatnie położył je na macie słomianej przy łóżku, po czym znów usiadł, pograżył się w zadumę i znieruchomiał.

W czasie tego ohydneho dumania, myśli, o których już mówiliśmy, snuły mu się ciągle po głowie, napływały, odpływały, powracały przygniatając go jakimś ciężarem; poza tym - nie wiadomo dlaczego, z natrętnym uporem majaków sennych, stawał mu przed oczyma galernik nazwiskiem Brevet, którego spodnie trzymały się tylko na jednej szelce z bawełnianego trykotu. Kraciasty deseń tej szelki ciągle powracał mu na myśl.

Siedział w tej pozie i zapewne trwałby tak aż do świtu, gdyby zegar nie wybił raz jeden, wydzwaniając kwadrans czy pół godziny. Zdawało mu się, że to uderzenie zawołało: "Nuże!"

Stanął, wahał się jeszcze chwilę nasłuchując: w domu panowała cisza; wtedy małymi krokami podszedł do rysującego się niewyraźnie okna. Noc nie była bardzo ciemna, świecił księżyc w pełni, zasnuwały go chwilami gnane wiatrem obłoki. Na dworze ciemność i jasność, zaćmienia i rozwidnienia następowały kolejno po sobie, w domu zaś panował półmrok. Półmrok ten, pozwalający zorientować się w pokoju, przechodził w gęstą ciemność, gdy chmury zasłaniały księżyc, i przypominał blade mrok piwnicznej izby, sączący się przez okienko, przed którym przesuwają się cienie przechodniów. Podszedłszy do okna Jan Valjean obejrzał je uważnie. Nie miało krat, wychodziło na ogród i miejscowym zwyczajem zamknięte było tylko na zatyczkę. Otworzył je, ale ponieważ do pokoju wtargnęło gwałtownie przejmujące zimno, zamknął je natychmiast. Obrzucił ogród bystrym spojrzeniem, które raczej bada, niż ogląda. Ogród otaczał niski biały mur, który łatwo można było przeskoczyć. W dali za murem dojrzał wierzchołki równo rozstawionych drzew, co wskazywało, że za ogrodem jest droga albo uliczka wysadzona drzewami.

Rozejrzawszy się, zdecydowanym ruchem wrócił do alkowy, wziął plecak, otworzył go, poszperał wewnątrz, coś z niego wyjął i położył na łóżku, schował buty do jednej z kieszeni plecaka, zamknął go i zarzucił na plecy, włożył na głowę czapkę, nasunął daszek na oczy, poszukał po omacku kija, postawił go w kącie koło okna, po czym powrócił do łóżka i nie namyślając się chwycił przedmiot, który na nim leżał. Było to coś w rodzaju krótkiej sztaby żelaznej, zaostromej na jednym końcu jak oszczep.

W ciemnościach trudno byłoby rozpoznać, do jakiego celu miał służyć ten kawałek żelaza. Może był to lewar? Może była to maczuga?

Przy świetle każdy poznałby, że jest to zwykły lichtarz górniczy. W owych czasach używano niekiedy więźniów do wydobywania kamieni z wysokich wzgórz otaczających Tulon, częstokroć mieli więc oni narzędzia górnicze. Górnicze lichtarze, zrobione z kutego żelaza, są ostro zakończone u dołu, aby je można wbijać w skałę.

Wziąwszy lichtarz w prawą rękę, tłumiąc oddech i skradając się, kierował się ku drzwiom sąsiedniego pokoju, który, jak wiemy, był sypialnią biskupa. Doszedłszy do drzwi przekonał się, że były uchylone. Biskup ich nie zamknął.

## XI

### Co robi

Jan Valjean nasłuchiwał. Żadnego szmeru.

Pchnął drzwi.

Pchnął je końcem palca, lekko, trwożnie, delikatnie jak skradający się kot. Drzwi ustąpiły, rozchyliły się nieznacznie i bezszelestnie otworzyły się szerzej.

Począł chwilę, po czym pchnął drzwi powtórnie, tym razem śmieiej.

Znowu ustąpiły bezszelestnie. Teraz Jan Valjean mógłby już się wsunąć. Ale tuż przy drzwiach stał stolik, który tarasował przejście.

Jan Valjean spostrzegł tę przeszkodę. Należało za wszelką cenę otworzyć drzwi jeszcze szerzej.

Zdecydował się i pchnął je po raz trzeci, silniej niż poprzednio. Tym razem złe naoliwione zawiasy wydały nagle w ciemnościach dźwięk ostry i przeciągły.

Jan Valjean zadrżał. Skrzyp zawiasów zabrzmiał w jego uszach tak ogłuszająco i przeraźliwie jak trąby sądu ostatecznego.

W pierwszej chwili rozigrana wyobraźnia nasunęła mu myśl, że zawiasy ożyły, że nabrały jakiegoś straszliwego życia i szczekają jak pies aby ostrzec wszystkich i zbudzić uśpionych.

Zatrzymał się drżący, przerażony i z palców opadł na pięty. Słyszał, że tętna wałą mu w skroniach jak kowalskie młoty, miał wrażenie, że oddech wydobywający się z piersi świszczy niby wichur, który się wydziera ze skalnej szczeliny. Wydawało mu się niemożliwe, aby okropny krzyk rozgniewanych zawiasów nie poruszył domem jak trzęsienie ziemi; drzwi pchnięte przez niego zaniepokoiły się i wołały na pomoc. Zaraz zerwie się starzec, obie kobiety zaczną krzyczeć, ludzie nadbiegną na ratunek; za kilka minut zerwie się całe miasto, żandarmeria stanie na nogi. Przez chwilę myślał, że jest zgubiony.

Stał bez ruchu, jak słup soli, nie śmiejąc drgnąć nawet. Upłynęło kilka minut. Drzwi były otwarte na oścież. Odważył się zajrzeć do pokoju. Nic się w nim nie poruszało. Nadstawił ucha. W domu panowała cisza. Skrzyp zardzewiałych zawiasów nie zbudził nikogo.

Pierwsze niebezpieczeństwo minęło, ale w głowie miał jeszcze potworny zamęt. Nie cofnął się jednak. Nawet wówczas gdy sądził, że jest zgubiony, nie cofnął się również. Myślał tylko o tym, aby skończyć co prędzej. Postąpił o krok i wszedł do pokoju.

Pokój pogrążony był w zupełnej ciszy. Tu i ówdzie majaczyły jakieś kształty, niewyraźne i na wpół zatarte; za dnia były to papiery rozrzucone na stole, grube otwarte książki, foliały piętrzące się na stołku, fotel z ułożonym nań ubraniem, klęcznik; w tej chwili było to tylko nawarstwienie ciemniejszych i jaśniejszych plam. Jan Valjean posuwał się ostrożnie, aby nie potrącić mebli. W głębi pokoju słyszał równy i spokojny oddech śpiącego biskupa.

Zatrzymał się nagle. Był przy łóżku. Znalazł się przy nim prędzej, niż się spodziewał.

Niekiedy przyroda z jakąś ponurą celowością i jakby świadomie stwarza swymi efektami takie tło dla naszych czynów, jakby chciała nas skłonić do namysłu. Od pół godziny wielka chmura zasłaniała niebo. W chwili gdy Jan Valjean stanął przy łóżku, chmura rozdarła się jakby umyślnie i promień księżyca, padając przez wysokie okno, oświetlił nagle bladą twarz biskupa. Spał spokojnie. Z powodu chłodu alpejskich nocy był prawie całkowicie ubrany, miał na sobie brązowy kaftanik, który okrywał mu ramiona aż po dłonie. Głowa spoczywała na poduszce z naturalną, właściwą spoczynkowi swobodą, ręka, ozdobiona pierścieniem biskupim, zwisała z łóżka; ręka, z której spłynęło tyle łask i dobrodziejstw. Twarz biskupa rozjaśniał nieokreślony wyraz zadowolenia, nadziei i błogości. Było to więcej niż uśmiech - niemal promiennosc. Z jego czoła bił przedziwny odbłask niewidzialnego światła. Dusza sprawiedliwych ogląda we śnie tajemnicze niebo.

Odblask tego nieba padał na biskupa.

A zarazem była to jakaś promienna przejrzystosc duchowa, albowiem niebo to miał w sobie. Niebem tym było jego sumienie.

Gdy promień księżyca spoczął - by tak rzec - na tej jasności wewnętrznej, jakby aureola otoczyła śpiącego biskupa. Wszystko spowijał jednak jakiś niewysłowiony półmrok, łagodząc i zacierając kształty. Księżyc na niebie, uspiona natura, ogród milczący, dom tak spokojny, godzina nocna, ta chwila i cisza dodawały coś niewymownie uroczystego czcigodnemu spoczynkowi tego mędrca i otaczały majestatycznym i jasnym nimbem białe włosy, zamknięte oczy, twarz tchnącą ufnością i nadzieją, tę głowę starca i ten sen dziecka.

Było coś niemal boskiego w tym człowieku, pełnym nieświadomego dostojeństwa.

A Jan Valjean stał w cieniu z żelaznym lichtarzem w ręku, nieruchomy, strwożony widokiem jaśniejącego starca. Nigdy nie widział nic podobnego. Ta ufność przerażała go. Nie

masz piękniejszego widoku w świecie ducha nad sumienie niespokojne i wzburzone, które stoi na progu złego czynu i podziwia sen sprawiedliwego.

Ten sen w takim odosobnieniu, obok takiego jak on sąsiada, miał w sobie coś wzniosłego, co Jan Valjean odczuwał niejasno, lecz nieodparcie.

Nikt, nawet on sam, nie zdołałby powiedzieć, co się z nim działo. Usiłując zdać sobie z tego sprawę, trzeba wyobrazić sobie największą gwałtowność w obliczu największej łagodności. Nawet z twarzy Jana Valjean nie można było odczytać nic pewnego. Było to jakieś pierwotne zdumienie. Patrzył. To wszystko. Ale co myślał? Niepodobna odgadnąć. Widoczne było jedno: że jest wzruszony i wstrząśnięty. Lecz co to było za wzruszenie?

Nie odrywał oczu od starca. Jego postawa i jego twarz wyrażały niezbitie tylko dziwną niepewność. Rzekłbyś, że wahał się między dwiema przepaściami: między zatrąta i zbawieniem. Wydawał się gotów strzaskać tę czaszkę lub ucałować tę dłoń.

Po upływie kilku chwil jego lewa ręka podniosła się z wolna do czoła, zdjął czapkę, po czym ręka opadła równie powoli i Jan Valjean pogrążył się znowu w zadumie, trzymając czapkę w lewej ręce, maczugę zaś w prawej, z włosom najeżonym na ponurej głowie.

Pod tym przerażającym spojrzeniem biskup spał dalej w niezmaconym spokoju.

W bladej poświacie księżyca nad kominkiem majaczył krucyfiks i jakby wyciągał ku nim obu ramiona, błogosławiąc jednemu - przebacząc drugiemu.

Nagle Jan Valjean wcisnął czapkę na głowę i szybko, nie patrząc na biskupa, przeszedł obok łóżka ku szafce u wezglowia; podniósł żelazny lichtarz, jakby chcąc podważyć zamek; klucz tkwił w zamku; otworzył szafę; pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był koszyk ze srebrem; wziął go, przeszedł pokój wielkimi krokami, głośno, nie bacząc na hałas, wrócił do kaplicy, chwycił kij, otworzył okno, przesadził parapet, schował srebro do plecaka, odrzucił koszyk, przebiegł ogród, jak tygrys przeskoczył przez mur i uciekł.

## XII

### Biskup pracuje

Nazajutrz o wschodzie słońca eksceleńcja Benvenuto przechadzał się po ogrodzie. Przybiegła doń pani Magloire ogromnie wzburzona.

- Eksceleńcjo! Eksceleńcjo! - zawołała - czy wasza wysokość wie, gdzie jest koszyk od srebra?

- Wiem - odpowiedział biskup.

- Chwała Bogu! - rzekła. - Nie wiedziałam, co się z nim stało.

Biskup podniósł przed chwilą koszyk z rabatki. Podał go pani Magloire.

- Proszę.

- Jak to? - powiedziała pani Magloire. - Ależ on jest pusty?! A srebra?

- Ach! - odparł biskup. - To pani chodzi o srebra? Nie wiem, gdzie są.

- Wielki Boże! Skradzione! Ten człowiek, który był wczoraj wieczorem, ukradł je!

W mgnieniu oka, z szybkością, na jaką było stać zwawą staruszkę, pani Magloire pobiegła do kaplicy, zajrzała do alkowy i wróciła do biskupa. Biskup schylił się i z westchnieniem patrzył na gałązkę kochlearii, która złamała się pod ciężarem padającego na grządki koszyka. Na krzyk pani Magloire wyprostował się.

- Wasza wysokość, tego człowieka już nie ma. Srebra skradziono!

Wołając tak, spojrzała w róg ogrodu i dostrzegła świeże ślady ucieczki. Gzyms muru był oberwany.

- O, proszę! Tamtędy przeszedł! Wyskoczył na ulicę Cocheffet! Ach, okropność! Ukradł nam nasze srebra!

Biskup milczał przez chwilę, później podniósł swoje poważne spojrzenie i rzekł łagodnie do pani Magloire:

- Przede wszystkim - czy to srebro istotnie było nasze?

Pani Magloire umilkła zaskoczona. Milczenie trwało chwilę, po czym biskup ciągnął dalej:

- Pani Magloire, niesłusznie od tak dawna przetrzymywałem to srebro. Należało do biednych. Kim był ten człowiek? Biedakiem oczywiście.

- O Jezui! - odparła pani Magloire. - Nie chodzi o mnie ani o panienkę. Nam wszystko jedno. Ale chodzi o waszą wysokość. Czym wasza wysokość będzie teraz jeść?

Biskup spojrział na nią zdziwiony.

- Jak to? Alboż nie ma nakryć cynowych?

Pani Magloire wzruszyła ramionami.

- Cyna ma przykry zapach.

- Są sztucze żelazne.

Pani Magloire skrzywiła się wymownie.

- Żelazo ma wstrętny smak.

- A więc - rzekł biskup - są jeszcze nakrycia drewniane.

Po chwili jadł śniadanie przy tym samym stole, przy którym siedział wczoraj Jan Valjean. Jedząc ksiądz Benvenuto mówił wesoło do siostry, która milczała, i do pani Magloire, która mruczała coś pod nosem, że aby umaczać kawałek chleba w filiżance mleka, nie potrzebna mu jest ani łyżka, ani widelec, nawet drewniane.

- Cóż to za pomysł - mówiła do siebie pani Magloire chodząc tam i z powrotem - przyjmować takiego człowieka! I jeszcze dawać mu nocleg w sąsiednim pokoju. Co za szczęście, że nas tylko okradł! Ach, mój Boże! Strach pomyśleć, co by mogło się stać.

Brat i siostra mieli wstać od stołu, gdy zapukano do drzwi.

- Proszę - rzekł biskup.

Drzwi się otwały. W progu stała dziwna i przerażająca grupa: trzech mężczyzn trzymało czwartego za kołnierz. Ci trzej byli żandarmami; czwartym był Jan Valjean.

Wachmistrz, który widocznie nimi dowodził, stał w drzwiach. Wszedł do pokoju i zbliżył się do biskupa salutując:

- Ekscelencjo... - powiedział.

Na te słowa Jan Valjean posępny i - jak się wydawało - przybity, ze zdziwieniem podniósł głowę.

- Ekscelencja? - szepnął. - Więc to nie proboszcz?

- Milczeć! - przerwał żandarm. - To jego ekscelencja ksiądz biskup.

Tymczasem biskup Benvenuto podszedł do Jana Valjean tak spiesźnie, jak mu na to pozwalał podeszły wiek.

- A, jest pan! - zawołał patrząc na niego. - Cieszę się, że pana widzę. Ależ, drogi panie, darowałem przecież panu również lichtarze, które są także srebrne i za które dostałby pan ze dwieście franków. Czemu nie wziął ich pan razem ze sztucami?

Jan Valjean wytrzeszczył oczy i spojrział na czcigodnego biskupa z wyrazem, którego

ludzka mowa oddać nie jest w stanie.

- Ekscelencjo - rzekł wachmistrz żandarmerii - więc ten człowiek powiedział prawdę? Spotkaliśmy go na drodze. Szedł tak szybko, jakby uciekał. Zatrzymaliśmy go chcąc przejrzeć jego rzeczy. Miał przy sobie te srebra...

- I powiedział wam - przerwał z uśmiechem biskup - że dał mu je stary poczciwy księżyna, u którego nocował? Rozumiem! I dlatego przyprowadziliście go tutaj? To pomyłka!

- Wobec tego - zapytał wachmistrz - czy możemy go puścić?

- Oczywiście - odrzekł biskup.

Żandarmi puścili Jana Valjean, który cofnął się o kilka kroków.

- Więc to prawda? Puszczają mnie? - wyjąkał niewyraźnie i jakby przez sen.

- A puszczają, puszczają! Cóż to, nie słyszysz? - powiedział żandarm.

- Przyjacielu - mówił biskup - nim odejdiesz, weź swoje lichtarze. Oto one.

Podszedł do kominka, zdjął dwa srebrne lichtarze i wręczył je Janowi Valjean. Obie kobiety patrzyły na to, ani jednym słowem, gestem czy spojrzeniem nie przeszkadzając biskupowi.

Jan Valjean drżał na całym ciele. Wziął oba świeczniki machinalnie, z błędnym wyrazem twarzy.

- A teraz - rzekł biskup - idź w pokoju! Ale, przyjacielu, wracając do mnie, nie przechodź ogrodem. O każdej porze możesz wejść i wyjść drzwiami od ulicy. Zamknięte są tylko na kłamkę we dnie i w nocy.

Zwracając się zaś do żandarmów dodał:

- Możecie odejść, panowie.

Żandarmi wyszli.

Jan Valjean wyglądał jak ktoś bliski omdlenia.

Biskup zbliżył się doń i rzekł po cichu:

- Pamiętaj, zawsze pamiętaj o tym, że obiecałeś mi z pomocą tego srebra stać się uczciwym człowiekiem.

Jan Valjean, który nie przypominał sobie, żeby cokolwiek obiecywał, milczał zdumiony. Biskup wymówił te słowa z naciskiem. Po czym jeszcze dodał uroczyście:

- Janie Valjean, mój bracie. Nie jesteś już we władzy zła, jesteś we władzy dobra. Kupuję twoją duszę; odbieram ją czarnym myśłem i duchowi zatracenia, a oddaję Bogu.

## XIII

### Gerwazek

Jan Valjean opuścił miasto, jakby uciekał. Szedł spieszenie przez pola, skręcał na oślep w pierwszą lepszą drogę czy ścieżkę, nie spostrzegając, że krąży w kółko. Tak błąkał się przez cały ranek nie jedząc i nie czując głodu. Tłum nowych uczuć oblegał jego duszę. Czuł jakiś gniew. Na kogo? Nie wiedział. Nie mógłby powiedzieć, czy był wzruszony, czy upokorzony. Chwilami ogarniało go dziwne rozczulenie, z którym walczył przeciwstawiając mu zakamieniałość dwudziestu ostatnich lat. Stan ten męczył go. Z niepokojem widział, że zakłócony został ów przeraźliwy spokój, który dało mu poczucie, iż padł ofiarą niesprawiedliwości. Zastanawiał się, co mu go teraz zastąpi. Czasem wolałby doprawdy siedzieć w więzieniu z żandarmami, byleby sprawy nie wzięły takiego obrotu. Mniej by go to wzburzyło. Choć była późna jesień, tu i ówdzie wśród żywopłotów kwitły spóźnione kwiaty, których woń, gdy przechodził obok, nasuwała mu wspomnienia z dzieciństwa. Wspomnienia te ciążyły mu nieznośnie; od tak dawna go nie nawiedzały.

Myśli, których niepodobna wyrazić, gromadziły się w nim przez cały dzień.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wydłużając na ziemi cień najmniejszego nawet kamyka. Jan Valjean siedział pod krzakiem na rozległej, rudej, pustynnej równinie. Na widnokręgu rysowały się tylko Alpy. I nic więcej, nawet dzwonnicy z odległej wioski. Jan Valjean znajdował się prawdopodobnie o jakieś trzy mile od Digne. Ścieżka, która przecinała równinę przechodziła o kilka kroków od krzaka.

Pogrążony w tej zadumie, która jego łachmanom nadawała jeszcze bardziej przerażający wygląd w oczach przygodnego przechodnia, usłyszał nagle wesole okrzyki.

Odwrócił głowę i ujrzał na ścieżce małego, dziesięcioletniego może Sabaudczyka, który szedł śpiewając; pod pachą dźwigał kobzę, a na plecach skrzyneczkę ze świnką morską. Było to jedno z owych miłych i wesołych dzieci, które wędrują po świecie, świecąc kolanami przez podarte porcięta.

Śpiewając chłopczyna przystawał czasami i podrzucał w górę, niby kostki, parę monet, cały swój majątek zapewne. Wśród tych monet była sztuka srebrna, czterdzieści su.

Chłopiec zatrzymał się przy krzaku, nie widząc Jana Valjean, i rzucił w górę garść pieniędzy, które dotychczas zręcznie chwycił na grzbiet dłoni.

Tym razem srebrny pieniądz wymknął mu się z ręki i potoczył ku krzakom aż do Jana Valjean.

Jan Valjean postawił na nim nogę.

Ale chłopiec, który śledził pieniądz wzrokiem, spostrzegł to.

Nie zdziwił się wcale i śmiało podszedł do nieznanego.

Miejsce to było zupełnie bezludne. Jak okiem sięgnąć, nikogo na ścieżce ani na równinie. Dochodził tylko słaby krzyk wędrownego ptactwa przeciągającego chmurą wysoko na niebie. Chłopiec stał tyłem do słońca, które zapalało mu złote błyski we włosach i oblewało krwawym światłem dziką twarz Jana Valjean.

- Panie - rzekł mały Sabaudczyk z tą dziecinną ufnością, na którą składa się nieświadomość i niewinność - gdzie jest mój pieniądz?

- Jak się nazywasz? - zapytał Jan Valjean.

- Gerwazek, panie.

- Idź precz - rzekł Jan Valjean.

- Ależ, panie - prosiło dziecko - oddajcie mi mój pieniążek.

Jan Valjean spuścił głowę i nie odpowiedział.

Chłopiec powtórzył jeszcze raz prośbę.

- Mój pieniążek, panie!

Jan Valjean nie odrywał oczu od ziemi.

- Mój pieniążek - wołało dziecko - mój srebrny pieniążek!

Jan Valjean zdawał się nie słyszeć. Chłopiec chwycił go za kołnierz bluzy i zaczął nim szarpać. Jednocześnie usiłował zepchnąć ze swego skarbu gruby podkuty but.

- Proszę mi oddać pieniądz! Moje czterdzieści su!

Dziecko płakało. Jan Valjean podniósł głowę. Nie ruszył się z miejsca. Oczy miał błędne. Spojrzał na dziecko jakby ze zdziwieniem, wyciągnął rękę po kij i zawołał strasznym głosem:

- Kto to?

- To ja, panie - powiedział chłopczyzna. - To ja! Gerwazek! Niech mi pan odda moje czterdzieści su, proszę! Niech pan odsunie nogę!

Wreszcie rozgniewał się i choć tak mały, zaczął prawie grozić:

- Ejże, usuń się żywo! Podnieśże nogę!

- To jeszcze ty! - rzekł Jan Valjean i, zerwawszy się nagle, dodał nie zdejmując stopy z pieniądza: - Pójdziesz mi precz!

Dziecko spojrzało nań z przerażeniem, potem zaczęło drżeć na całym ciele i po chwili

osłupienia rzuciło się do ucieczki, nie śmiać obejrzeć się ani wydać okrzyku.

Jednakże odbiegłszy kawał drogi chłopiec zadyszał się i musiał się zatrzymać, a Jan Valjean, pogrążony w rozmyślaniu, usłyszał jego szloch.

Po paru chwilach dziecko znikło.

Słońce zaszło.

Ciemność rozpostarła się wokół Jana Valjean. Nie jadł przez cały dzień; miał prawdopodobnie gorączkę.

Stał jeszcze w miejscu; od czasu ucieczki chłopca nie poruszył się nawet. Pierś wznosiła mu się ciężkim, nierównym oddechem. Utkwił wzrok o dziesięć czy dwanaście kroków przed sobą i wydawało się, że z głęboką uwagą przypatruje się leżącej w trawie, niebieskiej, fajansowej skorupie. Nagle zdrzął; poczuł wieczorny chłód.

Nacisnął czapkę na czoło, machinalnie zgarnął i zapiał bluzę, postąpił krok naprzód i schylił się, aby podnieść kij.

W tej chwili spostrzegł, do połowy wciśnięty nogą w ziemię, srebrny pieniądz, który błyszczał między kamieniami. Doznał jakby galwanicznego wstrząsu.

- A to co? - szepnął przez zęby.

Cofnął się o kilka kroków, potem zatrzymał nie mogąc oderwać wzroku od punktu, gdzie przed chwilą opierał stopę, jak gdyby ten pieniądz błyszczący w ciemności był utkwionym w niego szeroko otwartym okiem.

Po paru chwilach gorączkowo rzucił się na pieniądz, podniósł go i wyprostowany spojrzał w dal na równinę, rozglądał się na wszystkie strony, drżąc jak spłoszony zwierz szukający schronienia.

Nie zobaczył nic. Noc zapadała, równina była zimna i spowita mgłą; gęste, fioletowe opary wzbijały się w górę w poświacie zmierzchu.

Zawołał "Ach!" i poszedł szybko w kierunku, w którym zniknęło dziecko. Zrobiwszy ze sto kroków stanął, rozejrzał się, lecz nic nie dostrzegł.

Wtedy zawołał z całej siły:

- Gerwazek! Gerwazek!

Umilkł i nasłuchiwał.

Nikt nie odpowiadał.

W polu było pusto i głucho. Otaczała go przestrzeń bez granic. Dokoła tylko ciemność, w której gubił się wzrok, i cisza, w której gubił się głos.

Wiał lodowaty wiatr, ożywiając jakimś posępnym życiem otaczające go przedmioty. Krzaki poruszały wątlymi gałązkami z nieprawdopodobną wściekłością. Zdawało się, że

komuś grożą, że kogoś ścigają...

Zaczął iść znowu, potem pobiegł zatrzymując się niekiedy i wołając w tej samotności głosem donośnym, przepojonym najgłębszą rozpaczą:

- Gerwazek! Gerwazek!

Gdyby chłopiec usłyszał jego głos, przeraziłby się na pewno i ani myślałby pokazać mu się na oczy. Ale chłopiec musiał już być daleko.

Spotkał księdza jadącego konno. Podeszedł do niego i zapytał:

- Księżę proboszczu, czy nie widział ksiądz przechodzącego chłopca?

- Nie - rzekł ksiądz.

- Na imię mu Gerwazek.

- Nie widziałem nikogo.

Wydobył z sakiewki dwie sztuki pięciofrankowe i podał księdzu.

- Proszę księdza, to dla ubogich. Proszę księdza, to był chłopczyk może dziesięcioletni, miał, zdaje mi się, morską świnkę i kobzę. Szedł przed siebie. Taki mały Sabaudczyk, ksiądz wie, prawda?

- Nie widziałem go wcale.

- Gerwazek. Może pochodzi z okolicznych wiosek? Nie wie ksiądz?

- Jeżeli jest tak, jak powiadasz, przyjacielu, to jakieś dziecko nietutejsze. Przechodzą tacy przez nasze strony. Nikt ich nie zna.

Jan Valjean porywczo dobył z kieszeni dwie drugie sztuki pięciofrankowe i podał księdzu.

- To dla biednych - rzekł. I dodał na pół przytomnie:

- Proszę księdza, niech mnie ksiądz każe aresztować. Jestem złodziejem.

Ksiądz spiął konia piętami i uciekł bardzo przestraszony.

Jan Valjean zaczął biec w kierunku, który obrał poprzednio. Zrobił tak spory szmat drogi, wypatrując, wołając, krzycząc, lecz nie spotkał nikogo. Dwa czy trzy razy biegł polem ku czemuś, co wydawało mu się postacią ludzką skuloną czy siedzącą na ziemi; były to tylko krzaki lub głązy. Wreszcie w miejscu, gdzie krzyżowały się trzy ścieżki, zatrzymał się. Księżyc już wzeszedł. Sięgnął wzrokiem, jak mógł najdalej, i zawołał po raz ostatni:

- Gerwazek! Gerwazek!

Głos zginął we mgle, nie budząc nawet echa. Szepnął jeszcze "Gerwazek!", ale cicho i niewyraźnie. Był to ostatni wysiłek! Nagle ugięły się pod nim nogi, jak gdyby jakaś niewidzialna potęga przywaliła go całym ciężarem jego nieczystego sumienia; padł wyczerpany na wielki kamień, rękami chwycił się za włosy, twarz pochylił na kolana i

krzyknął:

- Jestem nędznikiem!

Wtedy rozdarło mu się serce i zaczął płakać. Zapłakał po raz pierwszy od dziewiętnastu lat.

Widzieliśmy, że kiedy Jan Valjean opuszczał dom biskupa, uczucia jego były niepodobne do niczego, czego doświadczał do tej pory. Nie mógł pojąć, co się z nim działo. Buntował się przeciw anielskiemu postępkowi i łagodnym słowom starca: "Obiecałeś mi zostać uczciwym człowiekiem. Kupuję twoją duszę. Odbieram ją duchowi przewrotności, a oddaję Bogu". Słowa te powracały doń nieustannie. Tej niebiańskiej pobłażliwości przeciwstawiał pychę, która tkwi w nas niby bastion zła. Czuł niejasno, że przebaczenie tego kapłana było najsilniejszym szturmem, najpotężniejszym natarciem, jakiego doświadczył kiedykolwiek; że jeżeli oprze się tej dobroci, zakamieniałość jego będzie już ostateczna, jeżeli zaś jej ulegnie - będzie musiał wyrzec się tej nienawiści, którą w ciągu tylu lat napełniły jego duszę ludzkie postęпки, a która mu tak dogadzała. Czuł, że tym razem trzeba albo zwyciężyć, albo zostać zwyciężonym; że złość, która w nim była, i dobroć tamtego człowieka toczyły walkę, walkę przeogromną i ostateczną.

Olśniony tymi przebłyskami, szedł jak pijany. Czy, idąc tak z błędnym spojrzeniem, miał świadomość tego, jakie skutki może na niego wyrzucić wydarzenie w Digne? Czy słyszał tajemnicze szepty, które w pewnych chwilach życia ostrzegają lub niepokoją duszę? Czy jakiś głos mówił mu do ucha, że oto przeżył najważniejszą chwilę swojego losu, że odtąd nie ma już dlań drogi pośredniej, że jeżeli nie stanie się najlepszym z ludzi, to będzie najgorszym, że teraz albo musi, że tak powiem, wznieść się wyżej od biskupa, albo spaść niżej od galernika; że jeżeli chce zostać dobrym, musi się stać aniołem, jeżeli zaś chce zostać złym, stać się musi potworem?

I tu znowu trzeba sobie zadać pytanie, które zadawaliśmy sobie już na innym miejscu: czy jakiś cień tych myśli istotnie przemknął mu przez głowę? Zapewne, jakeśmy to już powiedzieli, nieszczęście kształci umysł; wątpliwe jednak, by Jan Valjean był w stanie zdać sobie sprawę z tego, o czym tutaj mówimy. Jeśli te myśli przychodziły mu do głowy, to raczej przeczuwał je mgliście, niż jasno je sobie uświadamiał, odczuwając przy tym nieznośną, prawie bolesną rozterkę. Kiedy wyszedł z wstrętnego i ciemnego miejsca zwanego kaźnią, biskup zadał taki ból jego duszy, jaki zbyt gwałtowne światło zadaje oczom przywykłym do ciemności. Możliwość przyszłego życia, życia czystego i promiennego, które otwierało się teraz przed nim, napełniała go dreszczem i trwogą. Nie wiedział naprawdę, co się z nim dzieje. Ten galernik był olśniony i jakby oślepiiony cnotą, podobnie jak sowa, która nagle

ujrzy wschodzące słońce.

Jedno było pewne - choć się tego nie domyślał - stał się innym człowiekiem, wszystko się w nim odmieniło i nie mógł już cofnąć słów biskupa ani zatrzeć wrażenia, jakie one na nim wywarły.

W takim stanie ducha spotkał był małego Sabaudczyka i skradł mu czterdzieści su. Dlaczego? Tego na pewno nie umiałby wytłumaczyć; czy był to ostatni skutek, niejako największy, ostateczny wysiłek złych myśli, które wyniósł z więzienia, odruch, wynik tego, co w statyce nazywa się "siłą rozpędu"? Może tak, a może nawet i nie. Powiedzmy po prostu: to nie on ukradł, to nie człowiek ukradł, lecz bestia, która z przyzwyczajenia, instynktownie, bezmyślnie postawiła nogę na pieniądzu, podczas gdy umysł szamotał się wśród tylu niezrozumiałych refleksji, nowych i natrętnych. Kiedy zbudziła się myśl i ujrzała postępek bestii, Jan Valjean cofnął się pełen lęku i wydał okrzyk przerażenia.

Albowiem - dziwne to zjawisko, możliwe jedynie w położeniu, w jakim się znajdował - kradnąc pieniądz dziecku, dopuścił się czynu, do którego nie był już zdolny.

Jedno jest pewne: ten ostatni zły czyn wywarł na niego decydujący wpływ; przeniknął nagle chaos panujący w umyśle, oddzielił mroki od światła i w tym stanie, w jakim była jego dusza, podziałał na nią tak, jak pewne odczynniki chemiczne działają na zmętniałe płyny, strącając jedne pierwiastki, a klarując drugie.

W pierwszej chwili, nie badając nawet własnych uczuć ani nie myśląc, przerażony jak człowiek szukający ocalenia, usiłował odnaleźć dziecko, aby mu zwrócić pieniądz; później, kiedy stwierdził, że to jest daremne i niemożliwe, zatrzymał się zrozpaczony. Gdy zawołał: "Jestem nędznikiem!", ujrzał się takim, jakim był w istocie, a tak dalece oddzielił się sam od siebie, że wydał się sobie widziadłem; przed nim zaś jakby stał człowiek z krwi i kości, z kijem w ręku, odziany w bluzę, z tłumokiem pełnym skradzionych rzeczy na plecach, z ponurym, zdeterminowanym obliczem, z nikczemnymi zamiarami w głowie - ohydny galernik Jan Valjean.

Nadmiar nieszczęścia, mówiliśmy już o tym, zrobił zeń niemal wizjonera. I była to jakby wizja. Zobaczył naprawdę przed sobą tego Jana Valjean, tę złowrogą twarz. W pewnej chwili, omal nie zapytał sam siebie, kim jest ten człowiek, i widok jego przejął go grozą.

Umysł jego znajdował się w stanie gwałtownego napięcia, a zarazem straszliwego spokoju, kiedy zaduma jest tak głęboka, że pochłania rzeczywistość. Nie widzi się już wtedy otaczających przedmiotów, a widzi się jakby poza sobą obrazy, które są w mózgu.

Spojrzał więc sobie, że tak powiem, prosto w oczy, a zarazem poprzez ten sen na jawie zobaczył w tajemniczych głębiach jakieś światło, które zrazu wydało mu się pochodnią.

Przypatrując się uważnie temu światłu, które pojawiło się w jego świadomości, dostrzegł, że miało ono kształt ludzki i że tą pochodnią był biskup.

Świadomość jego badała kolejno tych dwóch ludzi, którzy przed nią stanęli: biskupa i Jana Valjean. Potrzebny był człowiek tej miary co pierwszy, aby zniweczyć drugiego. Im dłużej trwała jego zaduma - zjawisko szczególne, właściwe takim uniesieniom - biskup rósł i promieniał w jego oczach, a Jan Valjean malał i niknął. Wkrótce stał się tylko cieniem. Nagle zniknął. Pozostał jedynie biskup. Wypełniał całą duszę tego nędznika wspaniałym blaskiem.

Jan Valjean długo płakał. Płakał gorącymi łzami, łkał i szlochał, słabszy niż kobieta, bardziej zalękniony niż dziecko.

Gdy tak płakał, coraz większa jasność ogarniała jego umysł, jasność dziwna, zachwycająca i straszna zarazem. Życie przeszłe, pierwszy błąd, długa pokuta, zewnętrzne zbydlęcenie, wewnętrzna zatwardziałość, wyzwolenie i słodkie plany zemsty, to, co mu się zdarzyło u biskupa, i - ostatnia rzecz, którą uczynił, kradzież pieniądza dziecku, zbrodnia tym bardziej nikczemna i tym potworniejsza, że dokonana po przebaczeniu u biskupa, wszystko to przypomniał sobie i ujrzał jasno i w takim świetle, jakiego nigdy jeszcze nie oglądał. Spojrzał na swoje życie i wydało mu się ono okropne; na swoją duszę i dusza wydała mu się ohydna. A jednak na to życie i na tę duszę spływał łagodny blask. Zdawało mu się, że widzi szatana w promieniach raju.

Ile godzin tak płakał? Co później uczynił? Dokąd poszedł? Nie dowiedziano się nigdy. Jedno zdaje się pewne, że tej samej nocy woźnica dyliżansu z Grenoble, który przyjechał do Digne około trzeciej rano, mijając plac katedralny, widział w mroku człowieka klęczącego na bruku i modlącego się przed drzwiami eksceleńcji Benvenuta.

**Księga trzecia**

**W roku 1817**

# I

## Rok 1817\*

Rok 1817 był tym rokiem, który Ludwik XVIII, z monarszą butą nie pozbawioną dumy, nazywał dwudziestym drugim rokiem swego panowania. Był to rok, w którym słynny stał się pan Bruguiere de Sorsum, i wszyscy perukarze, spodziewając się, że powróci moda pudru i peruk, malowali swe sklepy w lilie burbońskie na błękitnym polu. Naiwne czasy, kiedy to hrabia Lynch zasiadał co niedziela jako kurator kościelny w kolatorskiej ławie w Saint-Germain-des-Prés, w stroju para Francji, z czerwoną wstęgą, długim nosem i majestatycznym profilem, właściwym człowiekowi, który dokonał wielkiego czynu. A oto wielki czyn hrabiego Lyncha: będąc merem Bordeaux, nieco zbyt skwapliwie oddał miasto księciu d'Angoulême 12 marca 1814 roku. Stąd jego parostwo. W roku 1817 zgodnie z modą, głowy kilkuletnich chłopców ginęły w wielkich skórzanych czapach z nausznikami, przypominających kołpaki Eskimosów. Wojsko francuskie umundurowane było z austriacka - na biało; pułki nazywały się legiami; zamiast cyfr nosiły nazwy departamentów. Napoleon przebywał na Św. Helenie i - ponieważ Anglia odmówiła mu zielonego sukna - oddawał do nicowania stare mundury. W 1817 roku Pellegrini śpiewał, panna Bigottini tańczyła, Potier królował; o Odry'm jeszcze nie słyszano; po Forioso nastąpiła pani Saqui. Prusacy jeszcze byli we Francji. Pan Delalot stał się osobistością. Prawowita władza objawiła się właśnie, obciąwszy ręce, a potem i głowy Pleignierowi, Carbonneau i Tolleronowi. Wielki szambelan książę Talleyrand i ksiądz Louis, mianowany ministrem finansów, zerkali ku sobie, śmiejąc się śmiechem augurów; w dniu 14 lipca 1790 roku na Polu Marsowym obaj celebrowali przy ołtarzu z okazji Zjednoczenia; Talleyrand odprawiał mszę jako biskup, ksiądz Louis służył do mszy jako diakon. W roku 1817 w bocznych alejach tego samego Pola Marsowego mokły na deszczu i butwiały w trawie wielkie bale drewniane, malowane na niebiesko i noszące na sobie jeszcze ślady złotych orłów i pszczół. Były to kolumny, które dwa lata temu, podczas Zgromadzenia Majowego, podpierały estradę cesarza. Gdzieś czerniały na nich zwęglone miejsca, wspomnienie po ogniskach Austriaków, obozujących w pobliżu Gros-Caillou. Parę tych kolumn spłonęło w ogniu biwaków, ogrzewając wielkie łapy

---

\* Rok 1817 - Rozdział ten, pełen erudycyjnych aluzji historycznych, czytelnik może opuścić bez szkody dla ciągłości akcji. Zainteresowanych odsyłamy do książki Edmunda Biré pt. "Rok 1817", w której prostuje on szereg nieścisłości autora "Nędzników".

“kajzerlików”. Zgromadzenie Majowe zaś miało to osobliwe, że odbywało się w czerwcu na Polu Marsowym. Dwie rzeczy były popularne w owym roku 1817: Wolter-Touquet i tabakiera z tekstem konstytucji. Najświeższym wydarzeniem elektryzującym Paryż była zbrodnia Dautuna, który wrzucił odciętą głowę swego brata do sadzawki na Rynku Kwiatowym.

W Ministerium Marynarki wszczęto dochodzenia w sprawie nieszczęsnej fregaty “Meduza”, która miała hańbą okryć Chaumareixa, a sławą Gericaulta. Pułkownik Selves wyjechał do Egiptu, aby stać się tam Solimanem-paszą. W pałacu Termów przy ulicy de la Harpe mieścił się sklepik bednarza. Na ośmiokątnej wieży pałacu Cluny widać było jeszcze budkę drewnianą, która służyła za obserwatorium Messierowi, astronomowi floty morskiej za czasów Ludwika XVI. W swoim buduarze, gdzie stały meble wygięte w łuk, kryte błękitnym jedwabiem, księżna Duras czytała kilku przyjaciółom nie wydaną jeszcze “Urikę”. Z Luwru zdrapywano wszystkie N... Most Austerlitzki zrzekł się dawnej nazwy, by przybrać godność “mostu Ogrodu Królewskiego”, co było podwójną zagadką, kryjącą w sobie i most Austerlitzki, i Ogród Botaniczny. Ludwik XVIII, paznokciem zaznaczając miejsca na marginesach w Horacym, trapiiony ciągłą obawą przed bohaterami, wyrastającymi na cesarzy, i szewcami, wyrastającymi na następców tronu, miał dwie zgryzoty” Napoleona i Maturyna Bruneau. Akademia Francuska ogłosiła nagrodę za pracę na temat: “Szczęście, które daje nauka”. Pan Bellart był urzędowo wymowny. W Jego cieniu wzrastał ów przyszły prokurator, de Bröe, który miał paść ofiarą sarkazmów Pawła Ludwika Courier. Pojawił się fałszywy Chateaubriand zwany Marchangy, nim pojawił się fałszywy Marchangy zwany d'Arlincourt. “Claire d'Albe” i “Malek-Adel” uważano za arcydzieła, panią Cottin zaś za najświetniejszą pisarkę swoich czasów. Instytut pozwolił skreślić ze swej listy akademika Napoleona Bonaparte. Z rozkazu królewskiego w Angoulême powstała szkoła morska; wobec tego bowiem, że książę d'Angoulême był wielkim admirałem, miasto Angoulême musiało posiadać wszelkie właściwości portu morskiego, gdyż w przeciwnym wypadku zostałyby podważone podstawy monarchii. Na radzie ministrów roztrząsano zagadnienie, czy należy tolerować afisze cyrku Franconiego, ozdobione rysunkami, przedstawiającymi linoskoczków, przed którymi gromadziła się gawiedź uliczna. Pan Paër, autor “Agnieszki”, pocziwina z kwadratową twarzą i brodawką na policzku, dyrygował koncertami, odbywającymi się w zamkniętym gronie u markizy de Sassenaye przy ulicy de la Ville-l'Evêque. Wszystkie dziewczęta śpiewały “Pustelnika z Saint-Avelle” (słowa Edmunda Géraud). “Żółty Karzeł” przemienił się w “Zwierciadło”. Kawiarnia Lemblin trzymała za cesarzem, kawiarnia Valois zaś przeciwnie - za Burbonami. Księcia de Berry, obserwowanego już skrycie przez Louvela,

wyswatano właśnie z księżniczką sycylijską. Minał rok od śmierci pani de Stael. Gwardia królewska wygwizdała pannę Mars. Wielkie dzienniki były małe. Format był nieduży, ale duża swoboda słowa. "Constitutionnel" opowiadał się za konstytucją. "Minerwa" nazywała Chateaubrianda - Chateaubriantem. To "t" wywołało wiele śmiechu publiczności kosztem wielkiego pisarza. W dziennikach, zaprzędanych rządowi, przekupni dziennikarze lżyli wygnańców z 1815 roku; David nie miał już talentu, Arnault nie miał już dowcipu, Carnotowi odmawiano uczciwości; Soult nie wygrał żadnej bitwy; co prawda i Napoleon nie był już geniuszem! Każdy wie, jak rzadko dochodzą do wygnańców listy, wysłane pocztą, gdyż policja je przejmuje uważając to za swój najświętszy obowiązek. To nic nowego. Kartzjusz zalił się na to, będąc na wygnaniu. Otóż - gdy David w jakiejś gazecie belgijskiej wyraził niezadowolenie, że nie otrzymuje wysłanych doń listów, wydało się to bardzo uciężne pismakom rojalistycznym i przy tej okazji na wygnańca posypały się szyderstwa. Jedni mówili - "królobójcy", inni - "wotanci", jedni - "nieprzyjaciele", inni - "sprzymierzeńcy", jedni - "Napoleon", inni - "Buonaparte" i słowa te dzieliły ludzi bardziej niż przepaść. Każdy rozsądny człowiek uważał, że okres rewolucji został na zawsze zamknięty przez króla Ludwika XVIII zwanego "nieśmiertelnym twórcą konstytucji". U wylotu mostu Nowego, na cokole czekającym na posąg Henryka IV, wyryto słowo: Redivivus. Na ulicy Teresy nr 4 pan Piet organizował pierwsze tajne schadzki, by umocnić monarchię. Przywódcy prawicy zwykli byli mawiać w ważnych okolicznościach: "Trzeba napisać do Bacota!" Panowie Canuel, O'Mahony i de Chappedelaine, popierani dyskretnie przez brata królewskiego, układali pierwszy zarys tego, co później miało się zwać Spiskiem Nadbrzeżnym.

Sprzysiężenie Czarnej Szpilki spiskowało na swoją rękę. Delaverderie porozumiewał się z Trogoffem. Pan Decazes, umysł w pewnej mierze liberalny, rządził. Chateaubriand co rano stojąc w oknie przy ulicy Św. Dominika nr 27, w obcisłych spodniach, w pantoflach, w szlafmocy na siwej głowie, wpatrzony w lustro, z pudrem pełnym dentystycznych przyborów pod ręką, dłubał w pięknych zresztą zębach, dyktując równocześnie sekretarzowi, panu Pilorge, warianty swej "Monarchii konstytucyjnej". Krytyka nadająca ton stawiała wyżej Lafona od Talmy. Pan de Feletz podpisywał się A.; pan Hoffmann podpisywał się Z.; Karol Nodier pisał "Teresę Aubert". Zniesiono rozwody. Licea zwały się kolegiami; uczniowie zaś tych kolegów, którzy na kołnierzach mieli złote lilie burbońskie, okładali się kułakami z powodu króla rzymskiego\*. Tajna policja pałacowa donosiła jej królewskiej wysokości, że na wystawionym wszędzie portrecie księżę Orleanu prezentuje się lepiej w swym mundurze generała huzarów niż księżę de Berry w mundurze generała dragonów;

poważne uchybienie! Miasto Paryż pozłociło na swój koszt kopułę Inwalidów. Ludzie stateczni zadawali sobie pytanie, jak w danej sytuacji postąpiłby pan de Trinquelague; pan Clausel de Montals w wielu poglądach różnił się od pana Clausel de Coussergues; pan de Salaberry był niezadowolony. Aktor Picard, będący członkiem Akademii, do której nie mógł się dostać aktor Moliere, wystawiał właśnie sztukę pt. "Dwaj Fitliberci" w teatrze "Odeon", gdzie na frontonie, mimo startych liter, można jeszcze było odczytać z łatwością napis: Teatr Cesarzowej. Opowiadano się za Cugnet de Montarlot albo przeciw niemu. Fabvier był buntownikiem; Bavoux rewolucjonistą. Księgarz Pélicier wydał na nowo Woltera, pod tytułem "Dzieła Woltera, członka Akademii Francuskiej". "To przyciąga publiczność" - twierdził ten naiwny wydawca. Panowała powszechna opinia, że pan Karol Loyson będzie geniuszem stulecia; zawiść zaczynała go kąsać - nieomylny znak sławy; kursował o nim wierszyk:

*Nawet gry Loyson fruwa, wiadomo, że ma łapy.\**

Ponieważ kardynał Fesch nie chciał ustąpić, diecezją lyońską administrował jego wielebność de Pins, arcybiskup Amazji. Spór o dolinę Dappes między Francją a Szwajcarią zaczął się od memoriału kapitana Dufoura, obecnie generała. Saint-Simon w osamotnieniu budował swoje wzniosłe marzenia. W Akademii Nauk był sławny Fourier, o którym potomność zapomniała, a na jakimś poddaszu żył drugi Fourier, o którym nikt wówczas nie słyszał, a którego miały pamiętać przyszłe pokolenia. Zaczęła wschodzić gwiazda lorda Byrona; Millevoye w notce do swego poematu przedstawił go Francuzom w tych słowach: "Niejaki lord Baron". David d'Angers próbował swoich sił w marmurze. W zaułku des Feuillantines ksiądz Caron wygłaszał w kółku kleryków wielkie pochwały na temat nieznanego księdza Felicjana Roberta, który został później księdzem Lamennais. Coś, co dymiło i pluskało jak pies, który płynie, jeździło po Sekwanie pod oknami Tuileriów od mostu Królewskiego do mostu Ludwika XV; była to machina niewiele warta, rodzaj zabawki, szaleńczy pomysł jakiegoś fantasty, utopia: statek parowy. Paryżanie spoglądali zupełnie obojętnie na tę rzecz nieużyteczną. Pan de Vaublanc, który zreformował Instytut dzięki zamachowi stanu, zarządzeniom i masowym awansom, szacowny twórca licznych akademików, sam akademikiem nie mógł zostać. Przedmieście Saint-Germain i oficyna Marsan życzyły sobie, aby prefektem policji został pan Delaveau, ponieważ był to człowiek bardzo pobożny. W auli wydziału medycznego Dupuytren i Récamier wygrażali sobie

---

\* Król rzymski – syn Napoleona I i Marii Ludwiki.

\* Spartaryzowany przez Wiktora Hugo wiersz Lemierre`a (1723-1793) "nawet kiedy ptak chodzi to czuć, że ma skrzydła".

pięściami, kłócąc się o boskie pochodzenie Chrystusa. Cuvier, jednym okiem zerkając w stronę Księgi Rodzaju, a drugim w stronę natury, starał się przypodobać świętoszkowatej reakcji, uzgadniając wykopaliska z tekstami i każąc mastodontom uwielbiać Mojżesza. Pan Franciszek do Neufchâteau, godny pochwały czciciel pamięci Parmentiera, czynił niezliczone, a daremne wysiłki, by słowo “ziemniaki” zastąpić słowem “parmentieri”. Ksiądz Gregoire, były biskup, były członek Konwentu, były senator, spadł w polemikach rojalistów do rzędu “nikczemnej kreatury”. To wyrażenie, którego użyliśmy przed chwilą, “spaść do rzędu” pan Royer-Collard uznał za neologizm. Przy trzecim przęśle mostu noszącego imię Jeny, na filarze, widać jeszcze było białą plamę nowego kamienia, którym dwa lata temu zatknano dziurę po minie, mającej z rozkazu Blüchera - wysadzić most w powietrze. Sprawiedliwość pozwała przed kratki człowieka, który widząc księcia d'Artois wchodzącego do katedry Marii Panny, na głos wykrzyknął: “Do diabła! Żałuję tych czasów, kiedy to Bonaparte z Talmą pod rękę szli sobie razem na zabawę!” Buntownicze słowa! Sześć miesięcy więzienia. Zdrajcy paradowali w najlepsze, ludzie, którzy w przeddzień bitwy przeszli na stronę nieprzyjaciela, nie ukrywali zgoła osiągniętych korzyści i z cynizmem wystawiali na widok publiczny swoje bogactwa i dostojęństwo; dezercerzy spod Ligny i spod Quatre-Bras, bezwstydnie obnażając opłaconą hańbę, głosili bez osłonek swoje wiernopod-dańcze uczucia, zapominając o napisie, umieszczanym w Anglii w publicznych klozetach:

*Please, adjust your dress before leaving.\**

Oto bezładny szkic spraw, które się jeszcze pamięta z zapomnianego już dziś roku 1817. Historia pomija większość tych charakterystycznych drobiazgów i nie może postępować inaczej; zagubiłaby się bowiem w ich mnogości. Jednakże sprawy te niesłusznie uważane za małe - nie ma małych zdarzeń w historii ludzkości, podobnie jak nie ma małych liści w świecie roślinnym - są użyteczne. Z fizjonomii lat składa się oblicze wieków.

W tym to roku 1817 czterej młodzi paryżanie zrobili “świetny kawał”.

---

\* Uprasza się o uporządkowanie ubrania przed wyjściem.

## II

### Dwa kwartety

Paryżanie ci pochodzili - jeden z Tuluzy, drugi z Limoges, trzeci z Cahors, a czwarty z Montauban; ale byli studentami, a student to paryżanin; studiować w Paryżu to urodzić się w Paryżu.

Byli to zupełnie przeciętni młodzi ludzie; pełno jest takich jak oni; cztery pierwsze z brzegu próbki. Ani źli, ani dobrzy, ani mądrzy, ani głupi, ani geniusze, ani durnie; piękni kwietniowym czarem, który się zwie: dwadzieścia lat. Było to czterech szablonowych "Oskarów", bo w owym czasie nie nadeszła jeszcze moda na "Arturów". "Palcie na jego cześć wonności Arabii! - wołała modna pieśń - Oskar nadchodzi! Ujrzę Oskara". Dopiero minęła moda Osjana, prawdziwa elegancja była skandynawska i szkocka; styl czysto angielski miał zapanować dopiero w przyszłości, a pierwszy z Arturów, Wellington, dopiero co wygrał bitwę pod Waterloo.

Oskarowie ci zwali się: jeden, Feliks Tholomyés rodem z Tuluzy; drugi, Listolier - z Cahors; trzeci, Fameuil - z Limoges, ostatni wreszcie, Blachevelle - z Montauban. Każdy z nich miał naturalnie kochankę. Blacheyelle kochał Favourite, zwaną tak dlatego, że była kiedyś w Anglii; Listolier uwielbiał Dalię, która wzięła swoje "zawołanie wojenne" od nazwy kwiatu; Fameuil ubóstwiał Zefinę (skrót od Józefina); Tholomyés zaś miał Fantynę, zwaną "Złotowłosą" dla pięknych włosów koloru słońca.

Favourite, Dalia, Zefina i Fantyna były to cztery urocze dziewczyny, świeże i promienne, jeszcze trochę robotnice, gdyż niezupełnie wzięły rozbrat z igłą, i chociaż zajęte miłośkami, miały na twarzach resztę pogody, którą daje praca, a w duszy kwiat uczciwości, który pozostaje w sercu kobiety, mimo pierwszego upadku. Jedną z tej czwórki zwano "małą", gdyż była najmłodszą, inną zwano "starą". Stara miała dwadzieścia trzy lata.

Aby nic nie ukrywać, powiedzmy, że trzy pierwsze były bardziej doświadczone, bardziej beztroskie i bardziej otrzaskane z rozgwarem świata niż złotowłosa Fantyna, która przeżywała swoje pierwsze złudzenie.

Ani Dalia, ani Zefina, a przede wszystkim Favourite nie mogłaby tego powiedzieć o sobie. Historia ich życia - ledwie rozpoczętego - składała się już z wielu epizodów, i kochanek, który nosił imię Adolfa w pierwszym rozdziale, okazywał się Alfonsem w drugim,

a Gustawem\* w trzecim. Bieda i zalotność to złe doradczynie: jedna gani, druga pochlebia; obie zaś sączą swe rady do ucha pięknym dziewczętom z ludu. Istoty te, źle strzeżone, słuchają. Tym tłumaczą się ich upadki i kamienie, którymi się je obrzuca. Potępia się je ze wspaniałością wszystkiego, co nieskalane i niedostępne. Niestety! A gdyby Jungfrau odczuwała głód?

Zefina i Dalia podziwiała Favourite, gdyż przebywała czas jakiś w Anglii. Favourite wcześniej zamieszkała sama. Ojciec jej, stary nauczyciel matematyki, gburowaty i chełpliwy, nie był żonaty i mimo podeszłego wieku biegał z lekcji na lekcje. Jako młody człowiek zobaczył raz, jak spódniczka pokojówki zahaczyła się o drzwiczki od pieca; to sprawiło, że się zakochał. Rezultatem tego wydarzenia była Favourite. Od czasu do czasu spotykała swego ojca, który jej się kłaniał. Pewnego dnia rano przyszła do niej jakaś stara kobieta o wyglądzie dewotki i spytała: “Panienska mnie nie poznaje?” “Nie”. “Jestem twoją matką”. Po czym stara otworzyła kredens, napiła się i najadła, przyniosła swój materac i zagospodarowała na dobre. Ta matka, zrzęda i dewotka, nie odzywała się nigdy do córki, całymi godzinami siedziała bez słowa, jedząc i pijąc za cztery, i chodziła w odwiedziny do stróża, gdzie obgadywała córkę.

Dalia miała zbyt piękne, różowe paznokietki, i to właśnie pchnęło ją w ramiona Listoliera, a może i innych młodzieńców, i skłoniło do próżniactwa. Jakże zameczać pracą tak śliczne paluszki? Ta, która chce pozostać cnotliwa, nie może litować się nad swoimi rękami.

Zefina podbiła Fameuila przekornym, a pieszczotliwym sposobem mówienia: “Tak, proszę pana!”

Ponieważ czterej młodzieńcy byli kolegami, cztery dziewczyny zostały przyjaciółkami. Takie miłostki idą zazwyczaj w parze z takimi przyjaźniami.

Cnota i filozofia to dwie różne sprawy; a dowód, że Dalia, Zefina i Favourite - z wszelkimi zastrzeżeniami, jakie nasuwają ich nieprawne związki - były filozofkami, Fantyna zaś była cnotliwa.

“Cnotliwa? - zapytacie - a Tholomyés ?” Salomon odpowiedziałby na to, że miłość jest częścią cnoty. My zaś stwierdzamy tylko, że była to pierwsza miłość Fantyny, miłość jedyna, miłość wierna.

Ją jedyną z tej czwórki dziewcząt jeden tylko mężczyzna nazywał po imieniu.

Fantyna należała do tych istot, które rozkwitają, aby tak rzec, wśród ludu. Wyszedłszy z najbardziej niezbadanych pokładów mroku społecznego, miała na czole znamię

---

\* Adolf – bohater powieści Beniamina Constant pod tym samym tytułem; typ romantycznego kochanka. Alfons – syn; mężczyzna żyjący na koszt kobiet. Gustaw – bohater powieści Karola Paul de Kocka pt. “Gustaw czyli nicpoń”; lekkomyślny uwodziciel.

bezimiennosci i tajemnicy. Urodziła się w Montreuil-sur-mer. Kim byli jej rodzice? Któż mógłby to powiedzieć? Nikt nie znał jej ojca ani matki. Nazywała się Fantyna. Dlaczego Fantyna? Innego imienia nigdy nie miała. Urodziła się za Dyrektoriatu; nie miała nazwiska, bo nie miała rodziny; nie miała imienia chrzestnego, bo wtedy nie było kościoła. Nazywała się tak, jak ją nazwał jakiś przechodzień, spotkawszy ją, malutką, drepcącą na bosaka po ulicy. Spadło na nią to imię, jak krople deszczu spadały jej na czoło w czasie ulewy. Nazywano ją małą Fantyną. Nikt więcej o niej nic nie wiedział. Tak weszła w życie ta istota ludzka. Mając lat dziesięć Fantyna opuściła miasto i zgodziła się na służbę do któregoś z okolicznych gospodarzy. Mając piętnaście lat przybyła do Paryża “szukać szczęścia”, Fantyna była piękna i pozostała czystą tak długo, jak mogła. Była to śliczna blondynka o pięknych zębach. Miała złoto i perły w posagu, ale złoto nosiła na głowie, a perły w ustach.

Pracowała, aby żyć; później, także aby żyć - serce bowiem również bywa głodne - pokochała.

Pokochała Tholomyés a.

Dla niego była to miłostka, dla niej - namiętność. Ulice Dzielnicy Łacińskiej, przepełnione ruchliwym tłumem studentów i gryzetek, oglądały początek tego marzenia. W owym labiryncie na wzgórzu Panteonu, gdzie tyle miłosnych przygód zaczyna się i kończy, Fantyna długo uciekała przed Tholomyésem, ale tak, żeby go zawsze spotkać. (Czasami ucieczka dziwnie podobna jest do pogoni.) Słowem, zaczęła się sielanka.

Blacheville, Listolier i Fameuil tworzyli zżyłą paczkę, której przywódcą był Tholomyés. On był jej mózgiem i dowcipem.

Tholomyés był “wiecznym studentem”. Zamożny, miał cztery tysiące franków renty; cztery tysiące franków! Rzecz niesłychana na Wzgórzu Św. Genowefy. Tholomyés był hulaką trzydziestoletnim, mocno już zużytym; twarz miał w zmarszczkach, brakowało mu paru zębów. Zaczynał łysieć, o czym zwykł był mówić żartobliwie: “Wysokie czoło w trzydziestym roku, w czterdziestym łysa pała!” Cierpiał na niestrawność, łzawiło mu jedno oko. Ale w miarę jak gasła jego młodość, rozpałał swoją wesołość; brak zębów nadrabiał błazeństwami, brak włosów - humorem, brak zdrowia - drwiną; jego zażawione oko śmiało się ciągle. Był zniszczony, ale pełen werwy. Młodość, uciekając przedwcześnie, rejterowała zręcznie, wesoło i błyskotliwie. Tholomyés napisał sztukę, którą odrzucił teatr “Vaudeville”. Klecił też mierne wierszyki. Poza tym powątpiewał o wszystkim, co w oczach ludzi słabych dowodzi wielkiej siły. Tak więc - będąc ironiczny i łysy - przewodził kolegom. *Iron* to angielskie słowo, które oznacza żelazo. Czyżby stąd wywodziło się słowo ironia?

Pewnego dnia Tholomyés wziął na bok swoich trzech przyjaciół i rzekł do nich tonem

wyroczeni:

- Już od roku blisko Fantyna, Dalia, Zefina i Favourite proszą nas o jakąś niespodziankę. Obiecaliśmy im to uroczyście. Ciągłe o to męczą nas, a mnie przede wszystkim. Jak te staruszki z Neapolu, co wzywają św. Januarego: "*Faccia gialluta, fa o miracolo*" - "Żółta twarzyczko! Uczyń cud!" - tak i nasze ślicznotki powtarzają mi bez przerwy: "Tholomyés! kiedyż wysiedzisz wreszcie swoją niespodziankę?!" Równocześnie zaś nasi rodzice zasypują nas listami. Jesteśmy między młotem a kowadłem. Sądzę, że nadeszła odpowiednia chwila. Pogadajmy!

Tu Tholomyés zniżył głos i szepnął tajemniczo coś tak zabawnego, że czworo ust roześmiało się jednocześnie szyderczym i entuzjastycznym śmiechem. Blachevelle zawołał:

- To ci pomysł!

Nawinęła się zadymiona kawiarenka, wstąpili do niej i dalsze narady skryły się w jej cieniu.

Z mroków tych wynikła zachwycająca wycieczka, która odbyła się w następną niedzielę i na którą czterej kawalerowie zaprosili cztery dziewczęta.

### III

#### Cztery pary

Trudno sobie dziś wyobrazić, jak wyglądały majówki studenckie czterdzieści pięć lat temu. Paryż ma już inne okolice; zmieniło się też całkiem to, co w okresie tego półwiecza można by nazwać życiem podmiejskim; tam gdzie niegdyś była bryka, teraz jest wagon, tam gdzie był prom - jest parostatek, dziś mówi się "Fécamp", tak jak dawniej mówiło się "Saint-Cloud".

W roku 1862 cała Francja jest właściwie przedmieściem Paryża.

Cztery parki sumiennie wykorzystały wszystkie dostępne wówczas sielskie rozkosze. Zaczynały się wakacje, był słoneczny i ciepły letni dzień. Poprzedniego dnia Favourite, jedyna z dziewcząt, która umiała pisać, skreśliła w imieniu wszystkich czterech do Tholomyés a te słowa: "To bendzie wielka pszyiemność wyjść o śficie". Dlatego też wstali o 5 rano. Pojechali koczem do Saint-Cloud, przyjrzeni się wyschniętemu wodospadowi i zawołali: "To musi być bardzo piękne, gdy jest woda!"; zjedli śniadanie "Pod Czarną Głową", gdzie Castaing\* jeszcze się nie zatrzymywał, rzucali pierścienie wśród drzew nad wielkim basenem, weszli na latarnię Diogenesa\*, w ruletce na moście Sewrskim wygrali makaroniki, zrywali naręcza kwiatów w Puteaux, kupili sobie fujarki w Neuilly, jedli wszędzie ciastka z jabłkami i byli najzupełniej szczęśliwi.

Dziewczęta paplały i szczebiotały jak sikorki wypuszczone z klatki. Szalały z radości. Od czasu do czasu lekką rączką uderzały towarzyszy po ramieniu. Młodzieńcze upojenie życiem! Urocze lata! Drżą skrzydła ważek. Ach! Kimkolwiek jesteś, czytelniku, czy pamiętasz te chwile? Czy przedzierałeś się kiedy przez gąszcze, rozsuwając gałęzie, aby nie uderzyły uroczej główki idącej za tobą dziewczyny? Czy, śmiejąc się, ześlizgiwałeś się wraz ze swą miłą z pagórka zroszonego deszczem, gdy ona czepiając się twej ręki wołała: "Ach, moje nowe pantofelki! Popatrz, w jakim są opłakanym stanie!"

Powiedzmy od razu, że nasze wesołe towarzystwo ominęła jedna zabawna przygoda: nie spotkała ich ulewa, choć Favourite wychodząc z domu rzekła tonem mentorskim i macierzyńskim:

---

\* Edmund Samuel Castaino (1797-1826) lekarz paryski, który w tej oberży otruł swego przyjaciela.

\* Latarnia Diogenesa - obelisk w parku Saint - Cloud, czasami kojarzony z latarnią, którą według znanej anegdoty filozof Diogenes świecił sobie w biały dzień, szukając prawdziwego człowieka".

- Ślimaki łążą po ścieżkach. Będzie deszcz, moje dziatki!

Wszystkie cztery dziewczęta były prześliczne. Pewien stary poeta - klasyk, cieszący się wówczas powodzeniem, kawaler de Labouisse, pocziwina, który wielbił w wierszach swoją Eleonorę, przechadzając się tego dnia pod kasztanami w Saint-Cloud, ujrzał je koło dziesiątej rano i zawołał: "O jedną za dużo!" - mając na myśli trzy Gracje. Favourite, kochanka Blachevelle'a, owa "stara" licząca dwadzieścia trzy lata, biegła przodem pod zielonymi konarami, skakała przez rowy, przesadzała jak szalona krzaki i wiodła prym w tej ogólnej wesołości z ogniem młodej driady. Dalia i Zefina, które, zrzędzeniem losu, ślicznie wyglądały razem, uzupełniając i podkreślając nawzajem swoją urodę, były nierozłączne, z zalotności raczej niż z przyjaźni, i wsparte o siebie przybierały angielskie pozy. Pojawiły się już pierwsze keep-sakes, melancholia zaczynała wchodzić w modę u kobiet jak później bajronizm u mężczyzn, i włosy płci pięknej zaczynały spływać w dół. Dalia i Zefina ułożyły włosy w długie loki. Listolier i Fameuil, pochłonięci rozmową o profesorach, tłumaczyli Fantynie różnicę między panem Delvincourt a panem Blondeau.

Blachevelle - zdawało się - stworzony został po to, by w niedzielę nosić na ramieniu taniuchny szal Favourite'y z krajowego kaszmiru.

Tholomyés szedł na końcu, panując nad całą gromadką. Był bardzo wesoły, ale czuło się, że on tu rządzi; mimo dobroduszości sprawował dyktatorską władzę; główną jego ozdobą były bardzo szerokie nankinowe spodnie ze strzemiączkami plecionymi z miedzianego drutu; w ręku miał grubą laskę trzciniową za dwieście franków, ponieważ zaś nie odmawiał sobie niczego, w ustach trzymał rzecz dziwaczną, zwaną cygarem. Nie było nic świętego dla tego człowieka! On palił!

- Ten Tholomyés jest nadzwyczajny - mówili o nim z szacunkiem towarzysze. - Co za spodnie! Co za energia!

Fantyna była samą radością. Jej olśniewające ząbki Bóg stworzył najwyraźniej właśnie po to, by błyskały w uśmiechu. Kapelusik słomkowy z długimi, białymi wstążkami chętniej nosiła w ręku niż na głowie. Jej gęste, jasne włosy były puszyste i nieposłuszne, tak że musiała ciągle je poprawiać - rzekłbyś, Galatea uciekająca pod wierzbami. Różowe usta szczebiały uroczo. Kąciki ich, zmysłowo uniesione w górę jak na starożytnych maskach przedstawiających Erygonę, zdawały się zachęcać śmiałków; lecz przeczyły im wstydliwie spuszczone długie, cieniste rzęsy. Jej ubiór łączył w sobie wdzięk kwiatu i piosenki. Miała lila suknię bareżową, mieniące się metalicznie koturny, których wstążki krzyżowały się na cienkich, białych, ażurowych pończoszках, i obcisły staniczek z muślinu, noszony w

Marsylii i zwany "kanzu" - zniekształcone słowa *quinze aout*<sup>\*</sup>, a w marsylskiej gwarze oznaczające lato, upał, południe. Tamte trzy dziewczęta, nie tak wstydlive, jak już o tym wspomnieliśmy, wydekoltowały się śmiało, co w lecie, przy kapeluszach ozdobionych kwiatami, pełne jest zalotnego wdzięku; ale obok ich wyzywających strojów, muślinowe "kanzu" złotowłosej Fantyny, przezroczyście, niedyskretne, a skromne, zasłaniając i odsłaniając zarazem, było pomysłem pełnym drażniącego powabu, jaki odkryła wstydlivość. Na słynnym Dworze Miłości, któremu przewodniczyła wicehrabina de Cette o oczach zielonych jak morska woda, przyznano by nagrodę zalotności temu właśnie "kanzu", który ubiegał się o nagrodę skromności. Szczyt naiwności jest niekiedy szczytem wyrafinowania. Tak bywa.

Promienna twarz, delikatny profil, ciemnoniebieskie oczy o ciężkich powiekach, małe stopy o wysokim podbiciu, cienkie przeguby rąk i nóżki w kostce ślicznie związane, biała skóra z przeświecającą miejscami siecią błękitnych żyłek, świeże dziecinne jagody, szyja pełna jak u Junony z Eginny, karczek giętki i krzepki, plecy jak wyrzeźbione przez Coustou, z wgłębieniem pośrodku, pełnym zmysłowego czaru i dostrzegalnym przez przezroczyść muślinu; wesołość zaprawiona zadumą; posągowa i urocza, taka była Fantyna; pod fatałaszki i wstążeczkami odgadywałaś posąg, a w tym posągu duszę.

Fantyna była piękna, nie bardzo o tym wiedząc. Nieliczni myśliciele, tajemniczy kapłani piękna, którzy w milczeniu każdą rzecz porównują z ideałem, poprzez wdzięk młodej paryżanki dostrzegliby w tej małej robotnicy starożytną świętą Harmonię. Ta dziewczyna z gminu miała rasę. Było w niej dwojakie piękno - piękno stylu i piękno ideału; rytm jest ruchem ideału. Powiedzieliśmy już, że Fantyna była samą radością; Fantyna była także wstydlivością.

Uważny obserwator dostrzegłby w niej łatwo, mimo upojenia młodością, latem i miłością, niezmienny wyraz powściągliwości i skromności. Wciąż była lekko zdziwiona. To niewinne zadziwienie jest subtelną różnicą, która odróżnia Psyche od Wenus. Fantyna miała długie, białe, cienkie palce westalki, która złotą igłą porusza popiół świętego ogniska. Choć nie odmówiła niczego kochankowi, jak zobaczymy to wkrótce aż nazbyt wyraźnie, w chwilach spoczynku wyraz jej twarzy tchnął nieskalaną dziewiczością. Czasami poważniała i stawała się prawie surowa; nie ma dziwniejszej i bardziej przejmującej rzeczy niż widok wesołości gasnącej tak szybko i pustoty ustępującej miejsca skupieniu. Ta nagła powaga, czasami surowa w swojej wyrazistości, czyniła ją podobną do wzdardliwej bogini. Linia jej czoła, nosa i brody miała czystość rysunku, której nie należy mylić z czystością proporcji, a z

---

\* Piętnasty sierpnia.

której wynika harmonia twarzy. Na odstępie - tak charakterystycznym - dzielącym górną wargę od nosa, Fantyna miała ledwo dostrzegalną czarującą fałdkę, tajemny znak dziewiczości, dla której Barbarossa zakochał się w posągu Diany wykopanym w Iconium.

Miłość jest grzechem; zgoda. Fantyna była niewinnością triumfującą nad grzechem.

## IV

### **Tholomyés jest tak wesoły, że zaśpiewa hiszpańską piosenkę**

Dzień ten od początku do końca był utkany z jutrzenki. Zdawało się, że cała natura uśmiecha się i wypoczywa. Kwietniki w Saint-Cloud słały balsamiczne wonie; podmuch znad Sekwany poruszał lekko listkami; gałązki drżały na wietrze; pszczoły plądrowały w jaśminach; nad krwawnikami, koniczyną i trawami unosił się wesoły rój motyli; dostojny ogród króla Francji przepełniały gromady włóczęgów - ptaki.

W blaskach słońca, na tle pól, kwiatów i drzew cztery rozbawione pary promieniały radością.

Gwarząc, nucąc, biegając i płaśając, dziewczęta łapały motyle, zrywały powoje, rosząc różowe, ażurowe pończoszki w wysokich trawach, świeże, upojone i miłe; w tej rajskiej wspólnocie wszystkie pozwalały swym towarzyszom kraść sobie całusy; wszystkie z wyjątkiem Fantyny, zamkniętej w rozmarzonej i płochliwej powściągliwości; Fantyny, która kochała. "Ty masz zawsze jakąś taką minę..." - mówiła jej Favourite.

Oto prawdziwa radość! Szczęśliwe pary kochanków rzucają serdeczne wyzwanie życiu i przyrodzie i budzą wokoło tkliwość i jasność. Była sobie raz wróżka, która stworzyła łąki i drzewa specjalnie dla zakochanych. Stąd owe wieczne wagary kochanków, które wciąż się powtarzają i które będą trwałe, dopóki będą istnieć zielone krzewy i uczniacy. Stąd wiosna cieszy się takim wzięciem u myślicieli. Patrycjusz czy chudopacholek, książę czy gryziپیórek, dworzanin czy łyk miejski - jak dawniej mówiono - każdy jest lennikiem tej wróżki. Ludzie śmieją się, szukają się wzajemnie, w powietrzu drży jakieś promienne uniesienie. Jakże wszystko przemienia się, gdy człowiek jest zakochany! Dependenci od reagenta stają się bogami! Nagłe okrzyki, gonitwy na trawie, przelotne objęcie kibici, gwara miłosna, która jest melodią, uwielbienie, które tryska z każdego półsłówka, wiśnie podawane sobie z ust do ust, wszystko to rozbłyska i przechodzi w niebiańskie upojenie. Piękno dziewczęta rozrzutnie darzą swoimi względami. I każdy wierzy, że trwać to będzie wiecznie. Filozofowie, poeci i malarze patrzą na te uniesienia bezsilni, tak są nimi olśnieni. "Wyprawa na Cyterę!" - woła Watteau; Lancret, malarz stanu mieszczańskiego, ogląda swych mieszcuchów tonących w błękitach. Diderot ku tym miłostkom wyciąga ramiona, d'Urfé

każe brać w nich udział druidom.

Po śniadaniu nasze cztery pary poszły do tzw. “kwatery królewskiej” obejrzyć nową roślinę świeżo sprowadzoną z Indii, której nazwa uleciała nam w tej chwili z pamięci, a która wówczas przyciągała do Saint-Cloud cały Paryż. Było to dziwaczne i urocze drzewko o wysokim pniu, którego niezliczone gałązki, cienkie jak nitki, splecione i bezlistne, obsypane były milionem białych, drobnych różyczek, co upodabniało krzew do głowy przyprószonej kwieciami. Stale podziwiali go tłumy ludzi.

Po obejrzeniu drzewka Tholomyés zawołał: “Funduję przejażdżkę na osłach”, i ustaliwszy cenę z właścicielem, wrócili przez Vanves i Issy. W Issy - nowa przygoda. Park, należący do dóbr państwowych, w owym czasie własność pana Bourguin, dostawcy wojskowego, był przypadkiem otwarty. Weszli więc, obejrzeni figurę pustelnika w grocie, zakosztowali tajemniczych wrażeń w słynnym pokoju zwierciadlanym, lubieżnym pomysłem, godnym satyra, który został milionerem, lub Turcareta przemienionego w Priapa. Rozhuścili co siły wielki hamak wiszący między dwoma kasztanami opiewanymi przez księdza de Bernis. Kołysząc po kolei swe lube, wśród wybuchów ogólnego śmiechu, wśród rozwiewających się spódniczek, które zachwyciłyby Greuze'a, Tholomyés, który pochodząc z Tuluzy, był trochę Hiszpanem - Tuluza jest bliską krewną Tolozy - zanucił rzewną melodię starej piosenki galickiej, do której natchnienie dała jakaś urocza dziewczyna bujająca się na huśtawce zawieszanej między drzewami:

*Soy de Badajoz.*

*Amor me llama.*

*Toda mi allma*

*Es en mi ojos.*

*Porque enseñas*

*A tus piernas.\**

Jedna Fantyna nie chciała się huścić.

- Et, nie lubię, gdy ktoś stroi fochy - mruknęła dość cierpko Favourite.

Gdy zsiadli z osłów, czekała ich nowa przyjemność: przeprawili się statkiem przez Sekwanę i z Passy pieszo dotarli do rogatki koło placu Gwiazdy. Jak wiadomo, byli od piątej rano na nogach. “Et, furda! Nikt nie może być zmęczony w niedzielę! W niedzielę zmęczenie nie urzęduje!” - mówiła Favourite. Koło godziny trzeciej, upojone szczęściem, nasze cztery

pary jeździły na “kolejce górskiej”, dziwacznej konstrukcji, która znajdowała się wówczas na wzgórzach Beaujon i której falistą linię widać było ponad wierzchołkami drzew na Polach Elizejskich.

Od czasu do czasu Favourite wołała:

- A niespodzianka? Chcę niespodziankę!

- Cierpliwości - odpowiadał Tholomyés .

---

\* Jestem z Badajoz. Miłość mnie woła. Duszę całą mam w oczach, gdy pokazujesz mi swą nóżkę.

## V

### U Bombardy

Najeździwszy się do syta na “górskiej kolejce”, trzeba było pomyśleć o obiedzie i nasza wesoła ósemka, nareszcie nieco zmęczona, zasiadła w restauracyjce, otwartej przy Polach Elizejskich przez znanego restauratora Bombardę, którego szyld widniał na ulicy Rivoli, koło pasażu Delorme.

Pokój był duży, lecz brzydki (zważywszy niedzielne przepełnienie w restauracji, nie było wyboru), w głębi - alkowa z łóżkiem; dwa okna, skąd - poprzez gałęzie wiązów - widać było nadbrzeżny bulwar i rzekę; wspaniały promień sierpniowego słońca ślizgający się po szybach; dwa stoły; na jednym triumfalna góra bukietów obok stosu damskich i męskich kapeluszy; na drugim, przy którym zasiadły nasze cztery pary, pełno półmisków, talerzy, szklanek, butelek i dzbanków z piwem, pomieszanych z karafkami wina; niewiele ładu na stole, pewien nieład pod stołem.

*Pod stołem tymczasem*

*Swawoliły ich nogi z okrutnym hałasem...*

*jak mówi Moliere.*

Oto, w jakim stadium była o wpół do piątej po południu sielanka, zaczęta o piątej rano. Słońce zachodziło, apetyt wygasł. Pola Elizejskie, zalane słońcem i przepełnione tłumami spacerujących, były jakby utkane z blasku i pyłu, tych dwóch elementów, z których składa się sława. “Konie z Marly”, owe rżące marmury, wspinały się w złocistym obłoku. Karety sunęły w różnych kierunkach. Szwadron wspaniałej przybocznej gwardii z trębaczem na czele przejeżdżał aleją Neuilly. Biała chorągiew, różowiejąca w promieniach zachodzącego słońca, powiewała nad kopułą Tuileries. Plac Zgody, zwany na powrót placem Ludwika XV, zaległy wesołe tłumy spacerowiczów. Wielu z nich nosiło srebrne lilie zawieszane na białej wstążeczce z mory, które w roku 1817 nie znikły jeszcze całkowicie z butonierek. Tu i ówdzie, w kręgu oklaskujących przechodniów, tańczyły dziewczynki, śpiewając popularną podówczas piosenkę proburbońską, która miotła gromy na okres “Stu Dni”, a której refren brzmiał:

*Niech wróci ojciec nasz z Gandawy,*

*Niech wróci ojciec nasz!...*

Mieszkańcy przedmieść, odświętnie ubrani, niektórzy z liliami w butonierkach, jak mieszczanie, tłumnie zalegli główny ogród i placyk Marigny; jedni rzucali pierścienie lub jeździli na karuzeli; inni pili; terminatorzy drukarscy mieli na głowie papierowe czapki. Rozlegały się ich śmiechy. Wszystko pulsowało radością.

Był to okres niezaprzecznego pokoju i prawdziwego bezpieczeństwa monarchii; okres, kiedy to tajny raport prefekta policji paryskiej, Anglesa, wystosowany do króla w sprawie przedmieść Paryża, kończył się słowami: “Wszystko dobrze zważywszy, Najjaśniejszy Panie, nie ma się czego obawiać ze strony tych ludzi. Są niefrasobliwi i gnuśni jak koty. Pospólstwo na prowincji jest niespokojne, ale nie pospólstwo Paryża. Ludzie ci są przy tym tak mali, że trzeba by postawić dwóch - jednego na drugim, aby dorównali jednemu z twoich grenadierów, Najjaśniejszy Panie. Jeśli chodzi o lud stolicy, nie ma powodu do żadnych obaw. Ciekawe, że wzrost ich zmalał w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Ludność paryskich przedmieść jest obecnie mniejsza niż przed rewolucją. Nie jest ona wcale niebezpieczna. Jednym słowem - poczciwa hołota”.

Prefekci policji uważają za rzecz niemożliwą, aby kot mógł przemienić się w lwa: a to się jednak zdarza, i to jest właśnie cudowna właściwość paryskiego ludu. Zresztą kot, tak pogardzany przez hrabiego Anglesa, cieszył się wielkim szacunkiem w starożytnych republikach; był dla nich wyobrażeniem wolności i na placu w Koryncie - niby odpowiednik bezskrzydłej Minerwy z Pireusu - stał olbrzymi posąg kota z brązu. Naiwna policja Restauracji patrzyła na lud paryski przez zbyt różowe okulary. Nie jest to bynajmniej, jak się zwykło sądzić, “poczciwa hołota”. Paryżanin jest tym w stosunku do Francuzów, czym w stosunku do Greków był Ateńczyk; nikt lepiej od niego nie sypia, nikt nie jest równie beztrosko płochy i leniwy, nikt prędzej nie zapomina uraz; nie dajcie się zwieść tym pozorom! Skłonny do lekceważenia wszystkiego, lud Paryża, gdy mu wskazać jako cel sławę, staje się cudownie zdolny do wszelkiego szaleństwa. Dajcie mu lancę - zrobi 10 sierpnia\* ; dajcie mu bagnet - będziecie mieli Austerlitz. On jest podporą Napoleona i źródłem siły Dantona.

Ojczyzna w potrzebie? Zaciąga się pod sztandary. Wolność w potrzebie? Wyrывa kamienie z bruku. Uwaga! Jego włosy, pełne gniewu - są epickie! Bluza drapuje się w fałdy

chlamidy! Strzeżcie się! Na jakiejś pierwszej lepszej nowej ulicy Greneta\* chwyci wroga w kaudyńskie jarzmo\*! Gdy wybije godzina, ten ludek podmiejski urośnie, ten cherlak podźwignie się i rzuci straszliwe spojrzenie, oddech jego stanie się nawałnicą i z tej biednej, wątlej piersi wyrwie się wicher, zdolny Alpy wstrząsnąć w posadach. To dzięki pospólstwu Paryża rewolucja - z poparciem armii - podbiła Europę. Lud paryski śpiewa - w tym jest jego radość. Dostosujcie pieśń do jego natury, a zobaczycie! Póki śpiewa "Karmaniołę", obala tylko Ludwika XVI; każcie mu zaśpiewać "Marsylianę", a oswobodzi cały świat.

Skreśliwszy tych parę uwag na marginesie raportu hrabiego Anglesa, powróćmy do naszych czterech par. Obiad, jak mówiliśmy, dobiegał końca.

---

\* 10 sierpnia 1792 roku szturmuje i zdobywa Tuileries.

\* Ulica Greneta - uliczka w dzielnicy robotniczej, wstawiona zażartymi walkami ludu paryskiego, w 1839 r.

\* Aluzja do klęski Rzymian w wąwozie pod Kaudium w 321 r. p.n.e. podczas drugiej wojny samnickiej.

## VI

### Rozdział, w którym jest mowa o ubóstwianiu

Słówka przy kieliszku i słówka miłosne; i jedno, i drugie są równie nieuchwytne. Słowa miłosne - to mgła; Słowa przy kieliszku - to dym.

Fameuil i Dalia nucili; Tholomyés pił; Zefina śmiała się; Fantyna uśmiechała. Listolier dał w drewnianą trąbkę kupioną w Saint-Cloud; Favourite czule spoglądała na Blachevelle'a i mówiła:

- Uwielbiam cię, Blachevelle.

Wywołało to pytanie Blachevelle'a:

- Co byś zrobiła, Favourite, gdybym przestał cię kochać.

- Ja? - zawołała Favourite. - Ach, nie mów tego nawet żartem! Gdybyś mnie przestał kochać, rzuciłabym się na ciebie, podrapałabym cię, pokasała! Oblałabym cię wodą, wsadziła do więzienia!

Blachevelle uśmiechał się rozkosznie, z pychą mężczyzny, którego miłość własna została mile połączona. Favourite ciągnęła dalej:

- Tak, zawołałabym straż! Myślisz, żebym się krępowała? Akurat! Ty nicponiu!

Blachevelle w upojeniu rozparł się na krześle i z dumą przymknął oczy.

Nie przerywając jedzenia Dalia szepnęła do Favourite, korzystając z gwaru:

- Tak bardzo uwielbiasz Blachevelle'a?

- Ależ ja go nie cierpię - odparła również szeptem Favourite biorąc do ręki widelec. - To skąpiec! Kocham się w jednym chłopcu z przeciwka. Bardzo przyzwoity młodzieniec; znasz go może? Wygląda na aktora. Bardzo lubię aktorów. Jak tylko wróci do domu, jego matka mówi: "O Boże! Koniec z moim spokojem! znowu zaczniesz swoje krzyki! Ależ, mój drogi, uszy mi już puchną!" A to, widzisz, dlatego, że on w domu idzie na strych albo zaszywa się w jakąś myszą dziurę na poddaszu i tam śpiewa, deklamuje, czy ja wiem zresztą co, tak że go słychać aż na dole. Zarabia już dwadzieścia su dziennie u adwokata, pisząc jakieś ichnie kruczki. Ojciec jego był śpiewakiem w kościele Św. Jakuba. O, to bardzo przyzwoity chłopiec! Tak mnie uwielbia, że kiedyś, gdy robiłam ciasto na naleśniki, powiedział mi: "Niech panienka zrobi pączki ze swoich rękawiczek, a zjem je bez wahania!" Tylko artyści potrafią mówić takie rzeczy! Ach, to bardzo, bardzo przyzwoity chłopiec!

zupełnie tracę głowę dla niego! Nie szkodzi, mówię Blachevelle'owi, że go uwielbiam! Ale kłamię jak z nut! Prawda? Kłamię jak z nut!

Favourite umilkła, a po chwili podjęła na nowo:

- Wiesz, Dalia, smutno mi. Deszcz padał przez całe lato, wiatr mnie drażni, wiatr sierzni się i sierzni. Blachevelle to sknera, na targu ledwo można dostać zielony groszek, nie wiadomo, co jeść, mam spleen, jak mówią Anglicy, masło jest takie drogie! A przy tym popatrz na tę obrzydliwość! Jemy w pokoju, w którym stoi łóżko! To mi odbiera ochotę do życia.

## VII

### Mądrość Tholomyés a

Tymczasem jedni śpiewali, drudzy paplali hałaśliwie, jeden przez drugiego. Zgiełk panował ogólny. Przebił się przezeń głos Tholomyésa.

- Nie mówmy za szybko i co ślina na język przyniesie! - zawołał. - Jeśli chcemy olśniewać, zastanówmy się przedtem. Zbytek improwizacji głupio wycieńcza umysł. Cieknące piwo nie daje piany. Bez pośpiechu, panowie! Dodajmy majestatu naszym hulankom! Jedźmy w skupieniu! Ucztujmy powoli. Nie śpieszmy się! Spójrzcie na wiosnę; jeśli się pospieszy, jest zgubiona - mróz ją zwarzy. Zbytek zapału gubi brzoskwinie i morele. Zbytek zapału zabija wdzięk i radość dobrych obiadków. Bez zbytniej gorliwości\* ; panowie! Grimod de la Reyniere\* zgadza się co do tego z Talleyrandem.

Odpowiedział mu głuchy szmer protestów.

- Daj nam spokój! - rzekł Blachevelle.

- Precz z tyranem! - rzekł Fameuil.

- Tere-fere! - krzyknął Listolier.

- Niedziela ma swoje prawa - podjął Fameuil.

- Jesteśmy bardzo wstrzemięźliwi - dodał Listolier.

- Tholomyés , podziwiaj mój spokój - dorzucił Blachevelle.

- Godny markiza de Montcalm\* - odparł Tholomyés .

Ta licha gra słów wywołała taki skutek jak kamień rzucony w kałużę. Markiz de Montcalm był podówczas znanym rojalistą. Wszystkie żaby ucichły.

- Przyjaciele - zawołał Tholomyés tonem człowieka, który chwytą wymykającą się władzę w ręce - otrząśnijcie się z wrażenia! Niechże ten kalambur, który spadł wam z nieba, nie wzbudza zbyt wielkiego podziwu. Nie wszystko co tak spada, godne jest zachwyty i szacunku. Kalambur to pomiot zmysłu w locie; dowcip pada byle gdzie, a umysł, spłodziwszy to głupstwo, szybuje w błękity. Biaława plama, która pada na skałę, nie wstrzymuje lotu kondora. Ani mi w głowie potępiać kalambury. Ale oddaję im tylko to, co się im należy, nic

---

\* "Bez zbytniej gorliwości!" - tak zwracał się Talleyrand do młodych dyplomatów, radząc im umiarkowanie.

\* Alexandre-Balthasar-Laurent Grimod de la Reyniere (1758-1838) - znany smakosz, przewodniczący "Akademii smakoszy" w Paryżu, autor "Almanachu smakoszy", który całe życie przeżył według recepty Talleyranda.

więcej. Wszyscy najwybitniejsi, najwspanialszy, najbardziej czarujący ludzie - a może i nie tylko ludzie? - zostawili po sobie jakąś grę słów. Chrystus powiedział kalambur o świętym Piotrze, Mojżesz - o Izaaku, Aischylos o Polniku, Kleopatra o Oktawianie. I zauważcie, że żart Kleopatry poprzedzał bitwę pod Akcjum i gdyby nie on, nikt by nie pamiętał o mieście Toryne, co po grecku oznacza warząchew. Przyznaję to. A teraz wracam do swoich przestróg. Bracia, powtarzam wam, strzeżcie się nadmiernego zapału, strzeżcie się zamętu i przesady, nawet w żarcikach, dowcipach, wesołości i kalamburach. Wiercie mi, jestem bowiem roztropny jak Amfiaraus\* i łysy jak Cezar. Wszystko musi mieć swoją granicę, nawet rebusy: *Est modus in rebus*.<sup>\*</sup> We wszystkim musi być umiar, nawet w biesiadach. Lubicie ciastka z jabłkami, drogie panie, nie nadużywajcie ich. Nawet w jedzeniu ciastek trzeba zachować rozsądek i znawstwo. Obżarstwo karze obżartucha: *Gula punit gulax*. Niestrawność Bóg stworzył po to, aby prawa morały żołądkom. I zapamiętajcie sobie jedno: każda nasza namiętność - nawet miłość - ma swój żołądek, którego nie należy przeładowywać. Trzeba zawsze umieć w porę napisać słowo *finis*, opanować się, gdy zachodzi potrzeba, przymknąć na klucz swoje apetyty, przykrócić cugli zachciankom i samego siebie wziąć za łeb.

Mądry jest ten, kto w stosownej chwili potrafi sam ująć się w ryzy. Miejcie do mnie trochę zaufania. Z tego, że liznąłem nieco prawa, o czym świadczą egzaminy, że wiem, jaka jest różnica między "sprawą osądzoną" a "sprawą będącą w toku", że broniłem po łacinie tezy o systemie tortur w Rzymie, za czasów gdy Munatiusz Demens był kwestorem Ojacobójcy,<sup>\*</sup> z tego wreszcie, że mam dostać tytuł doktorski, nie wynika, żebym koniecznie był durniem. Otóż zalecam wam: bądźcie umiarkowani w swoich pragnieniach! Na honor! Jakem Feliks Tholomyés, mądre są me słowa! Szczęśliwy ten, kto, gdy wybije godzina, zdolny jest powziąć bohaterskie postanowienie i usunąć się sam, jak Sulla czy Orygenes.

Favourite słuchała go z wielką uwagą.

- Feliks - jak to ładnie brzmi - rzekła. - Lubię to imię. To po łacinie; to znaczy Szczęsny.

Tholomyés ciągnął dalej:

- *Quirites! Gentleman! Caballeros!* Przyjaciele! Czy chcecie otepiec na wszelkie podniety, wyrzec się ślubnego łoża i stawić czoło miłości? Nic prostszego! Zaraz dam wam receptę: woda z soczkiem, wyczerpujące ćwiczenia cielesne, ciężka praca; męczcie się, dźwigajcie ciężary, nie śpijcie, czuwajcie, zalewajcie się wodą selcerską i ziółkami, raczcie

---

\* W orygu. gra słów: mój spokój, po francusku *mon calme*.

\* Amfiaraus - słynny z ostrożności mitologiczny bohater grecki, uczestnik wyprawy Argonautów.

\* Horacy, "Sat". I, 106.

\* Ojacobójca - Neron.

się wywarem z makówek i drzewa pieprzowego, przyprawcie to ścisłą dietą, zdychajcie z głodu, dodajcie do tego zimne kąpiele, plaster gorczyczny, pas ołowiany, obmywanie likworem Saturna i okłady z wody z octem.

- Wolę kobietę - rzekł Listolier.

- Kobietę? - podjął Tholomyés. - Ach, strzeżcie się jej! Biada temu, kto zaufa zmiennemu sercu kobiety! Kobieta to stworzenie wiarołomne i perfidne. Jej nienawiść do węża to po prostu zazdrość zawodowa. Wąż - to konkurencyjny sklepik.

- Tholomyés! Jesteś pijany! - zawołał Blachevelle.

- Dalibóg! - rzekł Tholomyés.

- Wobec tego bądź wesoły! - odparł Blachevelle.

- Zgoda! - odrzekł Tholomyés i napełniwszy szklanę wstał: - Chwała niech będzie winu! *Nunc te, Bacche, canam!*\* I Wybaczcie, drogie panie, to po hiszpańsku. Chcecie dowodu, *señoras*? Oto on: jaki pan, taki dzban! Jaki naród - taka miara! Kastylijska *arroba* zawiera szesnaście litrów, *cantaro* z Alikantu - dwanaście, *almad* z Wysp Kanaryjskich - dwadzieścia pięć, *antał* z Balearów - dwadzieścia sześć, a *but cara Piotra* - trzydzieści. Wiwat car, który był wielki, i wiwat jego but, który był jeszcze większy! Moje panie, przyjacielska rada: pomylcie się w sąsiadach, jeśli macie ochotę. Błądzenie to właściwość miłości. Miłostka nie jest na to stworzona, by przycupnąć na miejscu i oteplić jak angielska służąca z nagniotkami na kolanach od szorowania podłóg. Nie na to jest stworzona! Słodka miłostka błąka się beztrąsko. Powiedziano gdzieś, że błądzić jest rzeczą ludzką, ja zaś mówię, że błądzić jest rzeczą miłości. Moje panie, uwielbiam każdą z was! O Zefmo! O Józefino! Buziak nieregularny, byłabyś urocza, gdybyś nie była krzywa! Masz śliczną twarz, która tak wygląda, jakby ktoś przysiadł ją przez nieuwagę. Favourite, o nimfy i muzy! Pewnego dnia Blachevelle przechodził przez rynsztok na ulicy Guérin-Boisseau i ujrzał piękną dziewczynę, która pokazała nóżki obciążone białą pończoszką. Ten wstęp spodobał mu się i Blachevelle się zakochał. Tą, w której się zakochał, była Favourite. O Favourite, masz jońskie usta. Był pewien malarz grecki, Euforion, przezwany malarzem ust. Jedyne ten Grek mógłby namalować twoje usta. Słuchaj! Przed tobą nie było istoty godnej nosić twoje imię. Jesteś stworzona na to, aby otrzymać jabłko, jak Wenus, lub zjeść je, jak Ewa. Piękno zaczyna się od ciebie. Wspomniałem przed chwilą Ewę - to tyś ją stworzyła. Tobie należy się patent na wynalazek pięknej kobiety. O Favourite! Przestaję mówić ci po imieniu; wracam bowiem od poezji do prozy. Przed chwilą mówiła pani o moim imieniu. To mnie wzruszyło; niechże jednak nikt z nas nie ufa imionom. Imiona mogą się mylić. Mam na imię Feliks, ale nie

jestem szczęśliwy. Słowa kłamią. Nie wierźmy ślepo we wskazówki, które nam dają. Miss Dalia, na pani miejscu nazwałbym się Różą. Kwiat powinien mieć zapach, tak jak kobieta powinna mieć dowcip. Nie mówię nic o Fantynie; to istota rozmarzona, zadumana, zamyślona i tkliwa; to zjawia o kształtach nimfy i wstydlivosti mniszki, zabłąkana wśród gryzetek; ale chroniąca się w świecie złudy, która śpiewa, modli się, patrzy w błękity nie bardzo wiedząc, co widzi ani co robi, i z oczyma utkwionymi w niebo błąka się po jakimś ogrodzie, gdzie więcej jest ptaków niż na całym świecie. O Fantyno, wiedz jedno: ja, Feliks Tholomyés, jestem również złudą; ach nie słyszy mnie wcale złotowłosa marzycielka! Zresztą wszystko w niej jest świeżością, słodyczą, młodością, łagodnym światłem poranka. O Fantyno, powinnaś zwać się stokrotką albo perłą, jesteś bowiem wśród kobiet klejnotem najczystszej wody! A teraz druga rada, drogie panie: nie wychodźcie nigdy za mąż. Małżeństwo to szczepionka, albo się przyjmie dobrze, albo źle. Nie narażajcie się na to ryzyko! Ale co ja tu plotę? Próżne słowa! Jeśli chodzi o zamążpójście, dziewczęta są nieuleczalne! Choćbyśmy nie wiem co mówili, my mędracy, zawsze każda szwaczka i każda hafciarka marzyć będzie o mężu obsypanym brylantami. Ha, trudno! Ale zapamiętajcie sobie jedno, moje ślicznotki, za wiele jadacie cukru! To wasz jedyny błąd, o kobiety, że chrupiecie cukier. O rodzie gryzoniów! Wasze śliczne białe ząbki przepadają za cukrem! A przecie, słuchajcie uważnie, cukier jest solą. Wszelka sól wysusza. Cukier zaś jest najbardziej wysuszający ze wszystkich soli. Poprzez żyły wyciąga soki ze krwi; stąd gęstnienie; a co za tym idzie, krzepnięcie krwi; stąd suchoty płucne, wreszcie śmierć. Z tego też powodu cukrzyca tak przypomina suchoty. Nie chrupcie cukru; a będziecie żyły! A teraz zwracam się do mężczyzn! Panowie! Dalej na nowe podboje! Bez skrupułów kradnijcie sobie kochanki. Dalejże! Odbijanego! W miłości nie ma przyjaciół! Gdzie pojawi się piękna kobieta; zaczyna się walka; walczcie bez pardonu, na śmierć i życie! Piękna kobieta to *casus belli*! Piękna kobieta to jawne przestępstwo! Przyczyną wszystkich wojen w historii świata była spódniczka. Kobieta to prawo mężczyzn. Romulus porwał Sabinki, Wilhelm porwał Saksonki, Cezar porwał Rzymianki. Mężczyzna niekochany krąży jak jastrząb nad cudzymi kochankami. Tym wszystkim samotnym wdowcom rzucam wspaniałe wezwanie Bonapartego do armii włoskiej: “Żołnierze! Wy nie macie nic - nieprzyjaciel ma wszystko!”

Tholomyés zamilkł.

- Tholomyés, odsapnij trochę! - rzekł Blachevelle.

I Blachevelle zaintonował, na żalną nutę ludowej śpiewki, piosenkę, którą podchwycili Listolier i Fameuil. Była to jedna z tych piosenek skleconych w pracowniach

---

\* Teraz opiewał będę ciebie, bachusie.

malarskich, piosenek o wszystkim i o niczym, tak pozbawionych sensu jak kołysanie drzewa lub szum wiatru, która się rodzi w fajczanym dymie i wraz z nim ulatnia się i ginie.

A to strofka, jaką wesoła gromadka odpowiedziała na przemowę Tholomyésa:

*Pewnych ichmościów ochota bierze,  
By Clermont-Tonnere został papieżem.  
Wzięli agenta, dali mu złoto,  
Aby uwinął się z tą robotą.  
Clermont papieżem zostać nie może.  
Bo nie jest księdzem! Ach, mocny Boże!  
A więc parszając bezsilną złością  
Agent pieniążki oddał ichmościom.*

Nie ostudziło to krasomówczej weny Tholomyésa; wychylił szklanę, napełnił ją znowu i ciągnął:

- Precz z rozsądkiem! Zapomnijcie wszystko, co powiedziałem. Nie bądźmy ani skromni, ani ostrożni! Nie bądźmy filistrami! Wznoszę toast na cześć wesołości! Weselmy się! Uzupełnijmy studia prawnicze szaleństwem i biesiadą. *Indygestia i Digesta!* Niestrawne - strawnym. Niech Justynian będzie małżonkiem, a Hulanka jego połowicą. Radość na wysokościach! Żyj wszelkie stworzenie! Świat to wielki diament. Jestem szczęśliwy! Te ptaki są nadzwyczajne. Jakaż radość dokoła. Słowik śpiewa jak Elleviou<sup>\*</sup>, tylko że za darmo. Pozdrawiam cię, lato! O Ogrodzie Luksemburski! O sielanki przy ulicy Madame i przy alei Obserwatorium! O sentymentalne żołnierzyki i wy, wdzięczne nianie, które, pilnując dzieci, zabawiacie się przysparzaniem nowych! Podobałyby mi się pampasy Ameryki, gdybym nie miał arkad Odeonu. Dusza moja ulatuje w dziewicze lasy i sawanny. Wszystko jest piękne. Muchy brzęczą w blasku. Słońce kichnęło kolibrem! Fantyno, pocałuj mnie! Omylił się i pocałował Favourite.

---

\* François Elleviou (1769-1842) - słynny śpiewak operowy.

## VIII

### Śmierć konia

- U Edona jada się lepiej niż u Bombardy - zawołała Zefina.

- Wolę Bombardę od Edona - oświadczył Blachevelle. - Tu jest większy przepych. Bardziej azjatycki. Przypatrz się sali na dole: lustra na ścianie, zupełnie jak tafla lodu...

- E! Ja tam wolę lody na talerzyku - powiedziała Favourite.

Blachevelle nalegał:

- Zwróćcie uwagę na noże. U Bombardy mają trzonki srebrne, a u Edona kościane. Przecie srebro droższe jest od kości.

- Nie dla tych, którzy mają srebrne podniebienia - zauważył Tholomyés.

Patrzył w tej chwili na kopułę Inwalidów, widoczną z okien restauracji Bombardy.

Na chwilę zapadła cisza.

- Tholomyés! - zawołał Fameuil - prowadziliśmy z Listolierem przed chwilą dysputę...

- Dobra rzecz dysputa - przerwał Tholomyés - kłótnia jeszcze lepsza.

- Dysputę filozoficzną.

- Pięknie!

- Kogo wolisz: Kartezjusza czy Spinozę?

- Desaugiersa.\*

Po wydaniu tego wyroku wychylił kieliszek i podjął na nowo:

- Zgadzam się żyć. Nie wszystko skończone na tej ziemi, skoro można jeszcze pleść głupstwa. Składam za to dzięki bogom nieśmiertelnym. Człowiek kłamie, ale się i śmieje; twierdzi coś, ale i powątpiewa. Z sylogizmu wyskakują niespodzianki. To jest piękne. Są jeszcze na tym padole ludzie, którzy umieją wesoło igrać z paradoksem. Wiedźcie, drogie panie, że to, co pijecie teraz z tak spokojnymi minami, to madera, wino z Coural das Freiras, położonego trzysta siedemnaście sążni nad poziomem morza. Uważajcie pijąc! Trzysta siedemnaście sążni! A pan Bombarda, wspaniały restaurator, daje nam te trzysta siedemnaście sążni za cztery i pół franka!

Tu znowu przerwał Fameuil:

- Tholomyés! Twoje zdanie jest wyrocznią. Jaki jest twój ulubiony pisarz?

---

\* Marc-Antoine-Madeleine Desaugiers (1772-1827) - autor piosenek i wodewilów.

- Ber...

- Quin?\*

- Nie! Choux!\*

I Tholomyés ciągnął dalej:

- Chwała Bombardzie! Dorównałby Munofisowi z Elefanty, gdyby dostarczył mi tancerkę egipską, a Tygelionowi z Cheronei, gdyby mi przywiódł heterę; gdyż, o piękne panie, i Grecja, i Egipt również miały swoich Bombardów. Poucza nas o tym Apulejusz. Nic nowego! Niestety! Zawsze to samo! W dziełach Stwórcy nie ma żadnych nowości! *Nil sub sole novum* - powiedział Salomon; *amor omnibus idem* - powiedział Wergiliusz; i dziś tak samo wsiada na statek w Saint-Cloud studencina ze swą lubą, jak niegdyś wsiadali na okręt w Samos - Perykles i Aspazja. Jeszcze słówko. Czy wiecie, moje panie, kim była owa Aspazja? Choć żyła w czasach, kiedy kobiety nie miały jeszcze duszy, ona była duszą! Duszą mieniącą się różowością i purpurą, bardziej palącą niż ogień, świeższą niż jutrzienka. Aspazja była istotą łączącą dwa bieguny kobiecej natury: była boginią i nierządnicą. Sokratesem i Manon Lescaut. Aspazję stworzono na wypadek, gdyby Prometeuszowi zachciało się dziewczki.

Raz puściwszy cugli wymowie, Tholomyés nie skończyłby tak prędko, gdyby właśnie w tej chwili na bulwarze nie padł koń. Wstrząs zatrzymał od razu wózek i mówcę. Była to stara klacz z Beauce, chuda i w sam raz dla rakarza, która ciągnęła ciężko naładowany wóz. Przed restauracją Bombardy umęczone i wyczerpane zwierzę stanęło i nie chciało iść dalej. Wypadek ten przyciągnął tłum gapiów. Zaledwie woźnica, klnąc zaburzenia, zdołał wykrzyknąć z odpowiednią energią sakramentalne "cholera!" i poprzeć je bezlitosnym uderzeniem bata, szkapa padła, aby się już więcej nie podnieść. Na krzyk przechodniów weseli słuchacze Tholomyésa odwrócili głowy, Tholomyés zaś skorzystał z tego, aby zakończyć przemowę taką melancholijną zwrotką:

*Ach! Żyła na tym świecie, gdzie bryki i karety*

*Ten sam zły los poniewiera.*

*Szkapą była! - I zdechła ich szkapa, Niestety!*

*Przy dźwięku słowa: cholera!*

- Biedny koń - westchnęła Fantyna.

A Dalia zawołała:

---

\* Arnaud Berquin (1747-1791) - autor poezji elegijnych.

\* Joseph Berchoux (1762-1838) - autor poematu pt. "Gastronomia".

- Fantyna będzie się teraz roztkliwiać nad końmi! Widzieliście kiedyś coś równie głupiego?

Favourite zaś skrzyżowała ręce i odrzuciwszy w tył głowę, zajrzała reżolutnie w oczy Tholomyésowi.

- A niespodzianka? - zapytała.

- A właśnie! Już czas! - odrzekł Tholomyés - Panowie, wybiła godzina niespodzianki dla naszych dam! Drogie panie! Racście chwilę na nas zaczekać!

- Niespodzianka zaczyna się od pocałunku - rzekł Blachevelle.

- W czoło! - dodał Tholomyés.

Każdy z nich złożył z powagą pocałunek na czole swojej kochanki, po czym gęsiego skierowali się do drzwi, kładąc palec na ustach. Gdy tak wychodzili, Favourite klasnęła w dłonie.

- Ach! To już jest bardzo śmieszne! - zawołała.

- Wracajcie szybko. Czekamy! - szepnęła Fantyna.

## IX

### Wesoły koniec wesołej zabawy

Zostawszy same, dziewczęta stanęły po dwie w oknach i oparły się łokciami o framugę, wychyliły główki i paplały wesoło.

Zobaczyły, jak młodzi ludzie, ująwszy się pod ręce, wyszli z restauracji Bombardy. Odwrócili się do nich, pokiwali im ręką ze śmiechem i znikli w zakurzonej tłumie niedzielnej, który co tygodnia zapełnia Pola Elizejskie.

- Wracajcie szybko! - zawołała Fantyna.

- Co też nam przyniosą? - zapytała Zefina.

- Z pewnością coś ładnego - rzekła Dalia.

- Chciałabym, żeby to było coś ze złota! - dorzuciła Favourite.

Niebawem ruch na brzegu rzeki, który mogły obserwować poprzez gałęzie rozłożystych drzew, zajął ich uwagę. Była to pora odjazdu karetek pocztowych i dylizansów. W owych czasach prawie wszystkie dylizanse udające się do południowej lub zachodniej części kraju przejeżdżały przez Pola Elizejskie. Większość z nich jechała bulwarem nadbrzeżnym ku rogatce w Passy. Co chwila jakaś wielka landara, pomalowana na żółto i czarno i ciężko obciążona, z hałaśliwym zaprzęgiem i niekształtną budą, pod którą piętrzyły się toboły i walizy, natłoczona głowami, co wychylały się i natychmiast znikwały, przetaczała się wśród tłumu, dudniąc po bruku i sypiąc spod kół iskry, niby z kuźni, w tumanach kurzu jak w kłębach dymu, z jakąś wściekłą furją. Ten zgiełk bawił dziewczęta.

- Co za harmider! Jakby ktoś potrząsał pękiem łańcuchów! - zawołała Favourite.

Jeden z tych pojazdów, zaledwie widoczny poprzez gałęzie wiązów, zatrzymał się na chwilę, po czym znów ruszył galopem. Zdziwiło to Fantynę.

- To dziwne! - powiedziała. - Myślałam, że dylizans nigdy nie przystaje.

Favourite wzruszyła ramionami.

- Fantyna jest nadzwyczajna. Z ciekawością zawsze ją oglądam! Dziwi się najprostszym rzeczom. Przypuścimy, że jestem podróżnym; mówię woźnicy: "Pójdę kawałek naprzód bulwarem; przejeżdżając zabierzesz mnie pan". Dylizans rusza, woźnica mnie widzi; przystaje; ja wsiadam. To się zdarza co dzień! Nie znasz życia, moja droga!

Minęło jeszcze parę chwil. Nagle Favourite drgnęła jak ktoś zbudzony ze snu.

- No, a nasza niespodzianka? - rzekła.

- Ach tak, prawda! - podchwyciła Dalia. - Nasza sławetna niespodzianka!

- Tak długo ich nie widać - rzekła Fantyna. Lecz nim zdążyła westchnąć, wszedł służący, który usługiwał im do stołu. W ręku trzymał coś, co wyglądało na list.

- A to co? - zapytała Favourite.

Służący odrzekł:

- Ten papierek zostawili dla pań tamci panowie.

- A dlaczego zaraz go nam nie oddałeś?

- Bo panowie kazali oddać go paniom dopiero po godzinie - odrzekł służący.

Favourite wyrwała mu papier z ręki; w istocie, był to list.

- Patrzcie! Nie ma adresu - rzekła. - Ale napisane na kopercie: "To jest nasza niespodzianka".

Szybko rozpieczętowała list i zaczęła czytać (czytać umiała).

*O lube kochanki!*

*Dowiedzcie się, że mamy rodziców! Pewno niezbyt dobrze wiecie, co to są rodzice. Otóż kodeks cywilny, naiwny i uczciwy, określa tym mianem ojców i matki. Otóż ci rodzice jęczą, ci staruszkowie wzywają nas, te poczciwe kobieciny zowią nas marnotrawnymi synami, życzą sobie naszego powrotu i obiecują na naszą cześć zabić tuczego wołu. Jako cnotliwi młodzieńcy, jesteśmy im posłuszni. Gdy będziecie czytać te słowa, pięć ognistych rumaków uwozić nas będzie w ramiona naszych mamus i tatusiów. "Dajemy nogę" —jak powiada Bossuet. Wyjeżdżamy! Wyjechaliśmy już! Uciekamy w objęciach Laffitte'a i na skrzydłach Caillarda\*. Dylizans do Tuluzы wyrwa nas z przepaści, a ta przepaść to wy - o ślicznotki nasze! Powracamy do społeczeństwa, do obowiązków, do ładu, wracamy cwałem, z szybkością trzech mil na godzinę. Ojczyźnie wielce na tym zależy, byśmy - jak inni - zostali prefektami, ojcami rodzin, leśnikami, radcami. Szanujcie nas. Poświęcamy się. Opląćcie nas prędko i szybko po nas znajdźcie następców. Jeśli ten list rozdarł wasze serduszka, odpląćcie mu tym samym. Żegnajcie.*

*Blisko dwa lata dzięki nam byliście szczęśliwe. Nie miejcie o to do nas żalu.*

*Podpisano:*

*Blachevelle*

---

\* ...w objęciach Laffitte'a i na skrzydłach Caillarda - dylizansem należącym do Towarzystwa Laffitte, Caillard i Sp.

*Fameuil*

*Listolier*

*Feliks Tholomyés.*

*Postscriptum: Obiad zapłacony.*

Dziewczęta spojrzały po sobie. Favourite pierwsza przerwała milczenie.

- No cóż! - zawołała. - Mimo wszystko, to świetny żart!

- Bardzo zabawne, istotnie! - powiedziała Zefina.

- To musi być pomysł Blachevelle'a - ciągnęła Favourite. - Gotowa jestem pokochać go za to. Nagły wyjazd - nagła miłość. Ot, i cała historia.

- Nie! - rzekła Dalia. - To pomysł Tholomyésa.

- To widać od razu. W takim razie precz z Blachevelle'em, niech żyje Tholomyés!

- Niech żyje Tholomyés! - zawołały Dalia i Zefma.

I wybuchnęły śmiechem.

Fantyna śmiała się razem z nimi.

Lecz w godzinę później, wróciwszy do swego pokoiku, wybuchnęła płaczem. Wspomnieliśmy, że była to jej pierwsza miłość; oddała się Tholomyésowi jak mężowi i - biedactwo - miała dziecko.

## **Księga czwarta**

**Powierzyć – to czasami wydać na pastwę**

## I

### Matka spotyka matkę

W pierwszej ćwierci bieżącego stulecia był w Montfermeil koło Paryża zajazd, który dziś już nie istnieje. Zajazd ten utrzymywali niejacy Thénardierowie, mąż i żona. Znajdował się on przy ulicy Piekarskiej. Nad wejściem wisiała deska przybita na płask do muru. Na desce namalowane było coś, co przypominało człowieka niosącego na grzbiecie drugiego człowieka, który miał złote generalskie szlify z dużymi posrebrzanymi gwiazdkami; czerwone plamy oznaczały krew; reszta obrazu tonęła w jakichś dymach i miała prawdopodobnie przedstawiać bitwę. Na dole widniał napis: "U Sierżanta spod Waterloo".

Nic pospolitszego nad wóz czy wózek przed drzwiami oberży. Jednakże wehikuł, a raczej ułomek wehikułu, który w pewien wieczór roku 1818 tarasował drogę przed drzwiami "Sierżanta spod Waterloo", przyciągnąłby swym niezwykłym kształtem uwagę każdego malarza, który by się tam znalazł.

Była to przednia część jednego z tych ogromnych wozów, używanych w okolicach lesistych, które służą do zwózki kłód i pni drzewnych. Składała się ona z grubej żelaznej osi na sworzniu i z ciężkiego dyszla wspierającego się na dwóch olbrzymich kołach. Wszystko razem było bezkształtne, ciężkie i niezdarne. Wyglądało na lawetę jakiegoś potężnego działa. Koła, szprychy, piasty, oś i dyszel pokrywała błotnista maź ohydnej, żółtawej barwy; podobnym kolorem chętnie ozdabia się kościoły. Drewniane części ginęły pod warstwą błota, żelazne zaś zżerała rdza. Pod osią zwisał półkolisty ciężki łańcuch, godny Goliata skazanego na galery. Widok tego łańcucha przywodził na myśl nie kłody, które miał ciągnąć, lecz mastodonty i mamuty, którym mógłby służyć za uprząż. Przypominał kajdany, ale kajdany dla cyklopa, nadludzkie, zdjęte z jakiegoś potwora-olbrzymia. Homer skułby tym łańcuchem Polifema, Szekspir - Kalibana.

Dlaczego ten wóz stał w tym miejscu na ulicy? Przede wszystkim dlatego, żeby tamować ruch; następnie zaś dlatego, żeby żelazo doszczętnie zjadła rdza. W starym porządku społecznym jest cała masa takich instytucji, które człowiek napotyka w podobny sposób na swojej drodze i których racji bytu nie sposób inaczej wytłumaczyć.

Środek łańcucha zwisał pod osią dość nisko i w jego zagięciu jakby na linie huśtawki siedziały w ów wieczór, wdzięcznie tuląc się do siebie, dwie małe dziewczynki, jedna miała

może dwa i pół roku, druga - półtora roku; starsza ramionkami obejmowała młodszą. Chusta, przemyślnie związana, chroniła je od upadku. Widać jakaś matka, ujrawszy ten straszny łańcuch, powiedziała sobie: "Doskonała zabawka dla moich dzieciaków!"

Obie dziewczynki, ubrane zresztą wdzięcznie, a nawet z pewnym wyszukaniem, promieniały radością; rzekłbyś: dwie różyczki na kupie żelastwa; oczka błyszcząły zwycięsko, świeże buziaki śmiały się. Jedna była szatynką, druga brunetką. Na ich naiwnych twarzyczkach malował się zdumiony zachwyt; zdawało się, że wonie, które słał przechodniom rosnący opodal krzak obsypany kwieciem, od nich płynęły. Półtoraroczna pokazywała goły brzuszek z niewinnym bezwstydem dzieciństwa. Ponad delikatnymi główkami, tryskającymi szczęściem i skąpanymi w blasku, gigantyczny kontur poczerńiałego od rdzy wozu, grozę budzący nieomal, pogięty i połamany dziwacznie, tworzył jakby sklepienie jakiejś pieczary. O parę kroków dalej, przykucnąwszy na progu oberży, matka dziewczynek, kobieta niezbyt zresztą miła z wyglądu, wzruszająca jednak w tej chwili, huśtała za pomocą długiego sznurka swoje dzieci, nie spuszczać z nich wzroku w obawie, aby nie przytrafiło im się co złego, a oczy jej miały zwierzęcy i niebiański zarazem wyraz, właściwy macierzyńskiej miłości. Przy każdym poruszeniu ogniwa ohydneho łańcucha wydawały przeraźliwy zgrzyt, niby krzyk gniewu; dziewczątka wpadały w zachwyt; zachodzące słońce przydawało blasku tej radości. Trudno byłoby o coś wdzięczniejszego nad ten kaprys przypadku, który przemienił kajdany tytanów w huśtawkę cherubinów.

Kołysząc swoje córeczki, matka fałszywie nuciła znaną wówczas piosenkę:

*"Tak musi być!" - rzekł rycerz raz...*

Zajęta śpiewem i pochłonięta wpatrywaniem się w córki, nie słyszała i nie widziała, co działo się na ulicy.

Tymczasem gdy zaczynała pierwszą strofkę piosenki, ktoś stanął koło niej i nagle, tuż nad jej głową, rozległy się słowa:

- Śliczne ma pani dzieci!

*Do pięknej i czulej Imogeny...*

- odpowiedziała matka śpiewając dalej swoją piosnkę, po czym odwróciła głowę.

O kilka kroków od niej stała jakaś kobieta. Ta również miała dziecko, które trzymała na rękę.

Oprócz dziecka dźwigała torbę podróżną, dość dużą i, jak się zdawało, bardzo ciężką.

Dziecko tej kobiety było najcudowniejszym stworzeniem, jakie można sobie wyobrazić. Była to dziewczynka dwu- lub trzyletnia. Wdzięczny jej strój śmiało mógł rywalizować z ubiorem tamtych dwóch dziewczynek: miała czepeczek z cienkiego płótna, przy kaftaniku wstążeczki, przy czepeczku koronki. Podwinięta spódniczka odsłaniała jej nóżkę białą, toczoną i jędrną. Była prześlicznie rumiana i zdrowa; na widok tej ślicznej dziewczynki aż chęć brała, aby ugryźć jabłuszka jej policzków. O jej oczach, dużych zapewne i ocienionych wspaniałymi rzęsami, nie można było nic powiedzieć. Dziewuszka spała.

Spała bezgranicznie ufny snem dziecka, właściwym jej wiekowi. Objęcia matki to tkliwość sama; dzieci śpią spokojnie w takich objęciach.

Matka wyglądała ubogo i smutnie: Ubrana była jak robotnica, która chce zostać z powrotem wieśniaczką. Była młoda. Czy była ładna? Może; w tym stroju jednak nie wydawała się ładna. Musiała mieć gęste włosy, ale zasłaniał je zupełnie surowy, zakonny prawie, brzydki, obcisły, związany pod brodą czepek, spod którego wymykało się jedno jasne pasmo. Kto ma piękne zęby, błyska nimi w uśmiechu; ale ona się nie śmiała. Oczy jej zdawały się być on dawna pełne nie wysychających łez. Była blada; wyglądała na bardzo znużoną i niezupełnie zdrową. Patrzyła na śpiącą w jej objęciu córeczkę ze specjalnym wyrazem twarzy matki, która wykarmiła swoje dziecko. Szeroka, niebieska chustka, złożona w trójkąt, okrywała jej ramiona i piersi. Ręce miała opalone, pokryte piegami, palec wskazujący zgrubiały i pokłuty od igły. Ubrana była w salopę z brązowej, szorstkiej wełny, płócienną suknię i grube trzewiki. Była to Fantyna.

Była to Fantyna. Niemal nie do poznania. Jednakże, przyjrzawszy się jej uważnie, widziałeś, że nie straciła swej urody. Smutna zmarszczka, jakby pierwsza zapowiedź goryczy, przecinała jej prawy policzek. Jej strój zaś, ów powiewny strój z muślinów i wstążek, jakby utkany z radości, swawoli i piosenki, pełen pustoty, pachnący bzami, znikł, jak znika piękny, olśniewający szron, który w słońcu mieni się jak brylanty; szron topnieje i zostaje naga gałązka.

Od "świątecznego kawału" upłynęło dziesięć miesięcy.

Co zaszło w ciągu tych dziesięciu miesięcy? Nietrudno odgadnąć.

Po opuszczeniu - niedostatek. Fantyna od razu straciła z oczu Favourite, Zefinę i Dalię. Więż, zerwana przez mężczyzn, rozluźniła się również między dziewczętami. Po dwóch tygodniach, gdyby im kto powiedział, że były przyjaciółkami, zdziwiłyby się ogromnie; ich przyjaźń straciła rację bytu. Fantyna została sama. Gdy ojciec jej dziecka odjechał - a takie zerwania są, niestety, nieodwołalne - znalazła się w zupełnym

osamotnieniu, nie nawykła do pracy, a przywykła do rozrywek. Związek z Tholomyésem sprawił, że zarzuciła swoje rzemiosło i zaniedbała odbiorców. Teraz oni już jej nie chcieli. Znikąd żadnej pomocy. Fantyna zaledwie umiała czytać; pisać nie umiała wcale; w dzieciństwie nauczono ją tylko podpisywać się swoim imieniem. Uliczny pisarz napisał jej list do Tholomyésa; jeden, potem drugi i trzeci. Tholomyés nie odpowiedział na żaden. Raz usłyszała, jak kumoszki mówiły, spoglądając na jej córeczkę: “Kto się tam przejmuję takim dzieciakiem? Wzrusza się na to ramionami, i kwita”. Pomyślała tedy o Tholomyésie, który na swe dziecko “wzruszył ramionami” i nie dbał wcale o to niewinne stworzenie, i serce jej zamknęło się dla tego człowieka. Co jednak począć? Nie wiedziała, do kogo ma się zwrócić. Zbłądziła, lecz jak wiadomo, z natury była skromna i cnotliwa. Czuła niejasno, że jeszcze chwila, a załamie się i popadnie w to, co najgorsze. Trzeba było siły ducha. Zdobyła się na nią i okrzepła wewnętrznie. Przyszło jej na myśl, żeby wrócić do rodzinnego miasta, do Montreuil-sur-mer. Tam może ktoś ją pozna i da jej pracę. Tak; ale trzeba ukryć swój grzech. I przewidywała niejasno, że czeka ją jeszcze jedna rozłąka, bardziej bolesna niż pierwsza. Serce jej się ścisnęło, ale powzięła decyzję. Jak to zobaczymy później, Fantyna miała nieustraszoną odwagę życiową.

Już przedtem dzielnie wyrzekła się strojów, ubrała się w płótno, a we wszystkie swoje jedwabne gałganki, wszystkie wstążki i wszystkie koronki ustroiła córkę - jedyna próżność, która jej pozostała, święta próżność! Sprzedała wszystko, co miała, i uzyskała sumę dwustu franków; po zapłaceniu drobnych długów zostało jej około osiemdziesięciu franków. Mając dwadzieścia dwa lata, w piękny wiosenny poranek Fantyna opuszczała Paryż; na plecach niosła dziecko. Kto by je spotkał na drodze, poczułby litość na widok tych dwóch istot. Ta kobieta miała na świecie tylko to dziecko; to dziecko miało na świecie tylko tę kobietę. Fantyna sama wykarmiła córeczkę; to osłabiło jej płuca, kaszlała trochę.

Nie będziemy już mieli więcej sposobności, aby mówić o panu Feliksie Tholomyésie. Powiedzmy więc tylko tyle, że po latach dwudziestu, za panowania Ludwika Filipa; był znanym na prowincji bogatym i wpływowym adwokatem, roztroptym wyborcą i surowym sędzią przysięgłym; nie gardził nadal uciechami życia.

Koło południa, przebywszy część drogi pieszo, a część dla odpoczynku za opłatą trzech czy czterech su od mili w jednej z tych karetek pocztowych, które kursowały wtedy w okolicach Paryża, Fantyna znalazła się w Montfermeil na ulicy Piekarskiej.

Gdy przechodziła koło oberży Thénardierów, widok dwóch dziewczynek, bujących się w zachwycie na potwornej huśtawce, olśnił ją nagle; przystanęła przed tym radosnym zjawiskiem.

Są na świecie czary. Dwie małe dziewczuszki rzuciły czar na tę matkę.

Patrzyła na nie głęboko poruszona. Obecność aniołów zwiastuje poblizę raju. Wydało jej się, że widzi na tej oberży tajemnicze "Tutaj", nakreślone ręką Opatrzności. Te dwie dziewczynki były tak oczywiście szczęśliwe!

Wpatrywała się w nie, zachwycała się nimi, tak wzruszona, że nie mogła się powstrzymać, aby nie powiedzieć matce, w chwili gdy tamta zaczynała śpiewać drugą zwrotkę, słów, które niedawno czytaliśmy:

- Śliczne ma pani dzieci!

Najbardziej dzikie stworzenia można ułagodzić pieścąc ich małe. Matka uniosła głowę, podziękowała przybyłej i zaprosiła ją, aby usiadła na ławce przed drzwiami; sama siedziała na progu. Obie kobiety wdały się w rozmowę.

- Nazywam się Thénardierowa - rzekła matka dwóch dziewczynek. - Prowadzimy tę oberżę.

Po czym wracając do swojej piosenki, zanuciła pod nosem:

*Tak musi być! I ruszam wraz*

*Na bój do Palestyny.*

Ta Thénardierowa była kobietą rudą, tłustą i grubokościstą - typ markietanki w całej swojej brzydocie. I rzecz dziwna, przybierała pretensjonalne miny, które zawdzięczała lekturze romansów. Mizdrząca się herod-baba! Stare romanse, działając na wyobraźnię karczarek, wywierają taki skutek. Była to młoda jeszcze osoba; miała zaledwie trzydzieści lat. Gdyby nie siedziała; lecz stała, może jej olbrzymi wzrost i potężne kształty jarmarcznego wielkoluda przeraziłyby z miejsca podróżną i wzbudziły jej nieufność; nie doszłoby może do tego, co za chwilę opowiemy. Niekiedy losy ludzkie zależą od tego, czy ktoś stoi, czy siedzi.

Podróżna opowiedziała swoje dzieje, zmieniając je nieco:

Że była robotnicą, że mąż jej umarł, że - ponieważ w Paryżu brak pracy - chce jej poszukać gdzie indziej, w rodzinnych stronach; że dziś rano pieszo wyszła z Paryża; że niosąc dziecko zmęczyła się bardzo i spotkawszy karetkę pocztową jadącą do Villemomble wsiadła do niej; że z Villemomble doszła do Montfermeil piechotą, że córeczka jej szła trochę, ale niewiele, bo taka jeszcze jest mała, że trzeba ją było wziąć, na ręce, i że usnęła, skarb najmilszy.

To mówiąc pocałowała namiętnie córeczkę, co ją obudziło. Dziecko otwarło ogromne, szafirowe oczy, podobne do oczu matki, i popatrzyło. Na co? Na nic, na wszystko, z tą

poważną, a niekiedy surową minką małego dziecka, która kryje w sobie tajemnicę jego świetlanej niewinności wobec naszych zmierzających cnót. Rzekłbyś, że dzieci czują się aniołami i wiedzą, że my jesteśmy ludźmi. Po chwili dziecko roześmiało się i mimo że matka zatrzymywała je, zsunęło się na ziemię z nieokiełznaną energią małej istotki, która chce pobiegać. Nagle, spostrzegłszy na huśtawce dwie dziewczynki, mała stanęła jak wryta i na znak zachwytu wysunęła języczek.

Matka Thénardier odwiązała swe córki, zsadziła je z huśtawki i rzekła:

- Bawcie się razem!

Łatwo się zawiera znajomość w tym wieku; po krótkiej chwili nowo przybyła i dziewczynki Thénardierów bawiły się kopiąc dołki w ziemi, rozkosz niewysłowiona!

Nowo przybyła była bardzo wesoła; o dobroci matki świadczy wesołość dziecka; mała chwyciła patyk i, niby łopatką, zaczęła nim energicznie kopać dołek, w sam raz dobry na grób dla muchy. Nawet praca grabarza staje się wesoła, gdy ją wykonują dzieci.

Kobiety rozmawiały dalej.

- Jak ma na imię pani mała?

- Kozeta.

Kozeta, czyli Eufrazja. Dziewczynka miała na imię Eufrazja. Ale z Eufrazji matka zrobiła Kozetę, wiedziona tkliwym i uroczym instynktem, właściwym matkom i ludowi, który Józefę zmienia na Pepitę, a Franciszkę na Isię. Jest to rodzaj wyrazów podobnych, który sprawia wiele kłopotu uczonym etymologom. Zналиśmy babunię, która imię, Teodora potrafiła spieścić na Nini.

- Ile ma lat?

- Skończy niedługo trzy.

- To tak jak moja starsza.

Tymczasem dziewczynki zbiły się w gromadkę, bardzo zaniepokojone i uszczęśliwione zarazem: działo się coś niezwykłego; z ziemi wylazł ogromny robak; bały się go, ale były zachwycone.

Pochyliły się ku sobie jasne czółka; rzekłbyś, trzy główki w jednej aureoli.

- Ach, te dzieciaki! - zawołała matka Thénardier. - Jak to się szybko zaprzyjaźnia! Przysiągłbyś, że to trzy siostry.

To słowo było iskierką, na którą prawdopodobnie czekała druga matka. Chwyciła Thénardierową za rękę, zajrzała jej głęboko w oczy i powiedziała:

- Czy chciałaby pani zaopiekować się moim dzieckiem? Gest zdziwienia, którym odpowiedziała Thénardierową, nie wyrażał ani zgody, ani odmowy.

Matka Kozety ciągnęła dalej:

- Widzi pani, nie mogę zabrać małej w moje strony. Nie mogłabym pracować; z dzieckiem nie dostanę nigdzie roboty. Ludzie w moich stronach są tacy śmieszni. To Pan Bóg przyprowadził mnie tutaj! Jak zobaczyłam pani małe, takie ładne, takie czyściutkie, takie wesołe, aż mną wstrząsnęło. Powiedziałam sobie: "Muszą mieć dobrą matkę!" Tak! tak! Będą jak trzy siostry. A poza tym, ja niedługo wrócę! Czy zaopiekuje się pani moim dzieckiem?

- Trzeba by się zastanowić - odrzekła Thénardierowa.

- Będę płacić sześć franków miesięcznie. Tu, z głębi zajazdu, rozległ się męski głos:

- Siedem franków co najmniej! I za sześć miesięcy z góry!

- Sześć razy siedem - czterdzieści dwa - rzekła Thénardierowa.

- Zapłacę - powiedziała matka.

- Prócz tego, piętnaście franków na pierwsze wydatki - dodał męski głos.

- Razem pięćdziesiąt siedem franków - rzekła Thénardierowa. I wymawiając te cyfry zanuciła półgłosem:

*" Tak musi być " - rzekł rycerz raz...*

- Zapłacę - rzekła matka - mam osiemdziesiąt franków. To, co mi zostanie, wystarczy na podróż w moje strony. Pójdę piechotą. Tam zarobię coś niecoś i jak tylko uzbieram trochę pieniędzy, wrócę po moje najmilsze kochanie!

Głos męski ciągnął dalej:

- Czy mała ma wyprawkę?

- To mój mąż - wyjaśniła Thénardierowa.

- Rozumie się, że ma wyprawkę, biedne maleństwo! Od razu się domyśliłam, że to pani mąż. I to jeszcze jaką wyprawkę! Wspaniała! Wszystkiego po tuzinie! I sukienki jedwabne, jak prawdziwa dama! Wszystko mam tu, w worku.

- Trzeba będzie to zostawić - ciągnął dalej męski głos.

- A pewno, że zostawię - odrzekła matka. - To by dopiero było dziwne, żebym moje dziecko zostawiła nagie.

Ukazała się twarz oberżysty.

- Zgoda - rzekł.

Dobito targu. Matka spędziła noc w oberży, dała pieniądze, zostawiła dziecko, związała worek, lekki teraz, bo opróżniony z wyprawki, i wyruszyła następnego dnia rano, licząc na to, że niebawem wróci. Rozstania takie odbywają się spokojnie, ale kryją w sobie

ogrom rozpaczy.

Sąsiadka Thénardierów spotkała tę matkę na drodze i powiedziała:

- Widziałam jakąś kobietę, która płakała na ulicy! Aż serce mi pękało.

Kiedy matka Kozety odeszła, mężczyzna odezwał się do żony:

- Mam teraz czym zapłacić weksel na sto dziesięć franków; termin przypada jutro.

Brakowało mi akurat pięćdziesiąt franków. Czy wiesz, że weksel poszedłby do protestu i miałbym komornika na karku? Dobrą pułapkę zastawiłaś tymi swoimi małymi.

- Nie miałam tego nawet na myśli - odparła żona.

## II

### Pobieżny szkic dwóch podejrzanych postaci

Myszka złapana w pułapkę była bardzo nędzna; ale kat rad jest i chudej myszy.

Kimże byli Thénardierowie?

Powiedzmy o nich od razu kilka słów. Później dopełnimy obrazu.

Ci ludzie należeli do owej mieszanej klasy społecznej, składającej się ze zubożonych prostaków i zdeklasowanych inteligentów, którą trzeba umieścić między tak zwaną klasą średnią a niższą i która łączy prawie wszystkie wady pierwszej z niektórymi przyzwarami drugiej, nie mając wszakże ani szlachetnych porywów robotnika, ani uczciwej rządności mieszczanina.

Były to natury skarłale, które, jeśli je przypadkowo ogarnie jakiś ciemny płomień, łatwo stają się potworami. Kobieta była w gruncie rzeczy chamką, mąż jej miał wszelkie zadatki na łotra. Oboje byli w najwyższym stopniu podatni na oddziaływanie tego zdegenerowanego postępu, który odbywa się w kierunku zła. Istnieją dusze - raki ciężące zawsze ku ciemności, cofające się raczej niż kroczące naprzód; korzystają one z nabytego doświadczenia, by jeszcze powiększyć swoje ułomności; z dnia na dzień stają się gorsze i coraz bardziej pełne narastającego wciąż mroku. Ten mężczyzna i ta kobieta mieli właśnie takie dusze.

Zwłaszcza Thénardier mógł wprowadzić w zakłopotanie fizjonomistę. Na pewnych ludzi dość spojrzeć, aby poczuć do nich nieufność; spowijają ich ciemności. Za nimi - niepokój, przed nimi - groźba. Jest w nich nieznanne. Nie można ręczyć za to, co zrobili, ani za to, co zrobić mogą. Mrok, który jest w ich spojrzeniu, zdradza ich. Wystarczy, by powiedzieli jedno słowo, by zrobili jeden gest, a już się wyczuwa, że przeszłość ich ma ciemne tajemnice, a przyszłość pełna jest ciemnych niespodzianek.

Thénardier - jeśli można wierzyć jego słowom - był niegdyś żołnierzem; sierżantem jak twierdził. Prawdopodobnie odbył kampanię 1815 roku; rzekomo bił się nawet dosyć dzielnie. Zobaczymy później, jak się rzecz miała naprawdę. Szydł nad jego oberżą przedstawiał właśnie jeden z jego czynów wojennych. Szydł ten Thénardier wymalował własnoręcznie, bo umiał robić po trosze wszystko; i wszystko źle.

Były to czasy upadku dawnej powieści klasycznej, która z "Klelii" stała się tylko

“Lodoiską”<sup>\*</sup>, zawsze szlachetna, ale coraz bardziej wulgarna, a stoczywszy się od panny de Scudéry do pani Barthélemy-Hadot i od pani de Lafayette do pani Bournon-Malarme, rozpaliała tkliwe serca stróżek paryskich i czyniła nawet, pewne spustoszenie na przedmieściach. Pani Thénardier miała akurat tyle inteligencji, aby rozczytywać się w tego rodzaju książkach. Karmiła się nimi; topiła w nich cały swój zdrowy rozsądek; dlatego to kiedy była bardzo młoda, a nawet nieco później, wydawała się zawsze zamyślona przy boku męża, hultaja obdarzonego pewną dozą inteligencji, rozpustnika nie pozbawionego wykształcenia, człowieka gruboskórnego i przebiegłego zarazem, który rozczytywał się w powieściach Pigault-Lebruna, ale we wszystkim, “co się tyczy płci”, jak zwykł był mawiać w swoim żargonie, był skończonym chamem. Żona była młodsza od Thénardiera o jakieś dwanaście czy piętnaście lat. Z czasem, kiedy romantycznie rozpuszczone włosy zaczęły siwieć i Pamela<sup>\*</sup> przemieniła się w Megierę, Thénardierowa stała się już tylko grubą i złą kobietą, która nałykała się głupich romansideł. Nie czyta się bezkarnie bzdur. Skutek tej lektury był taki, że starsza jej córka miała na imię Eponina. Młodsza, biedaczka, omal nie została Gulnarą. Powieści Ducray-Duminila<sup>\*</sup>, która szczęśliwie odwróciła uwagę jej matki, zawdzięczała, że nazwano ją tylko Anzelma.

Zresztą, wtrącimy tu mimochodem, nie wszystko jest niemądre i powierzchowne w owych ciekawych czasach, które tu wspominamy, a które można by nazwać “czasami anarchii imion”. Obok czynnika romantycznego, o którym już mówiliśmy, jest to także zjawisko społeczne. Nieraz można dziś spotkać parobka, który ma na imię Artur, Alfred czy Alfons, i wicehrabiego - o ile jeszcze istnieją wicehrabiowie - który ma na imię Tomasz, Piotr czy Jacek. To przesunięcie, które imię “eleganckie” daje chłopu, imię chłopskie zaś arystokracie, jest nurtem wewnętrznym, dążącym do zrównania. To zwycięskie przenikanie nowego powiewu, który dociera tu podobnie jak wszędzie. Pod pozorną niezgodnością kryje się rzecz wielka i głęboka: Rewolucja Francuska.

---

<sup>\*</sup> “Klelia” - bardzo popularna w swoim czasie powieść Madeleine de Scudery (1607-1701) o naiwnej, sentymentalnej akcji (działającej się w Polsce); “Lodoiską” - bardzo popularna w swoim czasie komedia bohatera z muzyką Cherubiniego.

<sup>\*</sup> Pamela - bohaterka sentymentalnej i bardzo popularnej w swoim czasie powieści Samuela Richardsons (1689-1761), pod tym samym tytułem.

<sup>\*</sup> François - Guillaume Ducray - Duminill (1761-1819) - popularny w swoim czasie pisarz francuski, autor licznych powieści, łączył awanturniczą akcją swoich utworów z romantyczną, nastrojowością.

### III

#### Skowronek

Nie wystarczy być złym, aby mieć powodzenie. Szynk szedł źle.

Dzięki pięćdziesięciu siedmiu frankom podróżnej Thénardier uniknął protestu i mógł wykupić swój weksel. Następnego miesiąca znowu potrzebowali pieniędzy; Thénardierowa pojechała do Paryża i za sześćdziesiąt franków zastawiła w lombardzie wyprawkę Kozety. Gdy i z tej sumy nie zostało grosza, Thénardierowie zaczęli patrzeć na dziewczynkę jak na dziecko przygarnięte z litości i traktowali ją odpowiednio. Ponieważ nie miała już wyprawki, ubierali ją w stare sukienki i koszulki córek, to znaczy w łachmany. Karmili ją resztkami pozostałymi po wszystkich, trochę lepiej niż psa, trochę gorzej niż kota. Zresztą Kozeta jadła zwykle razem z psem i kotem pod stołem z takiej samej drewnianej miseczki. Matka dziewczynki, która, jak to później zobaczymy, osiadła w Montreuil-sur-mer, co miesiąc pisała, a raczej kazała pisać listy, aby mieć wiadomości o dziecku. Thénardierowie odpowiadali niezmiennie: “Kozeta miewa się świetnie”.

Po upływie sześciu miesięcy matka przysłała siedem franków za siódmy miesiąc i odtąd co miesiąc przysyłała regularnie należność. Przed końcem roku Thénardier powiedział: “A to mi wielka łaska! Cóż to jest te jej siedem franków?” - i napisał żądając dwunastu franków. Matka, którą utwierdzili w mniemaniu, że dziecko jest szczęśliwe i “dobrze się chowa”, zgodziła się i przysyłała odtąd dwanaście franków.

Pewne natury nie mogą kochać nie nienawidząc zarazem. Matka Thénardier namiętnie kochała swoje dwie córki i dlatego nie cierpiała obcej. Przykro myśleć, że miłość macierzyńska może mieć brzydkie strony. Mimo że Kozeta zajmowała tak mało miejsca, Thénardierowej zdawało się, że mała pozbawia czegoś jej dzieci, że zabiera jej córkom część ich powietrza. Ta kobieta, podobnie jak wiele kobiet jej pokroju, musiała rozdać codziennie porcję pieśczoł i porcję szturchańców i wyzwisk. Gdyby nie było Kozety, córkom jej - mimo że je tak uwielbiała - dostałoby się z pewnością i jedno, i drugie; obce dziecko oddało im tę przysługę, że razy wzięło na siebie. Córkom przypadły w udziale tylko pieśczołoty. Za każdym poruszeniem spadał na Kozetę grad surowych i niezasłużonych kar. Łagodne, słabe stworzonko, bezustannie karcone, łajane, popychane i bite, widząc koło siebie dwie inne istoty - małe podobnie jak ona, a opromienione szczęściem - nie mogło zrozumieć

ani tego świata, ani Boga.

Ponieważ Thénardierowa była zła dla Kozety, Eponina i Anzelma również były dla niej złe. Dzieci w tym wieku są wiernym odbiciem matki. Tyle tylko, że w pomniejszeniu.

Upłynął jeden rok, potem, drugi.

W miasteczku mówiono: “Ci Thénardierowie to zacni ludzie. Sami nie są bogaci, a wychowują biedne dziecko, które im ktoś podrzucił”.

Myślano, że matka zapomniała o Kozecie.

Tymczasem Thénardier, dowiedziawszy się jakimiś krętymi drogami, że dziecko - według wszelkiego prawdopodobieństwa - jest nieślubne i że matka nie może się do niego przyznać, zażądał piętnastu franków na miesiąc, pisząc, że “dziewczyna” rośnie i je za trzech”, grożąc odesłaniem Kozety. “Niech mi ona nie zawraca głowy - krzychał - bo odeślę bachora i całą tę jej tajemnicę lichu weźmie! Musi mi płacić więcej”. Matka zapłaciła piętnaście franków.

Z roku na rok dziecko rosło, a jednocześnie rosła jego nędza. Dopóki Kozeta była malutka, zносиła szturchańce za tamte dziewczynki; gdy podrosła trochę - miała niespełna pięć lat - została służącą całego domu.

“Pięć lat? - powie ktoś. - To niemożliwe”. Niestety to prawda! Niedola społeczna zaczyna się w każdym wieku. Czyż nie słyszeliśmy niedawno o procesie niejakiego Dumolarda, sieroty, co wyrósł na bandytę, który w wieku lat pięciu - jak to stwierdzają urzędowe dokumenty - nie mając nikogo na świecie, “sam zarabiał na życie i kradł”?

Kozeta musiała chodzić po zakupy, zamiatać izby, podwórze i ulicę, zmywać naczynia, a nawet dźwigać ciężary. Thénardierowie czuli się tym bardziej upoważnieni do takiego postępowania, że matka dziewczynki, przebywająca nadal w Montreuil-sur-mer, zaczęła płacić nieregularnie. Zalegała już za kilka miesięcy. Gdyby ta matka powróciła po trzech latach do Montfermeil, nie poznałaby swojego dziecka. Kozeta, taka śliczna, taka świeża w chwili przybycia do tego domu, była teraz błada i wychudzona. Z jej zachowania bił jakiś dziwny niepokój. “Ten mruk” - mówili o niej Thénardierowie.

Niesprawiedliwość uczyniła ją kłótliwą; nędza sprawiła, że stała się brzydką. Zostały jej tylko piękne oczy, na które przykro było patrzeć, zdawało się bowiem, że po to tylko są takie wielkie, aby pomieścić jeszcze więcej smutku.

Serce krajało się na widok tego biedactwa nie mającego jeszcze sześciu lat, drżącego, z oczami pełnymi łez, okrytego strzępami starych płóciennych szmat, gdy zimą o świcie zamiatała ulicę trzymając w zsiniałych rączynach olbrzymią miotłę.

W wiosce nazywano ją Skowronkiem. Lud wiejski, lubiący obrazowe określenia,

przezwał tak tę istotkę niewiele większą od ptaszka, drżącą, płochliwą i zziębniętą, pierwszą na nogach w domu i w całej wiosce, pierwszą na ulicy i uwijającą się na polu jeszcze przed świtem.

Tylko że ten biedny Skowronek nigdy nie śpiewał.

**Księga piąta**

**Na pochyłości**

## I

### **Historia postępu technicznego w produkcji wyrobów z czarnego szkła**

A co się działo tymczasem z ową matką, która, zdaniem mieszkańców Montfermeil, porzuciła swoje dziecko? Co robiła? Gdzie się obracała?

Zostawiwszy u Thénardierów swoją małą Kozetę, ruszyła w dalszą drogę i przybyła do Montreuil-sur-mer.

Było to, jak czytelnik sobie przypomina, w roku 1818.

Fantyna opuściła swoje strony przed dziesięciu laty. W Montreuil-sur-mer zaszły zmiany; podczas gdy Fantyna popadała w coraz to większą nędzę, jej rodzinne miasto wzrastało w zamożność.

Mniej więcej przed dwoma laty zaszedł tu w życiu przemysłowym jeden z tych wypadków, które dla małych miast i ich okolic stają się wielkim wydarzeniem.

Szczegół ten jest ważny i warto szerzej go omówić, a nawet specjalnie podkreślić.

Od niepamiętnych czasów istniał w Montreuil-sur-mer przemysł miejscowy: wyrabiano tu imitację angielskich dżetów i niemieckiego czarnego szkła. Przemysł ten zawsze kulał z powodu wysokiej ceny surowca, co odbijało się na robotnikach. Kiedy Fantyna powróciła do Montreuil-sur-mer, w dziedzinie produkcji "czarnego artykułu" dokonała się niezwykła przemiana. Pod koniec 1815 roku jakiś nieznany człowiek, który osiadł w mieście, wpadł na pomysł, aby przy wyrobie tych artykułów zastąpić żywicę gumą, a przy produkcji bransoletek kółka lutowane - kółkami blaszanymi, spajanymi mechanicznie. Te drobne ulepszenia wywołały prawdziwą rewolucję.

Tak niewielka zmiana bowiem bardzo znacznie zmniejszyła koszty surowca i pozwoliła, po pierwsze, podwyższyć płacę robotnikom, co było prawdziwym dobrodziejstwem dla okolicy, po drugie, polepszyć jakość wyrobów, co było wielką korzyścią dla odbiorców; po trzecie zaś, sprzedawać te wyroby po niższej cenie potrając dochód - co było zyskiem dla fabrykanta.

Tak więc jeden pomysł wydał potrójne owoce.

Nie minęły trzy lata, a autor tego wynalazku stał się bogatym człowiekiem - co jest rzeczą dobrą, i wzbogacił wszystkich dokoła - co jest rzeczą o wiele lepszą. Był to człowiek obcy w tych stronach. O pochodzeniu jego nie wiedziano nic; o początkach jego kariery -

niewiele.

Opowiadano, że przybył do miasta z niewielką ilością pieniędzy, z kilkuset frankami najwyżej.

Ten szczupły kapitalik, użyty na urzeczywistnienie pomysłowego wynalazku, pomnożony rządnością i rozumem, stał się źródłem jego fortuny i dobrobytu całej okolicy.

Gdy przybył do Montreuilur-sur-mer, z ubioru, postawy i mowy był prostym robotnikiem.

Podobno gdy ukradkiem wchodził do miasteczka pewnego grudniowego dnia, o zmierzchu, z workiem na plecach i sękatym kijem w ręku, wybuchł właśnie groźny pożar w ratuszu. Człowiek ten rzucił się w ogień i z narażeniem własnego życia uratował dwoje dzieci - jak się okazało - dzieci kapitana żandarmerii; dlatego to nikomu nie przyszło do głowy zapytać go o paszport. Dopiero później dowiedziano się jego nazwiska.

Nazywał się ojciec Madeleine.

## II

### Madeleine

Był to człowiek mniej więcej pięćdziesięcioletni, który robił wrażenie zatroskanego i który był dobry. Oto wszystko, co dało się o nim powiedzieć.

Dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu, w którym człowiek ten wprowadził tak szczęśliwe zmiany, Montreuil-sur-mer stało się ważnym ośrodkiem handlowym. Hiszpania, zużywając wiele czarnych dżetów, rokrocznie zakupywała je tutaj za znaczne sumy. Montreuil-sur-mer w tej gałęzi przemysłu, mogło konkurować niemal z Londynem i Berlinem. Dochody ojca Madeleine były tak duże, że już w drugim roku mógł wybudować wielką fabrykę posiadającą dwa warsztaty: jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Każdy, kto cierpiał głód, mógł się tam zgłosić i był pewien, że znajdzie pracę i chleb. Ojciec Madeleine wymagał od mężczyzn chęci do pracy, od kobiet - czystości obyczajów, od wszystkich zaś - uczciwości. Stworzył osobne warsztaty, aby oddzielić kobiety od mężczyzn i by dziewczęta i niewiasty uchronić przed upadkiem. Na tym punkcie był nieugięty; to jedyna dziedzina, w której nie przejawiał wyrozumiałości. Jego surowość w tym względzie była tym bardziej uzasadniona, że Montreuil-sur-mer, jako miasto garnizonowe, dawało wiele okazji do zepsucia. Zresztą jego przybycie było dobrodziejstwem, a jego obecność opatrnością. Dawniej panował tu ogólny zastój; obecnie wszystko tętniło zdrowym rytmem pracy. Tempo życia gospodarczego wszystko ożywiało i wszędzie przenikało. Bezrobocie i nędza były nieznane. W każdej najskromniejszej nawet kieszeni było trochę grosza, w każdej najbiedniejszej izbie - trochę radości.

Ojciec Madeleine każdemu dawał pracę. Wymagał jednego: bądź uczciwym mężczyzną! bądź uczciwą dziewczyną!

Jak już wspomnieliśmy, na tym ożywionym ruchu handlowym, którego sam był główną przyczyną i sprężyną zarazem, ojciec Madeleine dorobił się majątku, ale chyba nie to było jego istotnym celem; rzecz dziwna u zwykłego przemysłowca. Zdawał się myśleć wiele o innych, mało o sobie. W 1820 roku wiedziano, że umieścił na swoje imię u Laffitte'a sześćset trzydzieści tysięcy franków; ale zanim odłożył te sześćset trzydzieści tysięcy franków, wydał przeszło milion na potrzeby miasta i ubogich.

Szpital był źle wyposażony; ufundował dziesięć łóżek.

Montreuil-sur-mer dzieli się na miasto górne i dolne. W dolnej części miasta, gdzie mieszkał ojciec Madeleine, była tylko jedna szkoła, nędzna, waląca się rudera. Wybudował dwie szkoły, jedną dla dziewcząt, drugą dla chłopców. Obu nauczycielom wypłacał z własnych funduszy dodatek dwa razy wyższy od lichej pensji rządowej, a gdy ktoś się temu dziwił, powiedział: "Dwaj pierwsi urzędnicy w kraju - to mamka i nauczyciel". Na swój koszt założył ochronkę - rzecz wówczas we Francji mało znaną - i kasę zapomogową dla robotników starych lub chorych.

Ponieważ fabryka jego stała się ośrodkiem przemysłowym, w krótkim czasie wyrosła wokół niej nowa dzielnica, którą zamieszkiwała w dużej mierze uboga ludność; założył tam bezpłatną aptekę.

Zrazu, patrząc na początki jego działalności, zacne dusze powiedziały: "To jakiś spryciarz, który chce się wzbogacić". Kiedy stwierdzono, że - nim sam się wzbogacił, wzbogacił całą okolicę, te same zacne dusze powiedziały: "To karierowicz". Wydawało się to tym bardziej możliwe, że był człowiekiem wierzącym, a nawet do pewnego stopnia praktykującym - rzecz w owych czasach bardzo dobrze widziana.

Co niedziela regularnie chodził na cichą mszę. Deputowany tamtejszy, wietrzący wszędzie konkurencję, zaniepokoił się tą pobożnością. Ten deputowany, który był członkiem ciała ustawodawczego za Cesarstwa, podzielał poglądy religijne ojca ze zgromadzenia oratorianów, znanego pod nazwiskiem Fouché, księcia Otranto, którego był kreaturą i przyjacielem. Przy drzwiach zamkniętych śmiał się po cichu z Boga. Gdy jednak zobaczył, że bogaty fabrykant Madeleine chodzi na mszę o siódmej rano, dojrzał w nim możliwego kandydata i postanowił go prześcignąć: na spowiednika wziął jezuitę i zaczął chodzić na sumę i na nieszpory. W owych czasach bowiem ambicją był "wyścig do zakrystii" w dosłownym tego słowa znaczeniu. Biedni skorzystali z tego strachu tak samo jak i Pan Bóg, gdyż czcigodny deputowany ufundował również dwa łóżka dla szpitala, co czyniło razem dwanaście.

Tymczasem pewnego ranka w roku 1819 rozeszła się po mieście pogłoska, że na wniosek prefekta i z uwagi na wielkie usługi oddane krajowi ojciec Madeleine zostanie mianowany przez króla merem miasta Montreuil-sur-mer. Ci, którzy oświadczyli, że ten przybysz jest "karierowiczem", skorzystali skwapliwie z okazji, miłej każdemu, aby zawołać: "A co? Nie mówiliśmy?" Całe Montreuil-sur-mer było poruszone. Pogłoska okazała się uzasadniona. Po kilku dniach nominacja ukazała się w "Monitorze". Nazajutrz ojciec Madeleine odmówił przyjęcia godności.

W tym samym roku 1819 znalazły się wyroby, wykonane sposobem wynalezionym

przez pana Madeleine, na wystawie przemysłowej; na wniosek jury król mianował wynalazcę kawalerem Legii Honorowej. Nowe poruszenie w miasteczku. “Ach! Więc to orderu mu się zachciało!”

Ojciec Madeleine orderu nie przyjął.

Doprawdy ten człowiek był zagadką! Zadne dusze i z tym dały sobie radę, mówiąc: “To jakiś awanturnik!”

Jak już wiadomo, okolica zawdzięczała mu dużo, ubodzy zawdzięczali mu wszystko; był tak pożyteczny, że każdy w końcu musiał poczuć do niego szacunek; był tak dobry, że każdy w końcu musiał go pokochać; zwłaszcza robotnicy uwielbiali go, a on przyjmował to uwielbienie z jakąś melancholijną powagą. Gdy się przekonano, że jest bogaty, “ludzie z towarzystwa” zaczęli mu się kłaniać i nazwano go w mieście “panem Madeleine”, dla robotników i dla dzieci pozostał jednak nadal ojcem Madeleine i to miano wywoływało jego najzyczliwszy uśmiech. W miarę jak wzrastało jego znaczenie, posypały się nań zaproszenia. Osoby “z towarzystwa” ubiegały się o niego. Sztynne “salony” Montreuil-sur-mer, które oczywiście byłyby się zamknęły zrazu dla rzemieślnika, przed milionerem otwarły na oścież swe podwoje. Robiono mu tysiące awansów. Odrzucił je.

Tym razem znowu zadne dusze nie dały za wygraną. “To jakiś nieokrzesany prostak. Nie wiadomo, co to za jeden. Nie umiałby się znaleźć w towarzystwie. Nie wiadomo nawet, czy umie czytać”.

Kiedy dorabiał się pieniędzy, powiedziano o nim: “To jakiś kupczyk”. Kiedy rozdawał pieniądze na prawo i lewo, powiedziano: “To karierowicz”. Kiedy odrzucił zaszczyty, powiedziano: “To awanturnik”. Kiedy odsunął się od “towarzystwa”, powiedziano: “To grubianin”.

W roku 1820, w pięć lat po przybyciu do Montreuil-sur-mer, zasługi, które oddał krajowi, były tak wybitne i cała okolica wypowiedziała się tak jednomyślnie, że król, ponownie mianował go merem miasta. Odmówił tym razem także, ale prefekt nalegał, wybitni obywatele miasta przyszli go prosić, prości ludzie zaczepiali go i molestowali na ulicy, nalegano tak mocno, że zgodził się wreszcie.

Zauważono, że na jego decyzję wpłynął przede wszystkim prawie gniewny okrzyk starej kobiety z ludu, która zawołała doń z irytacją od progu swego domu: “Dobry mer jest pożyteczny. Nie godzi się wykręcać, jeśli można zrobić coś dobrego dla ludzi!”

To była trzecia faza jego wznoszenia się. Ojciec Madeleine stał się panem Madeleine, pan Madeleine stał się panem merem.

### III

#### Sumy złożone u Laffitte'a

Zresztą zachował nadal tę samą prostotę co pierwszego dnia. Miał siwe włosy; poważne spojrzenie, ogorzałą cerę robotnika, myślącą twarz filozofa. Nosił zwykle kapelusz z szerokim rondem i długi surdut z grubego sukna, zapięty pod samą szyję. Sprawował urząd mera, ale poza tym żył samotnie. Z nikim prawie nie rozmawiał. Unikał towarzyskich uprzejmości, znajomym kłaniał się z daleka, mijając ich spiesznie; uśmiechał się, żeby nie rozmawiać, dawał, żeby się nie uśmiechać. "Pocziwy niedźwiedź" - mówiły o nim kobiety. Największą przyjemność sprawiały mu przechadzki po polach.

Jadł zawsze sam, czytając książkę leżącą na stole. Miał niewielką, starannie dobraną bibliotekę. Kochał książki; książka to chłodny, lecz pewny przyjaciel. Zdawało się, że wolny czas, jaki dał mu majątek, poświęcał na kształcenie umysłu. Zauważono, że od czasu przybycia do Montreuil-sur-mer jego sposób wysławiania stawał się z roku na rok coraz bardziej gładki, wyszukany i grzeczny.

Idąc na spacer chętnie zabierał strzelbę, lecz rzadko robił z niej użytek. Jeżeli przypadkiem to mu się zdarzyło, strzały jego były przerażająco celne. Nigdy nie zabijał nieszkodliwego stworzenia. Nigdy nie strzelał do ptaków.

Choć nie był już młody, opowiadano, że miał niepospolitą siłę fizyczną. Każdemu, w razie potrzeby, służył pomocą: podnosił konia, popychał wóz ugrzęzły w błocie, chwycił za rogi uciekającego byka. Miał zawsze kieszenie pełne drobnych, gdy wychodził na spacer, puste, gdy wracał. Kiedy przechodził przez jakąś wioskę, obdarte dzieciaki biegły radośnie za nim i otaczały go niby rój muszek.

Domyślano się, że dawniej musiał żyć na wsi, znał bowiem różne użyteczne sekrety, którymi dzielił się z wieśniakami. Uczył ich; jak niszczyć mola zbożowego, skrapiając spichrz i zalewając szpary w podłodze roztworem kuchennej soli, jak odpędzić wołka zbożowego, zawieszając wszędzie: na ścianach, pod stropami, w stodołach i budynkach mieszkalnych, pęki kwitnącej bylicy. Znał też sposoby, by wyplenić z pola kąkol, wykę, śnieć, "lisie ogony" i inne zielska. Chronił królikarnię przed szczurami, umieszczając tam świnkę morską, której zapachu szczury nie znoszą.

Pewnego dnia zobaczył wieśniaków zajętych wrywaniem pokrzyw. Spojrzał na ten

stos wyrwanych z korzeniami, zeschniętych już roślin i rzekł:

- To już na nic. A przecież i te rośliny dałoby się wykorzystać, gdyby się z nimi umiejętnie obchodzić. Kiedy pokrzywa jest młoda, liść jej jest wyborną jarzyną; stara pokrzywa ma włókna, podobnie jak len lub konopie. Płótno z pokrzyw nie ustępuje konopnemu. Posiekana pokrzywa dobra jest dla drobiu; roztarta - dobra jest dla bydła. Nasienie pokrzywy, dodane do paszy, nadaje połysk sierści; z korzenia tłuczonego z solą można uzyskać piękną żółtą farbę. Poza tym, to doskonałe siano i można je kosić dwa razy do roku. A czego trzeba pokrzywie? Trochę ziemi; żadnych zabiegów, żadnej uprawy. Tyle że nasienie wypada zaraz po dojrzewaniu i trudno je zebrać. To wszystko. Wystarczy zadać sobie trochę trudu, by pokrzywa stała się użyteczną; zaniedbana staje się szkodliwą. Wtedy ją niszczymy. Iluż jest ludzi podobnych pokrzywie! - Po chwili milczenia dodał: - Zapamiętajcie sobie, moi drodzy, nie ma złych roślin i nie ma złych ludzi. Są tylko źli ogrodnicy.

Dzieci lubiły go jeszcze dlatego, że umiał robić śliczne drobiazgi ze słomy i orzechów kokosowych.

Kiedy spostrzegł drzwi kościoła obciążone kirem, wchodził do wnętrza: pogrzeb przyciągał go tak, jak innych przyciągają chrzciny. Pociągało go sieroctwo i nieszczęście ludzkie; był bowiem bardzo dobry. Stawał obok grona zasmuconych przyjaciół, obok rodziny w czerni i księży zawodzących wokół trumny. Zdawało się, że chętnie brał za temat rozmyślań owe żałobne pienia, pełne wizji tamtego świata. Z oczami utkwionymi w niebo, jakby tęskniąc do tajemnic nieskończoności, wsłuchiwał się w smutne głosy, które śpiewają na progu ciemnej otchłani śmierci.

Robił wiele dobrego, kryjąc się z tym tak, jak się ukrywa złe czyny. Wieczorami ukradkiem wstępował do domów; cichaczem wchodził po schodach. Jakiś biedak wracając na swoje poddasze zastawał drzwi otwarte podczas swojej nieobecności, czasem otwarte nawet siłą. Nieborak wołał oburzony: "Tu się zakradł jakiś złoczyńca!" Wchodził i pierwszą rzeczą, którą spostrzegał, był złoty pieniądz zostawiony na stole. "Złoczyńcą" był ojciec Madeleine.

Był uprzejmy i smutny. Prości ludzie mówili o nim: "Taki bogaty, a wcale nie dumny; taki szczęśliwy, a przecież smutny".

Niektórzy utrzymywali, że to tajemnicza osobistość, i zapewniali, że nikt nigdy nie wchodził do jego pokoju, istnej celi pustelnika, pełnej klepsydr ze skrzydłami, trupich czaszek i skrzyżowanych puszczeli. Mówiono o tym tyle, że pewnego razu kilka młodych pań z Montreuil-sur-mer, trzpiotek miejscowych, przyszło do niego, prosząc: "Panie merze! Niech nam pan pokaże swój pokój. Opowiadają, że to pieczara". Uśmiechnął się i zaraz zaprowadził je do tej "pieczary". Ciekawość ich została srodze ukarana. Był to pokój umeblowany całkiem

zwyczajnie meblami z mahoni, brzydkimi raczej, jak większość mebli w tym rodzaju, obity tapetą za dwanaście su. Zauważyły jedynie na kominku dwa staroświeckie lichtarze, chyba srebrne, “bo miały próbę”. Typowa małomiasteczkowa uwaga!

Opowiadano jednak nadal, że nikt nie wchodzi do tego pokoju, że to pieczara anachorety, pustelnia, jaskinia, grób.

Szeptano także, że pan Madeleine ma “olbrzymie” sumy, złożone u Laffitte'a z tym specjalnym zastrzeżeniem, że zawsze są do jego dyspozycji, a zatem - dodawano - mógłby rano zgłosić się do Laffitte'a, podpisać kwit i w ciągu dziesięciu minut podjąć swoje dwa czy trzy miliony. W rzeczywistości te “dwa czy trzy miliony” - to było, jak już wspominaliśmy, tylko sześćset trzydzieści czy czterdzieści tysięcy franków.

## IV

### Żałoba pana Madeleine

Z początkiem roku 1821 gazety podały wiadomość o śmierci księdza Myriel, biskupa Digne, zwanego powszechnie “ekscelencją Benvenuto”, który zmarł in odore sanctitatis\*, przeżywszy lat osiemdziesiąt dwa. Biskup Digne - dodajmy tu jeden szczegół pominięty przez gazety - na kilka lat przed śmiercią stracił wzrok i rad był tej ślepoty, bo miał przy sobie swoją siostrę.

Wtrąćmy, mimochodem, że być ślepym i być kochanym to na tej ziemi, gdzie nic nie jest doskonałe, jedna z najbardziej wzruszających postaci szczęścia. Mieć zawsze przy sobie żonę, córkę czy siostrę, istotę uroczą, która jest przy tobie dlatego, że ty jej potrzebujesz, i dlatego, że ona nie może żyć bez ciebie; wiedzieć, że jesteś niezastąpiony dla tej, która tobie jest niezbędna; móc nieustannie mierzyć jej uczucie ilością czasu, który ci poświęca, i mówić sobie: “Skoro poświęca mi cały swój czas, posiadam całe jej serce”; widzieć myśli zamiast twarzy, przekonywać się o czyjejś wierności, gdy świat zgasł dla ciebie, szeleścić jej sukni brąc za szum anielskich skrzydeł; słyszeć, jak się krząta, wychodzi, wraca, mówi, śpiewa, i myśleć, że jesteś ośrodkiem tych kroków, tych słów, tego śpiewu; uświadamiać sobie co chwila własną siłę przyciągania, czuć się tym potężniejszym, im jest się słabszym; w ciemnościach - i dzięki ciemnościom - stać się gwiazdą, wokół której krąży ten anioł - nic nie da się porównać z taką szczęśliwością. Najwyższe szczęście w życiu to świadomość, że się jest kochanym; kochanym dla samego siebie, a raczej kochanym pomimo samego siebie. Niewidomy ma taką świadomość.

W tym smutku czyjaś pomoc - to pieszczota. Czy brakuje mu czegoś? Nie! Nie utracił światła ten, kto posiada miłość. I jaką miłość! Miłość, która jest tylko cnotą. Tam gdzie istnieje pewność, nie ma ślepoty. Dusza po omacku szuka drugiej duszy i znajduje ją. I tą duszą znaną i wypróbowaną jest kobieta. Czyjaś ręka cię wspiera - to jej ręka; czyjeś wargi muskają twoje czoło - to jej wargi; słyszysz koło siebie czyjś oddech - to ona. Posiąść wszystkie jej uczucia od czci aż po litość; nie być nigdy opuszczonym; czuć przy sobie to jej tkliwe oddanie, które cię wspomaga; oprzeć się na tej nieugiętej trzcinie; dotykać rękami Opatrzności i móc ją, Widzialnego Boga, wziąć w ramiona - jakież to szczęście! Serce, ten

---

\* Jako święty (dosł. “w zapachu świętości”).

niebiański kwiat ukryty w mroku, ogarnia tajemnicze upojenie. Nie oddałbyś tego cienia za cały blask. Dusza - anioł jest przy tobie, zawsze przy tobie; jeśli się oddała, to po to, aby powrócić; rozwiewa się jak sen i pojawia się znowu jak rzeczywistość. Czujesz ciepło, które się przybliży; to ona! Przepelnia cię pogoda; radość, uniesienie! Jesteś promieniującym światłem w nocy. I te tysiące codziennych przysług. Drobiazgi, które olbrzymieją w tej pustce. Najbardziej niewysłowione drgania głosu kobiecego, który cię kołysze i zastępuje ci świat zagasty. To pieszczota duszy. Nie widzisz nic, ale czujesz, że jesteś uwielbiany. To raj ciemności.

Z tego to raju ekscelencja Benvenuto przeszedł do innego raju.

Miejscowy dziennik w Montreuil-sur-mer powtórzył wiadomość o jego śmierci. Pan Madeleine ukazał się nazajutrz czarno ubrany i z krepą na kapeluszu.

Zauważono tę żałobę i w mieście zawrzało od plotek. Mogło to rzucić jakieś światło na pochodzenie pana Madeleine. Wywnioskowano, że musiał być krewnym czcigodnego biskupa. "Nosi żałobę po biskupie Digne" - powiedziały salony; podniosło to znaczenie pana Madeleine i dzięki temu nagle zaczął się cieszyć poważaniem w wytwornym świecie Montreuil-sur-mer. Miejscowe Faubourg Saint-Germain w miniaturze orzekło, że czas zakończyć kwarantannę pana Madeleine, przypuszczalnie kuzyna biskupa. Pan Madeleine zauważył tę rosnącą uwagę po liczniejszych ukłonach starszych dam i częstszych uśmiezkach młodszych. Pewnego wieczoru najdostojniejsza z matron tego małego "wielkiego świata", wiedzona ciekawością, do której upoważniał ją podeszły wiek, odważyła się zadać mu pytanie:

- Pan mer jest zapewne kuzynem zmarłego biskupa Digne?

- Nie, pani - odrzekł.

- Ale - nalegała stara dama - nosi pan po nim żałobę?

Odpowiedział:

- Za młodu służyłem jako lokaj w jego rodzinie.

Zauważono jeszcze jedną rzecz: ilekroć w mieście pojawiał się jakiś młody Sabaudczyk, który przebiegał okolicę w poszukiwaniu kominów do czyszczenia, pan mer wzywał go do siebie, pytał o imię i dawał trochę pieniędzy. Zwiedzieli się o tym mali Sabaudzcy i gromadnie ciągnęli przez miasto.

## Pierwsze błyski na horyzoncie

Z biegiem czasu wszystkie zastrzeżenia w stosunku do pana Madeleine upadły. Z początku na mocy pewnego rodzaju prawa, jakiemu zawsze podlegają ci, którzy idą w górę, musiał znosić obelgi i potwarze; potem już tylko złośliwości; potem już tylko docinki; w końcu i to ustało. Otoczył go powszechny, jednomyślny, serdeczny szacunek i koło roku 1821 nadeszła chwila, że słowa “pan mer” wymawiano w Montreuil-sur-mer prawie takim samym tonem, jak w roku 1815 w Digne wymawiano słowa “ksiądz biskup”. W promieniu dziesięciu mil dokoła każdy szukał rady u pana Madeleine. On rozstrzygał spory, nie dopuszczał do procesów, godził zwaśnionych. Każdy, z własnej woli, brał go na sędziego. Zdawało się, że człowiek ten nosi w duszy księgę prawa naturalnego. To jakby zaraźliwe uwielbienie w ciągu sześciu czy siedmiu lat udzieliło się wszystkim po kolei, ogarnęło całą tę połąć kraju.

Jeden tylko człowiek w mieście i okolicy nie uległ ogólnej “chorobie” i mimo wszystkich czynów ojca Madeleine czuł do niego niechęć, jakby jakiś instynkt niewzruszony i niezachwiany ostrzegał go i budził w nim nieufność. Istotnie, wydaje się czasem, że niektórzy ludzie mają w sobie prawdziwie zwierzęcy instynkt, czysty i nieskażony jak każdy instynkt, który decyduje o ich sympatii czy antypatii, który stawia nieprzebytą zaporę między jedną a drugą istotą, który nigdy się nie waha, nie niepokoi, nie milknie, nie cofa, jasny - choć nieświadomy, nieomylny, wszechwładny, oporny na wszelki głos rozumu, na wszelkie wpływy rozsądku, i który, bez względu na to, jak układają się losy, tajemnie ostrzega człowieka-psy o obecności człowieka-kota, i człowieka-lisa o obecności człowieka-lwa.

Nieraz, kiedy pan Madeleine szedł ulicą, spokojny, serdeczny, przeprowadzany błogosławieństwami przechodniów, jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu, w ciemnoszarym surducie, uzbrojony w grubą laskę, z kapeluszem wciśniętym na oczy, odwracał się gwałtownie na jego widok i wiódł za nim wzrokiem, póki nie stracił go z oczu, krzyżując ręce na piersi, kiwając wolno głową i unosząc górną i dolną wargę aż do nosa - wiele znaczący grymas, który można by przełożyć na takie słowa: “Kto to jest ten człowiek?! Na pewno gdzieś go już widziałem. W każdym razie mnie on nie wywiedzie w pole!”

Ów człowiek poważny, o złowroziej niemal powadze, należał do tego rodzaju ludzi, którzy, widziani choćby przelotnie, przykuwają uwagę obserwatora.

Nazywał się Javert i służył w policji.

W Montreuil-sur-mer pełnił przykre, choć pożyteczne obowiązki inspektora. Nie znał początków kariery pana Madeleine. Javert zawdzięczał swoje stanowisko poparciu pana Chabouillet, sekretarza hrabiego Anglésa, ministra, a podówczas prefekta policji w Paryżu. Gdy Javert przybył do Montreuil-sur-mer, fortuna wielkiego fabrykanta była już ustalona i ojciec Madeleine stał się panem Madeleine.

Niektórzy oficerowie policji mają szczególną fizjonomię, w której podłość łączy się z poczuciem władzy. Taką właśnie fizjonomię miał Javert, wszelako bez przymieszki podłości.

Jesteśmy przekonani, że gdyby dusze można było widzieć oczami, ujrzałoby się wyraźnie to dziwne zjawisko, iż każda istota ludzka ma swój odpowiednik w świecie zwierzęcym i łatwo uznałoby się za pewnik tę prawdę zaledwie dostrzegalną przez myśliciela, że począwszy od ostrygi, a kończąc na orle, czy począwszy od wieprza, a kończąc na tygrysie, wszystkie zwierzęta znajdują się w człowieku; i każde z nich znajduje się w każdym człowieku. Czasem nawet - kilka na raz.

Zwierzęta są obrazami naszych cnót i wad, krążącymi wokół nas, widzialnymi zjawami naszych dusz. Bóg je nam ukazuje, aby nas pobudzić do zastanowienia. Ale ponieważ zwierzęta są jedynie cieniami, Bóg nie uczynił ich zdolnymi do rozwoju w pełnym tego słowa znaczeniu, bo i po co! Przeciwnie, ponieważ dusze nasze są rzeczywistością i mają kres im tylko właściwy, Bóg obdarzył je inteligencją, czyli dał im możliwość rozwoju. Dobrze pomyślane wychowanie może zawsze z każdej duszy wydobyć te użyteczne cechy, które ona zawiera.

Oczywiście, to wszystko, co mówimy, ogranicza się tylko do widomego życia ziemskiego, nie przesądzając w niczym głębokiego zagadnienia poprzedniej i przyszłej osobowości wszystkich istot poza człowiekiem. "Ja" widome nie upoważnia bynajmniej myśliciela do negacji "ja" utajonego. Uczyniwszy to zastrzeżenie idźmy dalej.

A teraz, jeśli czytelnik zgodzi się przez chwilę z nami i uzna, że w każdym człowieku tkwi jakiś gatunek zwierzęcia, łatwo nam będzie określić, kim był właściwie oficer policji Javert.

Wieśniacy asturyjscy wierzą, że w każdym miocie wilczycy jest jedno szczenię, które matka zabija, gdyż inaczej, podrośszy, pożarłoby swych braci.

Dajcie twarz ludzką temu oto szczenięciu, synowi wilczycy, a będziecie mieli Javerta.

Javert urodził się w więzieniu, matka jego była kabalarką, a ojciec galernikiem. Dorastając doszedł do wniosku, że jest poza społeczeństwem, i zwątpił, czy kiedykolwiek się tam dostanie. Spozrzegł, że społeczeństwo nieodwołalnie odpycha od siebie dwie grupy

ludzi: tych, którzy je napastują, i tych, którzy je strzegą; miał do wyboru jedynie te dwie grupy i czuł zarazem w sobie zamiłowanie do surowości, ładu i uczciwości, zaprawione nieopisaną nienawiścią do tej rasy włóczęgów, do której sam należał. Wstąpił do policji.

Szczyście mu sprzyjało. Mając czterdzieści lat został inspektorem.

W młodości pełnił służbę w więzieniach na południu Francji. Nim pójdziemy dalej, ustalmy przedtem, co rozumiemy przez określenie “twarz ludzka”, którego użyliśmy przed chwilą, mówiąc o Javercie.

Otóż na twarz ludzką Javerta składał się płaski nos z szerokimi nozdrzami i olbrzymie bokobrody, które zarastały policzki, sięgając prawie nosa. Każdy czuł się nieswojo, zobaczywszy po raz pierwszy te dwa gąszcze i te dwie jamy. Gdy Javert śmiał się, co się zdarzało rzadko i budziło grozę, jego wąskie wargi rozchyłały się, odsłaniając nie tylko zęby, ale i dziąsła, a skóra koło nosa marszczyła się tworząc fałdy płaskie i groźne jak na pysku dzikiego zwierzęcia. Javert poważny był brytanem, gdy się śmiał, był tygrysem. Poza tym niskie czoło, potężne szczęki, włosy spadające na brwi, nie znikająca nigdy zmarszczka pionowa między oczami, niby znak gniewu, spojrzenie ponure, wargi zacięte i wreszcie mina groźnie rozkazująca.

Człowiek ten złożony był z dwóch uczuć bardzo prostych i w zasadzie bardzo dodatnich, ale doprowadzonych do takiej przesady, że stawały się niemal złe: z poszanowania władzy i nienawiści do buntu; a w jego oczach kradzież, morderstwo, wszelkie zbrodnie były formami buntu. Darzył ślepym i bezgranicznym zaufaniem każdy urząd państwowy, poczynając od pierwszego ministra, kończąc na gajowym. Pogardę, wstręt i obrzydzenie budził w nim każdy, kto bodaj raz przekroczył próg zła, a rozumiał przez to próg legalności. Był bezwzględny i nie uznawał żadnych wyjątków.

Z jednej strony mówił: “Urzędnik nie może się mylić! Sędzia ma zawsze rację”. Z drugiej strony mówił: “Ci ludzie są straceni bezpowrotnie! Nigdy nie będzie z nich nic dobrego!” W pełni podzielał zdanie tych skrajnych umysłów, które ludzkiemu prawu przypisują jakąś moc stwarzania potępionych czy też wyrokowania o potępieniu i które umieszczają Styks na nizinach społecznych. Był stoicki, poważny, surowy; posępny marzyciel, pokorny i wyniosły jak każdy fanatyk. Spojrzenie jego było jak stalowy świder. Przejmowało chłodem i przewiercało na wylot. W tych dwóch słowach zawierało się całe jego życie: “Czuwać i pilnować”. Wprowadził linię prostą do tego, co jest najbardziej zawile na świecie. Miał świadomość swej użyteczności, żywił religijny kult dla swego zawodu i był szpiclem tak, jak się jest kapłanem. Biada temu, kto mu wpadł w ręce! Zatrzymałby własnego ojca uciekającego z galer i oskarżyłby własną matkę, gdyby przekroczyła prawo. A zrobiłby

to z uczuciem wewnętrznego zadowolenia, jakie daje cnota. Z tym wszystkim życie jego było wyrzeczeniem, odosobnieniem, surową czystością obyczajów, bez najmniejszej rozrywki. Był to niezłomny obowiązek, policja, ale policja pojęta tak, jak Spartanie pojmowali Spartę, bezlitosne czyhanie, niezłomna uczciwość, szpicel z marmuru, Brutus w ciele Vidocq<sup>\*</sup>!

Cała postać Javerta wyrażała człowieka, który śledzi i który sam jest nieuchwytny. Mistyczna szkoła Józefa de Maistre, która w owym czasie przyprawiała wzniosłą kosmogonią tak zwane dzienniki ultraroyalistyczne, stwierdziłaby bez wątpienia, że Javert jest symbolem. Nie widać było jego czoła, osłoniętego kapeluszem; nie widać było oczu, ocienionych brwiami; nie widać było brody, ginącej w kołnierzu; nie widać było rąk, schowanych w rękawach; nie widać było laski, ukrytej pod surdudem. Ale gdy nadeszła stosowna chwila, nagle, jak z zasadzki, wyłaniało się z tego cienia kanciaste i niskie czoło, złowieszcze spojrzenie, groźnie wysunięty podbródek, ogromne ręce i olbrzymia pałka.

W wolnych chwilach, których zresztą miał niewiele, czytywał, choć nie cierpiał książek; dzięki temu nie był zupełnym nieukiem. Można to było poznać po pewnej przesadzie w jego mowie.

Wspomnieliśmy już, że nie miał żadnych nałogów. Gdy był z siebie zadowolony, pozwalał sobie na niuch tabaki. To była jego jedyna ludzka cecha.

Nietrudno pojąć, że Javert był postrachem tych wszystkich, których coroczna statystyka Ministerstwa Sprawiedliwości umieszcza w rubryce: "Ludzie bez stałego zajęcia". Imię Javerta wzbudzało wśród nich popłoch; na widok twarzy Javerta kamienieli ze zgrozy.

Taki był ten człowiek straszliwy.

Javert był jakby okiem wpatrzonym stale w pana Madeleine, okiem pełnym podejrzeń i domysłów. Pan Madeleine spostrzegł to w końcu, ale zdawało się, że go to nic nie obchodzi. Nie zadał nawet Javertowi żadnego pytania, ani go szukał, ani unikał; i znosił ten wzrok tak uporczywy, że aż ciężki prawie, obojętnie, jakby nie zwracał na niego uwagi. Traktował Javerta tak jak wszystkich ludzi - ze swobodą i życzliwością.

Z paru słów, które wymknęły się Javertowi, domyślano się, że z zawodową ciekawością - w której tyleż samo mieści się instynktu, co świadomej chęci - szukał potajemnie śladów przeszłości ojca Madeleine. Zdaje się, że wiedział, i czasem półsłówkami dawał do zrozumienia, iż pewna osoba zbierała pewne wiadomości w pewnej okolicy o pewnej zaginionej rodzinie... Raz nawet zdarzyło mu się głośno powiedzieć do siebie: "Coś mi się zdaje, że go mam!" Potem chodził przez trzy dni zamyślony, nie mówiąc ani słowa.

---

<sup>\*</sup> François-Eugene Vidocq (1775-1857) - awanturnik, złodziej, oszust, który został szefem policji; z jego pamiętników czerpali m.in. Viktor Hugo i Honore de Balzac.

Widocznie zerwała się nić, którą trzymał w ręku.

Zresztą - i to jest zastrzeżenie niezbędne dla złagodzenia zbyt może jaskrawego sensu niektórych słów - nie może być w człowieku nic naprawdę nieomylnego i cechą instynktu jest właśnie to, że daje się zmylić, omamić, oszukać. W przeciwnym razie instynkt przewyższałby rozum i zwierzę byłoby bardziej światłe niż człowiek.

Zupełna swoboda i spokój pana Madeleine wyraźnie zbijały z tropu Javerta.

Jednakże pewnego dnia dziwne jego zachowanie wywarło pewne wrażenie na panu Madeleine. Opowiemy zaraz, w jakich okolicznościach.

## VI

### Ojciec Fauchelevant

Pewnego ranka pan Madeleine przechodził nie brukowaną ulicą miasteczka. Nagle usłyszał hałas i zobaczył niedaleko gromadę ludzi. Podeszedł do nich. Okazało się, że przed chwilą dostał się pod koła swojego wozu pewien starzec, nazwiskiem Fauchelevant, a koń zaprzężony do wozu upadł.

Ów Fauchelevant należał do nielicznych już w owym czasie wrogów pana Madeleine. Kiedy pan Madeleine przybył w te strony, Fauchelevant, dawny pisarz sądowy, wieśniak z pewnym wykształceniem, trudnił się handlem, ale źle mu się wiodło. Fauchelevant widział, jak prosty robotnik dorabia się, podczas gdy on, gospodarz, popada w biedę. To obudziło w nim zazdrość, nie pomijał więc żadnej sposobności, aby szkodzić panu Madeleine. Potem przyszło bankructwo i starzec, samotny zresztą i bezdzietny, któremu pozostał tylko koń i wóz, musiał zarabiać na życie jako woźnica.

Koń miał złamane obie nogi i nie mógł wstać. Starzec dostał się pod koła. Upadek był tak niefortunny, że wóz całym swoim ciężarem przygniatał mu piersi. Wóz był dość ciężko naładowany. Ojciec Fauchelevant jęczał rozpaczliwie. Usiłowano go wyciągnąć, ale na próżno. Każde niezręczne szarpnięcie, każdy nieopatrzny ruch, każda niewłaściwa próba pomocy groziła starcowi śmiercią. Można go było wydobyć tylko przez podźwignięcie wozu od spodu. Javert, który nadbiegł w chwili wypadku, posłał po lewar.

Nadszedł pan Madeleine. Rozstąpiono się z szacunkiem.

- Ratunku! - krzyczał stary Fauchelevant. - Czy nie znajdzie się jakiś zuch, który uratuje życie staremu?

Pan Madeleine zwrócił się do obecnych:

- Czy jest lewar?

- Właśnie poszli po niego - odparł jakiś wieśniak.

- Jak prędko go przyniosą?

- Poszli do Flachot, gdzie jest najbliższy kowal. Ale zawsze musi to potrwać dobre piętnaście minut.

- Piętnaście minut! - zawołał pan Madeleine.

Poprzedniego dnia padał deszcz, grunt był rozmiękły, wóz z każdą chwilą zapadał się

głębiej w ziemię, gniotąc coraz bardziej piersi nieszczęsnego woźnicy. Było oczywiste, że nim upłynie pięć minut, zgruchocze mu żebra.

- Nie można czekać całego kwadransa! - powiedział pan Madeleine do gapiących się wieśniaków.

- Nie ma innej rady!

- Ale będzie już za późno! Nie widzicie, że wóz coraz bardziej grzęźnie w ziemię?

- Niby tak!

- Słuchajcie! - ciągnął pan Madeleine. - Pod wozem jest jeszcze dosyć miejsca, jeden człowiek może się tam wśliznąć i plecami dźwignąć wóz w górę. Tylko pół minuty i wyciągnie się biednego człowieka. No, jest tu ktoś, kto ma mocny grzbiet i dzielne serce? Zarobi pięć luidorów.

W tłumie nikt się nie ruszył.

- Dziesięć luidorów! - powiedział Madeleine.

Obecni spuścili oczy. Ktoś mruknął:

- Trzeba by mieć diabelną siłę! A przy tym wóz może zgnieść na śmierć.

- Dalejże! - zachęcał pan Madeleine. - Dwadzieścia luidorów!

Milczenie.

- Tym ludziom nie braknie dobrych chęci - odezwał się nagle jakiś głos.

Pan Madeleine odwrócił się i poznał Javerta. Nie zauważył go przedtem. Javert ciągnął:

- Braknie im siły. Diabelnie mocny musiałby być człowiek, żeby dźwignąć na grzbiecie taki wóz.

Potem utkwivszy badawczy wzrok w panu Madeleine mówił dalej, kładąc nacisk na każde słowo:

- Panie Madeleine, znałem w życiu tylko jednego człowieka, który mógłby zrobić to, czego pan żąda.

Madeleine drgnął.

Javert dodał z miną obojętną, ale nie spuszczać oczu z pana Madeleine:

- To był galernik!

- A! - rzekł Madeleine.

- Z tulońskich galer.

Madeleine zbladł. Tymczasem wóz powoli grzązł coraz głębiej. Ojciec Fauchelevent charczał i wył:

- Duszę się! Żebra mi pękają! Lewar! Róbcie coś! Ratunku! Madeleine spojrzał

wokoło:

- Nie ma więc nikogo, kto chciałby zarobić dwadzieścia luidorów i ocalić życie biednemu starcowi?

Nikt z obecnych się nie poruszył. Javert powtórzył:

- Znałem tylko jednego człowieka, który mógł zastąpić lewar. To był ten galernik.

- Ach, teraz mnie już zagniecie na śmierć! - krzyczał stary.

Madeleine podniósł głowę, spotkał drapieżny wzrok Javerta, ciągle w nim utkwiony, powiódł okiem po stojących nieruchomo wieśniakach i uśmiechnął się smutno. Potem bez słowa padł na kolana i nim ktoś z gromady zdołał krzyknąć, znalazł się pod wozem.

Nastąpiła straszliwa chwila wyczekiwania i ciszy.

Widać było, że Madeleine, leżąc na brzuchu pod tym przerażającym ciężarem, dwa razy na próżno usiłował zbliżyć łokcie do kolan. Wołano na niego: "Ojcze Madeleine, wyjdźcie spod wozu!" Stary Fauchelevent sam mówił: "Panie Madeleine! Daj pan spokój! Widać już mi taka śmierć pisana! Zostaw mnie! I pana ten wóz zgniecie". Madeleine nie odpowiadał.

Patrzący dyszeli ciężko. Koła wciąż zagłębiały się w ziemi i zdawało się już niepodobieństwem, aby Madeleine mógł się wydostać spod wozu.

Nagle ogromna masa drgnęła lekko, wóz zaczął powoli unosić się w górę, koła do połowy wysunęły się z kolein.

Rozległ się zduszony głos:

- Pomóżcie! Prędko!

To Madeleine zrobił ostatni wysiłek.

Rzucili się na pomoc. Poświęcenie jednego człowieka dodało wszystkim sił i odwagi. Dwadzieścia par rąk podniosło wóz. Stary Fauchelevent był uratowany.

Madeleine wstał. Był śmiertelnie blady, choć kroplisty pot spływał mu po twarzy. Ubranie miał podarte i oblepione błotem. Wszyscy płakali. Starzec całował mu nogi, nazywając go swym zbawcą. Twarz Madeleine'a wyrażała cierpienie, przez które przebijało szczęście niebiańskie, a jego spokojne spojrzenie utkwione było w Javercie, który mu się wciąż przyglądał.

## VII

### Fauchelevant zostaje ogrodnikiem w Paryżu

Podczas tego wypadku Fauchelevant wywichnął sobie nogę w kolanie. Ojciec Madeleine kazał go zanieść do szpitala dla robotników, który założył w samym budynku fabryki i który prowadziły dwie siostry miłosierdzia. Następnego dnia rano starzec znalazł na stoliku nocnym banknot tysiącfrankowy wraz z kartką, na której ręką ojca Madeleine skreślone były słowa: "Kupuję od was konia i wóz". Koń zdechł, a wóz był połamany. Fauchelevant wyzdrowiał, ale noga pozostała sztywna. Pan Madeleine, dzięki rekomendacjom zakonnicy i swego proboszcza, umieścił biedaka jako ogrodnika w klasztorze żeńskim w dzielnicy Św. Antoniego w Paryżu.

Wkrótce potem pan Madeleine został merem. Gdy Javert ujrzął po raz pierwszy pana Madeleine przepasanego szarfą, która dawała mu teraz najwyższą władzę w mieście, wzdrygnął się jak brytan wietrzący wilka w ubraniu swego pana. Od tej pory unikał go, jak mógł; jeśli względy służbowe wymagały tego koniecznie i musiał stawić się osobiście u pana mera, zwracał się do niego z najgłębszym szacunkiem.

Dobrobyt, stworzony w Montreuil-sur-mer przez ojca Madeleine, obok wielu widomych oznak, o których już wspominaliśmy, przejawiał się jeszcze w jeden sposób, niewidoczny wprawdzie dla oka, niemniej jednak bardzo znamieny. Znak ten nigdy nie myli. Kiedy ludność cierpi biedę, kiedy braknie pracy, kiedy w handlu panuje zastój, płatnik z powodu nędzy ociąga się z zapłaceniem podatków, zalega, przekracza terminy płatności i państwo wydaje moc pieniędzy na koszt przymusowego ściągania swych należności. Kiedy pracy jest w bród, kiedy kraj jest szczęśliwy i bogaty, podatki płacone są bez trudności i mało kosztują państwo. Można powiedzieć, że nieomylnym termometrem nędzy i bogactwa publicznego jest koszt ściągania podatków. W przeciągu siedmiu lat koszt egzekucji podatków zmniejszyły się w okręgu Montreuil-sur-mer o trzy czwarte, co często podkreślał pan de Villéle, ówczesny minister skarbu, stawiając ten okręg za wzór.

Tak się tedy przedstawiały sprawy, kiedy Fantyna wróciła w swoje rodzinne strony. Nikt jej już nie pamiętał. Na szczęście drzwi fabryki pana Madeleine były jak twarz przyjazna. Zgłosiła się tam i została przyjęta do warsztatu kobiecego. Zajęcie to było dla Fantyny zupełnie nowe, nie miała wprawy, więc też i jej dniówka wynosiła niewiele.

Wystarczało to jednak. Problem był rozwiązany, zarabiała na życie.

## VIII

### **Pani Victurnien wydaje trzydzieści pięć franków gwoli moralności**

Kiedy Fantyna zobaczyła, że żyje, ogarnęła ją na chwilę radość! Żyć uczciwie z pracy rąk własnych - jakaż to łaska niebios! Odzyskała naprawdę chęć do pracy. Kupiła sobie lusterko i przeglądając się w nim cieszyła się swoją młodością, pięknymi włosami i pięknymi zębami, zapomniała o wielu rzeczach, myślała jedynie o swojej Kozecie i o przyszłości i była prawie szczęśliwa. Wynajęła mały pokój i licząc na przyszłe zarobki umeblowała go na kredyt: pozostałość lekkomyślnych nawyknień.

Nie mogąc powiedzieć, że była zameżna, strzegła się pilnie - jak już to zauważyliśmy - aby nie wspomnieć o swojej córeczce.

W tym okresie, jak już wiadomo, płaciła Thénardierom bardzo punktualnie. Listy pisywał jej pisarz uliczny, gdyż ona sama umiała się tylko podpisać.

Listy wysyłała często. Zauważono to. W warsztacie kobiety zaczęły szeptać między sobą, że Fantyna "pisuje listy" i że "coś w tym jest".

Nikt nie śledzi tak bacznie postępowania innych ludzi jak ten, komu nic do tego. Dlaczego ten pan przychodzi zawsze o zmroku? A dlaczego tamten pan w czwartki nie zostawia swego klucza u stróża? Dlaczego chodzi zazwyczaj bocznymi uliczkami? Dlaczego ta pani wysiada zawsze z dorożki nie przed domem, tylko o parę kroków dalej? Dlaczego posyła po papier listowy, kiedy ma go "całe stopy"? I tak dalej, i tak dalej. Są istoty, które, aby znaleźć klucz do tych zagadek, całkowicie im zresztą obojętnych, wydają więcej pieniędzy, tracą więcej czasu, zadają sobie więcej trudu niż trzeba, aby spełnić dziesięć dobrych uczynków. I to za darmo, dla samej przyjemności; jedyna ich zapłata to zaspokojona ciekawość. Całymi dniami będą chodzić trop w trop za tym mężczyzną czy tamtą kobietą, w nocy, na zimnie i deszczu godzinami będą stać na czatach za rogiem ulicy czy przy bramie parku, przekupią posłańców, spoją dorożkarzy i służących, opłacą pokojówkę, kupią zaufanie stróża. I po co? Ot, tak sobie! Z niepohamowanej żądzy, żeby wszystko zobaczyć, wszystkiego się dowiedzieć, wszystko wymyszkować; z niezwalczonej potrzeby mielenia językiem. Częstokroć poznanie tych sekretów, wyjawienie tych tajemnic, wyświetlenie tych zagadek sprowadza katastrofy, pojedynki, bankructwa, rozbitcie rodzin, złamanie życia - ku wielkiej radości tych, którzy "wszystko wykryli" - bez żadnej dla siebie korzyści, słuchając

tylko podszeptów instynktu. To smutne.

Są osoby złe dlatego tylko, że muszą gadać. Ich rozmowy - czy to "konwersacja" w salonach, czy paplanina na kuchennych schodach - są jak te kominki, które szybko spalają drzewo; trzeba im wiele paliwa; a tym paliwem są bliźni.

Obserwowano więc Fantynę.

Poza tym wiele kobiet zazdrościło jej złocistych włosów i białych zębów.

Zauważono, że często przy ludziach, w warsztacie, odwracała głowę, aby otrzeć łzy. Były to chwile, kiedy myślała o swoim dziecku, a może także o człowieku, którego niegdyś kochała?

Bolesny to trud zerwać mroczne więzy łączące z przeszłością.

Stwierdzono, że pisywała co najmniej dwa razy na miesiąc pod tym samym adresem i że frankowała listy. Udało się nawet zdobyć adres: "Pan Thénardier, oberżysta w Montfermeil". W karczmie wyciągnięto na słówka pisarza ulicznego, starego poczwiinę, który, gdy przepłukał gardło czerwonym winem, nie umiał utrzymać języka za zębami. Jednym słowem, dowiedziano się, że Fantyna ma dziecko. "Musiał z niej być ładny numer!" Znalazła się kumoszka, która pojechała do Montfermeil, pogadała z Thénardierem i wróciwszy oświadczyła: "Za moje trzydzieści pięć franków wiem nareszcie prawdę! Widziałam dziecko!"

Kumoszka, która to zrobiła, zwana panią Victurnien, była jędzą z piekła rodem, stojącą na straży cnoty całego świata. Pani Victurnien miała pięćdziesiąt sześć lat i brzydotę jej potęgowała jeszcze starość. Głos skrzekliwy, charakter szkaradny. Zdumiewające - ta stara kobieta była kiedyś młoda. W młodości - w pełni 93 roku - poślubiła mnicha, który przywdziawszy frygijską czapkę uciekł z klasztoru i z bernardyna stał się jakobinem. Sucha, szorstka, cierpka, ostra, kąśliwa, nieledwie jadowita; wspominała często swojego mnicha, który, zanim umarł, nieźle ją ujarzmił i przytarł rogów. O tę pokrzywę otarł się habit. Za Restauracji stała się zajadłą dewotką, i to tak demonstracyjnie, że księża wybaczyli jej owego mnicha. Miała niewielki mająteczek, który z wielkim hałasem zapisała jakiemuś zgromadzeniu zakonnemu. Bardzo dobrze była widziana u biskupa w Arras. Właśnie ta pani Victurnien pojechała do Montfermeil i wróciła ze słowami: "Widziałam dziecko".

Wszystko to zabrało nieco czasu. Fantyna od roku pracowała już w fabryce, gdy pewnego ranka nadzorczym warsztatu wręczyła jej pięćdziesiąt franków od pana mera, dodając równocześnie, że zwalnia ją z pracy i radzi jej - w imieniu pana mera - aby opuściła te strony.

Działo się to właśnie w tym samym czasie, kiedy Thénardier, zażądawszy uprzednio

dwunastu franków zamiast sześciu, żądał teraz z kolei piętnastu.

Fantyna była zdruzgotana. Nie mogła opuścić miasta, bo była winna za mieszkanie i za meble. Pięćdziesiąt franków nie starczało na spłatę długu. Wybąkała parę błagalnych słów. Nadzorczyńni oświadczyła jej, że ma natychmiast opuścić warsztat. Fantyna była zresztą bardzo lichą robotnicą. Zgnębiona wstydem, więcej jeszcze niż rozpaczą, opuściła warsztat i wróciła do swojej izdebki. A więc teraz wszyscy już znali jej grzech!

Nie miała siły, żeby wyrzec słowo. Ktoś poradził jej, żeby zwróciła się do pana mera, ale nie miała śmiałości. Pan mer dał jej pięćdziesiąt franków, bo był dobry, i wypędził ją, bo był sprawiedliwy. Bez szemrania przyjęła ten wyrok.

## IX

### Sukces pani Victurnien

Przydała się więc na coś wdowa po mnichu. Zresztą pan Madeleine nic o tym wszystkim nie wiedział. Życie obfituje w takie zbiegi wypadków. Pan Madeleine prawie nigdy nie wchodził do warsztatu kobiecego. Kierownictwo jego powierzył pewnej starej paninie, poleconej mu przez proboszcza, i darzył pełnym zaufaniem tę nadzorczynię, osobę naprawdę szacowną, stanowczą, sprawiedliwą, w tym samym stopniu pełną miłosierdzia, które polega na dawaniu, co pozbawioną miłosierdzia, które polega na rozumieniu i wybaczeniu. Pan Madeleine zdawał się na nią we wszystkim. Najlepsi ludzie często są zmuszeni przekazać władzę w inne ręce. Korzystając tedy z pełni swych uprawnień i święcie przekonana, że postępuje dobrze, nadzorczyini wytoczyła Fantynie sprawę, osądziła ją, skazała i wykonała wyrok.

Owe pięćdziesiąt franków dała z kwoty, którą pan Madeleine powierzał jej na jałmużny i wsparcie dla robotnic i z której nie potrzebowała się wyliczać.

Fantyna chciała się dostać na służbę; chodziła od domu do domu. Nikt jej nie przyjął. Nie mogła opuścić miasta. Handlarz starzyzną, któremu winna była za meble - jakie meble! - powiedział jej: "Jeżeli się stąd ruszysz, każę cię zaaresztować jako złodziejkę". Właściciel domu, któremu winna była komorne, powiedział jej: "Jesteś młoda i ładna! Możesz płacić!" Podzieliła owe pięćdziesiąt franków między handlarza a gospodarza, oddała handlarzowi większą część mebli, zostawiając sobie tylko konieczne sprzęty, i została bez pracy, bez zajęcia, mając tylko jedno łóżko i około stu franków długu.

Wzięła się do szycia grubych, szorstkich koszul dla żołnierzy z miejscowego garnizonu i zarabiała dwanaście su dziennie. Córka kosztowała ją dziesięć su. W tym to czasie zaczęła nieregularnie płacić Thénardierom.

Tymczasem pewna staruszka, która zapalała jej świecę, kiedy Fantyna wracała wieczorem, uczyła ją sztuki życia w nędzy. Poza życiem "z byle czego" jest życie "z niczego". To dwa pokoje: w jednym panuje mrok, w drugim - nieprzeniknione ciemności.

Fantyna nauczyła się, jak w zimie obchodzić się zupełnie bez ognia, jak wyrzec się ptaszka, który w ciągu dwu dni zjada prosa za dwa Hardy, jak robić ze spódnicy koc, a z koca - spódnicę, jak oszczędzać świecę, jedząc przy odblasku padającym z przeciwka. Nie wiemy,

ile potrafi wydobyć z grosza słaba istota, która zestarzała się w nędzy i uczciwości. To staje się po prostu talentem. Fantyna posiadała ten wzniosły talent i nabrała nieco otuchy.

W tym czasie mówiła do jednej sąsiadki: “Co tam! Powtarzam sobie, że jak będę spała tylko pięć godzin, a resztę dnia będę szyła, zawsze jakoś zarobię na kawałek chleba. A przy tym gdy człowiekowi smutno, to i je mniej. No, więc troska z niepokojem, kromka chleba ze zmartwieniem - najem się tym do syta”.

W tym smutku mieć swoją córeczkę przy sobie - byłoby to dla niej niezwykle szczęście. Myślała, żeby ją sprowadzić. Ale cóż? Miała ją skazywać na nędzę? A poza tym była winna Thénardierom. Jak spłacić dług? A droga? Skąd wziąć na drogę?

Staruszka, która dawała jej, że tak powiem, lekcje życia w niedostatku, była świątobliwą starą panną imieniem Małgorzata, nabożną, ale tą dobrą pobożnością, ubogą i litościwą dla biednych, a nawet i dla bogatych, umiejącą tylko tyle pisać, aby podpisać się “Małgorzata”, i wierzącą w Boga - co jest nie lada umiejętnością.

Wiele takich cnót jest w dołach społecznych; kiedyś będą one wywyższone. To życie ma swoje jutro.

Zrazu Fantynę palił taki wstyd, że nie śmiała wychodzić z domu. Idąc ulicą domyślała się, że ludzie obracają się za nią i wytykają ją palcami; wszyscy na nią patrzyli, nikt jej nie pozdrawiał; zimna i cierpka pogarda przechodniów przejmowała ją do szpiku kości, przenikała do głębi serca, jak mroźny wiatr.

Wydaje się, że w małych miasteczkach szyderstwa i powszechna ciekawość obnażają nieszczęśliwą kobietę. W Paryżu przynajmniej nikt cię nie zna i to zapomnienie jest osłodą. Och, jakże pragnęła wrócić do Paryża! Niepodobieństwo.

Trzeba więc było przyzwycząić się do wzgardy tak, jak przyzwycząiła się do nędzy. Powoli pogodziła się z tym. Po dwóch czy trzech miesiącach wyzwoliła się ze wstydu i zaczęła wychodzić na miasto jakby nigdy nic. “Wszystko mi jedno” - mówiła sobie.

Wychodziła, wracała z podniesioną głową, z gorzkim uśmiechem i poczuła, że staje się bezczelna.

Czasem pani Victurnien widywała ją ze swego okna, gdy przechodziła ulicą; zauważyła przygnębienie “tej nędzniczki”, która dzięki niej “wróciła na swoje miejsce”, i winszowała sobie serdecznie. Niegodziwcy mają ohydne radości.

Nadmierna praca wyczerpywała Fantynę; suchy kaszel, który ją nękał od dawna, wzmógł się. Niekiedy mówiła do swej sąsiadki Małgorzaty: “Patrzcie tylko, jakie mam gorące ręce”.

Jednakże rano, czesząc starym, połamanym grzebieniem swoje piękne włosy, które jak

jedwabna perła spływały jej na ramiona, przeżywała krótką chwilę radosnej zalotności.

## X

### Ciąg dalszy sukcesu

Zwolniono ją z pracy z końcem zimy; minęło lato, ale zima powróciła. Dni krótkie, pracy mniej... Zimą nie ma ciepła, nie ma światła, nie ma południa, ranek styka się z wieczorem, mgła, zmierzch, okno jest szare, nie widać nic. Niebo niczym okienko piwniczne. Cały dzień jak piwnica. Słońce wygląda jak nędzarz. Szkaradna pora! Zima zamienia w kamień i wodę z nieba, i serce człowieka. Wierzyciele gnębili Fantynę. Zarabiała zbyt mało. Długi jej urosły. Thénardierowie, źle opłacani, zasypywali ją listami, których treść doprowadzała ją do rozpacz, a opłaty rujnowały. Pewnego dnia napisali jej, że mała Kozeta jest prawie naga podczas tego zimna, że potrzebuje wełnianej spódniczki i że matka musi przysłać na to co najmniej dziesięć franków. Otrzymała ten list i przez cały dzień miała go w ręku. Wieczorem poszła do fryzjera, który mieszkał na rogu ulicy, i rozpuściła warkocz. Jej cudowne, złociste włosy spływały aż do kolan.

- Piękne włosy! - zawołał fryzjer.

- Ile mi pan za nie da? - spytała.

- Dziesięć franków.

- Więc niech je pan obetnie.

Kupiła wełnianą spódniczkę i wysłała ją Thénardierom.

Ta spódniczka doprowadziła Thénardierów do wściekłości. Oni chcieli pieniędzy. Dali spódniczkę Eponinie. Biedny Skowronek nadal dygotał z zimna.

Fantyna myślała: "Memu dziecku już nie jest zimno. Okryłam je moimi włosami". Nosiła teraz małe, okrągłe czepeczki, które zasłaniały jej ostrzyżoną głowę, i wyglądała w nich jeszcze ładnie.

W sercu Fantyny dokonywał się posępny proces.

Kiedy zobaczyła, że nie może już czesać swoich włosów, znienawidziła wszystko dokoła! Przez długi czas wraz z wszystkimi żywiła pełen uwielbienia szacunek dla ojca Ma-deleine; jednakże w miarę jak sobie powtarzała, że to on ją wypędził, że on jest przyczyną jej nieszczęścia, zaczęła nienawidzić jego także, jego przede wszystkim! Mijając fabrykę w godzinach, kiedy robotnicy wychodzili, zmuszała się do śmiechu i śpiewała.

Jedna stara robotnica zobaczywszy pewnego razu, jak się śmieje i śpiewa, rzekła: "Ta

dziewczyna źle skończy”.

Wzięła sobie kochanka, pierwszego z brzegu, którego wcale nie kochała, na złość ludziom, z wściekłością w sercu. Był to łajdak, grajek wędrowny, leniwy hultaj, który ją bił i rzucił tak, jak ona go wzięła - ze wstrętem.

Uwielbiała swoje dziecko.

Im niżej się staczała, im większe otaczały ją ciemności, tym jaśniej lśnił w jej sercu obraz tego słodkiego aniołka. Mówiła sobie: “Kiedy będę bogata, Kozeta będzie ze mną”. I śmiała się. Kaszel już jej nie opuszczał, pot oblewał plecy.

Pewnego dnia dostała od Thénardierów list tej treści:

Kozeta jest chora na chorobę, która panuje w naszych stronach. Gorączka potna - tak to nazywają. Potrzebuje drogich lekarstw. A my jesteśmy po prostu zrujnowani i nie możemy już ich kupować. Jeśli nie przyślesz nam w ciągu tygodnia czterdziestu franków - mała umrze.

Wybuchnęła głośnym śmiechem i powiedziała do starej sąsiadki:

- Dobrze sobie! Czterdzieści franków. Tylko tyle! To dwa napoleony! Cóż oni sobie myślą? Skąd ja je wezmę? A to ci głupcy z tych chłopów!

Jednakże wyszła na schody i przy świetle padającym przez maleńkie okienko odczytała list powtórnie. Potem zeszła na dół i wybiegła na ulicę podskakując i śmiejąc się. Ktoś spotkawszy ją zapytał:

- Cóż to się stało, że jesteś taka wesoła? Odpowiedziała:

-Ach, takie głupstwo! Napisali mi jedni ludzie ze wsi, że chcą ode mnie czterdzieści franków! Ach, ci chłopci!

Przechodząc przez plac zobaczyła tłum ludzi tłoczących się koło wozu dziwnego kształtu; na daszku wózka stał czerwono ubrany człowiek i przemawiał donośnym głosem. Był to wędrowny kuglarz-dentysta, który zachwalał sztuczne szczęki, pasty, proszki i eliksiry.

Fantyna wmieszała się w tłum i śmiała się wraz z innymi z tej przemowy, w której kuglarz gwarą zwracał się do gawiedzi, wytworniejszym zaś stylem do lepszej publiczności. Wyrwacz zębów zauważył tę śmiejącą się, piękną dziewczynę i zawołał nagle:

- Panienko, co się tak śmiejesz! Masz piękne zęby! Może mi panienka sprzeda swoje łopaty? Za każdą dam złotego napoleona!

- Moje “łopaty”? A to co takiego? - spytała Fantyna.

- Tak się nazywają przednie zęby. O, te dwa na górze - objaśnił uczony dentysta.

- Okropność! - zawołała Fantyna.

- Dwa napoleony! - mruknęła jakaś bezzębna starucha. - Ta ma dopiero szczęście!

Fantyna uciekła, zatykając sobie uszy, aby nie słyszeć zachrypniętego głosu, który

wołał za nią:

- Zastanów się, ślicznotko! Dwa napoleony mogą się przydać! Jeśli ci przyjdzie ochota, zajdź do gospody "Pod Srebrnym Okrętem" - tam mnie znajdziesz!

Fantyna wróciła do domu wściekła i opowiedziała wszystko poczciwej sąsiadce Małgorzacie:

- I jak wam się to podoba? Czy to nie okropny człowiek! Że też takiemu pozwalają włóczyć się po świecie! Wyrwać mi dwa przednie zęby. To bym dopiero ładnie wyglądała. Włosy odrosną, ale zęby! Ach! Potwór, nie człowiek! Wolałabym skoczyć na bruk z piątego piętra. Powiedział mi, że będzie wieczorem "Pod Srebrnym Okrętem"

- A ile dawał? - spytała Małgorzata.

- Dwa napoleony.

- To znaczy czterdzieści franków.

- Tak, to znaczy czterdzieści franków - odrzekła Fantyna.

Zamyśliła się i wzięła się do roboty. Po kwadransie rzuciła szycie, i wyszła na schody, aby raz jeszcze odczytać list Thénardierów.

Wróciwszy zapytała Małgorzaty, która pracowała obok niej:

- Co to takiego gorączka potna, wiecie?

- Wiem - odrzekła stara panna. - To taka choroba.

- Czy na to trzeba dużo lekarstw?

- Oho! Jeszcze ile!

- A skąd się bierze ta choroba?

- Ano, jak to choroba; chwyta człowieka, i już.

- A dzieci też na nią chorują?

- Właśnie dzieci.

- Czy umiera się na nią?

- Oho! Jeszcze jak! - powiedziała Małgorzata.

Fantyna wyszła i jeszcze raz przeczytała list na schodach.

Wieczorem widziano, jak szła w kierunku ulicy Paryskiej, na której mieszczą się oberże.

Nazajutrz rano, gdy Małgorzata weszła do izdebki Fantyny jeszcze przed świtem, bo przez oszczędność pracowały zawsze razem przy jednej świecy, Fantyna siedziała na łóżku blada i zlodowaciała. Nie kładła się wcale. Czepek spadł jej na kolana. Świeca paliła się widać całą noc, został z niej bowiem tylko ogarek.

Małgorzata stanęła w progu, przerażona tym nieładem, i zawołała:

- Najświętszy Panie! Cała świeca wypalona! A cóż tu się działo?

Spojrzała na Fantynę, która zwróciła ku niej swoją ostrzyżoną głowę.

W ciągu jednej nocy Fantyna postarzała się o dziesięć lat.

- Jezusie! - szepnęła Małgorzata. - Co ci jest?

- Nic mi nie jest - odrzekła Fantyna. - Moje dziecko nie umrze na tę straszną chorobę z braku ratunku. Jestem zadowolona.

I mówiąc to pokazała staruszce dwa napoleony, które błyszczały na stole.

- Mocny Boże! - zawołała Małgorzata. - To cały majątek. Skąd wzięłaś te pieniądze?

- Dostałam - odrzekła Fantyna.

I uśmiechnęła się. Świeca oświetlała jej twarz. Był to krwawy uśmiech. Czerwona ślina plamiła kąciki jej warg, w ustach widniała czarna dziura.

Dwa zęby były wyrwane. Posłała czterdzieści franków do Montfermeil. Był to tylko podstęp Thénardierów, żeby wyłudzić pieniądze. Kozeta nie była wcale chora.

Fantyna wyrzuciła lusterko za okno. Od dawna opuściła już izdebkę na drugim piętrze i mieszkała na poddaszu w mansardzie zamykanej na skobel; była to nędzna nora, której pułap stykał się z podłogą, tak że co chwila uderzała się o niego głową. Biedak, tylko pochylając się coraz bardziej, może wejść w głąb swojej izby podobnie jak w głąb swego przeznaczenia. Nie miała już łóżka, został jej jakiś łachman, który nazywała kołdrą, siennik na ziemi i dziurawe krzesło. Krzak róży, który hodowała, usechł w kącie, zapomniany. W innym kącie stał garnek na masło, trzymała w nim wodę, która zamarzała w zimie, tworząc na ścianach naczynia, zależnie od poziomu wody, lodowe obręcze, które długo nie topniały.

Przedtem wyzbyła się wstydu, teraz wyzbyła się kokieterii. Ostatni znak. Chodziła w brudnych czepkach. Czy to z braku czasu, czy też przez obojętność nie naprawiała bielizny. Kiedy darty się jej pięty w pończochach, wciągała je w trzewiki. Poznać to było można po prostopadłych fałdach. Stary, zniszczony stanik łątała kawałkami perkalu, który darł się przy najmniejszym ruchu. Ludzie, którym winna była pieniądze, robili jej "sceny" i nie dawali chwili spokoju. Spotykała ich na ulicy, spotykała na schodach. Po całych nocach płakała i rozmyślała. Oczy jej błyszczały gorączkowo, czuła stały ból w okolicy lewej łopatki. Bardzo kaszlała. Nienawidziła z całej duszy pana Madeleine i nie skarżyła się nigdy. Szyła siedemnaście godzin na dobę. Ale pewien przedsiębiorca, który zatrudniał więźniów pracujących za bezcen, wpłynął na obniżkę płac, tak że zarobek dzienny chałupnic skurczył się do dziewięciu su. Siedemnaście godzin pracy i dziewięć su za dzień. Jej wierzyciele stali się jeszcze bardziej bozliśni. Tandeciarz, który odebrał jej prawie wszystkie meble, powtarzał bez końca: "Kiedy mi wreszcie zapłacisz, ty hultajko?" Dobry Boże! Czegóż od

niej chciano? Czuła się osaczona i budziło się w niej coś z dzikiego zwierzęcia. W tym czasie Thénardier napisał, że doprawdy okazywał za wiele dobroci czekając tak długo i że żąda natychmiast stu franków; w przeciwnym razie wypędzi z domu Kozetę, która dopiero co przysłała do siebie po chorobie, niech sobie idzie na mróz, w szeroki świat, niech się z nią dzieje, co chce; niech zdycha. “Sto franków - pomyślała Fantyna. A gdzież jest taka kraina, gdzie by można zarobić jednego franka dziennie?”

- Ha! - powiedziała sobie. - Sprzedajmy resztę. I, nieszczęsna, została dziewczyną uliczną.

## XI

### Christus nos liberavit

Dzieje Fantyny - cóż to takiego?

To społeczeństwo kupujące sobie niewolnicę.

A kto ją sprzedaje? Bieda.

Sprzedaje ją głód, chłód, samotność, opuszczenie, ubóstwo. Bolesny to targ. Dusza za kawałek chleba. Nędza sprzedaje, społeczeństwo kupuje.

Święte prawo Chrystusa rządzi naszą cywilizacją, ale jeszcze nie przeniknęło jej do głębi. Mówi się, że cywilizacja europejska zniosła niewolnictwo. To nieprawda. Niewolnictwo istnieje nadal, ale gnębi już tylko kobietę i nazywa się prostytutką. Gnębi kobietę, to znaczy wdzięk, słabość, piękno, macierzyństwo. To chyba największa hańba człowieka.

W tym miejscu bolesnego dramatu, do któregośmy doszli, w Fantynie nie zostało już nic z tego, czym była niegdyś. Stając się błotem, stała się marmurem. Zimno przenika tego, kto jej dotknie. Ona przechodzi, ulega ci i nie zna cię wcale; jest postacią zhańbioną i surową.

Życie i porządek społeczny powiedziały jej swoje ostatnie słowo. Spotkało ją już wszystko, co ją spotkać mogło. Wszystko już przeboleła, wszystko zniosła, wszystkiego doświadczyła, wszystko przecierpiała, wszystko utraciła, wszystko opłakała. Jest zrezygnowana rezygnacją podobną do obojętności, tak jak śmierć podobna jest do snu. Nie cofa się przed niczym. Nie boi się niczego. Czy otworzą się nad nią upusty niebieskie, czy ją ocean zaleje - jej wszystko jedno! To gąbka nasiąknięta wodą.

Tak przynajmniej ona sama myśli; ale myli się ten, kto sądzi, że zły los może się wyczerpać, że kiedykolwiek można dosięgnąć dna czegokolwiek.

Niestety! Czymże jest to gnane przed siebie kłębowisko ludzkich przeznaczeń? Dokąd zmierzają? Dlaczego są takie, jakie są?

Ten, który wie o tym, widzi w ciemności.

Jest sam. Nazywa się Bogiem.

## XII

### **Pan Bamatabois nudzi się**

Jest w małych miasteczkach - była też i w Montreuil-sur-mer - pewna kategoria młodzieńców, która na prowincji przejada swoje tysiąc pięćset liwrów renty tak samo, jak złota młodzież w Paryżu pożera swoje dwakroć sto tysięcy. Są to istoty nijakie, rodzaj bardzo rozpowszechniony: nieroby, pasożyty, zera moralne, mające trochę ziemi, trochę głupoty i trochę dowcipu; w salonach byłiby gburami, w karczmie mają się za arystokratów; mówią: "Moje łąki, moje lasy, moi chłopci"; wygwizdują w teatrze aktorki na dowód, że są ludźmi o wyrobionym smaku; robią burdy z oficerami garnizonu na dowód, że są ludźmi męznego serca; polują, palą, ziewają, piją, cuchną tytoniem, grają w bilard, przyglądają się podróżnym wysiadającym z dylizansu, żyją w kawiarni, jadają w oberży, mają psa, który ogryza kość pod stołem, i kochankę, która nakrywa do stołu, ściskają każdy grosz, ubierają się przesadnie, uwielbiają tragedię, gardzą kobietami, donaszają stare buty, małpują Londyn według wzorów Paryża, a Paryż według wzorów Pont-a-Mous-son; aż wreszcie na starość idiocieją, nic nie robią, są do niczego niezdatni, niezbyt nawet szkodliwi.

Gdyby pan Feliks Tholomyés pozostał na prowincji i nigdy nie zobaczył Paryża - byłby takim właśnie człowiekiem.

Gdyby taki młodzieniec był bogatszy, mówiono by o nim "elegant", gdyby był biedniejszy, nazwano by go wałkoniem. Jest po prostu nierobem. Między tymi nierobami są nudziarze, są znudzeni, są marzyciele, są i hultaje.

W owych czasach elegant składał się z wysokiego kołnierzyka, szerokiego halsztuka, z zegarka z breloczkami, trzech kamizelek w różnych kolorach, włożonych jedna na drugą, niebieska i czerwona na spodzie, z oliwkowego żakietu o krótkim stanie, z podwójnym rzędem srebrnych guzików ciasno umieszczonych obok siebie i dochodzących aż do ramion, i ze spodni również oliwkowych, w jaśniejszym odcieniu, ozdobionych przy szwach pewną ilością lampasów, zawsze nieparzystą, a wahając się od jednego do jedenastu: granica ta nigdy nie została przekroczona. Dodajcie do tego buty z cholewkami i skuwką na obcasach, cylinder z wąskim rondem, włosy w czub, grubą laskę i rozmowę zaprawioną dowcipami à la

Potier.\* Do tego wszystkiego ostrogi i wasy. W owym czasie wasy oznaczały mieszcucha, a ostrogi - piechura.

Prowincjonalny elegant nosił dłuższe ostrogi i was bardziej zawadiacki.

W owym czasie republiki Ameryki Południowej walczyły z królem hiszpańskim, Morillo z Boliwarem. Kapelusze z małym rondem były rojalistyczne i zwały się morillo; liberałowie nosili kapelusze z szerokim rondem, zwane boliwarami.

A więc w osiem czy dziesięć miesięcy po wypadkach opisanych na poprzednich stronicach, w pewien śnieżny wieczór w początkach stycznia 1823 roku, jeden z tych elegantów, jeden z tych nierobów, “dobrze myślący” widać, bo miał na głowie morillo, otulony w szeroki, ciepły płaszcz dopełniający w zimie modnego stroju, zabawiał się dokuczaniem dziewczynie w balowej, wydekoltowanej sukni, z głową przybraną kwiatami, która krążyła pod oknami kawiarni, gdzie przesiadywali oficerowie. Elegant ten palił cygaro, gdyż tak nakazywała moda.

Za każdym razem kiedy owa kobieta przechodziła obok niego, rzucał jej jakąś zaczepkę, w jego pojęciu bardzo dowcipną i śmieszną, dmuchając w twarz kłębem dymu: “Aleś szpetna! Uciekaj mi stąd! Ty szczerbata!” - i tak dalej, i tak dalej. Panicz ten nazywał się pan Bamatabois. Kobieta, smutne, wystrojone widmo, chodzące tam i z powrotem po śniegu, nie odpowiadała, nie patrzyła nawet na niego, tylko w milczeniu z ponurą regularnością spacerowała wracając co pięć minut pod grad szyderstw, jak skazany żołnierz wraca pod różgi. Ta obojętność ubodła widać próżniaka; korzystając z tego, że kobieta zawróciła, podkraść się cicho jak kot i tłumiąc śmiech schylił się nagle, chwycił z ziemi garść śniegu i znienacka wsunął go jej z tyłu między obnażone łopatki. Dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie, odwróciła się, skoczyła jak pantera i rzuciła się na mężczyznę wczepiając mu się w twarz paznokciami i obrzucając go stekiem najohydniejszych wyrazów, na jakie stać kordegardę i rysztoł. Te wyzwiska, miotane głosem ochrypłym od wódki, padały bezwstydnie z ust, w których brak było istotnie dwóch przednich zębów. Była to Fantyna.

Krzyki wywabiły z kawiarni oficerów, zbiegli się przechodnie; utworzyło się duże koło, roześmiane, wrzeszczące i oklaskujące to kłębowisko złożone z dwóch osób, w których trudno było rozpoznać mężczyznę i kobietę; mężczyzna bronił się; kapelusz zleciał mu z głowy; kobieta biła go pięściami i kopała, rozczochrana, wyjąca, bezzębna, z ostrzyżoną głową, blada z wściekłości, straszna.

Nagle z tłumu wystąpił żywo wysoki mężczyzna, chwycił kobietę za jedwabny stanik

---

\* ...rozmowę zaprawioną dowcipami à la Potier - dowcipami opartymi na grze stów, będącymi specjalnością aktora komicznego Potiera.

splamiony błotem i rzekł do niej:

- Chodź no ze mną.

Kobieta uniosła głowę; krzyk wściekłości zamarł nagle; oczy jej stały się szkliste, sina twarz zbladła jeszcze bardziej. Zadrżała ze zgrozy. Poznała Javerta.

Elegant zaś skorzystał z tego incydentu i umknął.

### XIII

#### **Rozwiązanie pewnych problemów policji municypalnej**

Javert rozepchnął gapiów, przerwał koło i wielkimi krokami ruszył w kierunku biura policji, znajdującego się na przeciwnym rogu placu, ciągnąc za sobą nieszczęsną dziewczynę. Nie stawiała żadnego oporu. Ani on, ani ona nie powiedzieli jednego słowa. Tłum widzów, szalejących z uciechy, ciągnął za nimi dowcipkując. Dno nędzy to okazja do sprośnych żartów.

Tak doszli do biura policji pilnowanego przez jednego wartownika. Była to niska, ogrzewana piecem sala z oszklonymi i opatrzonymi w kratę drzwiami wejściowymi. Javert otworzył drzwi i wszedłszy do środka z Fantyną zamknął je za sobą ku wielkiemu rozczarowaniu ciekawskich, którzy wspinając się na palce i wyciągając szyje usiłowali coś dojrzeć poprzez brudne szyby. Ciekawość to łakomstwo. Patrzyć - to pożerać.

Wszedłszy do środka, Fantyna osunęła się w kącie na podłogę, nieruchoma, niema, skulona jak wystraszony pies.

Sierżant postawił na stole zapaloną świecę; Javert usiadł, wyciągnął z kieszeni arkusz ostemplowanego papieru i zabrał się do pisania.

Nasze prawo daje policji całkowitą władzę nad tą kategorią kobiet. Robi ona z nimi, co chce, karze je według swego widzimisię i dowolnie odbiera im te dwie smutne rzeczy, które nazywają one swym zawodem i wolnością. Javert był niewzruszony; jego poważna twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Był wszakże poważnie i głęboko przejęty. W tej bowiem chwili bez niczyjej kontroli, ale z wielką skrupulatnością surowego sumienia, sprawował swą groźną i nieograniczoną władzę. W tym momencie czuł to doskonale - jego policyjny stołek był trybunałem. Javert sądził. Sądził i skazywał. Przywoływał całą swoją inteligencję na pomoc do tego wielkiego dzieła, którego dokonywał. Im głębiej rozważał czyn tej dziewczyny, tym bardziej czuł się oburzony. Niewątpliwie przed chwilą był świadkiem zbrodni. Widział tam na ulicy społeczeństwo w osobie obywatela, wyborcy, znieważone i napadnięte przez to stworzenie stojące poza nawiasem wszystkiego. Nierządnicą targnęła się na obywatela. On to widział na własne oczy, on! Javert! Pisał w milczeniu.

Kiedy skończył, położył swój podpis, złożył papier i powiedział wręczając go sierżantowi:

- Weźmiecie trzech ludzi i zaprowadzicie tę dziewczynę do więzienia. - Po czym zwracając się do Fantyny: - Posiedzisz sześć miesięcy.

Nieszczęsna zadrżała.

- Sześć miesięcy! Sześć miesięcy w więzieniu? - zawołała. - Przez sześć miesięcy mam zarabiać tylko siedem su dziennie? A co się stanie z Kozetą? Moja córka! Moja córka! Przecież jestem winna jeszcze Thénardierom przeszło sto franków! Czy pan wie o tym, panie inspektorze?

Czołgała się na kolanach po kamiennej podłodze zabłoconej żołnierskimi butami, nie wstając z klęczek i błagalnie składając ręce.

- Panie Javert! - zawołała. - Łaski! Naprawdę, to nie była moja wina. Gdyby pan widział początek, sam by pan to zrozumiał! Przysięgam na Boga, że to nie moja wina! To ten pan, którego wcale nie znam, wpakował mi śnieg za kołnierz! Czy to wolno kłaść nam śnieg za kołnierz, kiedy sobie spokojnie przechodzimy nie szkodząc nikomu? To mnie zezłościło. Jestem nie bardzo zdrowa, wie pan! A przy tym, on już od dłuższego czasu mi dogadywał. "Jesteś brzydka! Jesteś szczerbata!" Sama dobrze wiem, że nie mam zębów. Nic mu na to nie odpowiadałam. Mówiłam sobie: "Ten pan się bawi!" Byłam z nim grzeczna, nie pisnęłam ani słówka. I wtedy on wsadził mi śnieg za kołnierz! Panie Javert! Szanowny panie inspektorze! Czy nie ma tu nikogo, kto by mógł zaświadczyć, że to święta prawda? Może nie powinnam była się rozzłościć. Pan wie, w pierwszej chwili trudno się opanować! Człowieka ponosi. Ale jak coś tak zimnego wsadzą ci za kołnierz w chwili, kiedy się wcale tego nie spodziewasz! Źle zrobiłam, że zniszczyłam kapelusz temu panu. Dlaczego on sobie poszedł? Przeprosiłabym go. Ach, mój Boże, cóż by mi to szkodziło! Na pewno bym go przeprosiła. Ach, panie Javert, niech się pan zmiłuje dziś nade mną ten jeden raz. Bo w więzieniu - pan tego nie wie - zarabia się tylko siedem su; to nie jest wina rządu, ale zarabia się tylko siedem su, a ja - niech pan sobie wyobrazi - muszę zapłacić sto franków, bo inaczej odeślą mi moją małą. O mój Boże, nie mogę jej wziąć do siebie. To takie ohydne, co robię. O moja Kozeta! Mój niewinny aniołek! Co się z nią stanie, z moim biedactwem! Jeszcze panu coś powiem: ci Thénardierowie to karczmarze, to chłopci! Tacy nie mają wyrozumienia. Chcą pieniędzy. Niech mnie pan nie wsadza do więzienia! Bo wtedy małą wyrzucą za drzwi - "niech się z nią dzieje, co chce!" - a tu przecież zima. Niech pan ulituje się nad tym biedactwem, zacny panie Javert! Jakby była większa, mogłaby zarabiać na życie, ale w tym wieku jeszcze nie może. Ja nie jestem w gruncie zła! Nie przez podłość i nie przez uciechy stałam się tym, czym jestem. Piłam wódkę z nędzy! Nie lubię wódki, ale ona mnie oszałamia. Kiedy mi się lepiej powodziło, każdy mógłby zajrzeć do mojej szafy i zobaczyłby, że nie jestem kobietą

nieporządną ani zalotną. Miałam bieliznę, dużo bielizny. O panie Javert! Ulituj się pan nade mną!

Mówiła tak, skulona, łkająca, oślepią łzami, z piersią odkrytą, załamując ręce, wstrząsana suchym, urywanym kaszlem; głos jej zamierał w cichutkim szepcie. Wielka boleść jest promieniem boskim i potężnym, który przeistacza nędzarzy. W tej chwili Fantyna znów była piękna. Od czasu do czasu milkła i z czułością całowała poję surduta szpicla. Wzruszyłaby serce z granitu; ale niepodobna wzruszyć serca z drewna.

- No, dosyć tego dobrego! - powiedział Javert. - Czy skończyłaś? A teraz - jazda! Dostałaś swoje sześć miesięcy; sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie pomoże!

Usłyszawszy te uroczyste słowa "sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie pomoże", zrozumiała, że wyrok zapadł. Pochyliła się niżej jeszcze i wyszeptwała:

- Łaski!

Javert odwrócił się plecami.

Żołnierze chwycili ją za ręce.

Już przed paroma minutami wszedł jakiś mężczyzna nie zauważony przez nikogo. Zamknął drzwi, oparł się o nie i słuchał rozpaczliwych błagań Fantyny.

Kiedy żołnierze pochwycili nieszczęsną, która nie chciała wstać, postąpił krok naprzód i wysunąwszy się z cienia rzekł:

- Zaczekajcie chwilę!

Javert podniósł wzrok i poznał pana Madeleine. Zdjął kapelusz i kłaniając się z jakąś gniewną niezręcznością, rzekł:

- Przepraszam pana mera...

Słowa "pan mer" zrobiły niezwykle wrażenie na Fantynie. Zerwała się na równe nogi jak upiór, który wyrasta spod ziemi, odepchnęła obydwoma rękami żołnierzy, podeszła do pana Madeleine, nim ktoś zdołał ją zatrzymać, i wlepiwszy w niego uparte, błędne spojrzenie, krzyknęła:

- Ach, więc to ty jesteś panem merem!

Po czym wybuchnęła śmiechem i plunęła mu prosto w twarz.

Pan Madeleine otarł twarz i rzekł:

- Inspektorze Javert! Proszę wypuścić tę kobietę na wolność.

Przez moment Javert myślał, że oszaleje. W tej krótkiej chwili doznał - raz za razem - prawie równocześnie najgwałtowniejszych wzruszeń, jakich doświadczył kiedykolwiek w życiu. Dziewka uliczna plująca w twarz merowi to była rzecz tak potworna, że samo dopuszczenie w myślach takiej możliwości uważałoby za bluźnierstwo. Z drugiej strony w

głębi duszy czynił mimo woli ohydne zestawienie tego, czym była ta kobieta, i tego, czym mógł być ten mer; wówczas zaś widział ze zgrozą, że ta niesłychana zniewaga była postępkem zupełnie naturalnym. Kiedy jednak zobaczył, jak ów mer, ów dostojnik, otarł sobie spokojnie twarz i powiedział: "Proszę wypuścić tę kobietę na wolność!", osłupiał. Uczuł pustkę w głowie i zabrakło mu słów; miara zdumienia, do jakiego był zdolny, przebrała się. Oniemiał.

Nie mniejsze wrażenie wywarły te słowa na Fantynie. Uniosła obnażone ramię i uczepliła się drzwiczek od pieca jak ktoś, kto się chwieje na nogach. Wodziła wzrokiem dokoła i zaczęła szeptać, jakby mówiąc do siebie:

- Na wolność! Chcą mnie wypuścić? Nie pójde do więzienia? Kto to powiedział? Nie, to niemożliwe, żeby ktoś to powiedział. Musiałam się przesłyszeć! Bo przecież nie ten potwór mer! Czy to pan, dobry panie Javert, czy to pan powiedział, żeby mnie wypuścić na wolność? Niech pan posłucha, zaraz wszystko panu opowiem i pan mnie wypuści! To ten potwór mer, ten stary szubrawiec mer, to on wszystkiemu winien! Niech pan sobie wyobrazi, panie Javert, że on mnie wypędził! Wypędził mnie, bo zgraja łajdaczek w warsztacie narobiła na mnie plotek. Czy to nie okropne? Tak wypędzać biedną, uczciwie pracującą dziewczynę? A potem zarabiałam za mało, no i stąd poszło całe to nieszczęście! Szanowni panowie z policji powinni by wprowadzić przede wszystkim jedno ulepszenie: nie można pozwolić, żeby przedsiębiorcy zatrudniający więźniów krzywdzili biednych ludzi. Zaraz to panu wytłumaczę: zarabia się najpierw na szyciu koszul dwanaście su, a tu tymczasem zarobek spada do dziewięciu su i już nie można żyć! No i każdy ima się, czego może. Ja miałam przecież swoją małą Kozetę - musiałam więc iść na ulicę. Teraz pan widzi, że to ten łajdak mer jest wszystkiemu winien. A teraz przed kawiarnią oficerską podeptałam kapelusz tamtemu panu. Ale on mi śniegiem zniszczył suknię. Takie jak my mają tylko jedną jedwabną suknię na wieczór. Widzi pan, nigdy naumyślnie nie zrobiłam nic złego! Naprawdę, panie Javert - widzę naokoło pełno kobiet dużo gorszych ode mnie, które są dużo szczęśliwsze. O panie Javert, to pan powiedział, żeby mnie wypuścić na wolność, prawda? Niech pan o mnie zapyta, niech pan pomówi z moim gospodarzem - teraz płacę komorne! Wszyscy powiedzą, że jestem rzetelną dziewczyną. Ach, mój Boże, przepraszam bardzo! Dotknęłam przez nieuwagę drzwiczek od pieca i teraz się tu nadymiło.

Pan Madeleine słuchał jej z głęboką uwagą. Gdy mówiła, poszukał w kieszeni od kamizelki, wyjął sakiewkę i otworzył ją. Była pusta. Schował ją z powrotem do kieszeni. Rzekł do Fantyny:

- Powiedziałaś, że ile jesteś dłużna?

Fantyna, która patrzyła tylko na Javerta, odwróciła się do niego:

- Czyja do ciebie mówię?

Po czym zwracając się do żołnierzy:

- Powiedzcie sami! Widzieliście, jak mu naplułam w twarz! A, ty stary zbrodniarzu! Przyszedłeś tu, żeby mnie straszyć. Ale ja się ciebie nie boję! Ja się boję pana Javerta! Boję się mojego najlepszego pana Javerta!

Mówiąc to zwróciła się znów do inspektora:

- Trzeba być sprawiedliwym, panie inspektorze! Rozumiem, że pan jest sprawiedliwy, panie inspektorze! Pewno, to rzecz zupełnie zwykła, mężczyzna zabawił się wrzucając trochę śniegu za kołnierz jakiejś kobiecie, to bardzo rozweseliło panów oficerów, trzeba mieć jakąś rozrywkę, a my jesteśmy właśnie do zabawy, to jasne! A tu pan przychodzi; pan musi zaprowadzić porządek, zabiera pan ze sobą kobietę, która zawiniła, ale po zastanowieniu się, bo pan jest dobry, każe pan mnie wypuścić na wolność: to dla mojej małej, bo przez sześć miesięcy więzienia nie mogłabym wyżywić dziecka! "Tylko - żeby mi się to nie powtórzyło więcej, hultajko!" O nie, panie Javert! To się już nigdy nie powtórzy! Niech teraz robią mi, co chcą, ani pisnę! Dzisiaj narobiłam krzyku, bo to mnie zaskoczyło, nie spodziewałam się wcale, że ten pan tak mi zrobi z tym śniegiem, a poza tym, mówiłam to już, nie jestem całkiem zdrowa, kaszlę, a w żołądku, o tutaj! - mam jakąś kulę, która mnie pali... i doktor mi mówi: "Niech pani się leczy". Proszę, niech pan dotknie! Niech pan mi da rękę, niech pan się nie boi - to tutaj.

Nie płakała już; głos jej brzmiał pieszczotliwie, przyciskała szorstką dużą dłoń Javerta do swej białej i delikatnej piersi i patrzyła na niego z uśmiechem.

Nagle doprowadziła do porządku swoje ubranie, obciągnęła suknię, która przy czołganiu po podłodze podniosła się jej prawie do kolan, i skierowała się ku drzwiom, mówiąc półgłosem do żołnierzy z przyjacielskim skinieniem głowy:

- No, chłopcy, pan inspektor kazał mnie wypuścić. Więc idę!

Ujęła za klamkę. Jeszcze krok, a byłaby na ulicy.

Aż do tej chwili Javert stał bez ruchu z oczyma utkwionymi w ziemię, odwrócony bokiem do wszystkich niby przestawiona figura, która czeka, aż ją gdzieś zabiorą.

Szczęk klamki obudził go. Podniósł głowę z wyrazem najwyższej władzy, wyrazem zawsze tym straszniejszym, im niższa jest ta władza, drapieźnym u dzikiego zwierza, okrutnym u człowieka bez znaczenia!

Sierzancie! - krzyknął. - Czy nie widzicie, że ta hultajka ucieka? Kto wam pozwolił ją wypuścić?

- Ja - rzekł Madeleine.

Na dźwięk głosu Javerta Fantyna zadrżała i puściła klamkę, jak schwytyany złodziej rzuca skradziony przedmiot. Na dźwięk głosu pana Madeleine odwróciła się i od tej chwili, stojąc bez słowa, nie śmiejąc nawet odetchnąć swobodnie, wodziła oczami od Javerta do pana Madeleine i od pana Madeleine do Javerta, zależnie od tego, który z nich mówił.

Niewątpliwie Javert musiał zupełnie, jak to mówią, “wyjść z siebie”, skoro pozwolił sobie tak ostro upomnieć sierżanta, gdy mer rozkazał wypuścić Fantynę na wolność. Czyżby doszło do tego, że zapomniał o obecności pana mera? Może wmówił sam sobie, że “władza” nie mogła wydać podobnego rozkazu i że z pewnością pan mer niechcący powiedział co innego, niż myślał? Lub też, będąc od dwóch godzin świadkiem tak okropnych wydarzeń, powiedział sobie, że musi się zdobyć na ostateczną decyzję, że mały musi stać się wielkim, że szpicel musi przemienić się w przedstawiciela władzy, policjant w przedstawiciela sprawiedliwości i że w tej ostatecznej rozgrywce on, Javert - uosabiał ład, prawo, moralność, rząd, całe społeczeństwo.

Jakkolwiek się rzeczy miały, kiedy pan Madeleine wyrzekł słowo: “Ja”, jak to słyszeliśmy, inspektor policji Javert, blady, zimny, z sinymi wargami, ze spojrzeniem pełnym rozpacz, wstrząsany całym niedostrzegalnym dreszczem, zwrócił się do pana mera i - rzecz niesłychana! - odpowiedział spuszcżając oczy, ale stanowczym głosem:

- Panie merze, to niemożliwe!

- Jak to? - spytał pan Madeleine.

- Ta nieszczęsna znieważyla obywatela naszego miasta.

- Inspektorze Javert - odrzekł pan Madeleine łagodnie i pojednawczo. - Proszę posłuchać. Jest pan porządnym człowiekiem, chętnie więc wyjaśnię panu mój punkt widzenia. Oto fakty: przechodziłem przez rynek, kiedy pan prowadził tę kobietę; ludzie stali jeszcze na placu, zapytałem ich, dowiedziałem się wszystkiego; to tamten zawinił i on - w myśl przepisów - powinien być aresztowany.

Javert odrzekł:

- Ta nędznica zelżyła pana mera!

- To moja sprawa! - powiedział pan Madeleine. - Ta obelga dotyczy chyba tylko mnie. Mogę z nią uczynić, co zechcę.

- Przepraszam bardzo pana mera. Ta obelga nie dotyczy tylko pana; dotyczy władzy.

- Inspektorze Javert - odparł pan Madeleine - najwyższą władzą jest sumienie. Słyszałem, co mówiła ta kobieta. Wiem, co robię.

- A ja, panie merze, nie rozumiem tego, co widzę.

- Czyń pan to, co ci każe!

- Czynień to, co mi nakazuje obowiązek. Mój obowiązek wymaga, żeby ta kobieta posiedziała sześć miesięcy w więzieniu.

Pan Madeleine odparł łagodnie:

- Niech pan słucha uważnie: ona nie posiedzi ani jednego dnia.

Na te stanowcze słowa Javert ośmielił się spojrzeć uważnie na mera i powiedział tonem niezmiennie pełnym najgłębszego szacunku:

- Jestem w rozpacz, że nie mogę być posłuszny panu merowi; zdarza mi się to po raz pierwszy w życiu; niech mi jednak pan mer łaskawie pozwoli zwrócić sobie uwagę, że działam w granicach swoich uprawnień. Ponieważ pan mer tego sobie życzy, ograniczam się jedynie do sprawy pana Bamatabois. Byłem na miejscu. To ta dziewczyna rzuciła się na pana Bamatabois, który jest wyborcą i właścicielem pięknej, trzypiętrowej kamienicy z balkonem na rogu esplanady. Dziwne rzeczy dzieją się na tym świecie! Tak czy owak, proszę pana mera, ten wypadek, który zaszedł na ulicy, należy do kompetencji policji i ja aresztuję kobietę Fantynę.

Pan Madeleine skrzyżował ręce na piersiach i rzekł tonem surowym, jakiego nikt jeszcze nie słyszał w mieście:

- Fakt, o którym pan mówi, należy do policji municypalnej. Według artykułów: dziewiątego, jedenastego, piętnastego i sześćdziesiątego szóstego kodeksu postępowania karnego, ja sądzę te sprawy. Rozkazuje, aby ta kobieta została wypuszczona na wolność.

Javert zaryzykował ostatnią próbę:

- Ależ, panie merze...

- Przypominam panu artykuł osiemdziesiąty pierwszy ustawy z 13 grudnia 1799 o bezprawnym uwięzieniu.

- Pan mer pozwoli...

- Ani słowa więcej.

- Jednakże...

- Proszę wyjść.

Javert przyjął ten cios w samą pierś, stojąc wyprostowany jak żołnierz rosyjski. Skłonił się merowi do ziemi i wyszedł.

Fantyna odsunęła się od drzwi i patrzyła w osłupieniu, jak przechodził koło niej.

I nią również miotła burza uczuć. Przed chwilą widziała, jak wiodły o nią spór dwie przeciwne potęgi. Na jej oczach walczyli ze sobą dwaj ludzie, którzy mieli w swoim ręku jej wolność, jej życie, jej duszę, jej dziecko; jeden z tych ludzi ciągnął ją w ciemność, drugi

prowadził ku światłu. W tej walce, którą przerażenie wyolbrzymiało w jej oczach, obaj ci ludzie wydali się jej mocarzami; jeden przemawiał jak zły duch, drugi - jak anioł stróż. Anioł pokonał złego ducha i - na tę myśl dreszcz przejmował ją całą - tym aniołem, tym wybawicielem był właśnie człowiek, którego nienawidziła, ów mer, którego tak długo uważała za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść - Madeleine! I właśnie kiedy zelżyła go w tak ohydny sposób - on ją uratował. Czyżby się myliła? Czyżby więc miała zmienić teraz całą swoją duszę?... Nie wiedziała, drżała. Słuchała oszołomiona, patrzyła zalękła i za każdym słowem pana Madeleine czuła, że rozpraszają się i giną okropne mroki nienawiści, a w sercu rodzi się coś niewymownie ciepłego, rodzi się radość, ufność i miłość.

Kiedy Javert wyszedł, pan Madeleine zwrócił się do niej i powiedział powoli, z trudem wymawiając słowa, jak człowiek poważny, który wstrzymuje się od płaczu:

- Słyszałem, co mówiłaś. Nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Wierzę, że to prawda; czuję, że to prawda. Nie wiedziałem nawet, że opuściłaś moje warsztaty. Dlaczego nie zwróciłaś się do mnie? A teraz posłuchaj: zapłacę twoje długi, sprowadzę twoje dziecko albo ty pojedziesz do niego. Będziesz mogła żyć tu czy w Paryżu, gdzie zechcesz. Zajmę się twoim dzieckiem i tobą. Nie będziesz więcej pracowała, jeśli zechcesz. Dam ci tyle pieniędzy, ile ci będzie trzeba. Staniesz się na powrót uczciwa, stając się szczęśliwa. A nawet, słuchaj, oświadczam ci to już teraz, że jeśli wszystko, co mówiłaś i w co nie wątpię, było prawdą, nigdy nie przestałaś być cnotliwą i świętą w oczach Boga. O biedna kobieto!

To było więcej, niż mogła znieść nieszczęsna Fantyna. Mieć Kozetę przy sobie, porzucić to haniebne życie, być wolną, być bogatą, szczęśliwą, uczciwą, razem z Kozetą! Wśród swojej nędzy ujrzeć, jak rozkwita nagle ten prawdziwy raj! Patrzyła otepieła na tego mężczyznę, który mówił, i tylko dwa czy trzy razy zaszlochała:

- Och! och! och!

Kolana ugięły się pod nią, ukłękła przed panem Madeleine i zanim zdołał temu przeszkodzić, poczuł, że ujmuje jego dłoń i przyciska do niej usta.

Potem zemdląca.

**Księga szósta**

**Javert**

## I

### Pierwsze chwile wypoczynku

Pan Madeleine kazał przenieść Fantynę do szpitala mieszczącego się w jego własnym domu. Powierzył ją opiece sióstr, które natychmiast położyły ją do łóżka. Wywiązała się gwałtowna gorączka, część nocy chora bredziła i majaczyła na głos. Wreszcie jednak usnęła.

Nazajutrz koło południa Fantyna zbudziła się, usłyszała tuż przy swym łóżku czyjś cichy oddech; rozchyliła firanki i zobaczyła pana Madeleine, który stał wpatrzony w jakiś punkt ponad jej głową. Spojrzenie jego, przepełnione litością i udręką, błagało. Fantyna zwróciła oczy w tym samym kierunku i ujrzała, że utkwione było w krzyżu wiszącym na ścianie.

Od tej chwili pan Madeleine przeobraził się w oczach Fantyny. Zdawało jej się, że otacza go światłość. Był jakby zatopiony w modlitwie. Długo wpatrywała się w niego nie śmiejąc mu przerwać; wreszcie szepnęła nieśmiało:

- Co pan tu robi?

Pan Madeleine był tu już od godziny. Czekał, aż Fantyna się obudzi. Ujął jej rękę, zbadał puls i powiedział:

- Jakże się czujesz?

- Dobrze - odrzekła. - Spałam trochę; chyba już jestem zdrowsza. Nic mi nie będzie!

Pan Madeleine ciągnął dalej odpowiadając na pytanie, które zadała mu na wstępie, jakby dopiero teraz je usłyszał:

- Modliłem się do męczennika, który jest w niebiesiech. I dodał w myśli: "Za męczennicę, która jest na ziemi".

Pan Madeleine spędził całą noc i rano na zbieraniu wiadomości o Fantynie. Teraz wiedział już wszystko. Znał każdy bolesny szczegół jej historii. Mówił dalej:

- Wycierpiałaś wiele, biedna matko! O, nie skarż się, posiadaś bowiem wiano wybranych! W taki sposób ludzie przemieniają swoich braci w anioły: to nie ich wina; nie umieją zrobić tego inaczej. Widzisz, moje dziecko, to piekło, które przeżyłaś, jest pierwszym stopniem nieba. Trzeba było od tego zacząć...

Westchnął głęboko. Ona zaś uśmiechała się do niego wzniosłym uśmiechem, który ukazywał brak dwóch zębów.

Tej samej nocy Javert napisał jakiś list. Rankiem następnego dnia zaniósł sam ten list do urzędu pocztowego Montreuil-sur-mer. List był do Paryża i nosił adres: “Do pana Chabouillet, sekretarza W. P. Prefekta Policji”. Ponieważ wieść o zajściu w kordegardzie rozeszła się już po mieście, kierowniczką poczty i kilka innych osób, które widziały ten list przed wysłaniem i rozpoznały pismo Javerta na kopercie, przypuszczały, że zawiera on prośbę o dymisję.

Pan Madeleine bezzwłocznie napisał do Thénardierów. Fantyna była im winna sto dwadzieścia franków. Wysłał trzysta franków, polecając, aby odtrącili sobie z tej kwoty należność i natychmiast przywieźli dziecko do Montreuil-sur-mer, gdyż żądała tego chora matka.

Olśniło to Thénardiera:

- Tam do diabła! Nie wypuszczajmy z rąk dzieciaka! - rzekł do żony. - Ten cherlak zmieni się teraz w dojną krowę! Zgaduję, co się święci! Jakiś kiep zadurzył się w matce!

W odpowiedzi na list wysłał rachunek na pięćset i ileś franków, bardzo zręcznie spreparowany. Do tego rachunku dołączył dwa niewątpliwie autentyczne pokwitowania, na trzysta z górą franków, od lekarza i aptekarza, którzy leczyli i dostarczali lekarstw w czasie dwukrotnej, długotrwałej choroby Anzelmy i Eponiny. Jak już mówiliśmy, Kozeta nie chorowała wcale. Wystarczyła więc tylko drobna zmiana imion. Pod rachunkiem Thénardier napisał: “Otrzymano trzysta franków a conto”.

Pan Madeleine natychmiast wysłał jeszcze trzysta franków wraz z poleceniem: “Jak najspieszniej przywieźć Kozetę!”

- Do pioruna! - rzekł Thénardier. - Nie wypuszczajmy dzieciaka!

Tymczasem Fantyna nie wracała do zdrowia. Ciągle leżała w szpitalu.

Z początku siostry przyjęły i pielęgnowały “tę dziewczkę” z odrazą. Kto widział płaskorzęby w Reims, ten pamięta, z jakim wzgardliwym odęciem dolnej wargi mądre panny patrzą na panny głupie. Ta odwieczna pogarda westalki dla hetery jest jednym z najgłębszych instynktów godności niewieściej; odczuwały ją również siostry, i to pogłębiając jeszcze przez zasady religijne. Ale po upływie paru dni Fantyna je rozbroiła. Jej słowa były tak pokorne, tak słodkie, jej miłość macierzyńska tak wzruszająca! Któregoś dnia siostry usłyszały, jak mówiła w gorączce: “Byłam wielką grzesznicą, ale kiedy moje dziecko przyjedzie do mnie, to będzie znak, że mi Pan Bóg przebaczył! Kiedy żyłam źle, nie chciałam mieć Kozety przy sobie; nie mogłabym znieść spojrzenia jej oczu, zdziwionych i smutnych. Ale to dla niej grzeszyłam i widać dlatego Pan Bóg mi przebacza. Ach, kiedy Kozeta tu będzie, poczuję na sobie błogosławieństwo boże. Będę patrzeć na nią! Na jej niewinność! I to mi przyniesie ulgę. Ona

nie wie o niczym. O moje siostry! To jest anioł! W tym wieku skrzydła jeszcze nie opadły”.

Pan Madeleine odwiedzał ją dwa razy dziennie. Za każdym razem pytał:

- Kiedy zobaczę moją Kozetę?

Odpowiadał:

- Może jutro rano. Lada chwila spodziewam się jej przyjazdu.

I blada twarz matki promieniała.

- Och! Jakaż będę szczęśliwa! - mówiła.

Wspominaliśmy już, że stan jej zdrowia nie poprawiał się. Przeciwnie, pogarszał się z tygodnia na tydzień. Owa garść śniegu, położona na nagie ciało między łopatkami, spowodowała nagłe zahamowanie potów, skutkiem czego choroba, której zarodki nosiła w sobie od wielu już lat, rozwinęła się gwałtownie.

W owym czasie w badaniu i leczeniu chorób piersiowych zaczynało stosować się do znakomitych wskazówek Laenneca. Lekarz opukał Fantynę i pokiwał głową. Pan Madeleine zapytał go:

- No i jak tam?

- Ona ma podobno dziecko, które chce zobaczyć? - odrzekł lekarz.

- Tak.

- A więc sprowadźcie je, i to prędko!

Pan Madeleine zadrżał. Fantyna zapytała:

- Co mówił doktor?

Pan Madeleine z trudem zdobył się na uśmiech.

- Powiedział, żeby szybko przywieźć twoje dziecko. To cię uzdrowi.

- O tak! Ma słuszność! I cóż sobie myślą ci Thénardierowie, że tak zatrzymują Kozetę? Och, przyjedzie! Nareszcie czuję, że szczęście już jest blisko!

Tymczasem Thénardier “nie wypuszczał z rąk dzieciaka”, wynajdując mnóstwo fałszywych pretekstów. To Kozeta była trochę niezdrowa i nie mogła podróżować w zimie, to znów zostało trochę naglających długów do zapłacenia, na które chcieliby przedstawić rachunki itd., itd.

- Poślę kogoś po Kozetę - powiedział ojciec Madeleine. - Jeśli będzie trzeba, to pojedę sam.

Pod dyktando Fantyny napisał kartkę tej treści, którą kazał jej własnoręcznie podpisać:

*Panie Thénardier! Odda pan Kozetę oddawcy listu. Wszystkie drobne długi zostaną zapłacone. Pozdrawiam pana z szacunkiem.*

Tymczasem zdarzył się niezmiernie ważny wypadek. Daremnie staramy się ciosać najostrożniej tajemniczą bryłę, z której ukształtowane jest nasze życie, zawsze pojawia się na niej czarna rysa przeznaczenia.

## II

### W jaki sposób Jan może stać się Champ

Pewnego ranka pan Madeleine siedział w swoim gabinecie zajęty rozpatrywaniem kilku pilnych spraw urzędowych, które chciał załatwić zawczasu na wypadek, gdyby się zdecydował na jazdę do Montfermeil, gdy zameldowano mu, że inspektor policji Javert pragnie z nim pomówić. Usłyszawszy to nazwisko, pan Madeleine nie mógł zapanować nad uczuciem przykrości. Od zajścia w komisariacie policji nie spotkali się jeszcze, gdyż Javert unikał pana Madeleine bardziej niż zwykle.

- Niech wejdzie! - rzekł.

Javert wszedł.

Pan Madeleine siedział nadal w pobliżu kominka, z piórem w ręku, z oczyma utkwionymi w aktach, które przeglądał i opatrywał uwagami. Były to protokoły przekroczeń wchodzących w zakres kompetencji policji miejskiej. Mimo obecności Javerta mer nie przerwał pracy. Nie mógł się pozbyć myśli o biednej Fantynie i na rękę mu było potraktować inspektora bardzo oziębło.

Javert skłonił się z uszanowaniem panu merowi, który był odwrócony do niego tyłem. Pan mer nie spojrzał nawet na niego i dalej pisał coś w aktach.

Javert postąpił naprzód dwa czy trzy kroki i zatrzymał się nie przerywając milczenia.

Fizjonomista obeznany z naturą Javerta i od dawna studiujący tego dzikusa na usługach cywilizacji, to dziwaczne połączenie Rzymianina, Spartanina, mnicha i kaprała, tego szpiega, niezdolnego do kłamstwa, tego szpicla, czystego jak dziewica, obserwator, który wiedziałby o jego ukrytej, zadawnionej niechęci do pana Madeleine i o jego zatargu z merem o Fantynę, popatrzwszy dzisiaj na Javerta zadałby sobie pytanie: "Co się stało?" Było bowiem widoczne dla każdego, kto znał to sumienie prostolinijne, szczere, uczciwe, surowe i okrutne, że Javert przeżył jakiś wielki przełom wewnętrzny. Wszystko, co działo się w jego duszy, odzwierciedlało się na twarzy; jak każda natura popędliwa, skłonny był do gwałtownych przemian. Jego twarz nigdy nie miała wyrazu równie dziwnego i nieoczekiwanego. Wchodząc, skłonił się przed panem Madeleine ze spojrzeniem, w którym nie było ani urazy, ani gniewu, ani nieufności; zatrzymał się o parę kroków za fotelem mera i stał niemal na baczność, naiwny i chłodny w swej szorstkości jak człowiek, który nigdy nie

był łagodny i zawsze był cierpliwy. Bez słowa, bez żadnego gestu, spokojny, poważny, ze spuszczonej oczyma, z kapeluszem w rękę, ni to jak żołnierz przed oficerem, ni to jak oskarżony przed sędzią, czekał z niekłamaną pokorą i spokojną rezygnacją, aż pan mer raczy się odwrócić. Znikły gdzieś wszystkie uczucia i wszystkie wspomnienia, o które można by było go posądzić. Na twarzy tej, nieprzeniknionej a surowej jak granit, malował się jedynie posępny smutek. Z całej postaci biła pokora, stanowczość i jakieś pełne determinacji przygnębienie.

Wreszcie pan mer odłożył pióro i obróciwszy się bokiem, zapytał:

- No, cóż tam? O co chodzi, Javert?

Javert milczał chwilę, jak gdyby zbierał myśli, po czym przemówił z jakimś smutnym namaszczeniem, nie pozbawionym wszakże prostoty:

- Chodzi o to, panie merze, że popełniono przestępstwo.

- Jakie przestępstwo?

- Niższy funkcjonariusz uchybił w sposób bardzo poważny wysokiemu urzędnikowi.

Zgodnie z moim obowiązkiem przychodzę zawiadomić o tym pana mera.

- Ten funkcjonariusz któż to taki?

- To ja - powiedział Javert.

- Pan?

- Tak, ja.

- A ten urzędnik, któremu uchybiono?

- To pan, panie merze!

Pan Madeleine wyprostował się w fotelu, Javert zaś ciągnął dalej, z miną surową i spuszczonej oczyma:

- Mam zaszczyt prosić pana mera, aby raczył zażądać od władz usunięcia mnie ze służby.

Pan Madeleine, zdumiony, otworzył usta; Javert nie dopuścił go do słowa.

- Pan mer odpowie mi na to, że mogłem sam podać się do dymisji; ale to nie wystarczy. Podać się do dymisji, w tym nie ma nic uwłaczającego. Uchybiłem obowiązkowi, należy mi się kara. Muszę zostać wypędzony.

I po krótkiej przerwie dodał:

- Kiedyś, panie merze, był pan wobec mnie surowy niesprawiedliwie. Dziś niech pan będzie surowy sprawiedliwie.

- Ach tak? Dlaczego? - zawołał pan Madeleine. - Co to wszystko znaczy? O co chodzi? Jakiej to przewiny dopuścił się pan wobec mojej osoby? Co pan uczynił? Jaka

wyrządził mi krzywdę? Pan się oskarża, pan chce być odwołany...

- Wypędzony - poprawił Javert.

- Wypędzony! Zgoda! Nic nie rozumiem!

- Zaraz pan zrozumie wszystko, panie merze. Javert odetchnął głęboko i ciągnął dalej tym samym opanowanym i smutnym głosem:

- Panie merze, sześć tygodni temu po awanturze z tą dziewczyną byłem wściekły i napisałem na pana doniesienie.

- Doniesienie?

- Tak! Do prefektury policji w Paryżu.

Pan Madeleine, który śmiał się równie rzadko jak Javert, teraz parsknął śmiechem:

- Że naruszyłem kompetencje policji, co?

- Nie, że jest pan dawnym galernikiem.

Mer zbladł śmiertelnie.

Javert nie podnosząc wciąż oczu ciągnął:

- Tak mi się zdawało. Od dawna już coś mi chodziło po głowie; bo to i podobieństwo, i wiadomości, których pan kazał zasięgnąć w Faverolles, i pańska niepospolita siła, i przygoda ze starym Fauchelevant, i to, że pan strzela tak celnie i utyka trochę na nogę, czy ja wiem wreszcie? Głupstwa oczywiście! Krótko mówiąc, brałem pana za niejakiego Jana Valjean.

- Za niejakiego... jak pan mówi?

- Jana Valjean. To galernik, którego dwadzieścia lat temu widziałem w Tulonie, gdy byłem tam pomocnikiem dozorca więzienia. Wyszedłszy na wolność ten Jan Valjean okradł podobno biskupa, a potem z bronią w ręku napadł na publicznej drodze na małego Sabaudczyka. Od ośmiu lat przepadł jak kamień w wodę i na próżno go poszukiwano. Więc uroiłem sobie... No i zrobiłem to! W złości zdecydowałem się i zadenuncjowałem pana w prefekturze.

Pan Madeleine, który od paru chwil znów zatopił wzrok w akta, zapytał doskonale obojętnym głosem:

- I cóż panu odpowiedziano?

- Że zwariowałem!

- No i...

- No i cóż! Święta racja.

- Wielkie szczęście, że pan sam to przyznaje!

- Jakże mam nie przyznać, skoro znalazł się prawdziwy Jan Valjean!

Kartka papieru, którą pan Madeleine trzymał, wysunęła mu się z rąk; podniósł głowę, spojrział uważnie na Javerta i wyrzekł tonem nie do powtórzenia:

- A!

Javert ciągnął:

- Sprawa tak się ma, panie merze: w okolicy, niedaleko Ailly-le-Haut-Clocher, żył sobie jakiś człeczyzna które go nazywano ojcem Champmathieu: skrajna nędza. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie wiadomo, z czego tacy ludzie żyją. Ostatnio tej jesieni ojciec Champmathieu został aresztowany za kradzież jabłek na jabłecznik u... zresztą mniejsza o to. Dość, że ukradł; przelazł przez mur, złamał gałąź. Przyłapano mojego Champmathieu. Trzymał jeszcze gałąź jabłoni w ręce. Przymykają gałgana. Do tej pory to zwykła sprawa karna. Ale wmieszała się w to Opatrzność. Ponieważ więzienie było w bardzo kiepskim stanie, sędzia śledczy zarządził przewiezienie tego Champmathieu do Arras, gdzie jest więzienie departamentalne. W tym więzieniu siedzi nie wiem za co - dawny galernik nazwiskiem Brevet; teraz zrobiono go odźwiernym, bo dobrze się sprawuje. Otóż, panie merze, ledwo ów Champmathieu pokazał się w więzieniu, a Brevet, ujrawszy go, woła: "Ejże! Przecie znam tego człowieka! To stary kajdaniarz! Spójrz no na mnie, chłopie! Jesteś Jan Valjean!" "Jan Valjean? Jaki znów Jan Valjean?" Champmathieu udaje zdziwionego. "No, no, nie strugaj wariata! - mówi Brevet. - Jesteś Jan Valjean. Dwadzieścia lat temu byłeś na galerach w Tulonie! Siedzieliśmy razem!" Champmathieu zaprzecza. Do licha! Pan mer rozumie? Wdraża się śledztwo. Bada się tę sprawę. I co się okazuje? Ten Champmathieu trzydzieści lat temu był ogrodnikiem w wielu miejscowościach, również w Faverolles. Tu ślad jego ginie. Wiele lat później pojawia się w Owernii, a potem w Paryżu, gdzie był, jak twierdzi, stelmachem i miał córkę, praczkę, ale to nic pewnego; wreszcie przybywa w nasze strony. A czym był Jan Valjean, nim za kradzież z włamaniem dostał się na galery? Orodnikiem. Gdzie? W Faverolles. Inny fakt. Ten Valjean miał imię chrzestne Jan; a jego matka nazywała się z domu Mathieu. Cóż prostszego nad przypuszczenie, że wyszedłszy na wolność przybrał - aby się ukryć - nazwisko matki i nazwał się Jan Mathieu? Jedzie do Owernii. W tamtejszych stronach Jan wymawiają "Chan", nazywają go więc Chan Mathieu. Nie protestuje, i oto przemienił się w ojca Champmathieu. Pan uważa, panie merze? Zbiera się wiadomości w Faverolles. Rodziny Jana Valjean już tam nie ma. Nikt nie wie, gdzie się podziała. Pan wie, wśród tych ludzi często się zdarza, że cała rodzina gdzieś znika. Szukasz, nie znajdujesz żadnego śladu. Tacy ludzie, jeśli nie są błotem, są pyłem. A poza tym, ponieważ cała ta historia zaczęła się trzydzieści lat temu, w Faverolles nie ma już nikogo, kto by znał Jana Valjean. Zbiera się informacje w Tulonie. Oprócz Breveta dwóch tylko

więźniów widziało Jana Valjean; są to dwaj skazani na dożywotnie galery - Cochepaille i Chenildieu. Wyciągają ich z galer i przywożą. Konfrontują z rzekomym Champmathieu. Tam ci nie wahają się ani chwili. Podobnie jak Brevet, poznają w nim obaj Jana Valjean. Ten sam wiek - ma lat pięćdziesiąt cztery - ten sam wzrost, ten sam wygląd, słowem, ten sam człowiek; to on. W tym właśnie czasie posyłam moje doniesienie do prefektury w Paryżu. Odpowiadają mi, że chyba oszalałem i że Jan Valjean jest w Arras w ręku sprawiedliwości. Pan pojmuje, jak mnie to zdziwiło, mnie, który sądziłem, że trzymam tutaj tego samego Jana Valjean! Piszę do sędziego śledczego. Każe mi przyjechać, przyprowadzają owego Champmathieu...

- No i co? - przerwał pan Madeleine.

Javert odpowiedział z wyrazem nieskazitelnej uczciwości i smutku na twarzy:

- Panie merze! Prawda jest prawdą! Przykro mi, ale tamten jest prawdziwym Janem Valjean. Ja również go poznałem.

Pan Madeleine zapytał bardzo cicho:

- Jest pan tego pewien?

Javert zaczął się śmiać bolesnym śmiechem, zrodzonym z głębokiego przekonania:

- O tak, pewien.

Zamyślił się na chwilę, machinalnie biorąc do ręki z miseczki stojącej na stole szczyptę trocin do suszenia atramentu, po czym dodał:

- A nawet teraz, gdy widziałem prawdziwego Jana Valjean, sam nie pojmuję, jak mogłem przypuszczać co innego. Przepraszam pana, panie merze!

Zwracając się z tą prośbą, pokorną i poważną, do tego, kto sześć tygodni temu upokorzył go w obecności jego podwładnych i powiedział mu: "Proszę wyjść!" - Javert, ten wyniosły człowiek, był - nie wiedząc o tym - pełen prostoty i godności. Zamiast odpowiedzi pan Madeleine zapytał go szorstko:

- A co mówi tamten człowiek?

- Otóż to! Panie merze, paskudna sprawa. Jeśli to jest Jan Valjean, zachodzi tu wypadek recydywy. Przeleźć przez mur, złamać gałąź, zwędzić jabłka to dla chłopaka - swawola, dla dojrzałego mężczyzny - przestępstwo; dla galernika - zbrodnia. To i włamanie, i kradzież. To już nie drobna sprawa karna, to sprawa sądu przysięgłych. To już nie kilka dni aresztu, ale dożywotnie galery. A po za tym jeszcze ta historia z małym Sabaudczykiem, która też teraz wypłynie, mam nadzieję! Do diabła! Jest się z czego wykręcać, prawda? Tak, ale nie dla Jana Valjean, nasz Jan Valjean to chytra sztuka. I po tym także go poznaję. Inny czułby, że grunt się pali, miotałby się, krzychał - na złodzieju czapka gore - zaklinałby się, że nie jest

Janem Valjean, i tak dalej. A on udaje, że nic nie rozumie; mówi: “Jestem Champmathieu, i basta!” Jest zdziwiony, udaje durnia - to o wiele lepiej! O, łotr jest zręczny. Ale nic mu nie pomoże, są dowody! Poznały go cztery osoby i stary łajdak zostanie skazany. Sprawa jest wniesiona przez sąd przysięgłych w Arras. Pojadę tam złożyć zeznania. Jestem wezwany na świadka.

Pan Madeleine zasiadł znowu przy biurku, zajął się aktami, przewracał spokojnie kartki, czytając i pisząc na przemian jak człowiek pochłonięty pracą. Odwrócił się do Javerta.

- Dość już, Javert! Właściwie wszystkie te szczegóły obchodzą mnie bardzo niewiele. Tracimy czas, a mamy wiele pilnych spraw do załatwienia. Javert, uda się pan natychmiast do tej poczciwej Buseaupied, która sprzedaje jarzyny na rogu ulicy Saint-Saulve. Powie jej pan, żeby złożyła skargę na woźnicę Piotra Chesnelong. Brutal omal nie przejechał tej kobiety i jej dziecka; musi być ukarany. Następnie pójdzie pan do pana Charcellay na ulicy Montre-de-Champigny. Skarzy się, że rynna sąsiedniej posesji cieknie i woda deszczowa podmywa mu fundamenty domu. Potem zbada pan wykroczenia, o których mi doniesiono: na ulicy Guibourg u wdowy Doris i na ulicy Garraud-Blanc u pani Renee Le Bosse, i spisze protokół. No, ale dałem panu dużo do roboty. Podobno pan wyjeżdża? Wspominał pan - zdaje się - że jedzie pan na tę sprawę do Arras za tydzień czy za dziesięć dni, prawda?

- Wcześniej, panie merze.

- Więc kiedy?

- Sądziłem, że powiedziałem już panu merowi: sprawa jest jutro, a ja wyjeżdżam dylizanssem dziś w nocy.

Pan Madeleine drgnął nieznacznie.

- Jak długo pociągnie się ta sprawa?

- Najwyżej jeden dzień. Wyrok będzie wydany najpóźniej jutro wieczorem. Ale nie będę czekał na wyrok, który nie budzi wątpliwości. Złożę zeznanie i zaraz wracam.

- Dobrze - rzekł pan Madeleine.

I skinieniem ręki pożegnał Javerta. Javert nie odchodził.

- Przepraszam bardzo pana mera - zaczął.

- Cóż tam znowu? - zapytał pan Madeleine.

- Panie merze, muszę przypomnieć panu jeszcze jedną rzecz.

- Jaką?

- Że mam być zwolniony.

Pan Madeleine wstał.

- Javert, pan jest człowiekiem honoru i szanuję pana. Pan wyolbrzymia swoją winę. A

zresztą ta obraza również dotyczy jedynie mojej osoby. Pan zasługuje na to, żeby awansować, a nie żeby zostać zdegradowany. Życzę sobie, żeby pan zachował swoje stanowisko.

Javert spojrzał na pana Madeleine naiwnym okiem w głębi którego jak gdyby malowało się jego sumienie niezbyt światłe, ale surowe i czyste, i odparł spokojnie:

- Nie mogę na to przystać, panie merze.

- Ależ powtarzam panu - odrzekł pan Madeleine - że to tylko mnie dotyczy.

Ale Javert, opanowany jedną myślą, ciągnął dalej: - Nie, ja niczego nie wyolbrzymiam. Rozumuję tak: posądziłem pana mera niesłusznie. To jeszcze nic. To już nasze prawo podejrzewać, chociaż podejrzewać swoich przełożonych to już nadużycie. Ale ja w przystępie gniewu, z chęci zemsty, nie mając dowodów zadenuncjowałem jako galernika pana, człowieka szanowanego, mera, wysokiego urzędnika! To poważna sprawa! Bardzo poważna! W pańskiej osobie obraziłem władzę! Ja, stróż władzy! Gdyby to zrobił któryś z moich podwładnych, wypędziłbym go bez wahania, uważając, że jest niegodny swego stanowiska. A więc? Jeszcze słówko, panie merze. Często w życiu bywałem srogi. Srogi dla innych. To było słuszne. Postępowałem dobrze. Teraz gdybym nie umiał być surowy dla siebie, wszystko, co kiedykolwiek robiłem słusznie, stałoby się niesłuszne. Czy mam oszczędzać siebie bardziej niż innych? Nie. Bo i jakże? Nadawałbym się tylko na to, aby karać innych, a siebie nie? Byłbym nędznikiem! Ci, którzy mówią o mnie: "Ten łajdak Javert", mieliby rację! Panie merze, nie chcę wcale, żeby mnie pan traktował z dobrocią; dosyć mi już krwi napsuła ta pańska dobroć, kiedy widziałem, jak pan okazywał ją innym. Nie chcę jej dla siebie! Dobroć, która przyznaje słuszność dziewczce ulicznej, a nie obywatelowi, agentowi policji, a nie merowi, temu, co jest na dole, a nie temu, co jest na górze - taka dobroć jest dobrocią szkodliwą! Taka dobroć wprowadza zamęt w społeczeństwie! Boże mój! Nietrudno jest być dobrym; trudno jest być sprawiedliwym. Oho, gdyby pan był tym, o co go podejrzewałem, nie byłbym dobry dla pana. O nie! Zobaczyłby pan wtedy! Panie merze, muszę traktować siebie tak, jakbym traktował innych. Kiedy gnębiłem złoczyńców, kiedy występowałem surowo przeciw różnym hultajom, mówiłem sobie nieraz: "Słuchaj no! Jeśli się tobie noga powinie, jeśli cię na czymś przyłapię - biada ci". No i powinęła mi się noga, przyłapałem się na gorącym uczynku, trudno! A więc wydalony, wyrzucony, wypędzony; tak należy! Mam ręce, mogę pracować na roli i wszystko mi jedno, panie merze; ja muszę zostać przykładnie ukarany - tego wymaga dobro służby! Proszę więc, by inspektor Javert został złożony z urzędu. Wszystko to było wypowiedziane tonem pokornym, dumnym, pełnym rozpacz i szczerego przekonania, co nadawało jakąś dziwną wielkość temu niezwykłemu, uczciwemu człowiekowi.

- Zobaczymy - rzekł pan Madeleine.

I wyciągnął do niego rękę.

Javert cofnął się i rzekł ponurym głosem:

- Przepraszam, panie merze, ale to być nie może! Mer nie podaje ręki szpiclowi! - I dodał przez zęby. - Szpiclowi, tak, szpiclowi! Nadużyłem władzy policjanta - jestem już tylko szpiclem.

Po czym skłonił się głęboko i skierował ku drzwiom.

Tu odwrócił się i nie podnosząc oczu dodał:

- Panie merze, będę spełniać swoje obowiązki, dopóki nie otrzymam zastępcy.

Wyszedł. Pan Madeleine siedział zamyślony, słuchając tych kroków pewnych i energicznych, które oddalały się na korytarzu.

**Księga siódma**

**Sprawa Champmathieu**

## I

### Siostra Symplicja

Nie wszystkie wypadki, o których niebawem opowiemy, były znane w Montreuil-sur-mer, lecz nawet to, co dotarło do miasta, tak utrwaliło się w pamięci mieszkańców, że opuszczenie najdrobniejszego bodaj szczegółu byłoby poważnym niedociągnięciem tej książki.

W szczegółach tych czytelnik napotka dwie czy trzy okoliczności nieprawdopodobne, które podajemy jednak przez szacunek dla prawdy.

Po południu, które nastąpiło po wizycie Javerta, pan Madeleine, jak zwykle odwiedził Fantynę.

Nim wszedł do chorej, kazał poprosić siostrę Symplicję.

Z dwóch zakonnicy pracujących w infirmerii - panien zgromadzenia Św. Wincentego à Paulo jak wszystkie siostry miłosierdzia - jedna zwała się siostrą Perpetuą, druga siostrą Symplicją.

Siostra Perpetua była prostą wieśniaczką z grubsza ociosaną na siostrę miłosierdzia, która wstąpiła do klasztoru tak, jak się idzie na służbę. Została zakonnicą, jak kto inny - kucharką. Takie typy nie należą bynajmniej do rzadkości. Zgromadzenia zakonne chętnie przyjmują tę prostą glinę chłopską, łatwo urabianą na kapucyna lub na urszulankę. To prostactwo używane jest do cięższych posług w klasztorze. Przemiana pastucha w karmelitę odbywa się bez wstrząsu; pierwszy staje się drugim bez wielkiego zachodu; ciemnota wspólna wsi i klasztorowi tworzy od razu odpowiednie podłoże i zaciera różnicę między chłopem a mnichem. Poszerzcie nieco chłopską sukmanę, a habit gotowy! Siostra Perpetua była to tęga zakonnicą rodem z Marines, koło Pontoise, mówiąca gwarą, mrużąc pacierze, gderliwa, słodząca ziółka zależnie od bigoterii czy też hipokryzji pacjentów; ostra dla chorych, szorstka dla konających, nieledwie ciskająca im Boga w twarz, kamieniująca agonię gniewnymi modłami, śmiała, uczciwa i rumiana.

Siostra Symplicja była biała białością wosku. Przy siostrze Perpetui wyglądała jak świeca kościelna przy łożówce. Wincenty à Paulo wzniosie nakreślił postać siostry miłosierdzia w tych przepięknych słowach, w których tyle wolności połączył z tak wielką niewolą: "Klasztorem będzie im tylko dom chorych, celą - najemna izba, kaplicą - kościół

parafialny, klauzurą - ulice miasta lub sale szpitalne, regułą klasztorną - posłuszeństwo, krata - bojaźń boża, welonem - skromność”. Siostra Symplicja uosabiała ten ideał. Nikt nie umiałby określić wieku siostry Symplicji; nigdy nie była młoda i zdawało się, że nigdy nie będzie stara. Była to osoba - nie ośmielamy się powiedzieć kobieta - cicha, surowa, wytworna, chłodna i która nigdy nie skłamała. Tak delikatna, że robiła wrażenie czegoś kruchego, a przecież odporniejsza od granitu. Dotykała cierpiących pięknymi, smukłymi palcami. Jej słowa były, że tak powiem, z milczenia, mówiła tylko to, co konieczne, a głos jej brzmiał tak, że mógłby równie dobrze zadowolić konfesjonał jak czarować salony. Mimo swej wåtłosci dobrze znosiła grubą suknię zakonną, odnajdując w jej szorstkim dotyku stałe przypomnienie o niebie i Bogu. Podkreślmy pewien szczegół. Cechą charakterystyczną siostry Symplicji, znameniem jej cnoty było to, że nigdy nie skłamała, że nigdy - w jakimkolwiek celu czy też bez żadnego celu - nie powiedziała nic, co nie było prawdą, świętą prawdą. Ta niezłomna prawdomówność zjednała jej w gronie sióstr pewnego rodzaju sławę. O siostrze Symplicji wspomina ksiądz Sicard w liście do głuchoniemego Massieu. Każdy z nas, choćby był nawet najbardziej szczerzy, prawy, nieskazitelny, ma na sumieniu skazę jakiegoś bodaj małego, niewinnego kłamstewka. Ona - nie. Czyż zresztą istnieje kłamstwo małe, kłamstwo niewinne? Nie! Kłamstwo - to absolut zła. Nie można kłamać troszkę. Ten, kto kłamie - kłamie bez reszty; kłamstwo - to oblicze Szatana. Szatan ma dwa imiona: zwie się Szatanem i zwie się Kłamstwem. Oto, jak myślała siostra Symplicja. Postępowała zaś tak, jak myślała. Stąd niewåtpliwie owa jasność - mówiliśmy już o niej - która prześwietlała nawet jej usta i oczy. Jasny był jej uśmiech, jasne wejrzenie. Na tym kryształowym sumieniu nie było ani śladu pajęczyny, ani drobiny pyłu. Przyjmując regułę św. Wincentego à Paulo, obrała sobie rozmyślnie imię Symplicji; jak wiadomo Symplicja z Sycylii jest ową świętą, która wolała dać sobie wyrwać obie piersi niż szukać ocalenia w kłamliwej odpowiedzi, że urodziła się w Syrakuzach, a nie w Segeście. To była właściwa patronka dla takiej duszy.

Wstępując do zakonu siostra Symplicja miała dwie przywary, których wyzbyła się powoli: była łakoma i lubiła otrzymywać listy. Czytywała jedynie drukowany grubymi czcionkami łaciński modlitewnik. Nie rozumiała łaciny, ale rozumiała książkę.

Świątobliwa siostra bardzo polubiła Fantynę, wyczuwając w niej prawdopodobnie ukrytą cnotę, i niemal wyłącznie poświęciła się jej pielęgnacji.

Pan Madeleine odwołał siostrę Symplicję na bok i polecił jej Fantynę jakimś szczególnym tonem, który siostra przypomniwała sobie później. Odszedłszy od siostry, zbliżył się do Fantyny.

Fantyna oczekiwała codziennie pojawienia się pana Madeleine tak, jak oczekuje się

promienia ciepła i radości. Mówiła siostrze: “Żyję tylko wówczas, gdy pan mer jest tutaj”.

Tego dnia miała dużą gorączkę. Ujrawszy pana Madeleine zapytała natychmiast:

- A Kozeta?

Odparł z uśmiechem:

- Już wkrótce.

Pan Madeleine zachowywał się tak jak zwykle. Jedynie zamiast pół godziny został całą godzinę ku wielkiej radości Fantyny. Wielokrotnie prosił usilnie wszystkich, żeby chorej niczego nie brakowało. Zauważono, że w pewnej chwili twarz mu sposepniała. Nie dziwiło to jednak nikogo, gdy dowiedziano się, że lekarz nachyliwszy mu się do ucha szepnął:

- Jest znaczne pogorszenie.

Potem pan Madeleine wrócił do merostwa i chłopiec z biura zauważył, że bacznie wpatrywał się w mapę dróg Francji, zawieszoną na ścianie swego gabinetu. Ołówkiem wynotował na kawałku papieru kilka cyfr.

## II

### Przenikliwość majstra Scaufflaire

Z merostwa udał się na kraniec miasta do pewnego Flamandczyka, majstra Scaufflaer, nazywanego z francuska Scaufflaire, który wynajmował konie i "kabriolety wedle gustu".

Najkrótsza droga do owego Scaufflaire'a biegła mało uczęszczaną ulicą, przy której znajdowała się plebania parafii pana Madeleine. Proboszcz był - jak mówiono - człowiekiem zacnym, godnym szacunku i umiejącym posłużyć dobrą radą. W chwili gdy pan Madeleine doszedł do plebanii, na ulicy był tylko jeden przechodzień; i oto, co ów przechodzień zauważył: minąwszy plebanię, mer zatrzymał się i stał chwilę nieruchomo, po czym zawrócił aż do drzwi probostwa opatrzonych żelazną kołatką. Szybko ujął kołatkę w dłoń i podniósł ją, po czym zatrzymał się, jak gdyby się nad czymś zastanawiał, i po paru sekundach, zamiast głośno opuścić kołatkę, leciutko położył ją z powrotem i oddalił się z pośpiechem, którego przedtem nie okazywał.

Pan Madeleine zastał majstra Scaufflaire przy naprawie uprzęży.

- Mistrzu Scaufflaire - zapytał - czy macie dobrego konia?

- Panie merze - odparł Flamandczyk - wszystkie moje konie są dobre. Co pan rozumie przez dobrego konia?

- Konia, który może w jeden dzień zrobić dwadzieścia mil.

- O do licha! - zawołał Flamandczyk. - Dwadzieścia mil?

- Tak.

- Zaprzężony do kabrioletu?

- Tak.

- A jak długo będzie odpoczywać po takiej drodze?

- O ile zajdzie potrzeba, będzie musiał wracać następnego dnia.

- I znów zrobić taką samą drogę?

- Tak.

- Do diabła! Znowu dwadzieścia mil?

Pan Madeleine wyjął z kieszeni papier, na którym wynotował cyfry. Pokazał je Flamandczykowi. Były to cyfry 5, 6, 8 1/2.

- Widzicie - rzekł. - Razem dziewiętnaście i pół, czyli okrągłe dwadzieścia.

- Panie merze - rzekł Flamandczyk - mam to, czego panu trzeba. Mój mały siwek. Musiał go pan widzieć. Pochodzi z dolnego Boulonnais. Ogniste zwierzę. Z początku chcieli go ujeździć pod wierzch. Akurat! Wierzgał i zrzucał wszystkich z siodła! Myśleli, że jest narowisty. Nikt nie wiedział, co z nim zrobić! Kupiłem go i zaprząłem do kabrioletu. Tego właśnie chciał, panie! Łagodny jest jak panienka, a pędzi jak wiatr. Nie trzeba go tylko dosiadać. Nie w smak mu chodzenie pod siodłem. Każdy ma swoje widzimi się. “Ciągnąć - i owszem, nosić - za nic” - tak sobie widać powiedział.

- I zrobi tę drogę?

- Pańskie dwadzieścia mil? Tęgim kłusem, w niespełna osiem godzin. Ale pod pewnymi warunkami.

- Mianowicie?

- Przede wszystkim w połowie drogi da mu pan wytchnąć godzinę. Kiedy będzie jeść, trzeba być przy nim, aby stajenny w oberży nie ukradł mu owsa, bo zauważyłem, że na postojach owies znacznie częściej przepijają chłopcy stajenni, niż zjadają konie.

- Dobrze!

- Po wtóre... Czy kabriolet jest dla pana mera?

- Tak.

- Czy pan mer umie powozić?

- Tak.

- A więc pan mer musi podróżować sam i bez bagażu, aby konia nie obciążać.

- Zgoda.

- Ale pan mer nie będzie miał nikogo do obsługi i będzie musiał sam doglądać owsa.

- Załatwione.

- Należy mi się trzydzieści franków dziennie. Dnie wypoczynku płatne. Ani grosza mniej i wyżywienie konia na koszt pana mera.

Pan Madeleine wyjął z sakiewki trzy napoleony i położył je na stole.

- Oto za dwa dni z góry.

- Po czwarte: do takiej drogi kabriolet byłby za ciężki i zmęczyłby konia. Pan mer musi zgodzić się na jazdę małym tilbury.

- Zgoda.

- Jest lekkie, ale odkryte.

- Wszystko mi jedno.

- Ale czy pan mer pamięta, że mamy teraz zimę?

Pan Madeleine nie odpowiedział, Flamandczyk zaś dodał:

- I że jest bardzo zimno?

Pan Madeleine wciąż milczał. Scaufflaire ciągnął dalej:

- Że może padać deszcz?

Pan Madeleine podniósł głowę i oświadczył:

- Tilbury i koń mają być przed moją bramą jutro o wpół do piątej rano.

- Dobrze, panie merze - odrzekł Flamandczyk. Po czym, zdrapując paznokciem wielkiego palca plamę z powierzchni stołu, rzekł z pozorną beztroską, jaką Flamandzycy umieją tak dobrze pokrywać przebiegłość: - Ale, dopiero teraz przyszło mi na myśl. Pan mer nie powiedział mi, dokąd jedzie. Gdzież to pan mer się wybiera?

O niczym innym nie myślał od początku rozmowy, ale nie wiedzieć dlaczego, nie śmiał o to zapytać.

- Czy wasz koń ma mocne przednie nogi? - powiedział pan Madeleine.

- Tak, panie merze. Zjeżdżając z góry trzeba lekko ściągnąć lejce. Czy dużo będzie zjazdów po drodze do tej miejscowości?

- Proszę być przed moją bramą o wpół do piątej - rzekł pan Madeleine i wyszedł.

Flamandczyk został "jak tabaka w rogu", jak później sam mawiał.

Od wyjścia mera upłynęło parę minut, gdy drzwi otworzyły się znowu. Wszedł pan mer. Był tak samo jak przedtem spokojny i zamyślony.

- Mistrzu Scaufflaire - rzekł - na jaką kwotę oceniacie konia i tilbury, które mi wynajmujecie - jedno razem z drugim?

- Chyba jedno za drugim, panie merze - poprawił Flamandczyk śmiejąc się rubasznie.

- Niech i tak będzie. A więc...

- Czy pan mer chce je ode mnie kupić?

- Nie, ale na wszelki wypadek chcę dać zabezpieczenie. Jak wrócę, oddacie mi pieniądze. Na ile oceniacie zatem kabriolet i konia?

- Na pięćset franków, panie merze.

- Proszę.

Pan Madeleine położył na stole banknot, po czym wyszedł i już tym razem nie wrócił.

Majster Scaufflaire ogromnie żałował, że nie zażądał tysiąca franków. Co prawda koń wraz z tilbury nie były warte więcej jak dwieście franków.

Flamandczyk zawołał żonę i opowiedział jej wszystko. Dokąd - u licha - mógł jechać pan mer? Głowili się nad tym razem.

- Jedzie do Paryża - orzekła niewiasta.

- Nie sądzę - odparł mąż. - Pan Madeleine zostawił na kominku papier, na którym

zanotowane były cyfry. Flamandczyk wziął papier i zagłębił się w nim. - Pięć, sześć, osiem i pół? To z pewnością etapy pocztowe. - Obrócił się do żony - Aha! Już wiem.

- Skąd wiesz?

- Od nas jest pięć mil do Hesdin, sześć z Hesdin do Saint-Pol, osiem i pół z Saint-Pol do Arras. Jedzie do Arras.

Tymczasem pan Madeleine wrócił do domu. Idąc od majstra Scaufflaire, obrał najdalszą drogę, jak gdyby drzwi plebanii były pokusą, której chciał uniknąć. Udał się do swojego pokoju i zamknął na klucz, w czym nie było nic dziwnego, zwykle bowiem chodził wcześniej spać; jednakże stróżka fabryki, która była jednocześnie jedyną służącą pana Madeleine, zauważyła, że światło w jego pokoju zgasło o wpół do dziewiątej, i powiedziała o tym wracającemu do domu kasjerowi, dodając:

- Czyżby pan mer był chory? Wydał mi się jakiś dziwny.

Kasjer zajmował pokój tuż pod pokojem pana Madeleine. Nie zwrócił uwagi na słowa stróżki, położył się i zasnął. Około północy magle zbudził się. Przez sen usłyszał nad głową jakieś szmery. Zaczął nasłuchiwać. Był to odgłos kroków, jakby w pokoju na górze ktoś chodził tam i z powrotem. Przysłuchując się uważniej poznał kroki pana Madeleine. Wydało mu się to dziwne; zazwyczaj aż do rana żadne hałasy nie dochodziły z pokoju mera. Po chwili kasjer usłyszał coś, co przypominało skrzypnięcie otwieranej i zamykanej szafy. Potem przesunięto jakiś mebel, zapadła cisza i po chwili znów rozległy się kroki. Całkowicie wybity ze snu, kasjer usiadł na łóżku, rozejrzał się i poprzez szyby dojrzał na przeciwległym murze czerwony odbłask oświetlonego okna. Sądząc z kierunku promieni mogło to być tylko okno pana Madeleine. Odbłask drgał, jakby był raczej odbiciem palącego się ognia aniżeli światła. Rama nie rysowała się na cieniu, co wskazywało, że okno było szeroko otwarte. Okno otwarte mimo przenikliwego zimna - to była rzecz zadziwiająca. Kasjer znów usnął. Po godzinie czy dwóch zbudził się raz jeszcze - nad jego głową rozlegały się ciągle te same powolne, miarowe kroki.

Odbłask na murze nie przygasł - nadal był widoczny, ale teraz blady i nieruchomy jak odbicie świecy lub lampy. Okno było wciąż jeszcze otwarte.

A oto, co działo się w pokoju pana Madeleine.

### III

#### Burza pod czaszką

Czytelnik odgadł niewątpliwie, że pan Madeleine i Jan Valjean to ta sama osoba.

Już raz wejrzelśmy w głąb tego sumienia. Nadeszła chwila, aby wejrzeć tam znowu; czynimy to nie bez wzruszenia i nie bez drżenia. Nie ma nic bardziej przerażającego nad takie zapatrzenie. Oko duszy nie znajdzie nigdzie tyle blasków i tyle cieni co w człowieku, nie znajdzie nigdzie na świecie nic równie groźnego, równie zawiłego, równie nieodgadzonego i równie nieskończonego. Jest widok bardziej niezmierny niż morze - niebo. Jest widok jeszcze bardziej niezmierny niż niebo - wnętrze duszy ludzkiej.

Napisać poemat sumienia - chociażby chodziło o jednego człowieka, chociażby ten człowiek był najędzniejszym z ludzi - to stopić wszystkie epepeje świata w jedną epepeję nadrzędną i ostateczną. Sumienie - to kłębowisko urojeń, pożądań i wysiłków, to ziejąca ogniem otchłań marzeń, jaskinia myśli, których się wstydzimy; to pandemonium sofizmatów, pobjowisko namiętności. W pewnych godzinach przeniknij bladą twarz zamyślnego człowieka i spójrz w głąb, spójrz w jego duszę, spójrz w ten mrok. Pod pokrywą zewnętrznego spokoju toczą się tam boje gigantów jak u Homera, smoki zmagają się z hydrami, kłębią się chmary widm jak u Milтона, wiją się zjawy jak u Dantego. Jakże posępna jest nieskończoność, którą każdy człowiek nosi w sobie, do której z rozpaczą przymierza postanowienia swojego mózgu i czyny swojego życia.

Alighieri stanął kiedyś przed złowróbną bramą i zawahał się. I oto my stoimy teraz przed inną bramą i wahamy się również na jej progu. Wejźmy jednak.

Niewiele dodać możemy do tego, co czytelnik już wie o losach Jana Valjean od czasu przygody z Gerwazkiem. Od owej chwili, jak widzieliśmy, stał się innym człowiekiem. Takim właśnie, jakim biskup chciał go uczynić. Było to więcej niż przemiana, było to przeobrażenie.

Zdołał zatrzeć za sobą ślady, sprzedał srebro biskupa, zachowując jedynie na pamiątkę świeczniki, przewędrował, przenosząc się z miasta do miasta, całą Francję, dotarł do Montreuil-sur-mer, wpadł na szczęśliwy pomysł, o którym wspominaliśmy, i dokonał tego, co też już zostało opowiedziane. Zdołał stać się nieuchwytnym i niedostępnym; i odtąd, zamieszkawszy w Montreuil-sur-mer, rad, że sumienie jego smuci cień przeszłości, a druga

połowa życia przeczy pierwszej, żył spokojny i ufny, mając tylko dwa pragnienia: ukryć swoje nazwisko i uświęcić duszę; ujść ludziom, a wrócić do Boga.

Oba te pragnienia tak ściśle były ze sobą zespolone w jego umyśle, że tworzyły jedno; oba były jednakowo pochłaniające i władcze, oba rządziły najdrobniejszymi jego czynami. Zazwyczaj zgodnie kierowały jego życiem; to one kazały mu żyć w cieniu, być życzliwym i przystępnym, dawały jednakie rady. Czasem wszakże zdarzały się pomiędzy nimi zatargi. W takim wypadku - jak to pamiętamy - człowiek znany w całej okolicy Montreuil-sur-mer pod nazwiskiem pana Madeleine nie wahał się poświęcić pierwszego ze swych pragnień - drugiemu, swego bezpieczeństwa - swojej cnotcie. Tak więc na przekór wszelkiej ostrożności i rozwadze zachował świeczniki biskupa, nosił po nim żałobę, przywoływał do siebie i wypytywał wszystkich wędrownych małych Sabaudczyków, dowiadywał się o rodziny w Faverolles i ocalił życie staremu Fauchelevant pomimo niepokojących napomnień Javerta. Zdawało się - wskazaliśmy już na to - iż za przykładem wszystkich mędrców, świętych i sprawiedliwych sądził, że obowiązek względem samego siebie nie był jego pierwszym obowiązkiem.

Jednakże trzeba to powiedzieć, nigdy jeszcze nie stanął przed takim zagadnieniem. Nigdy dwie myśli rządzące tym nieszczęśliwym człowiekiem, o którego cierpieniach opowiadamy, nie wszczęły tak zajadłej walki. Zrozumiał to podświadomie, ale i głęboko od pierwszych słów, które powiedział Javert, wchodząc do jego gabinetu. W chwili gdy w tak dziwny sposób zostało wymówione nazwisko, które pogrzebał pod tyłoma warstwami, osłupiał, oszołomiony ponurą dziwacznością swojego losu. Poprzez to osłupienie poczuł owo drganie, które poprzedza wielkie wstrząsy; pochylił się jak dąb przed nadchodzącą burzą, jak żołnierz przed atakiem nieprzyjaciela. Uczuł gromadzące się nad jego głową ciemności, pełne gromów i błyskawic. Gdy słuchał tego, co mówił Javert, pierwszą jego myślą było pojechać, pobiec, wydać siebie, wydobyć tego Champmathieu z więzienia i zająć jego miejsce. Było to czymś tak bolesnym i przejmującym jak krajanie na żywo; potem minęło. "Spokojnie, spokojnie!" - powtarzał sobie. Odsunął od siebie pierwszy szlachetny odruch i cofnął się przed bohaterstwem.

Niewątpliwie byłoby rzeczą piękną, gdyby po świętych słowach biskupa, po tyłu latach skruchy i wyrzeczenia, pokuty, tak zadziwiająco zaczętej, człowiek ten nie drgnął nawet wobec straszliwej alternatywy i szedł dalej tym samym krokiem ku przepaści, na której dnie otwierało się niebo. Byłoby to rzeczą piękną, lecz stało się inaczej. Musimy zdać dokładną sprawę z tego, co działo się w jego duszy, i nie będziemy opowiadali tego, czego nie było. W pierwszej chwili instynkt samozachowawczy zwyciężył; czym prędzej więc zebrał

myśli, zdławił wzruszenie, zważył największe niebezpieczeństwo - obecność Javerta - odroczył wszelkie postanowienia z siłą, jaką daje wielki strach; odurzył się codziennymi sprawami i odzyskał utracony spokój, tak jak zapaśnik podnosi z ziemi upuszczoną tarczę.

Reszta dnia upłynęła mu tak samo: zamęt w duszy - całkowity spokój na zewnątrz; przedsięwziął jedynie to, co można by nazwać "środkami ochronnymi". Wszystko było jeszcze mgliste i kłębiło się w jego mózgu; panował tam taki chaos, że żadnej myśli nie widział jasno. Mógłby sobie powiedzieć tylko jedno, że ugodził weń straszliwy cios. Jak zwykle, zjawił się u łóżka boleści Fantyny i przedłużył swoją wizytę w odruchu dobroci, mówiąc sobie, że powinien tak postąpić i polecić ją szczególnej pieczy sióstr na wypadek swojej nieobecności. Jakby przeczuwał, że może będzie musiał pojechać do Arras, i nie będąc w najmniejszej mierze zdecydowany na tę podróż, pomyślał, że skoro jest poza zasięgiem jakiegokolwiek podejrzenia, to niczym nie ryzykując, może być świadkiem tego, co się będzie działo. Zamówił więc u Scaufflaire'a konia i tilbury, żeby być w pogotowiu.

Obiad zjadł ze smakiem.

Wróciwszy do swojego pokoju, zebrał myśli.

Przyjrzał się sytuacji: była niewiarygodna, tak dalece niewiarygodna, iż nie przestając rozmyślać, pod naciskiem jakiegoś niewytłumaczonego lęku, podniósł się z krzesła i zamknął drzwi na zasuwkę. Obawiał się, że coś jeszcze wejdzie. Zatarasował drzwi przed tym, co możliwe.

Po chwili zgasił światło. Przeszkadzało mu.

Miał wrażenie, że ktoś może go zobaczyć.

Kto?

Niestety to, przed czym zamykał drzwi - już weszło To, co chciał oślepić, patrzyło nań. Jego sumienie.

Jego sumienie - to znaczy Bóg.

Jednakże w pierwszej chwili łudził się jeszcze; czuł się bezpieczny w swojej samotności; sądził, że zamknięte na zasuwkę drzwi czynią go nietykalnym, a zgaszona świeca - niewidzialnym. Wówczas opanował się i oparłszy łokcie na stole, ująwszy głowę w dłonie, zaczął rozmyślać w ciemności.

"Co to znaczy? Czy to nie sen? Co mi powiedziano? Czyż naprawdę widziałem tego Javerta i czy powiedział mi to wszystko? Kim może być ten Champmathieu? Więc jest do mnie podobny? Czy to możliwe? I pomyśleć, że wczoraj byłem tak spokojny, że nie przeczuwałem niczego! Co robiłem wczoraj o tej porze? Oh, jaki to dziwny wypadek! Jak się rozwikła? Co zrobić?..."

Widzimy, w jakiej był rozterce. Jego mózg utracił władzę nad myślami: przelewały się jak fale. Ścisnął głowę dłońmi, aby je wstrzymać.

Z tego zamętu, który niweczył jego wolę i zdolność rozumowania, a z którego usiłował wyłuskać jakąś prawdę, jakieś postanowienie, wyłaniał się jedynie strach.

Głowa mu płonęła. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko. Niebo było bezgwiezdne. Usiadł znów przy stole. Tak upłynęła pierwsza godzina.

Po trochu jednak mgliste jego myśli zaczęły zarysowywać się coraz wyraźniej i zaczął już widzieć nie całokształt sytuacji wprawdzie, lecz niektóre jej szczegóły.

Uświadomił sobie przede wszystkim, że jakkolwiek niezwykle i krytyczne było jego położenie, panował nad nim w pełni. Wzmogło to jeszcze jego oszołomienie. Niezależnie od poważnego i bogobojnego celu, do którego zmierzały jego uczynki, wszystko, co zrobił dotychczas, było jedynie kopaniem grobu dla nazwiska. Usłyszeć jeszcze kiedykolwiek dźwięk tego nazwiska, oto, czego najbardziej lękał się w godzinach wewnętrznych obrachunków, w bezsennych nocach. Powtarzał sobie, że z tą chwilą skończy się dla niego wszystko, że dzień, w którym ono zostanie wymówione, unicestwi jego nowe życie, a kto wie - może i nową duszę? Drżał na samą myśl o tym. Niewątpliwie, gdyby ktokolwiek powiedział mu wówczas, iż przyjdzie chwila, gdy to nazwisko zabrzmi mu w uszach, gdy te dwa ohydne słowa: "Jan Valjean" wyłonią się nagle z mroku, gdy to groźne światło mające rozproszyć tajemnicę, jaką się otaczał, rozbłyśnie nagle nad jego głową - i że równocześnie to nazwisko niczym nie będzie mu groziło, że to światło jeszcze bardziej wszystko zaciemni, że ta rozdarta zasłona zwiększy tajemnicę, że ten gwałtowny wstrząs umocni fundamenty mozolnie wzniesionego gmachu, że - jeśli zechce - wynikiem tego niesłychanego zdarzenia będzie, iż życie jego stanie się równocześnie jaśniejsze i bardziej nieprzeniknione i że stanąwszy twarzą w twarz z widmem Jana Valjean - zacny i godny mieszczanin pan Madeleine wyjdzie bardziej ceniony, spokojniejszy i otoczony większym szacunkiem niż kiedykolwiek - gdyby powiedziano mu to, potrząsnąłby najwyżej głową, uważając te słowa za bezsensowne. A przecież to właśnie się zdarzyło. Ten splot niewiarygodnych okoliczności istnieje naprawdę; Bóg zezwolił, aby nieprawdopodobieństwo stało się rzeczywistością!

Myślał coraz trzeźwiej, coraz lepiej zdawał sobie sprawę ze swego położenia.

Miał wrażenie, że zbudził się z głębokiego snu i że wśród nocy stacza się po jakimś zboczku, drżąc cały i na próżno usiłując się zatrzymać na samym skraju przepaści. Wyraźnie widział w mroku nie znanego mu człowieka, którego los przez pomyłkę brał za niego i spychał do tej właśnie otchłani - na jego miejsce. Aby otchłań zawarła się, ktoś musi zginąć - albo on, albo ten drugi...

Wystarczyło tylko zostawić sprawę własnemu biegowi.

Wszystko się rozjaśniło i uświadomił sobie, że miejsce jego na galerach jest wolne i że cokolwiek by uczynił - czeka dotąd na niego; że kara za okradzenie Gerwazka sprowadza go tam znowu, że to puste miejsce czeka na niego i będzie go przyciągać, póki się tam nie znajdzie, że taki jest nieodwołalny wyrok losu. A potem powiedział sobie, że na razie ma zastępcę, że podobno jakiemuś Champmathieu przypadł ten nieszczęsny los, że on, będąc na galerach w osobie owego Champmathieu, a w społeczeństwie pod nazwiskiem pana Madeleine, może niczego się nie obawiać, jeśli dopuści, żeby ludzie przywalili owego Champmathieu kamieniem hańby, który jak kamień mogilny opuszcza się raz tylko, aby się już nigdy nie podnieść.

Wszystko to było tak gwałtowne i tak osobliwe, że doznał nagle owego wstrząsu nie do opisania, który zdarza się człowiekowi najwyżej dwa lub trzy razy w życiu, czegoś na kształt konwulsji sumienia, które poruszają wszystko, co jest w sercu wątpliwe, które składają się z ironii, radości, rozpacz - a które można by nazwać wewnętrznym śmiechem.

Porywczym ruchem zapalił świecę.

“Cóż to! - powiedział sobie. - Czego ja się boję? Nad czym się tak zastanawiam? Jestem ocalony. Wszystko się skończyło. Istniały jedne tylko drzwi, przez które przeszłość mogła się wdrzeć w moje życie, i te drzwi zostały zamurowane. Na zawsze! Ten Javert, który mnie od tak dawna niepokoi, który zdawał się przenikać mnie straszliwym instynktem, który przeniknął mnie, do licha! - który szedł za mną krok w krok, ten ogar, tropiący zajadłe, teraz zwabiony gdzie indziej, zupełnie zagubił ślad. Jest nareszcie zadowolony, zostawi mnie w spokoju, trzyma swojego Jana Valjean, kto wie, być może nawet zechce opuścić miasto. I to wszystko stało się beze mnie! Bez najmniejszego mojego udziału! Cóż złego w tym wszystkim? Słowo daję, każdy, kto by mnie teraz zobaczył, pomyślałby, że spotkało mnie jakieś nieszczęście! Jeśli ktoś cierpi, to bynajmniej nie z mojej winy. Takie jest zrządzenie Opatrzności, widocznie taka jest Jej wola. Czy wolno mi odwracać Jej wyroki? Czegóż chcę jeszcze? Do czego się chcę wtrącać? To nie moja sprawa! Jak to? Nie jestem zadowolony? Czegóż mi więc trzeba? Osiągnąłem cel, do którego dążę od tylu lat, to, o czym śnię po nocach, przedmiot mych modłów: bezpieczeństwo! Bóg tak chce! Nie mogę opierać się woli bożej. A dlaczego Bóg tak chce? Aby nie przerywał rozpoczętego dzieła, abym czynił dobro, abym stał się z czasem wielkim i zachęcającym przykładem, aby zostało powiedziane, iż było nieco szczęścia w pokucie, jaką sobie zadałem, i w cnotcie, do której powróciłem. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego przed chwilą bałem się wejść do tego zacnego proboszcza, wyznać mu wszystko jak na spowiedzi i prosić o radę. Byłby mi oczywiście powiedział to

samo. Jestem zatem zdecydowany! Niech się dzieje, co chce! Niech się dzieje wola boża!”

Przemawiał tak do siebie w głębi sumienia, nachylony - rzecz można - nad otchłanią własnej duszy. Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. “No, nie myślmy już o tym więcej. Decyzja powzięta!” A jednak nie czuł żadnej radości. Przeciwnie.

Nie można nakłonić umysłu, by poniechał jakiejś myśli, tak jak nie można zmusić morza, by nie zalewało brzegu. Dla marynarza zwie się to przyływem; dla winowajcy - wyrzutem sumienia. Bóg wzburza duszę jak ocean.

Po chwili pan Madeleine podjął - chcąc nie chcąc - ów posępny dialog, w którym sam i przemawiał, i słuchał, mówiąc to, co rad by przemilczeć, słuchając tego, czego nie chciałby słyszeć, ulegając tej tajemniczej mocy, która mówiła mu: “Myśl!” - podobnie, jak przed dwoma tysiącami lat innemu skazańcowi powiedziała: “Idź!”

Zanim pójdziemy dalej, chcąc być należycie zrozumianym przez czytelnika, położmy nacisk na pewne niezbędne wyjaśnienie.

Jest rzeczą pewną, że mówimy czasem sami do siebie. Doświadczyła tego każda myśląca istota. Można nawet twierdzić, iż słowo jest wtedy właśnie najwznioślejszą tajemnicą, gdy - w duszy człowieczej - od myśli dąży do sumienia, od sumienia powraca do myśli. Tylko w tym znaczeniu należy brać często powtarzające się w tym rozdziale słowa: “powiedział” lub “zawołał”. Są słowa, zdania, okrzyki nawet, które nie przerywają zewnętrznego milczenia. Wszystko się kłębi, wszystko w nas mówi, jedynie usta milczą. Rzeczywistości duszy, choć niewidzialne i nienamacalne, jednak są rzeczywiste.

Zaczął więc znowu rozważać, na czym ostatecznie stanęło i czym jest owa “powzięta decyzja”. I przyznał się przed sobą, że wszystko, co w myśli ułożył, jest potworne, że jego: “Niech się dzieje, co chce. Niech się dzieje wola boża!”, jest po prostu ohydą. Pozwolić, aby dokonała się ta pomyłka losu i ludzi, nie zapobiec jej, przypieczętować ją niejako swoim milczeniem, nic nie uczynić wreszcie - to znaczyło uczynić wszystko, to ostatni stopień przewrotnej niegodziwości, to zbrodnia niska, nikczemna, podstępna, ohydna, haniebna!

Po raz pierwszy od ośmiu lat ten nieszczęśliwy człowiek poczuł gorzki smak złej myśli i złego uczynku.

Wypluł go z obrzydzeniem.

W dalszym ciągu zadawał sobie pytania. Zapytał surowo, co oznaczać miało: “Osiągnąłem cel?” Stwierdził, że życie jego istotnie miało pewien cel. Ale jaki? Ukrywanie swego nazwiska? Oszukiwanie policji? Czyżby dla takiej drobnostki czynił wszystko, co dotychczas uczynił? Czyż nie miał innego celu, celu wielkiego, celu prawdziwego? Ocalić nie swoją osobę, lecz swoją duszę. Być znów uczciwym i dobrym. Być sprawiedliwym, czyż nie

tego jedynie pragnął, czyż nie to właśnie nakazał mu biskup? Zatrzasnąć drzwi do przeszłości? Ale on ich nie zamykał, Boże miłosierny! On je otwierał na oścież, popełniając haniebnny uczynek; stawał się znów złodziejem, i to najohydniejszym ze złodziei, kradł innemu człowiekowi jego byt, życie, spokój, miejsce pod słońcem. Stawał się mordercą; zabijał, moralnie zabijał nędzarza! Skazywał go na śmierć za życia, na śmierć na ziemi, zwaną galerami! Ujawnić się natomiast, ocalić tego nieszczęśnika, ofiarę tak ponurej pomyłki, wrócić do swojego prawdziwego nazwiska, w imię obowiązku stać się katorżnikiem Janem Valjean - oto prawdziwe duchowe odrodzenie, ostateczne zamknięcie bram piekła, z którego wyszedł. Pozornie powrócić do piekła, to w rzeczywistości wyjść z niego. Tak musi być! Niczego nie dokonał, jeśli tego nie uczyni. Na nic całe jego życie, na nic jego pokuta, pozostanie mu tylko zapytać: "Po co to wszystko było?" Czuł, że biskup jest przy nim, bliższy, bo umarły, że baczenie mu się przygląda, że od tej pory mer Madeleine ze wszystkimi swoimi cnotami będzie w nim budził wstręt, że natomiast galernik Jan Valjean stanie się godny podziwu i czysty. Ludzie widzą przywdzianą maskę, biskup widzi prawdziwe oblicze. Ludzie widzą jego życie, biskup widzi sumienie. Trzeba zatem pojechać do Arras, wyzwolić rzekomego Jana Valjean, ujawnić prawdziwego. Niestety! To była najcięższa ofiara, najboleśniejże zwycięstwo, ostatni próg do przebycia. Lecz tak być musi. O doło nieszczęsna! Aby zostać świętym w oczach Boga, musi okryć się hańbą w oczach ludzi!

- A więc - rzekł - nie ma innego wyboru. Spełnijmy obowiązek! Ocalmy tego człowieka!

Wypowiedział te słowa na głos, nie zdając sobie sprawy, że głośno mówi.

Po czym wziął swoje księgi rozrachunkowe, sprawdził je i uporządkował. Cisnął w ogień plik dowodów należności, jakie miał u drobnych, zadłużonych kupców. Napisał list i opieczetował go. Gdyby ktoś był w pokoju, mógłby przeczytać na kopercie: "Pan Laffitte, bankier, Paryż, ul. Artois".

Wyjął z sekretarzyka portfel zawierający kilka banknotów i paszport, którym się posługiwał w tym roku, jadąc na wybory. Ktokolwiek by go zobaczył przy spełnianiu tych czynności tak głęboko zamyślonego, nie odgadłby, co się w nim dzieje. Tylko chwilami drgały mu usta, niekiedy zaś podnosił głowę i wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie, jakby tam właśnie tkwiło coś, co chciałby wyjaśnić lub wy badać.

Skończywszy list do pana Laffitte'a, włożył go do kieszeni wraz z portfelem i podjął znów wędrówkę po pokoju.

Bieg jego myśli nie zmienił się. Gdziekolwiek obrócił oczy, widział ciągle ogniste litery, przypominające mu jego obowiązek: "Idź! Wyjaw, kim jesteś! Oskarż się!"

Widział również, tak jak gdyby poruszały się przed nim, obleczone w realne niemal kształty, obie idee stanowiące dotychczas podwójną zasadę jego życia: ukryć swoje nazwisko i uświęcić duszę. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo różnią się one między sobą i na czym ta różnica polega. Uznał, że jedna z nich jest z założenia dobra, podczas gdy druga może stać się zła; że jedna jest poświęceniem, a druga egoizmem; że jedna mówi: "Bliźni", a druga - "Ja!"; że jedną rodzi światłość, drugą - noc.

Zwalczały się teraz wzajemnie, a on patrzył na tę walkę. W miarę jak pogrążał się w zadumie, rosły one w oczach jego ducha i przybierały postać olbrzymów. Zdawało mu się, że widzi w głębi siebie, w tej nieskończoności, o której wspomnieliśmy przed chwilą - pośród mroków i błysków, zawzięty bój bogini z olbrzymką.

Pełen był lęku, zdawało mu się jednak, że dobra idea zwycięży. Czuł, iż doszedł do drugiego przełomowego momentu w swoim sumieniu i losie, że biskup stanowił pierwszy etap jego nowego życia, a ten Champmathieu stanowi drugi. Po wielkim wstrząsie - wielka próba!

Podniecenie, przez chwilę uśmierzone, znów zaczęło go powoli ogarniać. Tysiączne myśli przechodziły mu przez głowę, ale utwierdzały nadal w powziętym postanowieniu.

W pewnej chwili powiedział sobie, że może zbyt mocno się przejmuje, że ostatecznie ten Champmathieu to nieciekawa figura, że to przecie złodziej. Odpowiedział sobie: "Jeśli w istocie człowiek ten ukradł kilka jabłek, czeka go miesiąc więzienia. Daleko stąd do katorgi. A kto wie, czy ukradł naprawdę? Czy zostało to dowiedzione? Nazwisko Jana Valjean ciąży na nim i zdaje się zwalniać trybunał od wyszukiwania dowodów. Czyż panowie prokuratorzy nie postępują tak zazwyczaj? Mają go za złodzieja, bo wiedzą, że był galernikiem!"

W innej chwili pomyślał, że jeśli sam się oskarży, sąd weźmie może pod uwagę bohaterstwo jego uczynku, siedem lat uczciwego życia oraz wszystko, co zrobił dla swego miasta, i ułaskawi go.

Lecz to przypuszczenie szybko się rozwiało, uśmiechnął się gorzko, przypominając sobie, że kradzież czterdziestu su, popełniona na Gerwazku, czyniła z niego recydywistę, że ta sprawa niewątpliwie wypłynie i że zgodnie z literą prawa skazą go na dożywotnią katorgę.

Przestał się łudzić, oderwał się od spraw ziemskich, w czym innym zaczął szukać pociechy i siły. Powiedział sobie, że musi spełnić swój obowiązek, że być może nawet nie będzie bardziej nieszczęśliwy po spełnieniu go, niż gdyby się od niego uchylił, że gdyby pozostawił całą sprawę swojemu biegowi, gdyby pozostał nadal w Montreuil-sur-mer, to szacunek i poważanie, jakim się cieszył, jego dobre uczynki, cześć, jego dobroczynność, bogactwo, powszechne uznanie i popularność, cnotliwe życie - wszystko byłoby zaprawione

zbrodnią. I jaki posmak miałyby te rzeczy święte, połączone z taką ohydą! Gdyby zaś spełnił tę ofiarę - niebiańskie uczucie opromieniłoby katorgę, przęgierz, zieloną czapkę więzienną, pracę bez wytchnienia, bezlitosną hańbę!

Powiedział sobie ponadto, że innego wyjścia nie ma, że taki jest jego los, że w jego mocy nie leży naginanie do swojej woli - woli nieba, że w każdym bądź razie wybrać musi: albo cnotę w sercu, a hańbę wobec ludzi, albo cnotę na pokaz, a ohydę w duszy.

Borykając się z tyloma posepnymi myślami nie stracił wprawdzie odwagi, lecz zmęczył umysł. Mimo woli zaczął myśleć o czym innym, o rzeczach obojętnych.

Skronie pulsowały mu gwałtownie. Chodził wciąż po pokoju tam i z powrotem. Północ wydzwoniła najpierw na kościele, potem na ratuszu. Policzył dwanaście uderzeń obu zegarów i porównał dźwięk obu dzwonów. Przypomniawszy sobie przy tym, że przed paroma dniami widział u handlarza starym żelastwem zniszczony dzwon na sprzedaż z napisem: "Antoni Albin, Romainville".

Zimno mu było. Rozniecił trochę ognia. Nie przyszło mu na myśl, aby zamknąć okno.

I znów popadł w bezwład. Musiał się zdobyć na wielki wysiłek, żeby uprzytomnić sobie, o czym myślał, nim północ wybiła. Wreszcie przypomniał sobie.

"A tak! - zawołał po chwili. - Przecież postanowiłem się oskarżyć!"

I nagle pomyślał o Fantynie. "Właśnie! - zawołał. - A ta biedna kobieta?" Popadł w nową rozterkę.

Fantyna ukazała się niespodziewanie w jego rozmyślaniach jak promień nieoczekiwanego światła. Wydało mu się, iż wszystko dokoła niego zmieniło oblicze.

"Otóż to! - zawołał. - Dotąd myślałem tylko o sobie, tylko swoje dobro miałem na uwadze. Czy zamilczę, czy ujawnię się, czy ukryję, kim jestem - czy zbawię moją duszę, czy będę szanowanym, a godnym pogardy urzędnikiem miejskim, czy napiętnowanym hańbą, a cnotliwym galernikiem - to ja, zawsze ja, i tylko ja. Ależ, na Boga, przecież to czysty egoizm. Różne postacie egoizmu, ale jednak egoizmu. Czy nie należy raczej pomyśleć o innych? Przecież myśleć o bliźnich to pierwszy warunek cnotliwego życia. Rozważmy więc. Wyłączmy moją osobę, przekreślmy ją, zapomnijmy o niej. I co z tego wyniknie? Jeśli wyjawię, kim jestem - zaaresztują mnie, uwolnią tego Champmathieu, a mnie pošlą znowu na galery. Dobrze! I co dalej? A co się stanie tutaj? Tutaj jest miasto, jego okolice, fabryki, przemysł, robotnicy, mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, tylu biednych! Wszystko to jest moim dziełem, wszystko tu żyje dzięki mnie: wszędzie gdziekolwiek dymi się z komina, to ja roznieciłem ogień, ja włożyłem kawałek mięsa do garnka; to ja stworzyłem dobrobyt, handel, kredyt. Przede mną nie było tu nic. Ja dźwignąłem, ożywiłem, zbudziłem, użyźniłem,

postawiłem na nogi, wzbogaciłem całą okolicę. Zabraknie mnie - zabraknie duszy. Zniknę stąd, a wszystko zamrze. A ta kobieta, która tyle wycierpiała! Która nawet w upadku była cnotliwa, której nieszczęścia ja jestem mimowolnym sprawcą! A to dziecko, po które miałem pojechać, które obiecałem matce! Czyż nie powinienem wynagrodzić tej kobiecie wyrządzonej krzywdy? Gdy mnie zabraknie, co się stanie? Matka umrze, a dziecko będzie zdane na łaskę losu. Oto, co będzie, jeśli się oskarżę! A jeśli się nie oskarżę? Pomyślmy tylko, co będzie, jeśli się nie oskarżę?”

Zadawszy sobie to pytanie, zatrzymał się. Miał chwilę wahania i drżenia, lecz chwila ta trwała krótko i odpowiedział sobie ze spokojem: “Ha, cóż! Ten człowiek pójdzie na galery, to prawda, ale, u diabła, przecież on ukradł. Choćbym sobie Bóg wie jak wmawiał, że nie ukradł, on ukradł! Ja zostaję tu, prowadzę dalej rozpoczęte dzieło. Za dziesięć lat zarobię dziesięć milionów, rozdam je na całą okolicę. Dla siebie nie wezmę nic, bo i po co mi to? Przecież nie dla siebie to robię! Powszechna zamożność wzrasta, rodzą się i rozwijają liczne przedsiębiorstwa, mnożą się nowe fabryki i warsztaty; rodziny, setki rodzin, tysiące rodzin są szczęśliwe; okolica się zaludnia; gdzie dziś są tylko folwarki, powstają wsie, a folwarki tam, gdzie nie ma obecnie nic; znika nędza, a razem z nędzą znika rozpusta, prostytutka, kradzież, morderstwa, wszelkie występki, wszelkie zbrodnie! Ta nieszczęśliwa matka wychowuje swoje dziecko! Cała okolica jest bogata i uczciwa! Ach, tak! Byłem niespełna rozumu, byłem szalony, jakże mogłem mówić o tym, żeby się oskarżyć. Trzeba zachować rozwagę; nie działać pochopnie. Jakże to? A więc dlatego że spodobało mi się odegrać rolę wspaniałego i szlachetnego - co za melodramat - dlatego że myślałem o sobie, tak, tylko o sobie! żeby wybawić od kary, może nieco zbyt srogiej, lecz w gruncie rzeczy zasłużonej, nie wiadomo kogo, jakiegoś złodziejaska, jakiegoś nicponia - to cała okolica ma ginąć? Ta nieszczęsna kobieta ma marnie zemrzeć w szpitalu i ta biedna mała marnie zemrzeć na ulicy? Jak psy bezpieczeństwa? O, ależ to okropne! I matka ma nie zobaczyć swego dziecka? I dziecko ma nie znać matki? A to wszystko dla starego łotra, złodzieja jabłek, który na pewno jeśli nie teraz, to kiedy indziej zasłużył sobie na galery! Piękne mi skrupuły - ratują winnego, a poświęcają niewinnych, ratują starego włóczęgę, który niewiele ma już pewno lat życia przed sobą i nie będzie bardziej nieszczęśliwy na galerach niż w swojej norze, a poświęcają całą ludność, matki, kobiety, dzieci! Ta biedna mała Kozeta tylko mnie jednego ma na świecie i w tej chwili drży na pewno z zimna w speluncie tych Thénardierów. To też para łotrów! I ja miałbym sprzeniewierzyć się swoim obowiązkom względem tych wszystkich biednych istot! Wyjawię, kim jestem! Popełnię to potworne głupstwo. Przypuśćmy najgorsze. Przypuśćmy, że - jeśli o mnie chodzi - popełnię zły uczynek, że kiedyś moje sumienie będzie mi go

wyrzucać; zgodzić się dla dobra innych na wyrzuty sumienia, które tylko mnie obciążają, zgodzić się na zły czyn, który szkodzi tylko mojej duszy - to właśnie jest poświęcenie! To właśnie jest cnota!”

Wstał i znów zaczął chodzić. Tym razem wydało mu się, że jest zadowolony.

Diamenty znajduje się tylko w czarnych czeluściach ziemi; prawdy znajduje się tylko w głębinach myśli. Zdawało mu się, że zszedłszy w te głębie, długo i po omacku szukając w najczarniejszych mrokach, znalazł wreszcie jeden z tych diamentów, jedną z takich prawd i trzymają w ręku. Był olśniony patrząc na nią.

“Tak - pomyślał. - To właśnie to. Teraz mam słuszość. Mam rozwiązanie. Trzeba wreszcie coś postanowić. Już postanowiłem. Co ma się stać, niech się stanie. Nie wolno się wahać dłużej, nie wolno się cofać. I to dla dobra innych, nie dla siebie. Jestem Madeleine'em i Madeleine'em pozostanę. Biada temu, kto jest Janem Valjean! To już nie ja! Nie znam tego człowieka, nie wiem, co to za jeden, a jeśli zdarzyło się, że istnieje w tej chwili jakiś Jan Valjean, niech sam sobie radzi! Nic mnie to nie obchodzi. To jest złowróźbne imię, które czyha wśród nocy. Jeśli spadnie na jakąś głowę, tym gorzej dla niej. Trudno!”

Przejrzał się w lusterku, stojącym na kominku, i rzekł: “Ha! Ulżyło mi, że wreszcie coś postanowił. Zupełnie inaczej teraz wyglądam”.

Postąpił jeszcze kilka kroków i nagle przystanął.

“No, a teraz - rzekł - nie wolno się cofać przed żadnym następstwem powziętej decyzji. Istnieją jeszcze nici wiążące mnie z Janem Valjean. Trzeba je zerwać. Tutaj, w tym pokoju, są pewne przedmioty, które mogłyby mnie obciążyć; rzeczy martwe, które mogłyby świadczyć przeciwko mnie. Słowo się rzekło, muszą zniknąć”.

Poszperał w kieszeni, wyciągnął sakiewkę, otworzył i wyjął kluczyk. Włożył kluczyk do zamka, którego dziurkę ledwo można było dojrzeć, tak była zagubiona w najciemniejszym deseni tapety. Otworzył się schowek, rodzaj szafy ukrytej we wgłębieniu pomiędzy rogiem ściany a występem kominka. W tym schowku leżały tylko jakieś stare łachmany: kubrak z niebieskiego płótna, zniszczone spodnie, stary plecak i gruby sękaty kij, okuty na obu końcach. Ci, którzy widzieli ongiś Jana Valjean, gdy przechodził przez Digne w październiku 1815 roku, poznaliby bez trudu wszystkie części tego nędznego przyodziewku.

Zachował je tak, jak zachował srebrne lichtarze, aby przypominały mu zawsze punkt zwrotny jego życia. Tyle tylko, że ukrywał to, co pochodziło z katorgi, a na widoku trzymał świeczniki od biskupa.

Spojrzał ukradkiem ku drzwiom, jakby w obawie, że pomimo zamkniętej zasuwki mogą się otworzyć, po czym nagłym, gwałtownym ruchem zgarnął wszystko razem i nie

rzuciwszy nawet okiem na te przedmioty, które z takim nabożeństwem, narażając się na niebezpieczeństwo, przechowywał w ciągu tylu lat, cisnął wszystko w ogień: łachmany, kij i plecak!

Zamknął skrytkę i w nadmiarze ostrożności, zbytecznej już, skoro była pusta, zasłonił drzwiczki, przysuwając ciężki sprzęt.

Po paru sekundach czerwony, drgający blask oświetlał pokój i mur sąsiedniego budynku. Płonęło wszystko. Sękaty kij trzeszczał i strzelał iskrami aż na środek pokoju.

Gdy spalił się plecak wraz z zawartymi w nim ohydnymi łachmanami, błysnęło coś w popiele. Pochyliwszy się, łatwo byłoby rozpoznać srebrną monetę. Niewątpliwie owe czterdzieści su ukradzione przed laty małemu Sabaudczykowi.

Lecz on nie patrzył w ogień i chodził dalej tym samym równym krokiem, tam i z powrotem.

Nagle wzrok jego spoczął na obu srebrnych świecznikach, słabo błyszczących na kominku w odblaskach ognia.

“Ba! - pomyślał. - W tym jeszcze tkwi cały Jan Valjean. I to także trzeba zniszczyć!”

Wziął oba świeczniki.

Na kominku było dość ognia, żeby świeczniki szybko stopiły się w bezkształtną bryłę nie do rozpoznania.

Schylił się nad ogniem, grzejąc się przez chwilę. Ogarnęło go miłe uczucie. “Jakież błogie ciepło!” - rzekł.

Rozgrzebał żar jednym z lichtarzy. Jeszcze chwila, a oba znalazłyby się w ogniu.

Wtem wydało mu się, iż słyszy w sobie jakiś głos wołający: “Janie Valjean! Janie Valjean!”

Włosy zjeżyły mu się na głowie, znieruchomiał jak człowiek, który słucha czegoś straszliwego.

“Tak! Nuże do dzieła! - mówił głos. - Zniszcz te świeczniki! Wymaż i to wspomnienie. Zapomnij o biskupie! Zapomnij o wszystkim! Zgub tego Champmathieu! Doskonale! Ciesz się! Wszystko jest więc ułożone, rozstrzygnięte, postanowione. Oto jakiś człowiek, starzec, który nie wie, czego od niego chcą, który może nic złego nie zrobił, niewinny, którego całym nieszczęściem jest twoje nazwisko, ciężące nad nim jak zbrodnia, ma być aresztowany zamiast ciebie, ma być skazany i skończyć żywot w poniżeniu i ohydzie. Tak jest! Dobrze! Ty pozostań uczciwym człowiekiem! Bądź nadal panem merem, szanownym i szanowanym, wzbogacaj miasto, wspieraj ubogich, wychowuj sieroty, żyj szczęśliwy, cnotliwy i czczony; a gdy ty żyć będziesz w radości i szacunku, ktoś inny włoży

twój czerwony kubrak, ktoś inny będzie nosił w poniżeniu twoje imię, ktoś inny na galerach będzie włókł za sobą twoje kajdany! O, tak! Wyśmienicie wszystko obmyśliłeś! O nędzniku!”

Pot spływał mu z czoła. Utkwił błędny wzrok w świecznikach. A tymczasem wewnętrzny głos nie milkł; mówił dalej: “Janie Valjean! wiele głosów będzie cię sławić, wiele głosów będzie mówić o tobie i ciebie błogosławić - ale jeden jedyny głos, którego nikt nie usłyszy, będzie cię przeklinał w ciemnościach. I wiedz, nikczemniku, wszystkie te błogosławieństwa opadną z powrotem na ziemię, nim dosięgną nieba, a tylko przekleństwo dotrze do Boga!” Głos ten, zrazu słaby, wydobywający się z najtajniejszych zakamarków sumienia, stopniowo rósł, potężniał i dźwięczał mu teraz tuż przy uchu. Wydało mu się, iż głos wyszedł z niego, że mówi teraz poza nim. Ostatnie słowa usłyszał tak wyraźnie, że aż rozejrzał się z przerażeniem po pokoju.

- Czy jest tu kto? - zapytał przerażony. Potem dodał, śmiejąc się jak idiota: - Głupiec ze mnie! Przecież nie może tu być nikogo.

A jednak był tam ktoś, ale ktoś, kogo ludzkie oko dostrzec nie może.

Postawił z powrotem świeczniki na kominku. Znow zaczął swą monotonną i ponurą wędrówkę, która niepokoiła i wrywała ze snu śpiącego o piętro niżej człowieka.

Ruch ten przynosił mu ulgę i odurzał zarazem.

Wydaje się, że niekiedy, w chwilach rozstrzygających, chodzimy tak, prosząc o radę wszystko, co spotykamy na drodze. Po chwili już sam nie wiedział, co ma robić.

Cofał się teraz z jednakowym przerażeniem przed obydwoma, kolejno powziętymi decyzjami. I jedną, i drugą uważał za równie zgonną. Cóż za fatalny splot zdarzeń! Jaki zbieg okoliczności. Ten Champmathieu wzięty za niego! To, co, jak zrazu sądził, sama Opatrzność podsunęła mu jako środek ocalenia, to właśnie go gubiło.

W pewnej chwili spojrzął w przyszłość. Oskarżyć się! Wielki Boże, oskarżyć się! Z bezmierną rozpacą uprzytomnił sobie wszystko, co mu przyjdzie porzucić, i wszystko, do czego wypadnie wrócić. Więc trzeba będzie pożegnać się z tym życiem, tak spokojnym, tak uczciwym, tak promiennym, z powszechnym szacunkiem, uznaniem, z wolnością! Nie będzie się przechadzał wśród pól, nie będzie słuchał w maju ptaszęcego świergotu, nie będzie dawał jałmużny małym dzieciom! Nie zazna już nigdy słodczy spojrzeń pełnych wdzięczności i miłości! Opuści ten dom, który wybudował, ten pokój, ten mały pokoik! Wszystko wydawało mu się teraz urocze. Więc miałby już nigdy nie czytać tych książek, nie pisać na tym prostym, drewnianym stole?

Stara odźwierna - jedyna jego służąca - nie przyniesie mu już nigdy porannej kawy? A zamiast tego - mocny Boże - galery, dyby, czerwony kaftan, kajdany u nóg, wyczerpanie,

ciemnica, prycza więzienna - wszystkie te okropności, tak dobrze znane! W jego wieku, po tym wszystkim, do czego doszedł! Gdyby przynajmniej był młody! Ale być tykanym na starość przez pierwszego lepszego, poszturchiwanym przez strażnika, bitym przez dozorcę! Bose stopy w podkutym obuwiu! Podnosić rano i wieczór nogę z kajdanami, żeby mógł je sprawdzić dozorca! Znosić natrętą ciekawość obcych ludzi, którym każdy będzie mówił: "To ten słynny Jan Valjean, który był merem w Montreuil-sur-mer". A wieczorem, zlany potem, upadający ze znużenia, z zieloną czapką naciśniętą na oczy, wdrapywać się dwójka-mi, pod batem dozorczy, na pokład pływającego więzienia. Potworne! Czy los może być tak zły jak rozumna istota? Czy może stać się tak potworny jak ludzkie serce?

Lecz cokolwiek myślał, stale powracał do tego samego bolesnego dylematu, który stanowił jądro jego rozterki: "Pozostać w raju i być w nim szatanem? Wrócić do piekła i stać się tam aniołem?" "Co robić? Wielki Boże, co robić?" Burza, którą z takim trudem udało mu się uciszyć, rozpełtała się w nim na nowo. Myśli zaczęły znowu się płatać. Stały się dziwnie bezwolne i oziębiałe, jak to zwykle bywa w chwilach rozpaczki. Bez przerwy snuła mu się po głowie owa nazwa Romainville wraz z dwoma wierszami zasłyszanej niegdyś piosenki. Pomyślał, że Romainville to mały lasek w pobliżu Paryża, do którego jeżdżą w kwietniu zakochane pary po bez.

Wewnętrzne wahanie udzieliło się jego ruchom. Chodził jak małe dziecko, które stawia pierwsze kroki.

Chwilami, walcząc ze znużeniem, usiłował skupić rozproszone myśli, starał się rozważyć po raz ostatni - i ostateczny - problem, pod którym, jeśli tak rzecz można, upadał ze znużenia. Oskarżyć się? Zamilczeć? Nie umiał znaleźć żadnej jasnej odpowiedzi. Mgliste zarysy wszystkich wniosków, mającące mu w myślach, chwiały się i jedne po drugich rozwiewały jak dym. Czuł jedynie, że cokolwiek postanowi, coś musi w nim umrzeć, umrzeć nieodwołalnie; że gdziekolwiek się zwróci, roztwiera się przed nim grób, że przeżywa agonię swojego szczęścia albo swojej cnoty.

Ożyły w nim - niestety - wszystkie wątpliwości. Nie posunął się ani kroku naprzód.

Tak szamotała się w udręce ta biedna dusza. Tysiąc osiemset lat przed męką tego nieszczęsnego człowieka, pod konarami drzew oliwnych, targanych potężnym wiewem nieskończoności, tajemnicza istota, streszczająca w sobie całą świętość i cały ból ludzkości, po wielekroć odsuwała od siebie, drżącą dłonią, straszliwy kielich ociekający mrokiem, przelewający się ciemnością, który jawił się jej w otchłani pełnej gwiazd.

## IV

### Formy, jakie przybiera cierpienie podczas snu

Wybiła właśnie trzecia. Od pięciu już godzin tak chodził bez przerwy, wreszcie opadł na krzesło.

Zasnął i miał sen.

Podobnie jak większość snów, ten sen również wiązał się z sytuacją jedynie jakimś ponurym i bolesnym nastrojem, ale wywarł na nim głębokie wrażenie. Koszmar ten wstrząsnął nim tak silnie, że opisał go później. Znajduje się wśród papierów zapisanych jego ręką, które po nim zostały. Uważamy, że należy przytoczyć go tutaj w dosłownym brzmieniu.

Bez względu na to, jaki był ten sen, historia owej nocy byłaby niepełna, gdybyśmy go pominęli. To ponura przygoda chorej duszy.

Oto on. Na kopercie widnieje napis: "Sen, jaki miałem owej nocy"

Byłem na wsi. Na rozległym, smutnym polu, pozbawionym wszelkiej roślinności. Nie zdawałem sobie sprawy, czy był to dzień, czy noc.

Szliśmy we dwójkę z bratem, z bratem, którego miałem w dzieciństwie, o którym, przyznać muszę, nie myślę nigdy i którego zaledwie pamiętam.

Mijając przechodniów, rozmawialiśmy. Mówiliśmy o naszej dawnej sąsiadce, która odkąd zamieszkała od ulicy, pracowała zawsze przy otwartym oknie. Rozmawiając, czuliśmy chłód wiejący od tego otwartego okna.

Na polu nie było drzew.

Zobaczyliśmy, że minął nas jakiś człowiek. Był zupełnie nagi, barwy popiołu, jechał na koniu barwy ziemi. Człowiek ten był łysy, widzieliśmy jego nagą czaszkę i żyły na tej czaszce. W ręku trzymał pręt, giętki jak łoza, a ciężki jak żelazo. Jeździec minął nas bez słowa.

Brat mój rzekł: "Chodźmy wąwozem".

W wąwozie tym nie było ani jednego krzewu, ani jednej kępki mchu. Wszystko miało barwę ziemistą, nawet niebo. Gdy po kilku krokach zacząłem coś mówić, nikt mi nie odpowiedział. Spozregłem, że brata nie było już przy mnie.

Ujrzałem jakąś wioskę i wszedłem do niej. Pomyślałem, że to musi być Romainville

(dlaczego właśnie Romainville?)\*

Pierwsza ulica, w którą się zapuściłem, była pusta. Wszedłem w następną. Za rogiem, utworzonym przez te dwie ulice, stał pod murem człowiek. Zapytałem tego człowieka: “Co to za strony? Gdzie jestem?” Nie odpowiedział. Zobaczyłem otwarte drzwi jakiegoś domu; wszedłem.

Pierwsza izba była pusta. Wszedłem do drugiej. Za drzwiami izby stał pod ścianą człowiek. Zapytałem tego człowieka: “Czyj to dom? Gdzie jestem?” Człowiek nie odpowiedział. Za domem był ogród.

Wyszedłem z domu i wszedłem do ogrodu. Ogród był pusty. Za pierwszym z brzegu drzewem stał człowiek. Zapytałem tego człowieka: “Co to za ogród? Gdzie jestem?” Człowiek nie odpowiedział.

Błąkając się po wsi, stwierdziłem, że to nie wieś, lecz miasto. Wszystkie ulice były puste, wszystkie drzwi otwarte. Nikt nie chodził po ulicach, nikt nie krzątał się po domu, nikt nie przechadzał się po ogrodzie. Ale za każdym węglem, za każdymi drzwiami, za każdym drzewem stał milczący człowiek. Zawsze tylko jeden: ci ludzie przyglądali mi się, gdy ich mijałem.

Wyszedłem z miasta i ruszyłem w pole przed siebie.

Po jakimś czasie odwróciłem się i ujrzałem idący za mną wielki tłum. Poznałem, że to ci wszyscy ludzie, których widziałem w mieście. Mieli dziwaczne głowy. Wydawało się, że się nie śpieszą, a jednak szli prędzej ode mnie. Nie słychać było ich kroków. W mgnieniu oka tłum ten dogonił mnie i otoczył. Ludzie owi mieli ziemiste twarze.

Wówczas pierwszy, którego zobaczyłem i zagadnąłem przy wejściu do miasta, powiedział mi: “Dokąd idziesz? Czy nie wiesz, że dawno już umarłeś?”

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, i spostrzegłem, że nie ma przy mnie nikogo.

Obudził się. Skostniał z zimna. Chłodny wiatr poranny poruszał w zawiasach otwarte okno. Ogień wygasł. Świeca dopalała się. Było jeszcze zupełnie ciemno.

Wstał, podszedł do okna. Ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie.

Z okna widać było podwórze i ulicę. Donośny, suchy łoskot, którym nagle rozbrzmiała ulica, ściągnął w dół jego wzrok.

Zobaczył na dole dwie czerwone gwiazdy, których promienie dziwacznie wydłużały się i kurczyły w ciemnościach.

A że myśli jego były jeszcze na poły zamglone oparami snu: “Patrzcie no - pomyślał - nie ma gwiazd na niebie. Świecą teraz na ziemi”.

---

\* Ten nawias jest zrobiony ręką Jana Valjean. (Przyp. aut.)

Jednakże zamroczenie minęło, a drugi łoskot, podobny do pierwszego, rozbudził go całkowicie. Poznał, że te dwie gwiazdy to latarnie pojazdu. W ich świetle mógł rozróżnić kształt tego pojazdu. Było to tilbury zaprzęgnięte w małego siwka. Hałas, jaki słyszał, był stukotem kopyt po bruku.

“Co to za pojazd? - pomyślał. - Któż to przyjeżdża o tak wczesnej porze?”

W tej samej chwili ktoś lekko zapukał do jego drzwi.

Zadrzał na całym ciele i zawołał straszliwym głosem:

- Kto tam?

Odpowiedziano:

- To ja, panie merze.

Poznał głos swojej starej odźwiernej.

- Co takiego? Czego chcecie?

- Panie merze, wybiła właśnie piąta.

- A cóż to mnie obchodzi?

- Panie merze, bryczka już jest.

- Jaka bryczka?

- Tilbury.

- Co za tilbury?

- To pan mer nie zamawiał tilbury?

- Nie.

- A woźnica mówi, że przyjechał po pana mera.

- Jaki znów woźnica?

- Woźnica od pana Scaufflaire.

- Od pana Scaufflaire?

Na dźwięk tego nazwiska wzdrygnął się, jakby błyskawica mignęła mu przed oczyma.

- A tak! - rzekł - Pan Scaufflaire...

Gdyby starowina mogła go zobaczyć w tej chwili, byłaby przerażona.

Zapadło dość długie milczenie. Bezmyślnie wpatrywał się w płomień świecy i zbierał koło knota rozgrzany wosk, ugniatając go w palcach. Starowina czekała. Po chwili odważyła się zapytać:

- Panie merze, co mam odpowiedzieć?

- Proszę powiedzieć, że zaraz schodzę na dół.

## V

### Los rzuca kłody pod nogi

Do obsługi pocztowej między Arras a Montreuil-sur-mer używano jeszcze podówczas małych pojazdów z epoki Cesarstwa. Były to kabriolety o dwóch kołach, wyściełane wewnątrz płową skórą, zawieszane na giętkich resorach i mające tylko dwa miejsca: jedno dla pocztyliona, drugie dla podróżnego. Osie były zbrojne w długie, wystające poza koła piasty, dotychczas jeszcze używane w Niemczech, które chroniły przed zderzeniem z innymi pojazdami. Pudło na listy - wielka podłużna skrzynia - uciepione z tyłu kabrioletu, stanowiło z nim jedną całość. Pudło malowane było na czarno, kabriolet zaś na żółto.

Pojazdy te, niepodobne do żadnych dzisiejszych pojazdów, miały wygląd dziwnie koślawy i niekształtny. Widziane z daleka, gdy gdzieś na horyzoncie toczyły się drogą, przypominały owady, zwane - zdaje się - termitami, które za niewielkim tułowiem ciągną olbrzymi odwłok. Były zresztą bardzo szybkie. Karetka pocztowa, wyruszająca z Arras co noc o godzinie pierwszej po północy, po odebraniu poczty z Paryża, przychodziła do Montreuil-sur-mer nieco przed piątą rano.

Tej nocy karetka, wyjeżdżająca do Montreuil-sur-mer drogą z Hesdin, zawadziła na zakręcie o małe tilbury zaprzężone w siwka, które jechało w przeciwną stronę i w którym siedział jeden tylko człowiek, mężczyzna, otulony w płaszcz. Koło tilbury nieźle oberwało. Pocztylion krzyknął do podróżnego, żeby stanął, lecz tamten nie słuchał i jechał dalej wyciągniętym kłusem.

- Diabło się spieszy ten jegomość - rzekł pocztylion.

Podróżnym, który tak się spieszył, był właśnie ów człowiek, którego widzieliśmy tej nocy, gdy szamotał się w rozterce naprawdę godnej współczucia.

Dokąd jechał? Nie umiałby powiedzieć. Dlaczego tak się spieszył? Nie wiedział. Jechał na oślepie, prosto przed siebie. Dokąd? Do Arras zapewne, ale może jechał gdzie indziej. Czuł to chwilami i drżał.

Zagłębiał się w tę noc jak w otchłań. Coś go pchało, coś przyciągało. Co się w nim działo, nikt nie umiałby tego powiedzieć; każdy to zrozumie. Jakież człowiek bodaj raz w życiu nie wkroczył do mrocznej jaskini niewiadomego?

Zresztą na nic się jeszcze nie zdecydował, nic nie postanowił, nic nie rozstrzygnął, nic

nie uczynił. W sumieniu swoim nie powziął żadnych ostatecznych decyzji. Bardziej niż kiedykolwiek nie wiedział, jak postąpić.

Po co jechał do Arras?

Powtarzał w myśli to, co już sobie mówił zamawiając u Scaufflaire'a kabriolet - że bez względu na ostateczny wynik nic nie stoi na przeszkodzie, aby zobaczyć wszystko na własne oczy i sam rzecz osądził; że to nawet jest przezornie, bo należy wiedzieć, jaki obrót przyjmą sprawy; że nie zobaczywszy i nie zbadawszy, nic nie może postanowić; że odległość wszystko wyolbrzymia, że wreszcie, gdy zobaczy owego Champmathieu, jakiegoś łotrzyka, nie będzie już odczuwał wyrzutów sumienia iż tamten pójdzie za niego na galery; że wprawdzie będzie tam Javert i ten Brevet, i ten Chenildieu, i ten Cochepaille, dawni galernicy, którzy go niegdyś znali, ale że na pewno żaden z nich go nie pozna - eh! cóż za nedorzeczny pomysł! Javertowi nawet to nie przyjdzie do głowy! - że wszystkie poszlaki i wszystkie podejrzenia ciążą obecnie na owym Champmathieu i że nic uparciej nie czepia się człowieka jak właśnie poszlaki i podejrzenia; że nie grozi mu przeto najmniejsze niebezpieczeństwo.

Że niewątpliwie to chwila przykra - ale jakoś z niej wybrnie; mimo wszystko los swój, choćby i najgorszy, on trzyma w ręku - i sam jest jego panem. Kurczowo czepiał się tej myśli. W gruncie rzeczy, aby wszystko powiedzieć, wolałby wcale nie jechać do Arras.

A jednak jechał.

Rozmyślając, poganiał konia idącego tym równym wyciągniętym kłusem, którym można ujechać dwie i pół mili na godzinę. W miarę jak kabriolet posuwał się naprzód, czuł, że w nim samym coś się cofało.

O świcie był w szczerym polu; Montreuil-sur-mer zostawił daleko za sobą. Patrzył na szarzejący widnokrąg, patrzył, nie widząc, na przesuwane się przed nim mroźne zjawy zimowego świtu. Poranek, podobnie jak zmierzch, ma swoje widma. Nie widział ich, lecz bez jego wiedzy te czarne sylwetki drzew i wzgórz przenikały weń niemal materialnie, pogłębiając gwałtowną rozterkę jego duszy ponurym i żalonym nastrojem.

Za każdym razem, kiedy przejeżdżał koło jednego z samotnych domostw rozsianych przy drogach, mówił sobie: "A jednak tam są ludzie, którzy śpią".

Tętent kopyt końskich, brzęk uprzęży, stukot kół na bruku zlewały się w jeden ton, niegłośny i monotony. Dźwięki takie miłe są dla ucha, gdy jesteś radosny, lecz - gdyś smutny - brzmią dziwnie ponuro.

Był już jasny dzień, gdy dojechał do Hesdin. Stał przed oberżą, żeby dać odpocząć koniowi, i kazał nasypać mu owsa.

Tak jak powiedział Scaufflaire, był to koń z Boulonnais i jak wszystkie konie tej rasy - miał zbyt duży łeb, zbyt pękate brzuch i zbyt chudą szyję; ale pierś szeroką, potężny zad, suche, śmigte nogi i mocne pęciny; rasa brzydka, lecz zdrowa i wytrzymała. Pocziwe zwierzę uszło pięć mil w dwie godziny i ani jedna kropla potu nie lśniła na jego sierści.

Podróżny nie zsiadł z tilbury. Chłopak stajenny, który przyniósł owies, schylił się nagle i przyjrzał się lewemu kołu.

- Z daleka pan tak jedzie? - zapytał.

Odpowiedział nie przerywając swej zadumy:

- O co chodzi?

- Czy pan jedzie z daleka? - powtórzył stajenny.

- Pięć mil.

- No, no!

- Cóż w tym szczególnego?

Chłopak schylił się znów, milczał chwilę, oglądając koło, po czym wyprostował się i odparł:

- Ano, możliwe, że to koło wytrzymało pięć mil, ale że teraz nie wytrzyma nawet i ćwierć mili, to pewne!

Podróżny szybko zeskoczył z tilbury.

- Co mówisz, przyjacielu?

- Mówię, że jakimś cudem ujechał pan te pięć mil nie zwaliwszy się razem z koniem do rowu. Spójrz pan tylko!

Istotnie, koło było silnie uszkodzone. W zderzeniu z karetką pocztową pękły dwie szprychy i nadwerczyła się piasta, której gwint już nie trzymał.

- Mój chłopcze - rzekł podróżny do stajennego - czy jest tu gdzie w pobliżu stelmach?

- Tak, panie.

- Zrób mi tę przysługę i pójdz po niego.

- Mieszka o dwa kroki stąd. Hej! majstrze Bourgaillard!

Majster Bourgaillard, stelmach, stał w progu swego domu. Podszedł obejrzeć koło i skrzywił się jak lekarz nad złamaną nogą.

- Czy możecie zaraz naprawić to koło?

- Mogę, panie.

- A kiedy będę mógł jechać dalej?

- Jutro!

- Jutro!!

- Roboty będzie przy tym na calutki dzień. Pan bardzo się spieszy?

- Bardzo! Muszę wyruszyć stąd najdalej za godzinę.

- Niemożliwe, panie.

- Zapłacę każdą cenę.

- Niemożliwe.

- No więc za dwie godziny.

- Nie, panie, dzisiaj to niemożliwe. Trzeba zrobić dwie nowe szprychy i piastę. Będzie pan mógł jechać dalej dopiero jutro.

- Sprawa, którą mam do załatwienia, nie może czekać do jutra. A gdyby tak zamienić koło zamiast je naprawiać?

- A to jak?

- Jesteście przecież stelmachem.

- Tak, panie.

- Czy nie moglibyście sprzedać mi koła? Mógłbym wówczas zaraz jechać dalej.

- Chodzi panu o koło zamienne? Nie mam gotowego koła do pańskiego kabrioletu.

Dwa koła to para. Dwóch kół nie dobiera się na chybił trafił.

- W takim razie sprzedajcie mi parę kół.

- Kiedy, panie, nie wszystkie koła pasują do wszystkich osi.

- Przymierzcie.

- Nic z tego nie wyjdzie. Mam na sprzedaż tylko koła do zwyczajnych wozów. Tu u nas zapadły kąt, panie.

- To może miałbyście jaki powóz do wynajęcia?

Od pierwszego spojrzenia stelmach poznał, że tilbury było pojazdem wynajętym. Ruszył ramionami.

- Ładnie się pan obchodzi z wynajętym pojazdem! Nawet gdybym taki miał, to bym go panu nie wynajął.

- To może sprzedacie?

- Nie mam żadnego.

- Jak to, nawet bryczuszki? Nie jestem wybredny, sami widzicie.

- Tu u nas zapadły kąt. Mam po prawdzie w szopie - dodał stelmach - starą kolaskę jednego z tutejszych mieszczan, który mi ją oddał na przechowanie i który używa jej raz na sto lat. Chętnie bym ją panu wynajął - czemu nie? - ale właściciel nie może się o tym dowiedzieć; a poza tym do tej kolaski trzeba pary koni.

- Wynajmę konie pocztowe.

- Dokąd pan jedzie?
- Do Arras.
- I chce pan tam dojechać jeszcze dziś?
- Tak.
- Pocztowymi końmi?
- Czemu nie?
- A czy nie wystarczy, jeśli pan będzie w Arras jutro o czwartej rano?
- Oczywiście, że nie.
- Bo to, widzi pan, trzeba wziąć jedno pod uwagę, biorąc konie pocztowe... Czy pan ma paszport?
- Mam.
- No więc pocztowymi końmi nie dojedzie pan dzisiaj do Arras. Jesteśmy przy bocznym trakcie. Na przepręgach obsługa jest niedbała, wszystkie konie robią w polu. Zaczęła się orka, potrzebny jest silny sprzężaj, więc biorą wszystkie konie, nawet pocztowe. Będzie pan czekał co najmniej po trzy, cztery godziny na każdym postoju. Poza tym konie idą przeważnie stępą, bo trzeba często jechać pod górę.
- Ha, to pojedę wierzchem! Trzeba wyprząc konia. Siodło chyba tu dostanę.
- Pewno że tak. Ale czy ten koń nadaje się pod siodło?
- Prawda. Zapomniałem o tym zupełnie. Nie nadaje się.
- A więc?...
- Przecież znajdzie się chyba we wsi jakiś koń do wynajęcia?
- Co? Koń, który mógłby zająć jednym tchem do Arras?
- Tak!
- Takiego konia to tu nie ma. No i przede wszystkim musiałby go pan kupić, bo nikt tu pana nie zna. Ale tak czy owak nie znajdzie pan takiego konia ani za pięćset, ani za tysiąc franków, ani do kupienia, ani do wynajęcia.
- Więc co robić?
- Radzę panu uczciwie: najlepiej poczekać, aż naprawię koło, i odłożyć dalszą jazdę do jutra.
- Jutro będzie już za późno.
- Tam do licha!
- Chyba jeździ tędy poczta do Arras? Kiedy tu będzie?
- Jutro w nocy. Oba wozy pocztowe idą w nocy tak w jedną, jak w drugą stronę.
- Czy naprawdę dla naprawy tego koła potrzebny jest cały dzień?

- Cały dzień! Cały bity dzień!

- No, a gdybyście wzięli sobie pomocnika?

- I dziesięciu nie pomoże!

- A gdyby ściągnąć szprychy sznurem?

- Szprychy można ściągnąć, ale nie piastę. Poza tym i obręcz także nie jest w porządku.

- Czy jest tu ktoś, kto wynajmuje pojazdy?

- Nie.

- To może jest jakiś inny stelmach?

Chłopak stajenny i majster zaprzeczyli jednocześnie kręcąc głową.

- Nie.

Ogarnęła go bezmierna radość.

Najwidoczniej wdawała się w to Opatrzność. Z jej nakazu pękło koło, ona to zatrzymała go w drodze. Nie poddał się jej pierwszemu wezwaniu; robił wszystko, żeby jechać dalej; uczciwie i skrupulatnie wyczerpał wszelkie środki; nie zraziła go ani przykra pora roku, ani zmęczenie, ani wydatki; nie miał sobie nic do wyrzucenia. Jeśli nie pojedzie dalej, to już nie jego rzecz. To nie jego wina; to nie sprawa jego sumienia, ale zrządzenie Opatrzności!

Odetchnął. Po raz pierwszy od wizyty Javerta odetchnął swobodnie pełną piersią. Wydało mu się, że rozluźnił się żelazny uchwyt ściskający mu serce od dwudziestu godzin.

Miał wrażenie, że teraz Bóg jest po jego stronie i że objawił swoją wolę.

Powiedział sobie, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, i że teraz pozostał mu tylko spokojny powrót.

Gdyby rozmowa ze stelmachem odbyła się w jednej z izb oberży, nie miałyby świadków, nikt by jej nie słyszał, wszystko skończyłoby się na tym i prawdopodobnie nie mielibyśmy do opowiedzenia wypadków stanowiących treść niniejszej książki, ale rozmowa ta toczyła się na ulicy. Wszelka rozmowa na ulicy ściąga nieuchronnie krąg ciekawych. Zawsze znajdują się chętni, by się trochę pogapić. Kiedy wypytywał stelmacha, zatrzymało się koło nich paru przechodniów. Jakiś chłopak, na którego nikt nie zwracał uwagi, przysłuchiwał się chwilę, po czym odłączył się od gromadki ciekawych i gdzieś pobiegł.

Kiedy po niemej naradzie z samym sobą, o czym tylko co mówiliśmy, podróżny postanowił wracać do domu, chłopak zjawił się z powrotem.

Towarzyszyła mu jakaś starsza kobieta.

- Panie - rzekła - mój chłopak mówi, że pan chce wynająć kabriolet?

Na te zwyczajne słowa, wyrzeczone przez staruszkę, którą przyprowadził chłopiec, zimny pot wystąpił mu na plecy. Zdawało mu się, że ręka, która go wypuściła ze swego uścisku, znów wyłania się z cienia, gotowa znów go pochwycić.

Odpowiedział:

- Tak, dobra kobieto. Chciałbym wynająć kabriolet. - I dodał pośpiesznie: - Ale nie ma tu żadnego powozu.

- Jest - rzekła stara.

- Gdzie? - zapytał stelmach.

- U mnie - odparła staruszka.

Zadrzał. Fatalna ręka pochwyciła go znowu.

Istotnie, stara miała w szopie rodzaj kariolki koszykowej. Stelmach i chłopak stajenny zmartwieni, że podróżny im się wymyka, wmieszali się do rozmowy:

- To szkaradna bryka osadzona wprost na osi! (Siedzenie było rzeczywiście zawieszona na rzemieniach). Nie chroni od deszczu; koła zardzewiały i zżarte przez wilgoć! Nie dalej dojedzie niż tilbury. Prawdziwy stary gruchot! Pan pożałuje, jeśli ją weźmie - itd., itd.

Wszystko to była prawda, ale ten gruchot, jaki był, taki był - miał jednak dwa koła i mógł dojechać do Arras.

Zapłacił, ile żądano, zostawił tilbury u stelmacha do naprawy, aby je zabrać w powrotnej drodze, kazał zaprząć siwka do kariolki, wsiadł i ruszył w dalszą drogę.

Kiedy kariolka ruszyła, przyznał w duchu, że przed chwilą ogarnęło go uczucie radości na myśl, że nie będzie mógł pojechać tam, dokąd jedzie. Zastanowił się nad tą radością z pewnym gniewem i stwierdził, że jest bezsensowna. Czyż to powód do radości jechać z powrotem? Przecież jechał z własnej woli. Nikt go nie zmuszał. Stać się może jedynie to, czego sam będzie chciał. Gdy wyjeżdżał z Hesdin, usłyszał głos, który wołał:

- Stać! Stać! - Zatrzymał kariolkę nagłym ruchem, w którym było coś konwulsyjnego i gorączkowego, coś na kształt nadziei... Wołał go chłopak owej staruszki.

- Panie - rzekł - to ja wynalazłem panu tę kariolkę.

- Cóż z tego?

- I nic za to nie dostałem.

On, który tak chętnie dawał każdemu, uznał to żądanie za niewłaściwe i prawie że wstrętne.

- Ach, to ty, gałganie? - zawołał. - Nie dostaniesz nic.

Podciął konia i ruszył wyciągniętym kłusem. Stracił w Hesdin dużo czasu i chciał go

teraz nadrobić. Mały konik był bardzo dzielny i ciągnął za dwóch; ale działo się to w lutym, po deszczach drogi były rozmokłe. Nadto nie było to już tilbury, ale niezwrótne i bardzo ciężka kariolka. A do tego droga szła pod górę.

Przebycie pięciu mil z Hesdin do Saint-Pol zajęło mu blisko cztery godziny. Cztery godziny na pięć mil.

W Saint-Pol wyprzągnął konia przy pierwszej lepszej karczmie, kazał go zaprowadzić do stajni. Tak jak przyrzekł Scaufflaire'owi, stał przy żłobie, gdy koń jadł. Myślał o rzeczach smutnych i mglistych.

Do stajni weszła karczmarzka.

- Czy pan chciałby coś zjeść?

- Prawda! - odrzekł. - Zjem chętnie. Nawet jestem głodny.

Poszedł za tą kobietą, która miała rumianą i wesołą twarz. Zaprowadziła go do niskiej izby, gdzie stały stoły nakryte ceratą.

- Tylko szybko, proszę! - rzekł. - Muszę jechać dalej. Bardzo się spieszę.

Tęga, flamandzka dziewczyna czym prędzej nakryła do stołu. Patrzył na nią z uczuciem zadowolenia. "Nie jadłem śniadania. Widać to mi tak dokuczało" - pomyślał.

Podano do stołu. Chwycił chleb, ugryzł kawałek, po czym powoli odłożył go na stół i nie tknął więcej.

Przy sąsiednim stole jadł jakiś woźnica. Zapytał tego człowieka:

- Dlaczego tutejszy chleb jest taki gorzki?

Woźnica był Niemcem i nie rozumiał. Wrócił do stajni, do konia.

Po upływie godziny opuścił Saint-Pol i skierował się do Tinques, oddalonego tylko o pięć mil od Arras.

Co czuł podczas tej jazdy? O czym myślał? Podobnie jak rano spoglądał na mijane drzewa, na dachy kryte strzechą, na uprawne pola, na uciekający krajobraz, który się zmienia za każdym zakrętem drogi. Taka kontemplacja wystarcza niekiedy człowiekowi i prawie zwalnia go od myślenia. Cóż może być bardziej przejmującego i smutnego od widoku tysiąca rzeczy oglądanych po raz pierwszy i ostatni? Podróżować - to rodzić się i umierać co chwila. Może w najtajniejszych zakątkach swego umysłu porównywał te zmienne widoki z ludzką dolą? Wszystko, z czego składa się życie, nieustannie ucieka przed nami. Ciemności spletają się z jasnością; po olśnieniu - zaćmienie. Patrzymy, spieszymy się, wyciągamy ręce, aby uchwycić to, co mija. Każde zdarzenie to zakręt na drodze; i nagle nadchodzi starość. Odczuwasz jakiś wstrząs, wokoło są ciemności i majaczą tajemnicze drzwi. Posępny rumak, zwany życiem, który cię wiodł, zatrzymuje się - i widzisz, że wyprzęga go w mroku ktoś

nieznany, ktoś z zasłoniętym obliczem.

Zmierzchało już, gdy wychodzące ze szkoły dzieci widziały tego podróżnego wjeżdżającego do Tinques. Co prawda, był to okres roku, gdy dni są krótkie. Nie zatrzymał się w Tinques. Gdy mijał ostatnie domy miasteczka, dróżnik, który brukował ulice, podniósł głowę i rzekł:

- A to umęczone zwierzę!

W istocie, biedny koń mógł już iść tylko stępa.

- Pan jedzie do Arras? - dodał dróżnik.

- Tak.

- Tak jadąc, nieprędko pan tam zajędzie.

Zatrzymał konia i zapytał:

- Jak daleko jeszcze stąd do Arras?

- Około siedmiu mil.

- Jak to? Według mapy pocztowej jest tylko pięć mil i ćwierć.

- Aha! - odparł dróżnik. - To pan nie wie, że naprawiają drogę! Ujedzie pan kawałek i już droga zamknie. Nie da rady jechać nią dalej.

- Jak to?

- Skręci pan w lewo, na drogę wiodącą do Carency, przeprawi się przez rzekę, a jak pan już będzie w Camblin, skręci pan w prawo. To droga z Mont-Saint-Eloy do Arras.

- Ale to już zaraz noc. Zabłądzę.

- Pan nietutejszy?

- Nie.

- A tam same boczne drogi! Niech pan posłucha dobrej rady - ciągnął dalej dróżnik. - Pański koń jest zmęczony. Niech pan zawróci do Tinques. Tam jest dobra oberża. Przenocuje pan i jutro pojedzie do Arras.

- Muszę tam być dziś wieczorem!

- A to co innego! W każdym razie niech pan zajędzie do tej oberży i weźmie jeszcze jednego konia. Chłopak stajenny przeprowadzi pana bocznymi drogami.

Posłuchał rady dróżnika, zawrócił i w pół godziny później przejeżdżał znów, ale już tęgim klusem i z zapasowym koniem.

Stajenny chłopak, który szumnie nazwał się pocztylionem, siedział na dyszlu kariolki.

Zdawał sobie sprawę jednak, że stracił dużo czasu. Ściemniło się zupełnie.

Skręcili w bok, droga stała się okropna. Kariolka wpadała z jednej koleiny w drugą. Powiedział do pocztyliona:

- Napiwek podwójny, ale jedź wciąż kłusem.

Przy wstrząsie pękł jeden z orczyków.

- Panie - rzekł pocztylion - złamał się orczyk! Teraz to już zupełnie nie wiem, jak zaprząć mojego konia. Bardzo ciężko jechać tędy po ciemku. Gdyby pan wrócił do Tinques i tam zanocował, dojechalibyśmy do Arras jutro wczesnym rankiem.

Odpowiedział:

- Czy masz kawał sznura i nóż?

- Mam, panie.

Uciął gałąź i zrobił z niej orczyk.

Stracono znów dwadzieścia minut; ale konie ruszyły cwałem.

Równina była ciemna. Niskie, postrzępione, ciemne mgły pełzały po wzgórzach i odrywały się od nich jak dym. Chmury rozjaśniała bladawa poświata. Silny wiatr, wiejący od morza, wypełniał całą przestrzeń łoskotem podobnym do przesuwania ciężkich mebli. Wszystko, co dostrzegałeś, tchnęło grozą. Ileż to rzeczy drży pod naporem potężnego oddechu nocy!

Przemarł do szpiku kości. Od poprzedniego dnia nic nie jadł. Przypomniawszy sobie mgliście inną nocną wędrówkę poprzez rozległą równinę w okolicy Digne. Upłynęło od tego czasu osiem lat, a jemu zdawało się, że to było wczoraj.

Na dalekiej wieży kościelnej wybiła jakaś godzina. Spytał chłopaka:

- Która godzina?

- Siódma, panie. O ósmej będziemy w Arras. Mamy stąd już tylko trzy mile.

W tej chwili po raz pierwszy nasunęła mu się myśl - i dziwił się, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy - że cały jego trud może być daremny; że nie wie nawet, na którą godzinę była naznaczona rozprawa; że powinien był się o tym poinformować; że szaleństwem jest tłuc się po drogach, nie wiedząc nawet, czy się to na co przyda. Potem zaczął w myśli obliczać: posiedzenia sądu przysięgłych rozpoczynają się zazwyczaj o dziewiątej rano; ta sprawa z pewnością nie mogła długo trwać; historia kradzieży jabłek poszła szybko; potem pozostawało tylko sprawdzenie tożsamości - zeznanie czterech czy pięciu świadków, parę słów obrońcy; a zatem, przyjedzie do Arras, gdy będzie już po wszystkim.

Pocztylion poganiał konie. Przebyli rzekę i pozostawili za sobą Mont-Saint-Eloy.

Zapadała coraz głębsza noc.

## VI

### Siostra Symplicja wystawiona na próbę

Tymczasem o tejże samej porze Fantyna przeżywała wielką radość.

Noc miała bardzo złą: straszliwe ataki kaszlu, wzrost gorączki; przywidywało jej się coś we śnie. Rano, kiedy przyszedł lekarz, majaczyła. Zaniepokojony doktor polecił, aby dano mu znać, gdy tylko przyjdzie pan Madeleine.

Cały ranek Fantyna było osowiała, mówiła mało i mięła palcami prześcieradło, szepcząc po cichu jakieś cyfry, jakby obliczała odległości. Oczy miała zapadnięte i utkwione w jeden punkt. Wydawały się zupełnie zagasłe, ale chwilami zapalały się i lśniły jak gwiazdy.

Kiedy nadchodzi pewna posępna godzina, światło niebios wypełnia jakby tych, których opuszcza światło ziemskie.

Ilekróć siostra Symplicja pytała ją, jak się czuje, odpowiadała niezmiennie: “Dobrze. Chciałabym widzieć pana Madeleine”.

Kilka miesięcy temu, kiedy Fantyna straciła resztki skromności, resztki wstydu i ostatnią swoją radość, stała się cieniem samej siebie. Dziś - była swoim własnym widmem. Fizyczna choroba dopełniła dzieła choroby moralnej. Ta dwudziestopięcioletnia istota miała pomarszczone czoło, obwisłe policzki, zaostrome rysy, chwiejące się zęby, cerę szarą jak ołów, wyschniętą szyję, wystające obojczyki, wychudzone członki i ziemistą skórę; w odrastające, jasne włosy wplotła się siwizna. Niestety! Oto jak choroba stwarza pozory starości!

W południe przyszedł znowu lekarz, zalecił to i owo, zapytał, czy pan mer był już w szpitalu, i pokiwał głową.

Pan Madeleine przychodził zazwyczaj do chorej o godzinie trzeciej, a że w tym wypadku punktualność równała się dobroci, był punktualny.

Około wpół do trzeciej Fantyna zaczęła objawiać niepokój. W przeciągu dwudziestu minut z dziesięć razy pytała zakonnicę: “Siostro, która godzina?”

Wybiła trzecia. Przy trzecim uderzeniu Fantyna usiadła na posłaniu - ona, która nie miała dość sił, by poruszyć się na łóżku; jakimś konwulsyjnym ruchem splotła wychudłe, żółte dłonie i zakonnica usłyszała, jak z jej piersi wyrwało się ciężkie westchnienie, jakby kamień spadł jej z serca. Potem Fantyna odwróciła się i spojrzała na drzwi.

Nikt nie wszedł; drzwi się nie otwały.

Siedziała tak z kwadrans, z wzrokiem utkwionym w drzwi, nieruchoma, z zapartym tchem. Siostra nie śmiała się odezwać. Na kościelnej wieży zegar wybił kwadrans po trzeciej. Fantyna opadła na poduszkę.

Nie powiedziała nic i znowu zaczęła w palcach miąć prześcieradło.

Minęło pół godziny, potem godzina. Nikt nie przyszedł. Za każdym uderzeniem zegara Fantyna siadała na łóżku i patrzyła w kierunku drzwi, po czym opadała na poduszkę.

Wiadomo było, o czym myśli, nie wymieniła jednak żadnego imienia, nie żaliła się, nie skarżyła na nikogo. Kaszłała tylko straszliwie. Rzekłbyś, że ogarnia ją jakiś mrok. Była śmiertelnie blada i miała sine usta. Czasami uśmiechała się.

Wybiła piąta. Siostra usłyszała jej szept cichy i łagodny:

- Źle zrobił, że dziś nie przyszedł, jutro stąd odejdę.

Siostra Symplicja również zdziwiona była opóźnieniem pana Madeleine.

Tymczasem Fantyna wpatrywała się w zasłonę swojego łóżka. Wydawało się, że stara się coś sobie przypomnieć. Nagle zanuciła głosem słabym jak tchnienie. Siostra zaczęła nasłuchiwać. Oto, co śpiewała Fantyna:

*Tam, na przedmieściu, u rogatki,  
Różności nakupimy wiele,  
O róże cudne, o bławatki,  
Jakże cię kocham, mój aniele.*

*Stanęła wczoraj u kominka  
Madonna w całej swej ozdobie,  
Rzekła: "Modliłaś się o synka,  
Uchylże rąbka, weź go sobie.  
Biegnij po płótno na pieluszki,  
Naparstek, nici dwa kłębuszki".*

*Tam, na przedmieściu, u rogatki,  
Różności nakupimy wiele.  
"Dobra Panienko, stoi oto  
Kolebka ustrojona cała,  
Nawet za gwiazdę z nieba złotą*

*Też bym dzieciny nie oddała “.*

*“ Cóż to mam z tego szyć gieszteczka?”*

*“Suknie dla mego szyl syneczka “.*

*O róże cudne, o bławatki,*

*Jakże cię kocham, mój aniele.*

*“Upierz to płótno “. “ Gdzie? “ “ W strumyku,*

*A potem, bacząc, by nie splamić,*

*Sporządź sukienkę z kaftanika,*

*Ja uhaftuję ją kwiatkami”.*

*“Nie ma dzieciątka w twej kolebce!”*

*“Całun mi uszyj, bo żyć nie chcę “.*

*Tam, na przedmieściu, u rogatki,*

*Różności nakupimy wiele.*

*O róże cudne, o bławatki.*

*Jakże cię kocham, mój aniele.\**

Była to stara kołysanka, którą niegdyś usypiała swoją malutką Kozetę i która nie przychodziła jej na pamięć od pięciu lat, od chwili rozstania się z dzieckiem. Śpiew jej był tak żalony, tak rzewny, że mógł wzruszyć nawet zakonnice. Choć nawykła do surowości, siostra poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Zegar wybił szóstą. Zdawało się, że Fantyna tego nie słyszy. Zobojętniała jakby na wszystko, co się dokoła niej działo.

Siostra Symplicja posłała posługaczkę, aby dowiedziała się od odźwiernej przy fabryce, czy pan mer powrócił i czy nie zajdzie wkrótce do szpitala. Po paru minutach dziewczyna przybiegła z powrotem.

Fantyna leżała wciąż nieruchomo i zdawała się pochłonięta swoimi myślami.

Posługaczka szeptem opowiedziała siostrze Symplicji, że pan mer, choć tak bardzo zimno, wyjechał dziś rano przed szóstą w małym tilbury zaprzężonym w siwka, że wyjechał sam, nawet bez furmana, że nikt nie wie dokąd, że jedni widzieli go, jak skręcał na drogę do Arras, a inni zapewniali, że spotkali go w drodze do Paryża. Że wyjeżdżając był jak zwykle

bardzo łagodny i że powiedział tylko odzwiernej, aby nie czekała na niego dzisiejszej nocy.

Gdy obie kobiety szeptały obrócone plecami do łóżka Fantyny - siostra wypytyując, a służąca odpowiadając - Fantyna z tym gorączkowym ożywieniem, jakie przy pewnych chorobach organicznych łączy swobodę ruchów istoty zdrowej z przerażającym wychudzeniem śmierci, uklękła na łóżku, zaciśnięte dłonie wsparła w poduszkę i wysunawszy głowę pomiędzy firanki - słuchała. Nagle krzyknęła:

- Mówicie o panu Madeleine! Dlaczego mówicie tak cicho? Co on robi? Czemu nie przychodzi?

Głos jej był tak szorstki i ochrypły, że obu kobietom wydał się głosem mężczyzny; odwróciły się przerażone.

- Odpowiadajcie! - wołała Fantyna.

Dziewczyna wybąkała:

- Odzwierna powiedziała mi, że pan mer nie może przyjść dzisiaj.

- Moje dziecko! - rzekła siostra. - Uspokój się. Połóż się!

Nie zmieniając pozycji, Fantyna zawołała głośno, rozkazującym i zarazem przejmującym tonem:

- Nie może przyjść? Dlaczego? Wiecie dlaczego! Szeptaliście o tym przed chwilą. Chcę wiedzieć!

Posługaczka powiedziała spiesźnie siostrze do ucha:

- Niech siostra powie, że jest zajęty w radzie miejskiej.

Siostra Symplicja zaczerwieniła się lekko. To, co doradzała jej posługaczka, było kłamstwem. Czuła zaś, że wyjawienie prawdy byłoby niewątpliwie dla chorej straszonym ciosem i że stan jej zdrowia mógłby się przez to znacznie pogorszyć. Rumieniec szybko znikł. Siostra spojrzała na Fantynę swoimi smutnymi, lecz spokojnymi oczyma i rzekła:

- Pan mer wyjechał.

Fantyna wyprostowała się i przysiadła na piętach. Oczy jej zaiskrzyły się. Bezmierna radość rozbłysła na tej bolesnej twarzy.

- Wyjechał! - zawołała. - Pojechał po Kozetę.

Potem wzniosła ku niebu obie ręce i twarz jej przybrała niewysłowiony wyraz. Wargi jej poruszały się, modliła się po cichu.

- Siostro - powiedziała, kiedy skończyła modlitwę - położę się, zrobię wszystko, co siostra zechce. Przed chwilą byłam nieznośna. Przepraszam siostrę, że krzyczałam tak głośno. Ja wiem, kochana siostro, że to źle tak krzyczeć, ale tak się cieszę. Bóg jest dobry, pan

---

\* Przekład Jadwigi Dackiewicz.

Madeleine jest dobry. Niech siostra sobie wyobrazi, że pojechał do Montfermeil po moją małą Kozetę!

Położyła się, pomogła zakonnicy poprawić poduszkę i ucałowała mały srebrny krzyżyk, który miała na szyi, a który dała jej siostra Symplicja.

- Moje dziecko - rzekła siostra - staraj się teraz odpocząć i nie mów już więcej.

Fantyna ujęła w wilgotne dłonie rękę siostry, która zatroskała się zauważywszy, że są tak spotniałe.

- Wyjechał dziś rano do Paryża. Prawdę mówiąc, to nawet nie potrzebuje przejeżdżać przez Paryż. Jadąc stąd, Montfermeil jest nieco na lewo. Czy siostra przypomina sobie, że wczoraj, kiedy była mowa o Kozecie, powiedział mi: "Już wkrótce". Chce mi zrobić niespodziankę. Czy siostra wie, że kazał mi podpisać list, żeby ją odebrać od Thénardierów? Nie będą mieli nic do gadania, prawda? Oddadzą Kozetę. Przecież już zapłaciło się wszystko. Władze nie pozwolą zatrzymać dziecka, jeśli im się już nic nie należy! Niech siostra nie daje mi znaków, żebym przestała mówić. Jestem taka szczęśliwa! Czuję się doskonale, nic mi już nie dolega, niedługo zobaczę moją Kozetę! Nawet bardzo mi się chce jeść! Nie widziałam jej od pięciu lat! Siostra nie ma pojęcia, jak takie dziecko chwyta za serce. A ona taka milutka, zobaczy siostra. O, żeby siostra wiedziała, jakie ona ma śliczne różowe paluszki! Będzie miała bardzo ładne ręce. Jak miała roczek, to rączyny były takie śmieszne, o, takie! Teraz musi być duża. Siedem lat! Proszę! To już panna. Mówię na nią Kozeta, ale naprawdę nazywa się Eufrazja. Wie siostra, że dziś rano, kiedy patrzyłam na kurz na kominku, coś mi szepnęło, że wkrótce zobaczę Kozetę. Mój Boże, jak to źle latami nie widzieć swoich dzieci. Trzeba zawsze pamiętać o tym, że życie nie jest wieczne! O, jaki pan mer dobry, że tam pojechał. Czy to prawda, że na dworze tak zimno? Czy aby wziął płaszcz? Jutro tu będzie - prawda? Jutro będzie święto. Jutro rano siostra przypomni mi, żebym włożyła czepeczek, ten z koronką. Daleko stąd do Montfermeil. Niegdyś szłam tą drogą pieszo, więc wiem. Dla mnie to kawał drogi. Ale dyliżanse jeżdżą bardzo prędko. Jutro już tu będzie razem z Kozetą. Ile mil jest stąd do Montfermeil?

Siostra, która nie miała najmniejszego pojęcia o odległościach, odrzekła:

- Myślę, że może przyjechać jutro.

- Jutro, jutro! - mówiła Fantyna. - Zobaczę jutro moją Kozetę. Siostrko kochana, już wcale nie jestem chora! Oszaleję z radości. Gdyby mi kazano - mogłabym tańczyć.

Ktoś, kto by ją widział przed kwadransem, nie uwierzyłby własnym oczom. Była zaróżowiona, mówiła z ożywieniem, głośno i naturalnie, cała jej twarz promieniała w uśmiechu. Chwilami śmiała się mówiąc coś do siebie cichutko. Radość matki - to niemal

radość dziecka.

- Skoro jesteś szczęśliwa - rzekła siostra - bądź posłuszna, nie mów już więcej.

Fantyna położyła głowę na poduszkę i rzekła półgłosem:

- Tak, połów się, bądź grzeczna, skoro masz zobaczyć swoje dziecko. Ma rację siostra Symplicja. Tu wszyscy mają rację.

I potem nie poruszając się, nie unosząc głowy, wodziła dokoła szeroko otwartymi, rozpromienionymi oczyma, nie mówiąc już ani słowa.

Siostra zasunęła firanki, w nadziei, że może Fantyna zaśnie.

Między siódmą a ósmą przyszedł lekarz. Nie słysząc żadnego szmeru, myślał, że Fantyna śpi, wszedł po cichu na palcach, zbliżył się do łóżka. Rozchylił firanki i w świetle nocnej lampki zobaczył ogromne oczy Fantyny, które na niego patrzyły.

- Panie doktorze - zapytała - chyba mi pozwolą, żeby ona spała w łóżeczku koło mnie?

Lekarz pomyślał, że chora bredzi. Fantyna dodała:

- Proszę spojrzeć, akurat tu jest miejsce.

Doktor wziął na bok siostrę Symplicję, która wyjaśniła mu, że pan Madeleine wyjechał na dzień lub dwa i że choć nie ma pewności, nie odbierano chorej złudzeń, iż pojechał do Montfermeil; istotnie jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że chora trafnie odgadła. Doktor przytaknął siostrze.

Podszedł znów do łóżka, a Fantyna ciągnęła dalej:

- Bo to, panie doktorze, kiedy moje kociątko zbudzi się rano, powiem mu dzień dobry, a w nocy, ponieważ nie mogę spać, będę słuchała, jak śpi. Jej cichy, równy oddech uzdrowi mnie!

- Proszę podać mi rękę - rzekł doktor.

Wyciągnęła rękę, wołając ze śmiechem:

- Ach, prawda, prawda! Pan doktor jeszcze nie wie, że już jestem zdrowa. Jutro przyjeżdża Kozeta!

Lekarz zdumiał się. Stan chorej poprawił się. Oddychała lżej. Puls był mocniejszy. Nagły przypływ energii ożywił to biedne, wycieńczone stworzenie.

- Panie doktorze - spytała jeszcze - czy siostra powiedziała panu, że pan mer pojechał po moją dziewczuszkę?

Lekarz zalecił spokój i nakazał unikać wszelkich przykrych wzruszeń. Przepisał wywar z czystej chininy i napój uspokajający na wypadek, gdyby gorączka powróciła w nocy. Wychodząc oświadczył siostrze:

- Jest lepiej. Gdyby szczęśliwym trafem pan mer rzeczywiście przybył jutro z

dzieckiem, kto wie? Zdarzają się takie zdumiewające przesilenia. Czasem wielka radość kładzie kres chorobie - to dowiedzione. Wiem dobrze, że to choroba organiczna, i to bardzo posunięta. Ale wszystko razem jest wielką niewiadomą. Może ją uratujemy!

## VII

### **Przyjechawszy na miejsce podróży gotuje się już do powrotu**

Dochodziła już godzina ósma wieczór, gdy kariolka, którą pozostawiliśmy na drodze, wjeżdżała w bramę zajazdu pocztowego w Arras. Człowiek, któremu towarzyszyliśmy dotychczas, wysiadł, z roztargnieniem odpowiedział na uprzejmości służby, odesłał wynajętego konia, a małego siwka odprowadził sam do stajni. Potem pchnął drzwi do mieszczącej się na parterze sali bilardowej, usiadł i oparł się łokciami o stół. Zamiast sześciu godzin - jak liczył - podróż trwała godzin czternaście. Oddawał sobie sprawiedliwość, że to nie jego wina; ale w głębi duszy radowało go to opóźnienie. Weszła właścicielka zajazdu.

- Czy pan nocuje? - zapytała. - Czy podać wieczerzę?

Przecząco potrząsnął głową.

- Stajenny mówi, że koń pański jest bardzo zmęczony.

Podróżny przerwał milczenie.

- Więc nie będzie mógł jutro rano iść w powrotną drogę?

- Ależ, proszę pana! Musi odpocząć co najmniej ze dwa dni.

- Tu jest urząd pocztowy, prawda? - zapytał.

- Tak, panie.

Oberżystka zaprowadziła go do biura. Pokazał paszport i zapytał, czy nie mógłby dzisiejszej nocy wrócić do Montreuil-sur-mer karetką pocztową. Miejsce obok pocztyliona było właśnie wolne. Zamówił je i opłacił.

- Panie - uprzedził go urzędnik - musi pan być tutaj punktualnie o godzinie pierwszej po północy.

Załatwiwszy tę sprawę, wyszedł z zajazdu i ruszył do miasta.

Nie znał Arras, ulice były ciemne, szedł więc na chybił trafił. Jakby umyślnie nie pytał przechodniów o drogę. Minął rzeczkę Crinchon i zagubił się w labiryncie ciasnych, wąskich uliczek. Jakiś człowiek przechodził z latarnią w ręku.

Po chwili wahania zdecydował się zwrócić do niego, rozejrzawszy się wpierw na wszystkie strony, jakby w obawie, że ktoś usłyszy pytanie, które chciał mu zadać.

- Przepraszam pana - zapytał. - Którędy idzie się do sądu?

- Pan nietutejszy? - odrzekł zapytany, który był już niemłodym człowiekiem. - Proszę

za mną. Idę właśnie w stronę sądu, to jest w stronę prefektury. Gmach sądu odnawia się obecnie i rozprawy odbywają się na razie w prefekturze.

- Czy tam również odbywają się posiedzenia sądu przysięgłych? - zapytał.

- Ma się rozumieć! Widzi pan, dzisiejsza prefektura była przed rewolucją pałacem biskupim. Ekscelecja de Conzie, który był biskupem w roku 82, kazał tam wybudować wielką salę. Właśnie w tej sali sąd obraduje.

Po drodze przechodzień powiedział:

- Jeśli pan chce być na jakiejś rozprawie, to chyba już trochę za późno. Posiedzenia zwykle kończą się o szóstej.

Jednak kiedy wchodzili na rozległy plac, nieznajomy wskazał mu cztery podłużne, oświetlone okna w fasadzie wielkiego mrocznego gmachu.

- Słowo daję. Przychodzi pan w porę! Ma pan szczęście! Widzi pan te cztery okna? To sąd przysięgłych. Jest światło, to znaczy, że jeszcze nie skończyli. Widać, sprawa się przeciągnęła i odbywa się posiedzenie wieczorne. Pana interesuje ta sprawa. Czy to proces karny? Może pan jest świadkiem?

Odpowiedział:

- Nie przyjechałem na żadną rozprawę, mam tylko do pomówienia z adwokatem.

- A to co innego - odrzekł przechodzień. - Tutaj jest wejście. Tam gdzie stoi strażnik. Pójdzie pan po prostu głównymi schodami.

Usłuchał wskazówek przechodnia i w parę chwil później znalazł się w obszernej, przepełnionej sali; grupki ludzi, wśród których widać było adwokatów w togach, prowadziły tu i tam przyciszone rozmowy.

Widok tych czarno odzianych postaci, szepczących coś między sobą stłumionym głosem na progu sali sądowej, zawsze ścisła za serce. Rzadko bowiem słowa te tchną litością czy miłosierdziem. Najczęściej z góry wydany zostaje wyrok potępienia! Widzowi przechodzącemu mimo, umiającemu patrzeć i myśleć, grupy te przypominają mroczne ule, w których jakieś szemrzące duchy wznoszą wspólnymi siłami przeróżne ponure budowle.

Ta sala, obszerna i oświetlona jedną tylko lampką, była dawniej przedsionkiem pałacu biskupiego, a dziś służyła za poczekalnię. Dwuskrzydłowe drzwi, w tej chwili zamknięte, oddzielały ją od wielkiej sali, w której zasiadał sąd przysięgłych.

Było tu tak ciemno, że odważył się zapytać pierwszego z brzegu adwokata:

- Przepraszam pana, jak tam ze sprawą?

- Skończona - odparł adwokat.

- Skończona!

Słowa te powtórzył takim tonem, że adwokat się odwrócił.

- Przepraszam pana. Pan może krewny?
- Nie, nie znam tu nikogo. Czy zapadł skazujący wyrok?
- Oczywiście! Nie mogło być inaczej!
- Na galery?
- Dożywotnie!

Zapytał raz jeszcze głosem tak słabym, że ledwo dosłyszalnym:

- Więc tożsamość została stwierdzona?
- Jaka tożsamość? - odparł adwokat. - Nie trzeba było sprawdzać żadnej tożsamości!

Sprawa była prosta. Ta kobieta zabiła swoje dziecko; dzieciobójstwo zostało udowodnione, sąd uznał, że działała bez premedytacji, więc skazał ją tylko na dożywotnie, ciężkie roboty.

- Ach, więc to kobieta! - rzekł.
- No oczywiście! Niejaka Limosin. A o czym pan mówi?
- Ach, nic! Ale jeśli rozprawa skończona, to czemu się jeszcze świeci na sali?
- Bo idzie druga sprawa, która się zaczęła mniej więcej dwie godziny temu.
- Czy wolno zapytać jaka?
- Och, równie jasna jak tamta. Jakiś włóczęga, recydywista, dawny galernik, ukradł coś. Zapomniałem już, jak się nazywa. Wygląda na prawdziwego bandytę! Za samą tę gębę już bym go posłał na galery!
- Czy jest możliwość, aby się dostać na salę?
- Wątpię, doprawdy. Sala jest natłoczona. Teraz zarządono przerwę. Sporo osób wyszło. Jak się rozprawa znowu zacznie, niech pan spróbuje.
- Którędy się tam wchodzi?
- Tymi wielkimi drzwiami.

Adwokat oddalił się. W tej krótkiej chwili doświadczył prawie jednocześnie wszystkich możliwych, przeplatających się nawzajem wzruszeń. Te obojętne słowa raz po raz przesywały mu serce, to jak lodowe igły, to jak rozpalone ostrza. Dowiedziawszy się, że jeszcze nic się nie skończyło, odetchnął, nie umiałby jednak powiedzieć, czy czuł zadowolenie, czy ból.

Podchodził kolejno do różnych grupek i przysłuchiwał się, o czym mówiono. Ponieważ sesja sądowa była przeciążona, przewodniczący wyznaczył na ten dzień dwie krótkie i proste sprawy. Pierwsza szła o dzieciobójstwo, teraz przyszła kolej na jakiegoś złoczyńcę, recydywistę, "niepoprawnego ptaszka". Podobno ukradł gdzieś jabłka, ale jakoby nie udowodniono mu tego. Udowodniono natomiast, że był na galerach w Tulonie. To

pogarszało jego sprawę. Zresztą skończyło się już przesłuchiwanie oskarżonego i zeznania świadków; miał jeszcze przemawiać obrońca i prokurator; przeciągnie się to do północy. Prawdopodobnie człowiek ten zostanie skazany: prokurator jest bardzo “zdolny”, nie “chybia” swoich oskarżonych. To człowiek młody, utalentowany! Pisze nawet wiersze!

Przy drzwiach sali posiedzeń stał woźny. Zapytał tego woźnego:

- Przepraszam, czy prędko otworzą się drzwi?
- Nie otworzą się wcale - odrzekł woźny.
- Jak to, nie otworzą się przed rozpoczęciem rozprawy? Przecież teraz jest przerwa.
- Rozprawa już się właśnie zaczęła - odpowiedział woźny - ale drzwi nie otworzą się.
- Dlaczego?
- Bo sala jest pełna.
- Jak to? Nie ma ani jednego miejsca?
- Ani jednego! Drzwi są zamknięte i nikogo się nie wpuszcza.

Po chwili milczenia woźny dodał:

- Zostały wprowadzić dwa czy trzy wolne miejsca z tyłu, za panem przewodniczącym, ale są zarezerwowane tylko dla urzędników.

Co rzekłszy woźny obrócił się tyłem.

Oddalił się, zwiesiwszy głowę, przeszedł poczekalnię i zaczął zstępować ze schodów wolno, jakby wahając się na każdym stopniu. Prawdopodobnie naradzał się z samym sobą. Gwałtowna walka, od poprzedniego dnia tocząca się w jego duszy, nie ustała; i co chwila przeżywał jakiś nowy jej etap. Stanąwszy na zakręcie schodów, oparł się plecami o poręcz i skrzyżował ręce na piersiach. Nagle rozpiął surdut, wyciągnął portfel, wyjął ołówek, wyrwał kartkę i przy świetle lampy skreślił pośpiesznie te słowa: “Madeleine, mer miasta Montreuil-sur-mer”. Po czym wielkimi krokami wbiegł na schody, przedarł się przez tłum, zbliżył się do woźnego, oddał mu kartkę i rzekł rozkazująco:

- Proszę to wręczyć panu przewodniczącemu!

Woźny wziął kartkę, rzucił na nią okiem i odszedł posłusznie.

## VIII

### Wejście dla uprzywilejowanych

Mer Montreuil-sur-mer, nie podejrzewając nawet tego, cieszył się dużą popularnością. Od siedmiu lat fama o jego cnotach krążyła nie tylko po całym dolnym Boulonnais, lecz sięgnęła poza jego granice i rozeszła się po dwóch czy trzech sąsiednich departamentach. Poza poważną przysługą, jaką oddał stolicy powiatu dźwigając z upadku przemysł galanterii z czarnego szkła, każda ze stu czterdziestu jeden gmin okręgu Montreuil-sur-mer również mu coś zawdzięczała. Zdołał nawet, w miarę potrzeby, wspomagać i ożywiać przedsiębiorstwa sąsiednich okręgów. Tak więc w pewnej chwili poparł swoim kredytem i funduszami fabrykę tiulu w Boulogne, mechaniczną przędzalnię lnu w Frevent i pędzoną wodą fabrykę płócien w Boubers-sur-Canche. Nazwisko pana Madeleine wymawiano wszędzie ze czcią. Zarówno Arras, jak i Douai zazdrościły szczęśliwej, małej miścinie Montreuil-sur-mer takiego mera.

Radca Trybunału Królewskiego z Douai, który przewodniczył na posiedzeniu sądu przysięgłych w Arras, znał również to nazwisko, tak głęboko i tak powszechnie szanowane. Kiedy woźny, dyskretnie uchylwszy drzwi łączące pokój sędziowski z salą posiedzeń, pochylił się nad fotelem przewodniczącego i wręczył mu kartkę, na której widniały wiadome nam słowa, dodając, że “ten pan chce być obecny na rozprawie”, przewodniczący skwapliwie chwycił pióro, skreślił parę słów na dole kartki i oddał ją woźnemu mówiąc: “prosić”.

Nieszczęśliwy człowiek, którego dzieje tu opowiadamy, stał nadal koło drzwi, w tym samym miejscu i w tej samej pozie, w której, odchodząc, zostawił go woźny. Poprzez zadumę dotarły doń nagle czyjeś słowa: “Niech szanowny pan łaskawie pójdzie za mną”. Był to ten sam woźny, który niedawno odwrócił się od niego plecami, a który teraz kłaniał mu się w pas. Woźny podał mu równocześnie kartkę. Rozwinął ją, a że stał właśnie pod lampą, odczytał ją bez trudu:

“Przewodniczący sądu przysięgłych przesyła panu Madeleine swoje uszanowanie”.

Zgniół w rękę kartkę, jakby tych parę słów miało dla niego jakiś posmak dziwny i gorzki. Poszedł za woźnym.

Po chwili znalazł się sam jeden w jakimś tchnącym surową powagą pokoju, jakby gabinecie, wykładanym boazerią i oświetlonym dwoma świecami, stojącymi na stole pokrytym zielonym sukniem. Brzmiały mu jeszcze w uszach słowa woźnego, który odszedł

przed chwilą: “To pokój sędziów, proszę pana. Wystarczy przekręcić tę mosiężną gałkę, a znajdzie się pan w sali posiedzeń, tuż za fotelem pana przewodniczącego”. Słowa te splatały się w jego myślach z mglistym wspomnieniem wąskich korytarzy i ciemnych schodów, którymi niedawno przechodził.

Woźny zostawił go samego. Nadeszła decydująca chwila. Daremnie usiłował skupić się! Tak się zazwyczaj dzieje, że wtedy właśnie, kiedy należałoby jak najmocniej związać myśli z bolesną rzeczywistością, wszystkie wątki umykają z głowy. Znajdował się w tym miejscu, w którym sędziowie naradzają się i skazują. Z bezmyślnym spokojem rozglądał się po gabinecie, zacisznym i groźnym, gdzie tyle istnień ludzkich zostało złamanych, gdzie za chwilę zabrzmiał jego nazwisko, a gdzie teraz zawiodł go jego własny los. Przypatrywał się ścianom, przypatrywał samemu sobie, dziwiąc się, że to właśnie ten pokój i że to właśnie on.

Od przeszło dwudziestu czterech godzin nic nie miał w ustach; był rozbity jazdą na trzęsącej kariolce, ale tego nie czuł. Zdawało mu się, że nic nie czuje.

Podszedł do czarnej ramy, wiszącej na ścianie, w której za szkłem znajdowało się stare, odręczne pismo Jana Mikołaja Pache, mera Paryża i ministra, datowane zapewne przez omyłkę z dnia 9 czerwca II roku, w którym to piśmie Pache przesyłał gminie listę ministrów i posłów zatrzymanych w domowym areszcie. Ktoś, kto by go zobaczył i przyjrzał mu się w tej chwili, byłby pewien, że list ten interesował go szczególnie, gdyż nie odrywał od niego oczu i odczytał go dwa czy trzy razy. Czytał zupełnie machinalnie, bez udziału świadomości. Myślał o Fantynie i o Kozecie.

W zamyśleniu odwrócił się i oczy jego napotkały mosiężną gałkę u drzwi oddzielających go od sali posiedzeń. Prawie że zapomniał o tych drzwiach. Wzrok jego, zrazu spokojny, zatrzymał się na nich nie mogąc oderwać się od mosiężnej gałki, potem znieruchomiał, powoli narastała w nim coraz większa groza. Krople potu wystąpiły mu u nasady włosów i spływały po skroniach.

W pewnej chwili uczynił nie dający się opisać gest, pełen poczucia własnej siły i buntu, który chce powiedzieć i który tak wymownie powiada: “A cóż mnie do tego zmusza, u licha?” Potem odwrócił się żywo, zobaczył przed sobą drzwi, którymi się tu dostał, podszedł do nich, otworzył je i wyszedł. Nie był już w tym pokoju, był na zewnątrz w długim i ciasnym korytarzu poprzecinanym schodkami i okienkami, o wielu zakrętach i załamaniach, oświetlonym tu i ówdzie latarkami podobnymi do nocnych lampek przy łóżku chorych, w korytarzu, którym tu przyszedł. Odetchnął i zaczął nasłuchiwać. Żadnego szmeru za nim, żadnego szmeru przed nim. Rzucił się do ucieczki, jakby go ścigano.

Kiedy minął kilka zakrętów, zaczął znów nasłuchiwać. Ciągła ta sama cisza i ten sam

mrok koło niego. Zadyszany, chwiejący się, oparł się o ścianę. Kamień był zimny, na czole czuł lodowaty pot, wyprostował się drżący.

I wtedy, stojąc samotnie w tych ciemnościach, dygocząc z zimna - i może nie tylko z zimna - zaczął rozmyślać.

Myślał całą noc, myślał cały dzień i słyszał już tylko w sobie jakiś głos, który wołał: "Niestety!" Tak minął kwadrans. Wreszcie pochylił głowę, westchnął z rozpaczą, opuścił bezwładnie ręce i zawrócił. Szedł powoli, jakby uginał się pod jakimś brzemieniem. Zdawać się mogło, że ktoś dogonił go i ciągnie z powrotem.

Wszedł do pokoju sędziów. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, była gałka u drzwi. Ta okrągła gałka z polerowanego mosiądzu błyszczała dla niego jak przerażająca gwiazda. Patrzył na nią tak, jak owca patrzyłaby w oczy tygrysa. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Od czasu do czasu robił jeden krok i zbliżał się ku drzwiom.

Gdyby słuchał, usłyszałby jakby jakiś stłumiony gwar, hałas z sąsiedniej sali. Lecz on nie słuchał i nie słyszał.

Nagle, sam nie wiedząc jak, znalazł się przy drzwiach. Konwulsyjnym ruchem chwycił klamkę. Drzwi się otworzyły.

Był w sali posiedzeń.

## IX

### Miejsce, w którym urabiają się przekonania

Przestąpił próg, machinalnie zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się przypatrując się uważnie temu, co widział. Była to wielka, słabo oświetlona sala, to pełna gwaru, to znowu pełna ciszy, w której na oczach zebranego tłumu rozwijał się ceremoniał procesu karnego z całą swą małoduszną i złowrogą powagą.

W jednym końcu sali - tam właśnie, gdzie się znajdował - sędziowie, o znudzonych twarzach, ubrani w wytarte togi, obgryzali paznokcie lub drzemali; w drugim końcu - tłum obdartusów; adwokaci w najrozmaitszych pozach; żołnierze o twarzach uczciwych i surowych; stare poplamione boazerie, brudny sufit, stoły okryte niegdyś zieloną, dziś pożółkłą wełnianą materią, drzwi pobrudzone od rąk; na gwoździach wbitych w lamperię lampki, jak nad szynkwasem, które raczej kopciły, niż oświetlały salę; na stołach łójówki w mosiężnych lichtarzach; mrok, szpetota, smutek; lecz z tego wszystkiego biła surowość i majestat, gdyż odczuwało się tu wielką sprawę ludzką, zwaną prawem, i wielką sprawę bożą, zwaną sprawiedliwością.

Nikt w tłumie nie zwrócił na niego uwagi. Wszystkie spojrzenia zbiegały się w jednym punkcie, na drewnianej ławie wspartej o małe drzwiczki, stojącej przy ścianie, na lewo od przewodniczącego. Na ławie tej, którą oświetlało parę łójówek, między dwoma żandarmami siedział mężczyzna.

Mężczyzna ów to właśnie był ten człowiek. Nie szukał go, zobaczył go od razu. Wzrok jego skierował się tam bez wahania, jak gdyby zawczasu wiedział, gdzie jest ta twarz.

I wydało mu się, że widzi samego siebie, postarzałego, niezupełnie może podobnego z twarzy, lecz łądząco podobnego z zachowania i ogólnego wyglądu, z tymi zjeżonymi włosami, z dzikim, rozbieganym wejrzeniem, w tej bluzie, siebie takiego, jakim był owego dnia, kiedy to chodził do Digne, pełen nienawiści, ukrywając w duszy ohydny skarb plugawych myśli, które przez dziewiętnaście lat gromadził na więziennym bruku. Powiedział do siebie z dreszczem zgrozy: "Boże miłosierny! Czyż znowu stanę się takim?"

Człowiek ten wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt lat. Z twarzy jego wyzierała gburowatość, tępota i strach.

Na odgłos otwieranych drzwi usunięto się, aby zrobić mu miejsce, przewodniczący

odwrócił głowę i, domyślając się, że ma przed sobą mera Montreuil-sur-mer, skłonił się uprzejmie. Prokurator, który widywał pana Madeleine w Montreuil-sur-mer, dokąd wzywały go niejednokrotnie sprawy urzędowe, poznał go i skłonił się również. On ledwo to zauważył. Był jak urzeczony. Patrzył.

Niegdyś, dwadzieścia siedem lat temu, widział już raz to samo: sędziów, pisarza sądowego, żandarmów, tłum płonących okrutną ciekawością twarzy. Odnajdował te złowieszcze rzeczy; otaczały go znów, rzeczywiste, namacalne, żywe. To nie był już wysiłek jego pamięci, twór jego wyobraźni, to byli prawdziwi żandarmi i prawdziwi sędziowie, prawdziwy tłum i prawdziwi ludzie, ludzie z krwi i kości. Stało się! Potworna zjawia przeszłości odżyła na nowo i ukazała mu się w całym przerażającym realizmie.

Wszystko to znowu rozwarło się przed nim jak otchłań.

Zdjęty zgrozą, przymknął oczy i w najskrytszych głębinach duszy zawołał: "Nigdy!"

I tragiczną igraszką losu, która wprawiała w popłoch wszystkie jego myśli i niemal doprowadzała do szaleństwa, drugi on siedział tam na ławie! Wszyscy nazywali Janem Valjean człowieka, którego sądzono!

Przed oczyma miał - o wizjo nieprawdopodobna! - najstraszliwszą scenę swego życia, odgrywaną przez jego własne widmo.

Wszystko tam było: ten sam ceremoniał, ta sama późna godzina, niemal te same twarze sędziów, żołnierzy i widzów. Tylko ponad głową przewodniczącego wisiał teraz krzyż, którego nie było w sądach w owych czasach, kiedy jego skazywano. Kiedy sądzono jego - Bóg był nieobecny!

Za nim stało krzesło. Padł na nie, przerażony na samą myśl, że ktoś może go zauważyć. Usiadłszy skorzystał ze stosu akt leżących na stole sędziowskim, aby ukryć twarz przed wzrokiem ludzi. Teraz mógł patrzeć, sam nie będąc widziany.

Powoli oprzytomniał. Wróciło mu poczucie rzeczywistości. Odzyskał na tyle spokój, że mógł już słuchać.

Pan Bamatabois należał do grona sędziów przysięgłych.

Poszukał wzrokiem Javerta, ale nie znalazł go. Ławę świadków zasłaniał stół pisarza sądowego; poza tym, jak już wspomnieliśmy, sala była bardzo słabo oświetlona.

W chwili gdy wchodził, adwokat oskarżonego kończył swoją przemowę. Uwaga słuchaczy była napięta do najwyższego stopnia; rozprawa trwała od trzech godzin. Od trzech godzin tłum widział, jak pod brzemieniem straszliwego prawdopodobieństwa ugina się coraz bardziej człowiek, jakiś nieznajomy, jakiś nędznik niezwykle głupi albo niezwykle przebiegły. Ten człowiek, jak wiemy, był włóczęgą, którego schwytano w polu niosącego

gałąź z dojrzałymi jabłkami, ułamana z jabłoni w pobliskiej zagrodzie, zwanej zagrodą Pierrona. Kim był ten człowiek? Przeprowadzono śledztwo. Przesłuchano świadków, wszyscy zeznawali to samo; sprawa zaczynała się wyjaśniać. Oskarżenie brzmiało: mamy oto w ręku nie tylko złodzieja jabłek, włóczęgę, mamy w ręku bandytę, recydywistę, będącego w kolizji z prawem, dawnego galernika, jednego z najgroźniejszych zbrodniarzy, przestępcę zwanego Janem Valjean, którego od dawna poszukuje sprawiedliwość i który, osiem lat temu, po wyjściu z więzienia w Tulonie, dopuścił się na gościńcu rozboju na osobie małego Sabaudczyka, imieniem Gerwazek. Jest to przestępstwo przewidziane w artykule 383 Kodeksu Karnego, za które będzie odpowiadać po urzędowym stwierdzeniu tożsamości jego osoby. Teraz dopuścił się nowej kradzieży. To wypadek recydywy. Prosimy o wyrok w sprawie nowej kradzieży; za dawną sądzony będzie później. Na to oskarżenie, na zgodne zeznania świadków, oskarżony reagował przede wszystkim zdziwieniem. Gestykulował i dawał znaki, chcąc powiedzieć: “nie”, albo wpatrywał się w sufit. Wysławiał się z trudem, odpowiadał niepewnie, ale cała jego postać od stóp do głów wyrażała przeczenie. Robił wrażenie idioty, który się znalazł wśród wszystkich tych wyszkolonych umysłów otaczających go zwartym szykiem, intruza wśród tego społeczeństwa, które go osaczało. A przecież groziła mu najstraszniejsza przyszłość; jej prawdopodobieństwo wzrastało z każdą chwilą i cały tłum na sali wyczekiwał z większym niż on niepokojem wyroku brzemiennego nieszczęściem, który zawisł nad jego głową. Istniała nawet możliwość kary śmierci zamiast galer, jeżeli tożsamość osoby zostanie udowodniona i jeżeli w sprawie obrabowania małego Sabaudczyka zapadnie również wyrok skazujący. Co to był za człowiek? Z czego wynikała jego apatia? Z tępoty czy z przebiegłości? Czy rozumiał wszystko aż nazbyt dobrze, czy też nie rozumiał nic? Oto pytania, które dzieliły na dwa przeciwne obozy widzów, a zdaje się, także i przysięgłych. W tym procesie było coś, co przeraża i co zaciekawia. Dramat był nie tylko ponury - był niejasny.

Obrońca wygłosił całkiem udaną mowę w tym prowincjonalnym stylu, który stanowił przez długi czas istotę oratorskiej sztuki sądowniczej, a którym posługiwali się niegdyś wszyscy adwokaci, zarówno w Paryżu, jak w Romorantin czy Montbrison, i który - klasyczny już - używany jest dziś jedynie przez obrońców z urzędu i podoba się im dla swej powagi tonu i dostojeństwa zwrotów. W języku tym mąż zwie się “małżonkiem”, a żona - “małżonką”, Paryż - “ośrodkiem sztuki i cywilizacji”, król - “monarchą”, biskup - “świętobliwym pasterzem”, prokurator - “wymownym orędownikiem mściwej sprawiedliwości”, obrońca - “głosem, którego słuchaliśmy przed chwilą...”, wiek Ludwika XIV - “wielkim stuleciem”, teatr - “świętynią Melpomeny”, panująca dynastia - “dostojną

krwią naszych królów”, koncert - “uczta muzyczną”, generał dowodzący garnizonem departamentu - “sławnym wojownikiem, który...” itd., klerycy - “młodocianymi lewitami”, a błędy przypisywane prasie - “szalbierstwem, które sączy swój jad na łamach tych organów...” itd., itd. Adwokat zaczął tedy od wyjaśnienia kradzieży jabłek, co niezbyt odpowiadało kwiecistemu stylowi, ale sam Bossuet musiał kiedyś w mowie pogrzebowej wspomnieć o kurze i wybrnął z tego z patosem. Adwokat ustalił, że kradzież jabłek nie została udowodniona. Nikt nie widział jego klienta, którego, jako obrońca, uparcie nazywał Champmathieu, przełazącego przez mur albo łamiącego gałęzie. Wprawdzie schwytano go z gałęzią w ręku, adwokat chętnie nazywał ją “gałązką”, oskarżony twierdził jednak, iż znalazł ją i podniósł z ziemi. Gdzież dowód przeciwny? Niewątpliwie, gałąź ta została złamana i ukradziona po przelezeniu przez mur, a potem porzucona przez jakiegoś spłoszonego włóczęgę. Niewątpliwie był jakiś złodziej! Ale co dowodziło, że złodziejem tym jest właśnie Champmathieu? Tylko jedno. To, że oskarżony był dawnym galernikiem. Adwokat bynajmniej temu nie przeczył; ta sprawa, niestety, jest raczej dowiedziona; oskarżony mieszkał w Faverolles; oskarżony był tam ogrodnikiem, nazwisko Champmathieu może istotnie wywodzić się od Jan Mathieu - to wszystko prawda; wreszcie czterech świadków stanowczo i bez wahania rozpoznało w oskarżonym dawnego galernika, Jana Valjean; tym wyjaśnieniom i tym zeznaniom adwokat może przeciwstawić jedynie uporczywe zaprzeczanie swego klienta, który przeczy z wyrachowania. Ale przyjmąwszy nawet, że oskarżony to Jan Valjean, czyż to dowodzi, że ukraść jabłka? To są co najwyżej poszlaki, ale nie dowód. Wprawdzie oskarżony, co “mówiąc szczerze” obrońca musi przyznać, obrał bardzo “niefortunny system obrony”. Uporczywie przeczy wszystkiemu: i kradzieży, i temu, że był galernikiem. Oczywiście, w tym ostatnim punkcie lepiej byłoby przyznać się, co zjednałoby mu wyrozumiałość sędziów; adwokat mu tak doradzał, ale oskarżony trwa w swoim uporze, łudząc się zapewne, że wszystko uratuje nie przyznając się do niczego. Postępuje źle; ale czyż nie należy wziąć pod uwagę tępoty oskarżonego? Człowiek ten jest najoczywiściej idiotą. Długi, ciężki pobyt na galerach, długi okres nędzy po wyjściu z więzienia ogłupiły go itd., itd. Broni się źle, ale czy to powód, aby go skazywać? Co do historii z Gerwazkiem, to adwokat nie porusza jej wcale, gdyż nie należy ona do sprawy. W zakończeniu swojej mowy obrońca zaklinał sędziów i przysięgłych, aby - o ile tożsamość Jana Valjean wydaje im się bezsporna - nałożyli nań karę administracyjną za samowolne opuszczenie wyznaczonego miejsca zamieszkania, a nie tę straszliwą karę, która godzi w galernika-recydywistę.

Obrońcy odpowiedział prokurator. Był napastliwy i kwiecisty jak wszyscy prokuratorzy.

Wyraził uznanie obrońcy za jego "lojalność" i zρέcznie tę lojalność wykorzystał. Wszystkie ustępstwa obrony obrócił przeciwko oskarżonemu. Adwokat zdawał się przyznawać, że oskarżony jest Janem Valjean. Prokurator kazał to zaprotokołować. A więc ten człowiek to Jan Valjean! Włączono już to zresztą do aktu oskarżenia i nie można tego podawać w wątpliwość. Tu za pomocą zρέcznej antonomazji\*, sięgając do źródeł i przyczyn przestępczości, prokurator zagrział przeciw niemoralności szkoły romantycznej stawiającej wówczas jeszcze pierwsze kroki i zwanej "szkołą sataniczną", takie bowiem miano dali jej krytycy z "Oriflamme" i "La Quotidienne", i nie bez pozorów słuszności przypisał występki owego Champmathieu, a raczej ściślej mówiąc Jana Valjean, wpływowi tej rewolucyjnej literatury. Wyczerpawszy ten temat przeszedł do samego Jana Valjean. Kim był Jan Valjean? Następował opis jego osoby. Potwór z piekła rodem itd. Wzorem tego rodzaju opisów jest opowiadanie Teramena\*, zbyteczne wprowadzić w tragedii, lecz oddające stale wielkie usługi w krasomówstwie sądowym. Słuchacze i przysięgli "zadrżeli". Ukończywszy ten opis prokurator ciągnął dalej w porywie elokwencji obliczonej na to, aby nazajutrz wzbudzić najwyższy zachwyty "Dziennika Prefektury":

- I oto taki człowiek... itd., itd. - włóczęga, żebrak, bez środków do życia itd., itd. - całym swoim dotychczasowym życiem przygotowywany do czynów występnych, którego nie poprawił nawet pobyt na galerach, jak tego dowodzi zbrodnia popełniona na Gerwazku itd., itd. - taki właśnie człowiek przyłapany na gorącym uczynku kradzieży na gościńcu, pod murem, z którego dopiero co zeskoczył, z przedmiotem skradzionym w rękę, zapiera się dowiedzionej mu kradzieży, bo przecież schwytyany został *in flagranti*, zapiera się wszystkiego, zapiera się swego nazwiska! zapiera się nawet własnej osoby! Oprócz tysiąca innych dowodów, których tu przytaczać nie będziemy, rozpoznaje go czterech świadków. Javert - nieskazitelny inspektor policji, Javert! i trzech jego dawni towarzysze hańby, galernicy: Brevet, Chenildieu i Cochepaille. Jak reaguje oskarżony na tę druzgocącą jednomyślność? Przeczy. Co za zatwardziałość! Panowie przysięgli! Wymierzcie sprawiedliwość itd., itd.

Gdy prokurator wygłaszał swoją mowę, oskarżony słuchał go z otwartymi ustami, pełen zdziwienia i zachwyty. Był najwidoczniej zdumiony, że człowiek może tak mówić. Od czasu do czasu w najbardziej "gwałtownych" momentach przemówienia, gdy krasomówstwo, nie mogąc się już pohamować, wylewało się powodzią miażdżących epitetów i osaczało oskarżonego jak burza, kręcił powoli głową z lewa na prawo i z prawa na lewo, wyrażając jakby smutny, niemy protest, na którym poprzestawał od początku rozprawy. Siedzący

---

\* Antonomazja - zastąpienie imienia pospolitego przez imię własne lub odwrotnie.

\* Teramen - postać z tragedii Racine'a "Fredra".

najbliżej niego widzowie słyszeli, jak kilka razy mruknął półgłosem: “Otóż to! Trzeba się było zapytać pana Baloup”. Prokurator zwrócił uwagę przysięgłych na tę rzekomo bezmyślną, oczywiście przemyślaną postawę, która świadczyła nie o głupocie, ale o zřęczności, przebiegłości i nawyku do oszukiwania sprawiedliwosci i wykazywała w pełni “głęboką przewrotność” tego człowieka. Zakończył zastrzegając sobie głos w sprawie Gerwazka, domagając się surowej kary.

Karą tą były na razie - jak pamiętamy - dożywotnie, ciężkie roboty.

Obrońca wstał, zaczął od słów uznania dla pana prokuratora za jego “wspaniałą mowę” i, jak mógł, tak odpowiedział, ale mówił coraz gorzej, tracąc grunt pod nogami.

## X

### Metoda zaprzeczania

Nadeszła chwila zamknięcia obrad. Przewodniczący kazał oskarżonemu wstać i zgodnie z przyjętym zwyczajem zadał pytanie: “Czy oskarżony ma coś do powiedzenia na swoją obronę?”

Człowiek stał mnąc w rękach brudną czapkę, zdawało się, że nie słyszy.

Przewodniczący powtórzył pytanie. Tym razem człowiek usłyszał. Widać, było że zrozumiał, zrobił ruch jak ktoś, kto się budzi ze snu, powiódł oczyma dokoła, spojrzał na publiczność, na żandarmów, na swojego obrońcę, na przysięgłych, na sędziów, oparł olbrzymią pięść na pulpicie ławy, spojrzał raz jeszcze i nagle, wlepiwszy wzrok w prokuratora, zaczął mówić. Był to jakby wybuch. Wyrzucał z siebie niepowiązane, gwałtowne, pospieszne i beładne słowa, tak jakby cisnęły mu się wszystkie na usta chcąc się wydostać prawie równocześnie. Powiedział:

- A to mam do powiedzenia, że byłem stelmachem w Paryżu, powiem nawet, że u pana Baloup. To ciężki zawód. Taki już fach stelmacha, że zawsze pracuje pod gołym niebem, na podwórzach, w szopach u majstrów, nigdy w zamkniętym warsztacie, bo to, widzicie, trzeba do tego dużo miejsca. Zimą tak marzniesz, że trzeba ręce “zabijać” dla rozgrzewki, ale majstrzy tego nie lubią, że to niby strata czasu! Grzebać się w żelastwie, kiedy woda zamarza na bruku, to ciężko! Człek się szybko zdziera. Nawet młody szybko robi się stary. Masz czterdziestkę, a już jesteś do niczego. A ja miałem pięćdziesiąt trzy lata, było mi nielekkko. A robotnicy - to źli ludziska. Starego przezywają na każdym kroku, że stary dureń, że stary osioł. Zarabiałem tylko trzydzieści su na dzień. Płacili mi najmniej, jak mogli, majstrzy korzystali z tego, że jestem stary. Miałem też córkę, prała w rzece. Zarabiała też coś niecoś. We dwójkę - jakoś to szło. Namęczyła się i ona. Cały dzień schylona nad kadzią, na deszczu, na śniegu, na wietrze, co tnie po twarzy; nawet w mróz też musiała pracować. Są ludzie, co mają mało bielizny, i czekają na nią. Nie wypierzesz na czas, stracisz klienta. A tu deski źle spojone, woda cieknie wszędzie. Spódnice zmoczone i od wierzchu, i od środka, ziąb przejmuje do kości! Pracowała też w pralni “Enfants Rouges”, gdzie woda dopływa z kranu. Nie stoi się nad kadzią. Przed sobą masz wodociąg, tam pierzesz, a za sobą basen, gdzie płuczesz. Zimno już tak nie dokucza, bo pralnię pod dachem. Ale z gorącej wody jest okropna

para, aż oczy wyżera. Wracała o siódmej wieczór i zaraz kładła się spać. Taka była zmęczona! Mąż ją bił. Umarła. Nie byliśmy wcale szczęśliwi. To była pocziwa dziewczyna; nie biegła na tańce, spokojna była. Pamiętam, że kiedyś w ostatki już o ósmej leżała w łóżku! Tak. Mówię prawdę. Nie kłamię. Możecie się zapytać. Tak! Zapytać? Dureń ze mnie! Paryż to studnia! Kto tam zna ojca Champmathieu? Mówiłem wam przecież - pan Baloup. Zapytajcie pana Baloup. A teraz już nie wiem, czego wy ode mnie chcecie.

Człowiek umilkł i stał dalej. Powiedział to wszystko głosem podniesionym, gwałtownym, ostrym, twardym i chrapliwym, z jakąś szczerością gniewną i dziką. Raz tylko przerwał, aby uklonić się komuś w tłumie. Te zapewnienia, które wyrzucał bezładnie z siebie, przypominały czkawkę, a każdemu z nich towarzyszył gest drwala rąbiącego drzewo. Kiedy skończył, słuchacze wybuchnęli śmiechem. Spojrzał na tłum, a widząc, że wszyscy się śmieją, nic nie rozumiejąc zaczął się także śmiać.

To było straszne!

Przewodniczący, człowiek rozważny i dobrotliwy, zabrał głos.

Przypomniał "panom przysięgłym", że majster Baloup, stelmach, u którego oskarżony jakoby niegdyś pracował, na próżno był wzywany na świadka. Zbankrutował i nie można go odnaleźć. Potem, zwracając się do oskarżonego, wezwał go, aby uważnie słuchał tego, co mu powie i dodał:

- Znajdujecie się w takim położeniu, że musicie dobrze się zastanowić. Ciężą na was niezwykle poważne poszlaki i mogą pociągnąć za sobą najzgubniejsze następstwa. Oskarżony, we własnym waszym interesie wzywam was po raz ostatni, wypowiedzcie się jasno co do tych dwóch rzeczy: po pierwsze, czyście przeszli przez mur zagrody Pierrona, złamali gałąź i ukradli jabłka, popełniając tym samym zbrodnię kradzieży z włamaniem, czy też nie? Po drugie, czy jesteście uwolnionym galernikiem, Janem Valjean?

Oskarżony potrząsnął głową, jak ktoś, kto dobrze rozumie i wie, co ma odpowiedzieć. Otworzył usta, zwrócił się w stronę przewodniczącego i rzekł:

- Najprzód...

Potem spojrzął na swoją czapkę, spojrzął na sufit i umilkł.

- Oskarżony - odezwał się prokurator surowym głosem - zastanówcie się. Nie odpowiadacie na to, o co was pytają. Wasze zmieszanie was oskarża. Rzecz oczywista, że nie nazywacie się Champmathieu, że jesteście galernikiem Janem Valjean, ukrywającym się zrazu pod nazwiskiem Jana Mathieu - nazwiskiem waszej matki; że wędrowaliście do Owernii, że urodziliście się w Faverolles, gdzie byliście ogrodnikiem. Nie ulega też wątpliwości, że włamaliście się do zagrody Pierrona i ukradliście jabłka. Panowie przysięgli osądzą.

Oskarżony już usiadł; zerwał się gwałtownie, gdy prokurator skończył mówić, i zawołał:

- Z pana jest bardzo zły człowiek, panie! To właśnie chciałem powiedzieć. Nie wiedziałem, jak mówić. Nic nie ukradłem. Taki jak ja nie co dzień jada. Wracalem z Ailly, właśnie po ulewie, pola były aż żółte, tyle naniósł piachu, bagna wylały, a na skraju drogi sterczały z piasku tylko żdźbła trawy. Znalazłem na ziemi złamaną gałąź z jabłkami i podniosłem ją, nie wiedziałem, że będzie z tego tyle biedy. Od trzech miesięcy ciągną mnie po więzieniach. I ciągle coś na mnie mówią, ciągle każą odpowiadać! Żandarm, pocziwa dusza, trąca mnie łokciem i powiada cicho: "Gadajże!" Ja tam nie umiem wszystkiego wytłumaczyć, nie jestem uczony, jestem biedny człowiek. To źle, że panowie tego nie widzą. Nie ukradłem, podniosłem tylko z ziemi to, co leżało. Mówicie:, Jan Valjean, Jan Mathieu". Nie znam tych ludzi. To pewno jacyś wieśniacy. Pracowałem u pana Baloup, na bulwarze Szpitalnym. Nazywam się Champmathieu. Jesteście bardzo mądrzy, że wiecie, gdzie się urodziłem. Ja tego nie wiem. Nie każdy ma dom, w którym może się urodzić. To byłoby za wygodnie. Zdaje mi się, że moi rodzice chodzili po drogach. Zresztą, nie wiem. Kiedy byłem dzieckiem, wołano na mnie: "Mały", a teraz wołają: "Stary". Oto są moje imiona. Wiercie temu albo i nie - jak sobie chcecie. Byłem w Owernii, byłem w Faverolles. I co z tego? U diaska! Czy to nie można być w Owernii i w Faverolles i nie być na galerach? Mówię wam, że nic nie ukradłem i że jestem ojciec Champmathieu. Pracowałem u pana Baloup, mieszkałem tam. Zawracacie mi tylko głowę swoimi głupstwami. I czego to tak się wszyscy na mnie uwzięli?

Prokurator, który stał podczas tego przemówienia, zwrócił się do przewodniczącego:

- Panie przewodniczący, wobec bałamutnych, ale bardzo zręcznych zaprzeczeń oskarżonego, który dąży do tego, abyśmy uznali go za idiotę, co mu się - z góry zapowiadam - nie uda, wnoszę, aby za zgodą pana przewodniczącego i wysokiego sądu ponownie przywołano tutaj więźniów: Breveta, Chenildieu i Cochepaille'a oraz inspektora policji Javerta i przesłuchano ich po raz ostami w sprawie tożsamości oskarżonego z galernikiem Janem Valjean.

- Zwracam uwagę pana prokuratora - odpowiedział przewodniczący - że inspektor policji Javert, którego obowiązki służbowe wezwały do sąsiedniego okręgu, natychmiast po złożeniu zeznań opuścił gmach sądu, a nawet i nasze miasto. Upoważniliśmy go do tego za zgodą pana prokuratora i obrońcy oskarżonego.

- To prawda, panie przewodniczący. Ponieważ inspektor Javert jest nieobecny, uważam za swój obowiązek przypomnieć panom przysięgłym, co mówił tutaj przed paru

godzinami. Javert jest człowiekiem szanowanym, którego nieugięta i nieposzlakowana uczciwość przynosi zaszczyt jego podrzędnemu wprawdzie, lecz ważnemu stanowisku. Oto, jak brzmi jego zeznanie: “Nie są mi potrzebne ani moralne poszlaki, ani materialne dowody dementujące zaprzeczenia oskarżonego. Poznaję go doskonale. Ten człowiek nie nazywa się Champmathieu, to dawny galernik bardzo groźny i bardzo niebezpieczny nazwiskiem Jan Valjean. Bardzo niechętnie zwalniano go przed laty, gdy już odsiedział karę. Skazany był na dziewiętnaście lat za kradzież z włamaniem. Pięć czy sześć razy usiłował zbiec. Poza obrabowaniem Sabaudczyka Gerwazka i kradzieżą u Pierrona podejrzewam, że okradł też jego ekscelencję śp. biskupa Digne. Widywałem go często, gdy byłem zastępcą nadzorcy więzienia w Tulonie. Powtarzam, że poznaję go doskonale”.

To oświadczenie tak kategoryczne wywarło, jak się zdawało, silne wrażenie na publiczności i na przysięgłych. Prokurator zakończył domagając się wobec nieobecności Javerta ponownego, uroczystego przesłuchania trzech pozostałych świadków: Breveta, Chenildieu i Cochepaille'a.

Przewodniczący wydał woźnemu polecenie i po chwili otworzyły się drzwi od pokoju świadków. Woźny w asyście żandarma, gotowego udzielić mu w każdej chwili pomocy, wprowadził na salę Breveta. Słuchacze zamarli w oczekiwaniu; wszystkie piersi falowały, jakby biło w nich jedno serce.

Dawny galernik Brevet miał na sobie czarnoszarą kurtkę, noszoną w ciężkich więzieniach centralnych. Był to osobnik lat około sześćdziesięciu, z twarzą ajenta handlowego, a miną łotrzyka. To idzie czasami w parze. W więzieniu, dokąd zaprowadziły go nowe przestępstwa, został czymś w rodzaju odźwiernego. Był to człowiek, o którym zwierzchnicy mówili: “Stara się być użyteczny”. Kapelani więzienni chwalili jego pobożność. Nie trzeba zapominać, iż działo się to w okresie Restauracji.

- Brevet - rzekł przewodniczący - mocą wyroku sądowego pozbawieni jesteście praw obywatelskich, nie możecie więc złożyć przysięgi...

Brevet spuścił oczy.

- Jednakże - ciągnął przewodniczący - nawet człowiek odarty z czci przez prawo może zachować; jeśli miłosierdzie boże pozwoli, poczucie honoru i uczciwości. Do tego poczucia odwołuję się w tej decydującej chwili. Jeśli, jak się spodziewam, nie utraciliście go jeszcze, zastanówcie się, zanim mi odpowiecie; zważcie, iż z jednej strony macie przed sobą człowieka, którego zgubić może jedno wasze słowo, a z drugiej - sprawiedliwość, którą jedno wasze słowo może objaśnić. Chwila jest uroczysta, czas jeszcze odwołać poprzednie zeznanie, jeśli osądzicie, żeście się pomylili. - Oskarżony, proszę wstać. - Brevet, przyjrzyjcie

się dobrze oskarżonemu, zbierzcie swoje wspomnienia i powiedzcie, zgodnie z waszym najlepszym przekonaniem i sumieniem, czy w dalszym ciągu twierdzicie, że poznajecie w tym człowieku waszego dawnego towarzysza z galer, Jana Valjean?

Brevet spojrzął na oskarżonego, po czym zwrócił się ku sędziom:

- Tak, panie przewodniczący. Ja pierwszy go poznałem i obstałem przy swoim zeznaniu. Człowiek ten jest Janem Valjean. Przybył do Tulonu w 1796 roku, a wyszedł w 1815. Ja wyszedłem w rok po nim. Teraz wygląda na idiotę, pewno zgłupiał ze starości. Na galerach to był mruk. Poznaję go z całą pewnością.

- Usiądźcie! - rzekł przewodniczący. - Oskarżony, proszę wstać!

Wprowadzono Chenildieu, galernika skazanego na dożywotnie ciężkie roboty, jak wskazywał jego czerwony kubrak i zielona czapka. Odbywał swoją karę na galerach w Tulonie, skąd przywieziono go na tę sprawę. Był to niski mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni, żwawy, pomarszczony, cherlawy, żółty, bezczelny i ruchliwy; cała jego postać, cała jego osoba wyrażały chorobliwą słabość, a spojrzenie ogromną siłę. Towarzysze z galer nazwali go "Bezbożnikiem".

Przewodniczący zwrócił się do niego w tych samych mniej więcej słowach co do Breveta. W chwili gdy mu przypomniał, że ciężące na nim piętno nie pozwala mu składać przysięgi, Chenildieu podniósł głowę i spojrzął zuchwale na tłum. Przewodniczący kazał mu zastanowić się i zapytał, podobnie tak jak Breveta, czy i teraz poznaje oskarżonego.

Chenildieu wybuchnął śmiechem:

- Czy go poznaję? Do diabła! Przez pięć lat przykuci byliśmy do tego samego łańcucha! Dąsasz się, stary?

- Proszę siadać! - rzekł przewodniczący.

Woźny przyprowadził Cochepaille'a. Ten drugi więzień skazany na dożywotnie ciężkie roboty, przywieziony z galer i ubrany na czerwono podobnie jak Chenildieu, był chłopem z Lourdes, niedźwiedziem z Pirenejów. Pasał bydło w górach i z pastucha stał się rozbójnikiem. Cochepaille miał równie nieokrzesany wygląd jak oskarżony i wydawał się jeszcze głupszy. Był to jeden z tych nieszczęsnych ludzi, którym natura dała zadatki na dzikie zwierzę, a społeczeństwo urobiło na zbrodniarza.

Przewodniczący usiłował go wzruszyć poważnymi i wzniosłymi słowami i zapytał, podobnie jak i tamtych, czy nadal, bez wątpliwości i wahania, poznaje stojącego przed nim człowieka.

- To Jan Valjean - rzekł Cochepaille. - Nazywaliśmy go Jan-Lewar, taki był silny.

Oświadczenie każdego z tych trzech ludzi, niewątpliwie szczerych i działających w dobrej wierze, wzniecało w audytorium gwar nie wróżący nic dobrego oskarżonemu; po każdym zeznaniu gwar ten wzmagął się i trwał coraz dłużej. Oskarżony zaś słuchał z wyrazem zdumienia na twarzy, co zdaniem prokuratora było głównym sposobem jego obrony. Po pierwszym zeznaniu siedzący w pobliżu żandarmi słyszeli, jak mruknął przez zęby. "No, to już jeden!" Po drugim - rzekł nieco głośniejszym głosem, prawie że z zadowoloną miną: "Dobra!" Po trzecim - zawołał: "Świetnie!"

Przewodniczący zapytał:

- Oskarżony! Słyszeliście? Co macie do powiedzenia?

Odrzekł:

- Powiadam: świetnie!

Wśród publiczności wybuchła wrzawa, która omal nie ogarnęła i przysięgłych. Jasne było, że ten człowiek jest zgubiony.

- Woźni, proszę uciszyć salę! - rzekł przewodniczący. - Zamykam obrady.

W tej samej chwili jakiś ruch zrobił się koło przewodniczącego.

Jakiś głos zawołał:

-Brevet! Chenildieu! Cochepaille! Spójrzcie no tutaj!

Wszystkich, którzy usłyszeli ten głos, ścięło przerażenie, tak był rozpaczliwy i straszny. Oczy zwróciły się w stronę, skąd dochodził. Jakiś człowiek spośród uprzywilejowanych widzów, siedzących za gronem sędziowskim, wstał, popchnął drzwiczki kratki oddzielających trybunał od sali posiedzeń i stanął na środku sali. Przewodniczący, prokurator, pan Bamatabois i ze dwadzieścia innych osób poznało go i zawołało jednocześnie:

- Pan Madeleine!

## XI

### Champmathieu zdumiewa się coraz bardziej

On to był w istocie. Lampa znad stołu pisarza oświetlała jego twarz. Trzymał w ręku kapelusz, ubranie miał w zupełnym porządku, surdut starannie zapięty. Był bardzo blady i drżał nieznacznie. Jego włosy, szpakowate jeszcze, gdy przyjechał do Arras, były teraz zupełnie białe. Zbielały w ciągu tej jednej godziny.

Wszystkie głowy podniosły się. Wrażenie było nieopisane. Obecni przeżyli chwilę niepewności. Ten głos był tak przejmujący, a człowiek, który stał tutaj, wydawał się tak spokojny, że w pierwszej chwili nikt nic nie zrozumiał. Zastanawiano się, kto krzyknął. Nikt nie chciał wierzyć, że ten opanowany człowiek mógł krzyknąć tak przerażająco!

Niepewność trwała tylko kilka sekund. Nim przewodniczący i prokurator wyrzekli słowo, nim żandarmi i woźni zdołali się poruszyć, człowiek, którego w tej chwili wszyscy nazywali jeszcze panem Madeleine, podszedł do świadków: Breveta, Chenildieu i Cochepaille'a.

- Nie poznajecie mnie? - powiedział.

Tamci trzej milczeli, zaskoczeni, i przeczącym ruchem głowy dali do zrozumienia, że nie znają go wcale. Cochepaille, onieśmielony, zasalutował po wojskowemu. Pan Madeleine odwrócił się do sędziów i do przysięgłych i rzekł spokojnie:

- Panowie przysięgli, kaźcie uwolnić oskarżonego! Panie przewodniczący, proszę mnie aresztować! To nie on, to ja jestem człowiekiem, którego poszukujecie. Ja jestem Jan Valjean.

Nikt nie oddychał. Po pierwszym wstrząsie zdumienia zaległa grobowa cisza. Czuło się na sali tę zbożną grozę, która ogarnia tłum, kiedy dzieje się coś wielkiego.

Tymczasem twarz przewodniczącego przybrała wyraz współczucia i smutku. Wymienił szybki znak z prokuratorem i kilka słów szeptem z asesorami. Po czym zwrócił się do publiczności i zapytał tonem, który wszyscy zrozumieli:

- Czy jest może na sali lekarz?

Prokurator zabrał głos:

- Panowie przysięgli, dziwny i nieoczekiwany wypadek, który zakłóca bieg naszej rozprawy, budzi w nas, jak i w was uczucie, którego nie trzeba wypowiadać. Znacnie

wszyscy, przynajmniej ze słyszenia, czcigodnego pana Madeleine, mera Montreuil-sur-mer. Jeśli wśród publiczności jest lekarz, przyłączamy się do prośby pana przewodniczącego, aby zechciał zaopiekować się panem Madeleine i odprowadzić go do domu.

Pan Madeleine nie pozwolił prokuratorowi dokończyć. Przerwał mu tonem pełnym łagodności, lecz stanowczym. Oto słowa, jakie wypowiedział; przytaczamy je dosłownie, jak spisał je natychmiast po rozprawie jeden ze świadków tej sceny i jak, po czterdziestu latach, brzmia jeszcze w uszach tych, którzy je słyszeli:

- Dziękuję panu, panie prokuratorze, ale nie zwariowałem. Sam pan się o tym przekona. O mały włos nie popełniście wielkiej pomyłki. Uwolnijcie tego człowieka, spełniam swój obowiązek, to ja jestem owym nieszczęsnym skazańcem. Ja jeden widzę tu jasno i mówię prawdę. Na to, co czynię w tej chwili, patrzy z nieba Bóg - i to wystarcza. Możecie mnie uwięzić, ponieważ tu jestem. A przecież robiłem wszystko, co w mojej mocy; ukryłem się pod zmyślonym nazwiskiem; dorobiłem się majątku, zostałem merem; chciałem wrócić pomiędzy uczciwych ludzi. Ale - widać - tak być nie może. Zresztą wielu rzeczy powiedzieć nie mogę, nie będę opowiadał mego życia, pewnego dnia dowiecie się sami. Okradłem biskupa, to prawda, okradałem Gerwazka, to prawda. Słusznie wam powiedziano, że Jan Valjean był nieszczęśnikiem bardzo niebezpiecznym. Ale może to nie tylko jego wina. Posłuchajcie, panowie sędziowie, człowiek, który upadł tak nisko jak ja, nie ma prawa robić wyrzutów Opatrzności ani dawać rad społeczeństwu; ale widzicie, hańba, z której chciałem się wydzwignąć, jest rzeczą szkodliwą. Galery tworzą galernika. Zapamiętajcie to sobie, jeśli chcecie. Przed galerami byłem biednym chłopem, nierozgarnięty, nieledwie idiotą. Galery mnie odmieniły. Byłem głupi, stałem się zły. Byłem szczapą drzewa, stałem się płonąca głownia. Później dobroć i wyrozumiałość uratowały mnie tak, jak niegdyś zgubiła surowość. Ale wybaczcie, i tak nie zrozumiecie tego, co mówię. Znajdziecie u mnie na kominku, w popiele monetę dwufrankową, którą przed siedmiu laty skradłem Gerwazkowi. Nie mam więcej nic do powiedzenia. Aresztujcie mnie! Mój Boże! Pan prokurator kiwa głową i myśli sobie: "Pan Madeleine oszalał!" Nie wierzy mi pan! To smutne! Nie skazajcie chociaż tego człowieka. Jak to? Ci mnie nie poznają! Chciałbym, żeby tu był Javert. On poznałby mnie na pewno!

Nic nie zdoła wyrazić, ile dobrotliwej i pośepnej melancholii było w głosie wypowiadającym te słowa.

Zwrócił się do trzech więźniów:

- Ha, cóż! ale ja was poznaję! Brevet, czy pamiętasz?... Przerwał, zawahał się chwilę i rzekł:

- Czy pamiętasz te szelki, które nosiłeś w Tulonie, tkane w deseń szachownicy?

Brevet drgnął ze zdumienia i obejrzał go od stóp do głowy z przerażoną miną. On ciągnął dalej:

- Chenildieu, przezwąłeś się sam "Bezbożnikiem". Całe prawe ramię masz spalone głęboko, bo przytknąłeś je kiedyś do rozpalonego piecyka, żeby usunąć trzy litery T.F.P.\* , które mimo wszystko widać nadal. Odpowiedz: czy to prawda?

- Prawda - odparł Chenildieu.

Zwrócił się do Cochepaille'a:

- Cochepaille, masz przy zgięciu koło łokcia lewej ręki datę na niebiesko wypaloną prochem. Jest to data wylądowania cesarza w Cannes: "1 marca 1815". Odwiń rękaw!

Cochepaille odwinął rękaw, wszystkie spojrzenia zawisły na nim, na jego nagiej ręce. Jeden z żandarmów przybliżył lampę; data była tam wypalona.

Nieszczęśliwy człowiek zwrócił się ku sędziom i publiczności i uśmiechnął się uśmiechem, na którego myśl do dziś jeszcze ściska się serce tym, co go widzieli. Był to uśmiech triumfu, był to także uśmiech rozpacz.

- Widzicie - rzekł - że jestem Janem Valjean.

W owej chwili na sali nie było już ani sędziów, ani oskarżycieli, ani żandarmów, były tylko oczy wpatrzone w jeden punkt i wzruszone serca. Nikt nie pamiętał już o roli, jaką miał odegrać. Prokurator zapomniał, że był tu, aby oskarżać, przewodniczący, że był tu, aby przewodniczyć rozprawie, obrońca - że był tu, aby bronić. Rzecz zdumiewająca: nie padło żadne pytanie, nie interweniowała żadna władza. Podniosłe widowiska mają to do siebie, że porywają wszystkie serca i wszystkich świadków zamieniają w widzów. Nikt może nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuł; nikt z pewnością nie mówił sobie, że widzi jaśniejącą wielką światłość, lecz w duszy każdy był nią olśniony.

Nie ulegało wątpliwości, że stoi przed nimi Jan Valjean. To było jasne. Pojawienie się tego człowieka wystarczyło, aby sprawa, przed chwilą tak ciemna, wyjaśniła się od razu. Bez żadnych tłumaczeń cały ten tłum, jakby w nagłym olśnieniu, zrozumiał natychmiast tę prostą i wzniosłą historię człowieka, który oddawał się w ręce sprawiedliwości, aby inny człowiek nie został skazany zamiast niego. Szczegóły, wątpliwości, drobne a możliwe zastrzeżenia ginęły wobec tak wielkiego i pełnego blasku czynu.

Wrażenie to przeminęło, lecz w owej chwili nikt mu się nie zdołał oprzeć.

---

\* *Travaux forcés à perpétuité* – dożywotnie, ciężkie roboty.

- Nie chcę dłużej przeszkadzać w rozprawie - podjął Jan Valjean. - Skoro mnie nie aresztują, wychodzę. Mam kilka spraw do załatwienia. Pan prokurator wie, kim jestem, wie, dokąd jadę, każe mnie aresztować, kiedy uzna za stosowne.

Skierował się ku wyjściu. Nie padło żadne słowo, nie wyciągnęła się żadna ręka, aby mu przeszkodzić. Wszyscy rozstąpili się. W tej chwili miał w sobie coś boskiego, co sprawia, że tłum cofa się i usuwa z drogi przed jednym człowiekiem. Wolnym krokiem przeszedł przez cizbę. Nie dowiedziano się nigdy, kto otworzył drzwi, ale to pewne, że gdy do nich dotarł, były otwarte. U progu odwrócił się i powiedział:

- Panie prokuratorze, jestem do pańskiej dyspozycji.

Po czym zwrócił się do zgromadzonych:

- A wy wszyscy, wy wszyscy, którzy jesteście tutaj, macie mnie za godnego litości - prawda? Mój Boże! Gdy pomyślę o tym, co byłem gotów uczynić, uważam, iż jestem godzien zazdrości. Wolałbym jednak, aby to wszystko nie było się stało.

Wyszedł, a drzwi zamknęły się za nim, tak jak się były otwały, ci bowiem, którzy dokonują czynów ponad zwykłą miarę, zawsze mogą mieć pewność, iż znajdą w tłumie usłużne ręce.

W niespełną godzinę później orzeczenie przysięgłych uwolniło od wszelkiej winy niejakiego Champmathieu, i Champmathieu natychmiast został wypuszczony na wolność. Odchodził ogłupiały, uważając, że wszyscy ludzie powariowali, i nic nie pojmując z całej tej przygody.

**Księga ósma**

**Konsekwencje**

## I

### W jakim zwierciadle pan Madeleine ogląda swoje włosy

Świtało. Fantyna spędziła w gorączce bezsenną noc, pełną zresztą radosnych urojeń. Nad ranem zasnęła. Siostra Symplicja, która czuwała przy niej, skorzystała z tego snu, aby przygotować nową porcję chininowego naparu. Zaczyna siostra od paru chwil była w laboratorium szpitalnym, pochylona nad swymi lekarstwami i flaszeczkami, przypatrywała im się z bliska z powodu owej mglistej poświaty, którą mrok spowija wszystkie przedmioty. Nagle odwróciła głowę i wydała cichy okrzyk. Za nią stał pan Madeleine.

Przed chwilą wszedł bezszelestnie.

- To pan, panie merze! - zawołała.

Odpowiedział szeptem:

- Jakże się miewa ta biedaczka?

- W tej chwili nieźle. Ale byliśmy już bardzo niespokojni.

Opowiedziała mu przebieg wydarzeń, Fantyna czuła się wczoraj bardzo źle, ale dziś lepiej, ponieważ jest przekonana, że pan mer pojechał po jej dziecko do Montfermeil. Siostra nie śmiała wypytywać pana mera, z wyglądu jego odgadła jednak, i że nie stamtąd wracał.

- To dobrze - rzekł. - Miała siostra rację nie wyprowadzając jej z błędu.

- Tak - odparła siostra - ale teraz, proszę pana mera, co jej powiemy, kiedy zobaczy pana, a nie zobaczy dziecka?

Namyślał się chwilę.

- Bóg nas natchnie - odparł.

- Nie będzie można przecież kłamać - szepnęła półgłosem siostra.

W pokoju rozwidniło się już zupełnie. Światło dzienne padło wprost na twarz pana Madeleine. Przypadkiem siostra podniosła na niego oczy.

- Boże! - krzyknęła. - Co się panu stało? Pan ma zupełnie siwe włosy!

- Siwe? - zdziwił się.

Siostra Symplicja nie miała zwierciadła. Poszperała w szpitalnym puzdrze i wyjęła małe lusterko, używane przez lekarza dla stwierdzenia, że chory umarł i już nie oddycha.

Pan Madeleine wziął lusterko, spojrzął na swoje włosy i rzekł:

- Aha!

Powiedział to obojętnie, jak gdyby myślał o czymś innym. Siostrze jakby serce ścięto lodem owo coś niewiadome, co przeczuwała w tym wszystkim.

Pan Madeleine zapytał:

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Czy pan mer nie sprowadzi jej dziecka? - powiedziała siostra, z trudem zdobywając się na to pytanie.

- Oczywiście, że sprowadzę, ale na to trzeba co najmniej dwu lub trzech dni.

- Gdyby do tego czasu nie zobaczyła pana mera zauważyła nieśmiało siostra - nie wiedziała, że pan mer powrócił, i łatwo byłoby nakłonić ją do cierpliwości, a kiedy dziecko przyjedzie, pomyśli po prostu, że to pan mer je przywiózł. Uniknęłyby się w ten sposób kłamstwa.

Pan Madeleine zastanawiał się jakby kilka chwil, potem rzekł z właściwą sobie spokojną powagą:

- Nie, siostrze, muszę ją zobaczyć. Kto wie, ile mi zostało czasu. Siostra jak gdyby nie zauważyła tego: *Kto wie*, które nadawało tajemniczego i szczególnego znaczenia słowom pana mera. Odpowiedziała spuszczać oczy i zniżając głos, z szacunkiem:

- W takim razie niech pan mer wejdzie, chociaż ona śpi.

Zwrócił uwagę, że drzwi się źle otwierają i skrzyp ich może obudzić chorą, po czym wszedł do pokoju Fantyny, zbliżył się do łóżka i rozchylił zasłony. Spała. Oddech wydobywał się z jej piersi z właściwym chorobom tego rodzaju tragicznym świstem, który tak boleśnie rani serce matki, czuwającej w nocy przy swoim śpiącym, opuszczonym już przez lekarzy dziecku. Lecz ten ciężki oddech prawie wcale nie mącił rozlanej na twarzy Fantyny niewy-słowionej pogody, która przeobrażała ją we śnie. Jej bladość stała się bielą; na policzki wystąpiły rumieńce. Długie, jasne rzęsy - jedyne piękno pozostałe po jej dziewczęctwie i młodości - drgały z lekka na opuszczonych, zamkniętych powiekach. Całą jej postacią wstrząsało jakieś leciutkie drżenie, niczym drżenie rozpostartych do odlotu, gotowych w każdej chwili rozwinąć się i unieść ją skrzydeł, niewidocznych wprawdzie, ale których szelest wyczuwało się nieledwie. Patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że to istota beznadziejnie chora. Zdawało się, iż raczej odleci, niż umrze.

Kiedy ręka przybliżyła się i sięga po kwiat, gałązka drży, jakby zarazem chciała uchylić się i poddać. Ciało ludzkie ogarnia podobne drżenie, gdy nadchodzi chwila, w której tajemnicza dłoń śmierci sięga po duszę.

Pan Madeleine jakiś czas stał bez ruchu przy łóżku, spoglądając kolejno to na chorą, to na krzyż, podobnie jak przed dwoma miesiącami, w dniu, w którym przyszedł po raz pierwszy odwiedzić ją w tym schronieniu.

I teraz, tak samo jak wówczas, ona spała, on zaś modlił się; tylko dziś po upływie dwóch miesięcy jej włosy przyprószyła siwizna, a jego włosy zupełnie pobieleły.

Siostra nie weszła razem z nim. Stał obok łóżka z palcem na ustach, jak gdyby komuś w pokoju nakazywał milczenie.

Fantyna otworzyła oczy, zobaczyła go i powiedziała spokojnie, z uśmiechem:

- A Kozeta?

## II

### Fantyna jest szczęśliwa

Nie okazała zdziwienia ani radości; była samą radością. To proste pytanie: "A Kozeta?", przenikała tak głęboka wiara i taka pewność, nawet bez cienia zwątpienia czy niepokoju, że nie znalazł odpowiedzi.

Fantyna ciągnęła:

- Wiedziałam, że pan tu jest. Spałam, ale widziałam pana. Od dawna już pana widzę. Przez całą noc nie traciłam pana z oczu. Jasność unosiła się nad panem i otaczały pana różne niebiańskie postacie.

Podniósł oczy na krzyż.

- Ale - mówiła dalej - proszę mi powiedzieć, gdzie jest Kozeta? Dlaczego nie położono jej przy mnie na łóżku, żebym zobaczyła ją, gdy się obudzę?

Odpowiedział machinalnie coś, czego nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć. Na szczęście zjawił się lekarz powiadomiony o wszystkim. Przyszedł z pomocą panu Madeleine.

- Moje dziecko - rzekł - proszę się uspokoić. Mała jest tutaj.

Oczy Fantyny rozbłysły i opromieniły całą jej twarz. Złożyła ręce ruchem, który zawierał wszystko, co może być w błaganiu najgwałtowniejsze i najczulsze zarazem.

- Och! - zawołała - proszę mi ją przynieść!

Wzruszające złudzenie matki! Kozeta wciąż jeszcze była dla niej dzieckiem, które się nosi na rękę!

- Jeszcze nie teraz - odparł lekarz - nie w tej chwili. Masz jeszcze trochę gorączki. Wzruszyłabyś się widokiem małej, a to mogłoby zaszkodzić. Trzeba najpierw wyzdrowieć.

Przerwała mu porywczo:

- Ależ ja jestem już zdrowa. Mówię panu, że jestem zdrowa! Ten doktor to osioł! Chcę zobaczyć moje dziecko.

- Jak się chora tak będzie unosiła - rzekł lekarz - nie pozwolę tu przyprowadzić małej. Nie dość jest ją zobaczyć, trzeba dla niej żyć. Jeśli chora będzie rozsądna, przyprowadzę sam córeczkę.

Biedna matka spuściła głowę.

- Przepraszam pana, panie doktorze, naprawdę bardzo pana przepraszam. Dawniej nigdy bym się tak nie odezwała, ale przeżyłam tyle nieszczęść, że czasem sama już nie wiem, co mówię. Rozumiem, pan się obawia dla mnie wzruszenia, poczekam tak długo, jak pan każe, ale przysięgam, że wcale by mi to nie zaszkodziło, gdybym zobaczyła moją córkę. Widzę ją, nie spuszczam z niej oczu od wczorajszego wieczora. Wie pan? Gdyby przyniesiono ją teraz, mówiłabym do niej jak najspokojniej. O tak! Przecież to zwyczajna rzecz, że chcę zobaczyć moje dziecko, umyślnie przywiezione do mnie z Montfermeil. Już się nie złoścę. Wiem, że zaraz będę szczęśliwa. Całą noc oglądałam jakąś biel, jakieś osoby, które się do mnie uśmiechały. Jak pan doktor zechce, to przyniesie mi moją Kozetę. Nie mam już gorączki, bo wyzdrowiałam. Czuję, że nic mi nie jest; ale będę leżała spokojnie, jakbym była chora, żeby zrobić przyjemność dobrym siostram. Kiedy wszyscy zobaczą, jaka jestem spokojna, powiedzą: trzeba przyprowadzić jej dziecko!

Pan Madeleine usiadł na krześle przy łóżku. Odwróciła się w jego stronę. Czyniła widoczne wysiłki, aby wydać się pogodną i "bardzo grzeczną" - jak mówiła - w tym osłabieniu spowodowanym chorobą, które przypomina dzieciństwo, i aby widząc jej spokój pozwolono przyprowadzić do niej dziecko. Jednakże, usiłując zapanować nad sobą, nie mogła się powstrzymać, by nie zasypywać pana Madeleine gradem pytań:

- Czy miał pan dobrą podróż, panie merze? O! jaki pan dobry, że pan po nią pojechał! Niech pan mi powie tylko: jak ona wygląda? Czy jazda jej nie zmęczyła? Nie pozna mnie, niestety! Zapomniała o mnie przez ten czas, biedactwo. Dzieci mają krótką pamięć. Jak ptaki. Dziś widzą to, jutro tamto i już o niczym więcej nie myślą. Czy aby miała świeżą bieliznę? Czy ci Thénardierowie trzymali ją czysto? Jak ją odżywiali? O! ile wycierpiałam, gdyby pan wiedział, zadając sobie wszystkie te pytania, kiedy byłam w nędzy. Ale to już minęło. Jestem szczęśliwa! Och! jakże bardzo chciałabym ją zobaczyć! Panie merze, czy spodobała się panu? Prawda, że śliczna jest moja córeczka? Musiało wam być zimno w dyliżansie. Czy nie można by przyprowadzić jej tylko na chwileczkę? Zaraz by ją zabrali z powrotem. Pan tu wszystko może, gdyby pan zechciał... Ujął ją za rękę:

- Kozeta jest ładna - rzekł. - Kozeta jest zdrowa. Zobacysz ją niebawem, ale uspokój się. Mówisz za dużo, odkrywasz się i dlatego kaszlesz.

Istotnie, Fantyna kaszlała krztusząc się prawie każdym słowem.

Usłuchiwała bez słowa sprzeciwu, bała się, że nalegając ze zbytnią natarczywością poderwie zaufanie, jakie chciała wzbudzić, i zaczęła mówić o rzeczach obojętnych.

- Prawda, że Montfermeil to dość ładna miejscowość? Latem ludzie przyjeżdżają tam na wycieczki. Czy Thénardierom dobrze się powodzi? Niewiele chyba osób przyjeżdża w tamte strony? A ta ich oberża to raczej karczma.

Pan Madeleine ciągle trzymał ją za rękę i patrzył na nią z niepokojem. Najwidoczniej przyszedł po to, aby powiedzieć jej pewne rzeczy, ale teraz się wahał. Po skończonej wizycie lekarz odszedł. Została z nim siostra Symplicja.

Pośród tej ciszy Fantyna zawołała nagle:

- Słyszę ją! Mój Boże! Słyszę ją!

Wyciągnęła ramię ruchem nakazującym milczenie, wstrzymała oddech i przysłuchiwała się czemuś z zachwytem.

Jakieś dziecko bawiło się na podwórzu, dziecko odźwiernej czy którejś z robotnic. Natykamy się zawsze na takie przypadki, które niejako należą do tajemniczej reżyserii posępnych wydarzeń. Dziecko, mała dziewczynka, biegało tu i tam, aby się rozgrzać, śmiało się i śpiewało na cały głos. Niestety! W cóż to wplatają się nieraz zabawy dziecięce? Fantyna słyszała śpiew tej dziewczynki.

- Och! - powiedziała znowu. - To moja Kozeta! Poznaję jej głos.

Dziecko oddaliło się, tak samo jak przyszło, głos ucichł. Fantyna słuchała jeszcze jakiś czas, potem twarz jej zachmurzyła się i pan Madeleine usłyszał, jak szeptała cicho:

- Jaki ten doktor niedobry, że nie pozwala mi zobaczyć mojego dziecka! Ten człowiek ma złą twarz.

Wkrótce jednak wróciły radosne myśli. Mówiła dalej sama do siebie, z głową wspartą o poduszkę:

- Jakże będziemy szczęśliwe! Przede wszystkim będziemy miały ogródek. Pan Madeleine mi to obiecał. Moja córeczka będzie się bawiła w ogródku. Chyba już zna litery? Nauczę ją składać słowa. Będzie biegała po trawie i łapała motyle. A ja będę na nią patrzyła. A potem przystąpi do pierwszej komunii. Prawda! kiedyż to ona przystąpi do pierwszej komunii?

Zaczęła liczyć na palcach.

- Jeden, dwa, trzy, cztery... ma siedem lat. Za pięć lat. Będzie miała biały welon i ażurowe pończoszki, będzie wyglądała jak mała kobietka. O, moja dobra siostrze! siostra nawet nie wie, jaka ja jestem głupia, myślę już o pierwszej komunii mojej córki.

I zaczęła się śmiać.

Pan Madeleine puścił rękę Fantyny. Słuchał jej słów, tak jak się słucha wiatru, który wieje, z wzrokiem utkwionym w ziemię, zatopiony w rozmyślaniach bez końca.

Nagle machinalnie podniósł głowę. Fanfyna stała się przerażająca.

Nie mówiła, nie oddychała, na wpół uniosła się na łożku, koszula ześliznęła się z wychudłego ramienia, twarz - przed chwilą promieniejąca - była trupio blada i zdawało się, że rozszerzonymi przez strach oczyma wpatruje się przed siebie, w coś przerażającego, co znajdowało się w drugim końcu pokoju.

- O Boże! - zawołał. - Co ci jest, Fantyno?

Nie odpowiedziała, nie oderwała wzroku od tego, w co zdawała się wpatrywać, jedną ręką dotknęła jego ramienia, a drugą wskazała na coś poza nim.

Odwrócił się i zobaczył Javerta.

### III

#### Javert jest zadowolony

Oto, co się stało ubiegłej nocy.

Wybiło właśnie wpół do pierwszej po północy, gdy pan Madeleine wyszedł z sali sądu przysięgłych w Arras. Wrócił do oberży w sam czas, aby odjechać karetką pocztową, w której - jak pamiętamy - zamówił sobie miejsce. Nieco przed szóstą rano przyjechał do Montreuil-sur-mer i natychmiast zaniósł na pocztę list do pana Laffitte'a, po czym poszedł do szpitala odwiedzić Fantynę.

Tymczasem zaledwie pan Madeleine opuścił salę rozpraw, prokurator, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zabrał głos, aby wyrazić ubolewanie z powodu szaleńczego postępkę czcigodnego mera Montreuil-sur-mer, oświadczył, że ten dziwaczny incydent, który później się wyjaśni, w niczym nie zmienia jego poglądu na sprawę, i domagał się skazania tego Champmathieu, niewątpliwie prawdziwego Jana Valjean. Upór prokuratora pozostawał w oczywistej sprzeczności z uczuciami wszystkich: publiczności, sędziów i przysięgłych. obrońca zdołał bez trudu obalić jego wywody, twierdząc, że zeznanie pana Madeleine, czyli prawdziwego Jana Valjean, zmieniło całkowicie postać rzeczy i że przysięgli mają przed sobą niewinnego człowieka. Adwokat pozwolił sobie w związku z tym na kilka wykrzyknień patetycznych - niestety nienowych - na temat pomyłek sądowych itd., itd. Przewodniczący, streszczając przebieg procesu, przychylił się do zdania obrońcy i sąd w ciągu paru minut uwolnił od wszelkich zarzutów ojca Champmathieu.

Ale prokuratorowi potrzebny był Jan Valjean i nie mając już Champmathieu chwycił się Madeleine'a.

Natychmiast po wypuszczeniu na wolność ojca Champmathieu prokurator zamknął się z przewodniczącym. Zastanawiali się nad "koniecznością ujęcia osoby pana mera miasta Montreuil-sur-mer". Całe to zdanie, nieco przeładowane dopełniaczami, zostało tak sformułowane przez pana prokuratora i własnoręcznie skreślone na oryginale raportu do prokuratora generalnego. Gdy pierwsze wzruszenie minęło, przewodniczący nie bardzo się już opierał. Postępowanie sądowe musiało iść swoim trybem. A przy tym, jeśli mamy wyznaczyć całą prawdę, przewodniczący, chociaż człowiek zacny i dość rozumny, był rojalistą gorącym,

ba! niemal zagorzałym. Uraziło go, iż mer Montreuil-sur-mer mówiąc o wylądowaniu w Cannes powiedział “cesarz”, a nie “Buonaparte”.

Sporządzono więc nakaz aresztowania. Prokurator wysłał go przez umyślnego kuriera, który miał jechać, co koń wyskoczy, do Montreuil-sur-mer z poleceniem, aby wykonał go inspektor policji Javert.

Jak wiadomo, Javert wrócił do Montreuil-sur-mer zaraz po złożeniu zeznań.

Wstawał właśnie z łóżka, gdy kurier doręczył mu nakaz aresztowania i mandat doprowadzenia do sądu. Kurier - agent policyjny bardzo rozgarnięty - w paru słowach opowiedział Javertowi, co zaszło w Arras. Nakaz aresztowania podpisany przez prokuratora brzmiał: “Inspektor Javert uwięzi niejakiego Madeleine, mera Montreuil-sur-mer, w którym na dzisiejszej rozprawie rozpoznano dawnego galernika Jana Valjean”.

Gdyby ktoś, kto nie znał Javerta, zobaczył go, w chwili gdy wchodził do przedsiönka szpitala, wcale by się nie domyślił tego, co się dzieje, i uważałby, że wygląda najzwyczajniej w świecie. Javert był chłodny, spokojny, poważny; szpakowate włosy miał nienagannie przygładzone na skroniach i wszedł po schodach zwykłym sobie powolnym krokiem. Lecz ten, kto znał go do głębi, zadrżałby przyjrzaawszy mu się bacznie. Zapinka jego skórzanego kołnierza zamiast być na karku przesunęła się w kierunku lewego ucha! Świadczyło to o niesłychanym wzburzeniu!

Javert był to charakter z jednej bryły: z równą pedanterią odnosił się do swoich obowiązków jak i do swojego munduru; metodyczny wobec przestępców, nieubłagany wobec guzików swojego surduta.

Żeby źle zapiąć kołnier, musiał doznać jednego z tych wzruszeń, które można by nazwać wewnętrznym trzęsieniem ziemi.

Przyszedł zupełnie zwyczajnie, wziął kaprała i czterech żołnierzy z pobliskiego posterunku, zostawił żołnierzy na podwórzu, po czym kazał odźwiernej, która nie podejrzewała niczego, gdyż przywykła do widoku uzbrojonych ludzi pytających o pana Madeleine - wskazać sobie pokój Fantyny.

Doszedłszy do tego pokoju Javert nacisnął klamkę, ostrożnie uchylił drzwi jak pielęgniarz lub jak szpicel - i wszedł. Ściśle mówiąc, nie wszedł. Stał w progu, na głowie miał kapelus, lewą rękę trzymał wsuniętą w zanadrze zapiętego pod brodę surduta. Spod pachy wystawała mu ołowiana gałka grubej lachy ukrytej za plecami.

Stał tak chwilę i nikt nie spostrzegł jego obecności. Nagle Fantyna podniosła oczy, ujrzała go i na jej gest pan Madeleine się odwrócił.

W chwili gdy spojrzenie pana Madeleine napotkało spojrzenie Javerta, Javert, choć nie poruszył się i nie przybliżył, stał się przerażający. Żadne uczucie ludzkie nie umie być równie przerażające jak radość.

Była to twarz szatana, który odnalazł swojego potępieńca.

Pewność, że trzyma wreszcie w ręku Jana Valjean, wydobyła na jego twarz wszystko, co miał w duszy. Poruszone głębie wypłynęły na powierzchnię. Duma, że od pierwszej chwili tak trafnie odgadł, że tak długo był na właściwym tropie, wzięła górę nad uczuciem upokorzenia, że nieco zmylił ślad i przez chwilę dał się zwieść temu Champmathieu. Radość Javerta biła z jego władczej postawy. Na niskim czole malowała się brzydota takiego triumfu. Była w tym cała skala ohydy, jaką ma do dyspozycji twarz zadowolona.

Javert był w tej chwili w niebie. Nie zdając sobie jasno z tego sprawy, ale jednak podświadomie wyczuwając niezbędność swojego istnienia i swojego sukcesu, uosabiał, on - Javert, sprawiedliwość, światło i prawdę w ich boskim dziele tępienia zła. Za sobą i wokół siebie aż do niezmiernych głębini widział władzę, rozum, słusność sądzonej sprawy, praworządność i pomstę publiczną, wszystkie gwiazdy; to on stał na straży ładu, dobywał z prawa piorun, mścił się za społeczeństwo, był podporą absolutu. Stał w promieniach chwały; w zwycięstwie jego kryła się jeszcze resztką wyzwania i walki. Pyszny i jaśniejący, roztaczał wśród błękitu nieludzkie bestialstwo jakiegoś okrutnego archanioła. Wśród straszliwych mroków spełnianego przezeń czynu w jego zaciśniętej pięści migotał społeczny miecz. Szczęśliwy i oburzony, miażdżył stopą zbrodnię, występki, bunt, zaturę, piekło. Promieniał, siał zniszczenie i uśmiechał się - ten potworny święty Michał miał w sobie niezaprzeczalną wielkość.

Javert przerażający nie wyglądał nikczemnie.

Prawość, szczerłość, prostota, siła przekonań, poczucie obowiązku, skierowane niewłaściwie, mogą stać się wstrętne, lecz nawet wstrętne nie przestają być wielkie; ich majestat właściwy ludzkiemu sumieniu trwa wśród potworności. Są to cnoty, które mają jedną przywarę: omylność. Bezlitosna, uczciwa radość fanatyka wśród najsroźszego okrucieństwa zachowuje jakiś blask ponury i godny szacunku.

Javert nie domyślał się nawet, że w swym olbrzymim szczęściu zasługiwał na współczucie, jak każdy ciemny człowiek, który triumfuje. Trudno o coś bardziej przejmującego i straszniejszego niż ta twarz, która wyrażała to, co można by nazwać - całym złem dobra.

## IV

### Władza odzyskuje swoje prawa

Fantyna nie widziała Javerta od dnia, w którym pan mer wydarł ją temu człowiekowi. Jej chory mózg nie zdał sobie sprawy z niczego, ale nie wątpiła, że przyszedł po nią. Nie mogła znieść widoku tej strasznej postaci, czuła, że umiera, ukryła twarz w rękach i krzyknęła rozpaczliwie:

- Panie Madeleine! ratunku!

Jan Valjean - odtąd nie będziemy go już nazywali inaczej - wstał. Powiedział do Fantyny bardzo spokojnym i łagodnym głosem:

- Nie bój się! On nie po ciebie przychodzi. Po czym zwrócił się do Javerta ze słowami:

- Wiem, czego pan chce.

Javert odpowiedział:

- Jazda! prędej!

W tonie, którym wymówił te słowa, było coś dzikiego i szaleńczego. Nie powiedział: "Jazda! prędej!", ale "Jazdędej!" Żadna ortografia nie mogłaby oddać, jak to zostało wymówione, nie był to głos ludzki, to był ryk! Zachował się inaczej niż zazwyczaj; nic nie wyjaśnił, nie przedstawił nakazu aresztowania. Dla niego Jan Valjean był jakby szermierzem tajemniczym i nieuchwytnym; zagadkowym zapaśnikiem, którego w rękę trzymał od pięciu lat, nie mogąc go powalić. To aresztowanie nie było początkiem, ale końcem. Ograniczył się do powiedzenia: "Jazda! prędej!"

Mówiąc tak nie posunął się ani o krok. Rzucił tylko na Jana Valjeana spojrzenie, które ciskał niby harpun i którym zwykł był gwałtownie ciągnąć do siebie nieszczęsne ofiary.

To właśnie spojrzenie przeszło dwa miesiące temu Fantynę do szpiku kości.

Na krzyk Javerta Fantyna otworzyła oczy. Ale pan mer był przy niej. Czegóż miała się lękać?

Javert postąpił na środek pokoju i wrzasnął:

- Idziesz ty!

Nieszczęsna rozejrzała się wkoło. W pokoju nie było nikogo prócz zakonnic i pana mera. Do kogo mogły się odnosić te grubiańskie słowa? Tylko do niej. Zadrżała.

Wówczas zobaczyła rzecz niewiarygodną, tak niewiarygodną, że nic podobnego nie widziała nigdy w najbardziej ponurych chwilach gorączkowych majaczeń! Zobaczyła, że szpicel Javert chwyta za kołnierz pana mera; zobaczyła, że pan mer spuszcza głowę. Wydało jej się, że świat się wali.

Istotnie Javert chwycił Jana Valjean za kołnierz.

- Panie merze! - krzyknęła Fantyna.

Javert wybuchnął śmiechem, tym wstrętnym śmiechem, który obnażał wszystkie jego zęby.

- Nie ma tu już żadnego pana mera.

Jan Valjean nie próbował odepchnąć ręki trzymającej go za kołnierz surduta.

- Javert...- zaczął.

Javert przerwał mu:

- Mów do mnie: panie inspektorze!

- Panie - podjął na nowo Jan Valjean - chciałbym powiedzieć panu słowo na osobności.

- Głośno! gadaj głośno! - odparł Javert - do mnie mówi się głośno!

Jan Valjean mówił dalej zniżając głos:

- Mam do pana prośbę...

- Powiedziałem już, że masz mówić głośno.

- Ale nikt prócz pana nie powinien tego słyszeć.

- Nic mnie to nie obchodzi! Nie słucham!

Jan Valjean odwrócił się ku niemu i powiedział szybko i bardzo cicho:

- Niech mi pan użycz trzy dni! Trzech dni, abym mógł pojechać po dziecko tej nieszczęśliwej kobiety! Zapłacę, co trzeba. Pojedzie pan razem ze mną, jeśli pan chce.

- Kpisz czy co? - wrzasnął Javert. - No wiesz, nie myślałem, żeś taki głupi! Żądasz ode mnie trzech dni, żeby uciec?! Powiadasz, że chcesz pojechać po dziecko tej dziewczki. Cha! Cha! świetny pomysł! To wyborne!

Fantyna wstrząsnął dreszcz.

- Moje dziecko - zawołała - jechać po moje dziecko? Więc jej tu nie ma? Siostró, niech siostra mi odpowie, gdzie jest Kozeta? Moje dziecko! Panie Madeleine! Panie merze!

Javert tupnął nogą.

- Teraz ta znowu! Będziesz ty mi cicho, hultajko! Przeklęte strony, gdzie galernicy są urzędnikami, a dziewczki pielęgnuje się jak hrabiny. Ale to wszystko się zmieni! Najwyższy czas!

Spojrzał ostro na Fantynę i, chwytając znów Jana Valjean całą garścią za halsztuk, koszulę i kołnierz, dodał:

- Powiadam ci, nie ma tu żadnego pana Madeleine, nie ma tu żadnego pana mera. Jest złodziej, bandyta, galernik nazwiskiem Jan Valjean. Jego tu trzymam! Ot, co!

Fantyna usiadła gwałtownie na łóżku, wsparta na wyprostowanych rękach; spojrzała na Jana Valjean, spojrzała na Javerta, spojrzała na zakonnicę, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, rzeźenie wydarło jej się z gardła, zęby jej zaszczekały, wyciągnęła ramiona z trwogą - konwulsyjnie rozwierając dłonie i szukając wkoło jak tonący, po czym nagle opadła na poduszkę. Głowa jej stuknęła o krawędź łóżka i opadła na piersi. Usta pozostały nie domknięte, oczy zgasły w otwartych powiekach.

Nie żyła.

Jan Valjean położył rękę na ręce Javerta, która go trzymała, otworzył ją, jak się otwiera rękę dziecka, i rzekł:

- Zabiłeś tę kobietę!

- Dość tego! - krzyknął Javert rozwścieczony. - Nie przyszedłem tu po to, żeby słuchać gadania. Szkoda czasu! Straż czeka na dole, ruszajmy zaraz - albo kajdanki.

W rogu pokoju stało stare, dość zniszczone żelazne łóżko, na którym sypiały siostry, gdy czuwały w nocy. Jan Valjean podszedł do tego łóżka, rozbił w mgnieniu oka pręty wezgłowia mocno już zresztą nadwerężonego - zadanie łatwe dla człowieka o takich mięśniach - chwycił w garść gruby, środkowy pręt i spojrzał na Javerta. Javert cofnął się ku drzwiom.

Jan Valjean z żelaznym prętem w ręku podszedł powoli do łóżka Fantyny. Kiedy był już blisko, odwrócił się i rzekł do Javerta ledwie dosłyszalnym głosem:

- Nie radzę panu przeszkadzać mi w tej chwili.

To pewne, że Javert dygotał.

Przyszło mu na myśl, żeby wezwać wartę, ale Jan Valjean mógł skorzystać z tego i uciec. Został więc, ujął laskę za cieńszy koniec i oparł się plecami o futrynę drzwi, nie spuszczać oka z Jana Valjean.

Jan Valjean wsparł łokieć na poręczu łóżka, głowę zaś na dłoni i patrzył na leżącą nieruchomo Fantynę. Stał tak pogrążony w myślach, milczący, najwidoczniej daleki od spraw tego świata. Twarz jego i cała postawa wyrażały tylko niewysłowioną litość. Po chwili takiej zadumy pochylił się nad leżącą i powiedział coś do niej po cichu.

Co jej powiedział? Co mógł powiedzieć ten człowiek, wyrzucony poza nawias społeczeństwa, tej kobiecie, która umarła? Jakże to były słowa? Nikt ich nie słyszał na tej

ziemi. Czy usłyszała że zmarła? Istnieją takie wzruszające złudzenia, które są, być może, najwznieśliwszą prawdą. Rzeczą bez wątpienia pewną jest to, że siostra Symplicja, jedyny świadek tego, co się działo, nieraz opowiadała potem, iż w chwili gdy Jan Valjean szeptał do ucha zmarłej, niewysłowny uśmiech wykwitł na jej białych wargach i ożywił jej przygasłe źrenice, zdumione zdumieniem śmierci.

Jan Valjean ujął w obie dłonie głowę Fantyny i, jak matka swe dziecko, złożył ją na poduszce, zawiązał tasiemki koszuli i wsunął włosy pod czepek. To uczyniwszy zamknął jej powieki.

Twarz Fantyny wydawała się w tej chwili dziwnie promienna.

Śmierć - to wejście do wielkiej światłości.

Ręka Fantyny zwisała z łóżka. Jan Valjean klęknął przed tą ręką, podniósł ją ostrożnie i ucałował.

Potem wstał i zwracając się do Javerta:

- A teraz - powiedział - jestem do pańskiej dyspozycji.

## Odpowiedni grób

Javert odstawił Jana Valjean do miejskiego więzienia. Aresztowanie pana Madeleine wywołało w Montreuil-sur-mer wielkie poruszenie, a raczej ściśle mówiąc, niezwykły wstrząs. Przykro nam, lecz nie możemy tego ukryć, że te słowa: "był galernikiem", sprawiły, iż opuścili go niemal wszyscy. W przeciągu niespełna dwóch godzin poszły w niepamięć wszystkie jego dobrodziejstwa, stał się już tylko "galernikiem". Należy dodać, że nie znano jeszcze szczegółów zdarzenia w Arras. Cały dzień słychać było w rozmaitych punktach miasta rozmowy tego rodzaju: "Pani nie wie? To dawny galernik!" "Kto taki?" "Mer!"

"Jak to? Pan Madeleine?" "Tak". "Naprawdę?" "Nie nazywał się Madeleine, ma okropne nazwisko Bejean, Bojean, Boujean".

"O mój Boże!" "Jest aresztowany!" "Aresztowany?" "Siedzi na razie w tutejszym więzieniu, potem go przewiozą?" "Przewiozą go! Więc go przewiozą? A dokąd go przewiozą?" "Ma stanąć przed sądem przysięgłych za rozbój na drodze, którego się kiedyś dopuścił". "Ja się tego domyślałam. Ten człowiek był zbyt dobry, zbyt doskonały, zbyt słodki. Nie przyjął orderu, dawał pieniądze każdemu spotkanemu na drodze urwisowi. Zawsze uważałam, że kryje się pod tym wszystkim jakaś brzydka sprawka".

W rozmowach tych celowały zwłaszcza "salony".

Pewna stara dama, prenumeratorka "Białego Sztandaru", wypowiedziała uwagę, której głębi niepodobna przeniknąć: "Wcale mnie to nie smuci. To dobra nauczka dla bonapartystów".

I tak widmo zwane panem Madeleine rozwiało się w Montreuil-sur-mer. W całym mieście tylko trzy czy cztery osoby pozostały wierne jego pamięci. W tej liczbie była stara odźwierna, która mu usługiwała.

Tegoż dnia wieczorem zacna starowina siedziała w swej stancyjce, wystraszona jeszcze i pogrążona w smutnych myślach. Fabryka była zamknięta cały dzień, brama zaryglowana, ulica pusta. W całym domu były tylko dwie zakonnice, siostra Perpetua i siostra Symplicja czuwające przy zwłokach Fantyny.

Gdy zbliżała się godzina, w której pan Madeleine wracał zazwyczaj do domu, pocziwa odźwierna machinalnie wstała, wyjęła z szuflady klucz od pokoju pana Madeleine,

wzięła lichtarz, którym przyświecał sobie co wieczór, wchodząc na schody; powiesiła klucz na gwoździu, z którego zwykł był go zdejmować, i postawiła obok lichtarz, tak jakby na niego czekała. Po czym usiadła na krześle i znowu się zamyśliła. Biedna, poczciwa staruszka zrobiła to wszystko nie zdając sobie z tego sprawy.

Dopiero po upływie przeszło dwóch godzin ocknęła się z zadumy i zawołała:

- Wielki Boże! a ja, niemądra, powiesiłam na gwoździu jego klucz!

W tejże chwili okienko stróżówki otworzyło się, jakaś ręka wsunęła się do środka, wzięła klucz i lichtarz i zapaliła świecę od palącej się łójówki.

Odźwierna spojrzała i otworzyła usta, krzyk zamarł jej w gardle.

Znała tę rękę, to ramię, rękaw tego surduta.

Był to pan Madeleine.

Przez kilka sekund nie mogła wyrzec ani słowa, jakby "porażona", jak mówiła później, opowiadając to zdarzenie.

- Boże święty! panie merze! - zawołała wreszcie - a ja myślałam, że pan jest...

Urwała sądząc, że koniec zdania pozostawałby w sprzeczności z początkiem pełnym szacunku. Jan Valjean był dla niej nadal panem merem.

Dokończył za nią:

- W więzieniu. Byłem tam. Wyłamałem kratę w oknie, zeskoczyłem z jakiegoś dachu i jestem. Idę do mojego pokoju, proszę do mnie poprosić siostrę Symplicję. Czuwa zapewne przy tamtej biedaczce.

Starowina pobiegła co tchu.

Nie wydał jej żadnych zleceń, pewny, że strzec go będzie lepiej, niż on sam siebie.

Nie dowiedziano się nigdy, w jaki sposób zdołał przedostać się na podwórze nie otwierając bramy. Miał wprawdzie i zawsze nosił przy sobie klucz od małej, bocznej furtki, lecz niewątpliwie zrewidowano go w więzieniu i klucz mu zabrano. Ten szczegół nie został wyjaśniony.

Wszedł po schodach do swego pokoju. Kiedy znalazł się na górze, zostawił lichtarz na ostatnim stopniu, otworzył po cichu drzwi, po omacku zamknął okno i okiennicę, po czym wrócił po świecę i wszedł do pokoju.

Ta przezorność była uzasadniona; pamiętamy, że z ulicy można było widzieć jego okno.

Spojrzał dokoła siebie, na stół, na krzesło, na łóżko - nie rozścielane od trzech dni. Nie zostało ani śladu po nieładzie przedwczorajszej nocy. Odźwierna sprzątnęła pokój. Ale oba

żelazne okucia laski i szerniała w ogniu monetę dwufrankową wyjęła z popiołu i porządnie ułożyła na stole.

Wziął kartkę papieru, napisał na niej: "Oto oba okucia mojej laski i owe dwa franki skradzione Gerwazkowi, o których mówiłem w sądzie przysięgłych" - i położył na kartce monetę i dwa kawałki żelaza, tak aby od razu rzuciły się w oczy człowiekowi, który wejdzie do tego pokoju. Wyjął z szafy starą koszulę, podarł ją na kawałki i zawinął w nie oba srebrne świeczniki. Zresztą, nie okazywał ani pośpiechu, ani zdenerwowania i owijając w płótno świeczniki biskupa pogryzał przy tym kawałek razowego chleba. Był to zapewne chleb więzienny, który uciekając zabrał ze sobą.

Świadczyły o tym okruchy znalezione na podłodze w jego pokoju podczas rewizji zarządzanej później przez sąd.

Ktoś dwa razy lekko zastukał do drzwi.

- Proszę - rzekł.

Była to siostra Symplicja.

Była blada, miała zaczerwienione oczy, świeca, którą trzymała, drżała w jej ręku. Gwałtowne ciosy losu tę mają właściwość, że nawet kiedy jesteśmy całkowicie doskonali lub wystygli, dobywają skądś, jakby spod serca, naturę człowieka, i zmuszają, by się na zewnątrz objawiła.

Wzruszenia tego dnia sprawiły, że zakonnica stała się znowu kobietą. Była zapłakana i drżała.

Jan Valjean skreślił parę słów na kartce, którą podał zakonnicy mówiąc:

- Siostrze, proszę to doręczyć księdzu proboszczowi.

Papier nie był złożony. Rzuciła nań okiem.

- Może siostra przeczytać - powiedział.

Przeczytała: "Proszę księdza proboszcza, aby opiekował się wszystkim, co tu pozostawiam. Ksiądz proboszcz zechce opłacić z tego kosztu mego procesu oraz pogrzeb zmarłej dziś kobiety. Resztę przeznaczam na biednych".

Siostra chciała coś powiedzieć, ale wyjąkała tylko jakieś niezrozumiałe wyrazy. Wreszcie zdołała zapytać:

- Czy pan mer zechce spojrzeć ostatni raz na tę biedaczkę?

- Nie - odparł - ścigają mnie. Mogliby mnie tam zaaresztować, to zmąciłoby jej spokój.

Zaledwie wymówił te słowa, kiedy na schodach rozległ się hałas. Słysząc było zmieszany tupot nóg wchodzących na górę i głos starej odźwiernej, która mówiła, jak mogła najgłośniejszy i najbardziej piskliwie:

- Mój dobry panie! przysięgam na Boga, że nikt tu nie wchodził przez cały dzień i przez cały wieczór i że nie ruszałam się ani krokiem od drzwi.

Jakiś mężczyzna odpowiedział:

- A jednak w tamtym pokoju jest światło!

Poznali głos Javerta.

Pokój miał taki kształt, że drzwi otwierając się zasłaniały kąt po prawej stronie. Jan Valjean zdmuchnął świecę i stanął w tym kącie.

Siostra Symplicja padła na kolana przy stole.

Drzwi otworzyły się. Wszedł Javert.

Z korytarza dochodził ściszy szept kilku mężczyzn i głośnie protesty odźwiernej.

Zakonnica nie podniosła oczu. Modliła się.

Świeca stojąca na kominku niewiele dawała światła.

Javert zobaczył siostrę Symplicję i stanął, zaskoczony.

Pamiętamy, iż istotą natury Javerta, jego żywiołem, atmosferą, w której jedynie mógł oddychać, było poszanowanie wszelkiej władzy. Był to człowiek wykuty z jednej bryły, nie dopuszczał ani wyjątków, ani ograniczeń. Dla niego władza kościelna stała oczywiście na pierwszym miejscu. Jak w każdym innym, tak i w tym wypadku był sumienny, powierzchowny i poprawny. Ksiądz był dlań osobą nieomylną, zakonnica istotą bezgrzeszną. Były to dusze raz na zawsze odgradzone od świata murem z jedną jedyną wąską furtką, przez którą wydostawała się na zewnątrz tylko prawda.

Gdy zobaczył siostrę, w pierwszym odruchu chciał się cofnąć.

Jednakże inny obowiązek wstrzymał go i popychał nieodparcie w odwrotnym kierunku. Drugi odruch nakazał mu zostać i zaryzykować chociażby jedno pytanie.

Była to ta siostra Symplicja, która nigdy w życiu nie skłamała. Javert wiedział o tym i szczególnie ją za to poważał.

- Siostrze - zapytał - czy siostra jest sama w pokoju?

Nastąpiła straszna chwila. Biedna odźwierna poczuła, że mdleje. Siostra podniosła oczy i odrzekła:

- Tak.

- A więc - ciągnął dalej Javert - proszę mi wybaczyć, że nalegam, lecz to mój obowiązek; nie widziała tu siostra wieczorem kogoś? Pewnego mężczyzny? Zbiegł nam; ścigamy go, tego Jana Valjean. Nie widziała go siostra?

Siostra odpowiedziała:

- Nie.

Skłamała. Skłamała dwukrotnie, raz za razem, bez wahania, pospiesznie, jak ktoś, kto się poświęca.

- Przepraszam - rzekł Javert. I wyszedł, skłoniwszy się nisko.

O święta istoto! Od wielu już lat nie ma cię między żyjącymi. Połączyłaś się w światłości z twoimi siostrami, dziewicami, i z aniołami, twoimi braćmi. Niech to kłamstwo będzie ci policzone w raj.

Stwierdzenia siostry były dla Javerta czymś tak nie podlegającym dyskusji, że nie zauważył nawet tej dziwnej rzeczy, iż świeca, dopiero co zdmuchnięta, kopciała jeszcze na stole.

W godzinę później jakiś człowiek szedł przez zarośla i mgły oddalając się szybkim krokiem z Montreuil-sur-mer w kierunku Paryża. Człowiekiem tym był Jan Valjean. Zostało ustalone na podstawie zeznań paru woźniców, którzy go spotkali na drodze, że niósł jakieś zawiniątko i ubrany był w bluzę. Skąd wziął tę bluzę? Nie dowiedziano się tego nigdy. Przed kilkoma dniami umarł w szpitalu fabrycznym stary robotnik. Została po nim tylko bluza. Może to była ta sama.

Ostatnie słowo o Fantynie.

Wszyscy mamy jedną matkę - ziemię. Zwrócono Fantynę tej matce.

Proboszcz sądził, że czyni dobrze - i może rzeczywiście dobrze uczynił - zachowując jak najwięcej pieniędzy dla ubogich z tego, co mu Jan Valjean zostawił. Bo zresztą o kogóż tu chodziło? O galernika i dziewczynę uliczną. Dlatego też pochował Fantynę jak najskromniej i ograniczył się do tego, co było niezbędne, a co nazywa się wspólnym grobem.

Pogrzebano więc ciało Fantyny w tym darmowym kącie cmentarza, przeznaczonym dla wszystkich i dla nikogo, gdzie porzuca się ubogich. Na szczęście Bóg wie, gdzie odnaleźć duszę. Złożono Fantynę w ciemnościach, pomiędzy obcymi kośćmi. Wydano ją na upokarzającą bliskość cudzych prochów. Wrzucono do wspólnego dołu. Jej grób był podobny do jej łoża.

**Część druga**

**Kozeta**

**Księga pierwsza**

**Waterloo**

## I

### Co widzimy po drodze z Nivelles?

W pewien piękny poranek majowy ubiegłego roku (1861) podróżny, a był nim autor tej opowieści, zdążył z Nivelles do la Hulpe. Szedł pieszo szeroką, brukowaną drogą, wysadzaną po obu stronach drzewami, która to wznosiła się, to opadała, wijąc się po wzgórzach podobnych do ogromnych fal. Minął Lillois i Bois-Seigneur-Isaac. Na zachodzie widział krytą łupkiem dzwonnice w Braine-l'Alleud, która swym kształtem przypomina garnek odwrócony dnem do góry. Zostawił za sobą las na wzniesieniu, a na skrzyżowaniu polnych dróg, obok spróchniałego drogowskazu z napisem: "Dawna bariera nr 4", karczmę z szyldem nad drzwiami: "Pod Czterema Wiatrami". Kawiarnia, właściciel Echabeau.

Uszedłszy jakieś ćwierć mili od karczmy znalazł się w dolince, której dnem płynie strumyk przedostając się na drugą stronę drogi pod sklepieniem wykonanym w nasypie. Kępy drzew, z rzadka rozsianych, lecz bardzo zielonych, zarastające dolinkę po jednej stronie drogi, po drugiej rozpraszają się na łąkach, by oddalić się z wdziękiem i jakby w nieładzie w kierunku Braine-l'Alleud.

Na prawo na skraju drogi był zajazd, przed bramą wózek na czterech kołach, wielki pęk tyczek od chmielu, pług, stos suchych gałęzi pod żywoplotem, w kwadratowym dole dymiące wapno i drabina wzdłuż starej szopy o grodziach ze słomy. W polu pielęła dziewczyna i trzepotał na wietrze wielki żółty afisz, prawdopodobnie pozostałość po jakimś przedstawieniu jarmarcznym. Za rogiem zajazdu, obok kałuży, po której żeglowało stadko kaczek, skręcała w zarośla pełna wybojów dróżka. Tam właśnie skierował się wędrowiec.

Przeszedł ze sto kroków wzdłuż piętnastowiecznego muru pokrytego spadzistym daszkiem ze skrzyżowanych cegieł i znalazł się przed kamienną, sklepioną bramą, z prostym poprzecznikiem, z dwiema płaskorzeźbami w kształcie medalionów, w pełnym dostojeństwa stylu Ludwika XIV. Nad bramą wznosiła się surowa fasada; prostopadły do fasady mur dotykał niemal bramy i załamując się nagle pod kątem prostym osłaniał ją z jednego boku. Przed bramą na łączce leżały trzy brony, wśród których rosły przeróżne majowe kwiaty. Brama była zamknięta. Zamykały ją odrapane wierzeje zaopatrzone w starą, zardzewiałą kołatkę.

Słońce przygrzewało rozkosznie. Przez gałązki przebiegało owo delikatne drżenie majowe, które pochodzi raczej od gniazd ptasich niż od wiatru. Z wielkiego drzewa dochodziły zapamiętałe trele jakiegoś dzielnego ptaszka, niewątpliwie zakochanego.

Wędrowiec schylił się i zaczął wpatrywać się w dość duże okrągłe wgłębienie w kamieniu na lewo u stóp węgara bramy, wyglądające na wyrwę od armatniego pocisku. W tej chwili rozchyliły się wrota i wyszła z nich wieśniaczka.

Zobaczyła przechodnia i spostrzegła, czemu się tak przygląda.

- To zrobił pocisk francuski! - odezwała się, po czym dodała: - A to, co pan widzi tam wyżej na bramie, przy samym gwoździu, to ślad po kuli z garłacza. Kula nie przebiła drzewa!

- Jak się nazywa ta miejscowość? - zapytał wędrowiec.

- Hougomont - odpowiedziała wieśniaczka.

Wędrowiec wyprostował się. Postąpił parę kroków, by rzucić okiem ponad żywopłot. Poprzez drzewa dojrzał na widnokregu rodzaj kopca, a na nim coś, co z daleka przypominało lwa.

Był na polu bitwy pod Waterloo.

## II

### Hougomont

Hougomont! A więc tu było to miejsce złowieszcze, to pierwsze potknięcie, pierwszy opór, który napotkał pod Waterloo “wielki drwal Europy”, jak nazywano Napoleona; tu był ten pierwszy, twardy sęk pod uderzeniem topora! Niegdyś był to zamek, dziś jest to tylko zagroda wieśniacza. Hougomont dla historyka znaczy Hugomons. Dworzyszczę to zbudował niegdyś Hugo, pan na Somerel, ten sam, który ufundował szóstą kapelanię opactwa w Villers.

Wędrowiec pchnął bramę, potracił w przedsiönku starą kolasę i wszedł na dziedziniec.

Pierwsza rzecz, która na tym dziedzińcu rzuciła mu się w oczy, to wrota z szesnastego wieku tworzące rodzaj arkady, gdyż mury wokół nich runęły. Ruiny przybierają nieraz monumentalny wygląd. W pobliżu tej arkady otwierają się w murze drzwi, ozdobione zwornikami z czasów Henryka IV, przez które widać drzewa w sadzie. Obok drzwi - gnojówka, łopaty i motyki, parę wózków, stara ocembrowana studnia z żelaznym kołowrotem, brykające żrebie, puszący się indor, kapliczka z małą dzwonniczką, grusza w kwieciu rozpięta na murze kapliczki, oto dziedziniec, o którego zdobyciu marzył Napoleon. Ten zakątek, gdyby mógł być go zdobyć, dałby mu może cały świat.

Kury dziobami rozrzucają piasek. Słychać warczenie; to wielkie psisko pokazuje zęby i zastępuje Anglików.

Anglicy byli tu godni podziwu. Cztery kompanie gwardii Cooke'a przez siedem godzin stawiały czoło zaciekleści całej armii.

Zabudowania i ogrodzenia Hougomont - widziane na mapie - tworzą nieregularny prostokąt, który wygląda, jak gdyby ścięto mu jeden z kątów. W tym właśnie narożniku znajduje się brama południowa, chroniona przez ów mur w nią wycelowany. Hougomont ma dwie bramy: południową, wiodącą do zamku, i północną, wiodącą do zabudowań gospodarczych. Napoleon wysłał przeciwko Hougomont swego brata Hieronima; dywizje Guilleminota, Foya i Bachelu zostały odparte; na próżno skierowano tam prawie cały korpus Reille'a; przeciwko tej bohaterskiej ścianie z kamienia bezsilny okazał się ogień z dział Kellermanna. Cała brygada Bauduina z trudem sforsowała Hougomont od północy, od południa brygada Soye'a nakruszyła je tylko, nie mogąc wszakże zdobyć.

Od strony południowej obrzeżają podwórze zabudowania gospodarcze. Część bramy północnej, strzaskanej przez Francuzów, zwisa zaczepiona o mur. Są to przybite do dwóch poprzeczek cztery deski, na których widać szramy po ataku.

Wyłamana przez Francuzów brama północna, której skrzydło, zwisające przy murze, zastąpiono nowym, otwiera się na dziedziniec; brama ta jest wycięta w murze, kamiennym u dołu, ceglany od góry, który zamyka podwórze od północy. Są to właściwie zwykłe, fornalskie wrota, jakie spotyka się we wszystkich gospodarstwach, dwa szerokie skrzydła z chropowatych desek; za nimi - łąki. O te wrota toczyła się zaciekła walka. Przez długi czas na dylu bramy można było zobaczyć najróżnorodniejsze odciski zakrwawionych rąk. Tam właśnie zginął Bauduin.

Furia walki trwa jeszcze na tym dziedzińcu; widoczna jest tam groza, zastygł zamęt bitewny; wszystko wciąż tu żyje i umiera; to było wczoraj. Mury są w agonii, sypią się kamienie, szczeliny jęczą, wyrwy są ranami, pochylone i drżące drzewa chcą, zda się, uciekać.

W roku 1815 dziedziniec ten był gęściej zabudowany niż dziś. Różne budynki, które zburzono od tej pory, tworzyły występy, załamania i narożniki.

Tu zabarykadowali się Anglicy, tam wtargnęli Francuzi, lecz nie zdołali się utrzymać. Obok kapliczki wznosi się skrzydło pałacu - jedyne szczątki zamku Hougomont - rozwalone, rzekłbyś: wypatroszone. Zamek służył za bastion obronny, kapliczka zaś - za blokhauz. Wyrzynano się tutaj. Ostrzeliwani zewsząd, zza murów, ze strychów, z piwnic, ze wszystkich okien, z każdego otworu, z każdej szczeliny w kamieniach, Francuzi nanieśli faszyny i podpalili mury i ludzi.

Na strzelaninę odpowiedział pożar.

Poprzez okna, opatrzone żelazną kratą, widać w na wpół zburzonym skrzydle pałacu rozbite i zawalone gruzem komnaty ceglanej części budynku; w tych komnatach ukryta była gwardia angielska. Spirala schodów, spękana od dołu do góry, wygląda jak wnętrze stłuczonej muszli. Schody mają dwa piętra; oblegani na tych schodach Anglicy zgrupowali się na wyższych stopniach i zerwali niższe. To są te płyty z szarego kamienia, które dziś tworzą w pokrzywach rodzaj pagórka. Jakieś dziesięć stopni trzyma się jeszcze muru; na pierwszym wyryty jest trójząb. Te niedostępne stopnie tkwią mocno na swych miejscach; reszta klatki schodowej przypomina bezzębną szczękę. Obok stoją dwa wiekowe drzewa; jedno jest obumarłe, drugie, choć okaleczone od dołu, pokrywa się w kwietniu zielenią. Od 1815 roku drzewo to puszcza swe pędy na klatkę schodową.

W kaplicy mordowano się wzajemnie. Jej wnętrze, w którym znów zapanował spokój, robi niezwykle wrażenie. Od czasu rzezi nie odprawiano tu mszy. Ołtarz jednak pozostał, zwykły, drewniany ołtarz, wsparty o mur z surowego kamienia. Cztery ściany bielone wapnem, drzwi naprzeciw ołtarza, dwa sklepienie okienka, nad drzwiami wielki drewniany krucyfiks, nad krucyfiksem kwadratowe okienko zatkane wiązką siana, w kącie, na ziemi stara rama z potłuczonym szkłem - tak wygląda ta kaplica. Przy ołtarzu przybita jest drewniana figura św. Anny z XV w.; pocisk zniósł główkę Dzieciątka. Francuzi opanowali na krótki czas kaplicę i, zmuszeni do ustąpienia, podpalili ją. Płomienie ogarnęły stare mury; kaplica stała się jednym paleniskiem; spłonęły drzwi, spłonęła podłoga, drewniany Chrystus nie spłonął. Ogień wyżarł mu nogi, z których pozostały czerniałe kikuty, i zatrzymał się. "Cud" - powiadają okoliczni wieśniacy. Dzieciątko Jezus z odciętą główką mniej miało szczęścia niż Chrystus.

Ściany pokryte są napisami. Przy nogach Chrystusa odczytujemy nazwisko: Henquinez; dalej inne: Conde de Rio Mdior. Marques y Marquesa de Almagro (Rabana). Są również nazwiska francuskie zaopatrzone w wykrzykniki - oznaki gniewu. Ściany pobielono w 1849 roku. Tutaj znieważały się narody.

To właśnie przy drzwiach tej kaplicy znaleziono trupa trzymającego topór w zaciśniętej dłoni. Były to zwłoki podporucznika Legros.

Wychodząc z kaplicy, po lewej ręce mamy studnię. Dwie są studnie na tym podwórzcu. Pytacie, czemu przy jednej z nich nie ma ani wiadra, ani korby? Nie ma, bo nikt nie czerpie z niej wody. A czemu nikt nie czerpie z niej wody? Bo studnia pełna jest szkieletów. Ten, kto ostatni ciągnął z niej wodę, nazywał się Wilhelm van Kylsom. Był to wieśniak, zamieszkały w Hougomont, gdzie był ogrodnikiem. 18 czerwca 1815 roku rodzina jego uciekła i schroniła się w lasach.

Lasy, otaczające opactwo Villers, przez wiele dni i nocy dawały schronienie całej tej nieszczęsnej, rozproszonej ludności. Po dziś dzień pewne ślady, takie jak nadwęglone pnie starych drzew, wskazują miejsca tych leśnych biwaków w głodzie i strachu.

Wilhelm van Kylsom został w Hougomont, "by pilnować zamku", i ukrył się w piwnicy. Tam znaleźli go Anglicy. Wyciągnęli z kryjówki i wylękłego zmusili płazowaniem do posług. Walczącym chciało się pić; Wilhelm przynosił im wodę. Czerpał ją z tej właśnie studni. Wielu piło po raz ostatni w życiu. Studnia, z której piło tylu umarłych, musiała umrzeć sama.

Po bitwie spieszo się z grzebaniem trupów. Śmierć po swojemu nęka zwycięstwo śląc zarazę w ślad za sławą. Tyfus nieodłącznie towarzyszy triumfowi. Studnia była głęboka,

zrobiono z niej grób. Wrzucono do niej ciała trzystu poległych. Może nawet z nadmiernym pośpiechem. Czy wszyscy byli martwi? Legenda mówi, że nie. Podobno nocą po owym pogrzebie słyszano słabe jęki i wołania wydobywające się ze studni.

Studnia ta stoi osobno na środku dziedzińca. Trzy ściany z kamienia i cegły, ustawione jak skrzydła parawanu i tworzące rodzaj czworokątnej wieżyczki, otaczają ją z trzech stron. Z czwartej strony jest wolny dostęp. Tędy czerpano wodę. W murze, w głębi widnieje nieforemny otwór, wybity może przez pocisk. Wieżyczka miała pułap, z którego zostało tylko belkowanie. Mur po prawej stronie spojony jest okuciem żelaznym w kształcie krzyża. Pochylamy się nad studnią i wzrok gubi się w głębokim ceglany walcu, wypełnionym nawarstwionym mrokiem. Dolna część muru dokoła studni ginie w gąszczu pokrzyw.

Studnia ta, podobnie jak wszystkie studnie w Belgii, nie jest ocembrowana szarym kamieniem. Niebieskawą płytę zastępuje tu drewniana poprzeczka, na której wspiera się pięć czy sześć nieforemnych polan, sękatych i jakby stężonych, podobnych do ogromnych kości. Nie ma tam ani cebra, ani łańcucha, ani korby; pozostała jedynie kamienna misa do zlewania wody. Zbiera się w niej woda deszczowa, czasem ptak z sąsiednich lasów napije się tu i odleci.

Dom stojący wśród zabudowań gospodarczych jest jedynym zamieszkanym budynkiem w tych ruinach. Drzwi domu wychodzą na dziedziniec. U zamka tych drzwi tkwi ukośnie trójlistna żelazna klamka. W chwili gdy porucznik Wilda z Hanoweru chwycił za tę klamkę, by schronić się na fermie, saper francuski odrąbał mu dłoń uderzeniem topora.

Rodzina, która mieszka w tym domu, pochodzi od dawno już zmarłego ogrodnika van Kylsoma. Siwowłosa kobieta tak opowiada: "Byłam tu wtedy. Miałam trzy lata. Moja starsza siostra bała się bardzo i płakała. Zaprowadzono nas do lasu. Matka niosła mnie na ręku. Przykładało się ucho do ziemi, żeby nasłuchiwać. Udawałam strzały armatnie i wołałam: bum! bum!"

Jak już wspomnieliśmy, drzwi po lewej stronie dziedzińca prowadzą do sadu.

Straszny to sad.

Dzieli się on na trzy części, rzecz by prawie można, na trzy akty. Pierwsza część to ogród, druga - sad, trzecia - zagajnik. Wszystkie trzy części mają wspólne ogrodzenie: od wejścia - zamek i zabudowania gospodarcze, po lewej stronie - żywopłot, po prawej - mur, w głębi - mur. Mur po prawej stronie jest z cegły, mur w głębi z kamienia. Najpierw wchodzi się do ogrodu, który położony jest najniżej, obsadzony porzeczkami, zarosły dziką roślinnością i zamknięty monumentalnym murem z ciosanego kamienia, zakończonym kolumnkami o

podwójnym wybrzuszeniu. Był to niegdyś ogród magnacki w starym stylu francuskim, poprzedzającym styl Le Netre'a; dziś ciernie i gruz. Kolumnienki ozdobione są kulistymi głowicami z kamienia, podobnymi do kuł armatnich. Czterdzieści trzy tkwi jeszcze na postumentach, reszta leży w trawie. Prawie wszystkie są porysowane przez kule; jedna z nich zwisa na swym postumencie, jak złamana noga.

Do tego to ogrodu, położonego niżej niż sad, wdarło się, bez możliwości odwrotu, sześciu wołyżerów z pierwszego pułku; złapani i osaczeni, jak niedźwiedzie w potrzasku, podjęli walkę przeciw dwom kompaniom hanowerskim, z których jedna uzbrojona była w karabiny. Hanowerczycy, ukryci za kolumnienkami, prażyli ich ogniem z góry. Nieustraszeni wołyżerowie, sześciu przeciwko dwustu, ostrzeliwując się z dołu i mając za osłonę jedynie krzaki porzeczek, bronili się do ostatniego przez cały kwadrans.

Z ogrodu wchodzi się po kilku stopniach do właściwego sadu. Tu, na tych paru piędziach ziemi w niespełną godzinę padło pięciuset ludzi. Mur wydaje się gotów do nowej walki. Jest w nim jeszcze trzydzieści osiem strzelnic wybitych na różnej wysokości przez Anglików. Pod szesnastą strzelnicą dwa angielskie groby z granitu. Strzelnice przebito tylko w murze południowym; stąd bowiem szło główne natarcie. Z zewnątrz mur osłonięty jest wysokim żywopłotem. Francuzi podeszli myśląc, że mają przed sobą tylko żywopłot, przedarli się przezeń i natknęli się na ten mur, przeszkodę i zasadzkę zarazem; bowiem za murem była gwardia angielska, trzydzieści osiem strzelnic ziejących równocześnie ogniem, grad kul i kartaczy. Uderzenie brygady Sove'a załamało się. Tak zaczęło się Waterloo.

A jednak sad został zdobyty. Nie mając drabin, Francuzi wdzierali się czepiając się pazurami krawędzi muru. Pod drzewami wrzała walka wręcz. Cała trawa przesiąknięta była krwią. Batalion z Nassau, liczący siedmiuset ludzi, został tam doszczętnie zniesiony. Z zewnątrz mur, na który wycelowane były dwie baterie Kellermanna, jest wygryziony przez kartacze.

A przecież w maju i ten sad, jak i wszystkie inne, posłuszny jest prawom wiosny. Rosną w nim jaskry i stokrocie, wysoka trawa krzewi się bujnie, pasą się konie fornalskie, rozpięte między drzewami konopne sznury, na których suszy się bielizna, zmuszają do schylania głowy; gdy chodzi się po tym ugorze, noga zapada w kretowiska. Wśród trawy widać drzewo wyrwane z korzeniami, powalone, a zieleniejące. O to drzewo wsparł się konając major Blackman. Tuż obok, pod wielkim drzewem, padł generał niemiecki Duplat, pochodzący z francuskiej rodziny, która wyemigrowała po odwołaniu Edyktu nantejskiego. Opodal kłoni się ku ziemi stara, ranna jabłoń, przewiązana bandażem ze słomy i gliny. Wszystkie prawie jabłonie chylą się ze starości. W każdej tkwi kula lub odłamek kartacza.

Pełno w tym sadzie szkieletów drzew umarłych. Kruki krążą wśród gałęzi, a w głębi jest lasek pełen fiołków.

Bauduin zabity, Foy ranny, pożar, masakra, rzeź, krew angielska, krew niemiecka, krew francuska płyną jednym wezbranym strumieniem; studnia pełna trupów; pułki nassauski i brunszwicki zniesione, Duplat zabity, Blackman zabity, gwardia angielska rozbita, z czterdziestu francuskich batalionów korpusu Reille'a dwadzieścia zdziesiątkowanych; w tej jednej ruderze Hougomont trzy tysiące ludzi rozniesionych na szablach, porąbanych, uduszonych, wystrzelanych, spalonych, a to wszystko po to, by dziś jakiś wieśniak mógł rzec jakiemuś podróżnemu: *“Dajcie mi, panie, trzy franki, a jeśli chcecie, opowiem, jak to było z tym Waterloo”*.

### III

#### 18 czerwca 1815 roku

Korzystając z uprawnień powieściopisarza cofnijmy się wstecz i powróćmy do 1815 roku, a nawet do czasów nieco wcześniejszych niż początek naszej powieści opowiedzianej w pierwszej części tej książki. Gdyby w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 roku nie padał był deszcz, przyszłość Europy wyglądałaby inaczej. Parę kropli dżdżu zaważyło na losach Napoleona. Opatrzność potrzebowała trochę deszczu, by Waterloo stało się epilogiem Austerlitz; wystarczyło jednej chmury przeciągającej po niebie wbrew zwyczajom tej pory roku, by runął świat.

Bitwa pod Waterloo mogła zacząć się dopiero o wpół do dwunastej przed południem, co pozwoliło Blücherowi przybyć na czas. Dlaczego? Dlatego że grunt był rozmokły i trzeba było zaczekać, aż nieco obeschnie, by artyleria mogła się swobodnie poruszać.

Napoleon był oficerem artylerii i zawsze nim pozostał. W gruncie rzeczy, w tym wielkim wodzu tkwił człowiek, który po bitwie pod Abukir napisał w raporcie do Dyrektoriatu: "Jeden z naszych pocisków zabił sześciu ludzi". Wszystkie plany swoich bitew układał dla pocisku artyleryjskiego. Tajemnica jego zwycięstw polegała na koncentrowaniu ognia artyleryjskiego na obranym punkcie. Do strategii nieprzyjacielskiego dowódcy przystępował jak do twierdzy i na nią kierował ogień dział. Kierował nasilenie ognia na najsłabszy punkt. Działem rozpoczynał i działem rozstrzygał bitwy. Ogień artyleryjski był w jego geniuszu. Rozbijać czworoboki, znosić pułki, przełamywać linię frontu, kruszyć i rozpraszać masy ludzkie, uderzać, uderzać, uderzać bez ustanku - to zadanie powierzał pociskom. Ta straszliwa metoda połączona z geniuszem przez piętnaście lat uczyniła niezwyciężonym posepnego mistrza zapasów wojennych.

18 czerwca 1815 roku tym bardziej liczył na artylerię, że miał za sobą przewagę liczebną. Wellington miał bowiem tylko sto pięćdziesiąt dziewięć dział. Napoleon - dwieście czterdzieści.

Gdyby grunt był suchy i artyleria mogła się posuwać, działania rozpoczęłyby się o szóstej rano. Bitwa byłaby wygrana i skończona o drugiej, na trzy godziny przed przystąpieniem Prusaków do walki.

Ile było w tej przegranej winy Napoleona? Czy katastrofę okrętu należy przypisywać

sternikowi?

Czy wyraźny upadek sił fizycznych Napoleona łączył się w tym czasie z pewnym upadkiem sił duchowych? Czy dwadzieścia lat wojen zużyło w tym samym stopniu klingę co pochwę? Ducha co ciało? Czy już, niestety, weteran brał górę nad wodzem? Słowem, czy gasł już jego geniusz, jak sądzi wielu znakomitych historyków? Czy szaleństwem chciał pokryć przed sobą własną swoją słabość? Czy zaczynał chwiać nim pęd nieodgadnionych wydarzeń? Czy - rzecz zgubna dla wodza - nie dostrzegał już niebezpieczeństwa? Czy geniusz wielkich ludzi czynu, których można by nazwać tytanami działania, zanika wraz z wiekiem? Nad geniuszami ducha starość nie ma władzy; dla takich ludzi, jak Dante czy Michał Anioł, starość oznacza pełnię rozwoju; czy dla Hannibalów i Bonapartych oznacza ona zmierzch? Czy Napoleon zatracił zmysł wygranej? Czy doszedł już do tego, że nie rozpoznawał ukrytej rafy, nie domyślał się podstępu, nie dostrzegał usuwającego się spod stóp stromego brzegu przepaści? Czy nie umiał już wyczuć grożącej zguby? On, który dawniej znał wszystkie drogi wiodące do zwycięstwa, on, który z wysokości swego rydwanu z błyskawic wskazywał je władcą ręką, czyżby teraz w złowrogim zaślepieniu kierował ku przepaści zgiełkliwy zaprzęg swoich legii? Miałżeby w wieku lat czterdziestu sześciu popaść w jakiś straszliwy obłąd? Miałżeby ten tytaniczny woźnica przeznaczenia być już tylko wielkim szaleńcem?

Nie sądzimy, by tak było.

Zdaniem wszystkich, jego plan bitwy był arcydziełem. Uderzyć w sam środek frontu sprzymierzonych, przebić linię wroga, rozerwać ją na dwie części, odrzucić formacje brytyjskie na Hal, a formacje pruskie na Tongres, uczynić z Wellingtona i Blüchera dwa kikuty, zdobyć Mont-Saint-Jean, zająć Brukselę, zepchnąć Niemca do Renu, a Anglika do morza - takie było, według Napoleona, zadanie tej bitwy. Później pomyślałby, co dalej.

Autor nie ma, rzecz jasna, ambitnego planu pisania tu historii Waterloo; jedna z kluczowych scen dramatu, który jest przedmiotem naszej opowieści, wiąże się z tą bitwą, ale jej historia nie należy do powieści. Zresztą, historia bitwy pod Waterloo została już napisana, i to po mistrzowsku, z jednego punktu widzenia przez Napoleona, z innego - przez całą plejadę historyków\*. Niech więc historycy spierają się ze sobą; my patrzymy z daleka oczyma świadka, przechodnia przemierzającego tę równinę, badacza pochylonego nad tą ziemią, przesyconą krwią ludzką, biorącego, być może, pozory za rzeczywistość; nie mamy prawa w imieniu nauki parać się z całokształtem faktów, niekiedy na pewno zwodniczych, nie posiadając ani doświadczenia wojskowego, ani znajomości strategii, nie jesteśmy więc upoważnieni do wyciągania wniosków. Według nas, splot przypadkowych okoliczności

zaważył na Waterloo bardziej niż obaj dowódcy. A jeśli chodzi o przeznaczenie, tego tajemniczego winowajcę, osądzamy je podobnie, jak to czyni lud, ten sędzia naiwny.

---

\* Walter Scott, Lamartine, Vaustabelle, Charras, Quinet, Thiers. (Przyp. aut.)

## IV

### “A”

Kto chce mieć dokładne pojęcie o bitwie pod Waterloo, niech sobie wyobrazi nakreślone na ziemi duże “A”. Lewa odnoga litery jest drogą do Nivelles, prawa - drogą do Genappe; środkowe wiązanie to biegnąca wąwozem droga z Ohain do Braine-l'Alleud. Wierzchołkiem owego, “A” jest Mont-Saint-Jean, tam znajduje się Wellington; punkt u podstawy z lewej strony to Hougomont, tam jest Reille z Hieronimem Bonaparte; punkt u podstawy z prawej to Belle-Alliance; tam jest Napoleon. Nieco poniżej miejsca, w którym środkowe wiązanie przecina się z prawą odnogą “A”, znajduje się Haie-Sainte. Pośrodku wiązania jest właśnie to miejsce, w którym ostatecznie rozstrzygnęły się losy bitwy. Tam postawiono kamiennego lwa, niezamierzony symbol najwyższego bohaterstwa gwardii cesarskiej.

Trójkąt szczytu “A”, zawarty między dwoma odnogami a środkowym wiązaniem, jest płaskowzgórzem Mont-Saint-Jean. Cała bitwa była walką o to płaskowzgórze.

Skrzydła obu armii rozpościerają się poza trakty do Genappe i do Nivelles, w prawo i w lewo; d'Erlon stoi naprzeciwko Pictona, Reille naprzeciw Hilla.

Poza wierzchołkiem “A”, poza płaskowzgórzem Mont-Saint-Jean ciągną się lasy Soignes.

Sama zaś równina to falisty teren, którego każde następne wzniesienie jest wyższe od poprzedniego, a wszystkie, wznosząc się w kierunku Mont-Saint-Jean, dochodzą aż do lasu.

Dwa wojska nieprzyjacielskie na polu bitwy to dwaj zapaśnicy mocujący się ze sobą. Jeden stara się zepchnąć drugiego z pozycji. Czepiają się wszystkiego: każdy krzak jest punktem oporu, każdy węgiel - szańcem; w braku lepianki stanowiącej punkt oparcia ustępują całe pułki; obniżenie równiny, falistość terenu, poprzeczna ścieżka napotkana we właściwym momencie, lasek, wąwóz, mogą podeprzeć piętę kolosa, zwanego armią, i pozwolić mu dotrzymać placu. Kto się cofa, jest pobity. Dlatego odpowiedzialny dowódca powinien zbadać każdą najmniejszą kępę drzew, każdą nierówność terenu.

Obaj dowódcy dokładnie przestudiowali równinę Mont-Saint-Jean, zwaną dziś równiną Waterloo. Przed rokiem już Wellington, przewidując wnikliwie, że równina ta może stać się polem wielkiej bitwy, starannie zbadał teren.

Na tym terenie i w tym pojedynku 18 czerwca Wellington miał lepszą pozycję, Napoleon gorszą. Armia angielska znajdowała się wyżej, armia francuska - niżej.

Po co opisywać, jak wyglądał Napoleon o świcie 18 czerwca 1815 roku na wyniosłości Rossomme, z lunetą w ręku? Zanim zdołamy to uczynić, każdy ma go już przed oczami. Spokojny profil pod małym kapeluszem szkoły z Brienne, zielony mundur, białe wyłogi zakrywające gwiazdę orderu, szary surdut zasłaniający szlify, koniec czerwonej wstęgi wysuwający się spod kamizelki, skórzane spodnie, siwy koń okryty purpurowym, aksamitnym czaprakiem, znaczone w rogu dużą literą N z koroną i orłami, długie buty wciągnięte na jedwabne pończochy, srebrne ostrogi, szabla spod Marengo, cała postać ostatniego z cesarów stoi przed oczyma wyobraźni, uwielbiana przez jednych, potępiana przez drugich.

Postać ta długi czas była cała w blasku, albowiem pewien cień legendy, rzucany zazwyczaj przez bohaterów, przysłania w mniejszym lub większym stopniu prawdę historyczną; dziś jednak historia i światło jawią się niczym nie zafałszowane.

Historia, światło nieubłagane, ma tę niezwykłą i boską właściwość, że będąc sama światłem, i dlatego właśnie że jest światłem, kładzie cienie tam, gdzie dotychczas były tylko blaski; z jednego człowieka robi dwa różne widma, które zmagają się ze sobą, wymierzają sobie sprawiedliwość; ciemności otaczające despotę walczą z olśniewającą jasnością bijącą od wodza. Stąd słuszniejsza miara w ostatecznej ocenie narodów. Pogwałcenie Babilonu pomniejsza Aleksandra, spętanie Rzymu pomniejsza Cezara; zagłada Jerozolimy pomniejsza Tytusa. Tyrania idzie w trop za tyranem. Biada człowiekowi, który pozostawia za sobą ciemność przybierającą jego postać.

## Quid obscurum bitew

Wszyscy znają pierwszą fazę tej bitwy; jej początek zagmatwany, mglisty, niepewny, groźny dla obu armii, ale dla Anglików bardziej jeszcze niż dla Francuzów. Przez całą noc padał deszcz; ulewa rozmyła ziemię; tu i ówdzie woda zebrała się w zagłębieniach gruntu jak w wielkich misach; w niektórych miejscach wozy taborów grzęzły po osie; popręgi ociekały błotnistą mazią; gdyby zboża, położone przez cizbę jadących wozów, nie wyścieliły kolein tworząc rodzaj pomostu pod kołami, wszelki ruch byłby niemożliwy, zwłaszcza w dolinach od strony Papelotte.

Akcja rozpoczęła się późno; jak wyjaśniliśmy, Napoleon zwykł był trzymać artylerię w ręku jak pistolet, którym mierzył to w ten, to w tamten punkt bitwy, dlatego właśnie postanowił czekać, aż baterie artylerii konnej będą mogły swobodnie posuwać się i pędzić, a do tego musiało się ukazać słońce i obsuszyć ziemię. Lecz słońce się nie ukazało. To już nie było spotkanie pod Austerlitz. Gdy padł pierwszy strzał armatni, generał angielski Colville spojrział na zegarek i stwierdził, że jest pięć minut po wpół do dwunastej.

Natarcie na Hougomont zostało rozpoczęte przez lewe skrzydło francuskie z zaciekłością może większą, niżby życzył sobie tego cesarz. Równocześnie Napoleon zaatakował centrum rzucając brygadę Quiota na Haie-Sainte, Ney zaś pchnął prawe skrzydło francuskie przeciwko lewemu skrzydłu angielskiemu, wspierającemu się o Papelotte.

Natarcie na Hougomont kryło w sobie podstęp: ściągnąć tam Wellingtona i przesunąć punkt ciężkości jego poczynań na lewo, taki był plan. Plan ten byłby się powiódł, gdyby cztery kompanie gwardii angielskiej i waleczni Belgowie z dywizji Perponchera nie stali tak twardo na swych pozycjach; dzięki nim Wellington, zamiast skupić tam wszystkie swoje siły, mógł poprzestać na wysłaniu posiłków złożonych z czterech innych kompanii gwardii i jednego batalionu brunszwickiego.

Uderzenie prawego skrzydła francuskiego na Papelotte było gwałtowne. Złamać lewe skrzydło angielskie, przeciąć drogę do Brukseli, nie dopuścić Prusaków, gdyby ewentualnie nadciągnęli, zdobyć Mont-Saint-Jean, zepchnąć Wellingtona na Hougomont, stąd zaś na Braine-l'Alleud i dalej na Hal - nic prostszego. W zasadzie, oprócz kilku incydentów, uderzenie to powiodło się. Wzięto Papelotte; zdobyto Haie-Sainte.

I tu szczególnie godny zanotowania. W piechocie angielskiej, zwłaszcza w brygadzie Kempta, było wielu młodych żołnierzy. Żołnierze ci dzielnie stawili czoło naszej straszliwej piechocie i mimo swego niedoświadczenia walczyli nieustraszenie. Szczególnie odznaczyli się w tyralierce; żołnierz zaś walczący w tyralierze, w dużym stopniu zdany sam na siebie, staje się, rzecz można, swoim własnym dowódcą. Żołnierze ci wykazali przedsiębiorczość i zaciekłość właściwą Francuzom. Ci nowicjusze walczyli z fantazją. Nie podobało się to Wellingtonowi.

Po wzięciu Haie-Sainte losy bitwy zachwiały się.

Jest w tym dniu między południem a czwartą coś niejasnego, środkowa faza bitwy jest mglista i gubi się w zamęcie starcia. Zmierzch zapada. W tej mgle widać falujące płaszczyzny, oszałamiające miraży, ówczesny sprzęt wojenny, dziś już prawie nie znany, kołpaki z chwastami, powiewające szabeltasy, skrzyżowane lederwerki, ładownice na granaty, dolmany huzarów, czerwone buty z miękkimi cholewkami, ciężkie czapki przybrane kordonami, prawie czarna piechota brunszwicka pomieszana z czerwoną piechotą angielską, żołnierze angielscy z dwoma białymi, półkolistymi wałkami na rękawach zamiast epoletów, szwoleżerowie hanowerscy w skórzanych podłużnych kaskach z miedzianymi okuciami i czerwonymi kitami, Szkoci z gołymi kolanami, w kraciastych pledach, wysokie, białe getry naszych grenadierów - to obrazy, a nie linie strategiczne, coś dla Salvatora Rosa, a nie dla Gribeauvala.

Bitwa ma w sobie zawsze coś z burzy.

*Quid obscurum, quid divinum.\** Każdy historyk kreśli trochę według własnego upodobania zarysy tego kłębowiska. Niezależnie od zamiarów wodzów starcie mas walczących jest zawsze nieobliczalne.

W czasie akcji plany obu wodzów krzyżują się i zniekształcają nawzajem. Ten odcinek bitwy pożera więcej ofiar niż tamten, podobnie jak grunt, zależnie od swojej chłonności, wypija szybciej lub wolniej wylaną nań wodę. Trzeba tam rzucić więcej żołnierzy, niżby się chciało. Strat tych z góry niepodobna przewidzieć. Linia bojowa chwieje się i wije jak nić; płyną strumienie krwi, falowaniu frontu armii obca jest logika; pułki wchodzące lub wychodzące z akcji tworzą przylądki, zatoki, rafy, będące w ustawicznym ruchu. Tam gdzie była piechota, przychodzi artyleria; gdzie była artyleria, pędzi jazda; bataliony są jak dym. Próżno szukać tego, co tu było przed chwilą, już znikło; przejaśnienia zjawiają się i gasną; ciemne fale przelewają się tam i z powrotem; jakiś wicher wiejący wprost z mogiły pcha, odpycha, wzdyma i rozprasza te tragiczne tłumy.

Czymże jest walka? Ciągła fluktuacja. Nieruchomość planu strategicznego wyobraża minutę, nie dzień. By odmalować bitwę, potrzeba potężnych malarzy, którzy by pędzel maczali w chaosie; Rembrandt lepszy tu będzie niż Van der Meulen. Van der Meulen, który jest wierny w południe, kłamie o godzinie trzeciej. Geometria zwodzi; jedynie huragan zna prawdę. I to właśnie upoważnia Folarda do tego, by miał odmienne zdanie niż Polibiusz. Dodajmy jeszcze, że w pewnej chwili bitwa degeneruje się, staje się walką, pojedynkiem i rozbija na niezliczoną ilość drobnych faktów, które - by użyć wyrażenia samego Napoleona - "należą raczej do kroniki poszczególnych pułków niż do historii armii". W takim wypadku historyk, oczywiście, ma prawo generalizować. Może chwycić jedynie ogólne zarysy walki, nie jest bowiem dane żadnemu pisarzowi, nawet najbardziej sumiennemu, zamknąć w ostateczną formę tej przerażającej zawieruchy, której na imię bitwa.

To, co jest prawdziwe w stosunku do wszystkich wielkich starć orężnych, odnosi się zwłaszcza do Waterloo.

Po południu nadeszła wszakże chwila, w której bitwa zarysowała się wyraźnie.

---

\* Coś niejasnego, coś boskiego.

## VI

### O czwartej po południu

Okolo czwartej sytuacja armii angielskiej byla powazna. Ksiazę Orański dowodzil centrum, Hill prawym skrzydłem, Picton zaś lewym. Ksiazę Orański, nieustraszony, rozszalały, nawoływał oddziały holendersko-belgijskie: "Nassau! Brunszwik! ani kroku w tył!" Hill, osłabiony, szukał oparcia u Wellingtona, Picton poległ. W tej właśnie chwili, kiedy Anglicy zdobyli sztandar 105 pułku piechoty, od kuli francuskiej padł, ugodzony w głowę, generał Picton.

Wellington miał w tej bitwie dwa główne punkty oparcia: Hougomont i Haie-Sainte; Hougomont płonęło, lecz trzymało się jeszcze, Haie-Sainte padło. Z niemieckiego batalionu, który bronił tej pozycji, pozostało tylko czterdziestu dwóch ludzi; wszyscy oficerowie, z wyjątkiem pięciu, polegli lub dostali się do niewoli. Trzy tysiące ludzi wyrzynało się w tej stodole. Pewien sierżant gwardii angielskiej, najlepszy pięściarz Anglii, którego, zdaniem jego towarzyszy, nie imają się kule, zginął tam z rąk małego francuskiego dobosza. Baring został odepchnięty, Alten rozniesiony na szablach.

Stracono wiele sztandarów, między innymi sztandar dywizji Altena oraz sztandar batalionu luneburskiego, niesiony przez księcia Zweibrecken. Szarzy Szkoci przestali istnieć; olbrzymi dragoni Ponsonby'ego zostali rozniesieni na szablach. Dzielna ta jazda ugięła się pod naporem lansjerów de Bro i kirasjerów de Traversa; z tysiąca dwustu koni pozostało sześćset, z trzech pułkowników - dwóch leżało na ziemi: Hamilton ranny, Mater zabity. Padł Ponsonby, siedmiokrotnie przeszyty lancami; zginął Gordon, zginął Marsh. Dwie dywizje, piąta i szósta, zostały unicestwione.

Po udanym ataku na Hougomont i zdobyciu Haie-Sainte pozostawało tylko jedno ogniwo: centrum. Ogniwo to trzymało się ciągle. Wellington je wzmocnił. Ściągnął tam Hilla z Merbe-Braine, ściągnął tam Chassego z Braine-l'Alleud.

Środek armii angielskiej, nieco wklęsły i składający się ze zwartych i gęsto skupionych szeregów, stanowił mocną pozycję. Zajmował płaskowzgórze Mont-Saint-Jean, mając za sobą wieś, a przed sobą zbocze wzgórza, wówczas dość strome. Opierał się o dom z kamienia, stojący na rozstaju dróg, a należący w tym czasie do dóbr dominialnych Nivelles. Była to budowla z szesnastego wieku, tak potężna, że kule odbijały się od niej nie czyniąc jej

szkód. Wokół płaskowzgórza Anglicy przetrzebili tu i ówdzie żywopłoty, porobili w tarninie strzelnice, umieścili lufy armatnie między gałęziami, powycinali blanki w zwartej gęstwinie. Zarośla maskowały pozycje ich artylerii. Ta punicka robota, pozostająca w całkowitej zgodzie z prawem wojennym, które dopuszcza podstęp, była tak dobrze wykonana, że Haxo, wysłany przez cesarza o dziewiątej rano na rozpoznanie baterii nieprzyjacielskich, nic nie dostrzegł i doniósł Napoleonowi, że poza dwiema barykadami, tarasującymi drogi do Nivelles i do Genappe, nie widać żadnych przeszkód. W tej porze roku zboża są wysokie; na skraju płaskowzgórza jeden z batalionów brygady Kempta (95) leżał w zbożu, uzbrojony w karabiny.

Tak umocniony i zabezpieczony środek armii angielsko-holenderskiej był w dobrym położeniu.

Tej pozycji zagrażał jedynie las Soignes, przylegający wówczas do pola bitwy i poprzecinany stawami Groenendael i Boitsford. Wojsko nie mogłoby wycofywać się tamtędy w szyku zwartym; pułki musiałyby natychmiast pójść w rozsypkę, a artyleria ugrzęznąć w bagnach. Zdaniem wielu specjalistów wojskowych - choć nie brak i takich, którzy temu przeczą - odwrót przemieniłby się w bezładną ucieczkę.

Wellington wzmocnił centrum brygadą Chassego, ściągniętą z prawego skrzydła, brygadą Wincke'a, ściągniętą z lewego, i dywizją Clintona. Do swych formacji angielskich, do pułków Halketta, do brygady Mitchella i do gwardii pozostającej pod dowództwem Maitlanda przydzielił, jako odwód i ubezpieczenie flanków, piechotę brunszwicką, oddziały nassauskie, hanowerczyków Kielmansegge'a i Niemców Omptedy. W ten sposób miał pod ręką dwadzieścia sześć batalionów. "Prawe skrzydło - jak powiada Charras - zostało przerzucone za centrum". W miejscu, które obecnie zwie się "muzeum Waterloo", stała potężna bateria, zamaskowana worami z piaskiem. Ponadto Wellington ukrył za niewielkim wzniesieniem terenu dragonów gwardii Somerset w liczbie tysiąca czterystu koni. Była to druga połowa jazdy angielskiej, cieszącej się zasłużoną sławą. Po rozbiciu Ponsonby'ego pozostawał jeszcze Somerset.

Gdyby prace przy tej baterii doprowadzono do końca, pozycja ta stałaby się niemal twierdzą; działa ustawione były za niskim murem ogrodowym, naprędce zakrytym workami z piaskiem i szerokim wałem ziemnym. Robót tych jednak nie ukończono; z braku czasu nie zbudowano palisady.

Wellington, niespokojny, lecz na pozór niewzruszony, nie zsiadł przez cały dzień z konia i nie opuścił swojego stanowiska przed starym młynem w Mont-Saint-Jean. Młyn ten, istniejący po dziś dzień, stał wówczas pod osłoną wiązu, który później jakiś Anglik, wandal i

entuzjasta zarazem, kupił za dwieście franków, kazał ściąć i zabrał ze sobą. Tam stał Wellington, zimny i bohaterski. Wokół sypał się grad pocisków. Tuż obok Wellingtona padł jego adiutant Gordon. Lord Hill, wskazując pękający granat, zapytał: “Milordzie, jakie pozostawiasz nam instrukcje i rozkazy, jeśli dasz się tu zabić?” “Czynić to, co ja!” - odrzekł Wellington, a zwracając się do Clintona dodał lakonicznie: “Trzymać się tutaj do ostatniego żołnierza”.

Sprawy zaczęły wyraźnie przybierać zły obrót. Wellington nawoływał swych dawnych towarzyszy spod Talavery, Victorii i Salamanki “Boys! pamiętajcie o starej Anglii!”

Około czwartej linia wojsk angielskich załamała się, na wyniosłości płaskowzgórza widać już było tylko artylerię i tyralierę piechoty; reszta znikła; pułki nękanie przez granaty i kule francuskie cofnęły się w dolinę, tam gdzie biegnie jeszcze dziś ścieżka z fermy Mont-Saint-Jean. Rozpoczął się ruch odwrotny, front angielski łamał się, Wellington ustępował.

- Początek odwrotu - zawołał Napoleon.

## VII

### Napoleon w dobrym humorze

Tego dnia cesarzowi humor dopisywał jak nigdy, mimo że był cierpiący, co utrudniało mu dosiadanie konia. Od samego rana jego nieprzenikniona twarz jaśniała uśmiechem. 18 czerwca 1815 roku ta głęboka dusza, ukryta pod marmurową maską, promieniowała radością, jakby zaślepiona. Człowiek, który był posępny pod Austerlitz, wesoły był pod Waterloo. Najwięksi wybrańcy losu popełniają takie omyłki. Nasze radości są utkane z cienia. Ostatni uśmiech należy do Boga.

“Ridet Caesar, Pompeius flebit”<sup>\*</sup> - mawiali żołnierze z legii Fulminatrix. Tym razem Pompejusz nie miał płakać, ale Cezar śmiał się.

Gdy ubiegłej nocy wśród deszczu i burzy Napoleon, badając konno wraz z Bertrendem wzniesienia wokół Rossomme, spoglądał z zadowoleniem na długą linię ognisk angielskich, oświetlających cały widnokrąg od Frischemont aż po Braine-l'Alleud, wydawało mu się, że los, któremu nazaczył spotkanie na polu Waterloo, nie omieszkał się stawić. Zatrzymał konia i trwał przez pewien czas bez ruchu, wpatrując się w błyskawice i przysłuchując gromom; i usłyszano, jak ten fatalista rzucił w ciemność tajemnicze słowa: “Jesteśmy w zgodzie!” Mylił się. Nie byli już w zgodzie.

Nie spał ani chwili, każda minuta tej nocy była dlań przepojona radością. Przebiegł całą linię czat głównych zatrzymując się tu i ówdzie, by pomówić z czujkami. O wpół do trzeciej nie opodal lasu Hougomont usłyszał miarowy krok kolumny w marszu; przez chwilę pomyślał, że Wellington się wycofuje, i rzekł do Bertranda: “To angielska straż tylna zwija obozy! wezmę do niewoli sześć tysięcy Anglików, którzy świeżo przybili do Ostendy!” Mówił z wylewnością, odzyskał animusz z 1 marca, kiedy to po wylądowaniu, wskazując wielkiemu marszałkowi rozentuzjasmowanego wieśniaka z zatoki Juan, zawołał: “Widzisz, Bertrand! mamy już posiłki!” W nocy z 17 na 18 czerwca Napoleon pokpiwał sobie z Wellingtona. “Trzeba dać nauczkę temu Angielczykowi!” - powiedział. Deszcz wzmagął się; gdy cesarz mówił, grzmiało.

O w pół do czwartej nad ranem Napoleon stracił jedno złudzenie; oficerowie, wysłani na zwiady, donieśli mu, że w obozie nieprzyjacielskim nie widać żadnego ruchu, wszystko

---

<sup>\*</sup> Cezar się śmieje, Pompejusz będzie płakał.

stoi w miejscu, na biwakach nie wygaszono żadnego ogniska. Armia angielska spała. Głęboka cisza spowijała ziemię, tylko niebo było niespokojne.

O czwartej podjazd przyprowadził wieśniaka; wieśniak ten został użyty jako przewodnik przez jedną z brygad kawalerii angielskiej, prawdopodobnie brygadę Viviena, ciągnącą na stanowisko we wsi Ohain, najdalej wysuniętej pozycji na lewym skrzydle. O piątej dwóch dezertersów belgijskich doniosło cesarzowi, że opuścili niedawno swój oddział i że armia angielska gotowa jest do przyjęcia bitwy. “Tym lepiej - zawołał Napoleon - wolę ich zdruzgotać niż gonić przed sobą”.

Rano na skarpie, w miejscu gdzie droga zakręca do Plancenoit, zeskoczył z konia wprost w błoto, kazał sobie przynieść z fermy w Rossomme kuchenny stół i zydę, zasiadł mając pod nogami zamiast kobierca wiązkę słomy, rozłożył na stole mapę pola bitwy i rzekł do Soula: “Piękna szachownica, co?”

Po nocnym deszczu wozy z furazem ugrzęzły na rozmiękłych drogach i nie zdążyły rano nadejść na czas; żołnierz był niewyspany, przemoczony i głodny; nie przeszkodziło to Napoleonowi odezwać się wesoło do Ney: “Mamy dziewięćdziesiąt szans na sto!” O ósmej przyniesiono cesarzowi śniadanie. Zaprosił do stołu kilku generałów. Pożywiając się opowiadano, że Wellington był poprzedniego dnia na balu w Brukseli u księżnej de Richmond, na co Soult, surowy żołnierz o twarzy dostojnika kościelnego, rzekł: “Bal będzie dzisiaj!” Cesarz wyśmiał Ney, który twierdził, że “Wellington nie będzie tak naiwny, by czekać na waszą cesarską mość”. Był to zresztą jego zwykły sposób bycia. “Napoleon chętnie żartował” - powiada Fleury de Chaboulon. “Miał w gruncie rzeczy wesołe usposobienie” - powiada Gourgaud. “Sypał obficie konceptami raczej dziwacznymi niż dowcipnymi” - powiada Benjamin Constant. Warto się chwilę zatrzymać nad wesołością tego tytana. To on nazywał swych grenadierów “mrukami”, ciągnął ich żartobliwie za uszy lub za wąsy. “Cesarz zawsze płał nam figle!” - to słowa jednego z nich. Podczas utrzymywanej w tajemnicy przeprawy z wyspy Elby do Francji bryg “Inconstant”, na którym ukrywał się Napoleon, spotkał na pełnym morzu w dniu 27 lutego wojenny bryg francuski “Zephir”. Spotkany statek zapytał o wiadomości o Napoleonie; cesarz, wówczas jeszcze w swoim kapeluszu, z białą-amarantową kokardą usianą pszczołami, który nosił na Elbie, ze śmiechem wziął do rąk tubę i odpowiedział sam: “Cesarz cieszy się dobrym zdrowiem”. Kto tak potrafi się śmiać, temu zwykło sprzyjać szczęście. Napoleon śmiał się podobnie niejednym razem podczas śniadania pod Waterloo. Po śniadaniu skupił się na kwadrans, po czym podyktował rozkaz dzienny dwom generałom, którzy z piórem w rękę i kartką papieru na kolanach przysiedli na wiązce słomy.

Gdy o godzinie dziewiętej armia francuska, ugrupowana w pięciu kolumnach, ruszyła w rozwiniętym szyku bojowym, dywizje w dwóch rzutach, artyleria między brygadami, na czele orkiestra wybijająca takt uderzeniem bębnow i graniem trąbek - armia potężna, wielka, radosna, morze kasków, szabel i bagnatów, wzruszony cesarz zawołał dwukrotnie: “Wspaniała! wspaniała!”

Od dziewiętej do wpół do jedenastej, rzecz prawie nie do wiary, cała armia francuska zdążyła zająć pozycje, zgrupowana w sześciu liniach, tworząc “figurę sześciu V”, by użyć tu wyrażenia samego cesarza. W parę chwil po uformowaniu linii frontu, wśród - jak przed burzą - głębokiej ciszy, która poprzedza zgiełk bitewny, obserwując trzy baterie dwunastek, wydzielone na jego rozkaz z korpusu d'Erlona, Reille'a i Lobau i mające rozpocząć akcję uderzeniem na Mont-Saint-Jean, tam gdzie krzyżują się drogi do Nivelles i Genappe, cesarz rzekł klepiąc po ramieniu Haxo: “Oto dwadzieścia cztery piękne dziewczęta, generale”.

Pewny powodzenia, uśmiechem dodawał odwagi defilującej przed nim kompanii saperów z pierwszego korpusu, przeznaczonej do obsadzenia i umocnienia się w Mont-Saint-Jean, gdy tylko wieś ta zostanie zdobyta. Pogodny nastrój został tylko na chwilę zakłócony słowami wyniosłego politowania; widząc, że po jego lewej ręce, tam gdzie dziś jest wielki grobowiec, gromadzi się zachwycająca jazda szarych Szkotów na wspaniałych koniach, cesarz rzekł: “Szkoda!”

Po czym dosiadł konia, wysunął się przed Rossomme i obrał sobie za punkt obserwacyjny wąski, porośły trawą nasyp po prawej stronie drogi z Genappe do Brukseli. Było to jego drugie miejsce postoju w czasie bitwy. Miejsce trzeciego postoju, na którym znalazł się około siódmej wieczorem, położone między Belle-Alliance a Haie-Sainte, jest straszliwe; to dość wyniosły pagórek, dziś jeszcze istniejący, za którym w zagłębieniu ukryta była gwardia.

Dokoła pagórka kule odbijały się od brukowanej drogi padając tuż przy Napoleonie. Pociski gwizdały mu koło uszu tak jak w Brienne. Zebrano później z tego samego prawie miejsca, gdzie stał jego koń, wiele starych kul, połamanych szabel i zżartych rdzą odłamków granatów. “*Scabra rubigine*”.\* Kilka lat temu odkopano w tym miejscu niewypał z sześćdziesiątki, z zapalnikiem strzaskanym u samej nasady. To właśnie na tym ostatnim postoju cesarz powiedział do przewodnika Lacoste, wieśniaka nieufnego, przerażonego, przywiązanego do huzarskiego siodła, który przy każdej salwie odwracał się tyłem i starał się schronić za huzara: “Głupcze! to wstyd dostać kulę w plecy”. Piszący te słowa sam znalazł, grzebiąc w sydkim piasku pagórka, resztki kołnierza granatu pokryte rdzą czterdziestu sześciu

lat i odłamki starych pocisków, kruszące się w palcach niczym gałązka dzikiego bzu. Jak wszystkim wiadomo, falistości terenu o niejednakowym nachyleniu, na którym Napoleon starł się z Wellingtonem, wyglądają dziś inaczej niż 18 czerwca 1815 roku. Czerpiąc z tego posępnego pola bitwy materiał na zbudowanie mu pomnika zniesiono jego rzeźbę naturalną i wprowadzona tym w błąd historia nie może go rozpoznać. Chcąc je uczcić, zniekształcono je. Oglądając w dwa lata później Waterloo Wellington zawołał: “Zmieniono mi moje pole bitwy”. Tam gdzie dzisiaj stoi wielki kopiec w kształcie piramidy, z lwem na szczycie, wznosił się grzbiet wzgórza, które, opadając łagodnie w kierunku drogi do Nivelles, tworzyło strome urwisko od strony gościńca do Genappe. Pojęcie o wysokości tego urwiska dają dziś dwa kurhany stojące po obu stronach drogi z Genappe do Brukseli; kurhan po lewej stronie to grób angielski; po prawej - niemiecki. Grobu francuskiego nie ma wcale. Dla Francji całe to pole jest grobowcem. Dzięki krociom tysięcy wozów z ziemią, użytych do usypania kopca o wysokości stu pięćdziesięciu stóp i mającego pięćset stóp w obwodzie, płaskowzgórze Mont-Saint-Jean jest dzisiaj łatwo dostępne; w dniu bitwy jego krawędzie były urwiste i strome, zwłaszcza od strony Haie-Sainte. Nachylenie stoku było tam tak znaczne, że ze stanowisk artylerii angielskiej nie dostrzegało się zagrody położonej na dnie doliny, która była ośrodkiem bitwy. Ponadto w dniu 18 czerwca 1815 roku deszcze rozmoczyły całe zbocze, tak że trzeba się było wspinać w górę, brnąć w błocie, które utrudniało podejście. Wzdłuż grzbietu tej wyniosłości biegła rozpadlina, której istnienia niepodobna było się domyślić z oddali.

Cóż to była za rozpadlina? Zaraz wyjaśnimy. Braine-l'Alleud i Ohain to dwie wioski belgijskie. Obie te wsie, ukryte w dolinach, połączone są drogą ciągnącą się mniej więcej półtorej mili przez falisty teren płaskowzgórza; droga ta wrzynając się we wzgórze, jak bruzda, tworzy w niektórych miejscach głębokie wąwozy. W roku 1815, podobnie jak i dzisiaj, droga przecinała grzbiet wzniesienia Mont-Saint-Jean, łącząc szosy do Genappe i do Nivelles; tylko zrównana dzisiaj z poziomem pól wówczas wrzynała się głęboko w teren. Obie jej skarpy zostały zabrane do usypania kopca-pomnika. Droga była i jest jeszcze w większej swej części wąwozem, i to wąwozem, którego głębokość dochodzi w niektórych miejscach do dwunastu stóp, a urwiste i strome zbocza obsuwają się czasem, zwłaszcza w zimie, pod wpływem ulewnych deszczów. Nieraz zdarzały się tu nieszczęśliwe wypadki. Droga była tak wąska u wylotu od strony Braine-l'Alleud, że jakiś przechodzień został tu zmiażdżony przez wóz, co stwierdza stojący na cmentarzu kamienny krzyż, z napisem podającym imię i nazwisko zabitego: “Imé pan Bernard Debrye, kupiec z Brukseli”, oraz datę

---

\* Zżarte rdzą.

wypadku: "Luty 1637". Na odcinku wzniesienia Mont-Saint-Jean wąwóz był tak głęboki, iż w 1783 roku obsuwająca się ze zbocza ziemia zasypała Mateusza Nicaise, wieśniaka z tej okolicy, jak o tym świadczy inny kamienny krzyż, którego górna część zapadła się w karczowisko, lecz przewrócona podstawa pozostała do dziś dnia na porytym murawą stoku, po lewej stronie drogi między Haie-Sainte a fermą Mont-Saint-Jean.

W dniu bitwy ta droga-wąwóz, przebiegająca wzdłuż grzbietu Mont-Saint-Jean, której istnienia nic nie zapowiadało, ten rów na szczycie urwiska, ta koleina ukryta w terenie - była niewidoczna, to znaczy groźna.

## VIII

### Cesarz zadaje pytanie przewodnikowi Lacoste

A więc owego ranka pod Waterloo Napoleon był zadowolony.

Miał do tego powody, ułożony przezeń plan bitwy, jak to już stwierdziliśmy, był rzeczywiście wspaniały. Wszystkie perypetie rozpoczętej bitwy - opór Hougomont, zaciekła obrona Haie-Sainte, Bauduin zabity, Foy pozbawiony możliwości brania dalszego udziału w walce, niespodziewana przeszkoda w postaci muru, przy którym została rozbita brygada Soye'a; fatalne przeoczenie Guilleminota, który nie pamiętał ani o petardach, ani o zapasach prochu, grzęźnięcie baterii w błocie, zniszczenie przez Uxbridge'a piętnastu dział ciągnących bez eskorty wawozem, mała skuteczność pocisków, które, padając na pozycje angielskie, ryły się głęboko w rozmiękłą od deszczów ziemię, wyrzucając fontanny błota, tak że ogień artyleryjski zmienił się w chlapaninę; daremny manewr Pirego uderzającego na Braine-l'Alleud, cała ta jazda (piętnaście szwadronów) niemal doszczętnie unicestwiona, angielskie prawe skrzydło nie dość skutecznie nękane, lewe niedostatecznie zagrożone, dziwna pomyłka Ney'a, który, zamiast rozczłonkować cztery dywizje pierwszego korpusu, skoncentrował je grupując jeden za drugim dwadzieścia siedem szeregów, po dwustu ludzi w szeregu, i wydając ich w ten sposób na ogień nieprzyjacielski, straszliwe wyrwy, jakie czyniły w tej masie pociski, kolumny szturmowe rozbite, kiedy osłaniająca je z flanki bateria została nagle odkryta na skrzydle, Bourgeois, Donzelot i Durette zagrożeni, Quiot odrzucony, porucznik Vieux - ten herkules szkoły politechnicznej - raniony, w chwili gdy rąbał toporem wrota bramy Haie-Sainte pod zaporowym ogniem brygady angielskiej, ustawionej na zakręcie drogi z Genappe do Brukseli; dywizja Marcogneta wzięta między piechotę a kawalerię, rażona w zbożach ogniem bezpośrednim przez Besta i Packa, a wyrębana szablami przez Pon-sonby'ego; przydzielone do niej działa w liczbie siedmiu zagwożdżone; księżę sasko-weimarski, utrzymujący się przy Frischemont i Smohain, mimo ataków hrabiego d'Erlon; sztandar 105 pułku stracony, sztandar 45 - stracony; schwytanie czarnego huzara pruskiego przez lotną kolumnę trzystu strzelców konnych patrolujących odcinek między Wavre a Plancenoit i niepokojące wieści, które jeniec ten przyniósł, opóźnienie Grouchy'ego, strata tysiąca pięciuset ludzi zabitych w niespełną godzinę w sadzie Hougomont, strata tysiąca ośmiuset ludzi w jeszcze krótszym czasie, położonych pokotem dokoła Haie-Sainte

-wszystkie burzliwe wydarzenia tej bitwy, przesuwające się niby chmury przed oczyma Napoleona, zaledwie na chwilę zasępiły jego spojrzenie i nie zdołały zaćmić władczej pewności siebie.

Napoleon zwykł był patrzeć na wojnę bez zmrużenia powiek; nie czynił nigdy drobiazgowego obrachunku bolesnych szczegółów; cyfry nie miały dlań znaczenia, byleby w ostatecznym wyniku przyniosły zwycięstwo; nie martwił się nieudanym początkiem bitwy on, który uważał, że panuje nad nią i trzyma w rękę jej wynik. Umiał czekać, wierząc w swą nieomylność, i traktował przeznaczenie jak równego sobie partnera. Zdawało się, że mówi do losu: "Nie! nie ośmieliłbys się!" Napoleon, będący na wpół światłością, na wpół mrokiem, czuł że los toleruje go w złym, a sprzyja mu w dobrym. Był albo sądził, że jest w zgodzie, można by nawet powiedzieć, w zмовie z wydarzeniami, obdarzony wobec losu nietykalkością antycznych bohaterów.

Jednakże gdy ma się za sobą Berezynę, Lipsk i Fontainebleau, należałoby - zdaje się - z mniejszą ufnością patrzeć na Waterloo. W głębinach nieba zaczyna się rysować tajemnicze zmarszczenie brwi.

Gdy Wellington zaczął się cofać, Napoleon drgnął. Zobaczył, że wzgórze Mont-Saint-Jean nagle pustoszeje i znikają pierwsze linie armii angielskiej. Armia ta ustępowała wprawdzie w porządku, niemniej jednak ustępowała. Cesarz uniósł się w strzemiach. Błyskawica zwycięstwa mignęła w jego źrenicach.

Wellington przyparty do lasu Soignes i rozbity, było to ostateczne rozbitcie Anglii przez Francję, pomsta za Crecy, Poitiers, Malplaquet i Ramillies. Mąż spod Marengo przekreślał klęskę spod Azincourt.

I rozważając doniosłość groźnych wypadków cesarz po raz ostatni przesunął lornetę wzdłuż całego pola bitwy. Za nim z bronią u nogi stała gwardia wpatrzona w niego z nabożną czcią. On wazył coś w myślach, badał stoki, notował w pamięci wzniesienia, wpatrywał się w kępy drzew, w kwadraty pól, w ścieżki; zdawał się liczyć każdy krzew. Ze szczególną uwagą przyjrzał się barykadom angielskim wzniesionym na obu szosach, dwóm szerokim zaporom z powalonych drzew, tej na drodze do Genappe, powyżej Haie-Sainte, uzbrojonej w dwie armaty, jedyne działa angielskie, które ogniem swym mogły sięgać daleko w głąb pola walki, oraz drugiej na drodze do Nivelles, nad którą pobłyskiwały bagnety holenderskiej brygady Chassego. Przy tej barykadzie dostrzegł pomalowaną na biało starą kapliczkę św. Mikołaja, stojącą na zakręcie bocznej drogi do Braine-l'Alleud. Pochylił się i rzekł coś półgłosem do przewodnika Lacoste. W odpowiedzi przewodnik przecząco pokręcił głową. Zapewne skłamał.

Cesarz wyprostował się i zadumał.

Wellington cofnął się. Pozostało już tylko przemienić ten odwrót w pogrom.

Odwróciwszy się nagle, Napoleon pchnął gońca do Paryża z wiadomością, że bitwa wygrana.

Napoleon należał do tych geniuszy, których żywiołem jest grom. Trzymał już w ręku piorun.

Wydał kirasjerom Milhauda rozkaz zdobycia wzgórza Mont-Saint-Jean.

## IX

### Nieprzewidziane

Było ich trzy tysiące pięciuset. Tworzyli linię ciągnącą się na ćwierć mili. Ludzie-olbrzymy na koniach-olbrzymach. Dwadzieścia sześć szwadronów; za nimi w odwodzie dywizja Lefebvre-Desnouettes'a, stu sześciu wyborowych żołnierzy żandarmerii polowej, strzelcy gwardii - tysiąc sto dziewięćdziesiąt siedem koni, i lansjerzy gwardii - osiemset osiemdziesiąt lanc. Mieli kaski bez grzebieni, pancerze kute ze stali, pistolety w olstrach i długie, proste szable. Podziwiała ich cała armia, gdy o dziewiątej rano przy dźwiękach trąb wszystkich orkiestr grających "Veillons au salut de l'empire"\* nadciągali zwartą kolumną, z jedną baterią z flanki, drugą w środku, by rozwinąć się w dwóch szeregach, między szosą do Genappe i Frischemont i zająć stanowiska bojowe w potężnej drugiej linii, tak umiejętnie ugrupowanej przez Napoleona, która, mając na lewym krańcu kirasjerów Kellermanna, a na prawym kirasjerów Milhauda, miała - rzecz można - dwa skrzydła z żelaza.

Adiutant Bernard przyniósł im rozkaz cesarza. Ney wyciągnął szpadę i stanął na czele. Olbrzymie szeregi ruszyły. Wówczas przedstawił się oczom widok groźny i wspaniały. Cała ta jazda, z szablami wzniesionymi w górę, z łopoczącymi na wietrze sztandarami, przy dźwięku trąb, uformowana w kolumnę dywizjonami, ruszyła jak jeden mąż ze wzgórza Bel-le-Alliance i, z precyzją okutego brązem tarami wybijającego wyłom, runęła w straszliwe dno doliny, gdzie padło już tylu ludzi; znikła w dymach, by następnie, wyłoniwszy się z mroku, ukazać się po drugiej stronie doliny w tym samym zwartym szyku, gdy poprzez chmurę prażących w nią kartaczy wjeżdżała rysią na niebezpieczny, oślizły od błota stok płaskowzgórza Mont-Saint-Jean. Jechali poważni, groźni, niewzruszeni; gdy cichła palba i strzały armatnie, słychać było potężny tętent. Dwie dywizje - dwie kolumny; dywizja Wathiera po prawej, dywizja Delorda po lewej stronie. Patrzącym z oddali wydawało się, że ku szczytowi wzgórza pełzną dwa olbrzymie stalowe smoki. Przemknęli przez pole bitwy jak cudowna zjawia.

Nie widziano nic podobnego od czasu zdobycia przez ciężką kawalerię wielkiej reduty

---

\* *Veillons au salut de l'empire* (Czuwajmy nad bezpieczeństwem państwa) - jedna z pierwszych francuskich pieśni rewolucyjnych (1791 r.).

pod Borodino. Brakowało Murata, ale był Ney. Zdawało się, że ta masa ludzka stała się olbrzymim potworem, ożywionym jednym duchem. Każdy szwadron falował i wzdymał się jak macki ośmiornicy. Widać je było poprzez gęsty dym rozdzierający się tu i ówdzie. Kłębowisko kasków, szabli, krzyki wśród huku armat i grania fanfar, gwałtowne podrzuty końskich grzbietów, zamęt straszliwy i karny. A nad tym - niczym łuski hydry - pancerze.

Wydaje się, że opowiadania te należą do innej epoki. Niewątpliwie, podobne obrazy pojawiały się w dawnych eposejach orfickich, które opowiadają o ludziach-koniach, starożytnych centaurach, tych tytanach z ludzkim obliczem i piersią konia, którzy wdarli się galopem na Olimp, straszni, niepokonani i wspaniali; bogowie i zwierzęta.

Dwadzieścia sześć batalionów gotowało się do odparcia dwudziestu sześciu szwadronów. Dziwna zbieżność cyfr! Za szczytem wzgórza, pod osłoną zamaskowanej baterii, piechota angielska, uformowana w trzynaście czworoboków (po dwa bataliony na czworobok), ustawionych w dwie linie (siedem czworoboków w pierwszej, sześć w drugiej linii), z palcem na cynglu, z kolbą na ramieniu, czekała na to, co nadciągało, spokojna, milcząca, nieruchoma. Kirasjerzy jej nie widzieli i ona nie widziała kirasjerów. Słuchała, jak wzbiera ta rzeka ludzka. Słyszała, jak rośnie łoskot trzech tysięcy koni idących wyciągniętym kłusem, słyszała miarowy tętent kopyt, chrzęst pancerzy, pobrzękiwanie szabel, potężny i jakiś dziki dech. Nastąpiła chwila groźnej ciszy, potem nagle, nad szczytem wzgórza, ukazały się wzniesione ręce wywijające szablami, kaski, trąby, sztandary i trzy tysiące wąsatych twarzy krzyczących: "Niech żyje cesarz!" Cała ta jazda runęła na wzgórze i ziemia - zda się - zadrżała w posadach.

Wtem, o zgrozo, na lewo od Anglików, a na prawo od nas czoło kolumny kirasjerów podniosło się z przeraźliwym zgiełkiem. Dotarli na szczyt wzgórza, w szale walki i zdobywczego pędu na oddziały i armaty, kirasjerzy ujrzeli oddzielający ich od Anglików jar, wąwóz. Była to idąca parowem droga z Ohain.

Nastąpiła chwila straszliwa. Pod kopytami koni rozwarła się ziejąca wyrwa wąwozu, niespodziewana, stroma, na dwa sążnie głęboka; drugi szereg zepchnął do parowu pierwszy, trzeci zepchnął drugi, konie wspinały się, cofały, przysiadały na zadach, przewracały i ześlizgiwały na grzbietach zrzucając i miażdżąc jeźdźców. Kolumna nie mogła się cofnąć, była pociskiem; siła rozpędu, która miała zdruzgotać Anglików, druzgotała Francuzów. By zdobyć nieubłagany wąwóz, należało go wypełnić, jeźdźcy i konie runęli weń skłębieni, miażdżąc się nawzajem, tworząc w tej przepaści jedno kłębowisko ciał, i gdy parów był pełen żywych ludzi, reszta przeszła po nich. Prawie jedna trzecia brygady Dubois zwała się w tę przepaść.

Taki był początek przegranej;

Tradycja miejscowa, niewątpliwie przesadna, głosi, że w wąwozie Ohain poległo dwa tysiące koni i tysiąc pięćset ludzi. Liczba ta obejmuje prawdopodobnie wszystkie inne trupy, które nazajutrz po bitwie wrzucono do tego wąwozu.

Tu wtrąćmy mimochodem, że brygada Dubois, tak okrutnie przez los doświadczona, na godzinę przed tym atakiem zdobyła w osobnej szarży sztandar batalionu luneburskiego.

Napoleon, nim wydał kirasjerom Milhauda rozkaz ataku, zbadał teren, lecz nie mógł widzieć tego wąwozu, który najmniejszą nawet bruzdą nie rysował się na płaszczyźnie wzgórza. Jednakże biała kapliczka stojąca na zakręcie szosy do Nivelles zaniepokoiła go i wzbudziła jego podejrzenie; przewidując możliwość jakiejś przeszkody o to zapewne pytał przewodnika Lacoste. Przewodnik zaprzeczył. Można by powiedzieć, że ten ruch głowy wieśniaka stał się przyczyną upadku Napoleona.

Inne przeciwności losu miały wystąpić niebawem.

Czy Napoleon mógł wygrać tę bitwę? Powiadamy: nie. Dlaczego? Kto mu w tym przeszkodził? Wellington? Blücher? Nie. - Bóg. Bonaparte zwycięzcą pod Waterloo - tego nie przewidywało prawo dziejowe XIX wieku. Przygotowywały się inne wydarzenia, w których nie było już miejsca dla Napoleona. Nieprzychylność wypadków zarysowywała się od dawna. Nadszedł czas, by runął ten olbrzym.

Ponad miarę zaważył na losach ludzkości zakłócając równowagę. Ta jednostka znaczyła sama więcej niż zbiorowość powszechna. Nadmiar sił żywotnych ludzkości skupiony w jednej istocie, świat uderzający do głowy jednemu człowiekowi - jeśli to miało trwać, mogło być śmiertelne dla cywilizacji. Nadeszła chwila, w której nieprzedajna sprawiedliwość najwyższa musiała rozstrzygać. Skarzyły się pewne pierwiastki i żywioły, od których zależy normalny bieg rzeczy, zarówno w systemie moralnym, jak i materialnym. Dymiąca krew, przepelnione cmentarzyska, łzy matek - to groźni oskarżyciele. Gdy ziemia cierpi nadmiernie, z ciemności dobywają się tajemnicze wołania, które słyszy otchłań.

Napoleon został oskarżony przed nieskończonością i upadek jego był postanowiony. Wadził Bogu.

Waterloo to nie bitwa, to zmiana oblicza świata.

## X

### Równina Mont-Saint-Jean

W chwili, w której wyłonił się wąwóz, zagrzmiała bateria. Sześćdziesiąt dział i trzynaście czworoboków zaczęło kirasjerów z bliska prażyć ogniem. Nieustraszony generał Delorme zasalutował baterii nieprzyjacielskiej.

Cała lotna artyleria angielska cwałem zawróciła do czworoboków. Kirasjerzy nie zatrzymali się ani na chwilę. Klęska w wąwozie zdziesiątkowała ich, ale nie odebrała im odwagi. Byli to ludzie, którzy w miarę jak maleje ich liczba, potężnieją duchem.

W wąwozie ucierpiała jedynie kolumna Wathiera, kolumna Delorda natomiast, którą Ney, jakby przeczuwając zasadzkę, zawrócił na lewo, przybyła nietknięta.

Kirasjerzy runęli na czworoboki angielskiej piechoty.

Wyciągnięty galop, rozpuszczone wodze, szable w zębach, pistolety w garści - taki był atak. Bywają w czasie bitwy chwile, w których duch tak hartuje człowieka, że żołnierz zmienia się w posąg, żywe istoty stają się granitową opoką. Bataliony angielskie, zaatakowane z furją, nie drgnęły.

Wówczas zaczęły się dziać rzeczy straszliwe.

Wszystkie czworoboki zostały równocześnie zaatakowane od czoła. Porwał je zawrotny wir. Kamienne szeregi pozostały niewzruszone; pierwszy przykleknął na ziemi i brał kirasjerów na bagnety; drugi raził ich ogniem; z tyłu kanonierzy ładowali działa; czoło czworoboku rozstępowało się przepuszczając grad kartaczy i zamykało się znowu. Kirasjerzy odpowiadali na to, miażdżąc wroga. Potężne konie stawały dęba, przesadzały ludzkie szeregi, przeskakiwały przez bagnety i wpadały, olbrzymie, pomiędzy cztery żywe ściany. Pociski robiły szczyby w szeregach kirasjerów; kirasjerzy robili wyłomy w czworobokach piechoty. Rzędy ludzi padały tratowane końmi. Bagnety pruły brzuchy tych centaurów. Stąd potworne rany, o jakich chyba nigdzie przedtem nie słyszano. Piechurzy szarpani przez tę szaloną jazdę zwierali ciaśniej szeregi nie ustępując z placu. Kartacze, jakby niewyczerpane, wybuchały raz po raz wśród napastników. Walka przedstawiała okropny widok. Czworoboki piechoty - to nie były już bataliony, lecz ziejące ogniem kraterzy. Kirasjerzy - to nie była jazda, lecz nawałnica. Każdy czworobok był wulkanem napadniętym przez burzową chmurę - potoki lawy walczyły z piorunami.

Czworobok, wysunięty najdalej na prawo i z braku osłony flanków najbardziej narażony na niebezpieczeństwo, został prawie unicestwiony przy pierwszym natarciu. Składał się z 75 pułku szkockich górali. Kobziarz, siedzący na bębnie w środku czworoboku, nie zwracał wcale uwagi na rzeź rozpętana wokół niego i z melancholijnym spojrzeniem wypełnionym wizjami lasów i jezior wygrywał na kobzie góralskie melodie. Ci Szkoci umierali ze wspomnieniem Ben Lothian w sercu, tak jak niegdyś Grecy konali ze wspomnieniem Argos. Kirasjerska szabla odrąbała kobzę wraz z ramieniem, które ją trzymało, i przecięła muzykę zabijając grajka.

Stosunkowo nieliczni kirasjerzy, których siły zostały uszczuplone przez katastrofę w wąwozie, musieli stawić czoło niemal całej armii angielskiej ale dwoili się, troili, każdy z nich wart był dziesięciu. Już kilka batalionów hanowerskich zaczęło się cofać. Wellington zobaczył to i pchnął swoją jazdę. Gdyby w tej samej chwili Napoleon pchnął tam piechotę, byłby wygrał bitwę. To zaniedbanie było błędem, który go zgubił.

Nagle atakujący kirasjerzy poczuli, że sami zostali zaatakowani. Jazda angielska wsiadła im na karki. Przed sobą mieli czworoboki piechoty, za sobą Somerseta, to znaczy tysiąc czterystu dragonów gwardii. Somerset miał po prawej stronie Dornberga z niemieckimi szwoleżerami, a po lewej Tripa z karabinierami belgijskimi. Atakowani z flanków, atakowani od czoła, z tyłu, przez piechotę i przez jazdę, kirasjerzy musieli bronić się na wszystkich frontach. Jakże to mogło mieć dla nich znaczenie? Byli wirem. Ich brawura była nie do opisania.

Ponadto mieli jeszcze na swych tyłach baterię grzmiącą bez przestanku. Tylko to tłumaczy, że ci ludzie mogli być ranni w plecy. Pancierz któregoś z nich, przeбитo na wysokości lewej łopatkę kulą z garłacza, znajduje się w zbiorach zwanych muzeum Waterloo.

Takim Francuzom mogli stawić czoło tylko tacy Anglicy.

To już nie była walka, to był zamęt, szal, zawrotny wzlot ducha i męstwa, huragan szabel-błyskawic. W jednej chwili z tysiąca czterystu dragonów gwardii pozostało tylko ośmiuset; dowódca ich, pułkownik Fuller, padł. Nadbiegł Ney z lansjerami i strzelcami. Lefebvre-Desnouettes'a. Płaskowzgórze Mont-Saint-Jean zostało wzięte, odbite, zdobyte na nowo. Kirasjerzy porzucili jazdę angielską, by znów uderzyć na piechotę, a raczej - to będzie trafniejsze określenie - cała ta ciżba szczepiła się i nie rozluźniała uścisku. Czworoboki trzymały się wciąż. Przypuszczono do nich dwanaście szturmów. Pod Neyem ubito cztery konie. Połowa kirasjerów padła na wzgórzu. Walka ta trwała dwie godziny.

Armia angielska została w tej walce poważnie wyszczerbiona. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie klęska w wąwozie, która osłabiła impet pierwszego uderzenia, kirasjerzy

roznieśliby środek wojsk nieprzyjacielskich i zdecydowali o wygranej. Clinton, który był widział Talaverę i Badajoz, w osłupieniu patrzył na tę niezwykłą kawalerię. Wellington, choć bliski przegranej, podziwiał ją wielkodusznie, powtarzając półgłosem: “Wspaniała!”\*

Z trzynastu czworoboków kirasjerzy roznieśli siedem, wzięli lub zagwoździli sześćdziesiąt dział i zdobyli na pułkach angielskich sześć sztandarów, które trzech kirasjerów i trzech strzelców gwardii zaniósł cesarzowi na fermę Belle-Alliance.

Położenie Wellingtona pogorszyło się. Ta osobliwa bitwa przypominała zaciekły pojedynek dwóch rannych przeciwników, którzy nie przestają atakować ani parować ciosów, choć krew z nich uchodzi. Który padnie pierwszy?

Walka o wzgórze trwała.

Nikt nie umiałby powiedzieć, jak daleko zapędzili się kirasjerzy. Pewne jest jedynie, że nazajutrz po bitwie, nie opodał wagi do ważenia wozów w Mont-Saint-Jean, w tym miejscu, gdzie spotykają się i krzyżują cztery drogi: do Genappe, Nivelles, la Hulpe i Brukseli, znaleziono trupa kirasjera i konia. Jeździec ten przebił się przez linie angielskie. Jeden z tych, którzy podnieśli jego zwłoki, żyje jeszcze dziś w Mont-Saint-Jean. Nazywa się Dehaze. Miał wówczas lat osiemnaście.

Wellington czuł, że opór wojska słabnie. Zbliżała się chwila przełomowa.

Atak kirasjerów nie powiódł się, w tym sensie, że centrum sił angielskich nie zostało przełamane. Płaskowzgórze należało do wszystkich i do nikogo, i w rezultacie Anglicy mieli w swym ręku większą jego część. Wellington trzymał wioskę i główną równinę wzgórza. Ney miał jedynie grzbiet i zbocze. Myśleć by można, że obie strony wrosły w tę złowieszczą ziemię.

Oslabienie Anglików wydawało się nieodwołalne. Straszliwe było wykrwawienie tej armii. Z lewego skrzydła Kempt domagał się posiłków. “Nie ma! - odparł Wellington - niech ginie!” Niemal w tej samej chwili - dziwne podobieństwo sytuacji, które odzwierciedla wyczerpanie obu wojsk - Ney domagał się od Napoleona piechoty, Napoleon wykrzyknął: “Piechoty? Skądże ja ją wezmę! Przecież mu jej nie stworzę!”

Jednakże armia angielska była ciężiej ugodzona. Wściekłe natarcie tych potężnych szwadronów o żelaznych pancerzach i stalowych piersiach zmiażdżyło piechotę. Garstka ludzi skupiona wokół sztandaru znaczyła miejsce, gdzie dawniej był cały pułk; tym lub innym batalionem dowodził tylko kapitan lub porucznik; dywizja Altena, mocno poszczerbiona koło Haie-Sainte, prawie nie istniała; trupy nieustraszonych Belgów z dywizji van Kluzego zaścieniały łany żyta wzdłuż drogi do Nivelles; nikt się prawie nie ostał z grenadierów

---

\* *Splendid!* - wyrażenie autentyczne. (Przyp. aut.)

holenderskich, którzy w roku 1811 przy naszym boku walczyli w Hiszpanii z Wellingtonem, a w roku 1815, sprzymierzeni z Anglikami, walczyli z Napoleonem. Straty w oficerach były znaczne. Lord Uxbridge, który miał strzaskane kolano, nazajutrz kazał pogrzebać swoją nogę. Jeśli ze strony francuskiej po natarciu kirasjerów nie byli zdolni do walki Delord, Lhéritier, Colbert, Dnop, Travers i Blancard, to ze strony angielskiej Alten był ranny, Barne ranny, Delancey zabity, Van Merlen zabity, Ompteda zabity, cały sztab Wellingtona zdziesiątkowany, tak że Anglia otrzymała gorszą część w tym krwawym rozrachunku. 2 pułk gwardii pieszej stracił pięciu podpułkowników, czterech kapitanów i trzech chorążych, pierwszy batalion 30 pułku piechoty stracił dwudziestu czterech oficerów i stu dwunastu żołnierzy; z 79 piechoty górskiej dwudziestu czterech oficerów było rannych, osiemnastu oficerów i czterystu pięćdziesięciu żołnierzy zabitych. Cały pułk huzarów hanowerskich Cumberlanda pod dowództwem pułkownika Hacke'a (który później był sądzony i zdegradowany) opuścił pole bitwy i rzucił się do ucieczki przez lasy Soignes, siejąc popłoch aż do Brukseli. Widząc, że Francuzi posuwają się naprzód i zbliżają do lasu, wozy, jaszce, tabory, furgony pełne rannych pędziły w las co koń wyskoczy. Holendrzy, rąbani przez jazdę francuską, wołali na trwogę. Naoczni świadkowie, dziś jeszcze będący przy życiu, powiadają, że od Vert-Coucou aż po Groenendael, na przestrzeni prawie dwóch mil, cała droga w kierunku Brukseli zatłoczona była uciekinierami. Popłoch ten szerzył się tak dalece, że ogarnął księcia Kondeusza w Malines i Ludwika XVIII w Gandawie. Wellington nie miał już kawalerii poza nieliczną garstką rozstawioną za szpitalem polowym, mieszczącym się na fermie Mont-Saint-Jean, i poza brygadami Viviana i Vandeleura, które osłaniały lewe skrzydło. Wiele baterii było rozbitych. Fakty te potwierdza Siborne; Pringle zaś, który przesadza rozmiary klęski, posuwa się do twierdzenia, że z armii angielsko-holenderskiej zostało tylko trzydzieści cztery tysiące ludzi. "Żelazny książę"\* pozostawał niewzruszony, ale wargi miał zbieleć. Obecni w sztabie angielskim podczas bitwy komisarz austriacki Vincent i komisarz, hiszpański Alava sądzili, że książę jest zgubiony. O piątej Wellington spojrzął na zegarek i usłyszano, jak wyszeptał te posępne słowa: "Blücher lub noc!"

Wtedy to właśnie w oddali, na wyniosłościach od strony Frischemont, błysnął długi rząd bagnetów.

Zbliżał się decydujący zwrot w tym wielkim dramacie.

---

\* "Żelazny książę" (*Iron Duke*) – przydomek Wellingtona.

## XI

### **Napoleon trafił na złego przewodnika, Bülow zaś na dobrego**

Znamy tragiczną pomyłkę Napoleona. Oczekiwał Grouchy'ego, przybył Blücher; śmierć zamiast życia.

Los miewa takie kaprysy: człowiek spodziewa się panowania nad światem, a dostrzega Wyspę św. Heleny. Gdyby pastuszek służący za przewodnika Bülowowi, adiutantowi Blüchera, doradził mu wyjść z lasu powyżej Frischemont, a nie poniżej Plancenoit, wiek XIX przybrałby zapewne inną postać. Napoleon wygrałby bitwę pod Water-loo. Idąc każdą inną drogą, z wyjątkiem drogi wiodącej poniżej Plancenoit, armia pruska natrafiłaby na wąwóz nie do przebycia dla artylerii i Bülow nie mógłby przybyć na czas.

Otóż, zdaniem pruskiego generała Mufflinga, jeszcze godzina zwłoki, a Blücher przyszedłby za późno, Wellington nie byłby się utrzymał, “bitwa byłaby przegrana”. Jak widzimy, był najwyższy czas, żeby Bülow przyszedł. Przybył zresztą z wielkim opóźnieniem. Obozował tej nocy w Dion-le-Mont i wyruszył o świcie. Ale drogi były nie do przebycia i dywizje grzęzły w błocie. Koła dział zapadały się w koleiny aż po osie. Poza tym trzeba było przejść rzekę Dyle przez wąski most w Wavre, ulica zaś, wiodąca do mostu, została podpalona przez Francuzów; artyleryjskie furgony i jaszczce, nie mogąc przejechać między dwoma rzędami płonących domów, musiały czekać, aż pożar wygaśnie. Było już południe, a przednie straże Bülowa nie dotarły jeszcze do Chapelle-Saint-Lambert.

Gdyby bitwę zaczęto o dwie godziny wcześniej, byłaby skończona o czwartej i Blücher nadciągnawszy zastałby Napoleona zwycięzcą. W takiej skali bywają przypadki współmierne do owej nieskończoności, której nie jesteśmy zdolni ogarnąć myślą.

W południe cesarz pierwszy przez lunetę dojrzał na horyzoncie coś, co przykuło jego uwagę. Rzekł: “Widzę jakiś obłok kurzu, wydaje mi się, że to oddziały wojska”. Po czym zapytał księcia Dalmacji: “Soult! co widzisz koło Chapelle-Saint-Lambert?” Marszałek skierował tam lunetę i odparł: “Cztery lub pięć tysięcy ludzi, najjaśniejszy panie! To z pewnością Grouchy”.

Jednakże nic się we mgle nie poruszało. Lornety całego sztabu wpatrywały się w “obłok”, wskazany przez cesarza. Niektórzy mówili: “To kolumny wojska”. Większość

mówiła: “To drzewa”.

Istotnie obłok ów nie posuwał się. Cesarz wysłał w kierunku tego niewyraźnego punktu dywizję lekkiej kawalerii Domona na rekonesans.

Bülow istotnie się nie ruszał. Jego straż przednia była bardzo słaba i niewiele mogła zdziałać. Musiał czekać, aż nadciągnie główna armia, gdyż miał rozkaz, by połączyć się z nią, nim wejdzie do walki; ale o godzinie piątej, widząc, jakie niebezpieczeństwo grozi Wellingtonowi, Blücher rozkazał Bülowowi, by uderzył, wypowiadając przy tym te godne uwagi słowa: “Armia angielska musi zaczerpnąć tchu”.

Niebawem przed korpusem Lobau rozwinęły się dywizje Losthina, Hillera, Hacke'a i Ryssela, z lasu Paris wyłoniła się kawaleria księcia Wilhelma Pruskiego, Plancenoit stanęło w płomieniach i kule pruskie zaczęły spadać gradem na szeregi gwardii stojącej w odwodzie za Napoleonem.

## XII

### Gwardia

Co nastąpiło potem, wiadomo: nagłe wtargnięcie na pole walki trzeciej armii, bitwa się rozpręga, osiemdziesiąt sześć paszcz armatnich zieje ogniem, Pirch I przybywa razem z Bülowem, Blücher prowadzi kawalerię Zieten, Francuzi zostają odepchnięci, Marcognet zmieciony ze wzgórza Ohain, Durutte wyparty z Papelotte. Donzelot i Quiot ustępują, Lobau jest wzięty w ogień z flanki, wraz z nocą nowa bitwa spada na nasze zdziesiątkowane pułki, cały front angielski przechodzi do ofensywy i posuwa się naprzód, ogień dział angielskich, wzmocniony przez artylerię pruską, robi olbrzymi wyłom w armii francuskiej. Rzeź! Pęka centrum, załamują się skrzydła. Wśród tego przerażającego rozbicia gwardia wchodzi do walki.

Czując, że idzie na pewną śmierć, woła: “Niech żyje cesarz!” Historia nie zna nic bardziej wzruszającego niż to konanie wśród entuzjastycznych okrzyków.

Przez cały dzień niebo było zasnuwane. Nagle, w tej właśnie chwili - a była to godzina ósma wieczorem - chmury rozsunały się na widnokręgu, odsłaniając widoczną poprzez wiązy, rosące przy drodze do Nivelles, złowrogą czerwień zachodzącego słońca. Pod Austerlitz widziano, jak wschodziło.

Przed tym rozstrzygającym uderzeniem na czele każdego batalionu gwardii stanął generał. Byli tam: Friant, Michel, Roguet, Harlet, Mallet i Poret de Morvan. Gdy w tumanie zawieruchy ukazały się w symetrycznych, wspaniałych szeregach wysokie czapy grenadierów gwardii, zdobne w wielkie gwiazdy z orłem, nieprzyjaciel uczuł szacunek dla Francji. Miało się wrażenie, że dwadzieścia zwycięskich Nike wpada na pole walki z rozpostartymi skrzydłami. Zwycięzca zaczął się cofać myśląc, że jest zwyciężony. Wtedy Wellington krzyknął: “Gwardia! Powstać i celować dobrze!” Czerwony pułk gwardii angielskiej, leżący pod osłoną opłotków, wstał; grad pocisków poszarpał trójbarwny sztandar trzepoczący wokół naszych orłów, wszyscy runęli na wszystkich i zaczęła się rzeź ostateczna. Gwardia cesarska czuła, że wokół niej w mroku, wojsko ustępuje, czuła wielkie poruszenie odwrotu, słyszała, jak okrzyki: “Niech żyje cesarz!”, zmieniają się w wołanie: “Ratuj się, kto może!”, i mimo powszechnej paniki na tyłach parła naprzód, z każdym krokiem coraz mocniej rażona ogniem nieprzyjacielskim, coraz gęściej ścieląc się trupem. Nie było tu ani wahających, ani

bojaźliwych. Każdy żołnierz był takim samym bohaterem jak generał. Ani jeden nie cofnął się przed samobójstwem.

Ney, oszalały, wzniosły wielkością dobrowolnej śmierci, nadstawiał pierś na wszystkie ciosy tej zawieruchy.

Ubito pod nim piątego już konia. A on, zlany potem, z płomieniem w źrenicy, z pianą na ustach, w rozpiętym mundurze, z epoletem przeciętym uderzeniem szabli jakiegoś *horse-guard*, z gwiazdą wielkiego orła wgiętą od kuli, zakrwawiony, zabłocony, wspaniały, z ułamaną szpadą w dłoni wołał: “Chodźcie zobaczyć, jak ginie na placu boju marszałek Francji!” Daremnie, nie zginął. Był obłąkany, odurzony. Rzucił pytanie Drouetowi d'Erlon: “A ty co? Nie szukasz śmierci?” Wśród huku dział, bijących w tę garstkę ludzi, krzyczał: “Czy nie ma już dla mnie żadnej kuli? Och! Chciałbym, żeby wszystkie angielskie kartacze rozszarpały mi trzewia!”

Nieszczęsny, tobie przeznaczone były kule francuskie!

## XIII

### Katastrofa

Na tyłach gwardii powstał tragiczny popłoch. Nagle wojsko zaczęło się wycofywać jednocześnie ze wszystkich punktów: z Hougomont, z Haie-Sainte, z Papelotte i z Plan-cenoit. Po okrzyku: "Zdrada!", rozległy się wołania: "Ratuj się, kto może!" Armia w rozsypce - to ruszające lody. Wszystko drży, pęka, trzeszczy, płynie, toczy się, pada, zderza ze sobą, spieszy, pędzi na oślep. Całkowite rozprzężenie. Ney pożyczka konia, dosiada go skokiem i bez kapelusza, bez chustki na szyi, bez szpady staje w poprzek drogi do Brukseli, tarasując przejście zarówno Francuzom, jak i Anglikom. Usiłuje powstrzymać odwrót wojska, napomina je, miota obelgi chcąc opanować panikę. Daremnie! Żołnierze uciekają przed nim, krzycząc: "Niech żyje marszałek Ney!" Dwa pułki Durutte'a miotają się tam i z powrotem, jak błędne, między ułańskimi szablami a ogniem brygad Kempta, Besta, Packa i Rylandta; nie masz gorszego zamętu nad panikę; przyjaciel zabija przyjaciela, żeby uciec. Szwadrony i bataliony zderzają się ze sobą i rozbijają wzajemnie: gigantyczna panika bitwy. Potok porywa na jednym krańcu Lobau, na drugim Reille'a. Daremnie Napoleon wznosi mur z resztek gwardii, daremnie w ostatnim wysiłku poświęca swoje szwadrony przyboczne. Quiot cofa się przed Vivianem, Kellermann przed Vandeleurem, Lobau przed Bülowem, Morand przed Pirchem, Domon i Subervic przed księciem Wilhelmem Pruskim. Guyot, który wiódł do ataku szwadrony przybocznej gwardii cesarza, pada pod kopytami angielskiej konnicy. Napoleon przejeżdża galopem szeregi uciekających, przemawia do nich, nalega, grozi, zaklina. Lecz usta, które rano krzyczały: "Niech żyje cesarz!", teraz milczą. Żołnierze ledwo go poznają. Świeżo przybyła kawaleria pruska uderza, pędzi, tnie, siecze, rąbie, zabija, morduje. Konie w zaprzęgach wierzgają, artyleria ucieka, kanonierzy odprzegają konie od jaszczy i na nich umykają przed siebie, furgony, wywrócone kołami do góry, tarasują drogę, powodując nowe masakry. Ciżba się tłoczy, miażdży, depcze po umarłych i po żywych. Obłądne ruchy rąk. Niezliczone tłumy zalegają drogi, ścieżki, mosty, równiny, pagórki, doliny, lasy - zatłoczone czterdziestoma tysiącami uciekających. Krzyki, rozpacz, strzelby i tornistry porzucone w zbożu, przejścia wyrąbywane szablami. Nie ma już towarzyszy, nie ma oficerów, nie ma generałów; nieopisana trwoga. Zieten płazuje Francję, jak chce! Lwy przemieniły się w zające. Taka była ta ucieczka.

W Genappe usiłowano powstrzymać odwrót, stworzyć front, stawić opór. Lobau zebrał trzystu ludzi. Zabarykadowano wejście do miasteczka, ale na huk pierwszej salwy pruskiej wszyscy rzucili się do ucieczki i Lobau został wzięty do niewoli. Dziś jeszcze widać ślady kul na ceglanych murach starej rudery, stojącej po prawej stronie gościńca, o kilka minut drogi od Genappe. Prusacy ruszyli na Genappe, rozwścieczeni niewątpliwie tak łatwym zwycięstwem. Nieludzki to był pościg. Blücher wydał rozkaz zupełnego wyniszczenia wroga. Ten ponury przykład dał niegdyś Roguet, grożąc śmiercią każdemu grenadierowi francuskiemu, który mu przyprowadzi pruskiego jeńca. Blücher przeszedł Rogueta. Generał młodej gwardii Duhesme, przyparty do drzwi oberży w Genappe, oddał szpadę Huzarowi Śmierci; ten wziął szpadę i zabił jeńca. Zwycięstwo zakończyło się rzezią zwyciężonych. Napiętnujmy to, ponieważ jesteśmy historią: stary Blücher okrył się hańbą! Okrucieństwo dopełniło miary kłęski. Żołnierze w rozpaczliwym popłochu uciekali przez Genappe, uciekali przez Quatre-Bras, przez Gosselies, przez Frasnes, przez Charleroi, przez Thuin i zatrzymali się dopiero na granicy.

Niestety! któż tak uciekał? Wielka Armia.

Czyżby ten obłęd, to przerażenie, to nagłe załamanie się najwyższego męstwa, jakie kiedykolwiek podziwiała historia, nie miały przyczyny? Nie. Cień olbrzymiej prawicy zawisł nad Waterloo. To był dzień przeznaczenia. Dzień ten zrodziła moc wyższa niż moc człowieka. Dlatego ugięły się w przerażeniu głowy, dlatego poddały się te wielkie serca. Ci, którzy, podbili Europę, padli, powaleni, nie mogąc nic zdziałać słowem ani czynem, czując w cieniu czyjąś groźną obecność. "Hoc erat in fatis".\* Tego dnia zmieniła się przyszłość rodzaju ludzkiego. Waterloo to zwrotnica dziewiętnastego wieku. Musiał zniknąć wielki człowiek, aby mógł nastać wielki wiek. Zajął się tym ktoś, z kim nie można się spierać. I panika bohaterów staje się zrozumiała. To już nie chmura, to meteor przeleciał przez pole Waterloo. Bóg przeszedł tamtędy.

Noc zapadała, gdy na łące, niedaleko Genappe, Bertrand i Bernard zatrzymali za połę surduta człowieka, który aż tu uniesiony prądem ucieczki, nieprzytomny, zamyślony, posepny, zsiadł przed chwilą z konia, zarzucił wodze na ramię i z błędnym spojrzeniem wracał sam do Waterloo. To Napoleon, wielki lunatyk pogrzebanego marzenia - próbował jeszcze iść naprzód.

---

\* To było im przeznaczone.

## XIV

### Ostatni czworobok

Kilka czworoboków gwardii dotrwało do wieczora bez ruchu w tym zalewie klęski, jak głazy wśród nurtów rzeki. Oczekiwali podwójnego cienia nadchodzącej nocy i śmierci, i dali mu się objąć, niewzruszeni. Każdy pułk marł własną śmiercią z dala od innych, nie mając żadnej łączności z rozbitą armią. Do tej ostatniej akcji jedni zajęli pozycję na wzgórzu Rossomme, inni na płaszczyźnie Mont-Saint-Jean. Tam, opuszczone, zwyciężone, groźne, konały te posępne czworoboki agonią wielkości: z nimi umierały Ulm, Wagram, Friedland, Jena.

Gdy zmrok zapadł, około dziewiątej wieczór u stóp Mont-Saint-Jean pozostał tylko jeden czworobok. W ponurej dolinie, u podnóża stoku, po którym wdzierali się kirasjerzy, a który teraz zalewał tłum Anglików, ostrzeliwany ze wszystkich dział zwycięskiej artylerii nieprzyjacielskiej, w przerażającej nawałnicy ognia - ten czworobok walczył. Dowodził nim nie znany nikomu oficer nazwiskiem Cambronne. Po każdej salwie wroga czworobok topniał i odpowiadał strzałami. Na grad kartaczy odpowiadał ogniem z karabinów zacieśniając coraz bardziej swoje cztery ściany. Zbiegowie, zatrzymawszy się na chwilę, by zaczerpnąć tchu, słuchali z daleka w ciemnościach tego grzmotu posępnego, słabnącego coraz bardziej.

Gdy z całego pułku pozostała zaledwie garstka, gdy sztandar był strzępem, gdy wyczerpał się zapas kul, a karabiny stały się tylko kawałkami drewna, gdy stos trupów większy był od gromadki żywych, święta groza przeniknęła zwycięzców na widok wielkości umierających, artyleria angielska nabierając oddechu umilkła. Nastąpiła jakby chwila odprężenia. Walczący widzieli wokół siebie mrowie widm, sylwetki jeźdźców, czarne zarysy armat i blade niebo przebłyskujące poprzez koła i lawety: ogromna trupia czaszka, którą bohaterowie zawsze widzą w dymach bitwy, przybliżyła się ku nim i patrzyła. Słyszeli w gęstniejących ciemnościach zmierzchu, jak nieprzyjaciel ładuże działa; zapalone lonty świecące w nocy, jak oczy tygrysów, rozbłysły kręgiem wokół nich i zbliżyły się do armat. Wówczas przejęty wzruszeniem generał angielski - według jednych był to Colville, według innych Maitland - wstrzymując ostatnią chwilę, która zawisała nad głowami tych ludzi, zawołał: "Poddajcie się, waleczni Francuzi!" Cambronne odpowiedział: "Gówno!"

## XV

### Cambronne

Szanującemu się czytelnikowi francuskiemu nie wolno powtórzyć tego, najpiękniejszego może, słowa, jakie Francuz kiedykolwiek wymówił. Nie wolno wprowadzać wzniosłości do historii. Na własne ryzyko przekraczamy ten zakaz.

Tak więc wśród wszystkich tych olbrzymów był jeden tytan - Cambronne.

Powiedzieć to słowo i umrzeć. Czyż może być coś większego? Albowiem pragnąć śmierci - to umrzeć, i nie jest winą tego człowieka, że zasypyany kulami - ocalał.

Zwycięzcą spod Waterloo nie jest ani Napoleon, pobity na głowę, ani Wellington cofający się o czwartej po południu, zrozpaczony o piątej, ani Blücher, który wcale nie walczył; zwycięzcą spod Waterloo jest Cambronne.

Porazić takim słowem piorun, który zabija - to zwyciężyć.

Dać taką odprawę klęsce, tak odrzec przeznaczeniu, rzucić taką podwalinę pod przyszłego lwa, cisnąć taką odpowiedź nocnej ulewie, zdradzieckiemu murowi w Hougomont, wąwozowi Ohain, opóźnieniu Grouchy'ego, przybyciu Blüchera; być szyderstwem w mogile; być powalonym, a nie upaść; utopić w tych dwóch sylabach koalicję europejską; ofiarować królom kloaki znane już cesarzom; z najpośledniejszego słowa uczynić najpierwsze, opromieniając je blaskiem Francji; zapustami zuchwale zakończyć Waterloo; do Leonidasa dodać Rabelais'go, zamknąć zwycięstwo w jednym najcelniejszym, nie nadającym się do wymówienia słowie; ustąpić z placu boju, a wejść do historii; po takiej rzezi zdobyć się na śmiech - to wielkość!

To znieważyc gromy. To osiągnąć szczyty Eschylosowe.

Słówko Cambronne'a ma w sobie coś z żywiołu; to żywioł pogardy rozsadzający piersi; to wybuchający nadmiar agonii. Kto zwyciężył? Wellington? Nie. Bez Blüchera byłby zgubiony. Blücher? Nie! Gdyby Wellington nie zaczął, Blücher nie byłby w stanie zakończyć. Ów Cambronne, ów zjawiający się na ostatnią chwilę żołnierz nie znany nikomu, ta drobina wojny, czuje, że w tym wszystkim jest jakieś kłamstwo, kłamstwo w klęsce - boleść podwójna! I w chwili gdy wybucha wściekłością, ofiarują mu tę śmieszna rzecz - życie! I jak tu nie bluznąć przekleństwem?

Oto oni wszyscy, królowie Europy, szczęśliwi generałowie, Jowisze gromowładni;

mają sto tysięcy zwycięskiego żołnierza, a za tymi stu tysiącami milion; ich działa z zapalonymi lontami szczerzą paszcze; podeptali gwardię cesarską i Wielką Armię, zmiażdżyli Napoleona - został tylko Cambronne. Zaprotestować może już tylko ten nędzny robak. Będzie protestował! Więc szuka słowa, tak jak szuka się szpady. Pieni się z wściekłości i tą pianą jest słowo. Wobec zwycięstwa niezwykłego i lichego, zwycięstwa bez zwycięzców, ten rozbitek podnosi głowę; ulega potędze tego zwycięstwa, ale czuje jego nicość; nie pluje na nie, czyni więcej, przytłoczony ilością, siłą i materią, znajduje nań w duszy stosowne określenie - ekskrementy! Powtarzamy: powiedzieć tak, postąpić tak, znaleźć taką odpowiedź - to zwyciężyć!

W owej tragicznej chwili wstąpił w tego człowieka duch wielkich dni. Nawiedzony technieniem z wysokości Cambronne znajduje słowo dla Waterloo, tak jak Rouget de Lisle znalazł "Marsylianę". Wiew huraganu bożego przemknął tych ludzi; zadrżeli - jeden wyśpiewał najwznioślejszą z pieśni, drugi wydał straszliwy okrzyk. Ten wyraz tytanicznej wzgardy Cambronne cisnął nie tylko w twarz Europie w imieniu cesarstwa - to byłoby zbyt mało; cisnął je przeszłości w imieniu rewolucji. Słyszymy i rozpoznajemy w Cambronne'ie ducha dawnych olbrzymów. Rzekłbyś, to Danton przemówił, to Kleber ryknął jak lew. Na słowo Cambronne'a Anglicy odpowiedzieli: "Ognia!" Zagrzały baterie, zadrżało wzgórze, wszystkie spiżowe paszcze rzygnęły po raz ostajni straszliwym ogniem, dym rozlał się szeroko, biejąc w poświacie wschodzącego miesiąca, zakłębił się, a gdy się rozwiął - nie było już nic. Garstka wspaniałych straceńców została unicestwiona; gwardia nie żyła. Padły cztery mury żywej reduty i w tym stosie trupów można było dostrzec zaledwie gdzieniegdzie jakieś drzenie. Tak oto legiony francuskie - wspanialsze niż legie rzymskie - skonały na Mont-Saint-Jean, na ziemi mokrej od deszczu i krwi, pośród posepnych zbóż, w miejscu, przez które dziś o czwartej nad ranem przejeżdża codziennie Józef, pocztylion dyliżansu do Nivelles, pogwizdując i wesoło poganiając batem konia.

## XVI

### **Quot libras in duce?\***

Bitwa pod Waterloo jest zagadką, równie nie wyjaśnioną dla tych, którzy ją wygrali, jak i dla tego, który ją przegrał. Napoleon widzi w niej panikę, Blücher jest zdumiony; Wellington nic nie rozumie. Zajrzyjcie do raportów. Sprawozdania są niejasne, komentarze zagmatwane. Jedni bełkoczą, drudzy się jękają. Jomini dzieli bitwę na cztery okresy; Muffling rozróżnia w niej trzy fazy, jeden Charras, choć i z nim różnimy się w ocenie niektórych kwestii, swym przenikliwym spojrzeniem dostrzega charakterystyczne zarysy klęski geniuszu ludzkiego zmagającego się z wyrokiem boskim. Wszyscy inni historycy są jakby olśnieni i w tym olśnieniu błędzą po omacku. Istotnie, w tym dniu, pełnym błyskawic, runęła monarchia wojskowa pociągając za sobą, ku wielkiemu zdumieniu królów, wszystkie królestwa, niosąc upadek potęgi i pogrom wojny.

W tym wydarzeniu, naznaczonym nadludzkim fatum, udział człowieka jest niczym.

Czy - odbierając Wellingtonowi i Blücherowi zasługę zwycięstwa pod Waterloo, pomniejsza się Anglię i Niemcy? Nie. W zagadnieniu Waterloo nie chodzi ani o wspaniałą Anglię, ani o dostojne Niemcy. Chwała Bogu, wielkość narodów nie zależy od ponurych przygód orężnych. Ani Niemcy, ani Anglia, ani Francja nie mieszczą się w pochwie miecza. W tej epoce, w której Waterloo jest tylko szczękiem szabel, Niemcy mają Goethego, większego niż Blücher, Anglia zaś Byrona, większego niż Wellington. Cechą naszego stulecia jest olśniewający jak wschód słońca - wschód myśli, a do blasku tej jutrzenki i Anglia, i Niemcy wplotły swe wspaniałe promienie. Dostojne są wzniosłością myśli. Istotne jest dla narodów owo podniesienie poziomu, który wnoszą do cywilizacji, a to wywodzi się z nich samych, nie zaś z przypadku. Źródłem ich wielkości w XIX wieku nie jest Waterloo. Jedynie ludy barbarzyńskie przeżywają po zwycięstwie nagły wzrost znaczenia. Jest to nietrwała pycha strumieni wezbranych po burzy. Narody cywilizowane, zwłaszcza w naszych czasach, nie wzrastają w potęgę ani nie upadają z powodu powodzeń czy niepowodzeń jednego wodza. Ich ciężar gatunkowy w rodzaju ludzkim wynika z rzeczy ważniejszych niż bitwa. Ich honor, godność, rozum, geniusz to nie są, dzięki Bogu, sztony, którymi bohaterowie i zdobywcy - ci gracze - mogą grać na loterii bitew. Częstokroć przegrana bitwa to krok ku postępowi. Mniej

---

\* Jaka była wartość wodza?

sławy - więcej wolności. Milknie warkot bębnow, do głosu dochodzi rozum. To gra, w której wygrywa ten, kto traci. Pomówmy więc o Waterloo chłodno i rozpatrzmy je pod dwojakim kątem widzenia. Oddajmy przypadkowi - co przypadkowe, a co boskie - Bogu. Czymże jest zatem Waterloo? Zwycięstwem? Nie! Wygraną na loterii. Wygrała Europa, zapłaciła Francja. Doprawdy nie warto było stawiać tam lwa.

Waterloo jest zresztą najdziwniejszym spotkaniem, jakie zna historia. Napoleon i Wellington. To nie dwaj przeciwnicy, to dwa przeciwieństwa. Nigdy Bóg, który się lubuje w antytezach, nie stworzył równie jaskrawego kontrastu i równie niezwykłego zestawienia. Z jednej strony dokładność, przezorność, geometria, ostrożność, zapewnienie odwrotu, oszczędzanie rezerw, zimna krew, upór, niewzruszona metodyczność, wykorzystanie strategiczne, taktyka równowagi sił w batalionach, rzeź planowa, wojna prowadzona z zegarkiem w ręku, wykluczenie, o ile to możliwe, wszelkiej przypadkowości, dawna klasyczna odwaga, poprawność absolutna; z drugiej strony - intuicja, dar odgadywania, niezwykłość posunięć wojskowych, nadludzki instynkt, płomienny rzut oka, coś, jak spojrzenie orła i uderzenie pioruna, rozmach nie baczący na nic, połączony z cudowną sztuką, wszystkie tajemnice nieodgadnionej duszy, przymierze zawarte z losem; despotyzm posunięty do tyranizowania pola bitwy, wzywający, a nawet zmuszający do posłuszeństwa rzeki, równiny, lasy i wzgórza; połączona z wiedzą strategiczną wiara w szczęśliwą gwiazdę, potęgująca, lecz i zaćmiewająca tę wiedzę zarazem.

Wellington to Barreme\* wojny; Napoleon - to jej Michał Anioł; tym razem rachunek zwyciężył geniusza.

Obie strony czekały na kogoś. Wygrał dokładny kalkulator. Napoleon czekał na Grouchy'ego - Grouchy nie przybył. Wellington czekał na Blüchera - Blücher przybył.

Wellington - to odwet wojny prowadzonej według klasycznych reguł. Napoleon o świtanie swojej gwiazdy spotkał się był z nią we Włoszech i rozgromił ją wspaniale. Stara sowa umknęła przed młodym jastrzębiem. Dawna taktyka została nie tylko rażona piorunem, ale i zgorszona. Kimże był ten dwudziestosześcioletni Korsykanin? Co miał oznaczać ten wspaniały nieuk, który mając przeciwko sobie wszystko, za sobą nic, bez żywności, bez amunicji, bez armat, bez butów, prawie bez wojska, z garstką ludzi przeciwko masom, rzucał się na skoalizowaną Europę i, wbrew zdrowemu rozsądkowi, odnosił zgoła nieprawdopodobne zwycięstwa? Skąd się wziął ten gromowładny szaleniec, który nie spoczawszy ani chwili, mając tę samą znikomą ilość wojska, rozbił w pył, jedną po drugiej, pięć armii cesarza Niemiec, spychając Beaulieu na Alvinzy'ego, Wurmsera na Beaulieu,

Mélasa na Wurmsera, Macka na Mélasa? Kimże był ten nowicjusz sztuki wojennej, zuchwały jak półbóg? Akademizm wojskowy ustępując z pola rzucał nań klątwę. Stąd wywodzi się nieprzejednana niechęć dawnego cezaryzmu do nowego, poprawnej szabli do płomiennej szpady, kalkulatora do geniusza. 18 czerwca 1815 roku danym było tej niechęci mieć ostatnie słowo i pod Lodi, Montebello, Montenotte, Mantuą, Marengo i Arcole podpisać: Waterloo. Triumf miernoty, miły większości ludzi. Los zgodził się na to szyderstwo. W chwili upadku Napoleon miał znów za przeciwnika drugie wydanie Wurmsera.

Wystarczy bowiem przyprószyć siwizną głowę Wellingtona, a będziecie mieli Wurmsera.

Waterloo jest bitwą pierwszego rzędu wygraną przez drugorzędnego dowódcę.

Jeśli coś należy podziwiać w bitwie pod Waterloo, to Anglię, angielską stanowczość, angielską dzielność, angielską krew; niech nam Anglia pozwoli powiedzieć, że najwspanialsza w tym boju była właśnie ona sama: jej wojsko, nie jej wódz.

W liście do lorda Bathurst Wellington, dziwnie niewdzięczny, pisze, że jego armia - armia, która walczyła 18 czerwca 1815 roku - była "nic niewarta". Co o tym myśli ponury stos kości zagrzebanych na polach Waterloo?

Anglia była zbyt skromna wobec Wellingtona. Tak go wyolbrzymić - to pomniejszyć Anglię. Wellington jest takim samym bohaterem jak inni. Szarzy Szkoci, gwardia konna, regimenty Maitlanda i Mitchella, piechota Packa i Kempta, jazda Ponsonby'ego i Somerseta, górale szkoccy wygrywający na kobzie pod gradem kartaczy, bataliony Rylandta, nowo zaciężni młodzi żołnierze, zaledwie umiejący władać muszkietem, a stawiający czoło starym wiarusom spod Essling i spod Rivoli - oto kto był naprawdę wielki. Wellington był niezłomny, wytrzymały - na tym polega jego zasługa, której nie myślimy mu odbierać, ale każdy z jego piechurów i ułanów trzymał się równie dzielnie jak on. Żelazny żołnierz był wart żelaznego księcia. Co do nas, całą chwałę przypisujemy angielskiemu żołnierzowi, angielskiej armii, narodowi angielskiemu. Jeśli komu należą się jakie trofea - to Anglii. Słuszniej byłoby, gdyby na cokole w Waterloo, zamiast postaci jednego człowieka, wznosił się ku niebu posąg całego narodu.

Ale wielka Anglia będzie się gniewała za to, co tu mówimy. Zachowała ona bowiem - mimo swojego roku 1688 i naszego 1789 - feudalne złudzenia. Wierzy w hierarchię i w dziedziczność. Ten lud, któremu żaden inny nie dorówna w potędze i chwale, ceni siebie jako nację, a niejako lud. Jako lud chętnie okazuje uległość i na przywódcę wybiera sobie lorda. Workman pozwala sobą pogardzać; żołnierz pozwala się batożyć. Pamiętamy, jak po bitwie

---

\* Bernard-François Barre (1640-1703) - matematyk francuski.

pod Inkermann pewien sierżant, który ocalał podobno całą armię, nie mógł być wymieniony przez lorda Raglana, ponieważ wojskowa hierarchia angielska nie pozwala umieścić w raporcie żadnego bohatera, który nie ma stopnia oficerskiego.

Nade wszystko jednak podziwiamy w spotkaniu takim, jakie miało miejsce pod Waterloo - cudowną przemyślność przypadku. Nocna ulewa, mur w Hougomont, parów Ohain, Grouchy głuchy na armatnie strzały, przewodnik fałszywie objaśniający Napoleona, przewodnik dobrze objaśniający Bülowa - cały ten kataklizm jest cudownie przeprowadzony.

Dodajmy jeszcze, iż w sumie - Waterloo to raczej rzeź niż bitwa.

Ze wszystkich regularnych bitew Waterloo ma najszczuplejszy teren w stosunku do ilości walczących. Napoleon zajmował trzy czwarte mili, Wellington pół mili; siedemdziesiąt dwa tysiące żołnierzy z każdej strony. To zatłoczenie było przyczyną masakry.

Obliczono i ustalono następujący stosunek strat w ludziach: pod Austerlitz: Francuzi - czternaście procent, Rosjanie - trzydzieści, Austriacy - czterdzieści cztery procent. Pod Wagram: Francuzi - trzynaście procent, Austriacy - czternaście procent. Pod Borodino: Francuzi - trzydzieści siedem procent, Rosjanie - czterdzieści cztery procent. Pod Bautzen: Francuzi - trzynaście procent, Rosjanie i Prusacy - czternaście procent. Pod Waterloo: Francuzi - pięćdziesiąt sześć procent, sprzymierzeni - trzydzieści jeden. Razem straty pod Waterloo wynoszą czterdzieści jeden procent. Sto czterdzieści cztery tysiące wojska; sześćdziesiąt tysięcy - poległych.

Dziś pole pod Waterloo tchnie spokojem właściwym ziemi, tej niewzruszonej podpory człowieka, i w niczym nie różni się od innych równin.

Ale w nocy podnosi się z niego jakaś mgła widmowa i jeśli kto przechadza się tamtędy, jeśli patrzy, jeśli słucha, jeśli дума, tak jak Wergiliusz na posępnych równinach Filippi - staje przed nim zjawa klęski. Odżywa straszny dzień 18 czerwca; ginie gdzieś kurhan-pomnik, znika niezbyt fortunny posąg lwa, pole bitwy przybiera swą prawdziwą postać; szeregi piechoty falują na równinie, wściekłe galopy przecinają widnokrąg i zamyślony wędrowiec, zdjęty trwogą, widzi błyskawice szabel, lśnienie bagnatów, płomienie bomb, potworne zygzyki piorunów; i niby jęk, dobywający się z mogiły, słyszy stłumiony zgiełk bitwy-widma; te cienie - to grenadierzy; te lśnienia - to kirasjerzy; ten kościotrup - to Napoleon, tamten kościotrup - to Wellington; to wszystko już nie istnieje, a ściera się jeszcze ze sobą i walczy; stoki wąwozów barwią się purpurą, drzewa drżą, szal bitwy ogarnia nawet chmury i w ciemnościach wszystkie te złowrogie wzgórza: Mont-Saint-Jean, Hougomont, Frischemont, Papelotte, Plancenoit, jawią się uwieńczone mgławicami widm mordujących się nawzajem.



## XVII

### **Czy klęskę pod Waterloo należy uznać za użyteczną?**

Pewna bardzo szacowna szkoła liberalna ma słabość do Waterloo. My do niej nie należymy. Dla nas Waterloo jest jedynie zdumioną datą wolności. Rzecz to z całą pewnością niespodziewana, by taki orzeł wylął się z takiego jaja. Biorąc rzecz z najogólniejszego punktu widzenia Waterloo jest w swych zamierzeniach zwycięstwem kontrrewolucji. To Europa występuje przeciw Francji, Petersburg, Berlin i Wiedeń przeciw Paryżowi, *status quo* - przeciw przemianom; to poprzez 20 marca 1815 - atak na 14 lipca 1789; to monarchie biją na alarm przeciw niezłomnie buntowniczemu duchowi Francji. Przygasić wreszcie ten wielki lud od dwudziestu sześciu lat wybuchający jak wulkan - takie było ich marzenie. Burbonowie stowarzyszyli się z domami: brunswickim, nassauskim, z Romanowymi, z Hohenzollernami, z Habsburgami. Waterloo dźwiga na swym grzbiecie prawo boskie. Co prawda wobec tyranii rządów cesarskich - przez naturalną reakcję rzeczy - monarchia musiała z konieczności być liberalna i ku wielkiemu niezadowoleniu i wbrew chęciom zwycięzców z Waterloo zrodził się system konstytucyjny. A stało się tak, ponieważ rewolucja nigdy nie może zostać naprawdę pokonana i, będąc nakazem woli najwyższej i nieodwracalną koniecznością losu, wciąż odżywa na nowo: przed Waterloo - w Bonapartem obalającym stare trony, po Waterloo - w Ludwiku XVIII nadającym i poddającym się konstytucji. Bonaparte osadza na tronie królestwa Neapolu - pocztyliona, a na tronie Szwecji - sierżanta, posługując się nierównością dla wykazania równości; Ludwik XVIII podpisuje w Saint-Ouen deklarację praw człowieka. Jeśli chcecie zdać sobie sprawę, czym jest rewolucja, nazwijcie ją Postępem; a jeśli chcecie zdać sobie sprawę, czym jest postęp, nazwijcie go Jutrem. Jutro mimo przeszkód pracuje nad swym dziełem, pracuje już dziś. I zawsze przedziwnie dochodzi do swego celu. Używa Wellingtona, by Foya, zwykłego żołnierza, przemienić w mówcę. Foy upada w Hougomont, by podnieść się na trybunie. Takimi drogami chadza postęp. Dla tego rzemieślnika dobre jest każde narzędzie. Do swej boskiej pracy bez wahania używa człowieka, który przekroczył Alpy, i pocziwego, starego pacjenta ojca Elizjusza<sup>\*</sup>. Posłuży się równie dobrze zdobywcą jak podagrą; zdobywcą na zewnątrz, podagrą - wewnątrz. Waterloo, kładąc kres burzeniu mieczem tronów Europy, doprowadziło jedynie do podjęcia pracy rewolucyjnej od innej

---

<sup>\*</sup> Ludwik XVIII, którego lekarzem był Marie-Vincent Tolochon (1753-1847), zwany "ojcem Elisée".

strony.

Minął czas wojowników, nastał czas myślicieli. Wiek, który Waterloo chciało powstrzymać, przeszedł ponad nim i kroczył dalej swoją drogą. To ponure zwycięstwo zostało zwyciężone przez rewolucję.

Ale ostatecznie nikt nie zaprzeczy, że to, co triumfowało pod Waterloo, co uśmiechało się za plecami Wellingtona, co mu dało wszystkie marszałkowskie buławy Europy, nie wyłączając podobno buławy marszałka Francji, co popychało wesoło taczki z ziemią, pełną ludzkich kości, na sypanie kopca pod posąg lwa, co triumfalnie wypisało na cokole datę: 18 czerwca 1815 roku, co ośmiało Blüchera, by szablami siekł uciekających, co ze szczytu Mont-Saint-Jean pochylało się nad Francją, jak nad łupem, to była kontrewolucja.

To kontrewolucja szeptała owo haniebne słowo: rozbiory. Przybywszy do Paryża zobaczyła z bliska wulkan, poczuła, że ten gorący popiół parzy jej stopy, i rozmyśliła się. Poprzestała na wyjąkaniu konstytucji.

Nie doszukujmy się w Waterloo tego, czego w nim nie było. Chęci niesienia wolności nie ma w nim wcale. Kontrewolucja była liberalna wbrew własnej woli, podobnie jak wbrew własnej woli Napoleon był rewolucjonistą. Dnia 18 czerwca 1815 roku Robespierre na koniu został wysadzony z siodła.

## XVIII

### Nawrót prawa boskiego

Koniec dyktatury. Cały system europejski rozsypał się w gruzy.

Cesarstwo zapadło w ciemność przypominającą ciemność ostatnich chwil świata rzymskiego. I podobnie jak za czasów barbarzyńskich - zmartwychwstano z tej przepaści. Tylko że barbarzyństwo 1815 roku, któremu na imię kontrrewolucja, miało krótki oddech, zadyszało się szybko i urwało w pół słowa. Przyznajmy, że upadek cesarstwa był opłakiwany i że opłakiwały go oczy bohaterów. Jeśli chwała jest mieczem przemienionym w berło, cesarstwo było uosobieniem chwały. Rozlało po ziemi całą światłość, którą może zrodzić tyrania: światłość przyćmioną. Powiedzmy więcej: ciemną światłość. W porównaniu z prawdziwym dniem światłość ta była nocą. A jednak zniknięcie tej nocy sprawiło wrażenie zaćmienia.

Ludwik XVIII wrócił do Paryża. Tańce na ulicach 8 lipca przysłoniły entuzjazm 20 marca.\* Korsykanin stał się antytezą Bearneńczyka\*. Nad kopułą Tuileries powiewał biały sztandar. Wygnanie wstąpiło na tron. Sosnowy stół z Hartwell\* stanął przed fotelem Ludwika XIV zdobnym w burbońskie lilie. O Bouvines i Fontenoy\* mówiono tak, jakby zdarzyły się wczoraj, Austerlitz stało się bardzo odległe. Między tronem a ołtarzem nastąpiło pełne majestatu zbratanie. Zarówno we Francji, jak i na całym kontynencie zapanował ustrój uważany przez XIX wiek za najbardziej zbawienny dla społeczności. Europa przypięła sobie białą kokardę. Trestaillon\* stał się sławny. Dewiza "*non pluribus impar*" pojawiła się znowu w promieniach kamiennego słońca zdobiącego fasadę koszar Quai d'Orsay. Tam gdzie dawniej stała warta cesarska, teraz stał czerwony dom. Łuk Carrousel, ozdobiony napisami niewygodnych dziś zwycięstw, obcy wśród tych nowości, wstydząc się może za Marengo i Arcole, wybrnął jakoś z kłopotu przystroiwszy się w posąg księcia d'Angoulême. Cmentarz św. Magdaleny, straszliwy wspólny grób 93 roku, pokrył się jaspisem i marmurem, ponieważ

---

\* 8 lipca 1815 roku - Ludwik XVIII powrócił do Paryża. 20 marca 1815 Napoleon został zesłany na Wyspę Św. Heleny.

\* Bearneńczyk - Henryk VI (pochodził z prowincji Bearn).

\* Hartwell - zamek w Anglii, gdzie mieszkał przez wiele lat przebywający na emigracji późniejszy król Ludwik XVIII.

\* Bouvines - miejsce zwycięstwa odniesionego w 1214 r. przez wojska francuskie pod wodzą króla Filipa Augusta nad wojskami cesarza Ottona IV i jego sprzymierzeńców. Fontenoy - miejsce zwycięstwa wojsk francuskich nad wojskami angielskimi i austriackimi 11.V.1745r.

między tymi prochami spoczywały też kości Ludwika XVI i Marii Antoniny. W fosie w Vincennes wyrosła złamana kolumna grobowa, przypominająca, że księżę d'Enghien zginął w tym samym miesiącu, w którym koronował się Napoleon. Papież Pius VII, który dokonał koronacji tak bliskiej owej śmierci, spokojnie błogosławił upadkowi, jak błogosławił w swoim czasie wyniesieniu. W Schoenbrunnie snuł się mały, czteroletni cień; przestępstwem było nazywać go królem rzymskim. I działy się te rzeczy, i królowie odzyskali swoje trony, i władca Europy został zamknięty w klatce, i dawny ustrój stał się nowym, i zmieniły miejsce wszystkie blaski i wszystkie cienie na ziemi dlatego tylko, że pewnego letniego popołudnia jeden pastuch w lesie rzekł do jednego Prusaka: "Idźcie tędy, a nie tamtędy!"

Rok 1815 był jakimś ponurym "prima aprilis". Dawna rzeczywistość, niezdrowa i trująca, przybrała nowe pozory. Kłamstwo poślubiło rok 1789, "prawo boskie" królów przebrało się w konstytucję, fikcje stały się prawem, przesady, zabobony i ukryte intencje, z artykułem czternastym\* w sercu, pomalowały się liberalizmem. Tak węże zmieniają skórę.

Napoleon wywyższył, a zarazem pomniejszył człowieka. Pod triumfalnym panowaniem materii ideał otrzymał dziwne miano ideologii. Wysztydzać przyszłość - to wielka nieostrożność ze strony wielkiego człowieka. A jednak lud, owo mięso armatnie tak rozkochane w kanonierze, szukał go oczyma. Gdzie jest? Co robi? "Napoleon umarł" - rzekł jakiś przechodzień do inwalidy spod Marengo i spod Waterloo. "On miałby umrzeć? - zawołał żołnierz. - To go nie znasz!" Z tego powalonego człowieka wyobraźnia ludzka robiła boga. Po Waterloo zachmurzyło się niebo nad Europą. Po upadku Napoleona długo pozostała wielka pustka.

W tę pustkę weszli królowie. Stara Europa skorzystała z niej, żeby się na nowo zorganizować. Nastąpiło Święte Przymierze. Piękne Przymierze\* przepowiedziało fatalne pole bitwy pod Waterloo.

W obliczu starej Europy, odbudowanej na nowo, zaznaczyły się zarysy nowej Francji. Nadchodziła przyszłość wyszydzonej przez cesarza. Na czole swym miała gwiazdę: Wolność. Płonące oczy młodych pokoleń zwróciły się ku niej. Rzecz dziwna - rozkochali się wszyscy w tej przyszłości - której imię Wolność, i w tej przeszłości, której imię Napoleon. Klęska wywyższyła pokonanego. Bonaparte powalony zdawał się większy niż Napoleon u szczytu

---

\* Jacques Dupont Trestaillon - dowódca band rojalistycznych na południu Francji.

\* Artykuł czternasty konstytucji nadanej przez Ludwika XVIII, w myśl którego król miał, między innymi, prawo mianowania wszystkich urzędników w państwie.

\* Gra słów: Święte Przymierze - Sainte-Alliance, Piękne Przymierze - Belle-Alliance; Belle-Alliance - miejsce bitwy w dn. 18 czerwca 1815 r.

potęgi. Triumfatorzy się zlekli. Anglia dała mu strażnika w osobie Hudsona Lowe\*, Francja szpiega w osobie Montchenu\*. Jego skrzyżowane ramiona niepokoiły trony, Aleksander nazywał go: "Moja bezsenność". Ten lęk budziła wielkość rewolucji, którą nosił w sobie ten człowiek. To wyjaśnia i tłumaczy liberalizm bonapartyzmu. To widmo wprawiało w drżenie stary świat. Niewygodnie było królom panować ze skałą Św. Heleny na widnokręgu.

Gdy Napoleon konał w Longwood, sześćdziesiąt tysięcy ludzi poległych na polu Waterloo gniło spokojnie i coś z ich spokoju rozeszło się po świecie. Kongres wiedeński zrobił z tego traktaty w 1815 roku i Europa nazwała to Restauracją.

Oto, czym jest Waterloo.

Ale co to może obchodzić nieskończoność? Cała ta nawałnica, te chmury, ta wojna, a potem ten pokój - cała ta ciemność na chwilę nawet nie przyćmiła blasku ogromnej źrenicy, dla której maleńki robaczek, skaczący z jednego źdźbła trawy na drugie, równy jest orłu przelatującemu z jednej wieży katedry Marii Panny na drugą.

---

\* Hudson Lowe (1769-1844) - generał angielski, gubernator Wyspy Św. Heleny.

\* Montchenu - oficjalny przedstawiciel Francji na Wyspie Św. Heleny.

## XIX

### Noc na pobojuwisku

Opowieść nasza wymaga, byśmy raz jeszcze powrócili na owo fatalne pobojuwisko.

18 czerwca 1815 roku była pełnia księżyca. Jasna noc ułatwiała okrutny pościg Blüchera, odkrywała ślady uciekinierów, wydawała nieszczęsny tłum na łup rozwścieczonej kawalerii pruskiej i sprzyjała rzezi. Zdarzają się czasem takie tragiczne zmowy nocy i klęski.

Gdy padł ostatni strzał armatni, równina Mont-Saint-Jean opustoszała.

Anglicy zajęli obozowisko francuskie; spać w łóżku zwycięzonego - to zwykłe w takich wypadkach potwierdzenie zwycięstwa. Rozłożyli się biwakiem ponad Rossomme. Prusacy, wysłani w pogoń, zapędzili się dalej. Wellington udał się do wioski Waterloo, by napisać raport do lorda Bathurst.

Nigdy chyba powiedzenie "*sic vos non vobis*"\* nie miało tak trafnego zastosowania jak do owej wioski. Waterloo nie odegrało żadnej roli w bitwie i pozostało o pół mili od terenu walk. Mont-Saint-Jean znajdowało się pod ogniem artyleryjskim. Hougomont zostało spalone, Papelotte spalone, Plancenoit spalone, Haie-Sainte wzięte szturmem, Belle-Alliance widziało uściski obu zwycięzców, lecz dziś nazwy te są już prawie nie znane, podczas gdy Waterloo, które w ogóle nie brało udziału w bitwie, zbiera wszystkie zaszczyty.

Nie należymy do ludzi, którzy schlebiają wojnie; gdy sposobność się nadarza, mówimy jej prawdę w oczy. Wojna ma swe groźne piękno, którego nie ukrywaliśmy bynajmniej; ale zgódźmy się, że ma też swoje ohydy. Jedną z najbardziej zadziwiających jest obrabowywanie poległych natychmiast po zwycięstwie. Świt, który wschodzi po bitwie, oświetla nagie trupy.

Kto się tego dopuszcza? Kto tak bezcześci triumf? Cóż to za ohydna dłoń sięga ukradkiem do kieszeni zwycięstwa? Cóż to za łotry uprawiają swe haniebne rzemiosło na polu chwały? Kilku filozofów, między nimi Wolter, twierdzą, że robią to ci sami, którzy wpierw przyczynili się do zdobycia chwały. To są ci sami - mówią - nikt inny; ci, którzy się ostali, grabią tych, co polegli. Bohater dnia staje się wampirem nocy. A zresztą, wolno chyba przetrząsnąć trochę kieszenie temu, kogo się zabiło. My jednak w to nie wierzymy.

---

\* Wy, ale nie dla was - cytat z wiersza, który Wergiliusz napisał, kiedy poeta Batyllus otrzymał nagrodę podając się za autora jego wiersza.

Uważamy, że jest rzeczą zgoła niemożliwą, by ta sama ręka, która zrywała wawrzyny, mogła zdierać trupom buty.

To jednak pewne, że zwykle w ślad za zwycięzcami przychodzą złodzieje. Ale wyłączmy spod tego zarzutu żołnierzy, zwłaszcza dzisiejszych żołnierzy.

W ślad za każdą armią ciągnie gromada podejrzanych osobników - i ich to właśnie należy oskarżać. Są to ludzie-nietoperze, ni to zbóje, ni to sługusy, wszelkiego rodzaju *vespertilio*\*, których rodzi mrok zwany wojną, którzy noszą mundury, ale nie biorą udziału w walce, symulanci, podejrzone kaleki, pokątni kramarze, wędrujący nieraz z żonami na małych wózkach i sprzedający to, co ukradli, żebracy ofiarowujący się oficerom na przewodników, ciury, włóczęgi; wszystko to armia ciągnęła niegdyś za sobą - nie mówimy o czasach obecnych - i miała nawet dla nich specjalną nazwę "maruderów". Żadne wojsko, żadne państwo nie było odpowiedzialne za tych osobników, którzy mówili po włosku, a ciągnęli za Niemcami, mówili po francusku, a ciągnęli za Anglikami. To przez jednego z tych nędzników, przez marudera hiszpańskiego mówiącego po francusku, zginął markiz de Fervacques, który wprowadzony w błąd jego pikardyjskim szwargotem wziął go za jednego z naszych i został zdradziecko zabity i ograbiony na polu bitwy w nocy, po zwycięstwie pod Cerisoles. Rabunek rodzi rabusia. Ta zaraza wywodzi się z ohydnej zasady: "żyć z nieprzyjaciela", i jedynym na nią lekarstwem jest żelazna dyscyplina. Rozgłos niektórych ludzi bywa zwodniczy; nie wiadomo czemu niektórzy generałowie, zresztą wybitni, zawdzięczają swą popularność. Turenne uwielbiany był przez żołnierzy, gdyż zezwalał na rabunek; tolerowanie zła jest również dobrocią. Turenne był tak dobry, że pozwolił wziąć Palatynat ogniem i mieczem. W zależności od tego, czy dowódca był mniej, czy bardziej surowy, widziano mniej lub więcej maruderów ciągnących w ślad za wojskiem. U Hoche'a i Marceau "maruderów" nie było wcale. U Wellingtona - chętnie oddajemy mu tę sprawiedliwość - było ich niewielu.

Jednakże w nocy z 18 na 19 czerwca grabiono poległych. Wellington był bezwzględny; wydał rozkaz rozstrzelania każdego, kto zostanie schwytany na gorącym uczynku; ale grabież jest uparta. I gdy jednych rabusiów rozstrzelowano na jednym krańcu pobojuwiska, inni kradli na drugim.

Złowieszcze światło księżycy oblewało równinę.

Około północy jakiś człowiek wałęsał się, a raczej czołgał w pobliżu parowu Ohain. Wszystko wskazywało, że był to jeden z tych, o których mówiliśmy przed chwilą, ni Francuz, ni Anglik, ni wieśniak, ni żołnierz, raczej upiór, który zwęszył trupy, niż człowiek;

zwycięstwem była dla niego kradzież, przyszedł, by ograbić Waterloo. Odziany był w kurtkę przypominającą trochę płaszcz żołnierski, był niespokojny i zuchwały, szedł naprzód, a oglądał się za siebie. Kim był ten człowiek? Noc wiedziała pewno o nim więcej niż dzień. Nie miał worka, lecz z pewnością miał pod płaszczem głębokie kieszenie. Od czasu do czasu przystawał, rozglądał się wokoło, szarpał coś, co leżało na ziemi nieruchome i nieme, prostował się i pomykał dalej. To prześlizgiwanie się, postawa, ruchy nagłe i tajemnicze czyniły go podobnym do zmór straszących wieczorem w ruinach, a dla których dawne legendy normandzkie mają nazwę Alleurs.

Postać jego przypominała pewne ptaki wodne, brodzące nocą po bagniskach.

Wpatrując się w ten mrok można byłoby dostrzec ukryty w pobliżu za węglem domu przy drodze do Nivelles, na skrzyżowaniu dróg do Mont-Saint-Jean i Braine-l'Alleud mały wózek markietanki z plecioną, wysmołowaną budą. Chuda, wygłodzona szkapa, zaprzęgnięta do wózka, skubała przez wędzidło pokrzywy, na wózku zaś - na skrzynkach i tobołach siedziała jakaś postać niewieścia.

Może istniał jakiś związek pomiędzy wózkiem a rabusiem?

Noc była pogodna. Ani jednej chmurki na niebie. I cóż z tego, że ziemia broczy czerwienią, księżyc zawsze lśni bielą. Nieczułe są niebiosy. Na łąkach złamane przez kule gałęzie drzew wisały na pasmach kory, kołysząc się lekko na nocnym wietrze. Jakiś wiew, niemal oddech, poruszał krzewy. Trawy przebiegało delikatne drżenie, jakby trzepotanie skrzydeł odlatujących dusz.

Z daleka dochodził stłumiony odgłos kroków; to krążyły patrole i nocne warty obozu angielskiego.

Hougomont i Haie-Sainte wciąż jeszcze płonęły, buchając, jedno na wschodzie, drugie na zachodzie, wysokim słupem płomieni; łączył je, niczym rubinowy naszyjnik zakończony dwoma karbunkułami, sznur ognisk angielskich biwaków, ciągnący się olbrzymim półkolem poprzez wzgórza na widnokręgu.

Opisaliśmy katastrofę w wąwozie Ohain. Serce wzdryga się na samą myśl, czym była taka śmierć dla tych bohaterskich żołnierzy.

Jeśli istnieją rzeczy straszne, jeśli rzeczywistość może być bardziej przerażająca niż koszmar - to jest właśnie to: żyć, widzieć słońce, być w pełni sił męskich, zdrowia, radości, śmiać się junacko, biec ku oczekującej sławie, czuć w piersi płuca wezbrane szerokim oddechem i serce bijące, mieć wolę rozumną, mówić, myśleć, spodziewać się, kochać, mieć matkę, mieć żonę, mieć dzieci, oglądać światło - i nagle, nie zdążywszy nawet krzyknąć, w

---

\* Gatunek nietoperzy.

ułamku sekundy runąć w przepaść, zwalić się, leżeć, tratować, być tratowanym, widzieć kłosa, kwiaty, liście, gałęzie i nie móc niczego się schwycić; czuć, że szabla jest już niepotrzebna, mieć ludzi pod sobą, konia na sobie, szamotać się daremnie, czuć, że jakiś pęd w ciemności miażdży kości, a jakiś but wybija oczy, w bezsilnym szale wpijać się zębami w końskie podkowy, dusić się, wyć, szarpać konwulsyjnie, aż wreszcie znieruchomieć i powiedzieć sobie: "Przed chwilą żyłem!"

Tam gdzie rozlegał się niedawno rozpaczliwy jęk klęski, teraz panowała cisza zupełna. Wąwóz wypełniony był po brzegi ciałami jeźdźców i koni, zbitymi w jedną masę. Potworne kłębowisko. Ciała zrównały parów z powierzchnią płaskowzgórza; wąwóz był pełen jak dobrze odmierzona miara owsa. Stos trupów u góry, na dole rzeka krwi; tak wyglądała owa droga wieczorem 18 czerwca 1815 roku. Krew płynęła aż gościńcem do Nivelles, rozlewając się w szeroką kałużę koło zwalonych drzew tarasujących drogę. Dziś jeszcze pokazują to miejsce. Pamiętamy, że klęska kirasjerów nastąpiła na przeciwnym krańcu wąwozu, od strony Genappe. Warstwa trupów malała zależnie od głębokości wąwozu. W środkowej jego części, gdzie było płycej i gdzie przeszła dywizja Delorda, warstwa trupów była cieńsza.

Rabuś nocny, którego czytelnik już widział, tam się czołgał. Szperał w olbrzymiej mogile. Patrzył. Odbynał jakiś ohydny przegląd trupów. Brodził we krwi.

Nagle zatrzymał się.

O parę kroków od niego, w miejscu gdzie kończył się zwał trupów, spod stosu koni i ludzi wystawała rozwartą dłoń, oświetlona blaskiem księżyca.

Na ręce coś błyszczało: złoty pierścień.

Człowiek schylił się, chwilę trwał w tej postawie, a gdy się podniósł, na owej ręce nie było już pierścienia.

Właściwie nie podniósł się: klęczał wisząc całym ciężarem ciała na obu rękach, wpartych w ziemię palcami, w postawie dzikiej i wylękłej, obrócony plecami do stosu trupów, badając horyzont z głową wysuniętą ponad brzeg wąwozu. Postawa szakała odpowiada pewnym czynnościom.

Potem powziął jakieś postanowienie i wstał.

Nagle - wzdrygnął się. Uczuł, że coś trzyma go z tyłu.

Odwrócił się, otwarta dłoń zamknęła się przytrzymując połę jego płaszcza.

Człowiek uczciwy byłby się przestraszył, ten się roześmiał.

- Ech, to tylko nieboszczyk - rzekł - wolę mieć do czynienia z upiorem niż z żandarmem!

Tymczasem ręka osłabła i puściła poję płaszcz. Wysiłek szybko wyczerpuje się w grobie.

- Ejże - mruknął włóczęga - zobaczymy, a może nieboszczyk żyje?

Schylił się znowu, zaczął grzebać wśród zwłok, usuwając to, co mu zawadzało, chwycił dłoń, potem ramię, wydobył głowę, wyciągnął całe ciało i w chwilę później włókł w cień wąwozu bezwładnego, omdlałego człowieka. Był to kirasjer, oficer, nawet wyższy oficer; spod pancerza wystawały duże, złote epolety; oficer nie miał kasku na głowie. Wściekły cios szabli przeciął mu całą twarz, która zalana była krwią. Lecz wydawało się, że poza tym wszystkie członki miał całe; jakimś szczęśliwym trafem - jeśli godzi się użyć tu tych słów - trupy, piętrzące się nad nim, utworzyły rodzaj sklepienia chroniąc go przed zmiżdżeniem. Oczy miał zamknięte.

Na pancerzu błyszczał srebrny Krzyż Legii Honorowej.

Włóczęga oderwał go i krzyż zniknął w przepaścistej kieszeni pod płaszczem.

Po czym przetrząsnął kieszenie oficera; w jednej wymacał zegarek, zabrał go. Obszukał kamizelkę, znalazł w niej sakiewkę, zabrał ją.

I właśnie gdy tak udzielał pomocy konającemu, oficer otworzył oczy.

- Dziękuję - wyszeptał słabo.

Gwałtowność z jaką ów włóczęga nim potrząsnął, chłód nocy i dopływ świeżego powietrza ocuciły go z omdlenia.

Włóczęga nie odpowiedział. Uniósł głowę. Na równinie słychać było kroki. Pewno zbliżał się jakiś patrol.

Oficer wyszeptał ledwie dosłyszalnie, gdyż jeszcze agonia drżała w jego głosie:

- Kto zwyciężył?

- Anglicy! - odparł włóczęga.

Oficer ciągnął dalej:

- Sięgnijcie do moich kieszeni. Znajdziecie sakiewkę i zegarek. Weźcie je.

To już było zrobione.

Włóczęga udał, że szuka, i rzekł:

- Nie ma nic.

- Okradziono mnie - odrzekł oficer - bardzo mi przykro. Byłoby dla was.

Kroki patrolu stawały się coraz wyraźniejsze.

- Ktoś nadchodzi - rzekł włóczęga czyniąc ruch, jakby chciał odejść.

Oficer wstrzymał go, z trudem unosząc ramię.

- Ocaliliście mi życie. Kim jesteście?

Włóczęga odparł cicho i spiesznie:

- Byłem we francuskim wojsku, jak pan. Muszę już iść. Jeśli mnie złapią, to kula w łeb. Ocaliłem panu życie, a teraz radź pan sobie sam.

- Wasz stopień?

- Sierżant.

- Nazwisko?

- Thénardier.

- Nie zapomnę tego nazwiska - rzekł oficer. - A wy zapamiętajcie moje: Pontmercy.

**Księga druga**

**Statek “Orion”**

## I

### Numer 24601 staje się numerem 9430

Jan Valjean został znowu uwięziony. Sądzymy, iż czytelnik będzie nam wdzięczny, że pominiemy tu różne bolesne szczegóły. Ograniczymy się jedynie do przytoczenia dwóch wzmianek, które pojawiły się w gazetach w kilka miesięcy po niezwykle wypadkach w Montreuil-sur-mer.

Są to artykuły dość ogólnikowe. "Gazeta Sądowa", jak wiadomo, nie istniała jeszcze wtedy.

Pierwszą wzmiankę przytaczamy z pisma "Biały Sztandar" z dnia 25 lipca 1823 r.:

*Jeden z okręgów Pas-de-Calais stal się niedawno widownią niecodziennego -wydarzenia. Pewien człowiek, niejaki Madeleine, który nie pochodził z tego departamentu, -wprowadziwszy nowe pomysły do produkcji dżetów i wyrobów z czarnego szkła, dźwignął na nogi stary przemysł miejscowy. Dorobił się sam znacznego majątku i przynajmniej to -podniósł dobrobyt całej okolicy. W uznaniu zasług został mianowany merem. Policja wykryła, że domniemany pan Madeleine jest byłym galernikiem, który uciekł z wyznaczonego mu przez władzę miejsca pobytu. Nazywa się Jan Valjean i w roku 1796 za kradzież skazany został na galery. Jan Valjean został ponownie uwięziony. Podobno przed aresztowaniem zdołał podjąć przeszło pół miliona franków, umieszczone u pana Laffitte 'a, którą to sumę – jak powiadają - zarobił w sposób najzupełniej uczciwy w swoim przedsiębiorstwie. Nie wiadomo, gdzie Jan Valjean ukrył te pieniądze przed powrotem na galery w Tulonie.*

Drugi artykuł, nieco obszerniejszy, ukazał się w "Dzienniku Paryskim" z tego samego dnia.

*Przed sądem przysięgłych w Var stanął dawny przestępca, zbiegły z galer; nazwiskiem Jan Valjean. Niezwykłe są okoliczności towarzyszące temu procesowi. Zbrodniarzowi udało się zmylić czujność policji; zmienił nazwisko i dopiął tego, że został mianowany merem jednego z miasteczek na północy naszego kraju, gdzie stworzył dość poważny przemysł. W końcu dzięki niez mordowanej gorliwości naszych organów policyjnych został rozpoznany i*

*ujęty. Miał konkubinę, dziewczynę publiczną, która ze strachu wyzionęła ducha w chwili jego aresztowania. Ten nędznik, obdarzony herkulesową siłą, potrafił zbiec z więzienia, lecz policja po trzech czy czterech dniach ujęła go w Paryżu, w chwili gdy wsiadał do omnibusu kursującego między stolicą a miasteczkiem Montfermeil (Seine-et-Oise). Skorzystał - jak powiadają - z tych paru dni wolności, by podjąć znaczną sumę złożoną u jednego z naszych znanych bankierów. Suma ta ma wynosić sześć czy siedemkroć sto tysięcy franków. Według brzmienia aktu oskarżenia pieniądze te ukrył w sobie tylko znanym miejscu i władze nie zdołały ich odzyskać. W każdym bądź razie ów Jan Valjean stanął przed sądem przysięgłych w Var; oskarżony o rozbój na gościńcu, dokonany osiem lat temu na osobie jednego z tych zacnych pacholąt, które - jak powiada w swych nieśmiertelnych wierszach patriarcha z Ferney.\**

...Z Sabaudii rokrocznie przychodzą  
I z sadzy swymi drobnymi rączyni  
Starannie czyszczą olbrzymie kominy.

*Zbrodzień nie usiłował się bronić. Zręczny i obdarzony talentem krasomówczym prokurator ustalił, iż Jan Valjean miał współników i był członkiem bandy rozbójniczej na południu Francji. Jan Valjean został uznany za winnego i skazany na śmierć. Zbrodniarz nie chciał apelować. Król w swej niewyczerpanej łaskawości raczył zamienić karę śmierci na dożywotnie ciężkie roboty. Jan Valjean został niezwłocznie wystany do Tuluzy.*

Pamiętamy, że Jan Valjean pędził w Montreuil-sur-mer bardzo pobożny żywot. Niektóre dzienniki, między innymi "Le Constitutionnel", widziały w tym złagodzeniu kary wpływy partii klerykalnej.

Jan Valjean zmienił na galerach swój numer. Był teraz numerem 9430.

Powiedzmy od razu, by już więcej do tego nie wracać, że wraz ze zniknięciem pana Madeleine skończył się dobrobyt w Montreuil-sur-mer; sprawdziło się wszystko, co przewidywał owej nocy pełnej rozterki i wzburzenia; gdy jego zabrakło, zabrakło duszy. Wraz z jego upadkiem zaczęło się w Montreuil-sur-mer samolubne rozdrapywanie fortun wielkich ludzi, fatalna grabież kwitnącego dzieła, która codziennie dokonuje się skrycie w zbiorowości ludzkiej, a którą historia zauważyła tylko po śmierci Aleksandra Wielkiego. Tam - namiestnicy obwoływali się monarchami; tu - majstrzy mianowali się fabrykantami.

---

\* Wolter, który ostatni okres życia spędził w swoim majątku Ferney.

Podniosła głowę zawistna rywalizacja. Wielkie warsztaty pana Madeleine zostały zamknięte; budynki popadły w ruinę, robotnicy się rozproszyli: jedni opuścili okolicę, inni porzucili rzemiosło. Zamiast pracować na wielką skalę - zaczęto pracować na małą; zamiast pracować dla dobra ludzi – pracowali dla zysku. Zabrakło ośrodka, wszędzie zapanowało zajadłe współzawodnictwo. Pan Madeleine kierował wszystkim, panował nad wszystkim. Gdy upadł, każdy zaczął ciągnąć na swoją stronę; zmysł organizacji został zastąpiony przez zmysł walki; zawiść zapanowała zamiast serdeczności; powszechna nienawiść zajęła miejsce życzliwości fundatora; splątały się i zerwały nici zadzierzgnięte przez pana Madeleine; zaczęto fałszować wyroby, pogorszono ich jakość, podkopano zaufanie klientów; zmniejszyły się zamówienia, skurczyły rynki zbytu; obniżyła się stawka płac, stanęły warsztaty, przyszło bankructwo. Dla biednych nie zostało nic. Upadło wszystko.

Nawet władze państwowe zauważyły, że kogoś tu zabrakło. Nie minęły cztery lata od chwili, gdy sąd przysięgłych stwierdził tożsamość pana Madeleine z Janem Valjean i wysłał go na galery, a koszta ściągania podatków w okręgu Montreuil-sur-mer wzrosły w dwójnasób, co podniósł pan Villele w swym przemówieniu w lutym 1827 roku.

## II

### **W którym czytelnik zapozna się z pewnym diabelskiego pochodzenia wierszem**

Nim przejdziemy do dalszego opowiadania, nie od rzeczy będzie zapoznać się dokładnie z pewnym osobliwym wydarzeniem, które w owym czasie miało miejsce w Montfermeil i które, być może, ma jakiś związek z pewnymi przypuszczeniami władz sądowych.

W okolicach Montfermeil istnieje pewien odwieczny przesąd, tym ciekawszy i tym cenniejszy, że przesady ludowe w pobliżu Paryża są równie rzadkie jak aloes na Syberii. Należymy do tych, którzy szanują wszystko, co rzadko się spotyka. Otóż mieszkańcy Montfermeil twierdzą, że od niepamiętnych czasów diabeł obrał sobie okoliczne lasy za kryjówkę dla swych skarbów. Poczciwe niewiasty zapewniają, iż często o zmierzchu w odległych stronach lasu można napotkać czarnego człowieka o wyglądzie woźnicy lub drwala, obutego w chodaki, odzianego w spodnie i płócienny kaftan, którego rozpoznać można po tym, że zamiast czapki lub kapelusza ma na głowie dwa olbrzymie rogi. Znak rozpoznawczy, zaiste, dość wyraźny. Zazwyczaj człowiek ten jest zajęty kopaniem dołka w ziemi. W razie takiego spotkania można zachować się w trojaki sposób. Można podejść i zagadać do niego. Wówczas okazuje się, że jest to po prostu zwykły wieśniak, który wydaje się czarny, dlatego że jest zmierzch, i który bynajmniej nic nie kopie, lecz ścina trawę dla swych krów; jego rogi to po prostu widły od gnoju, które niesie na plecach, a które z daleka, w wieczornym mroku wyglądają, jakby mu wyrastały z głowy. Wraca się do domu i po tygodniu umiera. Drugi sposób to popatrzeć z daleka, poczekać, aż czarny człowiek wykopie swój dołek, zasypie go z powrotem i odejdzie; wtedy trzeba pobiec co żywo do dziury i odkopać "skarb" ukryty tam niewątpliwie przez czarnego człowieka. W tym wypadku umiera się po miesiącu. Wreszcie trzeci sposób: nie zaczepiać czarnego, nie patrzeć nań wcale i uciekać co sił w nogach. Wtedy umiera się po roku.

Ponieważ wszystkie trzy sposoby mają swoje niedogodności, więc najczęściej bywa stosowany drugi, który ma przynajmniej tę dodatnią stronę, że pozwala, choćby przez miesiąc, cieszyć się posiadaniem skarbu. Tak więc ludzie odważni, którzy zawsze lubią próbować szczęścia, często - jak powiadają - rozkopywali owe dołki wydrążone przez

czarnego człowieka i starali się okraść diabła. Ale ponoć rezultaty bywały raczej nieświatne. Tak przynajmniej głosi wieść oraz ów zagadkowy wiersz pisany kuchenną łaciną przez niegodziwego mnicha normandzkiego, po trosze czarownika, nazwiskiem Tryfon. Ów Tryfon pochowany jest w opactwie Św. Jerzego w Bocherville, niedaleko Rouen, i na jego grobie lęgną się ropuchy.

Te diabelskie doły są zwykle bardzo głębokie, niemało więc się trzeba nabiedzić: człek się poci, szuka, mozoli przez całą noc - gdyż można to robić tylko nocą - koszula lepi się do grzbietu, świeca się wypala, motyka wyszczerbia; a gdy wreszcie dokopie się do dna i odszuka "skarby", cóż znajduje? Czymże jest ów skarb diabelski? To grosz, czasem talar, kamień, szkielet, zakrwawiony trup, czasem widmo złożone we czworo, jak kartka papieru w portfelu, czasem w ogóle nic. To właśnie zdaje się mówić wścibskim wiersz Tryfona:

*Fodit et in fossa thesauros condit opaca,  
As, nummos, lapides, cadaver, simulacra, nihilque.\**

Za naszych czasów można jeszcze ponoć znaleźć rożek z prochem i kule lub starą talię kart zatłuszczonych i osmalonych, które bez wątpienia służyły diabłom. Tryfon nie wspomina o tych dwóch rzeczach, ale Tryfon żył w dwunastym wieku, a nie wydaje się, aby diabeł był tak pomysłowy i wynalazł proch przed Rogerem Baconem, a karty przed Karolem VI.

Zresztą jeśli będziesz grać tymi kartami, na pewno przegrasz wszystko do ostatniego szeląga; proch zaś z rożka ma tę właściwość, że rozrywa strzelbę i roztrzaskuje ci głowę.

Mniej więcej w tym samym czasie, w którym według przypuszczeń władz sądowych galernik Jan Valjean, korzystając ze swej kilkudniowej ucieczki z więzienia, błąkał się w okolicach Montfermeil, zauważono w miasteczku, że pewien stary dróżnik, nazwiskiem Boulatruelle, zaczął robić dziwne "wypadki" do lasu. Podobno - tak przynajmniej gadano - ten Boulatruelle był niegdyś na galerach; w każdym razie policja miała go na oku; ponieważ zaś nigdzie nie mógł znaleźć pracy, władze administracyjne zatrudniły go, za niższą płacę, jako dróżnika przy bocznym trakcie z Gagny do Lagny.

Mieszkańcy miasteczka krzywo patrzyli na owego Boulatruelle'a: był zbyt uniżony, zbyt pokorny, każdemu się kłaniał nisko, drżał i uśmiechał się przymilnie na widok żandarma; mówiono, że ma konszachty z jakimiś bandami, podejrzewano, że o zmroku w lesie urządza

---

\* Kopie i w ciemnym dole ukrywa skarby,

Grosz, monety, kamienie, trupa, obrazy - nic zgoła.

zasadki na przechodniów. To jedno przemawiało na jego korzyść, że był pijakiem.

Oto, co zauważono:

Od jakiegoś czasu Boulatruelle wcześniej porzucał swą robotę, polegającą na brukowaniu i utrzymywaniu w porządku drogi, i szedł z motyką w głąb lasu. Spotykano go wieczorem na odległych polanach lub w największej gęstwinie; wydawało się, że szuka czegoś; czasami kopał w ziemi. Pocziwe kumoszki z początku brały go za Belzebuba, a poznawszy, że to Boulatruelle, wcale nie były tym odkryciem uspokojone. Spotkania te, jak się wydawało, były dróżnikowi bardzo nie na rękę. Wyraźnie usiłował się ukryć. Słowem, była w tym wszystkim jakaś tajemnica.

W miasteczku gadano: “Znów pokazał się diabeł! Boulatruelle zobaczył go i teraz szuka. Znajdzie skarb Lucycpera, to na niego patrzy!” Wolterianie dodawali: “Ciekawe, czy Boulatruelle złapie diabła, czy też diabeł - Boulatruelle'a?” Stare baby zaś po wielokroć żegnały się znakiem krzyża.

Tymczasem wyprawy Boulatruelle'a do lasu urwały się; zaczął znów po dawnemu pracować na drodze i wkrótce przestano o tym mówić.

Parę osób jednak nadal intrygowała ta sprawa, sądziły bowiem, że w tym wszystkim nie kryją się wcale jakieś legendarne skarby, lecz chodzi o jakąś dobrą gratkę, znacznie poważniejszą i bardziej namacalną niż czartowskie pieniądze, i że dróżnik zapewne zna część tajemnicy. Do najbardziej “zaintrygowanych” należeli miejscowy nauczyciel i karczmarz Thénardier, który był w zażyłości ze wszystkimi i nie gardził też przyjaźnią Boulatruelle'a.

- Był na galerach? - mówił Thénardier - wielkie rzeczy! Czy to wiadomo, kto się tam dostał i kto się jeszcze dostanie?

Pewnego wieczoru nauczyciel zaczął zapewniać, że dawniej władze sądowe zainteresowałyby się tym, co Boulatruelle robi w lesie, że zmusiłyby go do przyznania się, nawet uciekając się do tortur, i że Boulatruelle nie wytrzymałby takiej, na przykład, próby wody.

- Poddajmy go próbie wina - rzekł Thénardier.

Przydybali więc starego dróżnika i zaczęli go poić. Boulatruelle ciągnął jak smok, ale nic prawie nie gadał. Z przedziwną umiejętnością, po mistrzowsku wręcz umiał połączyć tęgi spust opoja z nieprzeniknioną dyskrecją sędziego. Jednakże Thénardier i nauczyciel wracając do tej sprawy nieustannie, zgłębiając i zestawiając tych kilka niejasnych słów, które mu się wymknęły, wywnioskowali, co następuje:

Pewnego dnia, idąc o świcie do roboty, Boulatruelle ze zdziwieniem zobaczył w lesie pod krzakami łopatę i motykę. Wyglądało na to, że je ktoś schował. Na razie myślał, że to

łopata i motyka starego Six-Foursa, woziwody, i nie zaprzętał sobie tym głowy. Ale tego samego dnia wieczorem zobaczył, sam nie będąc widzianym, bo zasłaniało go wielkie drzewo, że z drogi skręca w najgęstszy las pewien “osobnik, nietutejszy wprawdzie”, ale którego on, Boulatruelle, znał doskonale. “Towarzysz z galer” - wytłumaczył Thénardier. Boulatruelle uparcie nie wyjawiał jego nazwiska. Osobnik ów niósł kwadratową paczkę, która przypominała duże pudełko lub mały kuferek. Boulatruelle był wielce zdziwiony. Dopiero po siedmiu czy ośmiu minutach wpadło mu na myśl, by iść za tym “osobnikiem”. Ale było za późno, osobnik znikł w gęstwinie, noc zapadła i Boulatruelle nie mógł go odszukać. Wobec tego postanowił czekać na skraju lasu. “Księżyc świecił”. Po dwóch czy trzech godzinach zauważył, że z lasu wychodzi ów osobnik, tym razem bez kuferka, lecz z motyką i łopatą. Pozwolił mu przejść i przez myśl mu nie przeszło, by go zaczepić, gdyż wiedział, że tamten jest trzy razy silniejszy od niego, że ma w ręku motykę i że, prawdopodobnie, zatłukłby go, poznawszy i zorientowawszy się, iż sam został poznany. Wzruszająca wylewność przyjacielskich uczuć dwóch starych towarzyszy! Ale widok motyki i łopaty był olśnieniem dla dróżnika; pobiegł i zaczął szukać pod krzakami, pod którymi widział je rano; nie znalazł nic. Wysnuł z tego wniosek, że ów osobnik musiał wykopać w lesie dół motyką, schował tam kuferek i zasypał dół za pomocą łopaty. Ponieważ zaś kuferek był zbyt mały, by się w nim mogły pomieścić zwłoki ludzkie, ani chybi były w nim pieniądze. Zaczął tedy szukać. Badał, grzebał, przetrząsał cały las i kopał wszędzie, gdzie ziemia wydawała mu się świeżo wzruszona. Na próżno.

Nic nie “wywęszył”. Nikt już w Montfermeil nie zaprzętał sobie głowy tą sprawą. Jedynie kilka starych kumoszek powtarzało: “Dróżnik z Gagny nie robił tej całej hecy po próżnicy. Musi diabeł się tu kręcił - i basta!”

### III

#### **Kajdany musiały być nadpiłowane, skoro pękły przy pierwszym uderzeniu młota**

W końcu października tego samego 1823 roku mieszkańcy Tulonu zobaczyli statek “Orion” zawijający do ich portu, by naprawić kilka uszkodzeń po burzy. “Orion” służył później w Breście jako statek szkolny, w owym zaś czasie wchodził w skład eskadry śródziemnomorskiej.

Ten olbrzym, choć mocno poturbowany przez burze morskie, sprawił wchodząc do portu potężne wrażenie. Nie wiem, jaką miał flagę na maszcie, w każdym razie powitała go salwa jedenastu strzałów armatnich, na które odpowiedział również jedenastoma strzałami; razem: dwadzieścia dwa strzały. Obliczono, że na salwy powitalne królów i dostojników wojskowych, na wymiany uprzejmości przewidziane etykietą, na sygnały, strzały w portach i cytadelach, na codzienne saluty ranne i wieczorne we wszystkich fortecach i na statkach wojennych, na salwy przy zaniknięciu i otwarciu bram itd., itd. świat cywilizowany w ciągu jednej doby posyła w powietrze sto pięćdziesiąt tysięcy niepotrzebnych strzałów armatnich. Licząc po sześć franków za wystrzał armatni, wynosi do dziewięćset tysięcy franków dziennie, rocznie zaś trzysta milionów franków, które idą z dymem. To tylko jeden szczegół! Jednocześnie biedacy umierają z głodu.

Rok 1823 był tym rokiem, który Restauracja nazwała “okresem wojny hiszpańskiej”.

Wojna ta w jednym wydarzeniu zawierała wiele spraw i sporo osobliwości. Była to poważna sprawa familijna domu Burbonów; linia francuska udzielała pomocy i opieki linii madryckiej, czyli spełniała obowiązki wynikające ze starszeństwa; nastąpił pozorny powrót do naszych dawnych tradycji narodowych, połączony z zależnością i uległością wobec rządów państw pomocnych; księżę d’Angoulême, zwany przez pisemka liberalne “bohaterem spod Andujaru”, z miną triumfatora, trochę nie licującą z jego spokojną fizjonomią, usiłował pohamować stary i bardzo realny terroryzm stolicy apostolskiej ścierający się z chimerycznym terroryzmem liberałów; sankiuloci zmartwychwstali - ku wielkiemu przerażeniu starych matron - pod nową nazwą *descamisados*; monarchia sprzeciwiała się wszelkiemu postępowi, który nazwała anarchią; idee roku 89 zostały nagle podważone, Europa pozbawiła swobody ruchów myśl francuską, która obiegała świat; obok następcy

tronu Francji, naczelnego wodza, ksiązę de Carignan, późniejszy Karol Albert, wstąpił w szeregi tej krucjaty królów przeciw ludom jako ochotnik z grenadierskimi naszywkami z czerwonej wełny na rękawie; dawni żołnierze cesarstwa po ośmiu latach bezczynności, ruszali w pole, ale postarzali, smutni, z białą kokardą na kapeluszu; trójbarwny sztandar powiewał nad bohaterską garstką Francuzów na obcej ziemi, tak jak niegdyś, przed trzydziestu laty, biały sztandar powiewał nad Koblencją; mnisi szli razem z naszymi żołnierzami; duchowi wolności i nowości do rozsądku przemówiły bagnety; zasady zostały zagłuszone przez armatnią palbę; Francja burzyła orężem to, co stworzyła duchem; a poza tym dowódcy nieprzyjacielscy byli sprzedajni, żołnierze opieszali, miasta oblegane przez miliony; żadnych niebezpieczeństw wojennych, a jednak wybuchy możliwe jak w każdej kopalni wziętej z nienacka; niewiele przelanej krwi, niewiele zdobytych szczytów; dla niektórych - hańba, chwała - dla nikogo; taka była owa wojna, wypowiedziana przez potomków Ludwika XIV, a prowadzona przez generałów Napoleona. Niewesoły los przypadł jej w udziale; nie przypominała ani wielkiej wojny, ani wielkiej polityki.

Stoczono parę znaczniejszych walk; między innymi zdobycie Trokadera było pięknym czynem żołnierskim; powtarzamy jednak, że ogólnie rzecz biorąc, surmy tej wojny brzmiały fałszywie, całość wyglądała podejrzanie i historia pochwała Francję, że niechętnie przyznaje się do tego wątpliwego triumfu. Było rzeczą oczywistą, że niektórzy dowódcy hiszpańscy, zamiast stawiać opór, poddawali się zbyt skwapliwie i zwycięstwo to nasuwało myśl o przekupstwie; miało się wrażenie, że wygrywano raczej generałów niż bitwy i żołnierz, choć zwycięski, wracał upokorzony. Zaiste, była to wojna hańbiąca, która kryła w fałdach swoich sztandarów słowa: "Bank Francuski".

Żołnierze z wojny 1808 roku, na których waliła się ongiś straszliwa Saragossa, w roku 1823 marszczyli groźnie brwi, widząc, jak łatwo poddają się twierdze, i zaczęli żałować Palafoxa\*. Taka już jest natura Francuza, że woli mieć za przeciwnika Rostopczyna niż Ballersterosa\*.

Z ważniejszego jeszcze punktu widzenia, na który trzeba także położyć nacisk, wojna ta, która obrażała poczucie honoru wojskowego Francji, oburzała do żywego jej poczucie demokracji. Była to wyprawa zmierzająca do ujarzmienia. W tej wojnie żołnierz francuski, ten syn wolności, miał nałożyć pięta innemu narodowi. Ohydna sprzeczność! Francja nie zwykła dławić ducha narodów, zwykła go budzić. Od 1792 roku wszystkie rewolucje w

---

\* José Paloxo Melzi (1780-1847) - ksiązę Saragossy; wślawił się bohaterską obroną Saragossy podczas wojny z Napoleonem.

\* Francisco Ballersteros (1770-1833) - generał hiszpański, w wojnie z Francją stosował taktykę polegającą na pozorowaniu ucieczki.

Europie są Rewolucją Francuską, wolność promieniuje z Francji. “To jasne jak słońce i chyba tylko ślepy tego nie widzi!” - tak powiedział Bonaparte.

Wojna 1823 roku, będąca zamachem na szlachetny naród hiszpański, jest więc równocześnie zamachem na Rewolucję Francuską. I tego ohydneho czynu dopuściła się Francja pod przemocą. Albowiem poza wojnami wyzwolenческими wszystko, czego dokonują armie, dokonują pod przemocą. Wskazują na to słowa: “Bierne posłuszeństwo”. Armia jest przedziwnym i mistrzowskim tworem, którego siła wynika z ogromu bezsilności. W ten sposób tłumaczy się wojna, podjęta przez ludzkość przeciwko ludzkości i wbrew ludzkości.

Co do Burbonów, to wojna roku 1823 miała okazać się dla nich fatalna. Uważali ją za sukces; nie widzieli, jak niebezpiecznie jest zabić myśl przez rozkaz. W swej naiwności pomylili się tak bardzo, że do swego systemu jako czynnik siły wprowadzili wielką słabość - zbrodnię. Duch zasadzki zapanował w ich polityce. Rok 1830 wykiełkował z roku 1823. Kampania hiszpańska stała się w naradach argumentem na poparcie aktów przemocy i interwencji “prawa boskiego”. Ustanowiwszy w Hiszpanii el rey neto\*, Francja mogła znów ustanowić u siebie absolutnego monarchę. Burbonowie popełnili niebezpieczną pomyłkę biorąc posłuszeństwo żołnierza za zgodę narodu. Taka wiara gubi trony. Nie należy zasypiać ani w cieniu “drzewa śmierci”, ani w cieniu armii.

Powróćmy do statku “Orion”.

Podczas operacji wojennych, prowadzonych przez księcia głównodowodzącego, eskadra floty krążyła po Morzu Śródziemnym. Już wspomnieliśmy, że do tej eskadry należał “Orion”, którego koleje żeglarskiego losu przywiodły do portu w Tulonie.

Okręt wojenny, stojący w porcie, ma w sobie coś, co przyciąga i przykuwa uwagę tłumu. Jest potężny, a tłum lubi wszystko, co potężne.

Okręt liniowy jest jednym z najwspanialszych zespołów geniuszu ludzkiego z potęgą natury.

Składa się z tego, co najcięższe, i z tego, co najlżejsze, jako że równocześnie ma do czynienia z trzema żywiołami: stałym, płynnym i lotnym, i z wszystkimi trzema musi walczyć. Ma jedenaście żelaznych szponów, by wczepiać się w podwodne granity; więcej ma czulek i skrzydeł niż owad, by chwycić wiatr z wysokich obłoków. Oddech jego tchnie ze stu dwudziestu paszcz armatnich jak z olbrzymich surm i dumnie odpowiada gromom. Ocean usiłuje go zgubić w przerażającej jednostajności swego bezmiar, lecz okręt ma duszę-busolę, która go prowadzi, wiecznie wskazując na północ. W ciemnościach nocy latarnia zastępuje mu gwiazdy. Tak więc przeciw wiatrom ma płótna i liny, przeciw wodzie - drzewo, przeciw

skąłom - żelazo, miedź i ołów, przeciw ciemnościom - światło, przeciw nieskończoności - igłę.

Jeśli ktoś chce mieć pojęcie o wszystkich tych olbrzymich proporcjach, których całość stanowi okręt wojenny, niech wejdzie do jednej z krytych sześciopiętrowych stoczni w Breście czy Tulonie. Tam, jak pod kloszem, znajdują się okręty będące w budowie. Ta olbrzymia belka — to reja; ta potężna kolumna drewniana leżąca na ziemi, której nie ogarniesz wzrokiem, to maszt główny. Od swego końca, umieszczonego we wnętrzu okrętu, aż po wierzchołek ginący w chmurach, ma on sześćdziesiąt sążni długości, a trzy stopy średnicy u podstawy. Maszt główny okrętów angielskich wznosi się na dwieście siedemnaście stóp ponad linie zanurzenia okrętu. Za czasów naszych ojców używano w marynarce lin, my używamy łańcuchów. Stos zwiniętych łańcuchów na okręcie o stu działach ma cztery stopy wysokości, dwadzieścia stóp szerokości i osiem stóp grubości. A ile drzewa trzeba na zbudowanie takiego okrętu? Trzy tysiące łokci sześciennych. Pływający las.

To wszystko - niech o tym czytelnik pamięta - odnosi się do okrętu wojennego sprzed lat czterdziestu, do zwykłego okrętu żaglowego; zastosowanie pary, które wówczas było dopiero w zaczątku, wprowadziło od tej pory wiele nowych dziwów do cudownego tworu zwanego okrętem wojennym. Obecnie, na przykład, okręt śrubowo-żaglowy jest zadziwiającą machiną poruszaną przez żagiel o łącznej powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych i przez kocioł parowy o sile dwóch i pół tysiąca koni.

Nie biorąc pod uwagę tych nowych cudów, stary okręt Krzysztofa Kolumba i Ruytera był wielkim arcydziełem człowieka. Jest w nim tyleż niewyczerpanej siły, ile w przestworzach jest powietrza. Chwyta wiatr w żagle, zna dobrze swą drogę po niezmiernych odmętach wód, płynie i króluje.

Przychodzi jednak chwila, kiedy wichur łamie jak słomkę tę reję długości sześćdziesięciu stóp, kiedy wiatr zgina jak trzcinę ten maszt wysoki na czterysta stóp, kiedy ta kotwica ważąca dziesięć ton skręca się w paszczy fal, jak haczyk rybacki w paszczy szczupaka; kiedy te olbrzymie działa wydają z siebie pomruki żałosne i bezsilne, huraganem niesione w pustkę i noc; chwila, kiedy cały ten majestat i cała ta potęga giną w jeszcze większej potędze i jeszcze większym majestacie.

Ilekróć siła niezmierna wyteża się, by w końcu okazać swą niezmierną słabość, wywołuje to u ludzi chwilę zadumy i zastanowienia. Stąd w portach tłumi ciekawych, którzy, sami dokładnie nie wiedząc dlaczego, tłoczą się wokół tych cudownych machin wojennych i żeglarskich.

---

\* Królestwo absolutne.

Tak więc, codziennie, od rana do wieczora, bulwary, mola i groble portowe Tulonu były obleżone przez gapiów, którzy nic innego nie robili, tylko przyglądali się “Orionowi”.

“Orion” od dawna już był chory. Podczas poprzednich rejsów tak wielkie złoża muszli oblepiły dno okrętu, że szybkość jego zmniejszyła się do połowy; przed rokiem wyciągnięto go na brzeg, by oskrobać z muszli, po czym znów spuszczone na wodę. Ale to skrobanie osłabiło sworznie dna. Na wysokości Balearów burta przestała być szczelna, a że nie znano jeszcze wtedy objawiania dna blachą, więc okręt zaczął brać wodę. Gwałtowne wiatry w okresie zrównania dnia z nocą uszkodziły włazy i wanty lewej burty. Na skutek tych awarii okręt zawinął znów do Tulonu.

Zarzucił kotwicę przy Arsenale. Z pełnym składem załogi na pokładzie został poddany naprawie. Z prawej burty kadłub nie był uszkodzony, ale według zwyczaju usunięto kilka desek pokładowych, by zapewnić dopływ powietrza do wnętrza.

Pewnego dnia tłumy przyglądające się naprawie statku były świadkiem niezwykłego wydarzenia.

Załoga zajęta była rozpinaniem żagli. Jeden z majtków, który refował grotzagiel, stracił nagle równowagę; zachwiał się, ciżba zgromadzona przy Arsenale wydała okrzyk, głowa pociągnęła za sobą korpus, człowiek obrócił się wkoło rei wyciągając ręce ku przepaści; w locie uchwycił się drabinki linowej najpierw jedną ręką, potem drugą i zawisł na niej. Pod nim w zawrotnej głębokości było morze. Drabinka linowa została wprawiona jego upadkiem w gwałtowny ruch wahadłowy i człowiek huśtał się na niej jak kamień w procy.

Pomóc mu - oznaczało narazić się na straszliwe niebezpieczeństwo. Żaden z marynarzy, a byli to wszystko nowo zaciężni okoliczni rybacy, nie odważył się na to. Tymczasem nieszczęsnego majtka opuszczały siły; nie można było dojrzeć trwogi na jego twarzy, ale cała postać wyrażała wyczerpanie. Ramiona jego wyprężały się w potwornym wysiłku. Każda próba, by wdrapać się w górę, wprawiała jedynie drabinkę w tym silniejsze kołysanie. Nie wołał pomocy bojąc się utracić siły. Czekano już tylko, kiedy wypuści z rąk linę, wszyscy odwracali oczy, by nie oglądać tego straszego upadku. Są chwile, w których życie wisi na końcu sznura, belki, gałęzi drzewa; wstrząsająca to rzecz patrzeć, jak żywa istota odrywa się i spada niby dojrzały owoc.

Nagle ujrzano jakiegoś człowieka, który ze zręcznością rysia wspinał się po olinowaniu. Człowiek ten miał na sobie czerwony kaftan - a więc był galernikiem, na głowie miał zieloną czapkę - a więc był skazany na dożywotnie roboty. Gdy dotarł do bocianiego gniazda, wiatr zerwał mu czapkę z głowy, odsłaniając siwe włosy, a więc nie był to człowiek młody.

Istotnie, jakiś galernik, pracujący w grupie więźniów na statku, podbiegł natychmiast po wypadku do oficera i wśród ogólnego wahania i zamieszania, gdy wszyscy marynarze drżeli i cofali się przed niebezpieczeństwem, poprosił o pozwolenie narażenia swego życia dla uratowania majtka. Na przyzwalające skinienie oficera jednym uderzeniem młota odrąbał kajdany od obręczy u nogi, chwycił sznur i wspiął się na liny. W owej chwili nikt nie zwrócił uwagi, iż kajdany pękły tak łatwo. Później dopiero przypomniano to sobie.

W mgnieniu oka stanął na rei; zatrzymał się chwilę i zdawał się mierzyć ją wzrokiem. Te sekundy, w których wiatr kołysał wiszącym na linie marynarzem, wydały się patrzącym wiekiem. Wreszcie galernik wznosił oczy ku niebu i postąpił krok naprzód. Tłum odetchnął. Szybko przebiegł po rei; dobiegłszy do końca uwiązał do niej sznur, który wziął ze sobą, i zaczął na rękach spuszczać się po nim; i wówczas w nieopisanej trwodze tłum zobaczył już nie jednego, lecz dwóch ludzi wiszących nad przepaścią.

Rzekłbyś, pająk, który chce pochwycić muchę. Tylko że ten pająk niósł nie śmierć, ale życie. Dziesięć tysięcy oczu wlepionych było w tych dwóch ludzi. Nie padł żaden okrzyk, nie padło żadne słowo, jedno napięcie ściągnęło wszystkie brwi. Wszystkie usta wstrzymywały oddech, jakby bojąc się dodać najłżejsze tchnienie do wiatru, który kołysał obu nieszczęsnymi.

Tymczasem więzień zsunął się po linie i znalazł się obok majtka. Czas już był najwyższy, jeszcze chwila, a człowiek ten, wyczerpany i zrozpaczony, dałby się wciągnąć przepaści. Więzień, jedną ręką trzymając się sznura, drugą - obwiązał go mocno. Wreszcie ujrzano, że wspina się z powrotem na reję i wciąga na nią majtka. Tam podtrzymał go chwilę, by mógł odzyskać siły, po czym wziął na ręce i niósł krocząc po rei aż do masztu głównego, a stamtąd do bocianiego gniazda, gdzie oddał go w ramiona towarzyszy.

W tej chwili tłum wybuchnął entuzjazmem; starzy dozorca więzienni płakali, kobiety na bulwarze rzucały się sobie w objęcia, wszyscy krzyčili w jakimś szale rozrzewnienia: "Łaski! Łaski dla tego człowieka!"

On tymczasem zaczął schodzić w dół, by wrócić do swego oddziału. Zapewne dlatego, by prędzej być na dole zsunął się po olinowaniu i jał biec po dolnej rei. Wszyscy śledzili go wzrokiem. Nagle zadrżeli z lęku; może był już zmęczony, może zakreśliło mu się w głowie, zawahał się i zachwiał. Tłum wydał głośny okrzyk: galernik wpadł do morza.

Upadek był niebezpieczny, obok "Oriona" stała fregata "Algesiras" i nieszczęsny galernik spadł pomiędzy te dwa okręty. Można się było obawiać, że dostanie się pod jeden z nich. Czterech ludzi rzuciło się do łodzi. Tłum przynaglał ich, trwoga ogarnęła znów wszystkie serca. Galernik nie wypląnął na powierzchnię. Znikł w morzu bez śladu, jakby

wpadł w oliwę, nie zostawiając nawet kręgów na wodzie. Na próżno zarzucano sondę, na próżno nurkowano. Poszukiwania trwały do wieczora, nie odnaleziono nawet ciała.

Nazajutrz "Gazeta Tulońska" umieściła tę krótką wzmiankę:

*17 listopada 1823. - Wczoraj pewien więzień, pracujący na pokładzie "Oriona", uratował marynarza, sam jednak wpadł do morza i utonął. Trupa nie odnaleziono. Przypuszczać należy, że dostał się pod pale mola koło Arsenatu. Człowiek ten wpisany był na listę więźniów pod numerem 9430 i nazywał się Jan Valjean.*

## **Księga trzecia**

# **Spełnienie obietnicy danej umierającej**

## I

### Sprawa wody w Montfermeil

Montfermeil leży między Livry a Chelles, na południowej krawędzi wysokiego płaskowzgórza oddzielającego rzekę Ourcq od Marny. Dziś jest to spore miasteczko, którego ozdobą przez cały rok są ubielone wille, a w każdą niedzielę rozpromienieni mieszkańcy.

W roku 1823 nie miało Montfermeil ani tylu białych domów, ani tylu zadowolonych mieszczan. Była to wioska wśród lasów. Stało w niej wprawdzie kilka letniskowych domów z ubiegłego wieku, które łatwo można było rozpoznać po dostojnym wyglądzie, balkonach z kutego żelaza i wysokich oknach podzielonych na małe kwadraty szyb, rzucających na zamknięte białe okiennice całą gamę zielonych cieni. Niemniej jednak była to wioska. Nie zwiedzieli się jeszcze o niej byli handlarze sukna żyjący z kapitału ani obrońcy sądowi przebywający na wilegiaturze. Ten zakątek cichy i uroczy nie leżał przy żadnym trakcie; żyło się w nim tanio, życiem wieśniaczym, łatwym i dostatnim. Tylko o wodę było tu trudno z powodu znacznej wysokości płaskowzgórza.

Trzeba ją było nosić z daleka. Mieszkańcy krańca miasteczka położonego od strony Gagny czerpali wodę ze wspaniałych stawów znajdujących się w lasach; mieszkańcy drugiego krańca, koło kościoła, od strony Chelles, chodzili po wodę do picia do małego źródła tryskającego w połowie wyniosłości zbocza przy drodze do Chelles, do którego trzeba było iść blisko kwadrans.

Tak więc zaopatrzenie się w wodę było dla każdego gospodarstwa dość ciężką pracą. Zasobniejsze domy, arystokracja (należała do niej karczma Thénardierów), płaciły po szelągu od wiadra pewnemu człowiekowi, który trudnił się w Montfermeil dostawą wody, zarabiając na tym przedsięwzięciu około ośmiu su dziennie; ale ów woziwoda pracował w lecie do godziny siódmej, w zimie zaś do piątej; gdy więc zapadł wieczór i w domach zamknęły się okiennice, kto nie miał wody do picia, ten albo sam musiał iść po nią, albo się bez niej obyć. Iść wieczorem po wodę! Była to rzecz przejmująca zgrozą biedne stworzenie, małą Kozetę, którą czytelnik zapewne pamięta. Jak wiadomo, Thénardierowie mieli z Kozety dwojaką korzyść: kazali się opłacać przez matkę i obsługiwać przez dziecko. Toteż gdy matka całkiem przestała płacić - z poprzednich rozdziałów czytelnik wie, dlaczego tak się stało - Thénardierowie zatrzymali Kozetę. Zastępowała im służącą. Z tego tytułu biegła po wodę,

gdy było potrzeba. A że dziecko przerażała myśl chodzenia w nocy do źródła, uważało pilnie, by nigdy w domu wody nie zabrakło.

Boże Narodzenie w roku 1823 zapowiadało się w Montfermeil szczególnie wspaniale. Początek zimy był łagodny, nie było jeszcze ani mrozów, ani śniegów. Przybyli z Paryża kuglarze uzyskali od mera pozwolenie ustawienia swych baraków przy głównej ulicy; to samo pozwolenie otrzymali wędrowni handlarze, którzy wzniesli swe kramy na placu przed kościołem aż do uliczki Piekarskiej, przy której, jak może czytelnik sobie przypomina, mieściła się karczma Thénardierów. Zapełniali oni tłumnie oberże i zajazdy wnosząc w spokojne życie miasteczka wiele gwaru i wesołości. Dodamy tu jeszcze - jako wierny kronikarz - że między dziwami, które można było oglądać na placu kościelnym, znajdowała się menażeria, w której okropni pajace, ustrojeni w łachmany i przybyli nie wiadomo skąd, pokazywali w roku 1823 wieśniakom z Montfermeil groźnego sępa brazylijskiego, który to okaz nasze Muzeum Królewskie posiada dopiero od 1845 roku, a który zamiast oka ma trójkolorową kokardę. Ornitologowie jeśli się nie mylę, nazywają tego ptaka *Caracara Poly-borus*; jest on z rodzaju *apicides* i z rodziny sępów. Paru starych wiarusów napoleońskich, mieszkających w miasteczku, przychodziło z nabożną czcią przyglądać się ptakowi. Kuglarze głosili, że trójkolorowa kokarda jest fenomenem jedynym, stworzonym przez Pana Boga umyślnie dla ich menażerii.

W sam wieczór Bożego Narodzenia kilku woźniców i kramarzy siedziało i popijało w niskiej izbie oberży Thénardierów przy czterech czy pięciu łożówkach. Izba ta niczym nie różniła się od innych izb tego rodzaju: stoły, cynowe dzbany, butelki i ludzie pijący i palący. Mało światła, dużo zgiełku. Wszelako dwa przedmioty modne wówczas wśród mieszczaństwa, znajdujące się na stole, mianowicie kalejdoskop i lampka z wytłaczanej blachy, wskazywały, że działo się to w roku 1823. Thénardierowa doglądała wieczery gotującej się na dużym, wesoło palącym się ogniu; małżonek Thénardier popijał ze swymi gośćmi i rozprawiał o polityce.

Oprócz rozmów o polityce, których głównym tematem była wojna hiszpańska i księżę d'Angoulême, słychać było w ogólnej wrzawie pogwarki na tematy miejscowe, tej mniej więcej treści:

“W okolicy Nanterre i Suresnes wino doskonale obrodziło. Kto liczył na dziesięć baryłek, otrzymał dwanaście. Jagody dużo dały moszczu pod prasą”. “Ale chyba nie były dojrzałe?” “W tych okolicach nie czeka się z winobraniami, aż jagody dojrzeją. Jeśli są dojrzałe, wino kwaśniej już na wiosnę”. “Więc to cienkusz!” “Jeszcze większy cienkusz niż wasze winko. Robią tam winobranie kiedy jagody są zupełnie zielone”. I tak dalej.

Albo też jakiś młynarz wykrzykiwał:

“Cóż to! Czy my mamy odpowiadać za to, co jest w workach? Pełno tam ziarenek, których wybieraniem nie możemy się zabawiać i które także muszą iść pod kamień młyński: jest to kąkol, lucerna, śnieć, wyka, nasienie konopne, wyczyniec i cała masa innego śmiecia, nie mówiąc już o kamykach, pełno tego w niektórych zbożach, specjalnie w zbożu bretońskim. Mleć bretońskie zboże to dla mnie taka sama przyjemność jak dla tracza piłować belki z gwoździami. Pomyślcie tylko, jaki paskudny kurz z tego leci. A potem ludzie narzekają na mąkę. Nie mają racji, to nie nasza wina”.

Między oknami, przy stole, kosiarz i właściciel gruntu umawiali się o cenę sianokosów. Kosiarz mówił:

“To nic nie szkodzi, jak trawa jest mokra. Lepiej się wtedy kosi. Rosa to dobra rzecz, panie. Ale wszystko jedno, tamta trawa, to znaczy wasza trawa, jest młoda i ciężka do koszenia, bo to, widzicie, jest taka miękuchna, że się uchyla przed kosą”. I tak dalej.

Kozeta siedziała na zwykłym swym miejscu, na poprzeczce od stołu koło komina. Odziana była w łachmany, na gołych nożętach miała drewniane chodaki, przy odbłasku ognia robiła na drutach wełniane pończochy dla małych Thénardierek. Pod krzesłami bawił się kotek. Z sąsiedniej izby dochodziły śmiechy i szczebioty świeżych dziecięcych głosików Eponiny i Anzelmy.

Przy kominku, na haku, wisiała dyscyplina.

Czasami poprzez gwar karczmy przebijał głośny płacz dziecka, dochodzący gdzieś z głębi domu; to krzyczał mały chłopczyk, którego Thénardierowa urodziła jednej z poprzednich zim, “nie wiedzieć dlaczego, chyba z zimna” - jak mówiła, i który miał około trzech lat. Matka wykarmiła go, lecz nie kochała wcale. Gdy uparte krzyki dziecka stawały się zbyt przykre, odzywał się Thénardier: “Twój syn wrzeszczy; idź no, zobacz, czego chce!” “E, tam! mam go dosyć” - odpowiadała matka. I opuszczony malec krzyczał dalej w ciemnościach.

## II

### Uzupełnienie dwóch portretów

Dotychczas w tej książce oglądaliśmy Thénardierów tylko z profilu, nadeszła chwila, by ich obejrzeć ze wszystkich stron.

Thénardier ukończył właśnie lat pięćdziesiąt; pani Thénardier zbliżała się do czterdziestki, która u kobiet równa się pięćdziesiątce. Tak więc małżonkowie zrównali się pod względem wieku.

Czytelnicy zachowali może pewne wspomnienia z pierwszego swego spotkania z ową Thénardierową, kobietą wielką, płowowłosą, czerwoną, grubą, rozłożystą, olbrzymią i ruchliwą; jak już mówiliśmy, zdawała się należeć do tej rasy dzikich olbrzymek, pokazujących się na jarmarkach, które przeginając się dźwigają kamienne płyty przywiązane do włosów. Robiła wszystko: słała łóżka, sprzątała, prała, gotowała, ona z życia domowego robiła piekło i wszystko, co chciała. Jedyńą jej służącą była Kozeta: myszka w służbie u słonia. Na dźwięk głosu Thénardierowej drżało wszystko: szyby, sprzęty, ludzie. Jej szeroka twarz, upstrzona piegami, wyglądała jak przetak. Miała zarost. Istny tragarz z hal paryskich przebrany za kobietę! Klęła soczyście i chełpiła się, że jednym uderzeniem pięści gniecie orzechy. Gdyby nie romanse, których się naczytała i które sprawiły, że czasem ten ludojad przemieniał się nieoczekiwanie i bardzo dziwacznie we wdzięczną się kokietkę, nikomu nie przysłoby nigdy na myśl powiedzieć o niej: to kobieta. Thénardierowa była, rzecz można, skrzyżowaniem dziewczki z przekupką. Kto ją usłyszał, mówił: "To żandarm". Kto ją widział przy kieliszku, mówił: "To woźnica". Kto ją widział znęcającą się nad Kozetą, mówił: "To kat". Gdy spała, jeden ząb wystawał jej z ust.

Thénardier był mężczyzną niskim, chudym, bladym, kanciastym, kościstym i chuderlawym, który wyglądał na chorowitego, a miał żelazne zdrowie: to było pierwsze jego oszustwo. Na wszelki wypadek uśmiechał się zawsze i był uprzejmy dla każdego prawie, nawet dla żebraka, któremu odmawiał jałmużny. Miał spojrzenie lisa, a minę literata; bardzo przypominał portrety księdza Delille. Pił razem z woźnicami - była to jego kokieteria - i nikt nigdy nie zdołał go spoić. Palił wielką fajkę, nosił bluzę, a pod nią stare czarne ubranie. Popisywał się znajomością literatury i poglądami materialistycznymi. Dla poparcia swych słów chętnie wymieniał nazwiska Woltera, Raynała, Parny'ego i, o dziwo, św. Augustyna.

Twierdził, że ma “swoją filozofię”. Z tym wszystkim, oszust skończony. Filozof spod ciemnej gwiazdy, bo i taki rodzaj istnieje. Jak pamiętamy, utrzymywał, że służył w wojsku; z niejaką przesadą opowiadał, jak to pod Waterloo, będąc sierżantem w jakimś 6 czy 9 pułku lekkiej kawalerii, sam jeden przeciwko całemu szwadronowi Huzarów Śmierci ocalił “ciężko rannego generała”, własną piersią osłoniwszy go przed kulami. Stąd wywodził się ów wspinały sztyl wiszący nad drzwiami oberży i stąd nazwa: “Zajazd Sierżanta spod Waterloo”. Był liberałem, klasykiem i bonapartystą. Złożył składkę na schronisko dla uchodźców francuskich w Ameryce. Powiadano w miasteczku, że w młodości kształcił się na księdza.

Według naszego zdania po prostu uczył się w Holandii na karczmarza. Ten łądak o złożonej naturze był, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Flamandczykiem z Lilie we Flandrii, Francuzem w Paryżu, Belgiem w Brukseli, równie dobrze czując się po tej, jak i po tamtej stronie granicy. Jego waleczność pod Waterloo jest znana czytelnikowi. Jak widzimy, upiększał ją nieco. Lawirowanie, wykręty, matactwa, podejrżane awantury były jego żywiołem; nieczyste sumienie wciąga w brudne życie; i jest rzeczą wielce prawdopodobną, że w burzliwym okresie 18 czerwca 1815 roku Thénardier należał do zgrai wędrownych wiwandierów-maruderów, o których już mówiliśmy, którzy tym coś skradli, tamtym sprzedali i z rodzinami, z żonami i dziećmi ciągnęli za wojskiem na jakimś koślawym wozie, instynktownie umiejąc się zawsze znaleźć przy oddziałach zwycięskiej armii. A po tej kampanii, “mając co nieco”, jak mówił, otworzył karczmę w Montfermeil.

To “co nieco” złożone z sakiewek, zegarków, złotych pierścieni i srebrnych krzyży - plon zebrany podczas żniw na polach zasianych trupami - nie było zbyt obfite i niedaleko zaprowadziło markietana przemienionego w karczmarza.

Thénardier miał w ruchach coś kanciastego, co w połączeniu z trywialną mową przypomina koszary, w połączeniu ze znakiem krzyża - seminarium duchowne. Umiał pięknie rozprawiać i pozował na wykształconego. Nauczyciel miejscowy zauważył jednak, że nieraz zdarzyło mu się “strzelić byka”. Jego rachunki dla gości były sporządzane po mistrzowsku, ale wprawne oko mogło w nich nieraz odkryć błędy ortograficzne. Thénardier był skryty, łąkomy, rozwiązły i przebiegły. Nie gardził kuchennymi dziewczętami, i to była przyczyna, dla której żona jego nie trzymała służącej. Olbrzymka była zazdrosna. Wydawało się jej, że ten żółty, chuderlawy człowieczek jest przedmiotem pożądań każdej kobiety.

Thénardier, człowiek przebiegły i zrównoważony, był przede wszystkim łądakiem z gatunku łądaków umiarkowanych. Najgorszy to rodzaj, gdyż pełen obłudy.

Nie oznacza to bynajmniej, by Thénardier nie był zdolny do wybuchów gniewu, w

tym samym co najmniej stopniu co jego żona; zdarzało się to bardzo rzadko i w takiej chwili stawał się straszny: należał bowiem do ludzi, którzy mają żal do całego świata, w których żarzy się nieugaszona nienawiść, którzy zawsze za coś się mszczą, którzy za swe niepowodzenia oskarżają wszystkich i wszystko, którzy gotowi są na pierwszego lepszego człowieka zwalić winę za zawody, bankructwa i klęski całego życia; cały ten ferment burzył się i wrzał w jego ustach i oczach. Biada temu, na kim skrupiła się wówczas jego wściekłość.

Poza tymi właściwościami charakteru Thénardier był uważny i dociekliwy, milczący lub rozmowny, zależnie od okoliczności, i zawsze wybitnie inteligentny. Miał w spojrzeniu coś, co przypomina marynarza nawykłego do przymrużania oczu przy spoglądaniu przez lunetę. Thénardier - to był mąż stanu.

Każdy, kto po raz pierwszy wszedł do karczmy, widząc Thénardierową mówił sobie: "Oto pan domu". Mylił się. Nie była nawet panią domu. Panem i panią domu był mąż. On wykonywała to, co on wymyślił. On kierował wszystkim za pomocą jakiegoś magnetycznego oddziaływania, niewidocznego, lecz nieustannego. Wystarczyło jedno słowo, czasem jeden ruch, by mastodont posłusznie spełniał jego wolę. Thénardier był dla swej żony, choć może nie uświadamiała sobie tego jasno, istotą wyższą i niezwykłą. I Thénardierowa miała swoje zalety: nawet gdyby się nie zgadzała w jakiejś sprawie z "panem Thénardier" - przypuszczenie zgoda nieprawdopodobne - nigdy nie powiedziałaaby przy ludziach, że jej mąż mylił się w czymkolwiek. Nigdy nie popełniłaby "wobec obcych" błędu, tak częstego u kobiet, a który w języku parlamentarnym zwie się "uchybieciem prawowitej władzy". I choć owocem ich zgody było zawsze zło, w uległości Thénardierowej dla męża mieściło się uwielbienie. Ta wrzaskliwa góra mięsa była ślepo posłuszna najlżejszemu skinieniu wątego despoty. Było to, występujące w postaci skarłatej i śmiesznej, powszechne i wzniosłe zjawisko: uwielbienie ducha przez materię; bowiem brzydota miewa swoje racje istnienia w głębiach wiecznego piękna. W Thénardierze była cząstka nieznanego, i tu tkwiła tajemnica władzy tego mężczyzny nad tą kobietą. Czasami widziała go jak palącą się świecę, czasami czuła go jak szpony.

Ta kobieta była straszliwą istotą, która kochała tylko swoje dzieci i bała się tylko męża. Była matką, bo należała do gatunku ssaków. Zresztą, jej macierzyńskie uczucia ograniczały się do córek nie obejmując już synów, jak to dalej zobaczymy. On, mężczyzna, żył tylko jedną myślą: wzbogacić się.

Nie udawało się to wcale. Jego wielki talent nie miał godnego sobie pola do popisu. Dla Thénardiera pobyt w małym Montfermeil był ruiną, o ile zero może się zrujnować; w Szwajcarii czy w Pirenejach ten hołysz zostałby milionerem. Ale karczmarz musi żyć tam,

gdzie go los rzuci.

Oczywiście określenia “karczmarz” użyliśmy tu w sensie zwężonym i nie obejmuje ono wszystkich przedstawicieli tego zawodu.

W roku 1823 Thénardier miał około tysiąca pięciuset franków naglących długów, co mu przyczyniało niemało frasunku.

Bez względu na upartą niesprawiedliwość losu Thénardier jak nikt rozumiał, i to w sposób niezwykle głęboki i bardzo nowoczesny, gościnność, która u ludów pierwotnych jest cnotą, u cywilizowanych - artykułem handlowym. Poza tym był wspaniałym kłusownikiem znanym z celności strzałów. Czasami śmiał się śmiechem zimnym i spokojnym, który był szczególnie niebezpieczny.

Niekiedy, jak iskry, tryskały z niego teorie karczmarstwa. Wygłaszał zawodowe aforyzmy, które wtlaczał w mózgowicę swej żony. Pewnego razu tak mówił do niej gwałtownym i ściszonego głosem: “Sprzedać pierwszemu lepszemu przybyszowi jadło, spoczynek, światło, ogień, brudną pościel, służącą, pchły, uśmiech - oto zadanie oberżysty; zatrzymywać przechodniów, opróżniać chude sakiewki, ulżyć godziwie nabitym kabzom, z uniesieniem przyjmować pod swój dach rodziny w podróży, obskubać męża, obskubać żonę, obskubać dziecko; wyznaczyć cenę za okno otwarte, za okno zamknięte, za miejsce przy kominku, za fotel, za krzesło, za stołek, za zydel, za puchowe piernaty, za siennik, za wiązkę słomy; wiedzieć, w jakim stopniu odbicie zużywa zwierciadło, i pobierać za to opłatę i - do stu tysięcy diabłów! - kazać podróżnemu płacić za wszystko, nawet za muchy, które jego pies zjada!”

Ten mężczyzna i ta kobieta to była przebiegłość i wściekłość poślubione ze sobą, stadło ohydne i groźne.

Gdy mąż rozważał i kombinował, Thénardierowa nie myślała o nieobecnych wierzycielach, nie troszczyła się o wczoraj ani o jutro, w swojej popędliwości cała żyła chwilą.

Takie były owe dwie istoty. Między nimi Kozeta doświadczała podwójnych tortur, jak ktoś, kto jest jednocześnie miażdżony przez kamienie młyńskie i rozdierany przez kleszcze. Małżonkowie dręczyli ją, każde na swój sposób: że na Kozetę spadał grad razów - to było sprawką małżonki; że chodziła w zimie boso - to było sprawką małżonka.

Kozeta uwijała się tu i tam, zmywała, czyściła, szorowała, zamiatała, biegała bez wytchnienia, dźwigała ciężary i mała, wątła, używana był do najcięższych robót. Żadnej litości: okrutna gospodyni i jadowity gospodarz. Karczma Thénardierów była pajęczyną, w którą uwikłała się drżąca ze strachu Kozeta. Ten ponury dom urzeczywistniał ideał ucisku.

Była to jakby muszka w służbie pajaków.

Biedne dziecko biernie milczało.

Gdy opuściwszy łono Boga te duszyczki od zarania swego życia dostaną się między ludzi, takie maleńkie i takie bezbronne, cóż się w nich dzieje?

### III

#### Ludziom trzeba wina, a koniom - wody

Przybyło czterech nowych podróżnych. Kozeta zamyśliła się ponuro; chociaż bowiem miała zaledwie osiem lat, przeżyła już tyle, że zamyślona, miała posępną minę starej kobiety. Jedno oko miała podsinione od kułaka Thénardierowej, która dogadywała jeszcze od czasu do czasu: “Ależ ona jest szpetna z tym sińcem pod okiem!”

Kozeta rozmyślała nad tym, że jest już noc, ciemna noc, że trzeba napełnić w izbach dzbanki i karafki dla nowo przybyłych podróżnych i że nie ma już wody w beczce.

Jedna rzecz uspokajała ją nieco, to mianowicie, że u Thénardierów niewiele piło się wody. Nie brakowało tam ludzi spragnionych, ale był to ten rodzaj pragnienia, który łatwiej da się ugasić butelką niż dzbankiem. Gdyby ktoś zażądał szklanki wody tu, gdzie stało tyle szklanek wina, wszyscy uznaliby go za dzikusa. W pewnej chwili jednak dziecko zadrżało: Thénardierowa uniosła pokrywkę rondla stojącego na kominie, po czym, wzięwszy szklankę, szybko zbliżyła się do beczki. Odkręciła kurek, mała uniosła głowę i śledziła każdy jej ruch.

Z kurka wyciekła cienka strużka wody napełniając do połowy szklankę.

- Oho! - mruknęła Thénardierowa - nie ma wody.

Zapadło milczenie. Dziecko nie śmiało oddychać.

-E, tam! - podjęła Thénardierowa patrząc uważnie na szklankę napełnioną do połowy - wystarczy.

Kozeta wróciła do swej roboty, ale przez dobry kwadrans serce tłukło się jej w piersi, jak spłoszony ptak. Liczyła upływające minuty i pragnęła gorąco, by to był już ranek następnego dnia.

Od czasu do czasu, któryś z pijących spoglądał na dwór wykrzykując: “Ależ też ciemno, jak w lochu!” - albo: “Trzeba mieć kocie oczy, żeby o tej porze chodzić po ulicy bez latarni”. I Kozeta drżała.

Nagle wszedł jeden z wędrownych handlarzy mieszkający w karczmie i rzekł gniewnym głosem:

- Nie napojono mego konia!

- Ależ tak! Na pewno - odparła Thénardierowa.

- A ja wam mówię, matko, że nie - upierał się handlarz.

Kozeta wysunęła się spod stołu.

- O tak! proszę pana! - odezwała się - koń jest napojony. Wypił wiadro wody, calutkie wiadro! Sama dawałam mu pić i gadałam do niego!

Nie było to prawdą. Kozeta kłamała.

- Patrzcie no! Mała figa, a łże jak stary! - zawołał handlarz. - A ja ci mówię, ty ladaco, że koń jest nie napojony. Jeśli się nie napije, to dyszy tak, że od razu poznaję.

Kozeta upierała się przy swoim, powtarzając głosem zduszonym trwogą i ledwo dostyżalnym:

- I jak jeszcze pił!

- Dostyż gadaniny - krzyknął ze złością handlarz - napić mi zaraz konia, i basta!

Kozeta wsunęła się z powrotem pod stół.

- Racja - rzekła Thénardierowa - jeżeli koń nie pił, trzeba go napić.

I rozejrzała się dokoła.

- A ta gdzie się znów podziała?

Schyliwszy się zobaczyła Kozetę skuloną w drugim końcu stołu, prawie wciśniętą między nogi pijących.

- Chodź mi tu zaraz! - wrzasnęła.

Kozeta wysunęła się ze swej kryjówki. Thénardierowa ciągnęła:

- Ty bezpieczni szczeniaku, jazda napić konia!

- Ależ, proszę pani! Nie ma już wody! - słabo opierała się Kozeta.

Thénardierowa otworzyła na oścież drzwi na dwór.

- Nie ma wody? Więc idź po wodę!

Kozeta spuściła głowę i wzięła puste wiadro stojące obok komina.

Wiadro było większe od dziecka i Kozeta mogłaby śmiało w nim się zmieścić.

Thénardierowa stanęła znów przy piecu, spróbowała drewnianą łyżką tego, co się gotowało w garnku, mrużąc gniewnie pod nosem:

- Wody w źródle jest pod dostatkiem! Widzieliście mi mądrałę. Ha! Lepiej bym zrobiła, gdybym przetała cebulę przez sito!

Potem pogrzebała w szufladzie, gdzie leżały groszaki, pieprz i czosnek, i dodała:

- Naści, waćpanno ropucho! Jak będziesz wracać, kupisz u piekarza bochenek chleba. Masz tu piętnaście su.

Kozeta miała w fartuszkach kieszonkę; bez słowa wzięła pieniądze i wsunęła go do tej kieszonki.

Chwilę stała nieruchomo naprzeciw rozwartych drzwi z wiadrem w ręku. Zdawało się,

że wyczekuje skądś ratunku.

- Nuże! ruszaj! - wrzasnęła Thénardierowa.

Kozeta wyszła. Drzwi zamknęły się.

## IV

### Na scenę wchodzi lalka

Rząd kramów, stojących pod gołym niebem, ciągnął się, jak pamiętamy, od kościoła aż po oberżę Thénardierów. Ponieważ mieszkańcy miasteczka niebawem mieli iść na pasterkę, wszystkie kramy były oświetlone świecami w papierowych umbrellkach, co - jak mówił miejscowy nauczyciel siedzący właśnie u Thénardierów - robiło bajeczne wrażenie. Za to na niebie nie widać było ani jednej gwiazdy.

Ostatni z baraków stał naprzeciwko drzwi Thénardierów; był to kram z zabawkami, lśniący od świecidełek, błyskotek i wspaniałych wyrobów z blachy. Pośrodku wystawy, na samym przodzie, na tle białych serwetek kramarz ustawił ogromną, chyba na dwie stopy, lalkę, ze złotymi włosami na głowie, w różowej, krepowej sukience; lalka miała prawdziwe włosy i oczy z emalii. To cudo stało na wystawie cały dzień ku nieopisanemu zachwytowi przechodniów poniżej lat dziesięciu; nie znalazła się jednak w Montfermeil matka dostatecznie bogata czy też dostatecznie rozrzutna, która by kupiła swemu dziecku tę lalkę. Eponina i Anzelma wystawały przed nią godzinami w kontemplacji i nawet Kozeta, ukradkiem co prawda, ośmieliła się na nią popatrzeć.

Wychodząc na dwór z wiadrem w ręku, smutna i znękana, Kozeta nie mogła się oprzeć, by nie spojrzeć na tę wspaniałą lalkę, na tę "piękną panią", jak ją nazywała. Biedne dziecko aż osłupiało z zachwytu. Nie oglądała jeszcze nigdy lalki z bliska. Cały kram wydał jej się pałacem; ta lalka nie była lalką, ale uroczą zjawą. Była to radość, przepych, bogactwo, szczęście, które objawiły się nagle w jakimś zwodniczym blasku tej nieszczęsnej małej istotce zepchniętej na samo dno ponurej, zimnej nędzy. Z całą naiwną i smutną trzeźwością dziecka Kozeta widziała przepaść dzielącą ją od tej lalki. Mówiła sobie, że "coś takiego" może mieć tylko królowna albo księżniczka. Patrzyła na różową sukienkę, na przygładzone włosy lalki i myślała sobie: "Jaka ta lalka musi być szczęśliwa!" Nie mogła oderwać oczu od cudownego kramu.

Im dłużej patrzyła, tym większy ogarniał ją zachwyt. Zdawało jej się, że ogląda raj. Inne lalki, stojące w głębi, wydawały jej się wrózkami i czarodziejkami, kramarz zaś, który przechadzał się w głębi sklepika, robił na niej wrażenie samego Pana Boga.

W tym zachwycie zapominała o wszystkim, nawet o tym, po co ją wysłano. Nagle

gniewny głos Thénardierowej przywołał Kozetę do rzeczywistości.

- A to co, niezdaro jedna! Jeszcześ nie poszła? Czekaj no! Już ja ci dam! A co ty tam robisz? Ruszaj zaraz, ty poczwaro!

Wyjrawszy na ulicę Thénardierowa spostrzegła Kozetę stojącą w zachwycie.

Kozeta chwyciła wiadro i poczęła umykać najszybciej, jak mogła.

## V

### Dziecko na pustkowiu

Oberża Thénardierów znajdowała się niedaleko kościoła, tak że Kozeta musiała iść po wodę do źródła w lesie w stronę Chelles.

Nie spojrzała już na żadną wystawę. Póki szła uliczką Piekarską i koło kościoła, oświetlone kramy rozjaśniały jej drogę, niebawem jednak znikło ostatnie światło ostatniego baraku. Biedne dziecko znalazło się w ciemnościach. Zagłębiło się w nie, a że strach zaczął je ogarniać, idąc wymachiwało wiadrem najmocniej, jak mogło. Skrzyp wiadra dotrzymywał Kozecie towarzystwa.

Im dalej szła, tym bardziej nieprzeniknione stawały się ciemności. Na ulicach nie było nikogo. Jednakże spotkała jakąś kobiecinę, która odwróciła się na jej widok i stanęła szepcząc: “Gdzie też może iść taki dzieciak? A może to mały wilkołak?” - ale poznawszy Kozetę rzekła: “Patrzcież! toć to Skowronek!”

Kozeta przebyła labirynt krętych, bezludnych uliczek, którymi kończy się Montfermeil od strony Chelles. Póki po obu stronach drogi miała domy czy nawet płoty, szła dosyć rażno. Czasem przez szparę okiennic dojrzała blask świecy, tam było światło i życie, tam byli ludzie - to dodawało jej otuchy. Lecz w miarę jak posuwała się naprzód, machinalnie zwalniała kroku. Gdy zaś minęła ostatni dom, stanęła. Wyjść poza ostatnie kramy było bardzo trudno, zapuścić się jeszcze dalej, za ostatni dom - stało się rzeczą niemożliwą. Postawiła wiadro na ziemi, zanurzyła rączkę we włosy i zaczęła się wolno drapać w głowę gestem dziecka przerażonego i nie wiedzącego, co robić. To już nie było Montfermeil, to były pola. Otwierała się przed nią przestrzeń czarna i bezludna. Z rozpaczą spojrzała w tę ciemność, gdzie nie było żywego ducha, gdzie były dzikie zwierzęta, a może i upiory. Patrzyła z natężeniem, słyszała już, jak zwierzęta stąpają w trawie, widziała już wyraźnie, jak upiory poruszają się w gałęziach drzew. Strach dodał jej śmiałości: chwyciła wiadro i rzekła: “Co tam! powiem jej, że nie było wody!” I zdecydowanym krokiem zawróciła do miasteczka.

Nie uszła jednak stu kroków, gdy stanęła znowu i znowu zaczęła drapać się w głowę. Teraz ukazała się jej Thénardierowa; ohydna Thénardierowa, z gębą hieny i oczami pałającymi wściekłością. Kozeta rzuciła zrozpaczone spojrzenie za siebie i przed siebie. Co robić? Co robić? Gdzie pójść? Przed nią - zmora Thénardierowej, za nią - wszystkie zmyry

nocy i lasu. Cofnęła się przed Thénardierową. Zawróciła i zaczęła biec w kierunku źródła. Biegiem wypadła z miasteczka, biegiem zagłębiła się w las, nie patrząc na nic, nie słysząc nic. Gdy już zupełnie zabrakło jej tchu, przestała biec, ale nie przestała iść naprzód. Szła przed siebie jak błędna.

Zbierało jej się na płacz.

Wchłonęło ją nocne drżenie lasu. Nie myślała nic, nie widziała nic. Ta drobna istotka miała przed sobą niezgłębioną noc. Z jednej strony wszystek mrok, z drugiej - atom.

Od skraju lasu do źródła było zaledwie siedem czy osiem minut drogi. Kozeta знаła tę drogę, gdyż często chodziła tędy za dnia. Rzecz dziwna, nie zbłądziła po nocy. Prowadziła ją jakaś resztką instynktu. A przecież nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, w obawie, że może dostrzec coś w gałęziach drzew czy w zaroślach. W ten sposób dotarła do źródła.

Był to rodzaj naturalnej kadzi wydrążonej przez wodę w gliniastym gruncie, głębokiej mniej więcej na dwie stopy, porosłej mchami, wysokim jakby fryzowanym zieleń, zwanym "kryzą króla Henryka", i wyłożonej paroma wielkimi głazami; z łagodnym szmerem wypływał z niej strumyk.

Kozeta nie zaczerpnęła nawet tchu. Było bardzo ciemno, ale ona знаła dobrze źródło. Lewą ręką poszukała po omacku młodego dębu, który rósł pochylony nad źródłem i służył jej zawsze za podporę, uchwyciła się gałęzi, uwiesiła się na niej, pochyliła i zanurzyła wiadro. Była tak podniecona, że siły jej się potroiły. Nie zauważyła wcale, że kiedy się nachylała, z kieszonki fartuszka wypadł pieniążek do wody. Kozeta nie widziała i nie słyszała, jak padał. Wyciągnęła pełne prawie wiadro i postawiła na ziemi.

Wtedy dopiero poczuła zmęczenie i wyczerpanie. Chciałaby zaraz ruszyć z powrotem; ale wysiłek, który zrobiła przy wyciąganiu wiadra, był tak wielki, że teraz nie mogła zrobić ani kroku; musiała usiąść. Osunęła się na ziemię i leżała skulona.

Zamknęła oczy, potem je otworzyła sama nie wiedząc dlaczego, ale nie mogła inaczej.

Obok niej na rozkołysanej w wiadrze wodzie rysowały się kręgi podobne do srebrzystych węży.

Nad jej głową ciemniało niebo pokryte grubymi, czarnymi chmurami, jakby smugami dymu. Tragiczna twarz mroku zdawała się pochylać nad tym dzieckiem.

W otchłaniach niebios zachodził Jowisz.

Dziecko patrzyło przerażonym wzrokiem na nieznaną olbrzymią gwiazdę, która napawała je lękiem. Gwiazda, nisko wisząca nad widnokretem, błyszczała złowrogą purpurą przez gęsty opar mgły. Mgła przeświecona ponurą czerwienią sprawiała, iż gwiazda wydawała się jeszcze większa. Rzekłbyś, świecąca rana.

Od pół ciągnął zimny wiatr. Las był mroczny, nie szumiały w nim liście, nie lśnił zamglony i łagodny blask jak to zdarza się w lecie. Olbrzymie konary wznosiły się groźnie. Pokrzywione, chore krzewiny jęczały na polankach, kępy wysokich traw wiły się wężowo na wietrze. Jeżyny skręcały się jak długie, uzbrojone w szpony ramiona, pragnące pochwycić swą zdobycz; suche wrzosa, niesione wiatrem, przelatywały jakby uciekając w trwodze przed czymś, co nadchodzi. Ze wszystkich stron nic, tylko ponure przestworza.

Ciemność przyprawia o zawrót głowy. Człowiek potrzebuje jasności. Każdemu, kto zagłębia się w przeciwieństwo światła, ścisza się serce. Kiedy oku braknie światła, braknie go także myśli. W mroku nocy, w nieprzeniknionej ciemni na najodważniejszych czyha strach. Nikt w nocy nie zagłębi się sam w las bez drżenia. Cienie i drzewa - to dwa przerażające gąszcze. Z niewyraźnych głębin wyłania się złudna rzeczywistość. Niepojęte zarysowuje się obok ciebie ze zjawiskową wyrazistością. Coś nieuchwytnego, jak sen uśpionych kwiatów, snuje się - nie wiedzieć - w powietrzu czy w twoich myślach. Na horyzoncie ukazują się dziwne kształty. Wdychasz fluidy czarnej pustki. Lękasz się, a chcesz obejrzeć się za siebie. Jesteś bezbronny wobec czeluści nocy, wobec płochliwości zjawisk, wobec niemych konturów, które rozpraszają się, gdy się do nich zbliżasz, wobec ciemnych rozkołysań, gniewnych zarośli, grzęzawisk lśniących bladym światłem, wobec niesamowitości odbitej w uśpionym zwierciadle, wobec grobowego ogromu ciszy, wobec możliwej obecności istot nieznanych, tajemniczo pochylających się drzew, poskręcanych pni, długich pędów drżących traw. Najodważniejszy nawet zadrży tu i poczuje bliskość przerażenia. Ogarnia ohydne uczucie, jak gdyby dusza zrastała się z mrokiem. Niewymownie smutne i ponure jest to wdzieranie się ciemności w duszę dziecka.

Lasy - to apokalipsy; pod ich groźnym sklepieniem trzepotanie skrzydeł małej duszyczki brzmi jak jęk konania.

Kozeta nie zdawała sobie sprawy ze swych doznań, lecz czuła, że wciąga ją potworna bezdnia natury. Nie strach ją ogarniał, lecz coś znacznie straszniejszego niż strach. Drżała. Brak słów, by opisać, jak niezwykle było to drżenie, które lodowatym zimnem przenikało ją aż w głąb serca. Oczy jej stały się błędne. Miała wrażenie, że nie zdoła może się oprzeć, by nie powrócić tu znów jutro o tej samej godzinie.

I wówczas wiedziona resztką instynktu, by wydostać się z tego dziwnego stanu, którego nie rozumiała, a który ją przerażał, zaczęła głośno liczyć: "raz, dwa, trzy, cztery" - aż do dziesięciu, a gdy skończyła, zaczęła od nowa. To przywróciło jej normalną percepcję zjawisk, które ją otaczały. Uczuła, że zimno jej w ręce zmoczone przy czerpaniu wody. Wstała. Ogarnął ją znów strach, ale strach naturalny i nie do opanowania. Miała tylko jedną

myśl: uciekać! uciekać, co sił w nogach, przez las, przez pola, biec do domów, do okien, do palących się świec. Wzrok jej padł na stojące obok wiadro. Obawa, którą napawała ją Thénar-dierowa, była tak wielka, że nie śmiała uciekać nie zabrawszy wiadra. Chwyliła je oburącz i z trudem dźwignęła z ziemi.

Zrobiła kilka kroków, lecz pełne wiadro było tak ciężkie, że musiała je postawić z powrotem. Odetchnęła trochę, po czym dźwignęła je znowu i zaczęła iść, tym razem już nieco dłużej. Ale znów musiała przystanąć. Po kilku sekundach wytchnienia ruszyła dalej. Szła pochylona do przodu, z głową zwieszoną, jak staruszka; ciężar wyrywał jej ze stawów chude ramiona, od żelaznego pałaka wiadra jej mokre rączki kostniały z zimna. Od czasu do czasu musiała przystanąć na chwilę i za każdym razem lodowata woda wylewała się na jej bose nogi. To wszystko działo się w głębi lasu, w nocy, w zimie, z dala od ludzi. Dziecko to miało osiem lat. Jeden tylko Bóg oglądał jej męczarnie.

I, niestety, zapewne i matka. Są bowiem rzeczy, które zmarłym każą w grobie otworzyć oczy.

Kozeta oddychała niemal rżąc z bólu, szloch ścisnął jej gardło, lecz nie śmiała płakać, tak bała się Thénardierowej, nawet z daleka. Przyzwyczała się wyobrazać sobie, iż Thénardierka jest zawsze blisko.

Niewiele jednak mogła ujść w ten sposób i szła bardzo powoli. Daremnie skraciała odpoczynki starając się między jednym a drugim iść możliwie najdłużej. Z przerażeniem myślała, że do Montfermeil zajdzie dopiero za godzinę i że Thénardierowa ją zbije. Z tym przerażeniem łączył się lęk, że w nocy sama jest w borze. Padała już z nóg ze zmęczenia, a jeszcze nie wyszła z lasu. Doszedłszy do starego kasztana, który dobrze знаła, przystanęła raz jeszcze, i to dłużej, by lepiej odpocząć, po czym zebrawszy wszystkie siły, chwyciła wiadro i odważnie ruszyła naprzód. Biedne, zrozpaczone maleństwo nie mogło się powstrzymać, by nie jęknąć od czasu do czasu: “Ach, Boże, mój Boże!”

Nagle poczuła, że wiadro przestało jej ciężać. Jakaś ręka, która wydawała jej się olbrzymia, chwyciła za pałak wiadra i krzepko dźwignęła je w górę. Kozeta podniosła głowę. Jakaś wysoka ciemna postać szła obok niej w mroku. Był to człowiek, który szedł za nią, ale którego kroków nie słyszała. Człowiek ten bez słowa wziął wiadro, które dźwigała.

Jest w nas instynkt, który każe nam właściwie reagować na każde spotkanie w życiu. Dziecko nie zlekło się wcale.

## VI

### **W którym może znajdziemy dowód domyślności Boulatruelle'a**

W ten sam dzień Bożego Narodzenia 1823 roku po południu jakiś mężczyzna przechadzał się długo po najbardziej odludnej części bulwaru Szpitalnego w Paryżu. Wyglądało na to, że szuka mieszkania i wybiera co skromniejsze domki na tym nędznym krańcu przedmieścia Saint-Marceau. Jak później zobaczymy, wynajął istotnie pokój w tej odludnej dzielnicy.

Mężczyzna ten, zarówno ze względu na swoje ubranie, jak i całą postać, stanowił, rzecz można, typ nędzarza z dobrego towarzystwa, który łączy w sobie skrajne ubóstwo z niezwykłą schludnością; połączenie spotykane rzadko, które budzi we wrażliwych sercach podwójną cześć, jaką odczuwa się dla kogoś, kto jest biedny i zarazem pełen godności. Miał okrągły kapelusz bardzo zniszczony i starannie oczyszczony, bardzo wytarty surdut z grubego ciemnożółtego sukna - kolor ten w owych czasach nie był bynajmniej dziwaczny - kamizelkę z kieszeniami zeszlowiecznego kroju, czarne, wyrudziałe na kolanach spodnie, czarne wełniane pończochy i grube trzewiki z mosiężnymi sprzączkami. Można go było wziąć za dawnego nauczyciela z jakiegoś arystokratycznego domu, który wrócił z emigracji. Sądząc z siwych włosów, porytego zmarszczkami czoła, z bezkrwistych warg i twarzy, z której biło przygnębienie i zmęczenie życiem, mógł mieć sześćdziesiąt lat z okładem. Wnosząc z pewnego, choć powolnego chodu, ze sprężystości i siły, która przebijała w każdym jego ruchu, można mu było dać najwyżej lat pięćdziesiąt. Czoło miał porysowane zmarszczkami w taki sposób, że musiał wzbudzić życzliwość każdego, kto by przyjrzał mu się z uwagą. Wargi zaciskały się tworząc dziwną bruzdę, której wyraz zdawał się surowy, a był pokorny. Spojrzenie tchnęło jakąś posępną pogodą. W lewej ręce niósł w chustce niewielkie zawiniątko; w prawej trzymał wyłamany z płotu kij, na którym się wspierał. Kij ten, ostrugany starannie, nie wyglądał bynajmniej groźnie; sęki miał wygładzone, główkę z czerwonego laku imitującą gałkę z koralu; był to kostur, a wyglądał jak laska.

Na tym bulwarze, zwłaszcza w zimie, spotyka się niewielu przechodniów. Człowiek ten zdawał się ich raczej unikać niż poszukiwać, nie okazując zresztą tego wyraźnie.

W owym czasie Ludwik XVIII niemal codziennie jeździł do Choisy-le-Roi. Była to jego ulubiona przejażdżka. Niezmiennie koło godziny drugiej po południu widziano karetę i

orszak królewski, jadące wyciągniętym kłusem przez bulwar Szpitalny.

Zastępowało to zegarek biedocie miejscowej, która mawiała: “Już druga godzina, bo on wraca do Tuileries”.

Jedni nadbiegali, drudzy stawali na chodniku, bo to zawsze widowisko, kiedy król przejeżdża. Zresztą nagłe zjawianie się i znikanie Ludwika XVIII wywierało pewne wrażenie na ulicach Paryża. Było szybkie, ale pełne majestatu. Ten niedołączony król lubił jeździć wyciągniętym kłusem. Nie mogąc chodzić, chciał biec; ten beznogi kaleka chętnie kazałby się ciągnąć przez błyskawice. Przejeżdżał spokojny i surowy pośród nagich szabel. Wielka, kapiąca od złota kolasa, ozdobiona burbońskimi liliami, toczyła się z hukiem po bruku. Zaledwie miałeś czas rzucić na nią okiem. Ujrzałeś wówczas, w głębi po prawej stronie, na tle białych atlasowych poduszek twarz szeroką, surową i czerwoną, upudrowaną głowę, uczesanie *à l'oiseau royal*, spojrzenie dumne, mocne i przenikliwe, uśmiech uczonego, dwa ciężkie epolety o długich frędzlach na cywilnym surducie, Złote Runo, Order Św. Ludwika, Krzyż Legii Honorowej, srebrną gwiazdę Orderu Św. Ducha, potężny brzuch i niebieską wstęgę - był to król. Poza granicami Paryża trzymał kapelusz na kolanach opiętych w wysokie, angielskie getry; gdy wracał do miasta, nakładał kapelusz na głowę i uchylał go z rzadka. Chłodno spoglądał na swój lud, a lud odwzajemniał mu się tym samym. Gdy przejeżdżał przez dzielnicę Saint-Marceau po raz pierwszy, jeden z mieszkańców tego przedmieścia rzekł do drugiego: “Ten grubas to rząd” - był to jedyny sukces króla.

Ten niezmienny przejazd monarchy był więc wydarzeniem powszednim dla mieszkańców bulwaru Szpitalnego.

Mężczyzna w żółtym surducie był snadź obcy w tej dzielnicy, a może nawet w Paryżu, gdyż nie wiedział o tym. Wydawał się zdziwiony i prawie przestraszony, gdy o godzinie drugiej pojazd królewski, otoczony szwadronem gwardii przybocznej, suto srebrem szamerowanej, skręcił koło la Salpêtrière i wjechał na bulwar. Nikogo poza nim nie było w alei; usunął się szybko za węgł domu; dostrzegł go jednak książe d'Havre, który tego dnia był oficerem służbowym gwardii przybocznej i siedział w karocy naprzeciw króla; rzekł on do jego królewskiej mości: “Ten człowiek wydaje mi się dosyć podejrzany”. Policjanci, mający za zadanie czuwać nad bezpieczeństwem osoby królewskiej w czasie przejazdu, dostrzegli go również i jeden z nich otrzymał rozkaz śledzenia tego człowieka. Ale on skręcił w nędzne uliczki przedmieścia, a że zmierzch już zapadał, agent zgubił go z oczu, co zostało stwierdzone w raporcie wysłanym tego wieczora na ręce hrabiego Angles, ministra i prefekta policji.

Zmyliwszy pogoń agenta mężczyzna w żółtym surducie przyspieszył kroku,

odwracając się jednak nieraz, by sprawdzić, czy nie jest śledzony. Kwadrans po czwartej, to znaczy, gdy było już zupełnie ciemno, przechodził koło teatru Porte-Saint-Martin, gdzie wystawiano tego dnia "Dwóch galerników". Afisz ten, oświetlony latarniami teatru, przyciągnął jego uwagę, gdyż choć szedł spiesźnie, przystanął, aby go przeczytać. W chwilę później skręcił w zaułek la Planchette, i wszedł do oberży "Pod Cynowym Talerzem", gdzie mieściło się wówczas biuro karetek pocztowych jeżdżących do Lagny. Karetka wyruszała o wpół do piątej. Konie były zaprzężone i woźnica zwoływał jadących, którzy w pośpiechu wdrapywali się na strome, żelazne schodki landary.

Mężczyzna zapytał:

- Czy jest jeszcze miejsce?

- Tylko jedno, przy mnie na koźle - odparł woźnica.

- Biorę je.

- Siadaj pan.

Nim jednak ruszyli z miejsca, woźnica obrzucił spojrzeniem ubogi strój podróżnego, małe zawiniątko, które miał z sobą, i zażądał zapłaty.

- Pan jedzie do Lagny? - zapytał.

- Tak - odparł podróżny.

I zapłacił za przejazd do Lagny.

Ruszyli. Minąwszy roгатkę woźnica usiłował nawiązać z podróżnym pogawędkę, lecz gdy ten zbywał go półsłówkami, zaczął pogwizdywać i kłać na konie.

Woźnica owinął się płaszczem. Było zimno. Podróżny zdawał się nie zwracać na to uwagi. Tak minęli Gournay i Neuilly-sur-Marne.

Około godziny szóstej dojechali do Chelles. By dać wytchnąć koniom, woźnica zatrzymał się przed zajazdem mieszczącym się w dawnych zabudowaniach opactwa królewskiego.

- Zejdę tu - rzekł podróżny.

Wziął swój kij i pakunek i zeskoczył z landary. Po chwili zniknął w ciemnościach. Nie wszedł do oberży.

Gdy w kilka chwil potem landara ruszyła w kierunku Lagny, nie napotkano go na głównej ulicy w Chelles.

Woźnica odwrócił się do podróżnych siedzących w karecie.

- A to dopiero! - rzekł - ten człowiek na pewno jest nietutejszy, bo go nie znam. Wygląda na to, że nie ma złamanego grosza, a nie dba o pieniądze; płaci aż do Lagny, a jedzie tylko do Chelles. Jest noc, wszystkie domy pozamykane; do oberży nie wszedł, po drodze też

żeśmy go nie widzieli. Chyba zapadł się w ziemię.

Człowiek ten nie zapadł się w ziemię, tylko w ciemnościach z wielkim pośpiechem przeszedł główną ulicę Chelles, po czym nie dochodząc do kościoła skręcił w lewo, w polną drogę wiodącą do Montfermeil, jak ktoś, kto nie po raz pierwszy jest w tych stronach i dobrze zna okolicę.

Szedł tą drogą bardzo szybko. W miejscu gdzie krzyżuje się ona z wysadzonym drzewami starym gościńcem, idącym z Gagny do Lagny, usłyszał głosy zbliżających się ludzi. Spieszenie skrył się w rowie czekając, aż się oddalą. Ostrożność zbyteczna, gdyż, jak już wspomnieliśmy, była bardzo ciemna noc grudniowa. Na niebie błyszczało zaledwie parę gwiazd.

W tym właśnie miejscu droga wznosi się pod górę. Podróżny nie poszedł drogą do Montfermeil, lecz skręcił w prawo, przez pola, i wyciągniętym krokiem skierował się w stronę lasu.

Wszedłszy do lasu zwolnił kroku i zaczął uważnie przyglądać się drzewom, posuwając się krok za krokiem, jakby szukał tajemniczej ścieżki jemu tylko wiadomej. W pewnej chwili zdawało się, że zabłądził, bo przystanął niezdecydowany. Wreszcie dotarł po omacku do polanki, na której białął kopczyk z wielkich kamieni. Szybko zbliżył się do niego i poprzez mrok nocny przyglądał mu się z uwagą, jakby badał każdy kamień. Opodal rosło wielkie drzewo, pokryte guzami i naroślami, tymi brodawkami roślinności. Podeszedł do drzewa i powiódł ręką po korze, jakby chciał je rozpoznać i policzyć wszystkie narośle.

Naprzeciw tego drzewa - był to jesion - stał schorzały kasztan obdarty z kory, opatrzony opaską z cynowej blachy. Człowiek wspiał się na palce i dotknął dłonią opaski.

Po czym przez chwilę dreptał między drzewem a stosem kamieni, jakby sprawdzając, czy ziemia nie była w tym miejscu świeżo wzruszona.

Co uczyniwszy rozejrzał się wokoło i ruszył dalej w las.

On to właśnie był owym człowiekiem, który spotkał Kozetę.

Idąc przez las w stronę Montfermeil zobaczył drobny cień, który posuwał się z jękiem, stawiał ciężar na ziemi, dźwigał go z powrotem i szedł znowu. Zbliżywszy się spostrzegł, że było to małe dziecko dźwigające olbrzymie wiadro wody. Podeszedł do dziecka i bez słowa chwycił za pałąk.

## VII

### Kozeta idzie w ciemnościach obok nieznajomego

Jak już powiedzieliśmy, Kozeta nie zlekła się wcale. Mężczyzna odezwał się do niej poważnym, stłumionym do szeptu głosem:

- To wiadro musi być dla ciebie bardzo ciężkie, moje dziecko.

Kozeta podniosła główkę i odrzekła:

- Tak, proszę pana.

- Daj, poniosę je - rzekł mężczyzna.

Kozeta puściła wiadro. Mężczyzna szedł obok niej.

- To naprawdę bardzo ciężkie - mruknął przez zęby, po czym dodał:

- Ile masz lat, malutka?

- Osiem, panie.

- A skąd dźwigasz to wiadro?

- Od źródła w lesie.

- A daleko masz do domu?

- O, jeszcze dobry kwadrans drogi.

Człowiek pomilczał chwilę, po czym zapytał nagle:

- A więc nie masz matki?

- Nie wiem - odparła Kozeta.

I nim człowiek miał czas zadać następne pytanie, dodała:

- Ale chyba nie mam. Inne dzieci mają matki. A ja nie.

Po chwili milczenia dorzuciła jeszcze:

- I tak myślę, że chyba nigdy nie miałam matki.

Mężczyzna zatrzymał się, postawił wiadro na ziemi, schylił się i opierając obie dłonie na ramionach dziewczynki starał się przeniknąć wzrokiem ciemności, by dojrzeć jej rysy.

Z bladawego zmroku wyłaniała się niewyraźnie chuda, mizerna twarzyczka.

- A jak ci na imię? - spytał mężczyzna.

- Kozeta.

Mężczyzna drgnął, jakby przeszyty prądem elektrycznym. Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym zdjął ręce z jej ramion, chwycił wiadro i ruszył dalej.

Po chwili zapytał:

- A gdzie ty mieszkasz, malutka?
- W Montfermeil. Pan wie, gdzie to jest?
- To my tam idziemy?
- Tak, panie.

Zamilkł znowu, po czym ciągnął dalej:

- Któż to cię posyła o tej porze po wodę?
- Ano, pani Thénardier.

Człowiek pytał dalej usiłując mówić obojętnie, ale z dziwnym drżeniem w głosie.

- Któż to taki ta twoja pani Thénardier?
- To moja gospodyni - odrzekło dziecko - ma oberżę.
- Oberżę? - podchwycił mężczyzna. - Doskonale, zatrzymam się tam na noc.

Zaprowadź mnie!

- Idziemy tam - odrzekło dziecko.

Mężczyzna szedł dość spiesźnie. Kozeta bez trudu dotrzymywała mu kroku. Nie czuła już zmęczenia. Od czasu do czasu podnosiła ku niemu oczy pełne niewysłowionej pogody i ufności. Nigdy nikt jej nie uczył, by zwracać się do Opatrzności, by się modlić. A przecież czuła teraz jakieś uczucia podobne do nadziei i radości, które słała ku niebu.

Upłynęło chwil parę. Mężczyzna znów zapytał:

- Czy u pani Thénardier nie ma służącej?
- Nie, panie.
- Ty jedna tylko tam jesteś?
- Tak, panie.

I znowu zaległa cisza. Po czym zabrzmiał głos Kozety:

- To znaczy są tam jeszcze dwie dziewczynki.
- Jakież to dziewczynki?
- Ponina i Zelma.

W ten sposób dziecko upraszczało romantyczne imiona tak miłe Thénardierowej.

- Ponina i Zelma? A któż to taki?
- To są panienki pani Thénardierowej, no niby jej córki.
- A one co robią?
- O! - powiedziało dziecko - one mają piękne lalki i takie różności ze złotem, dużo, dużo ślicznych rzeczy. Bawią się, a bawią.

- Cały dzień?

- Cały dzień, panie.

- A ty?

- Ja pracuję.

- Cały dzień?

Dziecko podniosło wielkie oczy, w których błysnęły łyzy niedostrzegalne w ciemnościach nocy, i odrzekło cichutko:

- Cały dzień, panie.

I po chwili milczenia ciągnęło dalej:

- Czasami, jak skończę robotę i jeśli mi pozwolą, to ja też się bawię.

- A jakże ty się bawisz?

- Bawię się, jak mogę. Dają mi spokój. Ale ja mam mało zabawek. Ponina i Zelma nie pozwalają mi dotykać swoich lalek. Mam tylko małą szabelkę ołowianą, o, taką.

Tu dziecko pokazało swój mały palec.

- I która nic nie tnie, co?

- O, tak - rzekło dziecko - można nią ciąć sałatkę i odcinać główki muchom.

Doszli do miasteczka, Kozeta prowadziła nieznanego przez uliczki. Przechodzili koło piekarza, ale dziewczynka zapomniała, że ma kupić chleba.

Mężczyzna nie zadawał już pytań i zachowywał posępne milczenie. Gdy minęli kościół, spojrzął na kramy stojące pod gołym niebem i zapytał:

- Cóż to? Jarmark tu macie?

- Nie, panie, to Boże Narodzenie.

Zbliżyli się do oberży. Kozeta nieśmiało dotknęła ramienia mężczyzny.

- Proszę pana?

- Co, dziecinko?

- Już jesteśmy niedaleko.

- Cóż z tego?

- Niech mi pan teraz odda wiadro, proszę.

- Dlaczego?

- Bo jak moja pani zobaczy, że to nie ja je niosłam, to mnie zbije.

Mężczyzna oddał wiadro. Po chwili stali już przed drzwiami karczmy.

## VIII

### **Jak to źle przyjmować u siebie biedaka, który może jest bogaczem**

Kozeta nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na olbrzymią lalkę, królującą wciąż za witryną kramu z zabawkami, po czym zastukała do karczmy. Drzwi się otwały. Na progu stała Thénardierowa ze świecą w ręku.

- A, to ty hultajko! Marudziłaś, że nie daj Boże! Bawić się szczeniakowi zachciało!

- Proszę pani - rzekła Kozeta drżąc cała - ten pan przychodzi do nas na noc!

Thénardierowa prędko zmieniła gniewną minę na układny grymas - natychmiastowe przeobrażenie właściwe oberżystom - i chciwie obejrzała się za przybyłym.

- To pan? - zapytała.

- Tak, pani! - odrzekł podróżny podnosząc rękę do kapelusza.

Bogaci podróżni nie bywają tak uprzejmi. Ten gest i badawcze spojrzenie rzucone na odzienie i zawiniątko nieznanego sprawiły, że uprzejmy wyraz znikł z twarzy Thénardierowej, ustępując miejsca gniewnej minie. Rzekła sucho:

- Wejdźcie, dobry człowieku!

“Dobry człowiek” wszedł. Thénardierowa jeszcze raz rzuciła nań okiem, spojrzała uważnie na mocno zniszczony surdut, na wytarty kapelusz i ruchem głowy, zmarszczeniem nosa, mrugnięciem oka zasięgnęła rady u swego małżonka, który wciąż popijał z woźnicami. Mąż odpowiedział jej niedostrzegalnym ruchem wskazującego palca, który w połączeniu z wydęciem ust oznacza w takich wypadkach: “Zupełna nędza”. Wobec czego Thénardierowa zawołała:

- Słuchajcie no, mój człowieku, bardzo mi przykro, ale nie mamy miejsca!

- Proszę mnie umieścić gdziekolwiek, na strychu czy w stajni - odrzekł podróżny. - Zapłacę jak za pokój.

- Czterdzieści su.

- Czterdzieści su. Zgoda.

- No, to dobrze.

- Czterdzieści su - rzekł szeptem któryś z woźniców do Thénardierowej. - Przecież bierzecie tylko dwadzieścia?

- Ale on zapłaci czterdzieści - odparła, również szeptem Thénardierowa. - Ubogich nie przyjmuję na noc za niniejszą opłatą.

- Racja - dodał słodkim głosem mąż. - Tacy ludzie psują reputację domu.

Tymczasem nieznajomy, położywszy na ławie swój kij i zawiniątko, usiadł przy stole, gdzie Kozeta spieszenie postawiła flaszkę wina i szklankę. Kupiec, który domagał się wody dla konia, poszedł go sam napoić. Kozeta usiadła na swym zwykłym miejscu pod stołem i zabrała się znów do roboty na drutach.

Umoczywszy ledwie wargi w winie, które sobie nalał do szklanki, podróżny przyglądał się dziewczynce ze szczególną uwagą.

Kozeta była brzydka. Szczęście mogłoby uczynić ją ładną. Opisaliśmy już pobieżnie tę smutną postać. Kozeta była chuda i mizerna; miała prawie osiem lat, ale wyglądała zaledwie na sześć. Wielkie oczy, podkrążone głębokim cieniem, przygasły od ustawicznego płaczu. Kąciki ust miały ów rys nieustającego przerażenia, jaki się widzi u skazańców i u ludzi beznadziejnie chorych. Ręce jej - jak to odgadła matka - były pokryte odmrożeniami. Padający na nią w tej chwili blask ognia ukazywał sterczące kości i straszliwą chudość. Kozeta wciąż dygotała z zimna, toteż przyzwyczyła się kulić i ścisnąć do siebie kolana. Odziana była w łachmany, które w lecie budziły litość, w zimie budziły zgrozę. Miała na sobie podartą płócienną sukienkę; ani nawet skraweczka wełnianej materii. Tu i ówdzie przeświecała naga skóra, pokryta sinymi i czarnymi znakami - śladami kuksańców Thénardierowej. Bose nóżki były chude i czerwone. Na płacz się wprost zbierało patrząc na wystające obojczyki. Cała postać tej dziewczynki, jej ruchy, zachowanie, brzmienie głosu, pauzy, jakie robiła między jednym wyrazem a drugim, jej spojrzenie, jej milczenie, jej najmniejszy gest wyrażały i zdradzały jedną myśl - strach.

Była jakby napiętnowana strachem. Strach - jeśli tak rzecz można - otulał ją całą; to strach kazał jej przyciskać łokcie do bioder, chować pięty pod spódniczkę, zajmować swoją osobą jak najmniej miejsca, strach pozwalał jej ledwo oddychać i stał się tym, co można by nazwać zwykłym jej stanem, a co mogło się przeobrazić w strach jeszcze większy. W głębi jej źrenicy drgało jakieś zadziwienie, czaiła się tam groza.

Ten strach był tak wielki, że wróciwszy do domu przemoczona do nitki, Kozeta nie ośmieliła się osuszyć przy kominie, lecz milcząco powróciła do swej pracy.

Wyraz oczu tego ośmioletniego dziecka był zawsze taki ponury, a nieraz tak tragiczny, że chwilami wydawało się, iż wyrośnie z niego idiota albo szatan.

Nigdy, wspominaliśmy już o tym, nie uczono jej pacierza, nigdy też nie przestąpiła progu kościoła. "A bo to ja mam czas?" - mawiała Thénardierowa.

Człowiek w żółtym surducie nie spuszczał oczu z Kozety.

Nagle Thénardierowa zawołała:

- Ale, a chleb?

Na dźwięk podniesionego głosu Thénardierowej Kozeta - jak to było jej zwyczajem - czym prędzej wyszła spod stołu.

Zapomniała zupełnie o chlebie. Uciekła się do wybiegu dzieci wiecznie przerażonych. Skłamała.

- Piekarz był już zamknięty, proszę pani.

- Trzeba było zastukać.

- Stukałam, proszę pani.

- No i co?

- Nie otworzył.

- Jutro się dowiem czy to prawda - powiedziała Thénardierowa. - Jeśli się okaże, że kłamiesz, dostaniesz zdrowe lanie. A tymczasem oddawaj piętnaście su.

Kozeta wsunęła rękę do kieszeni fartuszka i zzieleniała. Pieniądzy nie było.

- Nuże! - przynagłała Thénardierowa. - Nie słyszysz czy co?

Kozeta wyrzuciła kieszonkę, nie było w niej nic. Gdzie się mógł podziać pieniądz? Biedaczka nie była w stanie wykrztusić słowa. Stała jak skamieniała.

- Co? Zgubiłaś pieniądze? Zgubiłaś piętnaście su? - wrzasnęła Thénardierowa. - A może chcesz mi je ukraść?

Mówiąc to wyciągnęła rękę w kierunku dyscypliny wiszącej przy kominie. Ten groźny gest przywrócił Kozecie głos. Krzyknęła:

- Pani, błagam, pani! Już nigdy nie będę!

Thénardierowa zdjęła dyscyplinę.

Tymczasem człowiek w żółtym surducie sięgnął do kieszonki kamizelki. Nikt nie zauważył tego gestu. Zresztą podróżni pili albo grali w karty, nie zwracając uwagi na to, co się dokoła nich dzieje.

Kozeta z przerażeniem wtuliła się w róg komina, kuląc się cała i starając się ukryć swoje biedne na wpół nagie członki. Thénardierowa podniosła rękę.

- Za pozwoleniem - odezwał się człowiek w żółtym surducie - przed chwilą zauważyłem, że małej wypadło coś z fartuszka i potoczyło się po podłodze. Może to o to chodzi?

Tu schylił się i udał, że szuka czegoś przez chwilę na ziemi.

- Oto jest, proszę - powiedział prostując się. I podał monetę Thénardierowej.

- Aha, tak, to ta sama - odrzekła oberżystka. Nie była to ta sama moneta, gdyż było to dwadzieścia su, ale Thénardierowa uważała to za swój zysk. Wsunęła pieniądź do kieszeni i rzuciwszy dziecku wściekłe spojrzenie powiedziała tylko:

- Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

Kozeta wróciła do swej "nory", jak mawiała Thénardierowa. Jej wielkie, utkwione w nieznajomym oczy zaczęły nabierać wyrazu, jakiego nigdy przedtem nie miały; było to na razie naiwne zadziwienie, ale przebijała przez nie zdumiona ufność.

- Aha, prawda, a wieczerzać będziecie? - zapytała Thénardierowa podróżnego.

Nie odpowiedział zamyślony nad czymś głęboko.

- Co to za jeden? - mruknęła do siebie pod nosem. - To musi być ostatni nędzarz. Pewno nie ma ani grosza na kolację. Czy aby zapłaci za nocleg? Swoją drogą dobrze, że nie przyszło mu do głowy ukraść tego pieniądza z ziemi.

W tej chwili drzwi się otwały, weszły Eponina i Anzelma.

Były to rzeczywiście ładne dziewczynki, wyglądały raczej na dzieci z miasta niż na wieśniaczki; obie były urocze, jedna z lśniąco-czarnymi, kasztanowatymi splotami, druga z czarnymi, długimi warkoczami, spadającymi na plecy, obie żywe, czyściutkie, pulchne, świeże i zdrowe, aż miło było na nie spojrzeć. Ubrane były ciepło, ale dzięki macierzyńskiej pomysłowości grubość materii nie ujmowała ich stroikom wdzięku. Ochraniała przed zimą, nie tłumiąc wiośnianego uroku. Te dwie małe istotki rozsiewały dokoła siebie blask. A poza tym - królowały. Z ich stroju, wesołości, z wrzawy, którą robiły, widać było, że są tutaj paniami. Kiedy weszły Thénardierowa rzekła, niby to zrzędząc, ale w gruncie rzeczy tonem pełnym uwielbienia:

- No więc! Zjawiliście się nareszcie!

Po czym przyciągnęła je kolejno do siebie, przygładziła im włosy, poprawiła wstążki, a puszczając, niby to odepchnęła w ów tkliwy, macierzyński sposób, mówiąc:

- Ale też się wystroili! No, no!

Dziewczynki usiadły przy ogniu. Przyniosły ze sobą lalkę, którą obracały na wszystkie strony, szczebiocąc wesoło. Od czasu do czasu Kozeta odrywała oczy od swojej roboty i posepnie spoglądała, jak się bawiły.

Eponina i Anzelma nie patrzyły na Kozetę; była dla nich czymś w rodzaju psa. Te trzy małe dziewczynki nie miały razem dwudziestu czterech lat, a już stanowiły obraz całego społeczeństwa ludzkiego: z jednej strony zawiść, z drugiej - pogarda.

Lalka sióstr Thénardier była bardzo zniszczona, stara i połamana; Kozecie jednak wydawała się cudowna, Kozecie, która nigdy w życiu nie miała lalki, “prawdziwej lalki” - że użyjemy tu określenia, które każde dziecko zrozumie.

Nagle Thénardierowa, krzając się po izbie, dostrzegła roztargnienie Kozety, która zamiast pracować przyglądała się zabawie dziewczynek.

- A, przyłapałam cię! - wrzasnęła. - To ty tak pracujesz? Poczekaj no! Kijem cię zapędzę do roboty.

Nie ruszając się z miejsca, nieznajomy zwrócił się do Thénardierowej.

- Niechże jej pani pozwoli się bawić - rzekł z lęklwym niemal uśmiechem.

Gdyby takie życzenie wypowiedział podróżny, który zjadł kawał pieczeni baraniej, wypił dwie butelki wina i nie wyglądał na “ostatniego nędzarza” - byłoby ono rozkazem. Ale żeby człowiek w *takim* kapeluszu miał jakieś zachcianki, żeby człowiek w *takim* surducie pozwalał sobie mieć swoją wolę - tego Thénardierowa nie myślała znosić. Odparła kwaśno:

- Ponieważ je, musi pracować. Nie po to ją żywię, żeby zbijała baki.

- A cóż ona takiego robi? - ciągnął nieznajomy łagodnym głosem, dziwnie nie licującym z jego żebraczym strojem i barkami tragarza.

Thénardierowa raczyła odpowiedzieć:

- Pończochy, proszę pięknie. Pończochy dla moich córeczek, bo ich prawie nie mają i boso będą chodzić.

Nieznajomy spojrział na biedne, czerwone nożyny Kozety i zapytał:

- A kiedy skończy tę parę pończoch?

- O, ten leniuch jeszcze dobre trzy albo cztery dni będzie je robił.

- Ile może być warta taka para pończoch, kiedy już będzie skończona?

Thénardierowa spojrzała nań pogardliwie.

- Co najmniej trzydzieści su.

- A sprzedałaby mi ją pani za pięć franków? - pytał dalej nieznajomy.

- Tam do diaska! - któryś z woźniców parsknął grubym śmiechem. - Pięć franków!

Dobre sobie! Pięć franków to kawał grosza.

Tu Thénardier uznał, że powinien zabrać głos:

- Oczywiście, jeśli taka jest pańska fantazja, to za pięć franków oddamy panu tę parę pończoch. Nie zwykliśmy niczego odmawiać naszym gościom.

- Ale zapłacić trzeba od razu! - powiedziała Thénardierowa po swojemu, krótko a dobitnie.

- Kupię tę parę pończoch - odrzekł nieznajomy wyjmując z kieszeni pięć franków; położył je na stole i dokończył: - Płacę za nią.

Po czym zwrócił się do Kozety:

- Teraz twoja praca należy do mnie. Baw się, dziecko.

Woźnica był tak poruszony widokiem pięciofrankowej monety, że zostawił swoją szklankę i przybiegł zobaczyć ją z bliska.

- Rzeczywiście! - krzyczał oglądając ją. - Pięciofrankówka niczym młyńskie koło! I nie podrobiona!

Thénardier zbliżył się i bez słowa wsunął monetę do kieszeni.

Thénardierowa nic na to nie mogła powiedzieć. Zagryzła wargi, a twarz jej przybrała wyraz nienawiści.

Kozeta, drżąc ciągle, zaryzykowała pytanie:

- Proszę pani, czy ja naprawdę mogę się bawić?

- A baw się! - warknęła straszliwym głosem Thénardierowa.

- Dziękuję pani - odparła Kozeta.

A gdy tak ustami dziękowała Thénardierowej, cała jej mała duszyczka dzięki składała nieznajomemu.

Thénardier zasiadł znowu do picia. Żona szepnęła mu do ucha:

- Co to za jeden, ten żółty?

- Widziałem milionerów w takich surdutach - odrzekł Thénardier tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Kozeta odłożyła swoją robótkę, ale nie wyszła spod stołu, gdyż zawsze starała się jak najmniej poruszać. Wyjęła tylko z pudełka, stojącego za nią, jakieś gałganki i swoją, małą, ołowianą szabelkę.

Eponina i Anzelma nie zwracały żadnej uwagi na to, co się działo w izbie. Dokonały właśnie wielkiej rzeczy: złapały małego kotka. Rzuciły lalkę na ziemię i Eponina, jako starsza, owijała go w przeróżne czerwone i niebieskie gałganki, mimo że kotek miauczał i wrywał się. Wykonując tę poważną i niełatwą pracę, rozmawiała z siostrą; był to wdzięczny i słodki szczebiot dziecięcy, którego uroku - podobnie jak wspaniałości skrzydeł motyli - nie sposób utrwalić.

- Widzisz, siostrzyczko, ta lalka jest o wiele zabawniejsza niż tamta. Rusza się, krzyczy i jest ciepłutka. Będziemy się nią bawić, dobrze, siostrzyczko? To będzie moja córeczka. Ja będę panią i przyjdę do ciebie z wizytą, i ty będziesz się jej przyglądać. Aż tu nagle zobaczysz jej wąsy - i bardzo się zdziwisz. A potem zobaczysz jej uszy, a potem

zobaczysz jej ogonek - i jeszcze bardziej się zdziwisz. I powiesz: "Ach, mój Boże!", a ja ci odpowiem: "Tak, tak, proszę pani, to jest moja córeczka. Teraz małe dziewczynki takie są właśnie".

Anzelma słuchała Eponiny z zachwytem.

Tymczasem pijący za stołem zaczęli śpiewać sprośną piosenkę i śmieli się, aż szyby drżały. Thénardier zachęcał ich i wtórował śpiewom.

Podobnie jak ptaki potrafią uwić sobie gniazdko z byle ździebełka, tak i dzieci potrafią zrobić sobie lalkę z byle czego. I kiedy Anzelma i Eponina owijały kotka, Kozeta owinęła swoją szabelkę, wzięła ją na rękę i kołysząc do snu, nuciła jej cichutko.

Lalka - to przemożna potrzeba, a zarazem jeden z najbardziej uroczych instynktów małych dziewczynek. Troszczyć się o kogoś, okrywać, stroić, ubierać, rozbierać, ubierać na nowo, pouczać, łajać nieco, kołysać, pieścić, usypiać, wyobrażać sobie, że "coś" jest "kimś" - w tym zawiera się cała przyszłość kobiety. Tak marząc i szczebiocąc, robiąc wyprawki i pieluszki, szyjąc sukieneczki, staniczki i kaftaniki, dziecko staje się dziewczynką, dziewczynka staje się młodą dziewczyną, młoda dziewczyna - kobietą. Ostatnia lalka zamienia się w pierwsze dziecko.

Równie trudno sobie wyobrazić małą dziewczynkę bez lalki jak kobietę bez dziecka; i obie są prawie równie nieszczęśliwe.

Kozeta zrobiła sobie zatem lalkę z szabelki.

Thénardierowa podeszła do "żółtego człowieka". "Mój mąż ma rację - myślała - a nuż to jest pan Laffitte. Bogatych trzymają się czasem takie dziwactwa..."

Przysiadła się do niego.

- Proszę pana... - zaczęła.

Na dźwięk słowa "pan" - podróżny odwrócił się. Thénardierowa do tej pory mówiła do niego "dobry człowieku" lub "mój człowieku".

- Widzi pan - ciągnęła przybierając słodkawą minę, która była dla patrzącego jeszcze bardziej przykra niż jej groźna mina - niechby sobie dzieciak się bawił, wcale mi to nie przeszkadza, ale to dobre na ten jeden raz, bo pan jest bardzo hojny. Ale widzi pan, ta mała nie ma nic a nic; musi więc pracować.

- Więc to nie pani córka? - zapytał podróżny.

- Ach, na Boga, panie, skądże znowu! To biedota, mała nędza, którą przygarnęliśmy tak, z litości. Trochę głupawa. Chyba musi mieć wodę w głowie, bo popatrz pan, jaką ma wielką głowę. Robimy dla niej, co możemy, ale sami nie jesteśmy bogaci. Piszemy i piszemy

tam, w jej strony, ale już od pół roku nie mamy odpowiedzi. Chyba matce musiało się zemrzeć.

- Aa... - rzekł człowiek i na nowo popadł w zadumę.

- Ta matka to było nic dobrego - dodała Thénardierowa. - Porzuciła swoje dziecko.

Podczas całej tej rozmowy Kozeta nie spuszczała oczu z Thénardierowej, jak gdyby jakiś instynkt podszeptął jej, że to o niej mowa. Słyszała niewiele; czasem doleciało ją jakieś słowo.

Tymczasem biesiadnicy, dobrze już podchmieleni, w napadzie jeszcze głośniejszej wesołości powtarzali swoją sprośną piosenkę. Była to bardzo niewybredna a pieprzna śpiewka, do której wmieszano Matkę Boską i Dzieciątko Jezus. Thénardierowa przyłączyła się do wybuchów śmiechu. Siedząca pod stołem Kozeta zapatrzyła się w ogień, którego blask odbijał się w jej nieruchomych oczach i kołyszac na rękę szabelkę, owiniętą w gałganki, nuciała cichym głosikiem: “Moja mamusia umarła! Moja mamusia umarła! Moja mamusia umarła!...”

Ulegając nowym naleganiom gospodyni, żółty człowiek, “milioner”, zgodził się zjeść wieczerzę.

- A co pan sobie życzy?

- Proszę o chleb i ser - odparł człowiek.

“To jednak z pewnością żebrak” - pomyślała Thénardierowa.

Pijacy śpiewali wciąż swoją piosenkę, a dziecko pod stołem śpiewało swoją.

Nagle Kozeta umilkła. Odwróciwszy się, spostrzegła tuż przy kuchennym stole lalkę, którą małe Thénardierki porzuciły dla zabawy z kotkiem.

Upuściła zawiniętą w gałgany szabelkę, która połowicznie tylko mogła ją zadowolić, i wolno powiodła wzrokiem po izbie. Thénardierowa szeptała coś do męża, licząc pieniądze. Ponina i Zelma bawiły się kotkiem, podróżni jedli, pili lub śpiewali. Nikt na nią nie patrzył. Nie miała ani chwili do stracenia. Na czworakach wyczołgała się spod stołu i upewniwszy się raz jeszcze, że nikt na nią nie patrzy, szybko przysunęła się do lalki i schwyciła ją. Po chwili siedziała już nieruchomo na swoim miejscu, obrócona w ten sposób, by cień padał na lalkę, którą trzymała na rękę. Szczęście bawienia się lalką było dla niej rzeczą tak rzadką, że odczuwała gwałtowną rozkosz.

Sceny tej nie zauważył nikt z wyjątkiem podróżnego, który wolno spożywał swój skromny posiłek.

Radość Kozety trwała już blisko kwadrans.

Mimo zachowywanych ostrożności Kozeta nie zauważyła jednak, że jedna noga lalki wystawała z cienia i była oświetlona jaskrawo przez ogień na kominku. Ta różowa, jasna, wyłaniająca się z cienia noga przyciągnęła spojrzenie Anzelmy, która odezwała się do Eponiny:

- Siostrzyczko, popatrz!

Obie dziewczynki ze zdumienia aż przerwały zabawę. Kozeta ośmieliła się wziąć ich lalkę!

Eponina, nie wypuszczając z objęć kotka, podniosła się i podszedłszy do matki, zaczęła ją ciągnąć za spódnicę.

- Dajże spokój! - powiedziała matka. - Czego chcesz?

- Mamo - rzekło dziecko - spójrz no! I wskazała palcem Kozetę, która z lalką w ramionach była pogrążona w ekstazie posiadania, głucha i ślepa na wszystko, co się wokół niej działo.

Twarz Thénardierowej przybrała ów szczególny wyraz wściekłości, wybuchającej z okazji drobnych codziennych błahostek, który sprawia, że kobiety tego typu nazwano "megie-ry". Tym razem urażona duma wzmagała jeszcze gniew. Kozeta przekroczyła wszelkie granice. Kozeta ważyła się dotknąć lalki "panienek". Carowa nie mogłaby mieć innej miny na widok muzyka przymierzającego orderową wstęgę jej dostojnego syna.

Ryknęła ochryłym z oburzenia głosem:

- Kozeta!

Kozeta wstrząsnęła się, jakby ziemia pod nią zadrżała. Odwróciła się.

- Kozeta! - powtórzyła Thénardierowa.

Kozeta wzięła lalkę i położyła ją ostrożnie na ziemi, z uwielbieniem i rozpaczą zarazem. Po czym, nie spuszczać z niej oczu, spłotła rączki i załamała je - przerażający gest u dziecka w tym wieku. I przyszło to, czego nie mogły z niej wydobyć ani i przejścia całego dnia, ani bieg przez las, ani ciężar wiadra, ani zguba pieniędzy, ani widok dyscypliny, ani nawet posępne słowa zasłyszane z rozmowy Thénardierowej - przyszły łzy. Wybuchnęła płaczem.

Podróżny wstał.

- Co się dzieje? - zapytał Thénardierowa.

- Nie widzi pan? - odrzekła wskazując palcem *corpus delicti* leżący u stóp Kozety.

- No więc cóż takiego? - pytał dalej podróżny.

- Ta dziadówka ośmieliła się wziąć lalkę moich dzieci! - wyjaśniła Thénardierowa.

- I o to tyle hałasu? - powiedział podróżny. - A gdyby się nawet bawiła tą lalką?

- Ależ ona dotykała jej brudnymi rękami - ciągnęła Thénardierowa - swoimi wstrętnymi łapskami!

Tu Kozeta zaszlochała jeszcze głośniej.

- A będziesz ty mi cicho! - wrzasnęła Thénardierowa.

Podróżny skierował się ku drzwiom, otworzył je i wyszedł na ulicę.

Skoro tylko drzwi się za nim zamknęły, Thénardierowa skorzystała z jego nieobecności, by wymierzyć Kozecie pod stołem takiego kopniaka, że mała rozkrzyczała się rozpaczliwie.

Drzwi otworzyły się znowu. Podróżny wszedł do izby; w obu rękach trzymał ową bajeczną lalkę, o której już wspominaliśmy, a którą przez cały dzień podziwiali wszystkie dzieciaki z miasteczka. Postawił ją przed Kozetą i rzekł:

- Masz, to dla ciebie!

Należy przypuszczać, że gdy siedział długą godzinę pogrążony w zadumie, dostrzegł kram z zabawkami, oświetlony lampionami i świecami tak wspaniale, iż wyglądał poprzez okno oberży jak jedna wielka iluminacja.

Kozeta podniosła oczy; patrzyła na człowieka, który się do niej zbliżał z lalką, tak jakby patrzyła na zniżające się do niej słońce; usłyszała przedziwne słowa: "to dla ciebie", spojrzała na niego, spojrzała na lalkę, potem zaczęła się z wolna cofać i zaszyła się w najgłębszy kącik pod stołem, tuż przy ścianie.

Nie płakała już, nie krzyczała; zdawało się, że nie śmie oddychać.

Thénardierowa, Eponina i Anzelma stały jak skamieniałe. Nawet pijacy zamilkli. W całej karczmie zaległa uroczysta cisza. Thénardierowa, w niemym osłupieniu, snuła na nowo swe domysły. "Kimże jest ten stary? Czy to nędzarz? Czy milioner? A może i jedno, i drugie, to znaczy złodziej?"

Na twarzy małżonka Thénardierowej zarysował się ów wymowny grymas, który podkreśla wyraz twarzy ludzkiej, ilekroć przemożny instynkt objawia się z całą swoją zwierzęcą mocą. Oberżysta spoglądał to na lalkę, to na podróżnego, zdawał się węszyć tego człowieka, tak jakby węszył wór pieniędzy. Trwało to chwilę krótką jak błyskawica. Podeszedł do żony i rzucił jej szeptem:

- Ta historia kosztuje co najmniej trzydzieści franków! Żadnych głupstw! Plackiem przed tym człowiekiem!

Natury ordynarne i natury naiwne to mają wspólnego, że nie znają stanów pośrednich i z jednej ostateczności gwałtownie przerzucają się w drugą.

- No i cóż, Kozeto? - odezwała się Thénardierowa głosem, który miał być słodki, ale w którym przebijała fałszywa przymilność złej kobiety. - Dlaczego nie bierzesz swojej lalki?

Kozeta odważyła się wysunąć z kryjówki.

- Moja droga Kozeto - odezwał się czule Thénardier - ten pan dał ci lalkę. Weźże ją. Jest twoja!

Kozeta patrzyła na cudowną lalkę z pewnym przerażeniem. Twarzyczka jej mokra jeszcze była od łez, ale oczy zaczęły rozjaśniać się przedziwną radością jak niebo o wschodzie słońca. To, co odczuwała w tej chwili, można by porównać do tego, co by uczuła, gdyby jej ktoś nagle powiedział: "Dziewczynko, jesteś królową Francji".

Miała wrażenie, że jeśli dotknie lalki, to wyskoczy z niej piorun. Co było do pewnego stopnia prawdą, gdyż była pewna, że Thénardierowa będzie ją łącać i bić. Jednakże pokusa okazała się zbyt silna. Kozeta zbliżyła się i zwracając się do Thénardierowej szepnęła nieśmiało:

- Czy mogę, proszę pani?

Żadne słowa nie oddadzą brzmienia jej głosu, w którym była i rozpacz, i strach, i zachwyt.

- A pewno! - odrzekła Thénardierowa. - Jak ten pan ci ją dał, to jest twoja.

- Naprawdę? - zapytała na nowo Kozeta. - Naprawdę, proszę pana? Naprawdę ta "piękna pani" jest moja?

Nieznajomy miał oczy pełne łez. Wydawało się, iż jest tak wzruszony, że nie mówi, by nie wybuchnąć płaczem. Skinął tylko głową i włożył rękę "pięknej pani" w małą rączkę Kozety.

Kozeta usunęła żywo rękę, jakby sparzyło ją dotknięcie "pięknej pani", i wbiła oczy w ziemię. Musimy tu dodać, że wysunęła w tym momencie język na całą jego długość.

Nagle odwróciła się i pochwyciła lalkę z uniesieniem.

- Dam jej na imię Katarzyna - zawołała.

Dziwna to była chwila, gdy łachmany Kozety zbliżyły się i przytuliły do wstążek i strojnych różowych muślinów lalki.

- Proszę pani - odezwała się znów Kozeta - czy mogę ją posadzić na krześle?

- Ależ tak, moje dziecko! - odpowiedział Thénardier.

Teraz Eponina i Anzelma patrzyły zazdrośnie na Kozetę. Umieściwszy Katarzynę na krześle, mała usiadła przed nią na ziemi i siedziała tak nieruchomo, bez słowa, w pełnym uwielbienia zapatrzeniu.

- Baw się, Kozeto! - odezwał się nieznajomy.

- Och, ja się bawię! - rzekło dziecko.

Tego nieznanego, tego przybysza, którego chyba Opatrzność zesłała Kozecie, Thénardierowa nienawidziła w tej chwili jak nikogo. Jednakże musiała się opanować. I choć była przyzwyczajona do skrywania swych uczuć, usiłując naśladować w tym męża, doznawała teraz więcej wzruszeń, niż ich była w stanie znieść. Pospiesznie zapędziła do łóżka swoje córki, po czym zapytała "żółtego człowieka", czy "łaskawie zezwoli", by Kozeta również poszła spać, gdyż - jak dodała z macierzyńską troskliwością - jest dziś bardzo "strudzona". Kozeta poszła spać, unosząc w objęciach Katarzynę.

Thénardierowa podchodziła od czasu do czasu do męża, który siedział w drugim końcu izby, by - jak mówiła - "ułożyć sobie na sercu". Wymieniła z nim kilka słów z gwałtowną wściekłością, tym gwałtowniejszą, że musiała być tłumiona.

- Stary dureń, co on knuje? Przyjechał tu i spokoju nam nie daje! Zachciewa mu się, żeby się to brzydactwo bawiło! Lalki znosi! Lalki warte czterdzieści franków daje szczeniakowi, którego chętnie odstąpiłabym za czterdzieści su. Niewiele brakuje, a będzie do niej mówił "wasza wysokość", jak do księżnej de Berry. Czy to nie głupota? Całkiem chyba oszalał ten tajemniczy dziad.

- Dlaczego? - odparł Thénardier. - To przecież zupełnie proste. Widać go to cieszy. Ciebie cieszy, jak ona pracuje, a jego cieszy, jak ona się bawi. Wolno mu, no nie? Podróżny może robić, co mu się podoba, byle płacił. Jeśli ten stary jest filantropem, co ci to szkodzi? Jeśli jest głupcem, też nie twoja sprawa. Ma pieniądze - więc po co się do tego wtrącasz?

Była to mowa władcy, a rozumowanie oberżysty, tak jedno, jak i drugie nie dopuszczało dyskusji.

Podróżny oparł łokcie na stole i znów pogrążył się w zadumie. Inni podróżni, kupcy i woźnice, usunęli się nieco i zaniechali swych śpiewów, przyglądając mu się z daleka z pełną szacunku obawą. Ten człowiek, tak nędznie ubrany, któremu tak lekko wylatywały z kieszeni monety pięciofrankowe i który rozdawał olbrzymie lalki małym nędzarkom w sabotach, musiał być na pewno kimś wspaniałym i groźnym.

Upłynęło kilka godzin. Skończyła się Pasterka, dawno minęła Wigilia, pijący odeszli, zamknięto karczmę, opustoszała dolna izba, wygasł ogień na kominie, a nieznanomy wciąż siedział bez ruchu na swoim miejscu. Od czasu do czasu zmieniał tylko rękę, na której wspierał głowę. To wszystko. Ale od chwili, gdy Kozeta wyszła, nie wyrzekł ani słowa.

W izbie zostali tylko oboje Thénardierowie przez grzeczność i ciekawość.

- Czy on myśli całą noc tak przesiedzieć? - burczała Thénardierowa. Gdy wybiła druga, uznała się za pokonaną i oznajmiła mężowi: - Ja idę spać! Rób z nim, co chcesz.

Mąż zasiadł za stołem w rogu izby, zapalił świecę i zabrał się do czytania “Kuriera Francuskiego”.

W ten sposób minęła jedna godzina. Zaczny oberżysta odczytał już co najmniej trzy razy całą gazetę, począwszy od daty, a skończywszy na nazwisku wydawcy. Nieznajomy się nie ruszał.

Thénardier kręcił się, pokaszliwał, chrząkał, wycierał nos, szurał krzesłem. Człowiek ani drgnął. “Śpi czy co?” - zastanawiał się Thénardier. Człowiek nie spał, ale nic nie mogło go obudzić. Wreszcie Thénardier zdjął czapkę, zbliżył się cicho i zaryzykował pytanie:

- Czy nie zechce pan udać się na spoczynek?

“Czy nie pójdzie pan spać” - wydawało mu się zbyt poufale. “Udać się na spoczynek” - było pełne wytworności i poszanowania. Takie wyrażenia mają tajemniczą i cudowną właściwość powiększania rachunku nazajutrz. Pokój, w którym się “śpi”, kosztuje dwadzieścia su; pokój, w którym się “spoczywa” kosztuje dwadzieścia franków.

- Racja! - rzekł nieznajomy. - Gdzież jest pańska stajnia?

- Panie - odparł z uśmiechem Thénardier - pan pozwoli, że go zaprowadzę.

Wziął świecę, a podróżny swój kij i zawiniątko; Thénardier poprowadził go na pierwsze piętro, do pokoju urządzonego z niebywałym zbytkiem: meble mahoniowe z owalnym łóżkiem i czerwone perkalowe firanki.

- A to co takiego? - zapytał podróżny.

- To nasz małżeński pokój - odparł karczmarz. - Teraz sypiamy z małżonką gdzie indziej. Tutaj wchodzi się zaledwie trzy lub cztery razy do roku.

- Wolałbym stajnię - odparł z żywością podróżny.

Thénardier udał, że nie dosłyszał tej niezbyt uprzejmej uwagi.

Zapalił dwie nowiutkie woskowe świece, stojące na kominku, w którym trzaskał wcale suty ogień.

Na kominku tym stał pod szklanym kloszem niewieści stroik na głowę, ze srebrnych nici i kwiatów pomarańczy.

- Co to takiego? - zapytał znów podróżny.

- To ślubny wianek mojej małżonki, panie - odpowiedział Thénardier.

Podróżny rzucił na ów “wianek” spojrzenie, które zdawało się mówić: więc ten potwór także był kiedyś dziewicą!

Zresztą Thénardier kłamał. Gdy wydzierżawiał tę rudere, aby otworzyć karczmę, zastał pokój ten już tak urządzony i kupił meble, kupił również owo kwiecie pomarańczy,

uważając, że rzuci to wdzięczne światło na “jego małżonkę” i przyda jego domowi “szacowności”, jak mówią Anglicy.

Kiedy podróżny odwrócił się, gospodarza nie było już w pokoju. Wysunął się dyskretnie, nie śmiać życzyć dobrej nocy, bo nie chciał traktować z nadmierną poufałością człowieka, którego obiecywał sobie tego obskubać następnego ranka.

Karczmarz poszedł do swojego pokoju. Żona jego leżała w łóżku, ale jeszcze nie spała. Usłyszawszy kroki męża, odwróciła się i powiedziała:

- Żebyś wiedział, że jutro wyrzucam za drzwi Kozetę!

- Ale ci spieszno! - odparł chłodno Thénardier.

Nie rozmawiali już więcej i w parę chwil potem w ich pokoju świeca zgasła.

Tymczasem - po wyjściu gospodarza - podróżny złożył w kącie kij i zawiniątko, usiadł w fotelu i dumał przez jakiś czas. Potem zdjął buty, wziął do ręki jedną ze świec, zdmuchnął drugą, pchnął drzwi i wyszedł z pokoju, rozglądając się, jakby czegoś szukał. Przeszedł korytarz i dotarł do schodów. Tu usłyszał łagodny szmer, podobny do oddechu dziecka. Poszedł za nim i znalazł się wkrótce przed czymś w rodzaju trójkątnego wgłębienia, zbudowanego, a raczej utworzonego, przez schody. Tu, wśród połamanych koszów i starych skorup, wśród kurzu i pajęczyn, znajdowało się łóżko, jeśli można nazwać łóżkiem siennik tak podarty, że słomę widać przez dziury, i kołdrę tak podartą, że przeświecał przez nią siennik. Prześcieradła ani skrawka. Wszystko to leżało wprost na kamiennej podłodze. Na takim łóżku spała Kozeta.

Podróżny zbliżył się i przyglądał się jej przez chwilę.

Kozeta spała głębokim snem. Była ubrana, gdyż w zimie, aby mniej marznąć, nie zdejmowała na noc sukieneczyny.

W ramionkach tuliła lalkę, której wielkie, szeroko otwarte oczy błyszczały w ciemności. Od czasu do czasu dziewczynka wzdychała głęboko, jakby już miała się za chwilę obudzić, i konwulsyjnie ścisnęła lalkę. Przy łóżku stał tylko jeden drewniany chodak.

Obok barłogu Kozety rozwierały się drzwi na spory, ciemny pokój. Nieznajomy wszedł do niego. W głębi, poprzez oszklone drzwi, widać było dwa jednakowe bielutkie łóżka. Tam spały Eponina i Anzelma. Za nimi stała, zakryta do połowy, wiklinowa kołyska bez zasłonek; leżał w niej mały chłopczyk, ten sam, który płakał przez całą wieczór.

Nieznajomy domyślił się, że pokój ten sąsiadował z pokojem małżonków Thénardier. Zamierzał już się cofnąć, gdy wzrok jego padł na kominek, duży kominek, jaki zwykło się spotykać w oberżach, na którym pali się zawsze taki skąpy ogień - jeśli się w ogóle pali, i który jest taki dziwnie zimny dla oka. W tym kominku nie było ognia, ani nawet popiołu. To,

co w nim zobaczył, przyciągnęło wszakże uwagę podróżnego - były to dwa zgrabne trzewiczki dziecięce, różnej wielkości. Przypomniało mu to odwieczny i uroczy zwyczaj dzieci ustawiania w dniu Bożego Narodzenia trzewiczków w kominku, by w ciemnościach nocy dobra wróżka wsunęła do nich jakiś piękny podarunek. Eponina i Anzelma pamiętały o nim i każda z nich ustawiła swój trzewiczek w kominku.

Podróżny schylił się.

Wróżka - to znaczy matka - już je odwiedziła, w każdym trzewiczku błyszczał nowiutki pieniążek - dziesięć su.

Nieznajomy wyprostował się i zamierzał odejść, gdy nagle dostrzegł coś w najciemniejszym kącie kominka. Przyjrząwszy się poznał, że to drewniany chodak, szkaradny chodak ordynarnej roboty, nadłamany, pokryty popiołem i zaschniętym błotem. Był to chodak Kozety. Mała, ze wzruszającą dziecięcą ufnością, która choć zwodziona, nie zraża się nigdy, ustawiła go również w kominku.

Wzniosła i rzewna jest nadzieja dziecka, które nie zaznało w życiu niczego innego poza beznadzieją.

W chodaku nie było nic.

Nieznajomy włożył rękę do kieszeni, schylił się i wsunął w chodak Kozety lśniącego luidora.

Po czym skradając się po cichu, wrócił do swojego pokoju.

## IX

### Thénardier bierze się do dzieła

Nazajutrz rankiem, co najmniej na dwie godziny przed świtem, Thénardier siedział za stołem przy zapalanej świecy w dolnej izbie karczmy i z piórem w ręku układał rachunek dla podróżnego w żółtym surducie. Obok stała żona i pochylona nad nim śledziła wzrokiem jego pracę. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Było to, z jednej strony, głębokie rozmyślanie, z drugiej - ów wzniosły podziw, z jakim się ogląda powstawanie i rozkwit arcydzieła umysłu ludzkiego. Z głębi domu dobiegały jakieś hałasy: to Skowronek zamiatał schody. Po dobrym kwadransie pracy i kilku poprawkach Thénardier spłodził następujące arcydzieło:

#### *Rachunek dla pana spod numeru 1*

wieczera.....	fr. 3
pokój.....	fr. 10
świeca.....	fr. 5
ogień.....	fr. 4
usługa.....	fr. 1
razem	fr. 23

Usługa napisano “usługa”.

- Dwadzieścia trzy franki! - zawołała kobieta z zachwytem nie pozbawionym lekkiego powątpiewania.

Jak wszyscy wielcy artyści, Thénardier nie był zadowolony ze swojego dzieła.

- Phi! - rzucił tonem Castlereagha, układającego na kongresie wiedeńskim rachunek dla Francji.

- Masz rację, panie Thénardier! Należy się nam to od niego - mruknęła żona, mając na myśli lalkę ofiarowaną Kozecie w obecności jej córek. - To sprawiedliwe, ale za dużo. Nie zechce zapłacić.

Thénardier roześmiał się swym zimnym śmiechem i powiedział:

- Zapłaci.

Śmiech ten wyrażał niezachwianą pewność siebie i poczucie siły. Słowa, wypowiedziane takim tonem, musiały się niezawodnie ziścić. Kobieta nie upierała się. Zaczęła ustawiać stoły, on zaś chodził tam i z powrotem po izbie. Po chwili odezwał się:

- Mam tysiąc pięćset franków długów!

Usiadł przed kominkiem i grzejąc nogi w ciepłym popiele, zamyślił się głęboko.

- Słuchaj no - rzekła żona - nie zapomniałeś chyba, że dzisiaj wypędzam Kozetę na cztery wiatry? Wstrętna dziewczucha! Co pomyślę o tej lalce, to żółć mnie zalewa. Prędzej bym wyszła za mąż za Ludwika XVIII, niż trzymała tę dziewczynę jeszcze jeden dzień u siebie.

Thénardier zapalił fajkę i rzekł między jednym pyknięciem a drugim:

- Oddasz mu ten rachunek.

Po czym wyszedł. Zaledwie zdążył przekroczyć próg, do izby wszedł podróżny.

Thénardier cofnął się i stanął nieruchomo w uchylonych drzwiach, tak że widziała go jedynie żona.

“Żółty człowiek” miał w ręku swój kij i zawiniątko.

- Tak wcześnie pan wstał? - odezwała się Thénardierowa. - Czyżby pan miał już nas opuścić?

Mówiąc to, z zakłopotaniem obracała rachunek i miętoszyła go w palcach. Jej brutalna twarz wyrażała w tej chwili niezwykle dla niej uczucia - nieśmiałość i wahanie.

Niezręcznie jej było przedstawić taki rachunek człowiekowi, który wyglądał na nędzarza.

Podróżny, pochłonięty czym innym, odparł z roztargnieniem:

- Tak, pani. Odchodzę.

- To pan nie miał żadnych spraw do załatwienia w Montfermeil? - ciągnęła dalej.

- Nie. Przechodzę tedy, nic więcej. Ile jestem winien? - dodał.

Thénardierowa bez słowa wręczyła mu złożony rachunek; podróżny rozwinął go, spojrzał, ale wyraźnie myślami był gdzie indziej.

- Czy interesy w Montfermeil dobrze wam idą? - zapytał.

- Tak sobie, proszę pana - odparła Thénardierowa, zdumiona taką reakcją.

Po czym zaczęła utyskiwać płaczliwym, lamentującym głosem:

- Ach, panie, czasy są bardzo ciężkie! A przy tym mało jest zamożnych ludzi w naszej okolicy. Pan widzi, że to zapadły kąć. Nie wiem, co by było, gdyby nam się nie trafiali czasem podróżni tak hojni i bogaci jak wielmożny pan! Mamy tyle wydatków. Chociażby ta mała, kosztuje nas, Bóg wie ile.

- Jaka mała?

- No ta, Kozeta, pan wie, Skowronek, jak ją tu ludzie nazywają.

- A! - rzekł podróżny.

Thénardierowa ciągnęła:

- Głupi są ci wieśniacy ze swoimi przezwiskami! Ona jest bardziej podobna do nietoperza niż do skowronka. Tak, proszę pana, my nie chcemy od nikogo jałmużny, ale sami też nie możemy jej dawać. Dochodów żadnych, a wydatków wiele: i patent trzeba wykupić, i podatki, i opłata od okien i drzwi, i dodatki do podatków! Wiadomo, że państwu trzeba płacić masę pieniędzy. A ja mam przecie córki. Nie potrzebuję żywić cudzego dziecka.

Mężczyzna odezwał się lekko drżącym głosem, któremu usiłował nadać obojętne brzmienie:

- A gdyby wam zdjęto ten kłopot z głowy?

- Zdjęto ten kłopot? To znaczy zabrano Kozetę?

- Tak.

Czerwona, zła twarz Thénardierowej zajaśniała ohydną uciechą.

- Ach, panie! Mój złoty panie! A bierzże ją sobie! Weź ją, gdzie chcesz! Zawieź, gdzie chcesz! Pocukruj ją, polukruj, ozłoc, zabierz i niech cię błogosławi Najświętsza Panna i wszyscy święci niebiescy!

- To już postanowione.

- Naprawdę? Pan ją zabiera?

- Zabieram.

- Zaraz?

- Zaraz. Proszę zawołać dziecko.

- Kozeto! - wykrzyknęła Thénardierowa.

- A tymczasem - ciągnął dalej podróżny - chciałbym zapłacić rachunek. Ile to wynosi?

Rzucił okiem na rachunek i nie mógł powściągnąć odruchu zdumienia:

- Dwadzieścia trzy franki!

Spojrzawszy na karczmarę, powtórzył:

- Dwadzieścia trzy franki?

W tonie, jakim zostały wymówione te dwa zdania, zawierała się różnica, która dzieli wykrzyknik od znaku zapytania.

Thénardierowa miała czas przygotować się, aby odparować uderzenie. Odparła z pewnością siebie:

- Ano tak, panie, dwadzieścia trzy franki.

Nieznajomy położył na stole pięć monet pięciofrankowych.

- A teraz proszę iść po małą - rzekł.

W tym momencie Thénardier wystąpił na środek izby.

- Pan płaci dwadzieścia sześć su - rzekł.

- Dwadzieścia sześć su! - krzyknęła kobieta.

- Dwadzieścia su za pokój, a sześć za wieczerzę - wyjaśnił chłodno Thénardier. - Co zaś do małej, to muszę z panem trochę porozmawiać. Zostaw nas samych, żono.

Thénardierowa doznała olśnienia, jakie wywołuje nieprzewidziany błysk geniuszu. Zmiarkowała, że na scenę wkroczył wielki aktor, i wyszła bez słowa.

Jak tylko zostali sami, Thénardier podsunął podróżnemu krzesło. Podróżny usiadł; Thénardier stanął przed nim, a twarz jego przybrała szczególny wyraz dobroduszości i prostoty.

- Muszę panu coś powiedzieć - zaczął. - Ubóstwiam to dziecko!

Nieznajomy spojrzał na niego uważnie.

- Jakie dziecko?

Thénardier mówił dalej:

- Jakie to dziwne, człowiek się przywiązuje! Co mi te wszystkie pieniądze. Proszę zabrać z powrotem swoje pięciofrankówki. Ja to dziecko ubóstwiam.

- Kogóż to? - zapytał nieznajomy.

- Naszą małą Kozetę! Przecież to ją chce pan zabrać ze sobą. Otóż, mówiąc otwarcie, choć to jasne, że z pana jest człowiek uczciwy, ja na to nie mogę się zgodzić. Brakowałoby mi tego dziecka. Znam ją od maleńkości. Prawda, że kosztuje nas sporo grosza, prawda, że ma swoje przywary, prawda, że nie jesteśmy bogaci, prawda, że wydałem na lekarstwa podczas jednej jej choroby przeszło czterysta franków! Ale dla Pana Boga też coś trzeba zrobić. Nie ma to ani ojca, ani matki, ja ją wychowałem. Jest na chleb dla mnie, znajdzie się i dla niej. Naprawdę przywiązany jestem do tego dziecka! Pan rozumie, polubi się kogoś, i już; dobra ze mnie dusza; nie mędrkuję; kocham tę małą. Moja żona jest trochę prędką, ale i ona ją kocha. To prawie jak nasze rodzone. Niechże mi to szcziebioce w domu.

Podróżny nie spuszczał z Thénardiera uważnego spojrzenia; ten ciągnął:

- Przepraszam, panie, pięknie przepraszam, ale nie oddaje się tak lekko swojego dziecka nieznajomej osobie. Mam rację, no nie? Z tym wszystkim, nie przeczę - pan jest bogaty, pan wygląda na bardzo zanego człowieka, może by i to było szczęście dla niej, ale chciałbym coś wiedzieć. Pan mnie rozumie? Przypuśćmy, że zrobię to poświęcenie, że pozwolę jej pójść z panem; chciałbym wiedzieć, gdzie idzie, nierad byłbym tracić ją z oczu, chciałbym wiedzieć, u kogo przebywa, żeby odwiedzić ją od czasu do czasu, żeby ona

wiedziała, że poczciwy przybrany ojciec pamięta o niej i czuwa nad nią. Jednym słowem, jest to rzecz zupełnie niemożliwa. Nie znam nawet pańskiego nazwiska. Pan by ją wziął, a ja bym sobie mówił: “No dobrze, a nasz Skowronek? Gdzie się teraz obraca?” Chciałbym rzucić okiem na jaki dokumencik, paszporcik pański, ot, co!

Podróżny nie spuszczał zeń wzroku, który - żeby tak rzec - przenikał aż do sumienia, odpowiedział tonem poważnym i stanowczym:

- Panie Thénardier, nie bierze się paszportu wyjeżdżając pięć mil za Paryż. Jeśli wezmę ze sobą Kozetę, to wezmę ją - i na tym koniec. Pan nie dowie się, ani kim jestem, ani gdzie mieszkam, nie dowie się pan, gdzie mała będzie się obracać, i życzę sobie, by ona nigdy w życiu już nie widziała pana na oczy. Zrywam pęta, które ją więżą, i mała odchodzi. Godzi się pan? Tak czy nie?

Podobnie jak demony i geniusze po pewnych znakach poznawały obecność wyższego od nich boga, tak Thénardier zrozumiał, że ma sprawę z kimś bardzo silnym. W krótkim błysku intuicji pojął to od razu ze swoją bystrością jasną a przenikliwą. Już poprzedniego wieczoru, pijąc z woźnicami, paląc i wyśpiewując sprośne piosenki, przez cały czas obserwował uważnie nieznajomego, jak kot czyhając na każde jego poruszenie i analizując go jak matematyk. Śledził go dla własnej przyjemności, ulegając wrodzonemu instynktowi, i szpiegował tak, jakby mu za to płacono. Żaden gest, żadne drgnienie człowieka w żółtym surducie nie uszło jego uwagi. Zanim jeszcze nieznajomy objawił w sposób wyraźny swoje zainteresowanie Kozetą, Thénardier już je odgadł. Podchwycił głębokie spojrzenie tego starca wciąż wracające ku dziecku. Skąd to zainteresowanie? Kim był ten człowiek? Dlaczego ma ten nędzny strój, skoro ma kieszenie pełne pieniędzy? Stawiał sobie te pytania i nie znajdował na nie odpowiedzi. To go irytowało. Rozmyślał nad tym przez całą noc. Człowiek ten nie mógł być ojcem Kozety. Może był jej dziadkiem? Ale - jeśli tak - czemu tego od razu nie wyjawiał? Jeśli ktoś jest w swoim prawie, śmiało się na nie powołuje. Jasne zatem, że ten człowiek nie miał żadnych praw do Kozety. Kim więc jest? Thénardier gubił się w przypuszczeniach. Domyślał się wszystkiego, nie wiedział nic. Jakkolwiek było, zaczynając rozmowę z podróżnym, czuł przewagę, bo miał pewność, że kryje się w tym tajemnica i że nieznajomemu zależało na pozostawaniu w cieniu. Gdy jednak tamten odpowiedział mu jasno i stanowczo, gdy zobaczył, że tajemnicza osobistość jest tajemniczą w sposób tak prosty - poczuł się słaby. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Zbiło go to z tropu. Zebrał myśli i w jednej sekundzie zważył wszystko. Thénardier należał do ludzi, którzy jednym rzutem oka oceniają sytuację. Osądził, że w tej chwili należy szybko iść wprost do celu. Jak wielcy wodzowie w momencie decydującym - im tylko znanym - odsłonił nagle swoje karty.

- Panie - rzekł - potrzeba mi tysiąc pięćset franków.

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni stary pugilares z czarnej skóry, otworzył go i wyjął trzy banknoty. Położył je na stole, przycisnął wielkim palcem i powiedział do karczmarza:

- Proszę iść po Kozetę.

A co w tym czasie robiła Kozeta?

Zbudziwszy się, pobiegła po swój chodak. Znalazła w nim złotą monetę. Nie był to napoleon, ale jedna z tych nowych dwudziestofrankówek Restauracji, na których pruski harcap zastąpił wieniec laurowy.

Kozetę ogarnął zachwyty! Jej los zaczynał ją oszołamiać. Nie zdawała sobie sprawy, co to jest złota moneta, nigdy takiej monety nie widziała, ukryła ją szybko w kieszeni fartuszka, tak jakby ją była ukradła. Czuła wprawdzie, że to jej własność, i domyślała się, od kogo dar pochodzi, ale z radością łączył się lęk. Była uszczęśliwiona, ale nade wszystko zdumiona. Te piękne, wspaniałe rzeczy wydawały jej się nierzeczywiste. Przerażała ją lalka, przerażał złoty pieniążek. Wspaniałości te wywoływały w niej jakieś nieokreślone drzenie. Jedyne nieznajomy nie budził w niej lęku. Przeciwnie - napawał ją otuchą. Od wczorajszego dnia, wśród zadziwiających zdarzeń wieczornych, nawet we śnie, jej dziecinnej główki nie opuszczała myśl o tym człowieku, który wydawał się stary, biedny i tak smutny, a który był tak bogaty i tak dobry. Od spotkania w lesie wszystko jakby zmieniło się dla niej. Kozeta, mniej szczęśliwa niż najdrobniejsza niebieska ptaszyna, nie zaznała nigdy, co to przytulić się do matki i schronić pod jej skrzydło. Od pięciu lat, to znaczy odkąd mogła sięgnąć pamięcią, wciąż tylko drżała i dygotała z zimna. Biedne dziecko było zawsze nagie pod ostrymi podmuchami niedoli; teraz Kozeta miała wrażenie, że jest ciepło okryta. Dawniej dusza jej była jakby skostniała z zimna, teraz było jej ciepło. Nawet Thénardierowej nie bała się tak bardzo. Nie była sama; ktoś był przy niej.

Spiesznie zabrała się do codziennej pracy. Złoty pieniążek, schowany w tej samej kieszonce, z której wczoraj wypadło piętnaście su, ciągle zaprzętał jej myśl. Nie śmiała go dotykać, ale co jakiś czas po parę minut wpatrywała się w niego i - musimy to powiedzieć - znowu wysuwała język. Zamiatając schody zatrzymywała się i stawała zapominając o miotle, zapominając o świecie całym, wpatrzona w gwiazdę błyszczącą w kieszeni fartuszka. Na takiej właśnie chwili niemej kontemplacji zastała ją pani Thénardierowa.

Na polecenie męża poszła po Kozetę i - rzecz niebywała - nie dała jej kuksańca ani nie obsypała wyzwiskami, lecz rzekła prawie łagodnie:

- Kozeto, chodź no tu prędko!

Po chwili Kozeta weszła do izby.

Nieznajomy sięgnął po zawiniątko, które przyniósł ze sobą, rozwinął je. Była tam wełniana sukienka, fartuszek, barchano-kaftanik, halka, chustka, wełniane pończochy, trzewiki - kompletny strój dla ośmioletniej dziewczynki. Ubranie było czarne.

- Moje dziecko - rzekł - weź to i ubierz się prędyutko.

Świtało, gdy mieszkańcy Montfermeil, którzy zaczęli otwierać drzwi swoich domów, zobaczyli idącego ulicą Paryską ubogo ubranego człowieka, który prowadził za rączkę małą dziewczynkę w żałobie. Dziewczynka niosła wielką, różowo ubraną lalkę. Szli w kierunku Livry. Był to nasz podróżny i Kozeta.

Podróżnego nikt nie znał, Kozety nikt prawie nie poznał, bo nie była już w łachmanach.

Kozeta odchodziła. Z kim? Nie wiedziała. Dokąd? Nie wiedziała. Rozumiała jedynie, że zostawia za sobą karczmę Thénardierów. Nikomu nie przyszło do głowy, aby ją pożegnać, i ona nie pożegnała się z nikim. Opuszczała ten dom znieawidzona i z nienawiścią w sercu.

Biedna, łagodna istota, której serce było dotąd tylko przytłaczane cierpieniem.

Kroczyła z powagą, otwierając szeroko wielkie oczy i wpatrując się w niebo. Złoty pieniądz wsunęła do kieszeni nowego fartuszka. Od czasu do czasu pochylała główkę, by spojrzeć na niego, potem podnosiła wzrok na idącego obok niej człowieka. Czuła się tak, jakby była w pobliżu Boga.

## X

### Lepsze jest wrogiem dobrego

Zgodnie ze swym zwyczajem Thénardierowa nie wtrącała się do poczynañ swego męża. Spodziewała się ważnych wydarzeń. Kiedy podróżny odszedł z Kozetą, Thénardier pozwolił, by upłynął dobry kwadrans, po czym odwołał żonę na bok i pokazał jej tysiąc pięćset franków.

- Tylko tyle? - powiedziała Thénardierowa.

Po raz pierwszy od czasu ich wspólnego pożycia ośmieliła się skrytykować postępek władcy. Cios był dobrze wymierzony.

- Rzeczywiście masz rację - przyznał Thénardier. - Dureń ze mnie. Dawaj kapelusz.

Złożył trzy banknoty, wepchnął je do kieszeni i co tchu wybiegł z domu, ale z początku pomylił się i skręcił na prawo. Sąsiedzi których pytał, naprowadzili go na właściwy ślad; widzieli, że nieznajomy i Skowronek poszli w stronę Livry. Ruszył wielkimi krokami we wskazanym kierunku, gadając do siebie:

- Ani chybi, ten człowiek - to milion w żółtym surducie. A ja jestem głupie bydlę. Przecież najpierw dał dwadzieścia su, potem pięć franków, potem pięćdziesiąt, potem tysiąc pięćset, wszystko tą samą ciepłą rączką. Dałby i piętnaście tysięcy. Ale go dogonię.

I ta z góry przygotowana paczka z ubraniem dla małej, wszystko to jest bardzo dziwne. Wiele tajemnic tu się kryje. Nie wypuszcza się tajemnicy, kiedy się ją schwytało. Tajemnice bogaczy to gąbka nasiąknięta złotem; trzeba umieć ją wycisnąć. Wszystkie te myśli kłębiły mu się w głowie.

- Jestem głupie bydlę - powtarzał.

Gdy się opuści Montfermeil, to doszedłszy do zakrętu gościńca, wiodącego do Livry, widzi się przed sobą całą drogę biegnącą przez równinę. Doszedłszy do tego miejsca, Thénardier był pewien, że zobaczy podróżnego i dziewczynkę. Wytężał wzrok, jak mógł, i nie zobaczył nic. Zaczął znów pytać przechodniów. A czas uciekał. Dowiedział się, że mężczyzna i dziecko, których szukał, skierowali się ku lasom w stronie Gagny. Spiesznie ruszył w tym kierunku.

Wyprzedzili go dość znacznie, ale dziecko idzie powoli, on zaś szedł bardzo szybko. A poza tym dobrze znał te strony.

Nagle przystanął i uderzył się w czoło jak człowiek, który zapomniał o najważniejszej rzeczy i gotów jest zawrócić z drogi.

- Powinienem był wziąć strzelbę! - rzekł do siebie.

Thénardier należał do owych natur dwulicowych, które czasem ocierają się o nas w życiu i znikają nierozpoznane, gdyż traf chciał, że widzieliśmy tylko jedno ich oblicze. Taki jest los wielu ludzi, że połową swej istoty jak gdyby grzęzną w bagnie. W warunkach spokojnych i normalnych Thénardier miał wszelkie dane - nie powiemy, żeby być - ale żeby uchodzić za tego, kogo zwykło się nazywać uczciwym kupcem i zacnym mieszczuchem. Równocześnie, w pewnych okolicznościach, przy pewnych bodźcach, które wydobywały na jaw jego ukrytą naturę - mógł stać się skończonym łotrem. W tym sklepikarzu było coś z potwora. Szatan musiał czasami siadać w jakimś kącie chaty Thénardiera i podziwiać to arcydzieło ohydy.

- Nie - zdecydował karczmarz po chwili wahania. - Gotowi mi jeszcze umknąć przez ten czas!

I puścił się w dalszą drogę, niemal pewien, że dopnie swego, idąc szybko, z przebiegłością lisa, tropiącego stado kuropatw.

Istotnie, gdyby minął stawy, przeciął na ukos rozległą polanę, leżącą po prawej stronie gościńca do Bellevue, i doszedł do drogi porosłej murawą, która opasuje w krąg prawie całe wzgórze i biegnie po sklepieniu starego kanału opactwa Chelles, spostrzegł ponad krzakami kapelusz, na którym tyle budował nadziei. Był to kapelusz podróżnego. Krzaki były niskie. Thénardier zobaczył nieznanego i Kozetę siedzących na ziemi. Dziecko było tak małe, że krzewy je zasłaniały, ale widać było głowę lalki.

Thénardier nie pomylił się. Podróżny usiadł tam, by dać trochę odpocząć Kozecie, Karczmarz okrążył krzaki i ukazał się nagle oczom tych, których tak szukał.

- Przepraszam pięknie, panie - powiedział zadyszany mocno - oto pańskie tysiąc pięćset franków.

Mówiąc to wyciągnął do nieznanego rękę z trzema banknotami.

Podróżny podniósł na niego wzrok.

- Co to znaczy?

Thénardier odparł z szacunkiem:

- To znaczy, łaskawy panie, że odbieram Kozetę.

Kozeta zadrżała i przytuliła się do starca, on zaś zajrzał głęboko w oczy Thénardierowi i zapytał, osobno wymawiając każdą zgłoskę:

- Pan od-bie-ra Kozetę?

- Tak jest, odbieram ją. Zaraz panu wytłumaczę. Zastanowiłem się. Właściwie nie mam prawa panu jej oddawać. Widzi pan, jestem uczciwy. Ta mała nie należy do mnie; należy do swojej matki. Matka mi ją powierzyła i tylko matce mogę ją oddać. Pan mi na to odpowie, że jej matka nie żyje. Dobrze. W tym wypadku mogę oddać dziecko tylko osobie, która mi przyniesie pismo od matki, że jej właśnie mam dziecko oddać. To przecież jasne.

Bez słowa odpowiedzi nieznajomy sięgnął do kieszeni i Thénardier zobaczył znowu ów pugilares pełen banknotów.

Karczmarz zadrżał z uciechy. “Dobra nasza! - pomyślał. - Trzymajmy się, chce mnie przekupić!”

Podróżny, nim otworzył pugilares, rzucił okiem dokoła. Znajdowali się w miejscu zupełnie odludnym. Żywej duszy nie było w lesie ani w dolinie. Otworzył pugilares i wyjął z niego nie garść banknotów, jak spodziewał się Thénardier, ale zwykły świstek papieru, który rozwinął i podał karczmarzowi, mówiąc:

- Ma pan rację. Proszę przeczytać.

Thénardier wziął kartkę i przeczytał:

*Montreuil-sur-mer, 25 marca 1823 Panie Thénardier,*

*Proszę dać Kozetę oddawcy tego listu. Wszystkie drobne długi zostaną zapłacone.*

*Mam zaszczyt załączyć wyrazy szacunku*

*Fantyna*

- Czy pan poznaje ten podpis? - zapytał podróżny.

Był to niewątpliwie podpis Fantyny. Thénardier go rozpoznał.

Nie znał odpowiedzi. Spotkał go zawód podwójny i bardzo bolesny; podwójny - bo nie tylko musiał zrezygnować z nadziei, że go podróżny będzie usiłował przekupić, ale musiał też uznać swoją porażkę.

- Może pan zachować papier jako dowód - dodał jeszcze nieznajomy.

Thénardier zaczął się wycofywać, nadrabiając miną.

- Podpis podrobiony jest całkiem dobrze - burknął pod nosem - ale niech tam!

Po czym zaryzykował jeszcze jedną rozpaczliwą próbę:

- Skoro pan jest upoważniony, no to zgoda. Ale trzeba zapłacić te “drobne długi”. A należy mi się niemało.

Nieznajomy wstał i rzekł, strzepując palcami jakiś pyłek z wytartego rękawa:

- Panie Thénardier, w styczniu matka obliczyła, że winna jest panu sto dwadzieścia franków; w lutym przysłał jej pan rachunek na pięćset franków; w końcu lutego dostał pan trzysta franków, w początkach marca jeszcze trzysta. Od tego czasu minęło dziewięć miesięcy. Licząc zgodnie z umową po piętnaście franków za miesiąc, wyniesie to sto trzydzieści pięć franków. Ponieważ poprzednio dostał pan o sto franków za dużo, więc pozostało do zapłacenia tylko trzydzieści pięć. Przed chwilą dostał pan ode mnie tysiąc pięćset franków.

Thénardier doznał uczucia, jakiego doznaje wilk w chwili, gdy chwycą go stalowe szczęki potrzasku. "To diabeł, a nie człowiek" - pomyślał.

I jak wilk szarpnął się, by wydobyć się z matni. Już raz bezczelnością osiągnął swój cel.

- Panie Nie-wiem-jak-cię-zwą - powiedział zuchwale, odrzucając tym razem na bok wszelkie ceregiele - albo mi dasz dziesięć tysięcy, albo odbieram Kozetę.

Nieznajomy odrzekł spokojnie:

- Chodź, Kozeto!

Ujął w lewą rękę jej rączkę, prawą zaś podjął z ziemi swój kij.

Thénardier spostrzegł, że pałka była wielka, a miejsce bezludne.

Podróżny, prowadząc dziecko za rękę, zagłębił się w las, zostawiając nieruchomego i oniemiałego karczmarza. Gdy się tak oddalał, Thénardier patrzył na jego szerokie, nieco przygarbione barki i na potężne pięści.

Potem podniósł wzrok na swoje wątłe ramiona i chude ręce.

"Doprawdy, trzeba być skończonym durniem, by wybrać się na polowanie bez strzelby!" - rozmyślał.

Ale nie dawał za wygraną. "Muszę wiedzieć, dokąd on idzie" - rzekł w myśli.

I ruszył za nimi, trzymając się w pewnej odległości. Zostały mu w ręku dwie rzeczy: szyderstwo - świstek papieru z podpisem "Fantyna", i pociecha - tysiąc pięćset franków.

Nieznajomy prowadził Kozetę w kierunku Livry i Bondy. Szedł wolno, z głową zwieszoną, w postawie wyrażającej zadumę i smutek. Zima przerzedziła las, tak że Thénardier mógł iść za nimi w sporej odległości, nie tracąc ich z oczu. Od czasu do czasu nieznajomy odwracał się i patrzył, czy nie jest śledzony. Nagle dostrzegł Thénardiera i skręcił raptownie wraz z Kozetą w zagajnik, który zakrył ich oboje.

- Do diabła - zaklął Thénardier i przyspieszył kroku.

W zagajniku musiał się do nich zbliżyć. Znalazłszy się w samym gąszczu, nieznajomy odwrócił się. Thénardier usiłował ukryć się wśród gałęzi, ale nie udało mu się zostać

niespostrzeżonym. Nieznajomy rzucił mu niespokojne spojrzenie, potrząsnął głową i ruszył dalej. Oberżysta posuwał się za nim. Uszli tak dwieście lub trzysta kroków. Nagle nieznajomy odwrócił się raz jeszcze. Dostrzegł oberżystę. Tym razem popatrzył na niego tak ponuro, że Thénardier uznał, iż “zbyteczne” byłoby iść dalej. Zawrócił.

## XI

### Numer 9430 pojawia się znowu i Kozeta wygrywa go na loterii

Jan Valjean nie umarł.

Wpadając, a raczej rzucając się do morza, był, jak to widzieliśmy, bez oków. Dopłynął pod wodą aż do okrętu stojącego na kotwicy, do którego przywiązana była szalupa. Zdołał ukryć się w niej do wieczora. Gdy noc zapadła, znów rzucił się do morza i dotarł wpław do brzegu, niedaleko przylądka Brun. Tam, ponieważ pieniędzy mu nie brakło, zdobył sobie ubranie. Pewna spelunka w okolicy Balaguier dostarczała wówczas odzieży zbiegłym galernikom, co było nader zyskownym przedsięwzięciem. Po czym, jak wszyscy nieszczęśni zbiegowie, którzy chcą zmylić pogoń prawa i uciec od klątwy społecznej, Jan Valjean szedł krętymi i nieznanymi drogami. Pierwsze schronienie znalazł w Pradeaux, niedaleko Beausset. Następnie udał się w kierunku Grand-Villard, obok Briancon, w Wysokich Alpach. Ucieczka po omacku, ucieczka niespokojna, krecia droga, której rozgałęzienia są nie znane. Można było później odnaleźć niektóre jego ślady w Ain koło Civrieux, w Pirenejach, w Accons w miejscowości zwanej Grange-de-Doumecq, niedaleko wioski Chavailles, w okolicy Perigueux, w Brunies, w kantonie Chappelle-Gonaguet. Dotarł do Paryża. Ostatnio widzieliśmy go w Montfermeil.

Pierwszą czynnością Jana Valjean w Paryżu było zakupienie żałobnego stroju dla siedmio- czy ośmioletniej dziewczynki, następnie znalezienie mieszkania. Załatwiwszy te sprawy udał się do Montfermeil.

Jak czytelnik pamięta, już w czasie swej pierwszej ucieczki odbył tajemniczą wyprawę do Montfermeil albo w jego okolice, co nie ukryło się w zupełności przed władzami sądowymi. Ale teraz uważano go za zmarłego i to zagęszczało ciemności dokoła jego osoby. W Paryżu wpadła mu w ręce gazeta, w której była wzmianka o tym fakcie; poczuł się bezpieczniejszy i prawie spokojny, jakby naprawdę umarł.

Wieczorem tego dnia, w którym wyswobodził Kozetę ze szponów Thénardierów, Jan Valjean wracał do Paryża. Wracał z dzieckiem o zmroku przez rogatkę Monceaux. Tam wsiadł do powozu, którym dojechał pod Obserwatorium. Tu wysiadł, zapłacił woźnicy, wziął Kozetę za rękę i oboje wśród ciemnej nocy skierowali się przez puste ulice obok Lourcine i La Glaciere w stronę bulwaru Szpitalnego.

Dla Kozety był to dzień niezwykle i pełen wrażeń; siedząc za żywopłotami jedli ser i chleb, kupione w karczmach stojących na odludziu; często zmieniali karetki, szli pieszo spory szmat drogi. Mała nie skarżyła się, ale była zmęczona. Jan Valjean zdał sobie z tego sprawę, gdyż idąc, coraz mocniej musiał ją ciągnąć za rękę. Wziął ją na plecy; nie wypuszczając z objęć Katarzyny, Kozeta złożyła głowę na ramieniu Jana Valjean i usnęła.

**Księga czwarta**

**Rudera Gorbeau**

## I

### Imć Gorbeau

Samotny wędrowiec, który przed czterdziestu laty zapuszczał się w odległe okolice szpitala Salpêtrière i dochodził bulwarem aż do rogatki Italie, znajdował się nagle w miejscu, gdzie - rzec by można - znikał Paryż. Nie było to pustkowie, gdyż kręcili się tu przechodnie; nie było to pole, gdyż były tu domy i ulice; nie było to miasto, bo ulice pokryte były koleinami jak gościńce i porastały trawą; nie była to wioska, bo domy były zbyt wysokie. Cóż to zatem było? Miejsce zamieszkane, a bezludne; miejsce bezludne, a przecież przez kogoś zamieszkane; był to bulwar wielkiego miasta, ulica Paryża, niebezpieczniejsza w nocy niż las, we dnie bardziej posepna niż cmentarz.

Była to stara dzielnica Marche-aux-Chevaux. Jeśli ów wędrowiec odważył się minąć grożące zawaleniem mury Marche-aux-Chevaux, jeśli zaryzykował zapuścić się nawet poza ulicę Petit-Banquier, zostawiając po prawej stronie ogródek otoczony wysokim murem, dalej łąkę, na której wznosiły się sterty dębniaka, podobne do żeremi bobrów-olbrzymów, dalej ogrodzony plac pełen drzewa do ciesiołki, stosów trocin, pni i wiórów, na których ujadało wielkie psisko, dalej długi, niski, wałący się mur, z czarną ponurą bramką, porośły mchem, gdzie wiosną zakwitały kwiaty, i jeszcze dalej, stojący na zupełnym już pustkowiu, ohydny, odrapany dom, na którym widniał wielki napis: "Naklejanie ogłoszeń wzbronione!", to dochodził do rogu ulicy Vignes-Saint-Marcel - do granic mała znanej krainy. Tam, niedaleko fabryki, między murami dwóch ogrodów, stała w owych czasach pewna rudera. Na pierwszy rzut oka wydawała się mała jak chatka, choć w rzeczywistości była wielka jak kościół. Tylko jeden swój bok ukazywała od ulicy, to znaczy szczyt: stąd złudzenie co do jej wielkości. Prawie cały dom pozostawał ukryty. Widać było tylko jedno okno i drzwi.

Rudera była jednopiętrowa.

Jeden szczegół tego budynku uderzał uważne spojrzenie: drzwi mogły być tylko wejściem do spelunki, natomiast okno, gdyby było wybite w ciosanym, a nie tłuczonym kamieniu, mogłoby być oknem pałacu.

Drzwi po prostu zbito ze spróchniałych desek, niedbale połączonych żerdziami, podobnymi do źle ociosanych bierwion. Otwierały się bezpośrednio na strome schody, tej samej co one szerokości, o wysokich stopniach pokrytych błotem, wapnem i kurzem, które -

jak to widać było z ulicy - pięły się w górę prostopadle jak drabina i znikwały w ciemnościach między ścianami. Niekształtny otwór, w którym mieściły się drzwi, założony był od góry wąską deszczułą, z wyciętą na środku trójkątną dziurą, która, gdy drzwi były zamknięte, służyła za okienko i lufcik zarazem. Na wewnętrznej stronie drzwi dwoma pociągnięciami pędzla, umaczanego w atramencie, wypisano numer 52; na zewnątrz zaś, nad lufcikiem, ta sama ręka namazała numer 50, tak że nie wiedziałeś, gdzie się znajdujesz. Góra drzwi mówiła: "pod numerem 50", wewnętrzna ich strona opowiadała: "nie, pod 52". Jakieś szmaty, szare jak kurz, zwieszały się nad trójkątnym okienkiem niby draperie.

Okno, szerokie i umieszczone dość wysoko, zaopatrzone było w żaluzje i ramy z dużymi kwadratami szyb; tylko że szyby te miały rozliczne rany, które zakrywał i jednocześnie zdradzał pasek papieru, przemysłnie na nie naklejony; żaluzje zaś, rozlatujące się i poodrywane, stanowiły raczej niebezpieczeństwo dla przechodniów niż osłonę dla mieszkańców. Brakowało w nich tu i ówdzie poprzecznych deszczulek, a brak ten dobroduszenie zastąpiono pionowo przybitymi deskami, tak że żaluzja zamieniała się w okiennicę.

Te drzwi, tak plugawe, i to okno, tak szacowne, choć zniszczone, umieszczone w ścianie tego samego domu, sprawiały wrażenie niedobranej pary żebraków, chodzących zawsze razem, ramię przy ramieniu i mimo identycznych łachmanów na grzbiecie różniących się wyglądem, gdyż jeden z nich był zawsze nędzarzem, drugi zaś był niegdyś panem.

Schody wiodły do głównej części budynku, bardzo obszernej i przypominającej szope przerobioną na dom mieszkalny. Wewnętrzny kanał tego budynku stanowił długi korytarz; po prawej i lewej jego stronie były pomieszczenia różnej wielkości, nadające się ostatecznie do zamieszkania i podobne raczej do budek niż do izb. Okna ich wychodziły na nieuprawne pola. Wszystkie izby były ciemne, niemiłe, bezbarwne, smętne, grobowe; jeśli miały szpary w dachu - przenikało do nich zimne światło, jeśli zaś we drzwiach - hulały po nich lodowate przeciągi. Osobliwością ciekawą i malowniczą mieszkań tego rodzaju jest niezliczona ilość pajaków.

Po lewej stronie drzwi wejściowych, od strony bulwaru, na wysokości wzrostu człowieka, zamurowane okienko tworzyło kwadratową niszę pełną kamieni, wrzucanych przez dzieci.

Niedawno dom ten został częściowo rozebrany. To, co z niego zostało, wystarcza jeszcze, aby sobie wyobrazić, czym był niegdyś. Całość ma nie więcej niż sto lat. Sto lat to dla kościoła młodość; dla domu mieszkalnego - starość. Wydaje się, że mieszkanie człowieka dzieli z nim krótkotrwałość jego życia, mieszkanie Boga - jego wieczność.

Listonosze nazywali tę rudere "numer 50-52"; ale w całej dzielnicy znano ją jako dom Gorbeau. Powiedzmy, skąd pochodziła ta nazwa.

Zbieracze różnych historyjek, którzy z anegdot układają zielniki i przyszpilają do swej pamięci ulotne daty, wiedzą, iż w ubiegłym stuleciu, około 1770, było w Paryżu dwóch prokuratorów w Chatelet, jeden z nich zwał się Corbeau, czyli Kruk, drugi zaś - Renard, czyli Lis. Dwa nazwiska przewidziane przez La Fontaine'a. Dla palestry doskonała okazja do ostrzenia języków. Toteż niebawem zaczęła krążyć po kularach sądowych nieco kulawa parodia bajki La Fontaine'a:

*Imć pan Kruk, nad aktami schylony,  
Nakaz zajęcia trzymał w swoim dziobie;  
Imć pan Lis zapachem zwabiony  
Rzeki do niego w takim to sposobie:  
"A, witajże" ... itd.*

Dwaj zacni urzędnicy, zmęczeni kpinkami i urażeni w swej godności śmiechami, które wybuchały za każdym ich krokiem, postanowili uwolnić się od swych nazwisk i zwrócili się z tym do króla. Prośba ich została przedstawiona Ludwikowi XV w dniu, w którym nuncjusz papieski i kardynał de la Roche-Aymon, klęcząc nabożnie, wkładali w obecności jego królewskiej mości pantofle na bosc stopy pani du Barry, wstającej z łóżka. Król śmiał się; nie przestając się śmiać, przeszedł wesoło od dwóch biskupów do dwóch prokuratorów i uwolnił albo prawie uwolnił jurystów od ich nazwisk. Tak więc na mocy zezwolenia królewskiego imć pan Corbeau mógł dodać do pierwszej litery swego nazwiska dłuższy ogonek i zwać się Gorbeau; imć panu Renard mniej się poszczęściło, gdyż otrzymał pozwolenie dodania P przed R i zwać się Prenard; tak że drugie nazwisko było równie mało zmienione jak pierwsze.

Otóż, według tradycji miejscowej, do tego właśnie pana Gorbeau należał dom oznaczony numerem 50-52 przy bulwarze Szpitalnym. Pan Gorbeau był nawet twórcą owego wspaniałego okna. Stąd rudera nosiła nazwę domu Gorbeau.

Naprzeciw domu 50-52, między drzewami bulwaru, stoi olbrzymi wiąz, prawie zupełnie uschnięty; na wprost w kierunku rogatki Gobelins, biegnie ulica, wówczas nie zabudowana, nie brukowana, obsadzona krzywymi drzewami, zarosła trawą lub rozmiękła od błota - zależnie od pory roku - która dochodziła do murów opasujących Paryż. Z dachów pobliskiej fabryki wydobywały się zapachy siarki.

Do rogatki było stąd całkiem niedaleko. W roku 1823 mury Paryża jeszcze istniały.

Rogatka przywodzi na myśl ponure obrazy. Tędy szła droga do Bicetre. Przez tę to właśnie rogatkę za Cesarstwa i Restauracji wracali do Paryża skazańcy w dniu swego stracenia. Tutaj około roku 1829 popełniono tajemnicze morderstwo, zwane "zbrodnią przy rogatce Fontainebleau", sądy nie znalazły sprawców, ponura tajemnica została nie wyjaśniona, straszna zagadka nie rozwiązana. Parę kroków dalej znajdziecie się na owej tragicznej ulicy Croulebarbe, gdzie - przy huku piorunu, jak w melodramacie - Ulbach zasztyletował pastuszkę z Ivry. Jeszcze parę kroków, a dojdziecie do ohydnych więzów o ściętych wierzchołkach przy rogatce Św. Jakuba, tego wybiegu filantropów, ukrywających gilotynę, tego małodusznego, haniebnego placu Gréve, stworzonego przez społeczność sklepikarzy i mieszcuchów, która ulękła się kary śmierci, ale nie śmiała jej ani wielkodusznie skasować, ani władczo utrzymać.

Pomijając plac Św. Jakuba, jakby predestynowany na miejsce kaźni i zawsze straszny, najsmutniejszym zakątkiem na całym tym smutnym bulwarze było, trzydzieści siedem lat temu, miejsce po dziś dzień mało pociągające, gdzie znajdował się dom numer 50-52.

Domy miejskie zaczęły wyrastać tu dopiero dwadzieścia pięć lat później. Smutny to był zakątek. Do ponurych myśli, które ogarniały przechodnia, dołączała się świadomość, że znajduje się między Salpêtrière, której kopułę widać było stąd, a Bicêtre, do którego prowadziła tędy droga, czyli między szaleństwem kobiety a szaleństwem mężczyzny. Jak tylko sięgnąć wzrokiem, ciągnęły się tu rzeźnie, mury miejskie i - gdzieś tam - ściany fabryk, podobne do koszar lub klasztorów; wszędzie baraki i gruzy; stare mury, czarne jak żałobne katafalki, nowe mury, białe jak całuny; wszędzie równe rzędy drzew, wszędzie równe rzędy domów, płaskie budowle, linie długie, jednostajne, ponury smutek kątów prostych. Żadnej nierówności gruntu, żadnej niespodzianki w architekturze, żadnego załamania. Całość zimna, regularna, wstrętna. Nic nie napęłnia serca takim smutkiem jak symetria. Symetria bowiem to nuda; nuda zaś to dno smutku. Rozpacz ziewa. Można sobie wyobrazić rzecz jeszcze straszniejszą niż piekło mąk - piekło nudy. Gdyby piekło takie istniało, ten odcinek bulwaru Szpitalnego mógłby być ulicą w owym piekle.

O zmierzchu, gdy znika ostatnie światło dnia, zwłaszcza zimą, gdy wiew wieczorny strąca z więzów ostatnie rude liście, gdy zalega ciemność gęsta i bezgwiezdna lub gdy księżyc i wiatr rozdzierają obłoki, bulwar ten stawał się nagle straszny. Proste linie zagłębiały się i gubiły w ciemnościach, jakby same były częścią nieskończoności. Przechodzień nie mógł opędzić się myśli o szubienicznej tradycji tego miejsca. Pustka tej okolicy, gdzie popełniono tyle zbrodni, miała w sobie coś straszliwego. W ciemnościach przeczynałaś zasadzki, wszystkie nieokreślone kształty mroku wydawały się podejrzane, a długie prostokątne doły

między drzewami wyglądały jak groby. We dnie było to miejsce brzydkie; wieczorem - ponure; w nocy - złowieszcze. W lecie, o zmierzchu, pod więzami na ławeczkach zbutwiałych od deszczu siadywały stare kobiety. Starowiny te chętnie wyciągały rękę po jałmużnę.

Od owych czasów jednak dzielnica ta, raczej przestarzała niż stara, zaczęła się zmieniać. Kto chciał ją zobaczyć, musiał się spieszyć. Co dzień jakiś szczegół znikał z tej całości. Dzisiaj od dwudziestu lat dworzec kolei orleańskiej stoi obok starego przedmieścia i zmienia wciąż jego wygląd. Wszędzie, gdzie na skraju wielkiego miasta staje dworzec kolei żelaznej, przedmieście umiera, a rodzi się miasto. Wydaje się, że wokół tych wielkich centrów ruchu ludności, wśród huku potężnych maszyn i oddechu gigantycznych rumaków cywilizacji, które żywią się węglem i rzygają ogniem, pełna ziarna ziemia trzęsie się i otwiera, by pochłonąć dawne siedziby ludzkie, a wydać na świat nowe. Wałą się stare domy, wznoszą nowe.

Odkąd stacja kolei orleańskiej zagarnęła okolice Salpêtrière, chwieją się domy odwiecznych wąskich uliczek, przylegających do fos Św. Wiktora i do Ogrodu Botanicznego, wstrząsane parę razy dziennie przez sznur dylizansów, omnibusów i powozów, które po pewnym czasie osuwają domy na boki; brzmi to dziwnie, ale pozostaje w zgodzie z rzeczywistością: faktem jest, że ożywiony ruch pojazdów rozszerza ulice, podobnie jak faktem jest, że w wielkich miastach pod działaniem promieni słonecznych fasady domów rozrastają się od południa. Oznaki nowego życia stają się widoczne. W najdzikszych zakątkach tej starej dzielnicy prowincjonalnej ukazuje się bruk, zaczynają pełznąć i wydłużać się chodniki tam, gdzie nie ma jeszcze przechodniów. W pewien rano, pamiętny rano lipcowy 1845 roku, ujrano tam nagle czarne, dymiące kotły ze smołą; można powiedzieć, że tego dnia cywilizacja dotarła na ulicę Lourcine i Paryż wkroczył na przedmieście Saint-Marceau.

## II

### Gniazdo puszczyka i sikorki

Przed tą właśnie ruderą Gorbeau stanął Jan Valjean. Jak dzikie ptaki wybrał sobie miejsce najbardziej odludne, by uwić w nim gniazdo.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej klucz, otworzył drzwi, wszedł, zamknął je starannie za sobą i zaczął wstępować schodami na górę, niosąc Kozetę na rękę.

Znalazłszy się na górze, wyjął z kieszeni inny klucz, którym otworzył inne drzwi. Pokój, do którego wszedł zamykając szybko za sobą drzwi, był dość obszernym, nędznym pomieszczeniem; umeblowanie jego składało się ze stołu, kilku krzeseł i materaca leżącego na ziemi. W kącie stał piec, w którym było widać rozżarzone węgle. Latarnia uliczna oświetlała niepewnym światłem to ubogie wnętrze. W głębi mieściła się alkowa, a w niej łóżko polowe. Jan Valjean zaniósł tam dziewczynkę i nie budząc ułożył ją na łóżku.

Skrzesał ognia i zapalił świecę; wszystko to było zawczasu przygotowane na stole. I podobnie jak poprzedniego wieczora, zaczął się wpatrywać w Kozetę spojrzeniem tak pełnym zachwytu, dobroci i rozczulenia, że niemal błędnym. Ze spokojną ufnością, właściwą istotom bardzo silnym albo bardzo słabym, mała usnęła, nie wiedząc, z kim jest, i spała, nie wiedząc, gdzie jest.

Jan Valjean schylił się i pocałował rączkę dziecka.

Dziewięć miesięcy temu całował rękę matki, która również zasnęła... To samo uczucie bolesne, nabożne, dojmujące przepełniało mu serce. Ukląkł przy łóżku Kozety.

Rozwidniło się już na dobre, a dziecko ciągle spało. Błady promień grudniowego słońca wpadł przez okno izdebki, rozsnuwając na suficie długie smugi światła i cienia. Nagle ciężko naładowany wóz kamieniarski, przejeżdżając ulicą, jak uderzenie piorunu wstrząsnął domem, który zadrżał od góry do dołu.

- Zaraz, proszę pani! Idę, idę! - zawołała Kozeta zrywając się z łóżka. - Już idę!

Zeskoczyła na podłogę z ciężkimi od snu, na wpół przymkniętymi powiekami i wyciągnęła ręce w kąt pokoju.

- O Boże, gdzie moja miotła? - powiedziała. Otworzyła szeroko oczy i zobaczyła uśmiechniętą twarz Jana Valjean.

- Ach tak! Prawda! - rzekła. - Dzień dobry panu!

Dzieci przyjmują od razu i całkiem po prostu radość i szczęście, ponieważ same są z natury swej radością i szczęściem.

Kozeta zobaczyła w nogach łóżka Katarzynę, sięgnęła po nią, i bawiąc się zarzuciła Jana Valjean gradem pytań: Gdzie się teraz znajduje? Czy Paryż jest duży? Czy pani Thénardier jest daleko? Czy tu nie przyjdzie? Itd., itd. Nagle zawołała:

- Jak tu ślicznie!

Nora była szkaradna, ale Kozeta czuła się wolna.

- Czy mam pozamiatać? - zapytała się w końcu.

- Baw się - odrzekł Jan Valjean.

Tak upłynął dzień cały. Kozeta, nie usiłując nic zrozumieć, czuła się niewymownie szczęśliwa między swoją lalką a tym człowiekiem.

### III

#### **Dwie niedole razem tworzą szczęście**

Nazajutrz o świcie Jan Valjean był znów przy łóżku Kozety. Stał bez ruchu i patrzył, jak się budzi ze snu.

Jakieś nieznane uczucia napełniały mu duszę.

Jan Valjean nigdy nie kochał. Od dwudziestu pięciu lat był sam na świecie. Nigdy nie był ojcem, kochankiem, mężem, przyjacielem. Na galerach był zły, posepny, czysty, ciemny i dziki. Ten stary więzień miał dziewicze serce. Po siostrze i jej dzieciach pozostało mu tylko mgliste i dalekie wspomnienie, które w końcu rozwiało się prawie zupełnie. Dołożył wszelkich starań, by ich odszukać, lecz nie odnalazłszy - zapomniał o nich. Taka jest natura ludzka. Inne tkliwe wzruszenia młodości, jeśli ich doznał kiedykolwiek, zapadły w otchłań niepamięci.

Gdy ujrzał Kozetę, gdy ją wyzwolił i zabrał ze sobą, poczuł się do głębi poruszony. Wszystkie gorące uczucia, cała czułość zbudziły się w nim i zwróciły gwałtownie ku temu dziecku. Zbliżał się do łóżka, w którym spała Kozeta i drżał z radości; doznawał wzruszeń, jakich doznaje matka, i nie wiedział, co to jest; rzecz to bowiem tajemna i rozkoszna - potężne i dziwne poruszenie serca, które zaczyna kochać. Biedne, stare, niedoświadczone serce! A że miał lat pięćdziesiąt pięć, a Kozeta miała lat osiem, cała niezaznana miłość jego życia przetopiała się w jakąś niewysłowioną jasność.

Było to drugie świetlane zjawisko w jego życiu. Biskup zapalił w jego sercu jutrzenkę cnoty; Kozeta zapaliła w nim jutrzenkę miłości.

W tym olśnieniu upłynęły pierwsze dni.

Ze swojej strony Kozeta - biedna mała istotka - nie zdając sobie z tego sprawy, stawiała się inna. Była tak malutka, gdy matka ją opuściła, że nie pamiętała jej wcale. Jak wszystkie dzieci, podobne do młodego pędu winorośli, który wszystkiego się czepia, próbowała kochać. Daremnie. Odrzucali ją wszyscy: Thénardierowie, ich dzieci, inne dzieci. Pokochała psa, pies zdechł; a potem nikt już nie chciał jej miłości. Ciężko to powiedzieć, ale jak już wspominaliśmy, ośmioletnia Kozeta miała serce wystygłe. Nie było w tym jej winy: nie brakło jej zdolności kochania; niestety, jej brakło możliwości kochania. Toteż od

pierwszego dnia wszystko, co w niej czuło i myślało, zwróciło się z miłością do tego zacnego starca. Doznawała czegoś, czego nie przeżyła nigdy - rozkwitu uczucia.

Opiekun nie wydawał jej się wcale ani stary, ani biedny. Uważała, że Jan Valjean jest piękny, podobnie jak uważała, że ich izdebka jest śliczna.

Taka jest moc jutrzeńki, dzieciństwa, młodości, radości. Nie jest tu bez znaczenia nowość otaczającego świata i życia. Nie ma nic piękniejszego nad odbłask szczęścia, który w tęczowe barwy przystraja poddasze. Każdy z nas ma w swej przeszłości taką lazurową izdebkę.

Zarówno natura, jak i różnica pięćdziesięciu lat stwarzały głęboki przedział między Janem Valjean a Kozetą; lecz los wyrównał ten przedział. Los połączył i związał z mocą, przed którą ustępuje wszystko, te dwie bezdomne istoty, różne wiekiem, podobne swą sierocą dolą. Uzupełniały się wzajemnie. Instynkt Kozety szukał ojca, instynkt Jana Valjean szukał dziecka. Spotkać się - to było znaleźć się wzajemnie. W tajemnej chwili pierwszego zetknięcia ręce ich zrosły się ze sobą. Gdy ujrzały się ich dusze, każda rozpoznała w drugiej tęsknotę swojego życia i złączyły się nierozzerwalnym uściskiem. Używając tu słów w ich zakresie najszerszym i najogólniejszym, można by powiedzieć, że oddzieleni od świata ścianami grobu, Jan Valjean był Wdowcem, a Kozeta była Sierotą. To sprawiło, że w sposób nadprzyrodzony Jan Valjean stał się ojcem Kozety. Zaiste, tajemne wrażenie, jakiego doznała Kozeta, gdy dłoń Jana Valjean ujęła jej rękę w ciemnym lesie Chelles, nie było złudzeniem, lecz rzeczywistością. Wejście tego człowieka w życie tego dziecka było przybyciem Boga.

Jan Valjean dobrze wybrał sobie schronienie. Zdawać by się mogło, że jest tu zupełnie bezpieczny.

Okno pokoju z alkową, który zajmował wraz z Kozetą, wychodziło na bulwar. Było to jedyne okno w tym domu, można więc było nie lękać się spojrzeń sąsiadów ani z boku, ani z naprzeciwka.

Parter domu numer 50-52 był rodzajem walącej się szopy, która służyła za skład handlarzom warzyw i nie miała żadnego połączenia z pierwszym piętrzem. Szopę tę oddzielała od niego podłoga, w której nie było ani schodów, ani żadnego otworu i która stanowiła jakby diafragmę budynku. Na pierwszym piętrze, jak już wspominaliśmy, było kilka izb i kilka stryszków; tylko jeden z nich był zajęty przez starą kobietę, która prowadziła gospodarstwo Jana Valjean. Reszta była nie zamieszкана.

Ta właśnie starowina, nosząca szumny tytuł "główniej lokatorki", a w rzeczywistości pełniąca funkcje stróżki, wynajęła Janowi Valjean mieszkanie w dzień Bożego Narodzenia. Podał się za rentiera zrujnowanego na bonach hiszpańskich, który będzie mieszkał ze swą

wnuczką. Zapłacił z góry za sześć miesięcy i polecił starej umeblować pokój i alkierzyk tak, jak to widzieliśmy. To ona napaliła w piecu i przygotowała wszystko w ów wieczór, kiedy tu przybyli.

Mijały tygodnie. Dwie istoty pędziły w nędznej izdebce życie pełne szczęścia. Od świtu Kozeta śmiała się, szczebiotała, nuciła. Dzieci, podobnie jak ptaki, mają swój poranny śpiew.

Czasami Jan Valjean ujmował i całował jej małą, czerwoną i popękaną od odmrożeń rękę. Biedna mała przyzwyczajona do bicia, nie wiedziała, co to ma znaczyć, i odchodziła zawstydzona.

Czasami Kozeta poważniała i przyglądała się swej czarnej sukience. Nie nosiła już łachmanów, nosiła żałobę. Wydobywała się z nędzy i wchodziła w życie.

Jan Valjean uczył ją czytać. I nieraz, gdy dziecko głośno sylabizowało, myślał, że on uczył się czytać na galerach z tym zamiarem, by później czynić źle. Zamiar ten odmienił się i oto uczy czytać dziecko. Wówczas stary galernik uśmiechał się zadumanym uśmiechem aniołów.

Czuł, że było to wyższe zrządzenie, że była to wola kogoś, kto nie jest człowiekiem, i tonął w zadumie. Dobre myśli, podobnie jak i złe, mają swe niezgłębione przepaści.

Uczyć Kozetę czytać i pozwalać jej się bawić - w tym zamykało się prawie całe życie Jana Valjean. Opowiadał jej też o matce i uczył ją pacierza.

Ona mówiła mu "ojcze" i nie znała dłań innego imienia.

Godzinami patrzył, jak ubierała i rozbierała swoją lalkę, godzinami słuchał jej szczebiotu. Życie wydawało mu się teraz ciekawe, ludzie - dobrzy i sprawiedliwi, nie miał o nic żalu do nikogo i nie bał się dożyć późnej starości, skoro to dziecko go kocha. Widział przed sobą całą przyszłość rozświetloną przez Kozetę niczym przez jakiś uroczy blask. Najlepszy nawet człowiek nie jest wolny od samolubnych myśli. Czasami myślał z pewną radością, że Kozeta będzie brzydka.

Jest to nasze osobiste zdanie, ale - by powiedzieć myśl swoją do końca - przypuszczamy, że wówczas gdy Jan Valjean pokochał Kozetę, pokrzepienie to było mu konieczne, by wytrwać na dobrej drodze. Ujrzał był właśnie w nowym świetle niegodziwość ludzką i nędzę społeczną; światło to było niepełne i niestety ukazywało tylko jedną stronę prawdy: los kobiety uosobiony w Fantynie i władzę państwową ucieleśnioną w Javercie. Powrócił na galery - tym razem za spełnienie dobrego uczynku; zaznał nowej goryczy; ogarnęły go wstręt i zniechęcenie; i nawet wspomnienie biskupa bliskie było może chwilowego zaćmienia, choć później ukazywało się w jeszcze większym blasku i chwale; ale i to święte

wspomnienie bladło. Kto wie, czy Jan Valjean nie był w przededniu zwątpienia i upadku? Pokochał i odzyskał siły. Niestety, był równie bezbronny jak Kozeta! Otoczył ją opieką, ona dodała mu sił. Dzięki niemu Kozeta mogła iść przez życie; dzięki niej Jan Valjean mógł wytrwać w cnotcie. Był oparciem dla tego dziecka, a dziecko było jego podporą. O niezgłębioną, boską tajemnicę równowagi losów ludzkich!

## IV

### Spostrzeżenia głównej lokatorki

Jan Valjean przezornie nigdy nie wychodził za dnia z domu. Co wieczór o zmierzchu przechadzał się godzinę lub dwie, czasem sam, często z Kozetą, wyszukując najmniej ruchliwe, boczne ulice lub gdy mrok już zapadł, wstępując do kościołów. Najchętniej chodził do pobliskiego kościoła Św. Medarda. Jeśli nie brał ze sobą Kozety, zostawała w domu ze starą kobietą, ale dla dziecka spacer z opiekunem był wielką uciechą. Godzinę spędzoną z nim wolała nawet od najmilszej zabawy z Katarzyną. Spacerował trzymając ją za rękę i przemawiając do niej z dobrocią i łagodnością.

Okazało się, że Kozeta była bardzo wesoła.

Starucha sprzątała im, gotowała i chodziła po zakupy.

Żyli skromnie, nie odmawiając sobie rzeczy najniezbędniejszych, ale jak ludzie, którzy muszą liczyć się z każdym groszem. Jan Valjean w niczym nie zmienił umeblowania, które tu zastał pierwszego dnia; jedynie na miejsce oszklonych drzwi do alkierzyka Kozety kazał wstawić zwykłe, drewniane.

Nosił ciągle ten sam żółty surdut, czarne spodnie i stary kapelusz. Na ulicy brano go za biedaka i zdarzyło się nieraz, że jakaś litościwa niewiasta zatrzymywała się i dawała mu parę groszy. Jan Valjean przyjmował je i kłaniał się nisko. Zdarzało się czasami również, że spotkał jakiegoś żebraka, proszącego o wsparcie; wówczas rozglądał się dokoła, czy nikt go nie widzi, ukradkiem zbliżał się do biedaka, wsuwał mu do ręki pieniądze, nierzadko srebrny, i oddalał się spiesznie. Miało to swoje złe strony. Zaczął być znany w dzielnicy, jako “żebrak, który rozdaje jałmużnę”.

“Główna lokatorka”, osoba stara, zgorzkniała i w stosunku do bliźnich pełna ciekawości, właściwej ludziom zazdrosnym, bacznie śledziła Jana Valjean, nie budząc jego podejrzeń. Była przygłucha i co za tym idzie, bardzo gadatliwa. Z przeszłości zachowała dwa zęby: jeden u góry, drugi u dołu, i ustawicznie zgrzytała jednym o drugi. Wypytywała Kozetę, która nie wiedząc nic, mogła tylko to powiedzieć, że przybyła z Montfermeil. Pewnego ranka stara podpatrzyła, że Jan Valjean wchodzi do jednej z nie zamieszkaných izb domu z miną, która wydała się babie szczególna. Poszła za nim cicho jak stary kot i nie zauważona mogła go obserwować przez szparę drzwi, które były obok. Jan Valjean - z wielkiej przezorności

zapewne - stał tyłem do owych drzwi. Stara widziała, jak szukał czegoś w kieszeni, wyciągnął igielnik, nożyczki i nici, potem odpruł podszewkę w rogu surduta i wyciągnął przez otwór kawałek żółtawego papieru, który rozwinął. Stara z przerażeniem rozpoznała, że był to banknot tysiącfrankowy. Dwa lub trzy razy w życiu zdarzyło się jej widzieć na własne oczy taki banknot! Uciekła bardzo wystraszona.

Po chwili Jan Valjean zwrócił się do niej z prośbą, by poszła rozmienić mu tysiąc franków, dodając, że jest to półroczna rata jego renty, którą wczoraj odebrał. "Gdzie? - pomyślała stara. - Wczoraj wyszedł dopiero o szóstej wieczorem, a o tej godzinie kasa rządowa nie mogła być otwarta". Stara poszła rozmienić banknot, czyniąc rozmaite domysły. Ten banknot tysiącfrankowy, obszernie omawiany i zwielokrotniony, stał się tematem wielu podnieconych rozmów kumoszek z ulicy Vignes-Saint-Marcel.

Po kilku dniach Jan Valjean, zdjawszy surdut, piłował drzewo w korytarzu. Stara sprzątała pokój. Była sama. Kozeta przyglądała się z zachwytem piłowaniu; surdut wisiał na haku; stara go dostrzegła i zaczęła oglądać; podszewka była na nowo przyszyta. Starucha obmacała ją uważnie i wyczuła przy szwach i na rękawach jakieś papiery. Z pewnością inne banknoty tysiącfrankowe!

Zauważyła również, że w kieszeniach pełno było najrozmaitszych rzeczy; poza igłami, nożyczkami i nićmi, które już widziała, znalazła tam jeszcze gruby pugilares, wielki nóż i - rzecz bardzo podejrzana - klika peruk różnego koloru. Każda kieszeń była swego rodzaju składem przedmiotów na wszelki wypadek.

Tak mieszkańcy rudery doczekali się ostatnich dni zimy.

## Moneta pięciofrankowa spada z brzękiem na ziemię

Pod kościołem Św. Medarda, na ocembrowaniu starej zasypanej studni, siadywał zwykle żebrak, któremu Jan Valjean chętnie dawał jałmużnę. Nigdy nie przeszedł tędy, nie wsunąwszy biedakowi parę groszy. Nieraz nawet zagadał do niego. Zazdrośni o niego żebracy mówili, że “jest z policji”. Był to dawny kościelny, miał lat siedemdziesiąt pięć i bez przerwy mruzczał pacierze.

Pewnego wieczoru przechodząc tamtędy, tym razem bez Kozety, Jan Valjean zobaczył żebraka siedzącego na zwykłym miejscu pod latarnią, którą właśnie zapalono. Człowiek ten, skulony swoim zwyczajem, wydawał się pogrążony w modlitwie. Jan Valjean podszedł i dał mu jak zwykle jałmużnę. Żebrak podniósł nagle oczy, spojrzął badawczo na Jana Valjean, po czym szybko spuścił głowę. Trwało to mgnienie oka, lecz Jan Valjean się wzdrygnął. Wydało mu się, że w świetle latarni dojrzał nie spokojną i obłudną twarz kościelnego dziada, lecz inną, groźną i dobrze mu znaną. Poczul się jak ktoś, kto w ciemnościach spotyka się nagle, oko w oko, z tygrysem. Cofnął się skamieniały z przerażenia, nie śmiać ani odetchnąć, ani przemówić, ani zostać, ani uciec, wpatrzony w żebraka, który schylił głowę okrytą jakimś łachem i zdawał się nie wiedzieć, że Valjean stoi jeszcze obok niego. W tej osobliwej chwili, kierowany jakimś instynktem, może tajemniczym instynktem samozachowawczym, Jan Valjean nie wymówił ani słowa. Żebrak miał tę samą postać, te same łachmany, ten sam co zwykle wygląd. “Ech! - pomyślał Jan Valjean. - Oszalałem chyba! Coś mi się przywidziało! To niemożliwe!” I wrócił do domu głęboko poruszony.

Zaledwie samemu sobie odważył się przyznać, że ta twarz, którą ujrzał, wydała mu się twarzą Javerta.

Rozmyślając nad tym w nocy, żałował, że nie zapytał o coś żebraka, aby go zmusić do podniesienia głowy.

Nazajutrz, gdy zapadł wieczór, poszedł znów pod kościół. Żebrak siedział tam, gdzie zawsze.

- Dzień dobry! - rzekł śmiało Jan Valjean, dając mu jednego su.

Dziad podniósł głowę i odrzekł boleściwym głosem:

- Dziękuję, łaskawy panie.

Był to jednak stary kościelny.

Jan Valjean, uspokoiony zupełnie, roześmiał się. “I gdzie ja tu, u diabła, dojrzałem Javerta? Cóż to? Zaczynam teraz miewać przywidzenia?” I przestał o tym myśleć.

W kilka dni później, mogła być ósma wieczór, siedział w pokoju z Kozetą, która sylabizowała głośno, gdy nagle usłyszał, że drzwi wejściowe otwarły się, a potem zamknęły. Wydało mu się to dziwne. Starucha, jedyna osoba, która oprócz nich mieszkała w tym domu, kładła się spać o zmroku, by nie palić świecy. Jan Valjean dał znak Kozecie, by umilkła. Słyszał, że ktoś wchodzi po schodach. Ostatecznie, mogła to być i stara - może zaniemogła i chodziła do apteki? Jan Valjean nasłuchiwał. Po ciężkich krokach można było przypuszczać, że idzie mężczyzna, ale stara nosiła grube trzewiki, a chód starej kobiety łudząco jest podobny do chodu mężczyzny. Jednakże Jan Valjean zdmuchnął świecę.

Kazał Kozecie pójść do łóżka, szepnąwszy: “Kładź się cichutko”, a gdy całował ją w czoło, kroki zatrzymały się.

Jan Valjean trwał w milczeniu, bez ruchu na krześle, odwrócony tyłem do drzwi, wstrzymując oddech w ciemnościach. Po dłuższym czasie, nie słysząc żadnego szmeru, odwrócił się ostrożnie: spojrział na drzwi swego pokoju i zobaczył światło, sączące się przez dziurkę od klucza. Wśród ciemności to światło odbijało się od czarnych drzwi i ścian jak złowroga gwiazda. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tam stał ze świecą w ręku i podsłuchiwał.

Upłynęło parę minut, światło znikło. Nie słychać było jednak kroków, co dowodziło, że człowiek, który podsłuchiwał pod drzwiami, zdjął buty.

Jan Valjean rzucił się w ubraniu na łóżko i przez całą noc nie zmrużył oka.

Nad ranem zdrzemnął się ze zmęczenia; obudził go skrzyp drzwi, otwierających się z jakiejś izby w głębi korytarza, potem usłyszał kroki, te same męskie kroki, które wczoraj słyszał na schodach. Kroki zbliżały się. Zeskoczył z łóżka i przywarł okiem do dziurki od klucza; była dość duża, miał więc nadzieję, że zobaczy w przejściu tego, kto wczoraj wtargnął do domu i podsłuchiwał pod jego drzwiami. Koło pokoju Jana Valjean przeszedł istotnie mężczyzna, tym razem nie zatrzymując się wcale. Na korytarzu było zbyt ciemno, by mógł dostrzec jego twarz; ale gdy doszedł do schodów, promień światła z zewnątrz wyraźnie oświetlił jego sylwetkę i Jan Valjean mógł go zobaczyć z tyłu. Był to wysoki mężczyzna, ubrany w długi surdut; pod pachą miał wielką laskę. Była to straszliwa postać Javerta.

Jan Valjean mógłby zobaczyć go raz jeszcze przez okno wychodzące na bulwar. Ale musiałby w tym celu otworzyć okno, a na to się nie odważył.

Oczywiste było, że człowiek ten miał klucz i że wszedł tu jak do własnego domu. Kto mu dał klucz? Co to wszystko miało znaczyć?

Gdy o siódmej rano stara przyszła sprzątać izbę, Jan Valjean rzucił jej przenikliwe spojrzenie, lecz nie pytał o nic.

Kobieta miała tę samą minę co zwykle.

Zamiatając, zagadnęła go:

- Pan pewnie słyszał, że ktoś tu wchodził dziś w nocy?

W tym wieku i na tym bulwarze ósma wieczór to już głęboka noc.

- Tak, rzeczywiście - odparł najnaturalniejszym w świecie tonem. - Któż to był taki?

- Mamy nowego lokatora - odrzekła stara.

- Jak się nazywa?

- Nie pamiętam dobrze; pan Dumont, Daumont czy jakoś podobnie.

- A któż to taki ten pan Dumont?

Stara spojrzała na niego małymi, kunimi oczkami i powiedziała:

- Rentier jak pan.

Może to było powiedziane bez żadnej myśli, ale Jan Valjean dopatrywał się w tych słowach ukrytej intencji.

Gdy stara wyszła, ułożył w rulon sto franków, które miał w szafie i wsunął do kieszeni. I choć zachował się przy tym bardzo cicho, by nie słyhać było, że układa pieniądze, jedna moneta pięciofrankowa wysunęła mu się z rąk i z głośnym brzękiem potoczyła się po płytach posadzki.

O zmierzchu Jan Valjean zszedł na dół i uważnie rozejrzał się na wszystkie strony. Nie zobaczył nikogo. Bulwar wydawał się zupełnie pusty. Co prawda mógł się ktoś kryć za drzewami.

Wrócił na górę.

- Chodź - rzekł do Kozety.

Wziął ją za rękę i oboje wyszli.

## **Księga piąta**

# **Milcząca sfora na nocnych łowach**

## I

### Zygzaki strategii

A teraz, aby czytelnik mógł dobrze zrozumieć zarówno te stronice, jak i następne, należy dać pewne wyjaśnienie. Wiele już upłynęło lat, odkąd autor - zmuszony tu, acz niechętnie, mówić o sobie - opuścił Paryż. Od tego czasu Paryż zmienił się bardzo\*. Wyrosło nowe miasto, w pewnej mierze zupełnie mu nie znane. Autor nie potrzebuje chyba zapewniać, że kocha Paryż. Paryż jest rodzinnym miastem jego ducha. Teraz, gdy jedne domy zburzono, gdy wybudowano nowe, Paryż jego młodości, ten Paryż, który z taką czcią przechowuje w pamięci, stał się Paryżem przeszłości. Niech mu będzie wolno mówić o tym Paryżu tak, jakby jeszcze istniał. Nie jest wykluczone, że tam, gdzie autor poprowadzi czytelnika, mówiąc: "Na takiej a takiej ulicy jest taki a taki dom", dziś już nie ma ani tej ulicy, ani tego domu. Czytelnik sprawdzi, jeśli zechce zadać sobie ten trud. Autor bowiem, nie znając nowego Paryża, pisze tę książkę mając przed oczami dawny Paryż i złudzenie to jest mu bardzo drogie. Słodko mu jest marzyć, że zostało coś z tego, co widział, kiedy był w swoim kraju, że nie wszystko zniknęło. Dopóki człowiek chodzi po rodzinnej ziemi, wydaje mu się, że ulice są mu obojętne, że okna, dachy, bramy nic go nie obchodzą, że mury są mu obce, że drzewa to zwykłe, pierwsze lepsze drzewa, że domy do których nie wchodzi, nie są mu potrzebne, że bruk, po którym stapa, to tylko kamienie. Kiedy jednak opuści ojczyste strony, widzi jak drogie są mu tamte ulice, jak brakuje mu tamtych dachów, tamtych okien, tamtych bram, jak potrzebne mu są tamte mury i jak ukochał tamte drzewa; i widzi, że do tamtych domów, do których nie wchodził, wstępował codziennie i że swe trzewia, krew i serce zostawił na tamtym bruku. Miejsca, których nie widzi i może już nigdy nie zobaczy, a które żyją we wspomnieniu, nabierają bolesnego czaru, powracają wciąż przed oczy z melancholią zjawy, ukazują mu świętą ziemię ojczystą i są - rzec można - obrazem samej Francji. Kocha je i wspomina takimi, jakie są, jakie niegdyś były, i uparcie nie chce w nich nic zmieniać, oblicze ojczyzny bowiem jest drogie jak twarz matki.

Niech zatem wolno nam będzie mówić o przeszłości w czasie teraźniejszym. Prosimy czytelnika, by wziął pod uwagę to, co powiedzieliśmy - i wracamy do naszej opowieści.

---

\* Wiktor Hugo, wygnaniec, pisał "Nędzników" w r. 1861 na wyspie Guernesey, gdzie schronił się po zamachu stanu Ludwika Bonaparte (1851).

Jan Valjean od razu skręcił z bulwaru w boczne uliczki i krążył nimi, zmieniając raz po raz kierunek; niekiedy zawracał nagle, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie.

Ścigany jeleń chwyta się takich samych wybiegów. Taka taktyka ma tę także zaletę, że jeśli na ziemi pozostają widoczne ślady, to ów trop, idący w przeciwnym kierunku, myli myśliwców i ogary. W języku myśliwskim zowie się to "fałszywy powrót".

Była pełnia. Janowi Valjean było to na rękę. Ledwie wychylający się zza widnokregu księżyc kładł na ulicach smugi światła i cienia. Jan Valjean mógł przemykać się w cieniu wzdłuż domów i murów, a obserwować oświetloną stronę ulicy. Może nie dość zdawał sobie sprawę, że nie dostrzega, co dzieje się na ciemnej stronie ulicy. Miał jednak przekonanie, że nikt go nie śledzi na wszystkich bezludnych uliczkach, które przylegają do ulicy Poliveau.

Kozeta szła nie pytając o nic. Cierpienia pierwszych sześciu lat życia wyrobiły w jej naturze pewną bierność. Zresztą - i tu nasuwa się spostrzeżenie, do którego nieraz jeszcze będziemy mieli sposobność powrócić - przyzwyczajona była, nie zdając sobie z tego sprawy, do osobliwych zwyczajów zacnego starca i do dziwaczności losu. Ponadto czuła się najzupełniej bezpieczna, gdy była razem ze swym opiekunem.

Jan Valjean nie lepiej od Kozety wiedział, dokąd idzie. Pokładał ufność w Bogu, podobnie jak Kozeta pokładała ufność w nim. Zdawało mu się, że i jego również prowadzi za rękę ktoś większy od niego, że jakaś niewidzialna istota kieruje jego krokami. Szedł bez żadnej określonej myśli, bez żadnego planu, bez żadnych konkretnych zamiarów. Nie miał nawet całkowitej pewności, że był to istotnie Javert, a zresztą Javert mógł nie rozpoznać w nim Jana Valjean. Wszakże był przebrany. Wszakże myślano, że już nie żyje. A jednak od kilku dni działy się jakieś dziwne rzeczy. To mu wystarczyło. Postanowił nie wracać do rudery Gorbeau. Jak zwierzę wypłoszone z nory, szukał miejsca, gdzie by się schować, zanim znajdzie miejsce, gdzie by zamieszkać.

Kluczył i krążył po dzielnicy Mouffetard, śpiącej już o tej porze głębokim snem, jak gdyby obowiązywał tu jeszcze średniowieczny obyczaj i nakaz wieczornego wygaszania świateł. Z uczoną strategią w najróżniejsze sposoby łączył uliczki, skręcając z ulicy Censier w ulicę Copeau i z ulicy Battoir-Saint-Victor w ulicę Puits-d'Ermite. Wiele było w tej okolicy pokojów do wynajęcia, lecz Jan Valjean nawet tam nie wstępował, nie znajdując nic, co by mu się nadawało. Uważał zresztą, że jeśli istotnie natrafiono przypadkiem na jego ślad, to go już zgubiono.

Gdy przechodził ulicą Pontoise koło numeru 14, gdzie mieściło się biuro komisarza policji, na kościele św. Stefana biła jedenasta. Po chwili instynkt, o którym już wspominaliśmy, kazał mu się odwrócić. Wówczas światło latarni, stojącej przed siedzibą

komisarza, zdradziło mu obecność trzech mężczyzn, którzy szli za nim w niewielkiej odległości ciemną stroną ulicy; zobaczył wyraźnie, jak przechodzili kolejno pod latarnią. Jeden z nich skręcił w alejkę prowadzącą do siedziby komisarza. Ten, który szedł na przedzie, wydawał się Janowi Valjean bardzo podejrzany.

- Chodź, dziecko - rzekł do Kozety i spiesznie opuścił ulicę Pontoise.

Zatoczył szeroki krąg, przeszedł koło pasażu Patriarchów, zamkniętego o tej godzinie, przemierzył ulicę Drewnianego Pałaza i Łuczników i skręcił w ulicę Pocztową.

W owym czasie w miejscu, w którym dziś stoi kolegium Rolin i skąd wychodzi ulica Nowa Św. Genowefy, był niewielki placyk.

(Ulica Nowa Św. Genowefy jest oczywiście starą ulicą, a ulicą Pocztową dyliżans pocztowy nie przejeżdża nawet raz na dziesięć lat. Tę ulicę Pocztową w XIII w. zamieszkiwali garncarze i jej prawdziwa nazwa to ulica Garncarska.)

Jasny blask księżycy padał na ten placyk. Jan Valjean ukrył się w bramie; liczył na to, że jeśli owi ludzie nadal idą jego śladem, będzie mógł obejrzeć ich dokładnie, gdy będą przechodzili przez tę smugę światła.

Istotnie, nie upłynęły trzy minuty, gdy się ukazali. Było ich teraz czterech; słusznego wzrostu, ubrani w długie surduty i okrągłe kapelusze, trzymali w ręku grube laski. Groźne były nie tylko ich potężne postacie i wielkie pięści, lecz także to posępne posuwanie się w ciemności. Rzecz by można - cztery widma przebrane za mieszczan.

Doszli do placyku i przystanęli razem, jakby się nad czymś naradzając. Byli wyraźnie niezdecydowani. Ten, który zdawał się przewodzić, odwrócił się i prawą ręką wskazał stronę, w którą poszedł Jan Valjean, inny z niejakim uporem pokazywał przeciwny kierunek. Gdy ów pierwszy odwrócił się, księżyc oświetlił całą jego twarz: Jan Valjean rozpoznał Javerta.

## II

### **Szczęśliwie, na moście Austerlitzkim jest ruch kołowy**

Jan Valjean miał już pewność; na szczęście, śledzący go ludzie trwali jeszcze w niepewności. Skorzystał z ich wahania, oni tracili na czasie, on zaś zyskiwał. Wsunął się z wnęki bramy, w której się przyczaił, i ruszył w stronę Ogrodu Botanicznego, a że Kozetę poczynało ogarniać zmęczenie, wziął ją na ręce. Ulica była bezludna, księżyc świecił, nie zapalono więc latarni.

Przyspieszył kroku.

W kilku susach znalazł się przy sklepie garncarskim Gobleta, na którego fasadzie łatwo można było odczytać w świetle księżyca stary napis:

*Tutaj mieści się warsztat Gobleta-syna.*

*Gdzie z najprzedniejszej gliny nabędziesz wyroby:*

*Kafle, rury i misy, kubki i donice,*

*I dzbany malowane w misterne ozdoby.*

Zostawiwszy za sobą ulicę Clef i studnię św. Wiktora przeszedł wzdłuż Ogrodu Botanicznego małymi uliczkami i dotarł do bulwaru nad rzeką. Tutaj odwrócił się. Na bulwarze - pusto, na uliczkach - pusto: Nikogo za nim. Odetchnął.

Stanął na moście Austerlitzkim.

W owych czasach istniało jeszcze mostowe.

Poszedł więc do budki pobierającego opłaty i dał jeden su.

- Należy się dwa su - rzekł inwalida, który pobierał myto. - Pan niesie na ręku dziecko, które może samo chodzić. Musi pan zapłacić za dwie osoby.

Zapłacił niezadowolony, iż zwrócił na siebie uwagę. Każda ucieczka powinna być prześlizgiwaniem się.

W tym właśnie czasie przez most przejeżdżał duży wóz, który kierował się również na prawy brzeg Sekwany. To było bardzo na rękę Janowi Valjean. Mógł przejść przez most, ukryty w cieniu wozu.

Mniej więcej w połowie mostu Kozeta zapagnęła iść sama, bo zdętwiały jej nogi. Postawił ją na ziemi i wziął za rękę.

Przeszedł most, zobaczył przed sobą, nieco w prawo, składy drzewa; skierował się w tę stronę. Aby dojść do nich, musiał przebyć dość dużą przestrzeń, odsłoniętą i oświetloną. Nie zawahał się. Ci, co go ścigali, wyraźnie zgubili trop. Uważał więc, że jest bezpieczny. Był poszukiwany, ale nie był śledzony.

Między dwoma składami drzewa, otoczonymi murem, biegła uliczka Chemin-Vert-Saint-Antoine. Była wąska, ciemna, w sam raz jakby dla niego. Nim się w nią zagłębił, obejrzał się za siebie.

Z punktu, w którym się znajdował, widział most Austerlitzki w całej jego długości.

Na most wchodziły cztery cienie.

Cienie owe, zwrócone tyłem do Ogrodu Botanicznego, kierowały się na prawy brzeg Sekwany.

Te cztery cienie to byli owi czterej mężczyźni.

Jan Valjean zadrżał jak schwytane zwierzę.

Jedną miał jeszcze nadzieję: może tamci nie znajdowali się jeszcze na moście i nie widzieli go, gdy przechodził przez szeroki, oświetlony plac, trzymając Kozetę za rękę.

Gdyby tak było, to jeżeli zapuści się w uliczkę, którą ma przed sobą, jeśli zdoła dotrzeć między składy drzewa, ogrody, sady i nie zabudowane place, może im umknie. Wydawało mu się, że może zaufać tej cichej uliczce. Wszedł w nią.

### III

#### **W którym należy popatrzeć na plan Paryża z 1727 roku**

Uszedłszy trzysta kroków, stanął w miejscu, gdzie ulica rozwidlała się na dwie uliczki, z których jedna biegła w prawo, druga zaś w lewo. Jan Valjean miał przed sobą jakby dwa ramiona litery Y. Które z nich wybrać?

Bez wahania wybrał prawe.

Dlaczego?

Dlatego, że lewe ramię skręcało w kierunku przedmieścia, a więc w stronę miejsc zamieszkałych, prawe zaś w kierunku pól, a więc pustkowia.

Jan Valjean musiał dostosować swój krok do kroku Kozety, nie szli więc szybko.

Wziął ją znów na ręce. Kozeta wsparła głowę na ramieniu opiekuna i nie mówiła nic.

On zaś odwracał się raz po raz i patrzył za siebie. Starał się trzymać zawsze zacienionej strony ulicy. Ulica za nim biegła prosto. Odwracając się z początku parę razy, nie spostrzegł nic; panowała głęboka cisza; szedł dalej, nieco uspokojony. Gdy obejrzał się znów w pewnej chwili, wydało mu się nagle, że na tym odcinku ulicy, który już przeszedł, daleko w cieniu coś się porusza.

Zaczął raczej biec niż iść, spodziewając się, że natrafi na jakąś boczną uliczkę, skreśli w nią i raz jeszcze zmyli pogoń.

Dopał do jakiegoś muru.

Mur ten jednak nie zamykał drogi, lecz obrzeżał uliczkę poprzeczną do tej, którą przeszedł Jan Valjean.

I znów należało podjąć decyzję: skierować się na prawo czy na lewo.

Spojrzał w prawo. Miał przed sobą ślepą uliczkę, wzdłuż której stały jakieś budynki, szopy czy stodoły; w głębi wyraźnie było widać biały, wysoki mur, który zamykał ten zaułek.

Spojrzał w lewo. Z tej strony uliczka była otwarta i po dwustu krokach wpadała w inną ulicę, której była jakby dopływem. Z tej strony było ocalenie.

Już miał skreślić w lewo, by dostać się do owej ulicy, którą widział z daleka, gdy na skrzyżowaniu, ku któremu zmierzał, zobaczył postać ciemną, nieruchomą jak posąg.

Ktoś tam stał. Jakiś człowiek, niewątpliwie postawiony na straży, zagradzał przejście i czekał.

Jan Valjean cofnął się.

Punkt Paryża, w którym się znajdował, położony między przedmieściami św. Antoniego i la Râpée, jest jedną z owych dzielnic, którą niedawno roboty publiczne odmieniły całkowicie szpecąc, zdaniem jednych, zdaniem drugich, wprowadzając korzystne przeobrażenia. Znikły ogrody, szopy, stare domy. Dziś są tam szerokie nowe ulice, areny, cyrki, hipodromy, dworce kolei żelaznej i więzienie Mazas; postęp ze swoją korekturą.

Przed pół wiekiem w codziennej gwarze ludowej, przepojonej tradycją, w tej gwarze, która uparcie nazywa Instytut - Cztery Nacje, a Operę Komiczną - Feydeau, miejsce, w którym znajdował się Jan Valjean, nosiło miano Petit-Picpus. Brama-Św. Jakuba, brama Paryska, rogatka Sierżantów, Porcherons, Fregata, Celestyni, Kapucyni, Mail, Bagno, Krakowskie Drzewo\*, Małopolska\*, Petit-Picpus - oto nazwy dawnego Paryża, które przetrwały w nowym Paryżu. Pamięć ludu unosi się nad tymi szczątkami przeszłości.

Petit-Picpus, który zresztą nigdy nie stanowił prawdziwej dzielnicy, ale zaledwie jej zaczątek, miał klasztorny wygląd hiszpańskiego miasteczka. Jezdnie były tam licho wybrukowane, ulice prawie nie zabudowane. Z wyjątkiem dwóch czy trzech ulic, o których później będzie mowa, były tu tylko mury i pustka. Żadnych sklepów, żadnych pojazdów, zaledwie tu i ówdzie w oknach pełgający blask świecy; po godzinie dziesiątej wszystkie światła gasły. Sady, klasztory, składy drzewa, ogrody warzywne, nieliczne niskie domki i długie mury tej samej wysokości co domki.

Tak w ubiegłym stuleciu wyglądała owa dzielnica. Już rewolucja źle się z nią obeszła; republikańskie władze miejskie zburzyły ją częściowo, poprzecinały, pokrajały. Wyznaczono tu punkty do zwalania gruzu. Lat temu trzydzieści dzielnica ta zaczęła znikać, ustępując miejsca nowym budowlom. Dziś znikła zupełnie. Na żadnym teraźniejszym planie miasta nie ma śladu dzielnicy Petit-Picpus; figuruje ona na planie z roku 1727, wydanym w Paryżu u Dionizego Thierry, z ulicy św. Jakuba naprzeciw ulicy Plarte, i w Lyonie u Jana Girin, przy ulicy Merciere a la Prudence. Jak już mówiliśmy, ulice tworzyły tam literę Y, ulica Chemin-Vert-Saint-Antoine bowiem rozgałęziała się, przybierając na lewo nazwę małej uliczki Picpus, na prawo zaś - ulicy Polonceau. Oba te ramiona litery Y połączone były u góry jakby poprzeczką, którą stanowiła ulica Droit-Mur. Tu kończyła się ulica Polonceau, mała uliczka Picpus biegła dalej, w kierunku rynku Lenoir. Doszedłszy więc do końca ulicy

---

\* Krakowskie Drzewo w ogrodzie Palais Royal w Paryżu, pod którym zbierali się w XVIII w. dziennikarze omawiający wydarzenia rewolucyjne w Polsce. Ich wiadomości były z reguły nieprawdziwe, więc drzewo nazywano "Cracivie" od słowa *craque* - kaczką dziennikarska, mającego stanowić żartobliwy rdzeń słowa "Cracovie".

\* Nazwa terenów w Paryżu, na których znajduje się obecnie park Monceau.

Polonceau - idąc od Sekwany - po lewej ręce miało się ulicę Droit-Mur skracającą pod kątem prostym, przed sobą mur tej ulicy, a po prawej ręce niewielkie, ślepo zakończone przedłużenie ulicy Droit-Mur, tak zwany zaułek Genrot.

W tym to właśnie miejscu znajdował się Jan Valjean.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że cofnął się, ujrawszy na rogu ulicy Droit-Mur i Picpus ciemną sylwetkę, stojącą na czatach.

Nie miał wątpliwości - ta zjawka czekała na niego.

Co robić?

Nie czas już było zawracać. Owe cienie, które widział przed chwilą poruszające się daleko w mroku - był to bez wątpienia Javert wraz ze swym oddziałem. Javert doszedł już może do początku ulicy, na której końcu znajdował się Jan Valjean. Widocznie Javert znał te kręte zaułki i przedsięwziął środki ostrożności, posyłając jednego ze swych ludzi, by strzegł wyjścia. Te domysły, tak bliskie niestety prawdy - zaczęły kłębić się w zbolącej głowie Jana Valjean niby garść pyłu poderwana nagłym porywem wiatru. Spojrzał w zaułek Genrot - przeszkoda nie do przebycia; spojrział w uliczkę Picpus - człowiek na czatach. Widział tę pośepną postać, czarno rysującą się na bieli chodnika, skapanego w poświacie księżyca. Iść naprzód - to natknąć się na tego człowieka. Cofnąć się - to wpaść na Javerta. Jan Valjean poczuł, że wpadł w sieć, która wolno zaciskała się wokół niego. Z rozpaczą spojrział w niebo.

## IV

### Próby wydobywania się z matni

Aby zrozumieć dalszy ciąg naszej opowieści, należy wyobrazić sobie dokładnie, jak wyglądała uliczka Droit-Mur, a przede wszystkim ten jej róg, który miało się po lewej ręce, skręcając w nią z ulicy Polonceau. Po prawej stronie uliczki Droit-Mur, aż do uliczki Picpus, ciągnął się szereg ubogich z wyglądu domów; po lewej zaś stał gmach o surowych liniach, złożony z kilku budynków, które w miarę jak zbliżały się do uliczki Picpus, wznosiły się o piętro lub dwa; tak, że budowla owa, bardzo wysoka od strony uliczki Picpus, była dość niska od strony ulicy Polonceau. Tutaj na rogu, o którym mówiliśmy przed chwilą, kończyła się niewysokim murem. Mur ten nie dochodził właściwie do ulicy, lecz tworzył ścięty narożnik, cofnięty w głąb i ukryty dla oczu obserwatora zarówno od strony ulicy Polonceau, jak i od strony ulicy Droit-Mur.

Od tego ściętego narożnika mur ciągnął się w jedną stronę ulicą Polonceau, aż po dom oznaczony numerem 49, w drugą zaś ulicą Droit-Mur, gdzie był znacznie krótszy, dochodził bowiem tylko do owego ciemnego gmachu, o którym już wspominaliśmy, i przecinał jego szczyt, tworząc w ten sposób nowe załamanie linii ulicy. Szczyt domu wyglądał ponuro; było w nim tylko jedno okno, a raczej dwa skrzydła okiennic, obite blachą cynkową i zawsze zamknięte.

Opisujemy te miejsca z tak skrupulatną dokładnością, że bez wątpienia obudzą one wyraźne wspomnienia u dawnych mieszkańców tej dzielnicy.

Cały narożnik zajmowało coś, co przypominało olbrzymią, lichą skleconą bramę. Składała się ona z niezdarnie zbitych, pionowych desek, u góry szerszych, u dołu węższych połączonych ze sobą długimi, poprzecznymi, żelaznymi sztabami. Obok były wrota normalnych rozmiarów, przebite nie dawniej niż jakie pół wieku temu.

W głębi, za narożnikiem, lipa wznosiła swe konary; od strony ulicy Polonceau mur był porośnięty bluszczem.

W chwili grożącego Janowi Valjean straszliwego niebezpieczeństwa ten ciemny gmach wydawał mu się nie zamieszkały i opuszczony, i to go pociągało. Obrzucił go szybkim spojrzeniem. Jeśli zdoła się tam dostać - mówił sobie - może się uratuje. To była jego pierwsza myśl i nadzieja.

Pośrodku fasady, wychodzącej na ulicę Droit-Mur, wszystkie okna na różnych piętrach były zaopatrzone w stare, ołowiane rynienki. Różne rury, które biegły po fasadzie domu od głównej rynny do każdej z owych rynienek, tworzyły jakby zarys drzewa. Te rozgałęzienia rur, wyginających się w różnych kierunkach, przypominały bezlistne szczepy winne, rozpięte na murach starych wieśniaczych zagród.

Dziwaczny szpaler cynkowych i żelaznych gałęzi od razu ściągnął wzrok Jana Valjean. Posadził Kozetę obok kamienia przy bramie, zaleciwszy jej, by była cicho, i podbiegł do miejsca, w którym rynna stykała się z ziemią. Może uda mu się wdrapać tędy na mur i dostać do wnętrza domu? Ale rynna była zepsuta, niezdatna do użytku i ledwo trzymała się muru. Poza tym wszystkie okna tego cichego domu, nawet okienka na strychu, miały grube żelazne kraty. A ponadto księżyc zalewał swoim światłem całą ścianę i człowiek, który stał na czatach na końcu ulicy, zobaczyłby Jana Valjean wspinającego się po murze. I wreszcie - co zrobić z Kozetą? W jaki sposób wciągnąć ją na wysokość trzypiętrowego budynku?

Poniechał tedy myśli wdrapania się po rynnie i przeczołgał się wzdłuż muru z powrotem na ulicę Polonceau.

Znalazłszy się przy ściętym narożniku, gdzie zostawił Kozetę, stwierdził, że tutaj nikt nie może go zobaczyć. Jak już wyjaśniliśmy, narożnik ten był chroniony ze wszystkich stron przed ludzkimi oczyma. Ponadto zalegał tu głęboki cień. Wreszcie były dwie bramy. Może jedną z nich da się wyważyć? Mur, zza którego Jan Valjean widział lipę i bluszcz, otaczał zapewne ogród, gdzie mógłby się przynajmniej ukryć, choć nie było jeszcze liści na drzewach, i przepędzić noc.

Czas upływał. Trzeba było działać szybko.

Obmacał wrota i poznał od razu, że są zabite od wewnątrz i od zewnątrz.

Z większą nadzieją zbliżył się do wielkiej bramy. Była bardzo zniszczona, sama jej wielkość sprawiała, że musiała być mniej mocna, deski były przegniłe, żelazne wiązania - zaledwie trzy - zżarte rdzą. Sądził, że te zbutwiałe wrota ustąpią bez trudu.

Przyjrząwszy się uważnie, zobaczył, że brama ta wcale nie była bramą. Nie miała ani zawiasów, ani rygli, ani zamka, ani dwóch skrzydeł. Żelazne sztaby biegły przez całą jej szerokość. Przez szpary w deskach ujrzał niezdarny mur z gładów i kamieni, który przechodnie mogli oglądać jeszcze dziesięć lat temu. Z przerażeniem musiał sobie powiedzieć, że ta pozorna brama to po prostu osłona z desek, maskująca ścianę ukrytego za nią domu. Deskę mógłby oderwać bez trudu, ale wówczas natrafiał na mur.

## **Który byłby niemożliwością, gdyby istniało oświetlenie gazowe**

W tej chwili z niezbyt wielkiej odległości doszedł go głuchy, miarowy odgłos. Odważył się wyrzeć za róg ulicy. Oddział złożony z siedmiu lub ośmiu żołnierzy wchodził w ulicę Polonceau. Zobaczył połyskujące bagnety. Żołnierze szli w jego kierunku.

Na ich czele rozpoznał wysoką postać Javerta. Żołnierze posuwali się wolno, ostrożnie, zatrzymując się często. Widać badali każdy załomek muru, każdą bramę i wnękę.

Był to jakiś patrol, który, jak słusznie domyślał się Jan Valjean, Javert napotkał i zabrał ze sobą.

Dwaj towarzysze Javerta szli razem z patrolem. Zważywszy, że posuwali się wolno i przystawali często, za kwadrans doszliby do miejsca, w którym znajdował się Jan Valjean. Była to chwila straszliwa. Kilka minut dzieliło go od okrutnej przepaści, która rozwierała się przed nim po raz trzeci. Tym razem uwięzienie oznaczało nie tylko galery, lecz także utratę Kozety na zawsze, czyli życie w grobie.

Pozostała mu jedna możliwość. Można by powiedzieć, że do szczególnych właściwości Jana Valjean należało, iż niejako miał zawsze przy sobie dwie sakwy: w jednej nosił myśli świętego, w drugiej - niebezpieczne talenty galernika. Stosownie do okoliczności sięgał do jednej lub drugiej.

Wśród różnorodnych umiejętności nabytych dzięki częstym ucieczkom z galer tulońskich, po mistrzowsku opanował, jak pamiętamy, nieprawdopodobną sztukę wspinania się po murze załamany pod kątem prostym, choćby do wysokości szóstego piętra, bez drabiny czy klamer, za pomocą samych tylko mięśni, wspierając się karkiem, barkami, biodrami, kolanami, czasem tylko korzystając z rzadkich występów kamienia. Dzięki tej właśnie sztuce, tak straszny i sławny stał się ów kąt dziedzińca więziennego Conciergerie w Paryżu, którą przed dwudziestu laty uciekł skazaniec nazwiskiem Battemolle.

Jan Valjean zmierzył wzrokiem mur, ponad którym widać było lipę; mógł mieć około osiemnastu stóp wysokości. Wgłębienie utworzone w miejscu, gdzie mur łączył się ze szczytem domu, w dolnej części wypełnione było trójkątnym skośnym przymurkiem, który zapewne miał na celu chronić tę zbyt wygodną wnękę przed zatrzymywaniem się w niej

“pośmieciusek” zwanych przechodniami. Taka ochrona załamów muru jest często stosowana w Paryżu.

Przymurek sięgał mniej więcej wysokości pięciu stóp, tak że od jego wierzchołka na szczyt muru było zaledwie stóp czternaście.

Grzbiet muru nie był zębaty, lecz obłożony płaskimi kamieniami.

Następowała się jedna trudność: Kozeta. Kozeta nie umiała wspinać się po murze. Porzucić ją? Taka myśl nie powstała mu nawet w głowie. Wziąć ją ze sobą było niemożliwością. Jeśli ta dziwna wspinaczka ma się udać, człowiek musi zebrać wszystkie siły. Najmniejsze obciążenie zakłóca środek równowagi i grozi upadkiem.

Potrzebny był sznur. Jan Valjean nie miał sznura. Gdzie o północy znaleźć sznur na ulicy Polonceau? Gdyby Jan Valjean miał królestwo, z całą pewnością oddałby je w tej chwili za kawał sznura.

Każda krytyczna sytuacja miewa swoje błyskawice, które to nas oślepiają, to oświecają.

Zrozpaczone spojrzenie Jana Valjean padło nagle na latarnię stojącą w zaułku Genrot.

W owych czasach w Paryżu nie było jeszcze lamp gazowych. Z nastaniem mroku zapalano latarnie znajdujące się w pewnej odległości od siebie, spuszczano je i podnoszono za pomocą sznura biegnącego od jednej do drugiej i zwisającego w zagłębieniu, wyciętym w słupie latarni. Kołowrót, na który nakręcano ten sznur, był zamknięty pod latarnią w żelaznej szafce, klucz od niej miał człowiek zapalający latarnie; sam sznur zaś do pewnej wysokości chroniony był metalową rurką.

Z energią rozstrzygającego momentu walki Jan Valjean przesadził jednym skokiem ulicę, dopadł zaułka, końcem noża podważył rygiel od szafki, i po chwili był już przy Kozecie. Miał sznur. Ci posepni wynalazcy wybiegów w swych zmaganiach z losem nie mają czasu do stracenia.

Wyjaśniliśmy dlaczego owej nocy nie zapalono latarń. Latarnia w zaułku Genrot nie paliła się zatem, podobnie jak i inne, toteż przechodząc koło niej, można było wcale nie zauważyć, że lampa nie znajduje się na swoim miejscu.

Tymczasem późna pora, otoczenie, ciemności, widoczne zatroskanie Jana Valjean, jego niezrozumiałe ruchy, bieżanina tam i z powrotem, wszystko to zaczęło niepokoić Kozetę. Każde inne dziecko od dawna rozkrzyczałoby się. Ale Kozeta pociągnęła tylko opiekuna za poję surduta. Kroki nadchodzącego patrolu stawały się bliższe.

- Ojczy - szepnęła cichutko - boję się. Kto tu do nas idzie?

- Pst! To Thénardierowa - odrzekł nieszczęsny człowiek.

Kozeta zadrżała. Jan Valjean dodał:

- Nie mów nic, nie przeszkadzaj mi. Jeśli będziesz krzyczeć i płakać, Thénardierowa cię zabierze. Idzie tutaj po ciebie.

Po czym bez pośpiechu, ale i bez zbędnych gestów, z precyzją zdecydowaną i szybko, tym godniejszą podziwu, że lada chwila mógł nadejść patrol żołnierzy z Javertem, odwiązał chustkę z szyi, opasał nią Kozetę pod pachami, uważając, by nie uciskała dziecka, przywiązał chustkę do końca sznura węzłem, który w języku ludzi morza zwie się Jaskółczym”, drugi koniec sznura wziął w zęby, zdjął trzewiki i pończochy, przerzucił je przez mur, wszedł na przymurek i w rogu utworzonym przez mur i szczyt domu zaczął piąć się w górę tak pewnie, jakby pod stopami miał szczeble drabiny. Nie upłynęło pół minuty, jak klęczał już na murze.

Kozeta patrzyła nań w osłupieniu, bez słowa. Polecenie Jana Valjean i imię Thénardierowej krew jej ścięło w żyłach.

Nagle usłyszała głos Jana Valjean, który wołał do niej po cichu:

- Oprzyj się o mur. Usłuchała.

- Teraz nic nie mów i nie bój się - dodał jeszcze Jan Valjean.

I nagle poczuła, że coś unosi ją w górę.

Nim miała czas pojąć, co to znaczy, już była na murze. Jan Valjean pochwycił ją, posadził sobie na plecach, objął jej obie małe dłonie lewą ręką, położył się na brzuchu i zaczął się czołgać wzdłuż grzbietu muru, aż do ściętego narożnika. Jak trafnie przypuszczał, stał tam budynek, którego dach zaczynał się na wysokości bramy drewnianej i opuszczał się bardzo nisko dość łagodną pochyłością, przy samej lipie.

Pomyślna okoliczność, gdyż mur był tu nierównie wyższy niż od strony ulicy. Ziemię Jan Valjean dostrzegał gdzieś bardzo nisko.

Zbliżał się właśnie do pochyłej płaszczyzny dachu, nie zsunąwszy się jeszcze z grzbietu muru, gdy gwałtowna wrzawa obwieściła nadejście patrolu. Rozległ się grzmiący głos Javerta:

- Przetrzęsnać ten zaułek! Ulica Droit-Mur jest strzeżona, uliczka Picpus także. Ręczę, że jest w zaułku!

Żołnierze wpadli w zaułek Genrot.

Trzymając cały czas Kozetę Jan Valjean zsunął się po dachu aż do lipy i zeskoczył na ziemię. Czy to ze strachu, czy z odwagi - Kozeta nie pisnęła ani słowa. Na rękach miała trochę pozdzieraną skórę.

## VI

### Początek zagadki

Jan Valjean znalazł się w rozległym, dziwnym ogrodzie; w jednym z tych smutnych ogrodów, które są jakby przeznaczone do tego, by oglądać je w zimie i w nocy. Ogród ten był podłużny; w głębi aleja wyniosłych topoli, po rogach dość wysokie drzewa, pośrodku otwarta przestrzeń z jednym olbrzymim, samotnym drzewem; poza tym kilka drzew owocowych, krzywych i rosochatych jak wielkie krzaki, zagony warzyw, grzędy melonów przykryte lśniącymi w blasku księżyca szklanymi kloszami i stary, ocembrowany dół ściekowy. Tu i ówdzie kamienne ławki, niemal czarne od porastających je mchów. Wszystkie ścieżki, obsadzone niewielkimi, ciemnymi drzewkami, biegły prosto. Połowa ogrodu zarosła trawą, resztę pokrywała zielona pleśń.

Jan Valjean stał obok domu, po którego dachu zsunął się na ziemię; opodal leżała kupa chrustu, za chrustem, tuż przy murze, blado majaczyła w mroku kamienna figura z poszczerbioną, podobną do bezkształtnej maski twarzą.

Dom ten był częściowo rumowiskiem; widać w nim było zburzone pokoje; jeden zawałony rupieciami, służył widocznie za skład.

Wysoki budynek, który stał przy ulicy Droit-Mur i skręcał w uliczkę Picpus, wznosił nad ogrodem swe olbrzymie fasady, załamane pod kątem prostym. Od strony ogrodu wyglądały jeszcze posępniej niż od strony ulicy. Wszystkie okna były zakratowane. W żadnym z nich ani promyczka światła. Na wyższych piętrach okna zaopatrzone były w ochronne kosze jak w więzieniach. Cień jednego domu padał na drugi i kładł się na ogród, jak postaw czarnego sukna. Innych domów nie było widać. Reszta ogrodu ginęła we mgle i nocy. Jednakże rysowały się tam niewyraźne kontury stykających się ze sobą i ogradzających zapewne inne ogrody murów oraz niskich dachów zabudowań przy ulicy Polonceau.

Trudno wyobrazić sobie miejsce dziksze i bardziej pustynne niż ten ogród. Nie było w nim nikogo - rzecz całkiem naturalna o tak późnej godzinie - miało się jednak wrażenie, że po tym ogrodzie nie przechadza się nigdy nikt, nawet w samo południe.

Jan Valjean odszukał przede wszystkim buty i włożył je na nogi, po czym wszedł wraz z Kozetą do szopy. Uciekający ma wrażenie, że nigdy nie jest dość dobrze ukryty. Mała, mając wciąż w pamięci Thénardierową i idąc za głosem tego samego co i on instynktu,

chciała również zaszyć się w najciemniejszy kąt. Drżała i tuliła się do swego opiekuna. Słysząc było wrzawę patrolu, przetrząsającego zaułek i ulicę, uderzenia kolb o kamienie, nawoływanie Javerta na szpiclów postawionych na czatach, jego przekleństwa przeplatane słowami, których nie można było rozróżnić.

Po kwadransie te odgłosy burzy zaczęły się jak gdyby oddalać. Jan Valjean nie śmiał oddychać.

Lekko trzymał dłoń ma ustach Kozety.

A przecież pustkowie, w którym się znajdował, tchnęło tak przedziwnym spokojem, że ów przeraźliwy zgiełk, tak wściekły i tak bliski, nie mącił go ani trochę. Wydawać by się mogło, że mury zbudowane są tu z owych niemych kamieni, o których mówi Pismo Święte.

Nagle wśród tego głębokiego spokoju zabrzmiały dźwięki nowe, dźwięki niebiańskie, boskie, niewysłowione, dźwięki równie czarujące, jak tamte były okropne. Był to hymn rozlegający się w ciemności, ekstaza modlitwy i harmonii w mrocznej, przeraźliwej ciszy nocnej; śpiewały go głosy niewieście, ale głosy o dziewiczo czystym i zarazem dziecięco naiwnym brzmieniu, głosy nieziemskie, podobne tym, które nowo narodzone dzieci słyszą jeszcze, a które konający słyszą już. Śpiew wydobywał się z ciemnego budynku górującego nad ogrodem. Rzekłbyś, że w chwili gdy oddalała się szatańska wrzawa, chóry anielskie zbliżały się w mroku.

Kozeta i Jan Valjean padli na kolana.

Nie wiedzieli, co to znaczy, nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ale czuli oboje - mężczyzna i dziecko, skruszony grzesznik i niewinna istota - że powinni klęczeć.

Tym dziwniejszy był ów śpiew, że gmach, z którego płynął, wydawał się nadal pusty. Nadprzyrodzone głosy zdawały się śpiewać w nie zamieszkanym domu.

Póki trwał śpiew, Jan Valjean nie myślał o niczym.

Nie widział już ciemności, widział błękitne niebo. Zdawało mu się, że czuje, jak rozwijają się w nim skrzydła, które każdy z nas ma w duszy.

Śpiew ucichł. Trwał może długo. Jan Valjean nie umiałby na to odpowiedzieć. Godziny ekstazy są zawsze chwilą.

Zapadła głęboka cisza. Głucho było na ulicy, głucho w ogrodzie: zniknęło to, co groziło, i to, co koło. Tylko suche trawy na murze, poruszane wiatrem, szeleściły łagodnie i smutno.

## VII

### Zagadka trwa

Zerwał się zimny, nocny powiew, widocznie musiało być między pierwszą a drugą po północy. Biedna Kozeta nie mówiła nic. Usiadła na ziemi koło Jana Valjean i oparła głowę o niego. Myślał, że usnęła. Schylił się i popatrzył na nią. Dziewczynka miała oczy szeroko otwarte, a minę tak poważną, że ścisnęło mu się serce. Kozeta dygotała nieustannie.

- Czy chce ci się spać? - zapytał.

- Zimno mi bardzo - odrzekła. Po chwili dodała:

- Czy ona jest jeszcze tutaj?

- Kto taki? - zapytał Jan Valjean.

- Pani Thénardier.

Zapomniał zupełnie, jakiego chwycił się sposobu, aby Kozeta słowem się nie odezwała.

- Ach nie! Już jej nie ma, Nie bój się niczego.

Mała odetchnęła, jakby ciężar spadł jej z piersi.

Ziemia była wilgotna, w szopie wiało ze wszystkich stron, podmuchy wiatru stawały się coraz mroźniejsze. Jan Valjean zdjął surdut i otulił nim Kozetę.

- Ciepłej ci teraz? - zapytał.

- O tak, ojcze!

- To poczekaj tu na mnie. Za chwilę wrócę. Wyszedł z rumowiska i zaczął iść wzdłuż dużego budynku w poszukiwaniu lepszego schronienia. Napotkał niejedne drzwi, ale wszystkie były zamknięte, okna zaś na parterze zaopatrzone w grube kraty.

Gdy minął wewnętrzny kąt budynku, ujrzał nagle sklezione okna, w nich blade światło. Wspiął się na palce i przez jedno z nich zajrzał do środka. Były to, jak się okazało, okna obszernej sali o posadzce z szerokich kamiennych płyt, przedzielonej arkadami i filarami, w której pełgało nagle światło i snuły się wielkie cienie. Światło płynęło z wieczornej lampki palącej się w jednym kącie. Sala była pusta; nie poruszało się w niej nic. Gdy jednak Jan Valjean przyjrzał się lepiej, wydało mu się, że widzi na kamiennej posadzce jakby rozpostarty całun, przykrywający coś, co przypominało kształt ludzki. Postać ta leżała przywarta twarzą do kamieni, z rozkrzyżowanymi ramionami, w zastygłym bezruchu śmierci.

Jakiś zwój, na kształt węża skręcony na posadzce, nasuwał myśl, że owa posepna postać miała sznur na szyi.

Cała sala tonęła w mglistej pomroce, co powiększało jeszcze grozę.

Jan Valjean nieraz mawiał potem, że wśród wielu ponurych obrazów, jakie przesunęły się przez jego życie, nie widział nigdy nic równie mroźnego krew w żyłach, równie przeraźliwego jak ta ujrzana w nocy zagadkowa postać, spełniająca w mrocznej sali jakieś tajemnicze misterium. Straszna była myśl, że to trup, jeszcze straszniejsza, że to człowiek żywy.

Odważył się przywrzeć czołem do szyby, patrząc, czy ten kształt się poruszy. Stał tak czas jakiś, który wydał mu się bardzo długi, ale leżąca postać trwała w bezruchu. Nagle ogarnęło go niewypowiedziane przerażenie - uciekł. Zaczął biec w kierunku szopy, bojąc się obejrzeć za siebie. Miał wrażenie, że jeśli obróci głowę, zobaczy ową postać sunącą za nim wielkimi krokami i wymachującą ramionami.

Zadyszany dopadł do szopy. Kolana ugięły się pod nim, pot spływał mu wzdłuż grzbietu.

Gdzie się znajdował? Kto mógłby kiedykolwiek przypuścić, by w samym środku Paryża istniało miejsce tak podobne do grobowca? Co to był za przedziwny dom? Dom pełen nocnych tajemnic, przyzywający wśród mroku dusze głosem aniołów, a gdy się one zbliżą, ukazujący im nagle przerażające wizje; obiecujący promienne bramy niebios, a atwierający przeraźliwe bramy grobu! A był to przecież zwyczajny budynek, dom oznaczony numerem przy określonej ulicy. To nie był sen! Jan Valjean musiał dotknąć jego murów, by w to uwierzyć.

Zimno, niepokój, wzburzenie, wzruszenia całego wieczora przyprawiły go o prawdziwą gorączkę, a wszystkie te myśli rozsadzały mu głowę.

Zbliżył się do Kozety. Spała.

## VIII

### Zagadka staje się coraz ciemniejsza

Dziewczynka usnęła położywszy głowę na kamieniu. Usiadł obok i zaczął się w nią wpatrywać. Gdy tak na nią patrzył, odzyskiwał powoli spokój i jasność myśli. Wyraźnie uświadomił sobie prawdę, która od tej pory miała się stać treścią jego życia: dopóki ona z nim będzie, dopóki będzie ją miał przy sobie, jeśli czego zapragnie - to tylko dla niej, jeśli się czegoś będzie bał - to tylko ze względu na nią. Nie czuł nawet, jak bardzo był przemarznięty nie mając surduta, którym przykrył Kozetę.

Jednakże mimo zamyślenia, w jakim się pogrążył, od pewnego czasu słyszał jakiś osobliwy dźwięk, niby brzęczenie dzwonka, którym ktoś potrząsał. Dźwięk ten rozlegał się w ogrodzie; słysząc go było wyraźnie, choć słabo. Przypominał delikatne brzęczenie dzwonekówdła na pastwisku w nocy.

Na ten dźwięk Jan Valjean odwrócił się.

Rozejrzał się i spostrzegł, że ktoś jest w ogrodzie.

Istota, wyglądająca na mężczyznę, chodziła wśród grzęd melonów, schylając się, prostując, przystając; czyniła przy tym rytmiczne ruchy, jakby coś ciągnęła czy też rozkładała na ziemi. Istota owa jak gdyby kulała.

Jan Valjean zadrzał tym nieustającym drzeniem ludzi nieszczęśliwych. Wszystko jest im wrogiem i podejrzanym. Boją się dnia, bo za dnia łatwo ich zobaczyć, boją się nocy, bo w nocy łatwo ich zaskoczyć. Przed chwilą drżał dlatego, że ogród był pusty, teraz drżał dlatego, że ktoś w nim był.

Lęk urojony ustąpił miejsca przerażeniu rzeczywistemu. Myślał, że pewnie Javert wraz z policjantami nie odszedł jeszcze, że w każdym razie zostawił tu ludzi na czatach, że ten człowiek, jeśli go zobaczy w ogrodzie, narobi alarmu i wyda go na pewno policji. Ostrożnie wziął na ręce śpiącą Kozetę i zaniósł ją za stos starych, połamanych mebli, w najdalszy kąt szopy. Mała się nie poruszyła.

Z kryjówki obserwował ruchy człowieka kręcącego się wśród grządek melonów. Dziwne było to, że dźwięk dzwonka towarzyszył każdemu jego poruszeniu. Gdy zbliżał się, dźwięk zbliżał się również; gdy się oddalał, dźwięk również się oddalał; gdy robił żywszy ruch, towarzyszyło mu głośniejsze dzwonienie, gdy przystawał, dzwonek cichł. Wyglądało na

to, że miał dzwonek przywiązany na sobie; ale co to miało znaczyć? Kim był ten człowiek, na którym wieszano dzwonek jak na byku lub baranie?

Stawiając sobie te pytania, Jan Valjean dotknął ręk Kozety. Były zimne jak lód.

- Ach, mój Boże! - szepnął. Zawołał po cichu:

- Kozeto!

Nie otworzyła oczu. Potrząsnął nią gwałtownie. Nie ocknęła się.

- Czyżby umarła? - rzekł i zerwał się na równe nogi, drżąc od stóp do głów.

Najstraszniejsze myśli zaczęły mu się bezładnie tłoczyć do głowy. Są chwile, w których okropne przypuszczenia oblegają nas jak tłum furii i siłą wdzierają się nam do mózgu. Gdy chodzi o tych, których kochamy, przezorność nasza zdolna jest wymyślić tysiące szaleństw. Przypomniał sobie, że sen na dworze w mroźną noc może być śmiertelny.

Kozeta, blada, osunęła się bezwładnie u jego stóp na ziemię. Zaczął nasłuchiwać; oddychała, ale wydawało mu się, że oddech jej jest słaby i lada chwila może zagasnąć.

Jak ją rozgrzać? Jak obudzić? Te dwie myśli owładnęły nim, usuwając w cień wszystkie inne. Jak oszalały wybiegł z szopy.

Nim kwadrans upłynie, Kozeta musi bezwzględnie znaleźć się w łóżku przy ogniu.

## IX

### Człowiek z dzwonkiem

Poszedł wprost do człowieka, którego widział w ogrodzie. W rękę ścisnął rulon pieniędzy, wyjęty z kieszeni kamizelki.

Tamten, pochylony nad grządką, nie widział go, Jan Valjean zrobił kilka kroków i znalazł się przy nieznanym. Stanął przed nim, i krzyknął:

- Sto franków!

Człowiek drgnął i podniósł głowę.

- Zarobicie sto franków - ciągnął Jan Valjean - jeśli mi dacie na tę noc schronienie!

Blask księżyca padł na jego wzburzoną twarz.

- Patrzcież! To wy, ojciec Madeleine?! - odezwał się człowiek.

Na dźwięk tego imienia, wypowiedzianego takim tonem o tej godzinie w tym nieznanym miejscu przez nieznanego człowieka, Jan Valjean cofnął się.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego. Ten, który tak do niego przemówił, był przygarbionym, kulawym starcem, ubranym z chłopska; na lewej nodze miał skórzany pasek, na którym wisiał spory dzwonek. Twarz była w cieniu, więc rysów nie można było rozpoznać.

Tymczasem pocziwy starowina zdjął czapkę i drżąc cały, zaczął wykrzykiwać:

- O mój Boże! Jakże dostaliście się tutaj, ojciec Madeleine?

Którędy weszliście, u Boga Ojca? Spadliście chyba z nieba! Jedno jest pewne, że gdybyście mieli skądś spaść, to jużci, że stamtąd! Ale jakże to wyglądacie? Bez chustki na szyi, bez kapelusza, bez surduta? Moglibyście napędzić strachu komuś, kto by was nie znał! Bez surduta! Wielki Boże! Czy to święci teraz poszaleli?! Ale jak dostaliście się tutaj?

Jedno słowo goniło drugie. Staruszek gadał z ową chłopską rozlewnością, w której nie było nic niepokojącego. W słowach jego zdumienie łączyło się z naiwną dobroduszością.

- Kto wy jesteście? Co to za dom? - zapytał Jan Valjean.

- O, dalibóg! Tego już za wiele! - zawołał stary. - Ja jestem tym, któremu znaleźliście tu pracę, a to dom, w którym znaleźliście mi tę pracę. Jakże to, nie poznajecie mnie?

- Nie - odparł Valjean. - Ale skąd wy mnie znacie?

- Uratowaliście mi życie - odparł człowiek. Tu odwrócił się, promień księżyca oświetlił jego profil i Jan Valjean poznał starego Fauchelevant.

- Ach, to wy! - zawołał. - Tak, poznaję was!

- Chwała Bogu! - rzekł stary z wymówką w głosie.

- Co tu robicie? - pytał dalej Jan Valjean.

- No, przecie przykrywam moje melony!

Istotnie, w chwili gdy Jan Valjean go zagadnął, stary Fauchelevant trzymał w ręku koniec słomianej maty, którą okrywał klosze osłaniające melony. Przez godzinę, którą pracował w ogrodzie, rozciągnął już kilka mat. Przy tych właśnie czynnościach wykonywał owe dziwne ruchy, które Jan Valjean zauważył z szopy.

Stary ciągnął:

- Mówię sobie: księżyc świeci jasno, będzie przymrozek. Może by tak moje melony ustroić w kapoty? - Tu, spojrzawszy na Jana Valjean, dodał z rubasznym śmiechem: - I wy, dalibóg, powinniście zrobić to samo! Ale jak dostaliście się tutaj?

Jan Valjean, widząc, że człowiek ten go zna, a w każdym razie zna go jako ojca Madeleine, stał się bardzo ostrożny. Wypytywał starego szczegółowo. I rzecz dziwna, role zdawały się odwracać: to on, intruz, stawiał pytania.

- Co znaczy ten dzwonek, który macie przywiązany do nogi?

- To? - odrzekł Fauchelevant. - To, żeby mnie unikano.

- Jak to? Żeby was unikano?

Stary Fauchelevant przymrużył oko z miną, której się nie da opisać.

- Ano, tak! Tutaj są tylko niewiasty. Dużo młodych panienek. I podobno spotkanie ze mną byłoby dla nich bardzo niebezpieczne. Więc dzwonek je ostrzega. Kiedy się zbliżam, odchodzą.

- A co to za dom?

- No jakże! Wiecie dobrze sami.

- Nie, nie wiem.

- Przecież umieściliście mnie tutaj za ogrodnika!

- Odpowiedzcie tak, jakbym o niczym nie wiedział.

- No, to przecie klasztor Petit-Picpus!

Odżyły wspomnienia Jana Valjean. A więc przypadek - to znaczy Opatrzność, rzucił go właśnie do tego samego klasztoru w dzielnicy Świętego Antoniego, do którego dwa lata temu stary Fauchelevant, kaleka po wypadku z wozem, został przyjęty do pracy z jego rekomendacji. Powtórzył, jakby mówiąc do siebie:

- Klasztor Petit-Picpus!

- A tak, ale jak wyście się, u diaska, tu dostali, ojciec Madeleine? Choć jesteście świętym człowiekiem, nie przestaliście być mężczyzną, a tu mężczyźni nie wchodzą.

- Wy tu jednak jesteście.

- Tylko ja.

- Jednakże - rzekł Jan Valjean - ja muszę tu pozostać.

- O mój Boże! - zawołał Fauchelevant.

Jan Valjean zbliżył się do starca i rzekł z powagą w głosie:

- Ojciec Fauchelevant, uratowałem wam życie.

- Pierwszy o tym przypomniałem - odparł Fauchelevant.

- Dziś wy możecie zrobić dla mnie to, co ja niegdyś zrobiłem dla was.

Fauchelevant ujął w swoje starcze, drżące, pomarszczone dłonie silne ręce Jana Valjean i przez parę chwil nie mógł wymówić słowa. Wreszcie zawołał:

- O, to byłaby wielka łaska boska, gdybym mógł wywdziękzyć się wam choć trochę! Ja? Uratować wam życie? O panie merze, niech pan rozporządza starym człowiekiem!

Radość jakby przeobraziła staruszkę. Blask bił z jego twarzy.

- Co mi pan rozkaże? - pytał dalej.

- Zaraz wam wytłumaczę. Czy macie jakąś izdebkę?

- Mam tu osobną chałupkę, tam, za ruinami dawnego klasztoru, w takim kącie, że wcale jej nie widać. Są w niej trzy pokoiki.

Istotnie, chatka była tak schowana za ruinami i tak ukryta przed ludzkimi oczyma, że Jan Valjean wcale jej nie zauważył.

- Doskonale - odrzekł. - A teraz mam do was dwie prośby.

- Jakie, panie merze?

- Po pierwsze, nie mówcie nikomu, co o mnie wiecie; po drugie, nie usiłujcie dowiedzieć się nic więcej.

- Stanie się według pańskiej woli. Wiem przecie, że pan nigdy nic złego nie zrobi i zawsze był pan pobożnym człowiekiem. A zresztą, to pan mnie tu umieścił. To pańska sprawa. Jestem na pana rozkazy.

- Zgoda. Teraz chodźcie ze mną. Pójdziemy po dziecko.

- O! - rzekł Fauchelevant. - Jest i dziecko!

Nie dodał już ani słowa i poszedł za Janem Valjean jak pies za swym panem.

Nie minęło pół godziny, a Kozeta, zarumieniona w ciepłe bijącym od sutego ognia, spała w łóżku starego ogrodnika. Jan Valjean miał już na sobie surdut i chustkę, kapelus

przerzucony przez mur został również odnaleziony; gdy Jan Valjean nakładał surdut, Fauchelevent zdjął z nogi ramię z dzwonkiem, który teraz zdobił ścianę wisząc na gwoździu obok kosza. Obaj mężczyźni grzali się, siedząc przy stole, na którym Fauchelevent postawił ser, kawał razowca, butelkę wina i dwie szklanki. Kładąc Janowi Valjean rękę na kolanie, starzec mówił:

- Ach, ojciec Madeleine! Nie poznaliście mnie od razu! Ratujecie ludziom życie, a potem o nich zapominacie! O, to źle! Bo oni dobrze was pamiętają! Niewdzięcznik z was!

## X

### **W którym znajdujemy wytłumaczenie, dlaczego Javert spuścił**

Wypadki, których - żeby tak rzec - lewą stronę oglądaliśmy przed chwilą, rozwijały się w sposób bardzo prosty. Po ucieczce Jana Valjean z więzienia miejskiego w Montreuil-sur-mer, tej samej nocy, kiedy Javert aresztował go przy łożu śmierci Fantyny, policja przypuszczała, że zbieg podążył do Paryża; Paryż bowiem to wir, w którym wszystko ginie; w tym centrum świata wszystko znika jak w centrum oceanu. Żadna puszcza nie skryje człowieka lepiej niż to ludzkie mrowisko. Wiedzą o tym zbiegowie różnego rodzaju. Ciągną do Paryża jak do czeluści; są bowiem czeluście, które stają się ocaleniem. Policja wie o tym również i w Paryżu szuka tych, których zgubiła gdzie indziej. Szukała tam też byłego mera Montreuil-sur-mer. Javert został wezwany do stolicy, aby kierować poszukiwaniami. Istotnie przyczynił się bardzo do ujęcia Jana Valjean. Jego inteligencja i gorliwość, które wykazał przy tej sposobności, zwróciły nań uwagę pana Chabouillet, sekretarza prefektury przy hrabi Angles. Pan Chabouillet, który już zresztą dawniej protegował Javerta, umieścił inspektora z Montreuil-sur-mer w policji paryskiej. Tu Javert oddał wiele różnych i - że użyjemy tu określenia, które wydaje się dość nieoczekiwane dla spraw tego rodzaju - rzetelnych usług.

Nie myślał już wcale o Janie Valjean - te psy gończe dla dzisiejszego wilka zapominają o wilku wczorajszym - gdy w grudniu 1823 roku wziął do ręki gazetę, on, który gazet nigdy nie czytywał; ale Javert, zażarty monarchista, chciał dowiedzieć się szczegółów triumfalnego wjazdu "księcia głównodowodzącego"\* do Bajonny. Gdy kończył interesujący go artykuł, uwagę jego przyciągnęło wypisane na dole strony nazwisko Jana Valjean. Dziennik donosił, że więzień Jan Valjean umarł, i podawał ten fakt tak wyraźnie, że Javert nie powziął żadnych wątpliwości. Pomyślał tylko: "Siedzi pod najpewniejszym zamknięciem", odrzucił gazetę i więcej o tym nie myślał.

Po jakimś czasie prefektura policji z departamentu Seine-et-Oise przesłała prefekturze paryskiej raport w sprawie porwania dziecka, którego dokonano w gminie Montfermeil, w bardzo dziwnych podobno okolicznościach. Mała dziewczynka, siedmio- czy ośmioletnia, głosił raport, powierzona przez matkę opiece miejscowego karczmarza, została skradziona przez jakiegoś nieznanego osobnika; mała, która miała na imię Kozeta, była córką niejakiej

---

\* Mowa o księciu d'Angoulême, który wrócił do Francji po zakończeniu wojny w Hiszpanii.

Fantyny, dziewczyny zmarłej w szpitalu, nie wiadomo kiedy ani gdzie. Raport ten trafił do rąk Javerta i bardzo go zaintrygował.

Imię Fantyny było mu dobrze znane. Pamiętał, że Jan Valjean pobudził do śmiechu, jego, Javerta, prosząc o trzy dni zwłoki, by pojechać po dziecko tej kreatury. Przypomnił sobie, że Jan Valjean został aresztowany w Paryżu, w chwili gdy wsiadał do dylizansu jadącego do Montfermeil. Pewne szczegóły nawet pozwalały w owym czasie przypuszczać, że była to jego druga podróż tym dylizansem i że poprzedniego dnia odbył już jedną wyprawę w okolice miasteczka, gdyż w samym miasteczku go nie widziano. Co mógł robić w okolicach Montfermeil? Tego odgadnąć nie umiano. Teraz Javert to rozumiał. Tam mieszkała córka Fantyny. Po nią jeździł Jan Valjean. Otóż dziecko zostało skradzione przez jakiegoś nieznanego człowieka. Kim mógł być ten człowiek? Byłże to Jan Valjean? Ale Jan Valjean umarł.

Nic nikomu nie mówiąc Javert wynajął dwukółkę w oberży “Pod Cynowym Talerzem”, w zaułku Planchette, i pojechał do Montfermeil.

Spodziewał się, że tam wszystko się wyjaśni; jednakże wszystko zaciemniło się jeszcze bardziej.

W pierwszych dniach Thénardierowie, wściekli, rozpuścili języki. Zniknięcie “Skowronka” narobiło w miasteczku wiele hałasu. Natychmiast powstały różne odmiany tej historii, aż wreszcie ustaliła się wersja porwania dziecka. Stąd raport policji. Tymczasem Thénardier, ochłonawszy z pierwszej złości i wiedziony swym niezawodnym instynktem, zrozumiał wnet, że nie warto nigdy poruszać pana prokuratora królewskiego i że skargi o “porwanie” Kozety zwróciłyby błyszczącą źrenicę sprawiedliwości przede wszystkim na niego - Thénardiera, i na wiele jego niewyraźnych sprawek. Sowy bardzo nie lubią świecy. A przy tym jak wytłumaczyć się z otrzymanych tysiąca pięciuset franków? Zmienił natychmiast front, zakneblował usta żonie i udawał zdziwionego, gdy ktoś wspomniiał o “skradzionym dziecku”. Nic z tego nie rozumiał; to prawda w pierwszej chwili skarżył się, że “porwano” mu tak szybko drogie maleństwo; rad byłby, z wielkiego przywiązania, zatrzymać je jeszcze przez parę dni; ale był to “dziadek”, który w najzwyczajniejszy w świecie sposób przybył po małą. Dodał tego dziadka, bo to robiło dobre wrażenie. Taką to historyjką został uraczony Javert po przyjeździe do Montfermeil. Wobec osoby dziadka rozwiła się postać Jana Valjean.

Jednakże Javert zapuścił parę pytań, niby sondy, w opowiadanie Thénardiera.

- Kim był ten dziadek i jak się nazywał?

Thénardier odparł z prostotą:

- To bogaty rolnik. Widziałem jego paszport. Nazywa się, o ile pamiętam, Wilhelm Lambert.

Lambert - to nazwisko poczciwe i budzące zaufanie. Javert wrócił do Paryża, mówiąc sobie:

- Jan Valjean nie żyje, a ja jestem kiep.

Zapomniał już o całej tej historii, gdy w marcu 1824 roku usłyszał o dziwnym jegomościu mieszkającym w parafii Św. Medarda. Nazywano go “żebrakiem rozdającym jałmużnę”. Ten jegomość, mówiono, był rentierem; nikt właściwie nie wiedział, jak się nazywa: mieszkał sam z dziewczynką ośmioletnią, która też nic nie wiedziała, poza tą jedną rzeczą, że przyjechała z Montfermeil. Montfermeil! Ta nazwa powracała ciągle i obudziła czujność Javerta. Stary żebrak-szpicel, dawny kościelny, któremu ów jegomość często dawał wsparcie, dodał kilka innych szczegółów. Ten rentier był bardzo nietowarzyski, wychodził tylko wieczorami, z nikim nie rozmawiał, czasem tylko zagadał do biednych i nikt nie miał doń dostępu. Nosił okropny, stary, żółty surdut, który wart był parę milionów, bo cały podszyty był banknotami. To opowiadanie pobudziło niezmiernie ciekawość Javerta. Aby móc obejrzeć niezwykłego rentiera z bliska, nie płosząc go, pożyczył pewnego dnia od żebraka łachmany i zasiadł w miejscu, w którym stary szpicel siadywał co wieczór, klepiąc przez nos pacierze i szpiegując poprzez słowa modlitwy.

“Podejrzany osobnik” poszedł istotnie do tak przebranego Javerta i wręczył mu jałmużnę. W tym momencie Javert podniósł oczy - mniemając, że widzi Jana Valjean, doznał takiego samego wstrząsu, jakiego doznał Jan Valjean, mniemając, że widzi Javerta.

Jednakże ciemność mogła go wprowadzić w błąd; śmierć Jana Valjean była urzędowo stwierdzona. Javert nie pozbył się wątpliwości, i to wątpliwości poważnych, a nie mając pewności, Javert jako człowiek skrupulatny - nigdy nikogo nie aresztował.

Poszedł za owym człowiekiem aż do rudery Gorbeau, tu pociągnął za język “starą”, co nie było rzeczą trudną. Starucha potwierdziła fakt o surducie podszytym milionami i opowiedziała mu historię tysiącfrankowego banknotu. Widziała go na własne oczy, dotykała! Javert wynajął pokój. Wprowadził się tam tego samego jeszcze wieczora. Przyszedł podsłuchiwać pod drzwi tajemniczego lokatora, spodziewając się, że usłyszy dźwięk jego głosu, ale Jan Valjean zobaczył blask świecy przez dziurkę od klucza i pokrzyżował plany szpiega, zachowując milczenie.

Nazajutrz Jan Valjean chciał zniknąć. Starucha usłyszała brzęk spadającej pięciofrankowej monety, którą upuścił, domyśliła się z przygotowywania pieniędzy, że

lokator chce się wyprowadzić, i co prędzej zawiadomiła o tym Javerta. Wieczorem, gdy Jan Valjean wyszedł, Javert z dwoma ludźmi czekał na niego, ukryty za drzewami bulwaru.

Javert zażądał w prefekturze policji pomocy, ale nie wyjawiał imienia osobnika, którego zamierzał ująć. To była jego tajemnica. Strzegł jej zazdrośnie z trzech powodów: przede wszystkim dlatego, że najmniejsza nieostrożność mogłaby spłoszyć Jana Valjean; następnie dlatego, że ujęcie zbiegłego galernika, uznanego za zmarłego, skazańca, którego niegdyś raporty władz sprawiedliwości umieściły raz na zawsze wśród "złoczyńców najgroźniejszego gatunku", byłoby sukcesem niebywałym i starzy funkcjonariusze policji paryskiej z pewnością nie odstąpiliby go nowo przybyłemu Javertowi; Javert bał się, że mu sprzątną sprzed nosa jego galernika; wreszcie Javert, jako artysta, lubił efekty. Nie znosił z góry zapowiadanych sukcesów, których rozgłaszanie przed czasem pozbawiało uroku. Lubiał opracowywać swe arcydzieła w cieniu i potem nagle je odsłaniać.

Javert szedł za Janem Valjean od drzewa do drzewa, potem od jednego rogu ulicy do drugiego, ani na sekundę nie tracąc go z oczu. Nawet wówczas gdy Jan Valjean czuł się najbardziej bezpieczny, wzrok Javerta go śledził.

Dlaczego Javert nie zaarrestował Jana Valjean? Dlatego, że miał jeszcze wątpliwości.

Trzeba pamiętać, że w owych czasach policja nie miała całkowitej swobody działania: krępowała ją prasa niezależna. Echa kilku samowolnych aresztowań, ogłoszonych na łamach dzienników, dotarły aż do Izby; prefektura stała się ostrożniejsza. Zamach na wolność osobistą jednostki był sprawą poważną. Policjanci bali się pomyłek; prefekt ostro wziął się do nich.

Proszę sobie tylko wyobrazić, jakie wrażenie wywarłaby w Paryżu króciutka informacja, podana przez dwadzieścia dzienników: "W dniu wczorajszym zacny rentier, siwowłosa dziadek, zażywający przechadzki ze swoją ośmioletnią wnuczką, został wzięty za zbiegłego galernika, zatrzymany i osadzony w areszcie prefektury!"

Powtórzmy poza tym, że Javert miał własne skrupuły. Ostrzeżenia sumienia łączyły się z ostrzeżeniami prefekta. Wątpił rzeczywiście.

Jan Valjean odwrócony do niego plecami, kroczył w ciemnościach.

Smutek, niepokój, lęk, przygnębienie, nowa zgryzota, jaką była dlań ta ucieczka nocą i szukanie na los szczęścia schronienia w Paryżu dla Kozety i dla siebie, konieczność dostosowania swego kroku do kroków dziecka, wszystko to sprawiało, iż bezwiednie nawet zmienił ruchy i przybrał postawę tak zgrzybiałego starca, że nawet policja, uosobiona w Javercie, mogła się omylić i istotnie się pomyliła. Niemożność podejścia zbyt blisko, ubiór starego guwernera emigranta, oświadczenie Thénardiera, że jest to dziadek Kozety, wreszcie

przekonanie, że Jan Valjean umarł na galerach, wszystko to powiększało jeszcze niepewność, jaka ogarnęła umysł Javerta.

W pewnej chwili przyszło mu na myśl, by zażądać od nieznanego okazania papierów. Jeśli jednak człowiek ten nie był Janem Valjean, ani poczciwym, starym, zacnym rentierem, to musiał być spryciarzem, głęboko i umiejętnie wtajemniczonym w ciemną sieć przestępczego świata Paryża, jakimś niebezpiecznym przywódcą szajki, rozdającym jałmużnę, by ukryć inne swe talenty. Stare sposoby. Miał więc zapewne zauszników, współników, mieszkania "na wszelki wypadek", gdzie będzie usiłował teraz się schronić. Krążenie i kluczenie ulicami zdawało się wskazywać, że nie był to zwykły, stary poczciwiec. Aresztować go przedwcześnie - znaczyło zabić "złotodajną kure". I cóż szkodziło zaczekać? Javert był całkowicie pewny, że człowiek ów mu się nie wymknie.

Szedł więc dość niezdecydowany, stawiając sobie tysiące pytań na temat tajemniczego osobnika.

Dopiero znacznie później, na ulicy Pontoise, w jasnym świetle bijącym z jakiegoś szynku, rozpoznał z całą pewnością Jana Valjean.

Dwa stworzenia na tym świecie zdolne są zadrzeć aż do głębi swego jestestwa: matka, gdy odnajdzie dziecko, i tygrys, gdy odnajdzie łup. Javert zadrzał takim właśnie drzeniem.

Kiedy już zdecydowanie rozpoznał Jana Valjean, tego groźnego galernika, spostrzegł, że ma ze sobą tylko dwóch ludzi, i zażądał posiłków od komisarza policji z ulicy Pontoise. Nim się chwyci kolczastą gałąź, trzeba włożyć rękawice.

Przez tę zwłokę i naradę z policjantami na placyku Rollin omal nie zgubił tropu. Jednakże szybko odgadł, że Jan Valjean będzie chciał odgrodzić się rzeką od ścigających go ludzi. Schylił głowę i zastanowił się przez chwilę jak pies myśliwski, który z nosem przy ziemi węszy właściwy trop. Po czym, wiedziony swym potężnym i niezawodnym instynktem, ruszył prosto na most Austerlitzki. Jedno słowo poborcy myta wystarczyło mu:

- Widzieliście mężczyznę z małą dziewczynką?
- Kazałem mu zapłacić dwa su - odrzekł poborca.

Javert przybył na most w porę, by zobaczyć po drugiej stronie wody Jana Valjean, który prowadząc za rękę Kozetę przechodził przez przestrzeń oświetloną blaskiem księżyca. Zobaczył też, jak skręcił w ulicę Chemin-Yert-Saint-Antoine; pomyślał od razu o zaułku Genrot, który czekał jak zasadzka, i o jedynym wylocie ulicy Droit-Mur na uliczkę Picpus. "Zamknął odwód" - jak mówią myśliwi - wysyłając co prędzej okrężną drogą jednego z policjantów, by pilnował tego wyjścia. Zajął też przechodzący patrol, który wracał na posterunek do Arsenału, i kazał mu iść ze sobą. W takich rozgrywkach żołnierze stanowią

silny atut. Zresztą taka już jest zasada, że aby upolować odyńca, trzeba mieć umiejętności myśliwca i dużo psów. Wydawszy takie zarządzenia i wiedząc, że Jan Valjean został schwytany w potrzask, mając z prawej strony ślepy zaulek Genrot, z lewej policjanta, za sobą zaś jego samego, Javert zażył niuch tabaki.

A potem zaczął się bawić. Przeżywał chwilę szatańskiej radości: pozwolił człowiekowi iść przed sobą, wiedząc, że go ma w rękę, i chcąc odsunąć jak najdalej moment ujęcia; cieszył się, że go trzyma i widzi go wolnym, nie spuszczał zeń wzroku doznając podobnej rozkoszy jak pająk, który pozwala trzepotać się musze, i jak kot, który pozwala biegać myszy. Szpony i pazury odczuwają z jakąś potworną zmysłowością ukryte poruszenia zwierzyny, uwięzionej w ich kleszczach. Dusić - ileż w tym upojenia!

Javert rozkoszował się. Mocno powiązał oczka swojej sieci. Był pewien powodzenia. Pozostawało mu tylko zamknąć dłoń.

Eskortę miał tak silną, że wszelki opór był nie do pomyślenia, choćby Jan Valjean był nie wiedzieć jak energiczny, silny i doprowadzony do rozpacz.

Javert posuwał się powoli naprzód, badając i przeszukując po drodze każdy załomek muru, niczym kieszenie złodzieja.

Gdy doszedł do środka swej pajęczej sieci, nie znalazł w niej muchy.

Można sobie wyobrazić jego wściekłość.

Pytał człowieka stojącego na czatach na skrzyżowaniu ulic Droit-Mur i Picpus; lecz agent, który nie ruszył się ani krokiem ze swego posterunku, nie widział wcale, by ktoś przechodził.

Zdarza się, że jeleń wymknie się z obławy, to znaczy, że mając sforę pędzącą tuż za sobą, umknie i wtedy najbardziej doświadczeni myśliwi nie wiedzą, co mówić. Duvivier, Ligniville i Desprez zapominają języka w gębie. Przy jednej takiej porażce Artonge zawołał: "To nie jeleń, to czarodziej!"

Javert chętnie powiedziałby to samo.

Rozczarowanie jego przez chwilę bliskie było rozpacz i wściekłości.

Faktem jest, że Napoleon popełnił błędy w wojnie z Rosją, że Aleksander popełnił błędy w wojnie z Indiami, że Cezar popełnił błędy w wojnie afrykańskiej, że Cyrus popełnił błędy w wojnie ze Scytami i że Javert popełnił błędy w tej wyprawie przeciwko Janowi Valjean. Zbłądził może, wahając się z rozpoznaniem dawnego galernika. Powinien był mu wystarczyć jeden rzut oka. Zbłądził nie zatrzymując go po prostu od razu w ruderze Gorbeau. Zbłądził nie aresztując go na ulicy Pontoise, gdy go ostatecznie rozpoznał. Zbłądził naradzając się ze swymi pomocnikami na placu Rollin w jasnym świetle księżyca.

Zapewne, rady mogą być użyteczne i dobrze jest radzić się psów, na których można polegać. Gdy jednak myśliwiec goni zwierzynę taką płochliwą jak wilk i galernik - przezorności nigdy nie jest za wiele. Javert był tak przejęty tym, by naprowadzić ogary na właściwy trop, że spłoszył zwierzynę, która zwietrzyła pogoń i umknęła. Nade wszystko jednak zbłądził wtedy, gdy odnalazł trop na moście Austerlitzkim podjął groźną i dziecinną grę wodzenia na sznurku takiego człowieka. Przecenił swoje siły mniemając, że ze lwem można igrać jak z myszą. Równocześnie zaś nie doceniał swoich sił, uważając za rzecz konieczną zapewnić sobie posiłki. Szkodliwa ostrożność, niefortunna strata cennego czasu. Javert popełnił wszystkie te błędy, był jednak jednym z najzdolniejszych i najbardziej poprawnych wywiadowców policyjnych, jacy kiedykolwiek istnieli. Był to w całym tego słowa znaczeniu "pies roztropany", że użyjemy tu myśliwskiego określenia. Któż jest jednak bez błędu?

Wielcy stratedzy miewają chwile zaćmienia.

Często wielkie głupstwa, podobnie jak grube sznury, powstają z mnogości drobnych włókien. Rozdziel taką linę na nitki, węz z osobna każdą z rozstrzygających pobudek, zrywasz jedną po drugiej i mówisz: "To tylko tyle!" Spleć i skręć je razem - to potęga, to Attyla wahający się między Marcjanem na wschodzie a Walentynianem na zachodzie; to Hannibal zwlekający w Kapui; to Danton zasypiający w Arcis-sur-Aube.

W każdym razie, widząc, że Jan Valjean mu się wymyka, Javert nie stracił głowy. Pewny, że zbiegły galernik nie może być daleko, rozstawił czaty, urządził zasadzki i pułapki i przeszukiwał dzielnicę przez całą noc. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oczy, była naruszona latarnia, od której odcięto sznur. Ta cenna wskazówka wprowadziła jednak Javerta w błąd, kierując wszystkie jego poszukiwania ku zaułkowi Genrot. W zaułku tym były niewysokie mury, a za nimi ogrody przechodzące w rozległe, nieuprawne tereny. Najoczywiściej Jan Valjean musiał tamtędy uciec. Istotnie, gdyby był więcej zagłębił się w zaułek, prawdopodobnie byłby tak postąpił i to by go zgubiło. Javert przeszukał te ogrody i tereny, jakby szukał igły.

O świcie postawił tam dwóch bystrych ludzi na straży, sam zaś wrócił do prefektury policji, zawstydzony jak szpicel, który dał się złapać złodziejowi.

**Księga szósta**

**Klasztor Petit-Picpus**

# I

## Uliczka Picpus numer 62

Przed pół wiekiem brama pod numerem 62 przy uliczce Picpus nie różniła się niczym od każdej innej. Zazwyczaj zachęcająco uchylona, pozwalała dostrzec dwie rzeczy nie mające w sobie nic ponurego: podwórko otoczone murami porośniętymi winem i twarz kręcącego się po tym podwórku stróża. W głębi ponad murem widać było wysokie drzewa. Gdy promień słońca rozweselił podwórze, a lampka wina rozweseliła twarz stróża, trudno było minąć numer 62 przy uliczce Picpus, nie zachowując o nim pogodnego wspomnienia. Było to jednak ponure miejsce.

Próg się uśmiechał, dom modlił się i płakał.

Jeśli zdołałeś minąć stróża, co nie było łatwe, co nawet było dla wszystkich prawie niemożliwe, gdyż należało znać tutejsze: "Sezamie, otwórz się!", jeśli minąwszy stróża skręciłeś w prawo i wszedłeś do małego przedsionka, z którego szły schody wciśnięte między dwie ściany i tak wąskie, że mogła się na nich zmieścić tylko jedna osoba, jeśli nie odstraszyła cię kanarkowo-żółta malatura z piernikowym pasem u dołu, ciągnąca się wzdłuż schodów, jeśli odważyłeś się iść dalej, mijałeś pierwszą platformę schodów, potem drugą i dochodziłeś na pierwsze piętro, na korytarz, gdzie kanarkowa żółtość ściany z piernikowym pasem u dołu ściagały cię z niewzruszonym uporem. Dwa piękne okna oświetlały schody i korytarz. Korytarz skręcał i stawał się ciemny. Jeśli okrążyłeś ten przyładek, po paru krokach stawałeś przed tajemniczymi drzwiami, tajemniczymi tym bardziej, że nie były zamknięte. Pchnąwszy je, znajdowałeś się w małym, liczącym mniej więcej sześć stóp kwadratowych pokoiku z kamienną posadzką, wyszorowanym, czystym, zimnym, obitym nankinową tapetą w zielone kwiatuszki (piętnaście su za rulon). Blade, przytłumione światło padało z dużego okna pociętego na małe kwadraty szyb, które zajmowało całą szerokość lewej ściany. Patrzyłeś - i nie widziałeś nikogo; nasłuchiwałeś - i nie słyszałeś ani kroków, ani żadnego szmeru zdradzającego obecność człowieka. Ściany były nagie; pokój pusty, bez jednego krzesła.

Rozejrzawszy się jeszcze, dostrzegałeś na ścianie naprzeciw okna czworokątny otwór wielkości jednej kwadratowej stopy, który osłaniały krzyżujące się żelazne pręty, sękate, mocne; tworzyły one kratę, powiedziałbym nawet - sieć, której oczka miały zaledwie jakieś

półtora cala średnicy. Zielone kwiatuszki na tapecie spokojnie, w ordynku dochodziły do tych żelaznych prętów, bynajmniej nie przerażone ani nie spłoszone ponurym sąsiedztwem. Zakładając, że żywa istota mogłaby być tak doskonale chuda, by prześliznąć się przez otwór w ścianie, ta kratka uniemożliwiłaby jej przejście. Nie przepuściłaby ciała, lecz mogła przepuścić wzrok - czyli ducha. Pomyślano widać o tym, gdyż nieco w głębi za kratą znajdowała się umocowana do ściany żelazna płyta, przebita tysiącem maleńkich dziurek, mniejszych niż oczka w przetaku. U dołu tej płyty znajdował się otwór podobny do otworu w skrzynce do listów. Po prawej stronie zakratowanego okienka wisiała nicianska taśma uwiązana do dzwonka.

Gdy pociągnąłeś za taśmę, rozległo się dzwonienie i wzdygałeś się, usłyszawszy jakiś głos tuż obok siebie.

- Kto tam? - pytał głos.

Był to głos niewieści, głos spokojny, tak spokojny, że aż grobowy.

Tutaj również trzeba było znać magiczne słowo. Jeśli go nie znasz, głos milkł, a ściana znów stawała się cicha, jak gdyby za nią znajdowała się zakłócona na chwilę ciemność grobu.

Jeśli znasz magiczne słowo, głos odpowiadał:

- Proszę wejść na prawo.

Wówczas po prawej stronie, naprzeciw okna, spostrzegałeś oszklone drzwi, pomalowane na szaro, z okienkiem u góry. Naciskałeś klamkę, przekraczałeś próg i doznawałeś tego samego wrażenia co wchodząc do loży parterowej przed rozpoczęciem przedstawienia, kiedy nie spuszczone jeszcze kraty i nie zapalono świeczników. Istotnie, znajdowałeś się w miejscu, przypominającym wąską lożę teatralną, słabo rozjaśnioną mdłym światłem, sączącym się poprzez oszklone drzwi; umeblowanie składało się z dwóch starych krzeseł i wystrzępionej słomianki; z przodu była bariierka sięgająca pasa i zakończona rodzajem półki z czarnego drzewa. Łoża ta była okratowana; nie była to jednak kratka ze złoczonego drzewa jak w Operze, ale potworna kratka z prętów żelaznych, przerażająco splątanych i przymocowanych do muru potężnymi uchwyty, podobnymi do pięści.

Po paru minutach, oswoiwszy się z piwnicznym półmrokiem, wzrok usiłował sięgnąć za kratę, ale nie mógł wybiec dalej niż na sześć cali. Tu napotykał na przeszkodę z czarnych zasłon, zabezpieczonych i wzmocnionych za pomocą drewnianych listew pomalowanych na kolor piernikowożółty. Zasłony owe, składające się z wąskich, pionowych, połączonych ze sobą deszczu-łek, zakrywały całą szerokość kraty i były zawsze zamknięte. Po paru chwilach zza zasłony odzywał się głos, który wypowiadał twoje imię i mówił:

- Jestem. Czego żądasz ode mnie?

Był to głos drogi, czasem głos ukochany nade wszystko. Nie widać było nikogo. Słysząc było zaledwie szmer oddechu. Zdawało się, że to duch przyzwany z zaświatów przemawia poprzez płytę grobową.

Czasami, bardzo rzadko, w pewnych specjalnych okolicznościach, wąski pas zasłony odsuwał się naprzeciw ciebie i duch stawał się zjawą. Za kratą, za zasłoną spozstrzegało się - o ile na to pozwalała krata - głowę, a właściwie tylko usta i brodę; resztę osłaniał czarny welon. Widziałeś czarny kwef i niewyraźnie majaczącą postać, spowitą czarnym całunem. Ta głowa mówiła do ciebie, lecz nigdy na ciebie nie patrzyła i nie uśmiechała się. Światło, padające zza ciebie, umieszczone było w taki sposób, że postać za kratą wydawała ci się jasna, ty zaś wydawałeś się jej - ciemny. To światło było symbolem.

Jednakże poprzez rozsuniętą zasłonę wzrok zagłębiał się chciwie w to miejsce, niedostępne dla ludzkich oczu. Głęboka pustka spowijała tę postać w żałobie. Natężyłeś wzrok, usiłując zobaczyć, co otacza zjawę. Wkrótce zdawałeś sobie sprawę, że nie widzisz nic.

To, co widziałeś, było nocą, próżnią, ciemnością, zimową mgłą zmieszaną z tumanem mogilnym, jakimś przerażającym spokojem, ciszą, z której nie dochodził żaden szmer, nawet westchnienie; mrokiem, w którym nie mogłeś dostrzec nic, nawet widma.

To, co widziałeś, było wewnątrz klasztoru. Wewnątrz tego posępnego i surowego domu, zwanego klasztorem bernardynek Nieustającej Adoracji. Łoża, w której się znajdowałeś - to rozmównica. Pierwszy głos, który odezwał się do ciebie - to głos furtianki, która siedziała zawsze, nieruchoma i milcząca, po tamtej stronie ściany, tuż przy czworokątnym otworze w murze, chronionym żelazną kratą i podziurkowaną płytą, niby podwójną przyłbicą.

Zakratowana łoża tonęła w półmroku dlatego, że rozmównica, mająca jedno okno od strony świata, nie miała żadnego okna od strony klasztoru. Oczom profanów nie wolno było oglądać świętego miejsca.

A jednak poza tą ciemnością coś się kryło, poza ciemnością była światłość; było życie w tej śmierci. Choć klasztor ten był zamknięty bardziej od innych, spróbujemy tam wejść, wprowadzić tam czytelnika, i - zachowując właściwy umiar - opowiedzieć rzeczy, których powieściopisarze nigdy nie widzieli, i co za tym idzie, nie mogli opowiedzieć.

## II

### Obediencja Marcina Vergi

Klasztor, który w roku 1824 od wielu już lat mieścił się przy uliczce Picpus, należał do zgromadzenia bernardynek obediencji Marcina Vergi.

Zatem bernardynki te nie wywodziły się z Clairvaux, jak bernardyni, lecz z Citeaux jak benedyktyni. Innymi słowy, podlegały św. Benedyktowi, a nie św. Bernardowi.

Kto szperał kiedykolwiek w starych foliałach, wie, że Marcin Verga założył w roku 1425 zgromadzenie bernardynek-benedyktynek, z główną siedzibą w Salamance i domem filialnym w Alkali.

Zakon ten rozkrzewił się we wszystkich katolickich krajach Europy.

Takie zaszczerpienie jednego zakonu na drugim spotyka się często w Kościele rzymskim. By ograniczyć się tylko do zakonu Św. Benedykta, o którym tu mowa, należą do niego - nie licząc obediencji Marcina Vergi - cztery kongregacje; dwie we Włoszech: Monte Cassino i Św. Justyny w Padwie, oraz dwie we Francji: Cluny i Saint-Maur; poza tym dziewięć zakonów: Valombrosa, Grammont, celestyni, kameduli, kartuzi, bracia pokorni, oliwatorowie, sylwestrianie i cystersi; cystersi bowiem, pień, z którego wyrosły inne zakony, sami są odgałęzieniem zakonu Św. Benedykta. Cystersów założył Św. Robert, opat z Mo-lesme w diecezji Langres, w roku 1098. Otóż w roku 529 diabeł, który schronił się w pustelni w Subiaco (był stary, czyżby stał się pustelnikiem?), został wypędzony przez siedemnastoletniego wówczas Benedykta, z dawnej świątyni Apollina, w której mieszkał.

Po regule karmelitanek, które chodzą boso, noszą na szyi rodzaj obroży z wikliny i nigdy nie siadają, najostrzejszą regułą jest reguła bernardynek-benedyktynek Marcina Vergi. Ubierają się one na czarno i noszą kwef, który - zgodnie z wyraźnym nakazem św. Benedykta - sięga aż pod brodę. Oto ich strój: habit z szarszy z szerokimi rękawami, wielki welon wełniany, kwef sięgający pod brodę i zakończony kwadratowym plastronem na piersi, opaska zakrywająca czoło aż po oczy. Wszystko jest czarne z wyjątkiem opaski, która jest biała. Ubiór nowicjuszek jest taki sam, tylko wszystko jest białe. Profeski noszą poza tym u boku różaniec.

Bernardynki-benedyktynki Marcina Vergi praktykują Nieustającą Adorację, podobnie jak benedyktynki, zwane sakramentkami, które na początku naszego stulecia miały w Paryżu

dwa domy - jeden w Tempie, drugi przy ulicy Nowej Św. Genowefy. Poza tym bernardynki-benedyktynki z Petit-Picpus, o których tu mowa, były zakonem zupełnie innym niż panny sakramentki, mieszczone przy ulicy Nowej Św. Genowefy i w Tempie. Różniły je, i to bardzo znacznie, reguła oraz ubiór. Bernardynki-benedyktynki z Petit-Picpus miały kwefy czarne, sakramentki z ulicy Nowej Św. Genowefy białe, poza tym zaś nosiły na piersi wyobrażenie Najświętszego Sakramentu z połączanego srebra lub miedzi, wielkości mniej więcej trzech cali. Nie nosiły go zakonnice z Petit-Picpus. Poza Nieustającą Adoracją, wspólną dla klasztoru Petit-Picpus i klasztoru w Tempie, oba zakony różnią się pod każdym względem. Ta praktyka stanowi jedyne podobieństwo między pannami sakramentkami i bernardynkami Marcina Vergi, tak jak rozpamiętywanie i sławienie tajemnic związanych z dzieciństwem, życiem oraz śmiercią Chrystusa i Panny Marii łączyło dwa zakony, bardzo różne, a nieraz wrogie - oratorianów włoskich, założonych we Florencji i przez Filipa Nereusza, i oratorianów francuskich, założonych w Paryżu przez Piotra Berulle. Oratorianie paryscy twierdzili, że mają prymat, gdyż Berulle był kardynałem, a Filip Nereusz tylko świętym.

Powróćmy do surowej, hiszpańskiej reguły Marcina Vergi.

Bernardynki-benedyktynki, należące do tej reguły, poszczą przez cały rok, suszą w post i w wiele innych wyznaczonych dni, zrywają się w godzinę po północy z pierwszego snu, by do trzeciej rano czytać brewiarz i śpiewać jutrznię; przez cały rok śpią na prześcieradłach z szarszy i na słomie, nie kąpią się, nie opalają cel, co piątek ćwiczą się dyscypliną, przestrzegają milczenia, rozmawiają tylko podczas rekreacji, bardzo krótkich, i przez sześć miesięcy w roku od 14 września, tj. od dnia Podwyższenia Krzyża Św. aż do Wielkiejnocy, noszą koszule z wełnianej materii. Sześć miesięcy - to już jest złagodzenie reguły, która nakazuje nosić takie koszule przez cały rok. Noszenie wełnianej koszuli, tak uciążliwe podczas letnich upałów, powodowało gorączki i spazmy nerwowe, wobec czego trzeba było ograniczyć jej używanie. Jednakże nawet po tym złagodzeniu, gdy zakonnice przywdziewają 14 września owe koszule, dostają gorączki, która trwa przez kilka dni. Posłuszeństwo, ubóstwo, czystość, stała klauzura - oto ich śluby bardzo obostrzone przez regułę.

Przeorysza wybierana jest na trzy lata przez matki, zwane "matkami głosującymi", gdyż posiadają prawo głosu w kapitule. Przeorysza może być wybrana ponownie najwyżej dwa razy, zatem okres jej rządów nie przekracza nigdy dziewięciu lat. Zakonnice nie widzą kapłana odprawiającego nabożeństwo, gdyż kryje go zasłona rozpięta na wysokość siedmiu stóp. Podczas kazania, gdy kaznodzieja jest w kaplicy opuszczają welon na twarz. Powinny

mówić cicho, chodzić z oczyma utkwionymi w ziemię i spuszczoną głową. Jeden tylko mężczyzna ma prawo wejść do klasztoru - arcybiskup diecezji.

Drugim mężczyzną, mającym również to prawo, jest ogrodnik; jest to zawsze starzec, który pracuje sam w ogrodzie i któremu przywiązuje się dzwonek do nogi, by zakonnice wiedziały, gdzie się znajduje, i mogły go unikać.

Zakonnice są posłuszne swej przeoryszy uległością absolutną i bierną. Jest to posłuszeństwo kanoniczne z całym wyrzeczeniem się siebie. Jak na głos Chrystusa - *ut voci Christi* - na skinienie, na pierwszy znak - *ad nutum, ad primum signum* - natychmiast, z radością, z wytrwałością, z ślepym jakby posłuszeństwem - *prompte, hilariter; perseveranter et caeca quadam; obedientia* - niby pilnik w ręku rzemieślnika - *quasi limam in manibus fabri* - nie mając prawa nic czytać ani pisać bez specjalnego zezwolenia - *legere, vel scribere non addiscerit sine expressa superioris licentia*.

Każda z nich odprawia po kolei to, co one nazywają “zadośćuczynieniem”. Zadośćuczynienie - to modlitwa za wszystkie grzechy, za wszystkie winy, za wszystkie nieprawości, za wszystkie gwałty, za wszystkie niegodziwości, za wszystkie zbrodnie popełniane na ziemi. Przez całe dwanaście godzin - od czwartej po południu do czwartej rano albo od czwartej rano do czwartej po południu - siostra odprawiająca “zadośćuczynienie” klęczy przed Najświętszym Sakramentem na kamiennej posadzce, ze złożonymi rękoma i sznurem na szyi. Gdy zmęczenie jest już ponad siły, kładzie się krzyżem - to całe jej wytchnienie. W tej postawie modli się za wszystkich grzeszników świata. Jest to tak wielkie, że aż wzniosłe.

A że akt ten odprawiany jest koło słupa, na którym płonie gromnica, mówi się “odprawiać zadośćuczynienie” lub “być u słupa”. Zakonnice wolą nawet - przez pokorę - używać tego drugiego określenia, które zawiera w sobie pojęcie kary i poniżenia.

W akcie “zadośćuczynienia” pogrążają się całą duszą; siostra klęcząca u słupa nie odwróciłaby się, gdyby piorun uderzył koło niej.

Poza tym jedna zakonnica klęczy zawsze przed Najświętszym Sakramentem. Trwa to godzinę. Zmieniają się jak żołnierze na warcie. Jest to Nieustająca Adoracja.

Przeorysze i matki zakonne noszą zazwyczaj imiona nacechowane specjalną powagą, które przywodzą na myśl nie świętych i męczenników, lecz zdarzenia z życia Chrystusa: matka od Narodzenia Bożego, matka od Niepokalanego Poczęcia, matka od Ofiarowania, matka od Męki Pańskiej. Używanie imion świętych nie jest zresztą zakazane.

Podczas odwiedzin widzi się tylko ich usta. Wszystkie zakonnice mają żółte zęby. Nigdy szczotka do zębów nie przedostała się do klasztoru. Myć zęby - to pierwszy szczebel drabiny, której ostatnim szczeblem jest zatrata duszy.

Nie mówią nigdy: moje. Nie mają nic swojego i do niczego nie wolno im się przywiązywać. O wszystkim mówią: nasze, a więc: nasz welon, nasz szkaplerz; gdyby mówiły o swej koszuli, powiedziałyby: nasza koszula. Czasem przywiążą się do jakiegoś drobiazgu, do książki do nabożeństwa, relikwiarza, poświęconego medalika. Jak tylko zauważą to przywiązanie, natychmiast powinny ów przedmiot oddać. Pamiętają słowa świętej Teresy, którą prosiła pewna wielka dama mająca wstąpić do jej zakonu: "Niech matka zezwoli mi posłać po moją Biblię, do której jestem bardzo przywiązana". - "O, jesteś do czegoś przywiązana! W takim razie nie wstępuj do naszego zgromadzenia".

Żadnej zakonnicy nie wolno zamknąć się, być "u siebie", mieć "swój pokój". Żyją w otwartych celach. Gdy się spotykają, jedna mówi: "Niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza". Druga odpowiada: "Na wieki wieków". Ta sama ceremonia powtarza się, gdy jedna stuka do drzwi celi drugiej. Za ledwie dotknie drzwi, już z drugiej strony cichy głos odpowiada pospiesznie: "Na wieki wieków". Podobnie jak wszystkie praktyki, tak i ta - mocą przyzwyczajenia - staje się machinalna i niejedna zakonnica odpowiada: "Na wieki wieków", zanim druga zdoła wypowiedzieć dość długie zresztą zdanie: "Niechaj będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza".

U wizytek wchodząca mówi: *Ave Maria*, na co otrzymuje odpowiedź: *Gratia plena*. To ich "dzień dobry" jest zaiste pełne gracji. W ciągu dnia co godzina dzwon kaplicy klasztornej wybija trzy dodatkowe uderzenia. Na ten sygnał przeorysza, matki głosujące, profeski, konwerski, nowicjuszek, postulanki przerywają swoje słowa, robotę czy myśli i mówią chórem, jeśli jest np. godzina piąta: "O piątej godzinie i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza". Jeśli jest ósma: "O ósmej godzinie i o każdej godzinie...", i tak dalej, zależnie od godziny.

Ten zwyczaj, mający na celu przerywać myśl i zwracać ją wciąż ku Bogu, istnieje w wielu innych zgromadzeniach, tylko formuła bywa inna. Tak na przykład u Dzieciątka Jezus mówi się: "O tej godzinie i o każdej godzinie niech miłość Jezusa rozpala me serce".

Benedyktynki-bernardynki Marcina Vergi, mieszkające przed pięćdziesięciu laty w klasztorze Petit-Picpus śpiewają przez cały czas trwania nabożeństwa na niską nutę, zawsze pełnym głosem, wedle nieskażonego gregoriańskiego stylu. Tam gdzie w mszale jest gwiazdka, przerywają i mówią po cichu: "Jezus, Maria, Józef. Podczas nabożeństw żałobnych

biorą tony tak niskie, że prawie nie do wzięcia dla głosów kobiecych. Śpiew ich staje się w ten sposób przejmujący i tragiczny.

Zakonnice z Petit-Picpus kazały zrobić pod głównym ołtarzem kryptę dla zmarłych ze swego zgromadzenia. "Rząd" - jak mówiły - nie pozwolił wstawiać trumien do tego grobowca. Tak więc, po śmierci, musiały opuszczać klasztor. Smuciło je to i przerażało jako naruszenie reguły.

Uzyskały zezwolenie - niewielka to była pociecha na - grzebanie swoich zmarłych o pewnej specjalnie wyznaczonej godzinie w osobnym kącie cmentarza Vaugirard, który mieścił się na gruntach należących niegdyś do zgromadzenia.

W czwartki zakonnice słuchają sumy, niesporów i innych nabożeństw tak samo jak w niedzielę. Ponadto przestrzegają skrupulatnie wszystkich najmniejszych świąt prawie nie znanych ludziom świeckim, którymi Kościół niegdyś hojnie szafował we Francji i szafuje nadal w Hiszpanii i we Włoszech. W kaplicy spędzają bardzo wiele czasu. Najlepiej zdamy sobie sprawę z ilości i z długości ich modłów, przytaczając naiwne zdanie jednej z zakonnice: "Modlitwy postulantek są straszne, modlitwy nowicjuszek straszniejsze, a modlitwy profesek - jeszcze straszniejsze".

Raz w tygodniu zbiera się kapituła, zasiadają w niej matki głosujące, przewodniczy im przeorysza. Po kolei każda z sióstr klęka na kamiennej posadzce i wobec wszystkich spowiada się na głos z błędów i grzechów popełnionych w ciągu tygodnia. Po każdej spowiedzi matki naradzają się i na głos nakładają pokutę.

Poza głośną spowiedzią, na której zakonnice wyznają poważniejsze grzechy, za drobniejsze wykroczenia czynią tak zwaną "winę". "Odprawiać swoją winę", to znaczy leżeć krzyżem podczas nabożeństwa przed przeoryszą, dopóki przeorysza - nazywana zawsze "naszą matką" - nie zastuka cicho w swoją stallę, dając znak, że penitentka może już wstać. Niewiele trzeba do odprawiania "winy": stłuczona szklanka, rozdarty welon, mimowolne spóźnienie o parę sekund na nabożeństwo, fałszywie wzięta nuta w kościele itd. to wystarczające powody. Odprawianie "winy" jest spontaniczne - winowajczyni (to słowo etymologicznie jest tu na swoim miejscu) sama się osądza i sama je sobie wyznacza. W święta i niedziele cztery matki kantorki śpiewają nabożeństwa przed wspólnym, dużym pulpitem podzielonym na cztery części. Pewnego dnia jedna z matek kantorek zaintonowała psalm zaczynający się od *Ecce* i zamiast *Ecce* wymówiła pełnym głosem te trzy nuty *do-si-sol*; za tę chwilę roztargnienia odprawiała winę przez całe nabożeństwo. Fakt, że cała kapituła roześmiała się, ogromnie powiększył jej wykroczenie.

Zakonnica wezwana do rozmównicy, choćby nią była sama przeorysza, opuszcza welon, jak już wspomnieliśmy, tak, że widać tylko jej usta.

Jedynie przeoryszy wolno stykać się z obcymi. Inne zakonnice mogą widywać tylko najbliższą rodzinę, i to bardzo rzadko. Trzeba długich pertraktacji, jeśli przypadkiem zechce widzieć którąś z zakonnicek ktoś ze świata, kto ją niegdyś znał czy kochał. Jeśli to jest kobieta - udaje się jej czasem uzyskać zezwolenie.

Zakonnica przychodzi i rozmawia z nią poprzez zasłonę, którą można odsunąć jedynie w tym wypadku, gdy odwiedzającą jest matka lub siostra. Zezwolenia takiego nie otrzymał oczywiście nigdy żaden mężczyzna.

Taka jest reguła św. Benedykta, zastrzona przez Marcina Verge.

Zakonnice tej reguły nie bywają wesole, rumiane, świeże, jak to się często zdarza w innych klasztorach. Są blade i poważne. Między rokiem 1825 a 1830 trzy z nich popadły w obłąkanie.

### III

#### Surowość życia klasztornego

Postulantką jest się co najmniej przez dwa lata, często przez cztery. Nowicjat trwa cztery lata. Składanie ślubów wieczystych przed dwudziestym trzecim lub dwudziestym czwartym rokiem życia należy do rzadkości. Wdowy nie są dopuszczane do zgromadzenia bernardynek-benedyktynek Marcina Vergi.

Zakonnice oddają się w swych celach licznym umartwieniom cielesnym, o których nie wolno im wspominać.

Gdy nowicjuszka składa śluby zakonne, siostry ubierają ją w najpiękniejsze szaty, wieńczą białymi różami, czeszą i zwijają jej włosy w pukle; tak przystrojona pada twarzą na ziemię, siostry przykrywają ją czarnym całunem i odprawiają nabożeństwo żałobne. Ustawiają się wówczas w dwa szeregi: pierwszy szereg, przechodząc obok leżącej, mówi na żałobną nutę: "Nasza siostra umarła", drugi odpowiada donośnym głosem: "Żyje w Chrystusie!"

W okresie, w którym rozgrywały się wydarzenia naszej opowieści, przy klasztorze mieścił się pensjonat. Pensjonat dla szlachetnie urodzonych panien, przeważnie bogatych, wśród których była panna de Sainte-Aulaire, panna de Bélissen i Angielka nosząca sławne nazwisko katolickiego rodu Talbotów. Młode dziewczęta, wychowywane przez zakonnice w zamknięciu klasztornym, rosły w bojaźni świata i świeckiego życia. Jedna z nich powiedziała nam pewnego razu: "Drżałam cała na sam widok ulicznego bruku". Pensjonarki nosiły niebieskie suknie, białe czepeczki i wizerunek Ducha Św. z połączanego srebra lub miedzi, przypięty na piersi. W niektóre wielkie święta, specjalnie w dniu św. Marty, pozwalano im - co było wielką łaską i najwyższym szczęściem - przywdziewać strój zakonny i przez cały dzień brać udział w nabożeństwach i praktykach reguły Św. Benedykta. Z początku zakonnice pożyczały pensjonarkom swych czarnych habitów. Przeorysza zakazała tego zwyczaju, uważając to za profanację. Wolno je było pożyczać tylko nowicjuszkom. Znamienny jest fakt, że te przebierania, które klasztor tolerował i do których prawdopodobnie zachęcał przez tajemne i żarliwe pragnienie, by dziewczęta zasmakowały w świętym stroju - były dla pensjonarek rzeczywistym szczęściem i prawdziwą rozrywką. Bawiło je to po prostu. To była nowość, to urozmaicało ich życie. Prostuduszne racje dzieciennego wieku, które zresztą nie

wytłumaczają nam, ludziom światowym, rozkoszy, jaką sprawia trzymanie w ręce kropidła lub wystawanie całymi godzinami śpiewając we cztery przy pulpicie.

Uczennice brały udział we wszystkich praktykach klasztornych z wyjątkiem umartwień. Niejedna młoda kobieta, wszedłszy w świat, i po kilku latach małżeństwa nie zdołała pozbyć się zwyczaju odpowiadania co prędzej: "Na wieki wieków", gdy ktoś stukał do jej drzwi. Pensjonarki - podobnie jak zakonnice - widywały swych rodziców tylko w rozmównicy. Nawet matka nie mogła uściskać własnej córki. Oto do jakiego stopnia była tam posunięta surowość pod tym względem. Pewnego dnia którąś z panienek odwiedziła matka z jej trzyletnią siostrzyczką. Dziewczyna płakała, bo chciała uściskać siostrzyczkę. To było niemożliwe. Prosiła, by pozwolono dziecku przesunąć przez kratę bodaj rączkę, aby mogła ją pocałować. Odmówiono jej tego niemal ze zgorszeniem.

## IV

### Dziecięce radości

Dziewczęta napełniły jednak to surowe domostwo uroczymi wspomnieniami.

W pewnych godzinach dziecięcy czar rozjaśniał cały klasztor. Dzwonek dzwonił na rekreację. Drzwi otwierały się szeroko. Ptaki szczebiotały: "A oto dzieci!" I wir młodości zalewał ogród przecięty krzyżem jak całun. Promienne twarzyczki, jasne czoła, niewinne oczy pełne wesołego blasku migotały wśród tych ciemności. Nagle, po kościelnych pieniach, po dzwonekach, sygnaturkach, dzwonach żałobnych, modłach - rozbrzmiewał tu gwar dziewczęcych głosów, słodszy nad brzęczenie pszczoł. Rozwierał się ul radości i każda z dziewcząt zносиła doń swój miód. Bawiły się, nawoływały, tworzyły małe gromadki, biegały. Śliczne białe ząbki szczebiotały po kątach; czarne welony czuwały z oddali nad tymi wybuchami śmiechu, cienie pilnowały promyków - ale cóż to mogło szkodzić! Dziewczątka śmiały się i promieniały. Posępne mury miawały swoją chwilę olśnienia. Rozjaśnione lekko odblaskiem takiej radości patrzyły na słodkie wirowanie dziecięcego roju. Jakby deszcz róż spadł wśród ciemności żałoby. Dziewczynki swawoliły pod okiem zakonnic: niewinności nie przeszkadza bezgrzeszne spojrzenie. Dzięki tym dzieciom wśród tylu godzin umartwień była godzina pogody. Małe skakały, starsze tańczyły. W tym klasztorze niebo uczestniczyło w zabawach. Trudno o widok bardziej zachwycający i dostojny zarazem nad wesołość tych młodziutkich dusz. Homer pośmiałby się tu razem z Perraultem; w tym ciemnym ogrodzie było tyle młodości, zdrowia, wrzawy, krzyków, pustoty, radości i szczęścia, że zdołałyby one rozpogodzić czoła wszystkich prababek, z epepei i z baśni, z pałaców królewskich i spod strzechy, od Hekuby począwszy aż po babunię Czerwonego Kapturka.

W klasztorze tym padło też więcej może niż gdziekolwiek owych dziecinnych powiedzeń, które są tak wdzięczne i wywołują uśmiech pełen zadumy. Między tymi czterema posępnymi murami pięcioletnia dziewczynka zawołała pewnego razu: "Proszę Matki! Jedna z «dużych» powiedziała mi, że będę tutaj już tylko dziewięć lat i dziesięć miesięcy. Jak to dobrze".

Tu również miała miejsce pamiętna rozmowa:

*Matka głosująca:* Czemu płaczesz, moje dziecko?

*Dziecko (sześćcioletnie) szlochając:* Powiedziałam Alicji, że umiem historię Francji. Ona mówi, że nie umiem, a ja umiem.

*Alicja (dziewięcioletnia, «duża»):* Nie, nie umie.

*Matka:* Skąd wiesz, moje dziecko?

*Alicja:* Bo ona mi powiedziała, żeby na chybił trafił otworzyć książkę, zadać jej pierwsze lepsze pytanie, a ona odpowie.

*Matka:* No i co?

*Alicja:* I nie umiała odpowiedzieć.

*Matka:* Co ty mówisz! O co ją zapytałaś?

*Alicja:* Otworzyłam książkę, tak jak mówiła, i zadałam jej pierwsze pytanie, które znalazłam.

*Matka:* Jakież było to pytanie?

*Alicja:* «Co było potem?»

Tam również została wypowiedziana głęboka uwaga na temat łakomej nieco papugi, należącej do jednej z pań pensjonariuszek: “Jakaż ona milutka! Oblizuje wierzch swojej kromki, zupełnie jak dorosła osoba!”

To na płycie kamiennej posadzki tego klasztoru znaleziono rachunek sumienia spisany dla pamięci na karteczce przez siedmioletnią grzesznicę:

*Ojciec duchowny, wyznaję, że byłam skapstwem. Ojciec duchowny, wyznaję, że byłam cudzołóstwem. Ojciec duchowny, wyznaję, że patrzyłam na panów.*

Na ławeczce zaś, stojącej na trawniku w ogrodzie różowe, sześćcioletnie usteczka, opowiedziały taką bajkę pięcioletnim niebieskim oczętom:

“Były sobie trzy małe kogutki. Miały swoje królestwo, w którym rosło dużo kwiatów. Pozrywały kwiaty i włożyły do swoich kieszonek. Potem pozrywały liście i włożyły do swoich zabawek. Był w tym królestwie wilk i było dużo lasów; wilk mieszkał w lesie. I zjadł trzy małe koguciki”.

I taki poemat:

*Raz ktoś kogoś uderzył.*

*To pajac uderzył kotka.*

*Kotkowi wcale nie było miło, kotka to zabolalo.*

*Więc jedna pani wsadziła pajaca do więzienia.*

Tam również mała sierotka, podrzutek wychowywany z litości w klasztorze, powiedziała te słodkie i dojmujące słowa. Przysłuchując się, jak inne dziewczynki opowiadały o swych matkach, szepnęła w swoim kąciku: “Jak ja się urodziłam, mojej mamy nie było przy mnie!”

Była tam gruba furtianka, która z pękiem kluczy uwijała się w wielkim pośpiechu po korytarzach, a której na imię było siostra Agata. “Największe” - te, które miały ponad dziesięć lat - przezywały ją Agatoklesem\*.

Refektarz, podłużna, prostokątna sala, do której światło padało poprzez sklepione krużganki, wiodące wprost do ogrodu, był mroczny, wilgotny i jak mówią dzieci - pełen “robaków”. Każde z sąsiednich pomieszczeń dostarczało tu swój kontyngent insektów. Toteż każdy z czterech kątów otrzymał w języku pensjonarek specjalną i wymowną nazwę. Był tam kąt Pająków, kąt Liszek, kąt Stonóg i kąt Świerszczy. Kąt Świerszczy przylegał do kuchni i był bardzo ceniony jako cieplejszy od innych. Z refektarza nazwy te przeniosły się na pensjonat i podobnie jak w dawnym kolegium Mazariniego służyły do rozróżniania czterech nacji. Każda uczennica należała do jednej z nich, zależnie od kąta refektarza, w którym miała swoje miejsce w czasie posiłków. Pewnego razu arcybiskup, odbywając wizytę pasterską, zobaczył, że do klasy, koło której przechodził, weszła śliczna, różowa dziewczuszka z pięknymi jasnymi włosami, i zapytał innej pensjonarki, uroczej brunetki o rumianych policzkach, stojącej obok niego:

- Kto to jest?
- To pająk, ekscelencjo.
- O! A tamta?
- Tamta, to świerszcz.
- A ta?
- To liszka.
- Doprawdy? A ty, moje dziecko?
- Ja jestem stonoga, ekscelencjo.

Każdy zakład tego rodzaju ma swoje osobliwości. Na początku naszego stulecia Ècouen było jednym z tych miejsc uroczych i surowych, gdzie w pełnym dostojęństwa zaciszu dziewczęta spędzały lata swego dzieciństwa. W Ècouen pensjonarki biorące udział w procesji Bożego Ciała dzieliły się na kwiaciarki i dziewice. Były również “baldachimy” i “kadzielnice”, bo jedne trzymały wstęgi baldachimu, a drugie niosły kadzielnicę przed

Najświętszym Sakramentem. Kwiaciarki sypały oczywiście kwiaty. Cztery “dziewice” szły w czole procesji. Rano, w dniu święta, można było słyszeć w sypialni pytanie. “Która z was jest dziewicą?”

Pani Campan<sup>\*</sup> przytacza słowa siedmioletniej “małej”, idącej na końcu, do szesnastoletniej “dużej”, która szła w czole procesji: “Ty jesteś dziewicą, a ja nie!”

---

\* W oryginale gra słów: Agathokles – Agata-klucze, Agata-klucznicza.

\* Jeanne-Louise Campan (1752-1822) - słynna wychowawczyni, lektorka córek Ludwika XV, potem dyrektorka szkoły w Ècouen dla dziewcząt, sierot po kawalerach Legii Honorowej.

## V

### Rozrywki

Nad drzwiami refektarza wielkimi czarnymi literami wypisana była modlitwa, zwana “Białym pacierzem”, tak skuteczna, że prowadziła ludzi wprost do raju.

“Paciorek biały, który Bóg ustanowił, który Bóg wypowiedział, który Bóg w raju umieścił. Gdy się kładłam spać wieczorem, trzy anioły przy łóżku mym stały: jeden w nogach, dwa przy wezgłowi, Święta Panienska Maryja pośrodku stała i rzekła mi, bym się na spoczynek ułożyła i w nic nie wątpiła. Dobry Bóg moim ojcem, Święta Dziewica mą matką; trzech apostołowie są mymi braćmi, trzy dziewice są mymi siostrami. Gieźleczo, w którym Bóg się narodził, okrywa moje ciało, krzyż św. Małgorzaty na piersi mej jest odbity; szła Święta Panienska polem, Jezuska opłakiwała; szła polem spłakana, spotkała świętego Jana. Skąd idziesz, Panie Święty Janie? Idę z Ave Salus. Nie widziałeś tam Jezusa ? Jest na drzewie krzyża, nogi mu wiszą, ręce mu przebili, na głowę wieniec z białych cierni włożyli. Kto odmówi trzy razy wieczorem i trzy razy z rana - po śmierci raju dostąpi i ujrzy Pana.”

W roku 1827 ta modlitwa, tak charakterystyczna, znikła ze ściany pod potrójnym pokładem wapna. Obecnie zaciera się w pamięci tych, które wówczas były młodymi dziewczętami, a dziś są starymi kobietami.

Wielki krucyfiks, wiszący na ścianie, uzupełniał ozdoby refektarza, którego jedyne drzwi - jak już wspominaliśmy chyba - wychodziły na ogród. Dwa wąskie stoły, a po obu ich stronach drewniane ławy, ciągnęły się równoległymi liniami, z jednego końca refektarza w drugi. Ściany były białe, stoły czarne; te dwa kolory żałoby są jedyną odmianą dopuszczaną w klasztorach. Posiłki były marne i nawet posiłki dzieci bardzo skromne. Jedno danie: mięso wraz z jarzyną lub solona ryba - to cały zbytek. A i ten skąpy, codzienny wikt, przeznaczony wyłącznie dla pensjonarek, stanowił wyjątek. Dzieci jadły w milczeniu, pod badawczym spojrzeniem matki dyżurnej, która - jeśli jakaś mucha odważyła się czasem przelecieć i bzyknąć wbrew nakazanej ciszy, z hałasem otwierała i zamykała oprawną w drzewo księgę. Ciszę urozmaicały żywoty świętych, czytane głośno z małej katedry stojącej u stóp krzyża. Czytały je starsze uczennice, zmieniając się co tydzień. Na gołych stołach stały - w pewnych

odstępach - polewane miski, w których pensjonarki same myły swe garnuszki i sztucce, a niekiedy wrzucały resztki posiłku, twardy kawałek mięsa lub zepsutą rybę, co było karane. Miski te nazywano "sadzawkami".

Dziewczynka, która przerywała ciszę, robiła "krzyż językiem". Gdzie? Na ziemi. Musiała lizać podłogę. Proch - kres wszelkich uciech - miał karać biedne listeczki róży za to, że zgrzeszyły szczebiotem.

W klasztorze znajdowała się pewna księga, wydana w jednym "jedynym egzemplarzu", której nie wolno było czytać. Była to reguła św. Benedykta; tajemnica, której nie powinno skalać oko profana. *Nemo regulas, seu constitutiones nostras, externis communicabit*.\*

Pewnego razu pensjonarki dorwały się do niej i zaczęły ją chciwie pochłaniać, co chwilę przerywając czytanie i pośpiesznie zamykając księgę ze strachu, by ich nie przyłapano na gorącym uczynku. Naraziły się na wielkie niebezpieczeństwo dla niewielkiej uciechy. Kilka niezrozumiałych stron o grzechach młodych chłopców - oto co znalazły "ciekawego".

W ogrodzie dziewczynki bawiły się w alei, obsadzonej kilku wątlymi drzewami owocowymi. Mimo ścisłego nadzoru i srogości kar udawało im się czasem, gdy wiatr otrząsnął owoce z drzew, podnieść ukradkiem zielone jabłko, nadpsutą morelę, czy robaczywą gruszkę. A teraz niech mówi list, który mam przed sobą, pisany dwadzieścia pięć lat temu przez dawną pensjonarkę, która dziś jest księżną de X, jedną z najwytworniejszych dam Paryża. Cytuję dosłownie:

*Każda ukrywa gruszkę czy jabłko, jak może. Gdy, czekając na kolację, wchodzimy do sypialni złożyć welony na łóżku, wsuwa się owoc pod poduszkę i zjada się go w łóżku wieczorem, a jeśli się to nie uda, zjada się go w wygodce.*

Taka była jedna z największych pensjonarskich rozkoszy.

Pewnego razu - również w czasie odwiedzin arcybiskupa w klasztorze - jedna z dziewcząt, panna Bouchard, mająca w sobie trochę krwi rodu Montmorency, założyła się, że poprosi go o dzień zwolnienia, co było w zgromadzeniu tak surowym rzeczą niesłychaną. Zakład został przyjęty, ale żadna z dziewczynek, które się założyły, w to nie wierzyła. W odpowiedniej chwili, kiedy arcybiskup przechodził wzdłuż szeregu pensjonarek, panna Bouchard, ku nieopisanemu przerażeniu koleżanek, wystąpiła z szeregu i rzekła: "Ekscelencjo, proszę o dzień zwolnienia". Panna Bouchard była hoża, wysoka i miała miłą,

zalotną minkę. Ksiądz de Quélen uśmiechnął się i odrzekł: “Jak to, drogie dziecko, tylko jeden dzień? Trzy dni, jeśli chcesz. Daję ci trzy dni zwolnienia”. Skoro biskup tak powiedział, przeorysza nie mogła oponować. W klasztorze - zgorzenie, w pensjonacie - radość! Sami osądźcie wrażenie.

Ten srogi klasztor nie był jednak tak obwarowany, by życie, namiętności, dramat, nawet miłość nie przenikały do niego ze świata. Aby to udowodnić, ograniczymy się tu do stwierdzenia i opowiedzenia pokrótce pewnego rzeczywistego i nie ulegającego wątpliwości faktu, który zresztą nie ma żadnego związku z naszą opowieścią ani żadną nicią z nią się nie łączy. Wspominamy o nim, by uzupełnić w umyśle czytelnika sylwetkę klasztoru.

W owym czasie żyła w klasztorze pewna tajemnicza osoba - traktowana z wielkimi względami, a zwana panią Albertyną - która nie była zakonnicą. Wiedziano tylko, że jest obłąkana i że świat uważa ją za zmarłą. Podobno w tej historii kryły się układy majątkowe, konieczne dla zawarcia jakiegoś świętego małżeństwa.

Ta zaledwie trzydziestoletnia kobieta, dość piękna brunetka, spoglądała błędnie przed siebie wielkimi czarnymi oczyma. Czy co widziała? Wątpiono w to. Snuła się raczej, niż chodziła; nie mówiła nigdy. Wydawać się mogło, że nie oddycha. Nos miała ściągnięty i błądy jak po wydaniu ostatniego tchnienia. Dotykając jej ręki, miało się wrażenie, że się dotyka śniegu. Miała dziwny, widmowy urok. Gdy wchodziła, robiło się zimno. Pewnego dnia, widząc ją przechodzącą mimo, jedna z sióstr rzekła do drugiej: “Uchodzi za zmarłą”. - “A może jest nią rzeczywiście...” - odparła tamta.

O pani Albertynie krążyło tysiące opowieści. Stanowiła przedmiot wiecznego zainteresowania pensjonarek. W kaplicy była łoża, zwana “przedpokojem”; w tej to łoży z owalnym oknem pani Albertyna siadywała w czasie nabożeństw. Zazwyczaj znajdowała się w niej sama, gdyż z tej łoży, umieszczonej na pierwszym piętrze, widać było kaznodzieję czy celebransa, co było zabronione zakonnicom. Pewnego razu na kazalnicę wszedł młody kapłan znakomitego rodu, ksiązę de Rohan, par Francji, który w roku 1815 - jako ksiązę de Leon - był oficerem czerwonych muszkietierów, zmarł zaś po roku 1830 jako kardynał i arcybiskup Besancon. Było to pierwsze kazanie księcia de Rohan w klasztorze Petit-Picpus. Pani Albertyna, obecna zazwyczaj na nabożeństwach i kazaniach, zachowywała zawsze głęboki spokój i siedziała bez ruchu. Tego dnia, jak tylko zobaczyła księcia de Rohan, uniosła się nieco i - wśród ciszy kaplicy - zawołała głośno: “O, August!” Zdumione zakonnice odwróciły głowy w jej stronę, kaznodzieja podniósł na nią wzrok, ale pani Albertyna powróciła już do swego zwykłego stanu. Wiew zewnętrznego świata, odbłask życia musnęły

---

\* Nikt nie wyjawia naszych przepisów czy postanowień obcym.

przelotnie tę twarz zgasła i zlodowaciała, potem wszystko znikło i obłąkana znów stała się trupem.

Ale ten okrzyk stał się w klasztorze przedmiotem rozmów tych wszystkich, które mogły gadać. Ileż treści w tym "O, August!", ileż rewelacji! Istotnie, księżę de Rohan miał na imię August. Pani Albertyna należała widocznie do najświetniejszego towarzystwa, skoro znała księcia de Rohan i musiała zajmować w tym świecie wysoką pozycję, skoro do tak wielkiego pana mówiła tak poufale; musiały też łączyć ją z nim stosunki, pokrewieństwo może, na pewno jednak stosunki bliskie, skoro mówiła do niego po imieniu.

Dwie księżne, ogromnie surowe, panie de Choiseul i de Serent, zapewne na mocy przywileju *Magnates mulieres* odwiedzały często klasztor, napawając trwogą pensjonat. W obecności tych dwóch starszych dam wszystkie biedne dziewczęta drżały i spuszczały oczy.

Księżę de Rohan stał się - sam o tym nie wiedząc - przedmiotem szczególnej uwagi pensjonarek. W owym czasie, przed otrzymaniem biskupstwa, został mianowany wikariuszem generalnym przy arcybiskupie Paryża. Miał zwyczaj odprawiać dość często nabożeństwa w kaplicy zakonnic z Petit-Picpus. Żadna z młodych pustelnic, zasłoniętych kotarą z szarszy, nie mogła go widzieć, ale nauczyły się rozpoznawać jego głos łagodny i nieco drżący. Był niegdyś muszkietierem; opowiadano też, że jest bardzo zalotny, że ma piękne, kasztanowate włosy, kunsztownie ułożone wokół głowy, że nosi wspaniałą, szeroką, czarną szarfę i jego czarna sutanna jest bardzo wytwornego kroju. Ogromnie zaprzętał swoją osobą szesnastoletnie wyobraźnie.

Żaden dźwięk z zewnątrz nie przenikał do klasztoru. Jednakże któregoś roku dotarł tu głos fletu. Było to wydarzenie, o którym pensjonarki z owych czasów pamiętają dziś jeszcze.

Ktoś w sąsiedztwie grał na flecie. Grał zawsze tę samą piosenkę dawno już zapomnianą: "O Zétulbé, tyś duszy mej królową"; słyszano ją parokrotnie w ciągu dnia.

Dziewczęta wsłuchiwały się w te dźwięki całymi godzinami, matki zakonne były przerażone i wzburzone, młode wyobraźnie pracowały, kary sypały się jak grad. Trwało to kilka miesięcy. Wszystkie pensjonarki - jedne mniej, inne bardziej - kochały się w nieznanym grajku. Każda marzyła, że jest ową Zétulbé. Dźwięki fletu dochodziły od strony ulicy Droit-Mur; dziewczęta byłyby wszystko dały, wszystko poświęciły, na wszystko się odważyły, żeby bodaj na chwilę, bodaj ukradkiem, bodaj z daleka zobaczyć owego "młodzieńca", który tak cudnie grał na flecie i - nie wiedząc o tym - grał równocześnie i na ich sercach. Kilka pensjonarek wymknęło się przez kuchenne wejście i wdrapało na trzecie piętro od strony ulicy Droit-Mur, by coś wypatrzeć przez okienko wychodzące na sąsiednią posesję. Daremnie! Jedna z nich odważyła się wysunąć rękę przez kraty i machała białą

chusteczką. Dwie były jeszcze zuchwalsze. W jakiś sposób wdrapały się na dach i zdołały wreszcie zobaczyć “młodzieńca”. Był to stary szlachcic, emigrant, ślepy i zrujnowany, który na swym poddaszu grał na flecie, by rozproszyć nudę.

## VI

### Mały klasztor

W obrębie klasztoru Petit-Picpus istniały trzy zupełnie odrębne budynki: duży klasztor, w którym mieszkały zakonnice, pensjonat, zajmowany przez uczennice i wreszcie tak zwany "mały klasztor". Był to dom z ogrodem, zamieszkały przez różne stare zakonnice najrozmaitszych reguł, niedobitki z klasztorów zniszczonych przez rewolucję; pstrokata czarno-szaro-biała mieszanina wszelkich możliwych zgromadzeń zakonnych i wszelkich odmian. Można by to było nazwać "klasztor-arlekin", gdyby wypadało użyć tego określenia.

Od czasów Cesarstwa wszystkim biednym, rozproszonym i bezdomnym siostrom pozwolono schronić się tutaj, pod skrzydła benedyktynek-bernardynek. Rząd wypłacał im małą pensyjkę; panny benedyktynki przyjęły je serdecznie. Przedziwna to była mieszanina. Każda zakonnica zachowywała swoją regułę. Czasami - jako wielką przyjemność - pozwalano pensjonarkom je odwiedzać; dzięki temu w młodych umysłach zachowały się wspomnienia o matce Bazylii, o matce Scholastyce i matce Jakubie.

Jedna z tych, które tu znalazły schronienie, była prawie jak u siebie. Była to zakonnica z klasztoru Sainte-Aure, jedyna z całego zgromadzenia, która pozostała przy życiu. Dawniej, na początku XVIII w., klasztor panien Sainte-Aure mieścił się właśnie w budynku przy ulicy Petit-Picpus, który później objęły benedyktynki Marcina Vergi. Ta świątobliwa osoba, zbyt uboga, by nosić wspaniałe strój swojego zakonu - biały habit ze szkarłatnym szkaplerzem - ubrała tak z pietyzmem mały manekin, który chętnie pokazywała, i umierając przekazała klasztorowi. Z całego tego zgromadzenia w roku 1824 pozostała tylko jedna zakonnica; dziś - została po nim tylko lalka.

Oprócz zacnych matek kilka starych pań ze świata, podobnie jak pani Albertyna, uzyskało od matki przełożonej pozwolenie schronienia się w małym klasztorze. Do tych pań należała pani de Beaufort d'Hautpoul i markiza Dufresne. Była jeszcze jedna, znana w klasztorze jedynie z niezmiernego hałasu, który czyniła, wycierając sobie nos. Uczennice nazwały ją panią Hałaśnicką.

Około roku 1820 czy 1821 pani de Genlis, kierująca wówczas pismem "Nieustraszony", poprosiła o pozwolenie zamieszkania w Petit-Picpus. Polecał ją książę Orleanu. W ulu zawrzało; matki drżały: pani de Genlis pisywała romanse. Oświadczyła

jednak, że pierwsza ma swe romanse w pogardzie - przeżywała właśnie okres zażartej dewocji - więc z pomocą bożą i książęcą pani de Genlis zamieszkała w klasztorze. Opuściła go po sześciu czy ośmiu miesiącach, gdyż jak mówiła, w ogrodzie nie było cienia. Zakonnice były tym zachwycone. Choć bardzo już leciwa, pani de Genlis grywała jeszcze na harfie, i to bardzo dobrze.

W celi pozostały ślady jej obecności. Pani de Genlis była przesądna i znała łacinę. Te dwa słowa malują dość dobrze jej sylwetkę. Jeszcze parę lat temu w jej celi, wewnątrz szafki, w której chowała srebra i klejnoty, można było oglądać naklejoną kartkę z łacińskim pięciowierszem, wypisanym jej ręką czerwonym atramentem na żółtym papierze; wiersze te, w jej mniemaniu, miały właściwość odstraszenia złodziei.

*Imparibus meritis pendent tria corpora ramis:*

*Dismas et Gesmas, media est divinapotestas;*

*Alta petit Dismas, infelix infima, Gesmas.*

*Nos et res nostras conservet summa potestas.*

*Hos versus dicas, ne tu furto tuaperdas\*.*

Wiersze te, pisane średniowieczną łaciną, stawiają problem, czy dwaj łotrowie na krzyżu zwali się, jak się powszechnie mniema, Dimas i Gestas, czy też Dismas i Gesmas. Ta różnica w pisowni mogłaby podważyć roszczenia wicehrabiego de Gestas, który w ubiegłym stuleciu chciał wywodzić swój ród od złego łotra. Zresztą użyteczna skuteczność, przypisywana tym wierszom, stanowi u szarytek artykuł wiary.

Kościół klasztorny zbudowany tak, że niczym cięcie oddzielał klasztor od pensji, był oczywiście wspólny dla pensji, klasztoru i "małego klasztoru". Nawet publiczność mogła tu wchodzić przez małe wejście od ulicy. Wszystko jednak urządzone w ten sposób, by żadna mieszkanka klasztoru nie mogła zobaczyć obcej twarzy. Wyobraźcie sobie kościół, gdzie jakaś ręka olbrzyma chwyciła prezbiterium i zgięła je, by nie tworzyło, jak zwykle w kościołach, przedłużenia za ołtarzem, lecz rodzaj małej sali czy mrocznej grotty po prawej stronie celebransa; wyobraźcie sobie jeszcze, że salę tę odgradza zasłona wysokości siedmiu stóp, o której już wspominaliśmy. W cieniu tej zasłony zgromadźcie w drewnianych stallach - po lewej stronie zakonnice pierwszego chóru, po prawej stronie - pensjonarki, w głębi

---

\* Trzy ciała o niejednakowych zasługach wiszą na krzyżach: Dismas i Gesmas, w środku potęga boska; Do nieba dąży Dismas, a nieszczęsny Gesmas do piekła. Niech najwyższa potęga chroni nas i nasze rzeczy. Mów te wiersze, byś nie został okradziony.

–siostry konwerski i nowicjuszek, a będziecie wtedy mieli pewne pojęcie o tym, w jaki sposób zakonnice z Petit-Picpus brały udział w nabożeństwach. Korytarz łączył tę grootę zwaną chórem z klasztorem. Okna kościoła wychodziły na ogród. Gdy zakonnice asystowały na tych nabożeństwach, na których reguła nakazywała im milczenie, jedynie stuk podnoszonych czy opadających podpór w stallach zdradzał wiernym ich obecność.

## VII

### **Kilka sylwetek rysujących się w tym mroku**

Przez sześć lat - między rokiem 1819 a 1825 - przeoryszą klasztoru była panna de Blemeur, w zakonie matka Innocenta. Pochodziła z tej samej rodziny co Małgorzata de Blemeur, autorka "Żywotów świętych zakonu Św. Benedykta". Wybrano ją po raz wtóry. Była to kobieta sześćdziesięcioletnia, niska i tęga, według cytowanego już listu głos miała "jak pęknięty garnek", zresztą osoba przezacna, jedyna wesoła istota w całym klasztorze i za to bardzo przez wszystkich kochana.

Matka Innocenta wdała się w swą krewniaczkę Małgorzatę, tę Dacier\* zakonu. Była wykształcona, odcytana, światła, biegła w wielu sprawach, rozmiłowana w historii, z głową nafaszerowaną łaciną, napchaną greką, nabitą hebrajszczyzną. Benedyktyn raczej niż benedyktynka. Wiceprzełożoną była matka Cineres, stara, na pół ślepa Hiszpanka.

Z matek "głosujących" największym autorytetem cieszyły się: matka Honoryna, skarbniczka, matka Gertruda, pierwsza mistrzyni nowicjatu, matka od Św. Anioła, druga mistrzyni nowicjatu, matka Anuncjata, zakrystianka, matka Augustyna, infirmierka, jedyna złośliwa osoba w całym klasztorze; następnie młodziutka, obdarzona cudownym głosem matka Mechtylda (panna Gauvin), matka od Aniołów (panna Drouet), która poprzednio była w klasztorze Panien Bożych i w klasztorze Tresor między Gisors i Magny, matka Józefa (panna de Cogolludo), matka Adelajda (panna d'Auverney), matka od Miłosierdzia Bożego (panna de Cifuentes, która nie mogła znieść srogiej reguły), matka od Matki Boskiej Bolesnej (panna de la Miltiere, przyjęta wbrew regule w sześćdziesiątym roku życia, bardzo bogata), matka od Opatrzności Bożej (panna de Laudiniere), matka od Ofiarowania Panny Marii (panna de Siguenza), która w roku 1847 została przeoryszą; matka Celina (siostra rzeźbiarza Cerracchi), która popadła w obłąd, i matka Chantal (panna de Suzon), również dotknięta obłądem.

Do najpiękniejszych zakonnice należała śliczna, dwudziestotrzyletnia dziewczyna z wyspy Bourbon, pochodząca z rodu kawalera Roze i w świecie nosząca nazwisko panny Roze, tu zaś - matki od Wniebowzięcia.

---

\* Anna Dacier (1654-1720) - tłumaczka "Iliady" i "Odysei" na język francuski.

Matka Mechtylda, która śpiewała i prowadziła chór, chętnie brała do niego pensjonarki. Zazwyczaj dobierała sobie z nich całą gamę, tzn. ustawiała według wzrostu i głosów siedem dziewczynek od lat dziesięciu do szesnastu i kazała im śpiewać, stojąc w rzędzie od najmniejszej do największej. Na patrzących sprawiało to wrażenie fujarki złożonej z młodych dziewcząt, czegoś w rodzaju żywej fletni bożka Pana, zrobionej z aniołów.

Spośród sióstr konwerek pensjonarki najbardziej lubiły siostrę Eufrazję, siostrę Małgorzatę, nieco zdziecinniałą siostrę Martę i siostrę Michalinę, której długi nos pobudzał je do śmiechu.

Wszystkie te kobiety były łagodne dla dzieci, surowe tylko dla siebie. Jedynie w pensjonacie palono w piecach, a pożywienie dziewcząt w porównaniu z wiktem zakonnice było wyszukane. Ponadto tysiące innych dowodów troskliwości. Tylko jeśli któraś z dziewcząt, przechodząc, zagadnęła zakonnice, zakonnica nie odpowiadała nigdy.

Ten obowiązek milczenia sprawił, że w całym klasztorze mowa została odjęta istotom ludzkim, a dana przedmiotom martwym. To przemawiał dzwon kościelny, to znów dzwonek ogrodnika. Umieszczona przy furtiance donośna kołatka, którą słyszeć było w całym domu, oznajmiała dzwoniąc na różne sposoby - niczym rodzaj akustycznego telegrafu - wszystkie czynności życia codziennego, które należało wykonać, i w razie potrzeby wzywała do rozmównicy tę czy inną mieszkankę klasztoru. Każda osoba i każda czynność miała swój dzwonek. Na przełożoną dzwoniło raz - i raz; na wiceprzełożoną raz - i dwa; sześć - i pięć dzwonek wzywało na lekcje, tak że uczennice nie mówiły nigdy, iż idą do klasy, lecz "na sześć - pięć". Cztery - cztery to był dzwonek pani de Genlis. Rozlegał się bardzo często. "Poczwórny diabeł" - mówiły o nim osoby nie grzeszące wyrozumiałością. Dziesięć - i dziewięć uderzeń obwieszczało wielkie wydarzenie. Oznaczało otwarcie "bramy klauzury", odstraszałającej, żelaznej płyty najeżonej ryglami, które rozsuwały się tylko dla arcybiskupa.

Jak już wspomnieliśmy, poza arcybiskupem i ogrodnikiem żaden mężczyzna nie wchodził do klasztoru. Pensjonarki widywały jeszcze dwóch innych: jednym był jałmużnik, ksiądz Banes, stary i szpetny, którego mogły oglądać przez kratę chóru; drugim zaś nauczyciel rysunków pan Ansiaux; list, z którego przytoczyliśmy kilka wierszy, nazywa go "panem Anciot" i określa jako "starego, szkaradnego garbusa".

Jak z tego widać, wszyscy mężczyźni byli starannie dobrani.

Taki był ten niezwykły dom.

## VIII

### “Post corda lapides”\*

Naszkiecowawszy oblicze duchowe tego miejsca, nie od rzeczy będzie opisać w paru słowach jego wygląd zewnętrzny. Czytelnik ma już o nim niejaki wyobrażenie. Klasztor Petit-Picpus-Saint-Antoine wypełniał prawie całkowicie wielki trapez utworzony przez ulicę Polonceau, ulicę Droit-Mur, uliczkę Picpus i zamurowaną uliczkę zwaną na starych planach ulicą Aumarais. Te cztery ulice otaczały ów trapez, niczym fosa. Klasztor składał się z kilku budynków i ogrodu. Budynek główny, wzięty jako całość, był zlepkiem różnorodnych budowli, które, widziane z lotu ptaka, tworzyły dość wierny zarys leżącej na ziemi szubienicy. Długie ramię owej szubienicy zajmowało cały odcinek ulicy Droit-Mur, zawarty między uliczką Picpus a ulicą Polonceau; wysoka, szara, posępna, zakratowana fasada domu, wychodząca na ulicę Picpus, stanowiła krótsze ramię, które kończyło się bramą oznaczaną numerem 62. Mniej więcej pośrodku owej fasady kurz i pył przyprószyły stare, niskie, sklepienie drzwi, na których pająki rozpinały swe pajęczyny; drzwi te otwierały się, na godzinę lub dwie, jedynie w niedzielę i w tych rzadkich wypadkach, gdy trumna którejś z zakonnice opuszczała klasztor. Było to zewnętrzne wejście do kościoła. W kącie, utworzonym przez ramiona, znajdowała się kwadratowa sala, zajęta przez część gospodarczą i zwana przez zakonnice “szafarnią”. W długim ramieniu szubienicy mieściły się cele matek i sióstr oraz nowicjatek. W krótszym - kuchnie, refektarz z krużgankiem i kościół. Między bramą numer 62 a zakończeniem ślepej uliczki Aumarais znajdował się pensjonat, z zewnątrz niewidoczny. Resztę trapezu zajmował ogród, znacznie niżej położony niż ulica Polonceau, co sprawiało, iż mury od wewnątrz były znacznie wyższe niż od zewnątrz. Pośrodku ogrodu o powierzchni nieco wypukłej, na szczycie pagórka rósł piękny, strzelisty, stożkowaty świerk, od którego - jak od środka tarczy - biegły cztery szerokie aleje, a między nimi, po dwie, osiem mniejszych; gdyby ogród miał kształt kołysty, plan geometryczny owych alei przypominałby krzyż wpisany w koło. Wszystkie aleje dochodziły do murów i z powodu ich nieregularnej linii były nierównej długości. Obrzeżały je krzewy porzeczek. W głębi wysadzana wysokimi topolami aleja wiodła od ruin dawnego klasztoru, znajdujących się przy rogu ulicy Droit-Mur, do małego klasztoru położonego przy rogu uliczki Aumarais. Przed małym klasztorem był tak zwany

---

\* Po sercach kamienie.

ogródek. Do tego wszystkiego dodajcie podwórze, różne załamania utworzone przez wewnętrzne budynki, więzienne mury, za całą perspektywę i za całe sąsiedztwo - długą, czarną linię dachów, obrzeżających drugą stronę ulicy Polonceau, a będziecie mieli pełny obraz tego, czym był czterdzieści pięć lat temu klasztor bernardynek z Petit-Picpus. Ten święty dom wybudowano dokładnie na miejscu dawnego domu gry w piłkę, głośnego między XIV a XVI wiekiem i zwanego "spelunką stu tysięcy diabłów".

Ulice te należały do najstarszych w Paryżu. Nazwy ich, Droit-Mur i Aumarais, są bardzo stare, ulice, które je noszą, są starsze. Uliczka Aumarais nazywała się uliczką Maugout; ulica Droit-Mur nazywała się des Eglantiers, gdyż Bóg rozwijał kwiaty, zanim człowiek zaczął ciosać kamienie.

## IX

### Stulecie pod kwefem

Skoro opowiadamy szczegółowo o tym, czym był ongiś klasztor Petit-Picpus, i skoro odważyliśmy się zajrzeć do tego cichego ustronia, niech czytelnik zezwoli nam jeszcze na małą dygresję, która nie wiąże się z naszą książką, ale jest charakterystyczna i użyteczna, gdyż dowodzi, że nawet w klasztorze zdarzają się osobliwe postacie.

W małym klasztorze mieszkała stuletnia staruszka, która przybyła tu z opactwa Fontevrault. Przed rewolucją była osobą światową. Często mówiła o panu de Miromesnil, ministrze sprawiedliwości za Ludwika XVI, i o prezesowej Duplat, swojej dobrej znajomej. Przy każdej okazji chętnie i z pewną chełpliwością wtrącała te dwa nazwiska. Opowiadała cuda o opactwie Fontevrault: że wyglądało niczym miasto i że w obrębie klasztoru biegly ulice.

Miała akcent pikardyjski, który śmieszył pensjonarki. Co rok odnawiała uroczyście śluby i w momencie składania przysięgi mówiła do kapłana: “Jego świątobliwość święty Franciszek złożył ją jego świątobliwości świętemu Julianowi. Jego świątobliwość święty Julian złożył ją jego świątobliwości świętemu Euzebiuszowi. Jego świątobliwość święty Euzebiusz złożył ją jego świątobliwości świętemu Prokopowi - itd., itd, i ja składam ją tobie, mój ojczy”. Tu pensjonarki zaczynały się śmiać, wprawdzie nie pod wąsem, ale pod welonem; urocze, przytłumione śmieszki wywołujące u matek głosujących zmarszczenie brwi.

Czasami wiekowa staruszka opowiadała różne historyjki. Mówiła, że “za czasów jej młodości bernardyni w niczym nie ustępowali muszkietierom”. Osiemnasty wiek przemawiał przez te stuletnie usta. Opowiadała o obyczaju “czterech win”, znanym w Szampanii i Burgundii. Przed rewolucją, gdy przez któreś z miast tych prowincji przejeżdżała jakaś wybitna osobistość: marszałek Francji, książę, diuk czy par, przedstawiciele miasta wychodzili mu na spotkanie z oracją i ofiarowywali cztery srebrne czarki, napełnione czterema gatunkami wina. Na pierwszym pucharu czytałeś napis: “Wino małpie”, na drugim: “Wino lwie”; na trzecim: “Wino baranie” na czwartym: “Wino świńskie”. Te cztery napisy przedstawiały cztery stopnie pijaństwa: pierwszy rozwesela, drugi rozdrażnia, trzeci otepia i ostatni wreszcie - ogłupia.

Zakonnica ta trzymała w szafie pod kluczem jakiś tajemniczy przedmiot, do którego przywiązywała wielką wagę. Reguła Fontevrault nie wzbraniała jej tego. Nikomu nie chciała pokazać tajemniczego przedmiotu. Ilekroć miała ochotę nań popatrzeć, kryła się i zamykała w celi, na co reguła również jej zezwalała. Gdy słyszała kroki na korytarzu, zamykała szafę tak prędko, jak na to pozwalały jej starcze ręce. Kiedy ktoś zaczynał mówić na ten temat, osoba ta, tak zazwyczaj rozmowna, milkła. Najbardziej wścibskim nie udało się przełamać jej milczenia, najbardziej natrętnym - jej uporu. Stanowiło to również temat komentarzy dla osób, które w klasztorze miały mało zajęcia lub nudziły się. Jakaż to rzecz bezcenna i tajemnicza mogła być skarbem staruszki? Zapewne jakaś świętobliwa księga? A może rzadki szkaplerz? Jakaś autentyczna relikwia? Gubiono się w domysłach. Gdy biedna starowina umarła, pospieszono do szafy szybciej może, niżby wypadało, i otworzono ją. Odnaleziono przedmiot, potrójnie zawinięty w płótno, jak poświęcana patena. Był to talerz z Faenzy, wyobrażający ulatujące amorki, ścigane przez aptekarzyków uzbrojonych w olbrzymie lewatywy. Gonitwa obfitująca w pocieszne pozy i grymasy. Jeden z uroczych amorków już jest nadziany jak na rożen, szamocze się, trzepocze skrzydełkami, stara się jeszcze odlecieć, ale żartowniś śmieje się szatańskim śmiechem. Morał: ból brzucha silniejszy jest od miłości. Talerz ów, zresztą bardzo ciekawy, który dostąpił może tego zaszczytu, że natchnął Moliera, istniał jeszcze we wrześniu 1845 roku; był wystawiony na sprzedaż w sklepie ze starzyzną na bulwarze Beaumarchais.

Zacna staruszka nie chciała przyjmować żadnych odwiedzin ze świata, gdyż jak mawiała, rozmównica jest zbyt ponura.

## X

### Geneza Nieustającej Adoracji

Ta rozmównica podobna do grobowca, o której staraliśmy się dać wyobrażenie, jest zjawiskiem czysto lokalnym, nie występującym z równą surowością w innych klasztorach. Na przykład w klasztorze przy ulicy Tempie, należącym wprawdzie do innego zgromadzenia, czarne zasłony zastąpiono brązowymi portierami, a sama rozmównica była salonem z posadzką, z oknami ujętymi w białe, muślinowe firanki i ścianami obwieszonymi najrozmaitszymi obrazami: wisiał tam portret benedyktyнки z odsłoniętą twarzą, malowane kwiaty, a nawet głowa Turka.

W ogrodzie klasztoru przy ulicy Tempie rósł ów kasztanowiec indyjski, uchodzący za największy i najpiękniejszy okaz we Francji i w XVIII wieku cieszący się wśród ludu sławą “ojca wszystkich kasztanów królestwa”.

Powiedzieliśmy już, że klasztor Tempie zajmowały benedyktyнки Nieustającej Adoracji, zupełnie różne od tych, które wywodziły się z Citeaux. Zakon Nieustającej Adoracji powstał stosunkowo niedawno i nie liczy więcej niż dwieście lat. W roku 1649 Najświętszy Sakrament został w ciągu paru dni dwukrotnie sprofanowany w dwóch kościołach Paryża: w kościele Św. Sulpicjusza i Św. Jana na placu Greve; to świętokradztwo, przerażające i niezwykle, poruszyło całe miasto. Opat i wikary generalny z Saint-Germain-des-Pres zarządził uroczystą procesję całego swego duchowieństwa, prowadzoną przez nuncjusza papieskiego. Ale ta ekspiacja wydawała się nie wystarczająca dwom zacnym niewiastom: pani Courtin, markizie de Boucs, i hrabinie de Chateaufieux. Zniewaga wyrządzona Najświętszemu Sakramentowi Ołtarza, chociaż należała już do przeszłości, nie dawała spokoju tym świątobliwym duszom. Sądziły, że może być naprawiona jedynie przez “Nieustającą Adorację” w którymś z żeńskich klasztorów. Obie - jedna w 1652, druga w 1653 roku - zapisały znaczne sumy matce Katarzynie de Bar, zwanej matką od Najświętszego Sakramentu, benedyktyńce, dla ufundowania w tym zbożnym celu klasztoru reguły św. Benedykta; pierwszego pozwolenia na tę fundację udzielił matce Katarzynie de Bar ksiądz de Metz, opat Saint-Germain, “z tym zaleceniem, że żadna z panien nie może być przyjęta, jeśli nie wniesie wiana trzystu liwów, które dadzą sześć tysięcy liwów kapitału”. Po opacie z

Saint-Germain król udzielił swego dyplomu i oba te dokumenty - list erekcyjny i list królewski - zostały zatwierdzone przez Izbę Rozrachunkową i parlament w roku 1654.

Taka jest geneza i podstawa prawna ustanowienia benedyktynek Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu w Paryżu. Ich pierwszy dom został założony przy ulicy Cassette za talary pań de Boucs i de Chateaufieux.

Jak widzimy, to zgromadzenie niewiele miało wspólnego z benedyktynkami z Citeaux. Zależało ono od opata z Saint-Germain-des-Pres, tak samo jak zakonnice Sacre-Coeur zależą od generała jezuitów, a siostry miłosierdzia od generała lazarystów.

Różniło się ono także od bernardynek z klasztoru Petit-Picpus, którego wewnątrz opisaliśmy przed chwilą. W roku 1657 papież Aleksander VII specjalnym brewe zezwolił, by bernardynki z Petit-Picpus praktykowały Nieustającą Adorację tak samo jak benedyktyнки-sakramentki. Niemniej jednak oba te zakony pozostały nadal zupełnie różne.

## XI

### Koniec klasztoru Petit-Picpus

Od początku Restauracji klasztor Petit-Picpus zamierał, co stanowiło część ogólnego zamierania zakonu, który od końca XVIII wieku zanika jak wszystkie w ogóle religijne zgromadzenia. Kontemplacja, na równi z modlitwą, jest potrzebą ludzkości; ale podobnie jak wszystko, czego tknęła rewolucja, odmieni się i z wroga postępu społecznego stanie się jego sprzymierzeńcem.

Klasztor Petit-Picpus wyludniał się gwałtownie. W roku 1840 znikł mały klasztor; znikła również pensja. Nie było już ani staruszek, ani młodych dziewcząt; pierwsze poumierwały, drugie poszły w świat. *Volaverunt*\*.

Reguła Nieustającej Adoracji odstrasza swoją surowością, ilość powołań zmniejsza się, nie ma dopływu świeżych sił do zakonu. W roku 1845 trafiła się jeszcze czasem jakaś siostra-konwerska, ale z zakonnice pierwszego chóru nie przybyła ani jedna. Przed czterdziestu laty klasztor miał około stu zakonnice, przed piętnastu zostało ich zaledwie dwadzieścia osiem. Ile jest ich dziś? W roku 1847 przeorysza była młodą osobą - nie miała czterdziestu lat - znak, że krąg wyboru się zacieśnia. W miarę jak zmniejsza się liczba zakonnice, powiększa się trud; obowiązki każdej stają się coraz uciążliwsze. Już wówczas wyczuwało się, że zbliża się chwila, w której staną się one garstką zbolałych istot uginających się pod ciężarem reguły św. Benedykta. Ciężar jest nieubłagany i zawsze pozostaje jednaki zarówno dla niewielu, jak i dla wielu. Dawniej ciążył, teraz miażdży. Toteż zakonnice wymierają. W czasie gdy autor tej książki mieszkał jeszcze w Paryżu, dwie z nich umarły. Jedna miała dwadzieścia pięć, druga - dwadzieścia trzy lata. Ta ostatnia mogłaby powiedzieć jak Julia Alpinula: *Hic jaceo, vixi annos viginti et tres*\*. Ze względu na to swoje powolne zamieranie klasztor zrezygnował z nauczania dziewcząt.

Nie mogliśmy przejść obok tego niezwykłego, nieznanego, tajemniczego domu, nie wszedłszy doń i nie wprowadziwszy tych, którzy nam towarzyszą i słuchają - nie bez pewnej może korzyści dla siebie - smutnych dziejów Jana Valjean. Zajrzeliśmy do tego zgromadzenia pełnego dawnych praktyk, które dziś wydają się tak nowe. To zamknięty ogród. *Hortus*

---

\* Odleciały.

\* Tu leżę, żyłam dwadzieścia trzy lata.

*conclusus*. Opowiadaliśmy o tym osobliwym miejscu ze szczegółami, ale z szacunkiem o tyle przynajmniej, o ile szacunek i szczegóły dadzą się ze sobą pogodzić. Nie wszystko rozumiemy, ale nie znieważamy niczego. Jesteśmy równie dalecy od peanów Józefa de Maistre, który dochodzi do uświęcenia kata, jak od szyderstwa Woltera, który posuwa się do kpin z krzyża.

Nawiasem mówiąc, niekonsekwencja Woltera - gdyż broniłby Jezusa tak samo, jak bronił Calasa\* ; i dla tych nawet, którzy przeczą nadprzyrodzonym wcieleniom, cóż oznacza krzyż? Zabójstwo mędrca.

W dziewiętnastym stuleciu myśl religijna przechodzi kryzys. Zapomina się pewnych rzeczy, i słusznie, byleby zapominając jednych, człowiek uczył się drugich. W sercu ludzkim nie może być pustki. Pewne rzeczy ulegają zburzeniu; i trzeba je burzyć, wszelako pod warunkiem, iż na ich miejsce zbuduje się nowe.

Na razie rozpatrzmy te rzeczy, których już nie ma. Poznanie ich jest niezbędne, choćby dlatego, by ich unikać. Falsyfikaty przeszłości przybierają zwodnicze nazwy i chętnie zwą się przyszłością. Ten upiór - przeszłość - skłonny jest do fałszowania swego paszportu. Zdajmy sobie sprawę z zasadzki. Strzeżmy się. Przeszłość ma oblicze - zabobon, i maskę - hipokryzję. Rozpoznamy twarz i zerwijmy maskę.

Jeśli chodzi o klasztory, problem jest złożony. Problem cywilizacji, która je potępia, i problem wolności, która ich broni.

## **Księga siódma**

# **Nawias**

---

\* Jean Calas (1698-1762) - kupiec z Tuluzy, protestant; fałszywie oskarżony o zamordowanie własnego syna; skazany na śmierć, łamany kołem i poćwiartowany. W trzy lata po egzekucji zrehabilitowany dzięki słynnej obronie Woltera.

## I

### **Klasztor jako pojęcie**

Ta księga to dramat, którego pierwszą osobą jest nieskończoność.

Człowiek jest drugą.

Skoro tak jest, to gdy klasztor znalazł się na naszej drodze, musieliśmy wejść do środka. Dlaczego? Gdyż klasztor, który stanowi właściwość zarówno wschodu, jak i zachodu, zarówno starożytności, jak i czasów nowożytnych, zarówno pogaństwa, buddyzmu, mahometanizmu, jak i chrystianizmu, jest jednym z aparatów optycznych, skierowanych przez człowieka na nieskończoność.

Nie tu jest miejsce na nadmierne rozwijanie pewnych myśli; wszakże mimo wszystkich naszych zarzutów, zastrzeżeń, a nawet oburzenia, musimy wyznać, że ilekroć znajdziemy w człowieku nieskończoność - źle czy dobrze pojętą - zawsze budzi to w nas szacunek. Synagoga, meczet, pagoda czy świątynia-wigwam mają swoje ohydne strony, których nienawidzimy, i strony wzniosłe, które wielbimy.

Jakaż kontemplacja ducha, jakież marzenie nieskończone! Odblask Boga na murze, wzniesionym ręką człowieka.

## II

### **Klasztor jako fakt historyczny**

Z punktu widzenia historii, rozumu i prawdy – instytucja klasztoru została potępiona.

Klasztory, mnożąc się w jakimś kraju, wstrzymują rozwój, stanowią przeszkody, ośrodki próżniactwa tam, gdzie trzeba ośrodków pracy. Dla wielkiej wspólnoty społecznej wspólnoty zakonne są tym, czym jemiola jest dla dębu, a brodawka - dla ciała ludzkiego. Ich mnogość i zasobność powodują zubożenie kraju. Ustrój zakonny, dobry w początkach cywilizacji i użyteczny, bo łagodzący brutalność przez uduchowienie, jest szkodliwy dla narodów dojrzałych. Ponadto gdy upada i wchodzi w okres rozprężenia - pozostając wzorem do naśladowania - staje się zgubnym dla tych wszystkich powodów, które go czyniły zbawiennym w okresie jego czystości.

Klauzura klasztorna - to przeżytek. Zakony, użyteczne dla początkowego nauczania cywilizacji nowożytnej, krępowały jej wzrost i szkodzą jej rozwojowi. Klasztory, jako instytucja i sposób kształtowania człowieka, dobre w dziesiątym wieku, wątpliwe w piętnastym, są w dziewiętnastym okropne. Trąd mniszy stoczył prawie do kości dwa wspaniałe kraje - Włochy i Hiszpanię, z których pierwszy był blaskiem, a drugi świetnością Europy przez całe wieki; i w naszych czasach te wspaniałe kraje zaczynają odzyskiwać siły tylko dzięki zdrowej i gwałtownej higienie roku 1789.

Klasztor, a zwłaszcza dawny klasztor żeński, taki, jaki istniał jeszcze na początku naszego wieku we Włoszech, Austrii, Hiszpanii, to jedna z najmroczniejszych pozostałości średniowiecza. Klasztor - taki klasztor - jest punktem przecięcia wszelkich przerażających lęków. Klasztor katolicki jest cały przesiąknięty ciemnym promieniowaniem śmierci.

Szczególnie ponury jest klasztor hiszpański. Tam, w ciemnościach, pod mrocznymi sklepieniami, pod kopułami majaczącymi w cieniu wznoszą się w górę ciężkie, olbrzymie ołtarze, wysokie jak katedry; tam, w ciemnościach, zwisają na łańcuchach olbrzymie, białe krucyfiksy; tam, na hebanie, rozciągają się nagie, wielkie postacie Chrystusa z kości słoniowej, zakrwawione, ociekające krwią, których łokcie ukazują kości, stawy ukazują wiązania, rany ukazują żywe ciało; postacie uwieńczone koroną ze srebrnych cierni, przybite gwoździemi ze złota, z kroplami krwi z rubinów na czole i łzami z diamentów w oczach. Diamenty i rubiny wydają się zroszone i pobudzają do płaczu znajdujące się w mroku na dole

zawołowane istoty, o ciałach pokaleczonych włosiennicą i dyscypliną o żelaznych końcach, o piersiach zgniecionych wiklinowym gorsetem, kolanach pozdzieranych od modłów; kobiety, które uważają się za oblubienice; widma, które mniemają, iż są serafinami. Czy te kobiety myślą? Nie. Czy pragną? Nie. Czy kochają? Nie. Czy żyją? Nie. Ich nerwy skostniały. Ich kości skamieniały. Ich welon utkany jest z nocnego mroku. Ich oddech pod welonem wydaje się jakimś tragicznym oddechem śmierci. Przeorysza, widmo, ukazuje im świętość i grozę. Niepokalane jawi się tam w całej surowości. Takie są stare klasztory Hiszpanii. Kryjówki przerażającej pobożności, jaskinie dziewic, miejsca okrucieństw.

Katolicka Hiszpania była bardziej rzymska niż sam Rzym. Klasztor hiszpański był w całym tego słowa znaczeniu klasztorem katolickim. Czuło się w nim wschód. Arcybiskup, kishlar-aga niebios, trzymał pod kluczem i śledził ten seraj dusz zachowany dla Boga. Mniszka była odaliską, kapłan był eunuchem. W ekstazie stawały się wybrankami i jednoczyły się z Chrystusem. W nocy piękny, nagi młodzieniec zstępował z krzyża i stawał się niesieniem celi. Wysokie mury strzegły od wszelkich odgłosów życia mistyczną sułtanekę, której sułtanem był ukrzyżowany. Niewiernością było każde spojrzenie na zewnątrz. Wór skórzany zastępowało *in-pace*\*. Na wschodzie rzucano w morze, na zachodzie - rzucano w ziemię. I tu, i tam kobiety załamywały dłonie; jedne czekała głębina, drugie - loch. Tam je topiono, tu grzebano. Zbieżność potworna.

Dziś obrońcy przeszłości, nie mogąc zaprzeczyć tym faktom, postanowili nie traktować ich poważnie. Modnym stał się wygodny i dziwny sposób pomijania odkryć historii, lekceważenia komentarzy filozofii i odrzucania wszystkich niewygodnych aktów i niejasnych zagadnień. "Temat do deklamacji" - powiadają zręczni. "Deklamacje" - powtarzają głupcy. Jan Jakub deklamator; Diderot - deklamator; Wolter wypowiadający się na temat Calasa, La Barre'a i Sirvena\* - deklamator. Ostatnio ktoś wynalazł, że Tacyt to deklamator, że Neron to ofiara i że z całą pewnością należy litować się "nad tym biednym Holofernelem".

Jednakże fakty są uparte i trudno je zbić. Autor tej książki widział na własne oczy, w odległości ośmiu mil od Brukseli, w opactwie Villers (średniowiecze, które każdy ma pod ręką) otwory lochów na środku łąki, która była niegdyś podwórcem klasztoru, a na brzegu rzeki Dyle cztery ciemnice z kamieni, znajdujące się częściowo pod ziemią, częściowo pod

---

\* Podziemna celka w klasztorach, przeznaczona do grzebania w niej żywcem zakonników lub zakonnice, skazanych na śmierć za wykroczenia przeciw regule zakonnej.

\* Jean-Francois La Barre (1747-1766) - szlachcic francuski oskarżony o znieważenie krucyfiksu, torturowany i stracony. Wolter daremnie usiłował go zrehabilitować; Pierre-Paul Sirven (ur. w 1709 r.) - protestant, niesłusznie

wodą. Były to *in-pace*. W każdym z owych lochów zachowały się jeszcze resztki żelaznych drzwi, latryna i zakratowane okienko, które na zewnątrz znajduje się na wysokości dwóch stóp nad powierzchnią rzeki, wewnątrz zaś na sześć stóp pod powierzchnią ziemi. Wzdłuż tych murów, na wysokości czterech stóp płynie rzeka. Ziemia jest tam stale wilgotna. Mieszkaniec *in-pace* miał za posłanie tę mokrą ziemię. W jednej z owych ciemnic jest kawał pręgierza wmurowanego w ścianę; w innej widać kawał kwadratowej skrzyni, zrobionej z czterech płyt granitowych, zbyt krótkiej, by w niej leżeć, zbyt niskiej, by w niej stać. Tam to wtrącano człowieka i przykrywano wiekiem z kamienia. To istnieje. To można zobaczyć. Tego można dotknąć. *In-pace*, lochy, żelazne dyby, pręgierze, to okienko na poziomie rzeki, kamienna skrzynia zamknięta granitową płytą jak grób, z tą jedynie różnicą, że tutaj umarłym był żywy człowiek; ta błotnista podłoga, te dziury po latrynach, te mury ociekające wilgocią - cóż to za deklamatorzy!

### III

#### Pod jakim warunkiem można szanować przeszłość

Instytucja klasztoru, w tej formie, w jakiej istniała w Hiszpanii i w jakiej istnieje w Tybecie, to swego rodzaju suchoty cywilizacji. Zatrzymuje życie. Po prostu wyludnia. Klo-stracja-kastracja. Była plagą Europy. Dodajcie do tego częste gwałty zadawane sumieniu, wymuszone powołania, feudalizm wspierający się na klasztorze, rodziny, które dla interesów swych pierwородnych synów zamykały w klasztorach nadmiar potomstwa, okrucieństwa, o których wspominaliśmy przed chwilą, *in-pace*, zakneblowane usta, zamurwane mózgi, tyle nieszczęsnych umysłów zamkniętych w ciemnicy ślubów wieczystych, obłóczyny, grzebanie dusz żywcem. Dodajcie męczarnie indywidualne do upodzeń społecznych - a kimkolwiek jesteście, zadrżycie na widok habitu i welonu, tych dwóch całunów wymyślonych przez człowieka.

A przecież, na przekór filozofii, na przekór postępowi, w pełnym rozkwicie XIX wieku w pewnych środowiskach i w związku z pewnymi sprawami duch zakonny trwa i dziwne wzmożenie się ascetyzmu zdumiewa w tej chwili świat cywilizowany. Upór trwania instytucji przestarzałych podobny jest do uporu zwietrzałych perfum, które by chciały, by nimi skropić włosy, do pretensji zepsutej ryby, która by chciała być zjedzona, do natręctwa dziecinnego ubranka, które by chciało przyrodzić dorosłego człowieka, do czułości trupów, które by powracały pieścić żywych.

“Niewdzięczni! - mówi ubranie. - Oślaniałem was w niepogodę. Czemu już mnie nie chcecie?” “Przybywam z pełnego morza” - mówi ryba. “Byłam różą” - mówią perfumy. “Kochałem was” - mówi trup. “Cywilizowałem was” - mówi klasztor.

Na to jest jedna odpowiedź: “Niegdyś”.

Marzyć o przedłużaniu w nieskończoność rzeczy dawno umarłych i o rządzeniu ludźmi przez balsamowanie, odnawiać naruszone dogmaty, poślacać na nowo trumny, dźwigać z ruin klasztory, poświęcać ponownie relikwiarze, odświeżać zabobony, ożywiać fanatyzmy, dawać nowe rękojeści kropidlom i pałaszom, przywracać zakony i militarystykę, wierzyć, iż zbawia się społeczność mnożąc pasożyty, i narzucać przeszłość terażniejszości - to wydaje się dziwne. A jednak teorie te mają swoich teoretyków. Ci teoretycy - ludzie zresztą pomysłowi - używają bardzo prostej metody: pociągają przeszłość nowym pokostem, który

nazywają łaodem społecznym, prawem boskim, moralnością, rodziną, czią proajców, odwieczną władzą, świętą tradycją, praworządnością, religią, i idą krzycząc: “Proszę, bierzcie to, dobrzy ludzie!” Tę logikę znali starożytni. Stosowali ją ich kapłani; smarowali kredą czarną jałówkę i mówili: “Jest biała”. *Bos cretatus* \*.

Jeśli chodzi o nas, oszczędzamy zawsze przeszłość, a niekiedy szanujemy ją pod warunkiem, że godzi się być martwą. Jeśli chce żyć - atakujemy ją i staramy się zabić.

Zabobony, bigoterie, obłudy, przesady - to larwy; lecz choć to są larwy, trzymają się życia i mimo że nieuchwytnie, mają kły i pazury. Trzeba z nimi walczyć wręcz, trzeba wypowiedzieć im wojnę i prowadzić ją bez przerwy, gdyż taka jest dola ludzkości, że skazana została na wieczny bój z widmami. Cień trudno chwycić za gardło i powalić.

Klasztor we Francji w południe XIX wieku to zgromadzenie sów w świetle dnia.

Klasztor, siedlisko ascetyzmu, wśród społeczeństwa z roku 1789, 1830 i 1848; Rzym panoszący się w Paryżu - to anachronizmy. W zwykłych czasach, by obalić i w niwecz obrócić anachronizm, wystarczy kazać przesylabizować mu datę roku. Ale nie żyjemy w zwykłych czasach.

Walczmy.

Walczmy, ale nie walczmy na ślepo. Prawda ma tę właściwość, iż jest wolna od przesady. Bo na cóż jej przesada? Są rzeczy, które trzeba zniszczyć, i są rzeczy, które trzeba po prostu oświetlić i obejrzeć. Zbadanie życzliwe i poważne - to potęga! Nie wnośmy płomienia tam, gdzie wystarczy światło.

Skoro więc żyjemy w wieku dziewiętnastym, jesteśmy w zasadzie przeciwni zamkniętemu życiu klasztornemu u wszystkich narodów, zarówno w Azji, jak i w Europie, zarówno w Indiach, jak i w Turcji. Kto mówi “klasztor” - mówi “bagno”. Jego zgnilizna jest oczywista, stagnacja - niezdrowa, jego ferment rozgorączkowuje i osłabia ludy; jego rozmnażanie staje się plagą egipską. Nie możemy bez lęku myśleć o tych narodach, wśród których jak od robactwa roi się od fakirów, bonzów, santonów, marabutów i derwiszów.

To, co powiedzieliśmy, nie uchyla problemu religii. Problem ten ma swoje strony tajemne, niemal groźne; niech nam wolno będzie przyrzeć mu się dobrze.

---

\* Wół posmarowany kredą.

## IV

### **Klasztor z punktu widzenia zasad**

Ludzie zbierają się i mieszkają wspólnie. Na mocy jakiego prawa?

Na mocy prawa do zrzeszania się.

Zamykają się u siebie. Na mocy jakiego prawa? Na mocy prawa, jakie ma każdy człowiek, by otworzyć lub zamknąć swe drzwi.

Nie wychodzą z domu. Na mocy jakiego prawa? Na mocy prawa swobodnego poruszania się, które zawiera w sobie prawo pozostawania u siebie w domu. Tam, u siebie, cóż oni robią?

Mówią szeptem, chodzą ze spuszczonej oczyma, pracują. Wyrzekają się świata, gwaru miasta, rozkoszy zmysłowych, rozrywek, próżności, pychy, interesów. Odziewają się w szorstką wełnę lub szorstkie płótno. Żaden z nich nie posiada nic na własność. Wchodząc tu, ten, kto był bogaczem, staje się biedakiem. To, co posiada, staje się własnością wszystkich. Ten, kto był - jak się to mówi - dobrze urodzony, kto był szlachcicem i jaśnie panem, jest równy temu, kto był chłopem. Wszyscy mają jednakowe cele. Każdemu wystrzegają taką samą tonsurę, każdy nosi taki sam habit, je ten sam czarny chleb, śpi na tej samej słomie, umiera w tym samym prochu. Taki sam worek ma na grzbiecie, taki sam sznur wokół bioder. Jeśli postanowiono chodzić boso - wszyscy chodzą boso. Choćby tam był książę, ten książę będzie takim samym cieniem jak inni. Nie ma tytułów. Znikły nawet nazwiska. Są tylko imiona; nierówności są zniesione; wyzwolili się z więzów krwi i w swym zgromadzeniu utworzyli rodzinę duchową. Wszyscy ludzie są ich braćmi, innej rodziny nie znają. Wspomagają biednych, pielęgnują chorych, wybierają sami tych, którym są posłuszni. Jeden mówi drugiemu: bracie.

Tu zatrzymujesz mnie, czytelniku, i wołasz: "Ależ taki klasztor nie istnieje!"

Wystarczy, że taki klasztor jest możliwy, abym miał obowiązek wziąć go pod uwagę.

Dlatego właśnie w poprzedniej księdze mówiłem o klasztorze tonem pełnym szacunku. Wykluczysz średniowiecze, usunąwszy Azję, zastrzegłszy sobie swój sąd na problem historyczny i polityczny, z punktu widzenia filozofii jedynie, poza zasięgiem walczącej polemiki, pod warunkiem, że wstąpienie do klasztoru jest absolutnie dobrowolne i towarzyszy mu zgoda na wszystko, co się tam znajdzie, będę zawsze patrzył na zgromadzenia

zakonne z pewną uważną powagą, a w niektórych wypadkach z powagą pełną szacunku. Gdzie jest zgromadzenie - tam jest gmina; gdzie jest gmina - tam jest prawo. Klasztor - to wynik formuły: Równość, Braterstwo. O! Jakże wielka jest Wolność! I jakaż przemiana wspaniała: Wolność wystarczy, aby przemienić klasztor w republikę.

Idźmy dalej.

Więc ci mężczyźni czy te kobiety wśród tych murów ubierają się w szorstką wełnę, żyją w równości, nazywają się braćmi. Dobrze. Ale czy robią jeszcze coś?

Tak.

Co?

Wpatrują się w ciemność, klękają i rozkładają ręce.

Co to znaczy?

## V

### Modlitwa

Modlą się.

Do kogo?

Do Boga.

Modlić się do Boga? Co znaczą te słowa? Czy poza nami istnieje nieskończoność? Czy nieskończoność ta jest jedna, immanentna, trwała, czy jest substancjalna, ponieważ jest nieskończonością, a gdyby brakło jej materialnego bytu, byłaby przez to ograniczona? Czy jest rozumna, ponieważ jest nieskończonością, a gdyby brakło jej rozumu, byłaby przez to skończoną? Czy nieskończoność ta budzi w nas pojęcie istoty, podczas gdy sobie samym możemy przyznać tylko pojęcie istnienia? Innymi słowy czy nie jest absolutem, dla którego my jesteśmy względnością? Jednocześnie z nieskończonością istniejącą poza nami, czy i w nas samych nie ma nieskończoności? Czy obie te nieskończoności (cóż za przerażająca liczba mnoga) nie nakładają się jedna na drugą? Czy druga nieskończoność nie jest, że tak określmy, położona pod pierwszą? Czy nie jest jej zwierciadłem, odbiciem, echem, otchłanią koncentryczną dla tamtej otchłani? Czy ta górna nieskończoność jest również rozumna? Czy myśli? Czy kocha? Czy pragnie? Jeśli obie nieskończoności są rozumne, każda z nich ma wolę; nieskończoność na górze ma swoje "Ja", podobnie, jak nieskończoność na dole ma swoje "Ja". To "Ja" na dole - to dusza, to "Ja" na górze - to Bóg.

Łączyć ziemską nieskończoność z nieskończonością niebieską - to modlić się.

Nie ograniczajmy umysłu ludzkiego: tłumienie jest złem. Trzeba zmieniać i przemieniać. Pewne władze człowieka skierowane są ku Nieznanemu: myśl, marzenie, modlitwa. Nieznane - to ocean. Czym jest sumienie? Busolą Nieznanego. Myśl, marzenie, modlitwa - to wielkie, tajemnicze promieniowania. Szanujmy je. Dokąd dążą te wspaniałe promienie duszy? Do cienia, to znaczy - do światła.

Wielkość demokracji polega na tym, że nie przeczy ona niczemu i nie zapiera się niczego, co ludzkie. Obok praw Człowieka - co najmniej w równym rzędzie - istnieją prawa Duszy.

Zdusić fanatyzmy, a czcić nieskończoność - oto zasada. Nie ograniczajmy się do padania na twarz przed drzewem Stworzenia i do podziwiania jego potężnych, pełnych

gwiazd konarów. Pracować nad duszą ludzką, bronić tajemnicy przed cudem, uwielbiać to, co niezrozumiałe, a odrzucać to, co niedorzeczne, z tego, co niewytłumaczalne, przyjmować to, co konieczne, uzdrawiać wierzenia, z religii zdzierać zabobony, oczyścić z gąsienic Boga - oto nasze zadanie.

## VI

### Absolutna wartość modlitwy

Każdy sposób modlenia się jest dobry, o ile jest szczerzy. Zamknij książkę do nabożeństwa i pograź się w nieskończoności.

Wiadomo, że jest filozofia, która przeczy istnieniu nieskończoności. Jest również filozofia, znana w patologii, która przeczy istnieniu słońca; ta filozofia zwie się ślepotą.

Brać za źródło prawdy zmysł, którego nam brakuje, to tupet ślepeca.

Ciekawą rzeczą są górne tony, pełne wyższości i politowania, które przybiera owa błądząca po omacku filozofia wobec filozofii widzącej Boga. Zupełnie, jakbyśmy słyszeli kreta wykrzykującego: "Litość we mnie budzą z tym swoim słońcem!"

Wiemy, że istnieją wielcy i sławni ateusze. Ale, przywiedzeni do prawdy własną wielkością, nie mają oni całkowitej pewności że są ateuszami, z nimi to tylko sprawa definicji, i w każdym wypadku, jeśli nie wierzą w Boga, to jako wielkie umysły sobą dowodzą istnienia Boga.

Chylimy przed nimi czoła jako przed filozofami, ale bezlitośnie oceniamy ich filozofię.

Idźmy dalej.

Podziwu godna jest również łatwość zadowalania się słowami. Pewna metafizyczna szkoła północna, przesiąknięta nieco mgłami, sądziła, iż dokona przewrotu w pojęciach ludzkich, zastępując słowo "siła" słowem "wola".

Powiedzieć: "roślina chce" zamiast: "roślina rośnie", byłoby to istotnie brzemienne w skutki, gdyby dodać: "wszechświat chce". Dlaczego? Dlatego że wynikałoby stąd: roślina chce, a więc ma swoje *ja*, wszechświat chce - a więc jest Bóg.

Jeśli chodzi o nas, którzy, w przeciwieństwie do owej szkoły, niczego nie odrzucamy *a priori*, to wola rośliny, którą szkoła ta dopuszcza, wydaje nam się trudniejsza do przyjęcia niż wola wszechświata, której szkoła ta przeczy.

Przeczyć istnieniu woli nieskończoności - czyli Boga - można jedynie, przecząc tym samym istnieniu nieskończoności. Wykazaliśmy to.

Zaprzeczanie istnienia nieskończoności prowadzi do nihilizmu. Wszystko staje się "koncepcją rozumu".

Z nihilizmem nie ma dyskusji. Albowiem logiczny nihilista wątpi w istnienie swego rozmówcy i nie jest całkowicie pewny, czy sam istnieje.

Z jego punktu widzenia jest całkiem możliwe, że sam dla siebie stanowi tylko "koncepcję swego rozumu".

Nie zdaje sobie tylko sprawy, że wszystko, czemu przeczył - przyjmuje w całości, wypowiadając samo słowo "Rozum".

W ostatecznym rozrachunku filozofia, która wszystko sprowadza do jednego małego słówka "nie", zamyka wszelką drogę dla myśli.

Na "nie" jest tylko jedna odpowiedź: "tak".

Nihilizm nie otwiera żadnych perspektyw.

Nie ma nicości. Zero nie istnieje. Wszystko jest czymś. Nic jest niczym.

Człowiek żyje afirmacją więcej jeszcze niż chlebem.

Nie dość jest jednak widzieć i wskazywać. Filozofia musi być energią; jej wysiłkiem i jej celem powinno być udoskonalanie człowieka. Sokrates musi wstąpić w Adama i wydać Marka Aureliusza, innymi słowy, trzeba z człowieka szczęścia wydobyć człowieka mądrości, Eden przemienić w Liceum. Niech wiedza będzie nektarem. Używać życia - jakież to marny cel i jaka nędzna ambicja! Bydlę używa życia. Myśleć - oto prawdziwy triumf duszy. Zadaniem rzeczywistej filozofii jest napoić myślą spragnionych ludzi, dać im jako eliksir pojęcie Boga, połączyć w nich wiedzę i sumienie i dzięki temu tajemniczemu zbrataniu uczynić ich sprawiedliwymi. Moralność to rozkwit prawd. Kontemplacja prowadzi do czynu. Absolut powinien wchodzić w życie. Umysł ludzki powinien oddychać, poić się i żywić ideałem. Ideał ma prawo powiedzieć: "Bierzcie i pożywajcie - to jest krew moja, to jest ciało moje". Mądrość - to komunia święta. Pod tym warunkiem przestaje być jałową miłością wiedzy, aby stać się jedynym i najwyższym sposobem zjednoczenia ludzkości, i z filozofii urasta do godności religii.

Filozofia nie może być zwyczajnym obudowaniem tajemnicy, wzniesionym tylko po to, aby się w nią wpatrywać do woli, bez innego skutku jak dogodzenie własnej ciekawości.

Odkładając rozwinięcie naszej myśli do innej sposobności, ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że nią pojmujemy ani człowieka jako punktu wyjścia, ani postępu jako celu bez tych dwóch sił, tych dwóch motorów działania: wiary i miłości.

Postęp jest celem, ideał jest wzorem.

- Co to jest ideał? - To Bóg.

Ideał, absolut, doskonałość, nieskończoność - jednoznaczne słowa.

## VII

### Ostrożnie z potępianiem

Historia i filozofia mają odwieczne, a zarazem proste zadania: zwalczać Kajfasza - kapłana, Diakona - sędziego, Trymalcjona - prawodawcę i Tyberiusza - władcę; to jest oczywiste, proste, przejrzyste i nie ma cienia niejasności. Ale prawo do życia na uboczu, razem ze swoimi ujemnymi stronami i nadużyciami, chce być uznane i uszanowane. Cenobityzm\* - to problem ludzkości.

Gdy mowa o klasztorach, tych miejscach błędu, ale i niewinności, zbłąkania, ale i dobrej woli, ciemnoty, ale i poświęcenia, męczarni, ale i męczeństwa - zawsze prawie trzeba powiedzieć "tak" i "nie".

Klasztor to sprzeczność. Celem jego jest zbawienie, środkiem do celu - ofiara. Klasztor to największy egoizm, z którego wynika największe wyrzeczenie.

"Abdykować, aby królować" - zdaje się być dewizą zakonów.

W klasztorze cierpią, aby się radować; wystawiają weksel na śmierć; dyskontują noc ziemską na światłość niebiańską. W klasztorze przyjmują piekło jako zadatek dziedzictwa raju. Obłóczyny - to samobójstwo, za które zapłatą jest wieczność.

Nie wydaje nam się, aby w tym przedmiocie stosowne były kpiny; wszystko tu ma swą powagę, zarówno dobro, jak i zło.

Człowiek sprawiedliwy może marszczyć brwi, ale nigdy nie uśmiecha się złośliwym uśmiechem. Rozumiemy gniew, nie rozumiemy złośliwości.

---

\* Cenobityzm – życie we wspólnocie zakonnej.

## VIII

### Ze czcią i wiarą

Jeszcze kilka słów.

Potępiamy Kościół, gdy wdaje się w intrygi, gardzimy duchowieństwem chciwym władzy świeckiej, lecz szanujemy wszędzie myślącego człowieka. Chylimy czoło przed klęczącym.

Wiara - to konieczność człowieka. Biada temu, kto w nic nie wierzy!

Nie jest beczynnym ten, kto się pograża w myślach. Istnieje trud widoczny i trud niewidoczny.

Kontemplacja - to trud. Myślenie - to czyn. Skrzyżowane ramiona pracują, złożone dłonie działają. Spojrzenie w niebo jest dziełem.

Tales przez cztery lata trwał w bezruchu i stworzył filozofię.

Dla nas mnisi nie są nierobami, pustelnicy nie są próżniakami.

Myśleć o Ciemności to rzecz poważna.

Nie odwołując nic z tego, co powiedzieliśmy przed chwilą, sądzimy, że nieustanna myśl o grobie przystoi żywym. W tym punkcie filozof i kapłan pozostają w zgodzie. "Trzeba umrzeć" - Horacemu odpowiada trapista.

Włączyć niejako w swe życie obecność grobu - to prawo, które obowiązuje mędrca, to prawo, które obowiązuje ascetę. W tym względzie i asceta, i mędrzec są ze sobą zgodni.

Istnieje rozwój materialny - chcemy go; istnieje również wielkość duchowa - pragniemy jej.

Umysły powierzchowne i zbyt pochopne w sądach pytają. Po co te nieruchome postacie, zwrócone ku tajemnicy? Do czego służą? Co robią?

Niestety! Wobec ciemności, która nas otacza, wobec ciemności, która nas czeka, nie wiedząc, co uczyni z nami olbrzymie rozproszenie, odpowiadamy. "Nie ma, być może, dzieła wznioślejszego nad to, którego dokonują owe dusze". - I dodajmy: - "Nie ma może użyteczniejszej pracy".

Dla tych, którzy nie modlą się nigdy, muszą istnieć ci, którzy modlą się wciąż.

Dla nas całe zagadnienie polega na ilości myśli włączonej do modlitwy.

Leibniz modlący się to wzniosłe. Wolter uwielbiający Boga to piękne: *Deo erexit Voltaire*.

Opowiadamy się za religią przeciw religiom.

Należymy do tych, którzy nie wierzą w formuły modlitw, ale wierzą w wielkość modlitwy.

Poza tym, w obecnej chwili, która na szczęście nie wycisnie piętna na wieku dziewiętnastym, w tej godzinie, kiedy tylu ludzi ma czoła wytarte i przyziemne dusze, kiedy tylu współczesnych przyjęło za dewizę moralną używać życia i zajmuje się nietrwałymi i szpetnymi sprawami ciała, każdy, kto dobrowolnie odsuwa się od życia, wydaje nam się godny szacunku. Klasztor jest wyrzeczeniem. Ofiara, choćby nawet bezzasadna, pozostanie zawsze ofiarą. Wziąć za obowiązek zadanie błędne, lecz ciężkie - w tym jest wielkość. By w dociekaniu prawdy wyczerpać bezstronnie każdą jej stronę, klasztor sam w sobie, jako pojęcie (zwłaszcza klasztor żeński, bowiem w naszej społeczności kobieta cierpi najciężej, a w zamknięciu się za furtą klasztorną jest protest), bezspornie ma w sobie pewien majestat.

Żywot zakonny, tak surowy i ponury, który naszkicowaliśmy przed chwilą, nie jest życiem, bo nie jest wolnością; nie jest śmiercią, bo nie jest pełnią; jest to miejsce niezwykle, z którego jak ze szczytu wyniosłej góry widać z jednej strony przepaść, w której się znajdujemy, a z drugiej - przepaść, w której się znajdziemy; to wąska, mglista granica, dzieląca dwa światy, rozjaśniana i zaciemniana przez oba te światy, na której słaby promień życia miesza się z bladym promieniem śmierci; to półmrok grobu.

Co do nas, którzy nie wierzymy w to, w co wierzą owe kobiety, ale podobnie jak one żyjemy wiarą, nie mogliśmy nigdy bez jakiegoś mistycznego i tkliwego lęku, bez pewnego współczucia, pełnego zazdrości, patrzeć na te istoty oddane, trwożne i ufne, na te dusze pokorne i dostojne, dość odważne, by żyć w oczekiwaniu na samym progu tajemnicy, między światem, który się zamknął, a niebem, które się jeszcze nie otwarło, zwrócone ku światłości, której nie widać, cieszące się tylko myślą, że wiedzą, gdzie się ona znajduje, tęskniące do otchłani i tego, co nieznanego, ze wzrokiem utkwionym w nieruchomą ciemność, na klęczkach, nieprzytomne, przerażone, drżące, w pewnych godzinach na pół unoszone przez głębokie tchnienia wieczności.

## **Księga ósma**

**Cmentarze biorą to, co się im daje**

## I

### **Który mówi o sposobie dostania się do klasztoru**

Do tego to domostwa Jan Valjean "spadł z nieba", jak mówił Fauchelevent.

Przebył mur ogrodu tworzący występ przy ulicy Polonceau; owe pienia anielskie, które słyszał wśród nocy, były śpiewem zakonnicy podczas jutrzni; owa sala, którą oglądał w półmroku - była kaplicą; owa zjawa, leżąca na ziemi - mniszką odprawiającą zadośćuczynienie; dźwięk zaś dzwonka, który go tak zdziwił, był dzwonkiem ogrodnika przywiązany do nogi ojca Fauchelevent.

Ułożywszy Kozetę do snu, Jan Valjean i Fauchelevent posilili się przy sutym ogniu - jak już to widzieliśmy - szklanką wina i kawałkiem sera; a później, ponieważ jedyne łóżko zajmowała Kozeta, każdy z nich położył się na wiązce słomy. Przed zaśnięciem Jan Valjean rzekł:

- Muszę tu pozostać!

Te słowa przez całą noc chodziły po głowie staremu Fauchelevent.

Prawdę mówiąc, żaden z nich nie spał.

Jan Valjean, wiedząc, że został rozpoznany i że Javert jest na jego tropie, zdawał sobie sprawę z tego, iż powrót do Paryża byłby zgubą dla niego i dla Kozety. Skoro nowe burze zagnały go do tego klasztoru, miał jedyną myśl: zostać tu. Dla nieszczęśnika w jego sytuacji klasztor ten był najniebezpieczniejszym, a zarazem najpewniejszym schronieniem; najniebezpieczniejszym, bo żadnemu mężczyźnie nie wolno było przestąpić jego progów, i gdyby go tu odkryto, zostałby przyłapany na jawnym przestępstwie i znalazłby się natychmiast w więzieniu; najpewniejszym, bo gdyby udało mu się pozostać tu na stałe, któż by go szukał w takim miejscu? Mieszkać w miejscu zgoła nieprawdopodobnym - to był ratunek.

Ze swej strony Fauchelevent łamał sobie głowę. Przede wszystkim musiał się przyznać, że nic nie rozumie. Murów klasztornych nie można przesadzić jednym krokiem. W jaki sposób, mimo tych murów, pan Madeleine znalazł się tutaj z dzieckiem? Nikt nie wdrapuje się na wysoki mur z dzieckiem na ręku. Co to za dziecko? Skąd przybywali oboje? Od czasu zamieszkania w klasztorze Fauchelevent nie słyszał o Montreuil-sur-mer i nie wiedział o tym, co się tam stało. Mina ojca Madeleine nie zachęcała do pytań, a zresztą

Fauchelevant mówił sobie: „Nikt nie wypytuje świętego”. Pan Madeleine zachował dla niego cały swój autorytet. Jedyne z paru słów, które mu się wymknęły, Fauchelevant mógł - jak sądził - wnioskować, że pan Madeleine z powodu ciężkich czasów pewno zbankrutował i jest ścigany przez wierzycieli; albo też został skompromitowany w jakiejś sprawie politycznej i ukrywa się; to podobałoby się ogrodnikowi, który - jak wielu naszych wieśniaków z północy - był w głębi duszy starym bonapartystą. Szukając kryjówki, pan Madeleine schronił się do klasztoru i - to jasne - chciał tu pozostać. Lecz nie do pojęcia było to, do czego Fauchelevant stale powracał i nad czym łamał sobie głowę, jak pan Madeleine się tu znalazł, i do tego z dzieckiem. Fauchelevant patrzył na nich, dotykał ich, mówił z nimi i wciąż nie mógł temu uwierzyć. Zagadka weszła do chaty Fauchelevanta. Błąkając się pośród różnych domysłów, dobrze rozumiał tylko to jedno, że pan Madeleine uratował mu życie. Ta jedna pewność wystarczyła mu, by powziąć decyzję. Powiedział sobie: “Teraz na mnie kolej - i dodał w duszy: - Pan Madeleine nie namyślał się tyle, zanim wlaź pod wóz, żeby mnie stamtąd wyciągnąć”. Postanowił, że uratuje pana Madeleine.

Stawiał sobie różne pytania i dawał różne odpowiedzi: “Gdyby to był złodziej, czy po tym, co dla mnie zrobił, ratowałbym go? Tak, nawet wtedy! - Gdyby to był morderca, czy ratowałbym go? Tak, nawet wtedy. - A skoro to jest święty, czy będę go ratował? Tak, także i w tym wypadku”.

Ale umożliwić mu pozostanie w klasztorze - co za problem! Przed tym przedsięwzięciem, prawie zupełnie nierealnym, Fauchelevant się nie cofnął; ten ubogi wieśniak pikardyjski, uzbrojony jedynie w swoje przywiązanie, dobrą wolę i odrobinę tej odwiecznej chłopskiej przebiegłości, tym razem oddanej na usługi szlacheckiej intencji, postanowił pokonać przeszkody nie do przebycia, jakie nastęrczał klasztor, i zwyciężyć reguły św. Benedykta. Ojciec Fauchelevant, starzec, który przez całe życie był samolubem, pod koniec swoich dni, kulawy, niedołężny, niczym już nie związany ze światem, poczuł, jak słodką rzeczą jest wdzięczność, i ujrawszy sposobność dokonania szlacheckiego czynu, rzucił się na nią niby człowiek, który w chwili śmierci znajdzie pod ręką szklanekę wybornego wina, jakiego nigdy nie pił, i wychyli ją chciwie. Trzeba dodać, że atmosfera, jaką oddychał od kilku już lat w klasztorze, przeobraziła całkowicie jego osobowość, tak że w końcu spełnienie jakiegoś dobrego uczynku stało się dlań koniecznością.

Powziął tedy postanowienie: poświęcić się dla pana Madeleine.

Określiliśmy go przed chwilą jako “ubogiego, pikardyjskiego wieśniaka”. Określenie słuszne, ale niezupełnie. Doszliśmy w naszej opowieści do miejsca, w którym warto nakreślić sylwetkę ojca Fauchelevant. Był wieśniakiem, ale był niegdyś pisarzem sądowym, co jego

wrodzoną przebiegłość zaprawiło kręactwem, a naiwność - przenikliwością. Gdy mu się z różnych przyczyn nie powiodło w interesach, z pisarza został woźnicą i wyrobnikiem. Ale choć kłął na konie i okładał je batem, zdawał się pozostawać w głębi duszy pisarzem. Miał pewną wrodzoną inteligencję; nie mówił: "jażem był" czy: "my byli", gawędził chętnie, rzecz na wsi rzadko spotykana, toteż inni wieśniacy mawiali o nim: "Rozprawia niczym miastowy pan". Fauchelevent należał istotnie do gatunku ludzi, których zuchwałe i niefrasobliwe słownictwo ubiegłego wieku określało jako: "półpana, półchama", i których metafory, spadłe z pałaców pod strzechę, umieszczały w rejestrze stanu nieszlacheckiego jako ni to chłopów, ni to mieszczan - "ni pies, ni wydra". Fauchelevent, choć mocno przez los doświadczony i sterany życiem, biedna, stara istota wytarta do osnowy niby znoszone ubranie, był jednak człowiekiem impulsywnym i spontanicznym; cenna właściwość, która sprawiała, że taki człowiek nigdy nie jest zły. Jego wady i przywary - bo miał je przecie - były powierzchowne; w sumie: fizjonomia wzbudzająca sympatię u obserwatora. Na tej starej twarzy nie było przykrych zmarszczek u góry czoła, znamionujących złość lub głupotę.

O świcie, kiedy Fauchelevent otworzył oczy po długich rozmyślaniach, zobaczył pana Madeleine, który siedział na swojej wiązce słomy i wpatrywał się w śpiącą Kozetę.

Usiadł na swoim posłaniu i powiedział:

- Teraz, gdy już tu jesteście, co zrobicie, żeby się tu dostać? To zdanie, streszczające sytuację, wyrwało Jana Valjean z zadumy.

Obaj starcy zaczęli się naradzać.

- Przede wszystkim - mówił Fauchelevent - trzeba zacząć od tego, że żadne z was nie może wychodzić z izby: jeden-krok do ogrodu i wszystko weźmie w łeb.

- Słusznie.

- Zjawiliście się w bardzo dobrej, to znaczy, chciałem powiedzieć, w bardzo smutnej chwili - ciągnął Fauchelevent. - Jedna z zakonnice jest ciężko chora. Dlatego nikt nie spojrzy nawet w naszą stronę! Podobno jest umierająca. Odprawiają czterdziestogodzinne nabożeństwo. Całe zgromadzenie jest w ruchu. Mają moc zajęcia. Ta, co właśnie umiera, to święta. Po prawdzie wszyscy my tu jesteśmy święci. Cała różnica między zakonnicami a mną, że one mówią: "nasza cela", a ja mówię: "moja chałupa". Będą modły za konających, a potem modły za umarłych. Dzisiaj jesteśmy tu bezpieczni, ale nie ręczę za jutro.

- Przecież ten domek jest w załomie muru - zauważył Jan Valjean. - Zasłaniają go ruiny, drzewa, nie widać go z klasztoru.

- Dodam jeszcze, że zakonnice nigdy się do niego nie zbliżają.

- A więc? - rzekł Jan Valjean.

Pytanie, brzmiące w tym "a więc", znaczyło: wydaje mi się, że można się tu schować. Na to ukryte pytanie odpowiedział Fauchelevant:

- Są jeszcze małe.

- Jakie małe? - zapytał Jan Valjean.

Fauchelevant otworzył usta, by wyjaśnić wypowiedziane przed chwilą słowa, gdy rozległo się pojedyncze uderzenie dzwonu.

- Umarła - rzekł. - To dzwon żałobny.

I dał znak Janowi Valjean, by słuchał. Dzwon uderzył po raz drugi.

- Tak, to dzwonią na znak żałoby, panie Madeleine. Będą tak dzwonić co minutę, przez całe dwadzieścia cztery godziny, aż do wyprowadzenia zwłok z kościoła. Widzicie, toto się bawi. Wystarczy, że w czasie rekreacji piłka im się potoczy, a już, mimo zakazów, uciekają, by tu szperać i myszkować. Te aniołki to prawdziwe diabły.

- Kto? - zapytał Jan Valjean.

- Małe. Prędko by was wypatrzyły, oho! Wołałyby. "Patrzcie, mężczyzna!" Ale dziś nie ma obawy. Rekreacji nie będzie. Cały dzień będą się modliły. Słyszycie dzwon? Tak, jak mówiłem, jedno uderzenie na minutę. To dzwon żałobny.

- Rozumiem, ojcie Fauchelevant. Tu są pensjonarki.

I Jan Valjean pomyślał w duchu: "Załatwiona sprawa szkoły dla Kozety".

Fauchelevant zawołał:

- Są tu dziewczynki, a jakże! O rety! A piszczałoby to! A uciekało! Tutaj mężczyzna - to zaraza morowa! Widzicie przecie, że uwiesiły mi dzwonek u nogi jak dzikiej bestii.

Jan Valjean pogrążył się w coraz głębsze rozmyślania.

- Ten klasztor to nasz ratunek - szepnął. Po czym rzekł głośno: - Tak, trudność polega na tym, by tu zostać.

- Nie - odparł Fauchelevant. - Trudność polega na tym, aby stąd wyjść.

Jan Valjean poczuł, że krew odpływa mu od serca.

- Wyjść?

- Tak, panie Madeleine, aby tu wejść, musicie wpierw wyjść. I, przeczekawszy uderzenie dzwonu, ciągnął:

- Nie możecie się tu znaleźć ni stąd, ni zowąd. Skąd się tu wzięliście? Dla mnie - ponieważ was znam - mogliście spaść z nieba, ale dla zakonnic musicie wejść drzwiami.

Nagle rozległo się dość skomplikowane dzwonienie innego dzwonu.

- Aha, to dzwonią na matki głosujące - rzekł Fauchelevant. - Zwołują kapitułę. Zawsze, jak kto umrze, zbiera się kapituła. Umarła o świcie. Zwykle ludzie umierają o świcie.

A czy nie moglibyście wyjść tak, jak weszliście? Ja wcale nie chcę wypytywać, ale którydyście weszli?

Jan Valjean zbladł. Sama myśl o wyjściu na tę straszną ulicę przejmowała go drżeniem. Wydostań się z puszczy pełnej tygrysów, a wydostawszy się, usłysz radę przyjaciela, który cię zachęca, abyś tam powrócił. Jan Valjean wyobrażał sobie mrowie policji, szpicli, agentów na czatach, ohydne łapy wyciągające się, by go chwycić za kołnierz, Javerta stojącego może za rogiem zaułka.

- To niemożliwe! - rzekł. - Ojcie Fauchelevant, wyobraźcie sobie, że spadłem z nieba.

- Ależ wierzę w to, wierzę! - odparł Fauchelevant. - Nie potrzebujecie mi tego mówić. Bóg wziął was do ręki, aby się przyjrzeć z bliska, a potem wypuścił z powrotem. Tylko tyle, że chciał wrzucić was do męskiego klasztoru. Pomylił się. Oho, jeszcze jedno dzwonicie. To na stróża, żeby poszedł zawiadomić zarząd miejski, żeby zarząd miejski zawiadomił lekarza, żeby lekarz przyszedł zobaczyć, że jest umarła. To wszystko to ceremonia umierania! Nasze czcigodne panie bardzo nie lubią tej wizyty. Taki doktor to w nic nie wierzy. Podnosi welon. Czasem podnosi jeszcze coś innego. Jak im tym razem spieszo z zawiadomieniem lekarza! Co to się dzieje? A pańska mała śpi ciągle. Jak jej na imię?

- Kozeta.

- To córka? Chciałem rzec - jesteście jej dziadkiem?

- Tak.

- Dla niej łatwo będzie wydostać się stąd. Mam swoją służbową furtkę, która wychodzi na podwórze. Stukam. Stróż mi otwiera. Niosę na grzbiecie kosz, mała siedzi w środku. Wychodzę. Ojciec Fauchelevant wychodzi ze swoim koszem, najzwyczajniejsza rzecz. Powiecie małej, żeby siedziała cicho. Przykryję ją płachtą. Zostawię ją na tyle czasu, co będzie trzeba, u dobrej starej znajomej, handlarki owocami, która mieszka przy ulicy Che-min-Vert, jest głucha i ma u siebie małe łóżeczko. Krzyknę jej prosto w ucho, że to jest moja siostrzenica i żeby się nią zaopiekowała do jutra. Potem mała z wami wróci. Bo ja to zrobię, że tu wrócicie! Musicie tu wrócić. Tylko jak wy stąd wyjdziecie?

Jan Valjean pokiwał głową.

- Cała rzecz w tym, żeby mnie nikt nie zobaczył, ojcie Fauchelevant. Znajdźcie jakiś sposób, żeby mnie stąd wyprowadzić jak Kozetę pod płachtą w koszu.

Stary ogrodnik drapał się w ucho środkowym palcem lewej ręki - oznaka poważnego zafrasowania.

Trzecie dzwonicie przerwało rozmowę.

- Teraz odchodzi lekarz od umarłych - rzekł Fauchelevant. - Popatrzyl, powiedział: "Nie żyje" - w porządku. Jak lekarz wystawi już paszport do nieba, zakład pogrzebowy przysyła trumnę. Jeżeli umrze matka, to matki wkładają ją do trumny, jeżeli siostra - to siostry. A potem ja zabijam trumnę. To też należy do mojego ogrodnictwa; ogrodnik jest trochę grabarzem. Ustawiają ją w sali przy kościele, która wychodzi na ulicę; żaden mężczyzna nie ma prawa tam wejść, tylko lekarz od umarłych. Nie liczę za mężczyzn siebie i karawaniarza. W tej sali zamykam trumnę. Karawaniarze ją zabierają, a potem - wio! i tak się jedzie do nieba. Przynoszą pustą skrzynię, zabierają pełną. I to jest właśnie pogrzeb. *De profundis*.

Poziomy promień słońca muskał twarz śpiącej Kozety, która rozchyliła lekko wargi i wyglądała jak anioł pijący światło. Jan Valjean wpatrywał się w nią i nie słuchał już starego. Nie być słuchanym nie jest powodem, by przestać mówić. Zaczny stary ogrodnik spokojnie bąkał dalej:

- Kopiać dół na cmentarzu Vaugirard. Podobno mają ten cmentarz skasować. To bardzo stary cmentarz, nie trzyma się przepisów, nie nosi urzędowego munduru i będzie musiał pójść na emeryturę. Szkoda, bo jest wygodny. Mam tam przyjaciela, grabarza, ojca Mestienne. Nasze zakonnice uzyskały przywilej, że mogą być grzebane na tym cmentarzu wieczorem. Prefektura dała im specjalne pozwolenie. Ileż to się nowego zdarzyło od wczoraj. Matka od Ukrzyżowania umarła, a ojciec Madeleine...

- Został pogrzebany - uśmiechnął się smutnie Jan Valjean.

Fauchelevant podchwycił słowo:

- Gdyby pan tu został na dobre, byłby pan naprawdę pogrzebany!

Rozległo się nagle czwarte dzwonicie. Fauchelevant pośpiesznie chwycił z haka ramię z dzwonkiem i opasał nim kolano:

- Tym razem to na mnie. Matka przełożona mnie wzywa. Masz tobie, ukłękłem się sprzączką. Panie Madeleine, nie ruszajcie się stąd i czekajcie na mnie. Coś nowego zaszło. Jeśli jesteście głodni, tam jest wino, chleb i ser.

Wyszedł z chałupki, powtarzając:

- Idę, już idę!

Jan Valjean widział, jak szedł przez ogród prędko, o ile mu na to pozwalała krzywa noga, spoglądając raz po raz w stronę grządek melonów.

Nie upłynęło dziesięć minut, a ojciec Fauchelevant, płosząc po drodze swym dzwonkiem zakonnice, zastukał lekko do drzwi, zza których łagodny głos odpowiedział: "Na wieki wieków", co oznaczało: "Proszę wejść".

Były to drzwi rozmównicy, w której przyjmowano ogrodnika w sprawach służbowych. Sąsiadowała ona z salą kapituły. Siedząc na jedynym krześle, znajdującym się w rozmównicy, przełożona czekała na Fauchelevanta.

## II

### Fauchelevant wobec trudności

W sytuacjach wyjątkowych wyraz wzburzenia i powagi zarazem, właściwy jest ludziom pewnego usposobienia i pewnych zawodów - szczególnie zaś księżom i zakonnikom. Gdy Fauchelevant wszedł do rozmównicy, te dwa uczucia malowały się na obliczu przełożonej, czarującej i uczonej panny de Blemeur, matki Innocenty, zazwyczaj tak wesołej.

Ogrodnik skłonił się nieśmiało i zatrzymał na progu celi. Przełożona, przesuwająca paciorki różańca, podniosła oczy i odezwała się:

- A to wy, ojcie Fauvent!

Tak bowiem w klasztorze skrócono jego nazwisko.

Fauchelevant znów się uklonił.

- Wezwałam was, ojcie Fauvent.

- Jestem, wielbna matko.

- Chcę z wami pomówić.

- I ja ze swej strony także chciałbym coś powiedzieć przewielebnej matce - rzekł Fauchelevant ze śmiałością, która go w duchu przerażała.

Przełożona popatrzyła na niego.

- A, macie do mnie jakąś sprawę?

- Mam prośbę.

- Mówcie, proszę.

Zacny Fauchelevant, eks-pisarz, należał do tej kategorii wieśniaków, którym nie brak pewności siebie. Pewna sprytna ignorancja to siła; człowiek nic nie podejrzewa i daje się okręcić wokół palca. Mieszkając w klasztorze od dwóch przeszło lat, Fauchelevant był ceniony przez zgromadzenie. Zawsze samotny, przy swoich zajęciach ogrodniczych nie miał nic innego do roboty, jak zaspokajać swoją ciekawość. Odległość dzieląca go od tych przesuwających się tam i z powrotem zawoalowanych postaci niewieścich sprawiała, że widział tylko poruszające się cienie. Dzięki swej uwadze i przenikliwości doszedł do tego, że widma przyoblekł w ciało i te żywcem pogrzebane kobiety stały się dla niego żywymi istotami. Przypominał głuchego, któremu wzrok się zaostrza, ślepego, któremu słuch się wzmacnia. Starał się dociec, co znaczy każde dzwonicie, i doszedł do tego, że zagadkowy i

milczący klasztor nie miał dla niego żadnych tajemnic; ten sfinks szeptał mu do ucha wszystkie swe sekrety. Fauchelevent, wiedząc wszystko, z niczym się nie zdradzał. Posiadał tę sztukę. Całe zgromadzenie miało go za głupca: wielka to zaleta w klasztorze! Matki bardzo ceniły Faucheleventa. Był to ciekawy okaz milczka. Wzbudzał zaufanie. Poza tym zachowywał się należycie, wychodził tylko w koniecznych i bezspornych sprawach sadu czy warzywnika. Ceniono tu jego powściągliwość. Fauchelevent pociągnął jednak za język dwóch ludzi: w klasztorze - stróża, i poznał osobliwości rozmównicy; na cmentarzu - grabarza, i poznał osobliwości pogrzebu. W ten sposób miał o zakonnicach informacje dwóch rodzajów: jedne rzucały światło na ich życie, inne na śmierć. Nie nadużywał tego nigdy. Zgromadzeniu zależało na nim. Stary, kulawy, trochę ślepy, prawdopodobnie przygłuchy - ileż to zalet! Drugiego takiego trudno byłoby znaleźć.

Pocziwina, z pewnością siebie człowieka, który czuje, że jest ceniony, wygłosił do wielebnej matki chłopską przemowę, dość rozwlekłą i bardzo głęboką. Mówił długo o swoim wieku, o swoich niedomaganiach, o brzemieniu lat, które teraz podwójnie na nim ciąży, o wzrastających wciąż potrzebach pracy, o rozległości ogrodu, o czuwaniu po nocach - jak na przykład dzisiejszej nocy, kiedy to musiał przykrywać meloniarnię słomianymi matami z powodu księżycy - aby w końcu dojść do tego, że ma brata (przełożona poruszyła się), brata już niemłodego (przełożona znowu się poruszyła, ale wyrażało to już uspokojenie), że gdyby się zgodzono, ten brat mógłby zamieszkać u niego i pomagać mu, jako że jest doskonałym ogrodnikiem, że zgromadzenie miałoby z niego wielką korzyść, większą niż z niego; że gdyby nie przyjęto jego brata, on, który jest starszy, sterany i nie może podołać pracy, z wielkim żalem będzie musiał odejść; i że jego brat ma córeczkę, którą przyprowadziłby ze sobą, aby po bożemu wychowała się w klasztorze, i - kto wie - może kiedyś zostałaby zakonnicą.

Gdy skończył mówić, przełożona przestała przesuwac w palcach różaniec i powiedziała mu:

- Czy do wieczora moglibyście wynaleźć mocny drąg żelazny?
- Do czego ma służyć?
- Ma służyć za lewar.
- Dobrze, wielebna matko - odparł Fauchelevent.

Nie dodawszy ani słowa, przełożona wstała i weszła do sąsiedniego pokoju, służącego za salę kapituły, w którym zapewne zebrały się matki głosujące. Fauchelevent pozostał sam.

### III

#### Matka Innocenta

Tak upłynął mniej więcej kwadrans. Przełożona wróciła i znów zasiadła na krześle.

I przełożona, i Fauchelevant byli czymś zaabsorbowani. Notujemy tu najlepiej, jak umiemy, dialog, który się nawiązał:

- Ojczy Fauvent?

- Słucham, wielbna matko.

- Znacie naszą kaplicę?

- Mam w niej malutką klitkę, w której słucham mszy i nabożeństw.

- Byliście też w prezbiterium dla wykonania jakiejś roboty.

- Dwa albo trzy razy.

- Trzeba będzie podnieść kamień.

- Ciężki?

- Płytę kamienną obok ołtarza.

- Płytę, która zamyka wejście do krypty?

- Tak.

- Do takiej roboty przydałoby się dwóch mężczyzn.

- Pomoże wam matka od Wniebowstąpienia, która jest silna jak mężczyzna.

- Zawsze kobieta to nie to co mężczyzna.

- Możemy wam dać do pomocy tylko kobietę. Każdy robi, co może. Dlatego, że don Mabillon daje nam czterysta siedemnaście listów św. Bernarda, a Merlonus Horstius tylko trzysta sześćdziesiąt siedem, nie lekceważę bynajmniej Merlonusa Horstiusa.

- Ani ja.

- Zasługą jest pracować według swych sił. Klasztor to nie drwalnia.

- A kobieta to nie mężczyzna. Mój brat, ten to dopiero jest silny!

- Poza tym będziecie mieli lewar.

- Tylko taki klucz pasuje do takich drzwi.

- W płycie jest pierścień.

- Wsunę w niego mój lewar.

- Płyta jest tak osadzona, że się obraca wokół swojej osi.

- Dobrze, wielebna matko. Otworzę wejście do krypty.
- Cztery matki kantorki będą wam przy tym asystować.
- A kiedy krypta zostanie otwarta?
- Trzeba będzie ją zamknąć.
- To wszystko?
- Nie.
- Czekam na rozkazy wielebnej matki.
- Fauvent, mamy do was zaufanie.
- Jestem tu, by robić wszystko.
- I nie mówić o niczym.
- Tak, wielebna matko.
- Gdy krypta zostanie otwarta...
- Zamknę ją.
- Ale przedtem...
- Co, wielebna matko?
- Trzeba będzie coś tam wstawić.

Zapadło milczenie. Przełożona, której usta ułożyły się na chwilę jak gdyby w grymas wahania, przerwała je wreszcie:

- Ojczy Fauvent?
- Słucham, wielebna matko.
- Wiecie, że dziś rano zmarła jedna z naszych matek?
- Nie wiedziałem.
- Nie słyszeliście dzwonu?
- W głębi ogrodu nic nie słyhać.
- Doprawdy?
- Swój dzwonek ledwo słyszę.
- Umarła o świcie.
- A zresztą dziś rano wiatr wiał z przeciwnej strony.
- Umarła matka od Ukrzyżowania. Błogosławiona.

Tu przełożona umilkła; przez chwilę poruszała ustami, jakby odmawiając szeptem modlitwę, po czym podjęła na nowo:

- Trzy lata temu sam widok modlącej się matki od Ukrzyżowania nawrócił panią de Bethune, jansenistkę.
- A tak, teraz słyszę dzwon żałobny, wielebna matko.

- Matki zaniósł jej zwłoki do sali zmarłych, która przylega do kościoła.
- Tak jest.
- Żaden mężczyzna, poza wami, nie może i nie powinien wejść do tej sali. Pamiętajcie o tym. Pięknie by to było, gdyby jakiś mężczyzna wszedł do sali zmarłych.
- Nigdy!
- Co?
- Nigdy!
- Co mówicie?
- Mówię: nigdy.
- Ale co: nigdy?
- Wielebna matko, ja nie mówię: co nigdy, ja mówię: nigdy.
- Nie rozumiem. Dlaczego mówicie: nigdy?
- Żeby mówić tak jak wielebna matka.
- Ależ ja nie powiedziałam: nigdy.
- Nie powiedziała matka, ale ja powiedziałem, żeby mówić tak jak wielebna matka.

W tej chwili wybiła godzina dziewiąta.

- O dziewiątej godzinie i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza - rzekła przełożona.
- Amen - odpowiedział Fauchelevant.

Zegar wydzwonił w porę, przerywając dyskusję nad nieszczęsnym "nigdy". Gdyby nie to, ani przełożona, ani Fauchelevant nie wybrnęliby prawdopodobnie z tej płątaniny.

Fauchelevant otarł czoło.

Przełożona znów zaczęła coś szeptać, najprawdopodobniej modlitwę, po czym rzekła głośno:

- Za życia matka od Ukrzyżowania nawracała ludzi; po śmierci będzie czynić cuda.
- O, będzie - powtórzył zgodnie Fauchelevant, który się teraz pilnował, by znów nie palnąć głupstwa.

- Ojcie Fauvent, zgromadzenie nasze zostało pobłogosławione w osobie matki od Ukrzyżowania. Zapewne nie każdemu jest dane umrzeć przy odprawianiu mszy świętej jak kardynałowi Berulle i oddać swą duszę Bogu wymawiając słowa: *Hanc igitur oblationem*\*. Ale choć nie dostąpiła takiego szczęścia, matka od Ukrzyżowania miała śmierć bardzo piękną. Zachowała przytomność do ostatniej chwili. Rozmawiała z nami, potem rozmawiała z aniołami. Zostawiła nam swe ostatnie nakazy. Gdybyście byli mocniejszej wiary i gdyby wam

wolno było wejść do jej celi, dotknięciem uzdrowiłaby waszą nogę. Uśmiechała się; wyczuwało się, że zmartwychwstaje w Panu. Niebiosa były w jej śmierci.

Fauchelevant myślał, że to było kazanie, które dobiegało końca.

- Amen - odpowiedział.

- Ojcze Fauvent, trzeba spełniać wolę zmarłych.

Przesunęła kilka paciorków różańca. Fauchelevant milczał. Przełożona ciągnęła dalej:

- Radziłam się w tej kwestii wielu duchownych pracujących w Jezusie Chrystusie, którzy zajmują się praktyką życia duchownego, a których praca wydaje wspaniałe owoce.

- O wiele lepiej słyszeć dzwon żałobny tutaj niż w ogrodzie, wielebna matko.

- Zresztą, to nie jest zwykła zmarła, to święta.

- Tak jak wielebna matka.

- Od dwudziestu lat sypiała w swej trumnie, na mocy specjalnego zezwolenia naszego ojca świętego Piusa VII.

- Tego, co koronował cesa... Buonaparta.

U tak zręcznego człowieka jak Fauchelevant to przypomnienie było niefortunne. Na szczęście, przełożona, pochłonięta swoją myślą, nie usłyszała tego i mówiła dalej:

- Ojcze Fauvent?

- Słucham, wielebna matko.

- Św. Diodor, arcybiskup Kapadocji, chciał, by na jego grobie napisano to jedno słowo: *Acarus*, co znaczy robak ziemi. Stało się, jak żądał. Czyż nie tak?

- Tak jest, wielebna matko.

- Błogosławiony Mezzocane, biskup Aquili, chciał być pogrzebany pod szubienicą. Stało się, jak żądał.

- To prawda.

- Święty Terencjusz, biskup Portu u ujścia Tybru, chciał, by na jego kamieniu grobowym wyryto znak umieszczany na mogiłach ojcobójców, w tej nadziei, że przechodnie plwać będą na jego grób. Stało się, jak żądał. Trzeba szanować wolę zmarłych.

- Amen.

- Zwłoki Bernarda Gwidonisa, urodzonego we Francji, koło Roche-Abeille, zostały - zgodnie z jego wolą, a wbrew woli króla Kastylia - złożone w kościele Dominikanów w Limoges, chociaż Bernard Gwidonis był biskupem Tuy w Hiszpanii. Czy można temu zaprzeczyć?

- Co to, to nie, wielebna matko.

---

\* Z tekstu mszy św.: "Tak więc ofiarę".

- Fakt ten został potwierdzony przez Plantavita de la Fosse.

Jeszcze kilka paciorków różańca przesunęło się w milczeniu Przełożona podjęła znowu:

- Ojciec Fauvent, matka od Ukrzyżowania zostanie pochowana w trumnie, w której sypiała od dwudziestu lat.

- Słusznie.

- To dalszy ciąg snu.

- Mam więc zamknąć ją w tej trumnie?

- Tak.

- I nie skorzystamy z trumny zakładu pogrzebowego?

- Właśnie.

- Jestem na rozkazy przewielebnego zgromadzenia.

- Cztery matki-kantorki pomogą wam.

- Zamknąć trumnę! Nie potrzebuję ich pomocy.

- Nie. Spuścić trumnę.

- Gdzie?

- Do krypty.

- Do jakiej krypty?

- Pod ołtarzem.

Fauchelevant podskoczył.

- Do krypty pod ołtarzem!

- Pod ołtarzem.

- Ależ...

- Będziecie mieli żelazny drąg.

- Tak, ale...

- Wsuniecie drąg w pierścień przy płycie i podniesiecie ją.

- Ależ...

- Trzeba szanować wolę zmarłych. Być pochowaną pod ołtarzem w podziemiu kaplicy, nie iść do świeckiej ziemi, pozostać po śmierci tam, gdzie się modliła za życia, takie było ostatnie życzenie matki od Ukrzyżowania. Taka była jej prośba, która jest dla nas rozkazem.

- Ale to jest zakazane.

- Zakazane przez ludzi, nakazane przez Boga.

- A gdyby się o tym dowiedziano?

- Mamu do was zaufanie, ojciec Fauvent.

- Oo! ja tam milczę jak głaz!

- Kapituła się zebrała, Matki głosujące, których przed chwilą radziłam się jeszcze i które obradują, postanowiły, iż zgodnie ze swoim życzeniem matka od Ukrzyżowania będzie pochowana w swojej trumnie pod naszym ołtarzem. Pomyślcie, ojciec Fauvent - jeśli zaczną się u nas dziać cuda, jaka to w Bogu chwała dla naszego zgromadzenia! Cuda dzieją się u grobów.

- Ale, wielbna matko, gdyby urzędnik z komisji zdrowia...

- W sprawie grzebania zmarłych, św. Benedykt II oparł się Konstantynowi Pogonat.

- Jednakże komisarz policji...

- Chonodemeryk, jeden z siedmiu królów germańskich, którzy za cesarza Konstantyna wtargnęli do Galii, wyraźnie uznał prawo, że zakonnicy mogą być grzebani w klasztorze, to znaczy pod ołtarzem.

- Ale inspektor prefektury...

- Wobec krzyża świat jest niczym. Marcin, jedenasty generał kartuzów, taką dewizę dał swemu zakonowi: *Stat crux dum volvitur orbis* \*.

- Amen - odparł Fauchelevant z nie zmałym spokojem, radząc sobie w ten sposób, ilekroć słyszał łacinę.

Temu, kto milczał zbyt długo, wystarczy byle jaki słuchacz. Rektor Gymnastoras, wyszedłszy z więzienia gdy go rozsadały niewypowiedziane sylogizmy i dylematy, zatrzymał się przed pierwszym napotkanym drzewem i wygłosił doń przemowę, nie szczędząc wysiłków, by udowodnić prawdziwość swego zdania. Przełożona, której wymowę powstrzymywała zazwyczaj zaporą milczenia, mając zbyt dużo do powiedzenia, podniosła się z krzesła, a słowa jej popłynęły wartko jak woda z przerwanej śluzy:

- Po swej prawicy mam Benedykta, a po lewicy - Bernarda. Kim jest Bernard? To pierwszy opat z Clairvaux. Błogosławiona jest miejscowość Fontaines w Burgundii, bo oglądała jego narodziny. Ojciec jego zwał się Tecelin, matka Aleta. Zaczął od Citeaux, aby skończyć na Clairvaux; został wyświęcony na księdza przez biskupa Chalon-sur-Saône, Wilhelma de Champeaux. Miał siedmuset nowicjuszy i założył sto sześćdziesiąt klasztorów. Na soborze w Sens, w roku 1140, rozgromił Abelarda i Piotra de Bruysa wraz z uczniem Henry i jeszcze innych zbłąkanych, których zwano Apostolikami; pognębił Arnolda z Brescji, poraził mordercę Żydów, mnicha Raula, przewodził w roku 1148 soborowi w Reims, spowodował potępienie Gilberta de la Poree, biskupa Poitiers, spowodował potępienie Eona

de l'Etoile, położył kres sporom między książętami, był mistrzem króla Ludwika Młodego i doradcą papieża Eugeniusza III, uregulował zakon templariuszy, głosił krucjaty, uczynił za życia dwieście pięćdziesiąt cudów - aż trzydzieści dziewięć w ciągu jednego dnia. Kim jest święty Benedykt? To patriarcha z Monte Cassino, drugi założyciel świętej wspólnoty zakonnej, to Bazyli zachodu. Zakon jego wydał czterdziestu papieży, dwustu kardynałów, pięćdziesięciu patriarchów, tysiąc sześciuset arcybiskupów, cztery tysiące sześciuset biskupów, czterech cesarzy, dwanaście cesarzowych, czterdziestu sześciu królów, czterdzieści jeden królowych, trzy tysiące sześćset kanonizowanych świętych i istnieje od czternastu wieków. Z jednej strony święty Bernard, z drugiej - urzędnik komisji zdrowia! Z jednej strony święty Benedykt - z drugiej inspektor administracji miejskiej! Państwo, administracja miejska, zakłady pogrzebowe, ustawy, zarządy - czy to nas dotyczy? Każdy byłby oburzony widząc, jak nas traktują. Nie mamy nawet prawa oddać Jezusowi Chrystusowi naszych prochów. Wasza komisja zdrowia - to wymysł rewolucji, to Bóg podporządkowany komisarzowi policji. Taki jest świat. Nic nie mówcie, Fauvent!

Pod tym zalewem słów Fauchelevant czuł się nieswojo. Przełożona ciągnęła:

- Prawo zakonów do grzebania swych zmarłych nie ulega żadnej wątpliwości. Tylko fanatycy i odszczepieńcy mogą mu przeczyć. Żyjemy w czasach okropnego pomieszania pojęć. Nikt nie wie tego, co trzeba wiedzieć, każdy wie to, czego wiedzieć nie trzeba. Wszędzie ciemnota i bezbożność. Są w naszych czasach ludzie, którzy nie rozróżniają wielkiego świętego Bernarda od Bernarda zwanego "od biednych", pewnego zacnego kapłana, który żył w XIII wieku. Inni znów błuźnierczo przyrównują szafot Ludwika XVI do krzyża Jezusa Chrystusa! Ludwik XVI był tylko królem. Bójmy się Boga! Dziś nie ma już tego, co słuszne, i tego, co niesłuszne. Każdy wie, kim był Wolter, a nikt, nie wie, kim był Cezary de Bus. A przecież Cezary de Bus jest błogosławiony, a Wolter potępiony. Ostatni arcybiskup, kardynał Perigordu, nie wiedział nawet, że po Berulle'u nastąpił Karol de Gondren, po Gondrenie Franciszek Bourgoïn, po Franciszku Bourgoïn - Jan Franciszek Senault, po Janie Franciszku Senault, ojciec de Sainte-Marthe. Nazwisko ojca Coton znane jest nie dlatego, że był jednym z trzech ludzi, którzy przyczynili się do założenia oratorianów, lecz dlatego, że służył za przekleństwo hugonockiemu królowi Henrykowi IV. Święty Franciszek Salezy miły jest ludziom światowym dlatego, że szachrował w kartach. A potem napada się na religię! Dlaczego? Dlatego że zdarzali się źli księża? Dlatego że Sagittaire, biskup Gapu, był bratem Salona, biskupa Embrun, i że obaj poszli śladem Mommola? Cóż to szkodzi? Czy przeszkodziło to Marcinowi z Tours być świętym i oddać żebrakowi połowę

---

\* Stoi krzyż, gdy kręci się świat.

swego płaszcza? Prześladowuje się świętych. Zamyka się oczy na prawdę. Przyzwyczajono się do ciemności. Najsrozsze bestie - to bestie ślepe. Nikt poważnie nie myśli o piekle. O niegodziwi ludzie! "W imieniu Króla" znaczy dziś "w imieniu Rewolucji". Nikt już nie wie, co się należy żywym ani umarłym. Nie wolno dziś nawet umierać po bożemu. Pogrzeb stał się sprawą świecką. To zgroza. Święty Leon II napisał dwa umyślne listy: jeden do Piotra Notaire, drugi do króla Wizygotów, w których zbija i odrzuca - w sprawach dotyczących zmarłych - władzę egzarchy i supremację cesarza. W tejże samej kwestii Gautier, biskup Chalons, stawiał czoło Ottonowi, księciu Burgundii. Dawne sądownictwo zgadzało się z tym. Niegdyś mieliśmy głos nawet w sprawach świeckich. Każdy opat Citeaux, generał zakonu, był z racji samego przywileju związanego z tą godnością radcą parlamentu Burgundii. Postępowaliśmy z naszymi zmarłymi według naszej woli. Czyż ciało samego świętego Benedykta nie spoczywa we Francji, w opactwie Fleury, zwanym opactwem Świętego Benedykta nad Loarą, choć zmarł w Italii w Monte Cassino, w sobotę 21 marca 543 roku? Temu nie da się zaprzeczyć. Nie znoszę organistów, nienawidzę przeorów, nie cierpię heretyków, ale znienawidziłabym stokroć więcej tego, kto ośmieliłby się mi przeczyć. Dość jest przeczytać Arnolda Wiona, Gabriela Bucelin, Tritemiusza, Maurolicusa i dom Łukasza d'Achery.

Przełożona odetchnęła, po czym zwróciła się do Fauchelevanta:

- A więc sprawa załatwiona, ojczyce Fauvent?

- Załatwiona, wielbna matko.

- Można liczyć na was?

- Będę posłuszny rozkazom.

- Doskonale.

- Całym sercem jestem oddany klasztorowi.

- A więc dobrze. Zamkniecie trumnę; siostry zanosą ją do kaplicy, odprawimy nabożeństwo żałobne, potem wrócimy do klasztoru. Między jedenastą a dwunastą w nocy przyjdziecie z żelaznym drągiem. Wszystko odbędzie się w najgłębszej tajemnicy. W kaplicy będą tylko cztery matki-kantorki, siostra od Wniebowstąpienia i wy.

- I siostra u słupa.

- Ona się nie odwróci.

- Ale będzie słyszała.

- Nie będzie słuchała. Zresztą świat się nie dowie o tym, co wie klasztor.

Po nowej przerwie przełożona ciągnęła:

- Zdejmiecie swój dzwonek. Siostra u słupa nie musi wiedzieć, że jesteście w kaplicy.

- Proszę wielebnej matki...
- Co takiego, ojciec Fauvent?
- Czy był już lekarz od zmarłych?
- Ma przyjść dziś o czwartej po południu. Dzwoniono już, by go sprowadzić. Nie słyszycie więc u siebie żadnego dzwonienia?
- Uważam tylko, jak dzwonią na mnie.
- To dobrze, ojciec Fauvent.
- Muszę mieć drogę co najmniej na sześć stóp, wielebna matko.
- A skąd go weźmiecie?
- Gdzie jest pełno krat, tam pełno żelaznych drągów. Mam w kącie ogrodu kupę żelastwa.
- Kwadrans po jedenastej - nie zapomnijcie.
- Proszę wielebnej matki...
- Słucham.
- Gdyby matka miała jeszcze kiedy taką robotę, to mój brat by się nadał. Mocny jak tur!
- Sprawcie się szybko, ojciec Fauvent!
- Szybki to nie jestem, bom kaleka. I dlatego zdałaby mi się pomoc. Kuleję przecie.
- Kuleć nie jest grzechem, a może być błogosławieństwem. Cesarz Henryk II, który pogwałcił antypapieża Grzegorza i wprowadził na stolicę apostolską Benedykta VIII - miał dwa nazwania: święty i kulawy.
- Dwa ubrania dobra rzecz - mruknął Fauchelevant, który istotnie był nieco przygłuchy.
- Ojciec Fauvent, namyśliłam się, weźmy całą godzinę. To nie będzie za wiele. Bądźcie ze swą sztabą przed głównym ołtarzem o jedenastej. Nabożeństwo rozpoczyna się o północy. Trzeba wszystko skończyć na dobry kwadrans przedtem.
- Zrobię wszystko, by dowieść, jak gorliwie służę zgromadzeniu. Jak powiedziane, zabiję trumnę; punktualnie o jedenastej stawię się w kaplicy. Będą tam matki-kantorki, będzie siostra od Wniebowstąpienia. Lepiej, żeby było dwóch mężczyzn, ale trudno! Będę miał lekarza. Otworzymy podziemie, spuścimy trumnę, zamkniemy podziemie. Nie zostanie ani śladu. Rząd się na niczym nie pozna. Czy to wszystko, wielebna matko?
- Nie.
- A co jeszcze?
- Zostaje pusta trumna.

Te słowa spowodowały chwilę milczenia. Fauchelevant zamyślił się.

Zamyśliła się przełożona.

- Ojczy Fauvent, co zrobimy z trumną?

- Zawiozą ją na cmentarz.

- Pustą?

Nowe milczenie. Fauchelevant zrobił lewą ręką gest, jakby odpędzał niepokojące pytanie.

- Wielebna matko, to ja zamykam trumnę w sali koło kościoła, tylko ja wchodzę do tej sali; przykryję trumnę całunem.

- Tak, ale grabarze, kładąc trumnę na karawan i spuszczać ją do grobu, spostrzegą się łatwo, że jest pusta.

- A do dia.....! - wykrzyknął Fauchelevant.

Przełożona podniosła rękę, by uczynić znak krzyża, patrząc uważnie na ogrodnika. "Bła" - uwięzło mu w gardle. Czym prędzej wymyślił sposób, aby zatrzeć wrażenie przekleństwa.

- Nasypię ziemi do trumny, wielebna matko. Będzie się wydawało, że ktoś w niej leży.

- Macie słuszość. Ziemia, człowiek - to jest to samo. Załatwicie więc sprawę z pustą trumną?

- Tak jest. Biorę to na siebie.

Twarz przeoryszy, do tej pory zasepiona i niespokojna, rozjaśniła się. Skinieniem, jakim przełożony odprawia podwładnego, dała mu znak, że może odejść. Fauchelevant skierował się ku drzwiom. Gdy już miał wychodzić, przełożona rzekła nieco głośniejszym głosem:

- Jestem z was zadowolona, ojczy Fauvent. Jutro po pogrzebie przyprowadźcie mi brata i powiedzcie mu, żeby wziął ze sobą córkę.

## IV

### **Z którego można by wnosić, że Jan Valjean czytał Austina Castillejo**

Kroki kuterzogni podobne są do spojrzeń jednookiego: nieprędko dochodzą do celu. Poza tym Fauchelevant był wzburzony. Zużył blisko kwadrans na drogę do swojej chałupki w ogrodzie. Kozeta już się zbudziła. Jan Valjean posadził ją przy ogniu. Gdy Fauchelevant wchodził, pokazywał jej właśnie wiszący na ścianie kosz ogrodnika, mówiąc:

- Słuchaj mnie uważnie, malutka. Musimy wyjść z tego domu, ale wrócimy tutaj i będzie nam bardzo dobrze. Ten miły staruszek wyniesie cię w tym koszu. Poczekasz na mnie u jednej pani. Przyjdę po ciebie. Jeśli nie chcesz, żeby cię Thénardierowa zabrała, musisz być posłuszna i nic nie mówić!

Kozeta z poważną miną skinęła głową.

Na odgłos drzwi otwieranych przez Fauchelevanta Jan Valjean odwrócił się.

- I cóż?

- Załatwiłem wszystko i nie załatwiłem nic - rzekł ogrodnik. - Otrzymałem pozwolenie na wprowadzenie was tutaj, ale nim wejdziecie, musicie wyjść. W tym sęk. Co do małej sprawa jest łatwa.

- Wyniesiecie ją?

- A będzie cicho?

- Ręczę za nią.

- Ale wy, ojciec Madeleine?

I po chwili milczenia, pełnego niepokoju, Fauchelevant zawołał:

- Wyjdźcie tą samą drogą, którąście weszli.

Jan Valjean, jak za pierwszym razem, odpowiedział tylko:

- Niemożliwe!

Fauchelevant, mówiąc raczej do siebie niż do Valjeana, mruknął pod nosem:

- Inna jeszcze sprawa mnie niepokoi. Powiedziałem, że nasypię ziemi. Ale myślę, że ziemia tam, zamiast ciała, to nie będzie to samo, to nie będzie dobrze, będzie się przesuwac, będzie się ruszac. Ludzie spostrzegą. Uważacie, Ojciec Madeleine, rząd się spostrzeże.

Jan Valjean patrzył na niego badawczo, sądząc, że stary bredzi.

Fauchelevant ciągnął:

- Jak, do dia...ska, stąd wyjdziecie? Wszystko to musi być jutro zrobione! Jutro mam was przyprowadzić. Matka przełożona będzie na was czekała.

Tu wytłumaczył Janowi Valjean, że jest to nagroda za usługę, którą on, Fauchelevent, oddaje zgromadzeniu. Że do jego obowiązków należy branie udziału w pogrzebie, że zamyka trumnę i towarzyszy grabarzowi na cmentarz, że zmarła dziś rano zakonnica prosiła, by ją pochować w trumnie, która jej służyła za łóżko, i pogrzebać w krypcie pod ołtarzem kaplicy, że przepisy policyjne zabraniają tego, ale zmarła była jedną z tych osób, którym się niczego nie odmawia. Że przeorysza i matki-kantorki zamierzają spełnić życzenie nieboszczki. Że dobrze tak rządowi. Że on, Fauchelevent, zamknie w celi trumnę, podniesie płytę kamienną w kaplicy i spuści nieboszczkę do krypty. Że przez wdzięczność za tą przysługę przełożona godzi się przyjmując do klasztoru jego brata jako ogrodnika i siostrzenicę jako pensjonarkę, że owym bratem jest pan Madeleine, a siostrzenicą - Kozeta; że przełożona kazała mu przyprowadzić brata jutro wieczorem, po tym na niby pogrzebie na cmentarzu; ale że nie może przyprowadzić tu pana Madeleine, nie wyprowadziwszy go stąd przedtem. Że to był jeden kłopot. Ale że jest jeszcze drugi kłopot: pusta trumna.

- Pusta trumna? Co to znaczy? - zapytał Jan Valjean.

- Trumna rządowa - odrzekł Fauchelevent.

- Trumna rządowa?

- Zakonnica umiera. Przychodzi lekarz miejski i mówi: "Umarła zakonnica". Rząd przysłała trumnę. Nazajutrz przysłała karawan i karawaniarzy, którzy biorą trumnę i wiozą ją na cmentarz. Karawaniarze przyjdą, podniosą trumnę, wewnątrz nie będzie nic. Trzeba w nią coś włożyć.

- Trzeba tam coś włożyć.

- Nieboszczyka? Nie mam nieboszczyka.

- Nie.

- To co?

- Żywego człowieka.

- Jakiego żywego człowieka?

- Mnie - rzekł Jan Valjean.

Fauchelevent, który siedział, zerwał się, jakby mu pod krzesłem wybuchła petarda.

- Was?

- Czemu nie?

Jan Valjean uśmiechnął się jednym z tych uśmiechów równie rzadkich jak promień słońca na zimowym niebie.

- Pamiętajcie, ojcie Fauchelevant, jak powiedzieliście: "Matka od Ukrzyżowania umarła", a ja dodałem: "A ojciec Madeleine został pogrzebany". Tak właśnie będzie.

- Ach, żartujecie. Nie mówicie tego poważnie.

- Jak najpoważniej. Trzeba stąd wyjść.

- Oczywiście.

- Mówiłem wam, byście dla mnie także wynaleźli kosz i płachtę.

- No i cóż?

- Kosz będzie sosnowy, a płachta z czarnego sukna.

- Co to, to nie: z białego. Zakonnice chowają na biało.

- Niech będzie białe.

- Nie jesteście jak inni ludzie, ojcie Madeleine.

Zetknięcie się z tak fantastycznymi pomysłami, które nie są niczym innym jak niebywałymi, zuchwałymi pomysłami galernika, porzucenie spokoju otaczających go rzeczy, by wmieszać się do tego, co sam nazywał codziennym życiem klasztoru, wprowadziło Fauchelevanta w takie samo zdumienie, jak przechodnia widok białej mewy żerującej w rynsztoku ulicy Saint-Denis.

Jan Valjean ciągnął:

- Muszę stąd wyjść niepostrzeżenie. Mamy sposób. Ale wytłumaczcie mi przedtem, jak się to wszystko odbywa. Gdzie stoi trumna?

- Pusta?

- Tak.

- Na dole, w tak zwanej sali zmarłych. Stoi na dwóch kozłach i przykryta jest całunem.

- Ile ma długości?

- Sześć stóp.

- A co to jest ta sala zmarłych?

- To izba na parterze, ma jedno okno od ogrodu, zakratowane i zamykane z zewnątrz okiennicą, i dwoje drzwi: jedno do klasztoru, drugie do kościoła.

- Do jakiego kościoła?

- Kościoła od ulicy. Kościoła dla wszystkich.

- Czy macie klucze od tych drzwi?

- Tylko od jednych, od tych, które prowadzą do klasztoru. Klucz do drzwi kościoła ma stróż.

- Kiedy stróż otwiera tamte drzwi?

- Tylko wtedy, gdy wpuszcza karawaniarzy po trumnę; gdy trumnę wyniosą - drzwi zamyka.

- Kto zabija trumnę?

- Ja.

- Kto nakrywa ją całunem?

- Ja.

- Czy jesteście sami?

- Żadnemu mężczyźnie poza doktorem z policji nie wolno wejść do sali zmarłych.

Nawet jest taki napis na ścianie.

- Czy moglibyście ukryć mnie w tej sali dziś w nocy, gdy wszyscy w klasztorze będą spać?

- Nie, ale mogę was schować w ciemnej komórce przy tej sali; przechowuję w niej moje narzędzia potrzebne mi do pogrzebu; tylko ja mam do niej dostęp i klucze.

- O której przyjedzie jutro karawan po trumnę?

- Koło trzeciej po południu. Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Vaugirard przed zapadnięciem nocy. To dosyć daleko stąd.

- Schowam się w waszej komórce na narzędzia i przesiedzę tam całą noc i cały ranek.

A co zjedzeniem? Będę głodny.

- Przyniosę coś do przegryzienia.

- Moglibyście przyjąć koło drugiej zamknąć mnie w trumnie.

Fauchelevant cofnął się i zaczął wyłamywać sobie palce.

- Nie! To niemożliwe!

- Co?! Wziąć młotek i wbić kilka gwoździ w deskę?

To, co staremu ogrodnikowi wydawało się niesłychane, dla Jana Valjean, powtarzamy to, było proste. W gorszych już bywał opałach. Ktokolwiek był więźniem, zna sztukę zmniejszania się, zależnie od średnicy otworu, przez który ucieka. Więzień musi przejść przez ucieczkę tak jak chory przez przesilenie choroby będące dla niego ratunkiem lub zgubą. Ucieczka to wyzdrowienie. Godzimy się na wszystko, byle wyzdrowieć. Dać się zamknąć w skrzyni, być niesionym jak pakunek, żyć długi czas w pudle, znaleźć powietrze tam, gdzie go nie ma, całymi godzinami oszczędzać oddech, tak się dusić, by nie umrzeć - to była jedna z posępnych umiejętności Jana Valjean.

Zresztą trumna z żywym człowiekiem to nie tylko sposób galerników, ale i królów. Jeśli można wierzyć mnichowi Austinowi Castillejo, do tego to sposobu uciekł się Karol V,

chcąc po abdykacji raz jeszcze zobaczyć swoją Plombes, która w ten sposób dostała się do klasztoru Św. Justa i w ten sam sposób się z niego wydostała.

Ochłonawszy nieco, Fauchelevant zawołał:

- A jak będziecie oddychać?

- Będę oddychał.

- W tym pudle? Jak o tym pomyślę, to już mi się duszno robi.

- Macie przecie świder, wywierciecie koło ust kilka dziurek i niezbyt mocno przybijecie wieko.

- A jeśli zaczniecie kasłać albo kichać?

- Ten, kto ucieka, nie kaszle i nie kicha. - I Jan Valjean dodał: - Ojczy Fauchelevant, trzeba wybrać jedno z dwojga: albo zostanę tu i będę przyłapany, albo wywiozą mnie stąd na karawanie.

Rzecz to znana, że koty lubią zatrzymywać się i kręcić w miejscu między na wpół uchylonymi drzwiami. Któż z nas nie mówił do kota: "Wejdźże nareszcie!" Niektórzy ludzie wobec jakiegoś wydarzenia mają również skłonność do niezdecydowanego dreptania w miejscu między dwoma postanowieniami, narażając się na zmiżdżenie przez los, zatraskujący nagle drzwi przygody. Ludzie nadmiernie ostrożni, choć przypominają koty, i dlatego właśnie że przypominają koty, ryzykują więcej niż ludzie odważni. Fauchelevant należał do tych niezdecydowanych natur, jednakże zimna krew Jana Valjean udzielała mu się mimo woli.

- Rzeczywiście, nie widzę innego sposobu - mruknął.

Jan Valjean ciągnął:

- Jedno mnie tylko niepokoi: co to będzie na cmentarzu?

- Właśnie o to najmniej się kłopotę! - zawołał Fauchelevant. - Jeśli jesteście pewni, że wyjdziecie z trumny, jestem pewny, że wyciągnę was z grobu. Grabarzem jest mój przyjaciel, pijanica, ojciec Mestienne. Stary moczymorda. Grabarz daje sobie radę ze zmarłymi, a ja daję sobie radę z grabarzem. Zaraz powiem, jak to będzie: przyjedziemy tuż przed zmierzchem, na trzy kwadransy przed zamknięciem bram cmentarza. Karawan zajedzie przed sam grób, będę za nim szedł, to mój obowiązek. Młotek, obcęgi i dłuto będę miał w kieszeni. Karawan staje, karawaniarze opasują trumnę sznurem i spuszcza ją do grobu. Ksiądz mówi pacierze, robi znak krzyża, kropi wodą święconą - i zmyka. Zostaję sam z ojcem Mestienne. To mój znajomy, mówię wam. I jedno z dwojga: albo jest pijany, albo nie jest pijany. Jeśli nie jest pijany, mówię mu: "Chodź na szklaneczkę, póki jeszcze szynk «Pod Słodką Pigwą» jest otwarty". Zabieram go, upijam - to nie sztuka spoić ojca Mestienne, zawsze ma już w czubie

-układam go pod stołem, zabieram jego kartę, żeby wrócić na cmentarz, i wracam bez niego. Macie już tylko ze mną do czynienia. A jeśli jest pijany, mówię mu: "Idź sobie, zrobię to za ciebie". Grabarz odchodzi, a ja wydobywam was z dołu.

Jan Valjean wyciągnął do niego rękę, którą stary chwycił ze wzruszającą chłopską wylewnością.

- Postanowione, ojczy Fauchelevant. Wszystko będzie dobrze.

"Byle tylko nic się nie popsuło - pomyślał Fauchelevant. - To byłoby straszne!"

## **Nie dość jest być pijakiem aby być nieśmiertelnym**

Nazajutrz, gdy słońce już się zniżało, nieliczni przechodnie na bulwarze Maine uchylali kapeluszy przed mijającym ich staroświeckim karawanem, zdobnym w trupie czaszki, skrzyżowane piszczele i srebrne wisioriki. Na karawanie stała trumna okryta białym całunem z wielkim czarnym krzyżem, podobnym do zmarłej kobiety z szeroko rozrzuconymi ramionami. Za karawanem jechała obita czarnym suknem karetka, a w niej widać było księdza w białej komży i ministranta w czerwonej piusce. Dwaj karawaniarze w szarych mundurach, z czarnymi przybraniami, kroczyli po obu stronach karawanu. Z tyłu szedł kulejąc stary człowiek, ubrany jak robotnik. Kondukt ten zdążył w kierunku cmentarza Vaugirard.

Z kieszeni starego robotnika wystawał trzonek młotka, ostrze dłuta i oba uchwyty obcęarów.

Spośród cmentarzy Paryża cmentarz Vaugirard stanowił wyjątek. Miał swoje osobliwe zwyczaje, podobnie jak miał własne wrota i furtkę, zwane w tej dzielnicy przez starych ludzi, przywiązanych do starych nazw, bramą dla jezdnych i bramą dla pieszych. Wspominaliśmy już, że z uwagi na to, iż ten teren niegdyś należał do ich zgromadzenia, bernardynki-benedyktynki z Petit-Picpus uzyskały pozwolenie grzebania swoich zmarłych wieczorem, w osobnym zakątku cmentarza. Z tego też powodu grabarze, pracujący latem do zmroku, a zimą do nocy, podlegali specjalnym przepisom. Bramy cmentarzy paryskich zamykały się w owym czasie o zachodzie słońca; wydane w tej sprawie zarządzenie władz miejskich obejmowało również cmentarz Vaugirard. Bramę dla jezdnych i bramę dla pieszych stanowiły dwie sąsiadujące ze sobą kraty, przylegające do budynku wzniesionego przez architekta Perronet, gdzie mieszkał stróż cmentarny. Bramy owe zamykały się nieubłaganie w chwili, gdy słońce znikało za kopułą Inwalidów. Jeśli któryś z grabarzy był jeszcze na cmentarzu, mógł wyjść w jeden tylko sposób: okazując kartę wystawioną na jego imię przez zarząd zakładów pogrzebowych. W okiennicy przy oknie stróżówki był rodzaj skrzynki na listy, do której grabarz wrzucał kartę. Słyszac wpadającą do skrzynki kartę, stróż pociągał za sznur i brama dla pieszych otwierała się. Jeśli grabarz nie miał przy sobie karty, wymieniał swoje nazwisko; stróż, który nieraz już wtedy spał, wstawał z łóżka, wychodził rozpoznać grabarza i otwierał kluczem bramę; grabarz wychodził, ale płacił piętnaście franków grzywny.

Cmentarz Vaugirard wraz ze swymi osobliwymi zwyczajami, nie objętymi przepisem, zakłócał schemat administracyjny. Wkrótce po roku 1830 został zniesiony. Miejsce jego zajął cmentarz Montparnasse, zwany cmentarzem wschodnim, który odziedziczył po nim ów sławny przylegający do cmentarza Vaugirard szynk, ozdobiony deską z wymalowaną pigwą, zwrócony jedną stroną do szynkwasu, a drugą do grobów, szynk z wywieszką «Pod Słodką Pigwą».

Cmentarz Vaugirard można by nazwać cmentarzem więdnącym. Wychodził z użycia. Zanikały na nim kwiaty, porastała go pleśń. Mieszczanie niechętnie dawali się grzebać na Vaugirard: to trąciło nędzą. Cmentarz Père-Lachaise, proszę bardzo! Grób na Père-Lachaise, podobnie jak garnitur mahoniowych mebli, stanowił oznakę elegancji. Cmentarz Vaugirard był szacownym zakątkiem, rozplanowanym na modłę starych ogrodów francuskich: proste aleje, bukszpany, tuje, ostrokrzewy, pod starymi cisami stare mogiły, wysokie trawy. Wieczór na cmentarzu miał w sobie coś tragicznego. Zarysy jego były przeraźliwie ponure.

Słońce jeszcze nie zaszło, gdy karawan z czarnym krzyżem na białym całunie wjechał w aleję cmentarza Vaugirard. Idący za nim kulawy człowiek - był ojcem Fauchelevant.

Pochowanie matki od Ukrzyżowania w podziemiach pod ołtarzem, wyniesienie Kozety i wprowadzenie Jana Valjean do sali zmarłych - odbyło się bez żadnych przeszkód, bez najmniejszego potknięcia. Powiedzmy mimochodem, że pogrzebanie matki od Ukrzyżowania pod ołtarzem klasztornej kościoła wydaje nam się rzeczą zupełnie wybaczalną. To jedno z tych wykroczeń, które przypominają obowiązek. Zakonnice spełniły go nie tylko bez wahania, lecz z głębokim zadowoleniem wewnętrznym. W klasztorze to, co się nazywa "rządem", jest tylko miesaniem się do prawowitej władzy, i to miesaniem się zawsze podlegającym dyskusji. Na pierwszym miejscu jest reguła zakonna, a kodeks - to zależy. Ustanawiajcie sobie, ludzie, tyle praw, ile wam się żywnie podoba, ale zachowujcie je dla siebie. To, co cesarskie, jest tylko resztką tego, co boskie. Władca jest niczym wobec samej władzy.

Fauchelevant kuśtykał za karawanem bardzo zadowolony: obie jego tajemnice, oba spiski, i ten z zakonnicami, i ten z panem Madeleine, jeden dla klasztoru, a drugi przeciw klasztorowi, powiodły się - oba za jednym zamachem. Jan Valjean miał w sobie przemożny spokój, który udziela się otoczeniu. Fauchelevant nie wątpił już w pomyślny wynik przedsięwzięcia. To, co pozostawało do zrobienia, było po prostu fraszką. W ciągu dwóch lat dziesięć razy spoił grabarza, zacnego ojca Mestienne - pызatego pocziwinę. Zabawiał się jego kosztem. Robił z nim, co chciał, i wodził go na pasku wedle swej fantazji, a ojciec

Mestienne tańczył tak, jak mu grał Fauchelevant. Toteż ogrodnik był najzupełniej pewien powodzenia.

Gdy kondukt skręcił w aleję wiodącą do cmentarza, Fauchelevant, uradowany, popatrzył na karawan i zatarł wielkie ręce, mrużąc półgłosem: - A to ci heca!

Nagle karawan zatrzymał się: stanęli przed bramą cmentarza. Teraz trzeba było okazać zezwolenie na pogrzeb. Pracownik zakładu pogrzebowego rozmówił się ze stróżem cmentarnym. Podczas tej rozmowy, która zawsze powoduje parominutową zwłokę, jakiś nieznajomy człowiek stanął za karawanem obok Fauchelevanta. Wyglądał na wyrobnika, ubrany był w kurtkę z wielkimi kieszeniami, pod pachą dźwigał łopatę. Fauchelevant spojrział na niego.

- A wy co za jedni? - zapytał.

Nieznajomy odparł:

- Grabarz.

Gdyby ktoś, ugodzony pociskiem armatnim w samo serce, żył jeszcze, miałby taką minę jak Fauchelevant.

- Grabarz?

- Tak.

- Wy?

- Ja.

- Grabarzem jest ojciec Mestienne.

- Był.

- Jak to - był?

- Umarł.

Fauchelevant spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, by grabarz mógł umrzeć. A przecie tak jest; nawet grabarze umierają. Kopiąc groby dla innych, przygotowują grób dla siebie.

Ośłupiały Fauchelevant ledwo miał siłę wyjąkać:

- Ależ to nie może być!

- A jednak tak jest.

- Przecież grabarzem jest ojciec Mestienne - ciągnął niepewnie.

- Po Napoleonie - Ludwik XVIII. Po Mestienne'ie - Gribier. Nazywam się Gribier, mój kmiotku.

Poblady Fauchelevant spojrział na owego Gribiera.

Był to mężczyzna długi, chudy, siny, z miną iście pogrzebową; wyglądał na niedoszłego medyka, który został grabarzem.

Fauchelevant parsknął śmiechem.

- Pociaszne rzeczy się dzieją! A to dopiero! Ojciec Mestienne umarł! Tatulo Mestienne umarł, ale niech żyje tatulo Lenoir! A czy wiecie, co to jest tatulo Lenoir? To dzban czerwonego winka za szóstaka przy ladzie. Dzbanek winka z Suresne, do kroćset! Prawdziwego paryskiego winka! Ach! Ojciec Mestienne umarł! Szkoda go! To był zacny hulaka. Ale wy też nie wylewacie za kołnierza, co, kolego? Pójdziemy zaraz obaj na szklaniczkę.

Gribier odpowiedział:

- Byłem w szkołach. Skończyłem cztery klasy. Nie pijam.

Karawan ruszył z miejsca i wjechał na szeroką aleję cmentarza. Fauchelevant zwolnił kroku. Kulał teraz mocniej, bardziej ze strachu niż z kalectwa. Grabarz szedł przed nim.

Fauchelevant jeszcze raz przyjrzał się uważnie temu Gribierowi, który się tu wziął nie wiedzieć skąd. Był to jeden z tych ludzi, którzy, choć młodzi, wyglądają na starców i są bardzo mocni, choć chudzi.

- Kolego! - zawołał Fauchelevant.

Gribier obejrzał się.

- Jestem grabarzem z klasztoru.

- Jesteśmy kolegami - odparł tamten.

Bystry, choć nieuczony Fauchelevant pojął w lot, że ma do czynienia z istotą najgroźniejszego gatunku: zamiłowanym mówcą. Mruknął:

- A więc ojciec Mestienne umarł...

- Na dobre - przytaknął Gribier. - Pan Bóg zajrzał do swego terminarza, okazało się, że przyszła kolej na ojca Mestienne - i ojciec Mestienne umarł.

- Pan Bóg... - powtórzył machinalnie Fauchelevant.

- Pan Bóg - rzekł z powagą grabarz. - Dla filozofów - Ojciec Przedwieczny, dla jakobinów - Najwyższa Istota.

- Więc się nie poznamimy? - wyjąkał Fauchelevant.

- Już się to zrobili. Wy jesteście wieśniak, a ja - paryżanin.

- Nie ma znajomości, póki się jej razem nie pokropi. Kto ma wino w żołądku, ten ma serce na dłoni. Pójdźcie się napić ze mną, tego się nie odmawia.

- Najpierw robota!

“Zginałem” - pomyślał Fauchelevant. Już tylko kilka obrotów kół dzieliło ich od alejki prowadzącej do kąta, w którym grzebano zakonnice. Grabarz odezwał się znowu:

- Mam siedmioro bębnow, wieśniaku, bębnow, które trzeba nakarmić. A skoro one muszą jeść, ja nie mogę pić.

I dodał z zadowoleniem osoby pełnej powagi, która znalazła piękny frazes:

- Ich głód jest wrogiem mego pragnienia.

Koło kępy cyprysów karawan skręcił z szerokiej alei w wąską alejkę, wjechał na teren grobów i zagłębił się w gąszcz krzaków. To wskazywało, że mogiła jest blisko. Fauchelevant szedł coraz wolniej, ale nie mógł wstrzymać karawanu. Na szczęście miękka ziemia, nasiąknięta zimowymi deszczami, tak oblepiała koła, że kondukt posuwał się wolno.

Fauchelevant przysunął się do grabarza.

- Jest takie wyborne winko z Argenteuil - szepnął.

- Wieśniaku - odrzekł tamten - nie miałem być grabarzem. Ojciec mój służył za portiera w Prytaneum. Przeznaczał mnie na literata. Ale spadły na niego różne nieszczęścia: stracił na giełdzie, musiałem zrezygnować z kariery pisarskiej. Wszakże jestem pisarzem ulicznym.

- Ach! Więc nie jesteście grabarzem? - wykrzyknął Fauchelevant czepiając się tej kruchej deski ratunku.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Kumulacja.

Fauchelevant nie zrozumiał ostatniego słowa.

- Chodźmy się napić - rzekł.

Tutaj niezbędna jest pewna uwaga. Fauchelevant, choć był w niemałym strachu, zapraszał na winko, ale nie mówił wcale, kto będzie płacił. Zazwyczaj Fauchelevant zapraszał, a ojciec Mestienne płacił. Z nowej sytuacji, wytworzonej przez zjawienie się nowego grabarza, wynikała jasno konieczność takiej propozycji i stary ogrodnik gotów był to zrobić, ale umyślnie nie poruszał sprawy przysłowiowego “kwadransa Rabelais'go”<sup>\*</sup>. Bowiem mimo całego swojego wzburzenia Fauchelevant nie miał najmniejszej ochoty płacić.

Grabarz mówił dalej z uśmiechem pełnym wyższości:

- Trzeba jeść. Po śmierci ojca Mestienne zgodziłem się objąć po nim ten urząd. Gdy człowiek prawie ukończył szkoły - staje się filozofem. Do pracy pióra dołączyłem pracę rąk. Mój stragan pisarski stoi na rynku przy ulicy Sevres. Wiecie gdzie? Na targu “Pod

---

<sup>\*</sup> Moment płacenia rachunku, który według bezpodstawnej, ale popularnej legendy był zawsze bolesnym przeżyciem dla Franciszka Rabelais'go.

Parasolami". Wszystkie kucharki z placyku Czerwonego Krzyża zwracają się do mnie, a ja im wypisuję czułe wyznania do żołnierzyków. Rano pisuję listy miłosne, wieczorem kopię groby. Takie jest życie, wieśniaku.

Karawan posuwał się naprzód. Zaniepokojony w najwyższym stopniu Fauchelevant rozglądał się na wszystkie strony. Grube krople potu spływały mu po czole.

- Jednakowoż - ciągnął grabarz - niepodobna służyć dwom panom. Będę musiał wybrać: pióro albo łopatę. Łopata psuje mi pismo.

Kondukt stanął.

Z karety wysiadł ministrant, a za nim ksiądz. Przednie koło wjechało na kupę ziemi, za którą widać było otwartą mogiłę.

- A to ci heca! - powtórzył z przerażeniem Fauchelevant.

## VI

### Wśród czterech desek

Kto znajdował się w trumnie? Wiemy. Jan Valjean. Ulokował się tak, by się nie udusić i móc trochę oddychać. Dziwna rzecz, jak spokój sumienia wpływa na spokój ogólny. Od wczorajszego dnia cały plan działania, obmyślony przez Jana Valjean, rozwijał się, i to pomyślnie. Podobnie jak Fauchelevent, Jan Valjean liczył na ojca Mestienne. Nie wątpił w szczęśliwe zakończenie sprawy. Trudno o niebezpieczniejszą sytuację, trudno o większy spokój.

Z czterech desek trumny emanuje groźna cisza. Jakby coś ze spoczynku zmarłych przenikało do spokoju Jana Valjean.

Z wnętrza trumny mógł śledzić - i śledził - kolejne fazy swej niebezpiecznej gry ze śmiercią.

Fauchelevent przybił wieko trumny i niebawem Jan Valjean poczuł, że go wynoszą, a potem, że jedzie. Gdy trzęsienie się zmniejszyło, poznał, że z bruku zjechali na drogę bitą, czyli że przejechali ulicę, a skręcili w bulwary. Po głuchym turkocie odgadł, że przejeżdżają przez most Austerlitzki. Przy pierwszym postoju pojawił się cmentarz, przy drugim zaś powiedział: "Jesteśmy nad grobem".

Naraz poczuł, że ręce chwytają trumnę, i usłyszał szorstkie chrobotanie o deski; zdał sobie sprawę, że to obwiązują trumnę sznurami, by spuścić ją do dołu.

Potem doznał jakby zamroczenia.

Prawdopodobnie grabarz i karawaniarze nie zdołali opuścić trumny równo i przechylili ją głową na dół. Odzyskał zmysły, gdy poczuł, że leży poziomo i spokojnie. Teraz był już na dnie grobu. Przejął go chłód.

Nad nim rozlegał się głos zimny i uroczysty. Słyszał słowa łacińskie, wymawiane tak wolno, że mógł rozróżnić każde z nich z osobna, choć ich nie rozumiał:

*Qui dormiunt in terrae pulvere, evigilabunt; alii in vitam aeternam, et alii in opprobrium, ut videant semper* \*.

Dziecinny głosik rzekł:

- *De profundis*.

---

\* Którzy śpią w prochu ziemi, obudzą się; jedni do życia wiecznego, inni na hańbę, aby zawsze widzieli.

Głos poważny odezwał się na nowo:

- *Requiem aeternam dona ei, Domine.*

Głos dziecinny odpowiedział:

- *Et lux perpetua luceat ei.*

Wtedy usłyszał, że coś, jakby krople deszczu, stuka delikatnie po powierzchni zakrywających go desek - zapewne woda święcona.

“To się już niedługo skończy - pomyślał. - Jeszcze trochę cierpliwości. Ksiądz zaraz odejdzie. Fauchelevant zabierze ojca Mestienne na wino. Zostawią mnie. Potem wróci Fauchelevant sam i wyciągnie mnie stąd. Ale to potrwa z godzinę”.

Znów rozległ się niski głos:

- *Requiescat in pace.*

A głos dziecinny odrzekł:

- *Amen.*

Nadstawiając uszu, Jan Valjean usłyszał jakby odgłos oddalających się kroków.

“O odchodzą - pomyślał. - Jestem sam”.

Nagle nad głową jego rozległ się huk jak uderzenie gromu.

To pierwsza łopata ziemi spadła na trumnę.

Spadła druga łopata ziemi. I wtedy zasypana została jedna z wywierconych dziurek, przez które oddychał. Spadła trzecia łopata ziemi.

Potem czwarta.

Są rzeczy silniejsze od najsilniejszego człowieka. Jan Valjean zemdłał.

## VII

### **Który tłumaczy, skąd powstało wyrażenie:**

### **“postawić wszystko na jedną kartę”**

Oto co działo się nad trumną Jana Valjean. Gdy karawan oddalił się, gdy ksiądz z ministrantem wsiedli do karety i odjechali, Fauchelevant, który nie spuszczał oczu z grabarza, zobaczył, że ten pochyla się i chwyta za łopate, wetkniętą w kupę ziemi.

Wtedy powziął ostateczną decyzję. Stał między grobem a grabarzem, skrzyżował ręce i zawołał:

- Ja płacę!

Grabarz spojrział nań ze zdziwieniem i zapytał:

- Co takiego, wieśniaku?

Fauchelevant powtórzył:

- Ja płacę!

- Za co?

- Za wino.

- Jakie wino?

- Argenteuil!

- Co za Argenteuil?

- “Pod Słodką Pigwą”!

- Idźże do diabła! - rzekł grabarz.

I rzucił pełną łopate ziemi na trumnę.

Trumna zadudniła. Fauchelevant poczuł, że się chwieje, i omal sam nie spadł do dołu. Krzyknął głosem zdławionym, jakby go coś dusiło za gardło:

- No, kolego! Nim zamkną “Słodką Pigwę”!

Grabarz znów nabrał ziemi na łopate. Fauchelevant powtórzył:

- Ja płacę! - i chwycił grabarza za ramię. - Słuchajcie, kolego! Jestem grabarz z klasztoru. Przyszedłem tu, by wam pomóc. Tę robotę można odrobić i w nocy. A przedtem chodźmy się napić.

Lecz mówiąc to, czepiając się rozpaczliwie tego nalegania, zadawał sobie ponure pytanie: “A jeśli nawet wypije, to czy się upije?”

- Prowincjuszu - odrzekł grabarz - jeśli już tak chcecie koniecznie, to zgoda. Napijemy się. Po robocie, pierwszej nigdy. I zamachnął się łopata. Fauchelevant go wstrzymał:

- To dobre wino! Za szóstaka!

- Ejże, prawdziwa z was kołatka: dzyń, dzyń, dzyń, dzyń - tylko tyle umiecie gadać. Odczepcie się ode mnie. I rzucił drugą łopatę ziemi. Fauchelevant był w takim stanie, że sam nie wiedział, co mówi.

- Dalej, chodźcie się napić! - zawołał. - Przecież ja płacę!

- Wpierw ułożymy do snu dziecko - odrzekł grabarz.

I rzucił trzecią łopatę. Po czym wbił łopatę w ziemię i dodał: - Noc dziś będzie zimna, uważacie; nieboszczka wołałaby za nami, gdybyśmy ją tak zostawili nie przykrywszy kołderką.

W tym momencie, nabierając ziemi na łopatę, grabarz zgiął się i rozchyliła mu się kieszeń od kurtki.

Błądny wzrok Fauchelevanta spoczął bezmyślnie na tej kieszeni i już się od niej nie oderwał.

Słońce nie znikło jeszcze za widnokregiem; było dostatecznie jasno, by dostrzec coś, co białało w głębi owej rozchylonej kieszeni.

W źrenicy Fauchelevanty zapaliły się wszystkie błyski, jakimi może błysnąć oko pikardyjskiego wieśniaka: wpadł na pomysł!

Tak, by schylony nad łopatą grabarz nic nie spostrzegł, wsunął od tyłu rękę do jego kieszeni i wyciągnął ów bielejący w niej przedmiot.

Grabarz cisnął do grobu czwartą łopatę ziemi. Gdy odwracał się, by nabrać piątą, Fauchelevant spojrzał na niego z największym spokojem i rzekł:

- Ale, nowicjuszu, czy macie swoją kartę? Grabarz przerwał robotę.

- Jaką kartę?

- Słońce za chwilę zajdzie.

- Niech sobie idzie spać.

- Zaraz zamkną bramy cmentarza.

- To co z tego?

- Macie swoją kartę?

- Ach, moją kartę! - rzekł grabarz i zaczął szukać w kieszeni. Przetrzęsnał, jedną kieszeń, przetrzęsnał drugą, przeszukał jedną kieszeń od kamizelki, wywrócił drugą.

- Nie! - powiedział. - Nie mam karty. Musiałem jej zapomnieć.

- Piętnaście franków grzywny! - rzekł Fauchelevant.

Grabarz zzieleniał! Zieleń jest bladością ludzi bladych.

- A, Jezu Chryste, panie miły i wszyscy święci razem wzięci! - zawołał. - Piętnaście franków grzywny!

- Trzy kawałki po pięć franków - dodał Fauchelevant.

Grabarzowi wysunęła się z rąk łopata. Przyszła kolej na Fauchelevanta.

- No, no - rzekł - nie rozpaczajcie, rekrucie! Przecież się nie zabijecie i nie ułożycie w tym nowiutkim grobie. Piętnaście franków to piętnaście franków, zresztą możecie ich nie płacić. Ja jestem stary wyga, a wy nowicjusz. Znam sposoby i sposobiki, sztuczki i kruczki i dam wam przyjacielską radę. Jedna rzecz jest pewna: słońce zachodzi i dotyka już kopuły Inwalidów i za pięć minut zamkną cmentarz.

- To prawda - rzekł grabarz.

- Przez pięć minut nie zasypiecie grobu, bo jest diablo głęboki, i nie zdążycie wyjść przed zamknięciem bramy.

- Racja.

- W takim razie - piętnaście franków grzywny.

- Piętnaście franków.

- Ale macie jeszcze czas, żeby... Gdzie mieszkacie?

- Dwa kroki za roгатką, o kwadrans drogi stąd, na ulicy Vaugirard numer 87.

- A więc macie czas wyjść stąd, jeśli weźmiecie nogi za pas!

- To prawda.

- Jak już będziecie za bramą, pocwałujecie do domu, weźmiecie kartę, wróćcie, stróż cmentarny wam otworzy. Mając kartę, nic nie płacie. Wtedy zasypiecie swego nieboszczyka, a ja wam go przez ten czas przypilnuję, żeby nie uciekł.

- Życie mi ratujecie, wieśniaku.

- Wynoście się już - odrzekł Fauchelevant.

Nieprzytomny z wdzięczności, grabarz potrząsnął go za rękę i puścił się pędem do wyjścia.

Gdy znikł już wśród drzew, Fauchelevant poczekał, aż umilkną kroki, a potem, nachyliwszy się nad grobem, zawołał półgłosem:

- Ojczy Madeleine! Żadnej odpowiedzi.

Fauchelevant zadrżał. Nie zszedł, a zsunął się raczej do grobu i rzucił się na trumnę, wołając:

- Słyszycie mnie?

W trumnie panowała cisza.

Fauchelevant dygotał tak, że ledwo mógł oddychać; chwycił dłuto i młotek i odwalił wieko trumny. W półmroku zamajaczyła twarz Jana Valjean, blada, z zamkniętymi oczami.

Włosy stanęły Fauchelevantowi na głowie; zerwał się na równe nogi, potem obsunął się bezwładnie na ścianę mogiły, bliski zemdenia nad trumną.

Spojrzał na Jana Valjean.

Jan Valjean leżał trupio blady, nieruchomy.

Fauchelevant szepnął głosem cichym jak tchnienie:

- Nie żyje!

Wyprostował się i skrzyżowawszy ręce tak, że obie zaciśnięte pięści uderzyły w ramiona, zawołał:

- To tak go uratowałem!

I biedny pocziwina wybuchnął płaczem, gadając do siebie, bo błędem jest mniemać, że monolog obcy jest naturze człowieka. Silne wzburzenia często mówią głośno.

- To wina ojca Mestienne. Po co ten dureń umarł? Czy musiał zdychać akurat w takiej chwili, kiedy się nikt tego nie spodziewał? Przez niego umarł pan Madeleine. Ojciec Madeleine! Leży w trumnie. Nie ma go już! Koniec. Bo też czy takie historie mają jakiś sens? O mój Boże! Nie żyje! A jego mała? Co ja z nią zrobię? A co powie owocarka? Jak, u Boga, to możliwe, żeby taki człowiek tak umarł! Gdy sobie pomyślę, jak to on wlaź pod mój wóz! Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Udusił się, do kroćset, miałem rację. Nie chciał mi wierzyć. A tośmy śliczną psotę wymyślili! Umarł ten zacny człowiek, ten najlepszy z ludzi, jakiego kiedykolwiek Pan Bóg stworzył! A jego mała! Ach, ja tam za nic nie wrócę. Zostanę tutaj. Jak można było robić takie głupstwo! Warto było być parą starców, aby być parą starych wariatów. I jak też on się dostał do klasztoru? Od tego się wszystko zaczęło. Nie można robić takich rzeczy. Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Ojciec Madeleine! Madeleine! Panie Madeleine! Panie merze! Nie słyszy mnie. A teraz rób tu, co chcesz!

I rwał sobie włosy z głowy.

Z oddali, spośród drzew doleciał ostry zgrzyt. To zamykano bramę cmentarza. Fauchelevant pochylił się nad Janem Valjean, lecz nagle odskoczył w tył i cofnął się tak, jak mu na to pozwalały ściany grobu. Jan Valjean miał oczy otwarte i patrzył na niego.

Przerażający jest widok śmierci; widok zmartwychwstania jest prawie równie przerażający. Fauchelevant, blady, wylękły, nieprzytomny z nadmiaru wrażeń, skamieniał i nie wiedząc, czy ma do czynienia z żywym, czy z umarłym, wpatrywał się w Jana Valjean, który również patrzył na niego.

- Zasypiałem... - rzekł Jan Valjean i usiadł w trumnie.

Fauchelevant padł na kolana.

- Najświętsza Panno! A toście mnie nastraszyli! - Potem podniósł się i zawołał: -  
Dzięki wam, ojczy Madeleine!

Jan Valjean był tylko zemdłony. Świeże powietrze ocuciło go.

Radość - to odpływ strachu. Fauchelevant niemal z taką samą trudnością wracał do równowagi co Jan Valjean.

- Więc nie umarliście! O, jaki z was mądry człowiek! Tak was wołałem, żeście odzyskali przytomność. Jak zobaczyłem, że macie zamknięte oczy, powiedziałem sobie: "Dobre sobie! Udusił się!" Zwariowałbym na pewno. Założyliby mi kaftan bezpieczeństwa. Wsadziliby mnie do Bicetre. Bo co miał bym robić, gdybyście zmarli? A wasza mała? Moja handlarka nic by z tego nie zrozumiała: zwalają jej na głowę dzieciaka, a dziadek umiera. Co za heca, święci pańscy! Co za heca! Ale żyjecie, wszystko w porządku!

- Zimno mi - powiedział Jan Valjean.

Te słowa przywołały ojca Fauchelevant do rzeczywistości, która nagliła do działania. Mimo że obaj już oprzytomnieli, odczuwali, nie zdając sobie z tego sprawy, dziwne oszołomienie grozą grobu.

- Chodźmy stąd jak najprędzej - zawołał Fauchelevant.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej manierkę, w którą się zaopatrzył na wszelki wypadek.

- Ale najpierw łyknijmy sobie! - rzekł.

Manierka dokonała dzieła, które rozpoczął przyływ świeżego powietrza. Wypiwszy łyk wódki, Jan Valjean zupełnie przyszedł do siebie.

Wydobył się z trumny i pomógł Fauchelevantowi ponownie przybić wieko.

Po trzech minutach byli już na górze.

Zresztą Fauchelevant był spokojny; nie spieszył się. Cmentarz był zamknięty, nadejścia grabarza nie należało się obawiać: "rekrut" szukał w domu swej karty, którą trudno mu było znaleźć w mieszkaniu, skoro znajdowała się w kieszeni Fauchelevant. Bez karty nie mógł wrócić na cmentarz.

Fauchelevant chwycił za łopatę, Jan Valjean za motykę i tak we dwóch pogrzebali pustą trumnę.

Gdy już grób został zasypyany, Fauchelevant powiedział do Jana Valjean:

- Chodźmy stąd! Ja biorę łopatę, a wy motykę.

Zapadała noc.

Jan Valjean ledwo szedł. Każdy ruch sprawiał mu trudność. Skostniał w owej trumnie i stał się jakby trochę trupem. Drętwa śmierci chwyciła go między czterema deskami, musiał niejako odtajać od chłodu mogiły.

- Skostnieliście z zimna - rzekł Fauchelevant. - Szkoda, że kulawy, bo byśmy sobie potupali dla rozgrzewki.

- Et, parę kroków, a nogi mi się rozchodzą - odrzekł Jan Valjean.

Wracali tymi samymi alejami, którymi przejeżdżał karawan. Gdy stanęli przed zamkniętą bramą, obok domku stróża, Fauchelevant wrzucił do skrzynki kartę grabarza, którą trzymał w ręce. Stróż pociągnął za sznur, brama się otwarła i wyszli.

- Wszystko idzie jak z płatka - rzekł Fauchelevant. - Doskonały mieliście pomysł, ojciec Madeleine!

Rogatkę Vaugirard przeszli bez najmniejszych trudności. W pobliżu cmentarza łopata i motyka starczą za legitymację.

Ulica Vaugirard była pusta.

- Macie lepsze oczy od moich, ojciec Madeleine - odezwał się Fauchelevant idąc i rozglądając się po domach. - Pokażcie mi numer 87.

- Tutaj - rzekł Jan Valjean.

- Na ulicy nie ma nikogo - ciągnął Fauchelevant. - Dajcie mi motykę i, proszę, poczekajcie tu na mnie dwie minutki.

Wszedł do domu pod numerem 87 i wiedziony instynktem, który prowadzi zawsze biedaka pod strych, wdrapał się na samą górę i po ciemku zapukał do drzwi na poddaszu. Jakiś głos odpowiedział mu:

- Proszę.

Był to głos Gribiera.

Fauchelevant pchnął drzwi. Mieszkanie grabarza, podobnie jak wszystkie takie nędzne pomieszczenia, było norą nieumeblowaną i zagraconą. Jakaś skrzynia - może trumna - zastępowała komodę, maślnica służyła za dzban, siennik za łóżko, deski podłogi za krzesła i stół. W kącie, na jakimś łachmanie będącym resztką starego dywanu, siedziała chuda kobieta, koło której tłoczyła się spora gromadka dzieciaków. Całe wnętrze wyglądało jak po katastrofie, rzekłbyś, że przeszło tędy trzęsienie ziemi. Zdjęte z garnków pokrywki, porzucane szmaty, stłuczony dzbanek, zapłakana matka, dzieci według wszelkiego prawdopodobieństwa obite - oto ślady upartych i gniewnych poszukiwań. Widocznie grabarz zapamiętał szukał swej karty i odpowiedzialnością za tę stratę obarczył wszystko, co się znajdowało w izbie, od żony poczynając, a na dzbanku kończąc. Miał minę zrozpaczoną.

Fauchelevantowi zbyt śpieszyło się skończyć całą przygodę, by zauważyć te żałosne skutki swojego sukcesu.

Wszedł i powiedział:

- Odnoszę wam motykę i łopatę.

Gribier spojrział na niego ze zdumieniem:

- To wy, wieśniaku?

- A jutro rano znajdziecie u stróża swoją kartę. I położył łopatę i motykę na podłodze.

- Co to znaczy? - zapytał Gribier.

- To znaczy, że karta wypadła wam z kieszeni, że znalazłem ją na ziemi już po waszym odejściu, że pochowałem nieboszczkę, że zasypałem grób, że odrobiłem za was robotę, że stróż odda wam jutro waszą kartę i że nie będziecie musieli płacić piętnastu franków. Tak, rekrucie.

- Dzięki, wieśniaku - zawołał rozpromieniony Gribier. - Następnym razem ja płacę.

## VIII

### Pomyślny wynik przesłuchania

W godzinę później, już ciemną nocą, dwaj mężczyźni z dzieckiem stanęli przed bramą numer 62 przy uliczce Petit-Picpus. Starszy z nich uniósł kołatkę i zastukał.

Byli to: Fauchelevant, Jan Valjean i Kozeta. Obaj starcy poszli po Kozetę do owocarki z ulicy Chemin-Vert, u której poprzedniego dnia zostawił ją Fauchelevant. Mała spędziła te dwadzieścia cztery godziny nic nie rozumiejąc i drżąc w milczeniu. Drżała tak, że nie płakała. Nie jadła też ani nie spała. Poczciwa stara zarzuciła ją gradem pytań, za całą odpowiedź otrzymując tylko zawsze jednako ponure spojrzenie. Kozeta nie pisnęła ani słowa o tym, co widziała i słyszała w ciągu ostatnich dwóch dni. Rozumiała, że przeżywają krytyczne chwile, i czuła dobrze, że musi "być grzeczna". Któż z nas nie doświadczył przemożnej władzy tych trzech słów. "Nie mów nic!", szepniętych ze specjalną intonacją do ucha takiego małego, przerażonego stworzonka? Strach jest niemy. Zresztą nikt nie umie tak dochować tajemnicy jak dziecko.

Kiedy jednak po tych ponurych dwudziestu czterech godzinach ujrzała znów Jana Valjean, wydała okrzyk takiej radości, że gdyby go usłyszał człowiek myślący, odgadłby w tym krzyku wyrwanie się z przepaści.

Fauchelevant, jako człowiek z klasztoru, znał wszystkie hasła, toteż każde drzwi otwierały się przed nim.

Tak został rozwiązany podwójny i niebezpieczny problem wyjścia i wejścia.

Stróż, który otrzymał odpowiednie polecenie, otworzył furtkę służbową, łączącą podwórze z ogrodem; przed dwudziestu laty widać ją było z ulicy, naprzeciw bramy, w głębi podwórza. Przeprowadził wszystkich troje przez furtkę, a stamtąd udał się do wewnętrznej rozmównicy, w której poprzedniego dnia przełożona dawała Fauchelevantowi polecenia.

Przełożona czekała na nich z różańcem w ręku. Za nią, z opuszczonym na twarz welonem, stała jedna z matek głosujących. Dyskretny płomień świecy oświetlał, można by prawie powiedzieć, udawał, że oświetla rozmównicę.

Przełożona zlustrowała Jana Valjean, a nic nie bada lepiej niż spojrzenie spod opuszczonych powiek.

Po czym zapytała:

- To wy jesteście bratem ogrodnika?

- Tak jest, wielbna matko - odrzekł Fauchelevant.

- Jak się nazywacie?

Fauchelevant odpowiedział:

- Ultym Fauchelevant.

Istotnie, miał brata, imieniem Ultym, obecnie już nieżyjącego.

- Z jakich jesteście stron?

Fauchelevant odpowiedział:

- Z Picquigny koło Amiens.

- Ile macie lat?

Fauchelevant odpowiedział:

- Pięćdziesiąt.

- Czym jesteście z zawodu?

Fauchelevant odpowiedział:

- Ogrodnikiem.

- Jesteście dobrym katolikiem?

Fauchelevant odpowiedział:

- Wszyscyśmy w rodzinie dobrzy katolicy.

- To wasza mała?

Fauchelevant odpowiedział:

- Tak jest, wielbna matko.

- Jesteście jej ojcem?

Fauchelevant odpowiedział:

- Dziadkiem, wielbna matko.

- Dobrze odpowiada - półgłosem odezwała się matka głosująca do przełożonej.

Jan Valjean przez cały czas nie wyrzekł ani słowa.

Przełożona przyjrzała się Kozecie i powiedziała półgłosem do matki:

- Będzie brzydka.

Obie zakonnice chwilę szeptały w kącie rozmównicy, po czym przełożona odwróciła się i rzekła:

- Ojczy Fauvent, dostaniecie inny rzemień z dzwonkiem; teraz będą potrzebne dwa.

Istotnie, nazajutrz rozlegał się w ogrodzie dźwięk dwóch dzwonek i zakonnice nie mogły się powstrzymać, by nie uchylić rąbka swych welonów. W głębi ogrodu pod drzewami widać było dwóch mężczyzn, którzy kopali ziemię, Fauventa i tego drugiego. Wydarzenie

niezmiernej wagi! Naruszono nawet obowiązek milczenia, by szeptać między sobą: "To pomocnik ogrodnika".

Matki głosujące dodawały: "To brat naszego ojca Fauvent".

Jan Valjean został zainstalowany zgodnie z wszystkimi przepisami, dostał ramię z dzwonkiem i odtąd już przebywał tu oficjalnie. Nazywał się Ultym Fauchelevant.

Główną przyczyną, która zdecydowała o ich przyjęciu, była uwaga przełożonej, że Kozeta "będzie brzydka".

Doszedłszy do tego wniosku, przełożona natychmiast polubiła Kozetę i umieściła ją w pensjonacie jako bezpłatną uczennicę.

Jest to całkiem logiczne. Cóż z tego, że w klasztorze nie ma zwierciadeł? Kobieta i tak ma świadomość tego, jak wygląda; dziewczyna, która wie, że jest ładna, niełatwo zostaje zakonnica, a że powołanie pozostaje zazwyczaj w odwrotnym stosunku do urody, więcej nadziei można pokładać w dziewczętach szpetnych niż pięknych. Stąd sympatia do brzydkich.

Ta przygoda podniosła znaczenie starego, zacnego Fauchelevanta; odniósł on sukces potrójny: w stosunku do Jana Valjean, któremu uratował życie i dał schronienie, w stosunku do Gribiera, który mówił sobie: "Oszczędził mi płacenia grzywny", w stosunku do klasztoru, który, dzięki niemu zachowując trumnę matki od Ukrzyżowania w krypcie kościoła, obszedł wolę Cezara i zadośćuczynił woli Boga. Trumna ze zwłokami spoczęła w klasztorze, trumna bez zwłok spoczęła na cmentarzu Vaugirard. Porządek publiczny, bez wątpienia, został poważnie zachwiany, ale jakoś tego nie zauważył. Jeśli zaś chodzi o zakonnice, to wielka była ich wdzięczność dla Fauchelevanta. Stał się najlepszym ze sług i najcenniejszym z ogrodników. Przy pierwszej wizycie arcybiskupa przełożona opowiedziała jego wysokości całą sprawę, trochę spowiadając się z niej, a trochę się nią chwając. Po wyjściu z klasztoru arcybiskup z kolei opowiedział o niej z wielkim uznaniem i w tajemnicy spowiednikowi brata jego królewskiej mości, księdzu de Latil, późniejszemu arcybiskupowi Reims i kardynałowi. Podziw i admiracja dla Fauchelevanta zatoczyły szerokie kręgi, bo dotarły aż do Rzymu. Widzieliśmy bilecik, napisany przez ówczesnego papieża Leona XII do jednego ze swych krewnych, monsignora w nuncjaturze paryskiej, noszącego podobnie jak papież nazwisko Delia Genga; czytamy w nim te słowa: "Podobno w jakimś klasztorze w Paryżu jest znakomity ogrodnik, człowiek prawdziwie święty, nazwiskiem Fauvan". Ale nic z owej chwały nie dotarło do chałupki Fauchelevanta; nadal szczepił drzewka, peł i okrywał melony, nic nie wiedząc o swej doskonałości i świętości. Nie domyślał się nawet swej sławy, podobnie jak nie domyśla się jej wół z Durham czy Surrey, którego podobizna widnieje w "Illustrated

London News" z napisem: "Wół, który otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie bydła rogatego".

## IX

### W klasztorze

W klasztorze Kozeta nadal milczała.

Uważała się po prostu za córkę Jana Valjean. Poza tym, ponieważ nie wiedziała o niczym, nic nie mogła powiedzieć, a zresztą w żadnym wypadku i tak nic nie powiedziałyby. Mówiliśmy przed chwilą, że nieszczęście najskuteczniej wdraża dziecko do milczenia. Kozeta wycierpiała tyle, że bała się wszystkiego, bała się mówić, bała się oddychać. Ileż razy za jedno słowo spadała na nią cała lawina! Odkąd przebywała z Janem Valjean, zaczęła nabierać trochę pewności siebie. Dość szybko przyzwyczaiła się do klasztoru. Żałowała wprowadzić Katarzyny, ale nie śmiała o tym wspominać. Raz powiedziała jednak do swego opiekuna: "Gdybym wiedziała, ojcze, zabrałabym ją ze sobą".

Zostawszy uczennicą w klasztorze, Kozeta musiała przywdziać strój pensjonarek. Jan Valjean uzyskał pozwolenie zabrania ubioru, który z siebie zdjęła. Była to ta sama żałobna sukienka, w którą ją przyodział, gdy opuszczała z nim karczmę Thénardierów. Nie była jeszcze zniszczona. W małym kufereku, który udało mu się zdobyć, Jan Valjean zamknął te szmatki wraz z wełnianymi pończochami i trzewikami, przesypawszy je kamforą i różnymi wonnymi ziołami, których nie brak w klasztorach. Kuferek ustawił na krzeselku koło swego łóżka i klucz od niego zawsze nosił przy sobie.

- Ojcze, co jest w tej skrzyneczce, że tak ładnie pachnie? - zapytała go pewnego razu Kozeta.

Poza sławą, o której wspominaliśmy przed chwilą, a o której on sam nie miał pojęcia, ojciec Fauchelevent został wynagrodzony za swój dobry uczynek: przede wszystkim był z tego powodu szczęśliwy, poza tym, ponieważ dzielił się pracą z Janem Valjean, miał znacznie mniej roboty. Wreszcie, lubiąc bardzo tabakę, miał jeszcze i ten zysk z obecności pana Madeleine, że zażywał jej teraz trzy razy więcej niż dawniej, i to z nierównie większą rozkoszą, gdyż pan Madeleine za nią płacił.

Wśród zakonnic imię Ultyma nie przyjęło się; o Janie Valjean mówiły "drugi Fauvent".

Gdyby świątobliwe panienki umiały choć w części tak patrzeć jak Javert, zauważyłyby w końcu, że gdy trzeba było wyjść na miasto w sprawach ogrodu, szedł zawsze

starszy Fauchelevent, ten stary, ten kaleka, ten kulawy, a nigdy tamten drugi. Czy to dlatego jednak, że oczy utkwione w Bogu nie umieją szpiegować, czy też, że zakonnice wolały śledzić się wzajemnie, dość, że nie zwróciły na to uwagi.

Jan Valjean słusznie zrobił, że siedział cicho i nie ruszał się ani krokiem. Przez dobry miesiąc Javert miał tę dzielnicę na oku.

Klasztor stał się dla Jana Valjean wyspą wśród przepaści. Te cztery mury były mu teraz całym światem. Oglądał tu dosyć nieba, aby być pogodnym, i dosyć często widywał Kozetę, aby być szczęśliwym.

Znów zaczęło się dla niego spokojne życie.

Mieszkał razem ze starym Fauchelevent w domku, w głębi ogrodu. Ta chałupka, zlepiąca z gruzu, a istniejąca jeszcze w roku 1845, składała się, jak wiadomo, z trzech izb, w których były tylko nagie ściany. Najlepszą Fauchelevent oddał panu Madeleine przemocą, mimo daremnych protestów Jana Valjean. Poza dwoma hakami, służącymi do zawieszania rzemienia z dzwonkiem i kosza, ścianę tego pokoju ozdobił jeszcze papierowy bon pieniężny rojalistów z 93 roku, zawieszony nad kominkiem, z takim oto napisem:

*Królewska Armia Katolicka*

*W imieniu króla*

*Bon pieniężny wartości dziesięciu franków za przedmioty*

*dostarczone dla armii*

*Płatny po wojnie*

*Seria 3*

*Nr 10 390*

*Stofflet*

Tę wandejską asygnatą przybił na ścianie poprzedni ogrodnik, dawny szuan, który umarł tu w klasztorze, a po którym objął miejsce Fauchelevent.

Jan Valjean pracował całymi dniami w ogrodzie i bardzo się tu przydał. Niegdyś trudnił się przycinaniem drzew i chętnie powrócił do ogrodnictwa. Czytelnik pamięta, że znał wiele przepisów i tajemnic z dziedziny hodowli roślin - teraz mógł je wykorzystać. W sadzie rosły same prawie dziczki; zaszczepił je i odtąd rodziły wyborne owoce.

Kozeta otrzymała pozwolenie, by co dzień przychodzić do dziadka i spędzać z nim godzinę. A że siostry były smutne, on zaś był dobry, więc dziewczynka porównywała go z nimi i uwielbiała. O oznaczonej porze przybiegała do domku ogrodnika, a gdy wchodziła do

tej rudery, przemieniała ją w raj. Jan Valjean rozpromieniał się i czuł, jak jego szczęście powiększa szczęście, jakie daje Kozecie. W radości, którą sprawiamy innym, zachwycające jest to, że nie blednie ona jak każde odbicie, lecz, przeciwnie, wraca do nas jeszcze promienniejsza. Podczas rekreacji Jan Valjean patrzył z daleka, jak Kozeta bawiła się i biegała, i poznawał jej śmiech pośród śmiechu innych dzieci.

Bo teraz Kozeta się śmiała.

Nawet twarzyczka jej zmieniła się w pewnej mierze. Znikło z niej zaszępienie. Śmiech jak słońce spędza zimę z twarzy ludzkiej.

Nadal nie będąc ładna, Kozeta stawiała się urocza. Słodkim, dzieciennym głosem wygłaszała różne rozsądne zdania.

Gdy po pauzie wracała do klasztoru, Jan Valjean wpatrywał się w okna jej klasy, a w nocy wstawał, by wpatrywać się w okna jej sypialni.

Bóg prowadzi ludzi swoimi drogami; klasztor, podobnie jak Kozeta, przyczynił się do tego, by utrwalić i rozwinąć w duszy Jana Valjean dzieło rozpoczęte przez biskupa. Nie ulega wątpliwości, że jedna ze stron cnoty graniczy w jakiś sposób z pychą: istnieje między nimi most zbudowany przez szatana. Możliwe, że Jan Valjean był już nieświadomie blisko tej granicy i tego mostu, gdy Opatrzność zawiodła go do klasztoru Petit-Picpus. Dopóki porównywał siebie do biskupa, uważał się za niegodnego i był pokorny, ale od pewnego czasu zaczął się porównywać z innymi ludźmi i zbudziła się w nim pycha. Kto wie, może niepostrzeżenie doszedłby w końcu znów do nienawiści.

Klasztor zatrzymał go na tej pochyłości.

Było to drugie miejsce niewoli, jakie oglądał. W młodości, u zarania życia i później, niedawno jeszcze widział inne takie miejsce, miejsce ohydne, miejsce straszliwe, którego srogość wydawała mu się zawsze niegodziwością sprawiedliwości i zbrodnią prawa. Dziś z galer dostał się do klasztoru i rozmyślając nad tym, że niegdyś był galernikiem, a dziś jest, rzecz można, widzem w klasztorze, z rozterką porównywał w myśli oba te miejsca.

Niekiedy opierał się na łopacie i zstępował powoli po kręgach bezdennej głębi marzenia.

Przypomniawszy sobie swych dawnych towarzyszy: jakże byli nieszczęśliwi! Zrywali się o świcie, pracowali do nocy; zaledwie zostawiano im czas na sen, sypiali na pryzkach, na których wolno im było położyć siennik grubości dwóch cali, w salach ogrzewanych jedynie w najzimniejszych miesiącach roku; odziani byli we wstrętne, czerwone kaftany; z łaski pozwalano, by w czasie wielkich upałów nosili płócienne spodnie, a w czasie wielkich mrozów wełnianą bluzę na grzbiecie; wino czy mięso dostawali tylko wtedy, gdy szli do

ciężkiej pracy. Żyli bez nazwisk, oznaczeni jedynie numerami, i stali się w pewnej mierze tylko cyframi. Żyli ze spuszczonego wzrokiem, mówili zniżonym głosem, głowę mieli ogoloną. Żyli pod batem, pohańbieni.

Potem przenosił się myślą ku istotom, które miał przed oczyma.

Istoty te również miały obcięte włosy, spuszczone oczy, mówiły również zniżonym głosem, żyły - nie w pohańbieniu, lecz wśród szyderstw świata, bat nie ranił im pleców, lecz dyscyplina rozdzierała ramiona. Ich nazwiska również zatarły się w pamięci ludzi. Nosiły tylko nazwania, pełne surowej powagi. Nigdy nie jadały mięsa, nigdy nie pijały wina, często do wieczora obywateli się bez jedzenia; okrywał je nie czerwony kaftan, lecz czarny, wełniany całun, zbyt ciężki w lecie, zbyt przewiewny w zimie, do którego nie mogli nic dodać ani nic ująć; nie miały nawet tej ulgi, by, zależnie od pory roku, przywdziać płócienną odzież czy wełniane okrycie, i przez sześć miesięcy w roku nosiły koszule wełniane, od których dostawały gorączki. Mieszkały nie w salach ogrzewanych jedynie w czasie największych mrozów, lecz w celach, w których nigdy nie rozpalano ognia; sypiały nie na siennikach grubości dwóch cali, lecz na słomie. Wreszcie, nie zezwalano im nawet na sen; co noc, po dniu pełnym mozołu, ledwo usnąwszy, ledwo rozgrzawszy się nieco, musiały budzić się z pierwszego, ciężkiego snu, wstawać, iść na modlitwy do lodowatej, ciemnej kaplicy i klęczeć na kamieniu.

W pewne dni jedna z nich, gdy na nią przypadała kolej, przez całe dwanaście godzin klęczała na kamiennej posadzce lub leżała krzyżem.

Tam byli mężczyźni, tu były kobiety.

Co zrobili ci mężczyźni? Kradli, gwałcili, rabowali, zabijali, mordowali. To byli bandyci, fałszerze, truciciele, mordercy, ojcobójcy. Co zrobiły te kobiety? Nic.

Z jednej strony rozbój, oszustwo, podstęp, gwałt, wszeteczeństwo, zabójstwo, wszelkie rodzaje świętokradztwa, wszelkie odmiany zbrodni. Z drugiej strony jedno tylko: niewinność.

Niewinność doskonała, nieziemska prawie w swym tajemniczym wniebowzięciu, cnotą związana jeszcze z ziemią, świętością już sięgająca nieba.

Z jednej strony - szeptem czynione zwierzenia o zbrodniach; z drugiej - głośnie wyznanie grzechów. I jakich zbrodni! i jakich grzechów!

Z jednej strony - ohydne wyziewy; z drugiej - niewysłowione wonie. Z jednej strony zgnilizna moralna, strzeżona pilnie, obstawiona armatami i wolno zżerająca zarażonych. Z drugiej - czyste rozplomienie wszystkich dusz w jednym ognisku. Tam - ciemność, tu - cień, lecz cień pełen światłości, a światłość pełna promieni.

Dwa miejsca niewoli, lecz w pierwszym istnieje możliwość uwolnienia, dostrzegalny jest kres kary, przewidziany prawem; a wreszcie jest jeszcze ucieczka. W drugim niewola do końca życia, a za całą nadzieję, u kresu dalekiej przyszłości, jutrzienka wolności, którą ludzie zowią śmiercią.

Do pierwszego miejsca niewoli przykuwały tylko łańcuchy; do drugiego przykuwała wiara.

Czym rozbrzmiewało pierwsze? Potężnym przekleństwem, zgrzytaniem zębów, nienawiścią, złością pełną rozpacz, krzykiem wściekłości grożącym społeczeństwu ludzkiemu, szyderstwem z nieba.

Co unosiło się z drugiego? Błogosławieństwo i miłość.

W obu tych miejscach, tak podobnych, a tak różnych, dwa rodzaje istot ludzkich, tak odmienne od siebie, spełniały to samo dzieło: pokutę.

Jan Valjean rozumiał pokutę pierwszych; pokutę osobistą, pokutę za własne winy, ale nie rozumiał drugiej pokuty, pokuty istot bez grzechu i zmayı, i z drzeniem stawiał sobie pytanie: pokuta za co? jaka pokuta?

W duszy słyszał odpowiedź: to najwznieślijsza szlachetność ludzka - pokuta za cudze winy.

Zastrzegamy sobie osobiste poglądy w tej kwestii - jesteśmy tylko narratorem i patrząc jedynie z punktu widzenia Jana Valjean, opowiadamy tu jego wrażenia.

Miał przed oczyma najwyższy szczyt wyrzeczenia, najwznieślijsze wyżyny osiągalnej cnoty, niewinność, która wybacza ludziom ich grzechy i za nich odprawia pokutę, widział dobrowolną niewolę, przyjęte na siebie katusze, męczarnie pożądane przez dusze bezgrzeszne, aby wybawić od nich dusze, które upadły; widział miłość ludzkości, która zatracą się w miłości Boga, lecz mimo to pozostaje odrębna i błagalna, widział łagodne, słabe istoty znoszące cierpienia tych, którzy są karani, i uśmiechające się uśmiechem tych, którzy są nagrodzeni.

I przypomniał sobie, że śmiał użalać się nad sobą!

Często wśród nocy zrywał się, by słuchać dziękczynnego śpiewu tych niewinnych istot udręczonych srogim życiem, i czuł, iż krew mu się ścina w żyłach na myśl o tych, co ukarani słusznie, wznosili głos ku niebu tylko po to, by bluźnić, i że on sam, jakże nędzny, podnosił pięść ku niebu.

Nad jeszcze jedną uderzającą rzeczą rozmyślał głęboko, niby nad cichym ostrzeżeniem samej Opatrzności: przejście przez mur, wydobyć się z zamknięcia, narażanie się na śmierć, wszystkie wysiłki, których dokonywał, aby wydostać się z pierwszego miejsca

pokuty - tego wszystkiego dokonał znowu, aby dostać się do drugiego miejsca pokuty. Czy był w tym symbol jego doli?

Ten dom również był więzieniem i w ponury sposób przypominał tamten, z którego uciekł, a jednak nigdy nie wyobrażał sobie istnienia takiego miejsca.

Znów widział kraty, zamki, żelazne sztaby, strzegące kogo? Aniołów.

Wysokie mury, jakie widział wokół tygrysów, dziś widział znów wokół owieczek.

Było to miejsce pokuty, ale nie kaźni; a jednak było ono jeszcze surowsze, jeszcze posepniejsze, jeszcze bardziej bezlitosne niż tamto. Te dziewice uginały się pod jarzmem cięższym niż jarzmo galerników. Zimny i ostry wiatr, wiatr, który zwarzył jego młodość, przenikał do okratowanego, zaryglowanego gniazda jastrzębi; lecz wichur jeszcze sroższy i boleśniej przenikliwy wpadał do klatki gołębic.

Dlaczego?

Gdy myślał o tym, całą swą istotą korzył się przed tajemnicą tej wzniosłości.

W tych rozmyślaniach zniknęła pycha. Zastanawiał się ciągle nad sobą, czuł się nędzny i płakał często. Wszystko, co w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wkroczyło w jego życie, wiodło go ku świętym nakazom biskupa: Kozeta przez miłość, klasztor przez pokutę.

Nieraz o zmroku, gdy ogród opustoszał, widziano, jak klęczał pośrodku alei pod oknem kaplicy, przez które zaglądał owej nocy, gdy tu przybył, obrócony twarzą ku miejscu, gdzie, jak wiedział, siostra odprawiająca zadośćuczynienie leżała krzyżem pogrążona w modlitwie. Modlił się, klęcząc tak przed ową siostrą.

Zdawało się, że nie śmie uklęknąć wprost przed Bogiem.

Wszystko, co go otaczało - ten spokojny ogród, te wonne kwiaty, te dzieci wydające radosne okrzyki, te kobiety poważne i proste, ten cichy klasztor - przenikało go z wolna, i stopniowo dusza jego stała się cicha jak ten klasztor, wonna jak te kwiaty, spokojna jak ten ogród, prosta jak te kobiety, radosna jak te dzieci. I dumał nad tym, że dwa domy boże przyjęły go kolejno w dwóch krytycznych chwilach jego życia: pierwszy, gdy wszystkie drzwi zamknęły się przed nim, a społeczność ludzka odtrąciła go od siebie, drugi, gdy społeczność owa ścigała go znowu i znowu kaźń otwierała się przed nim; gdyby nie pierwszy, wróciłby do zbrodni, gdyby nie drugi, wróciłby do męki.

Serce jego topniało z wdzięczności i kochał coraz mocniej.

Tak upłynęło kilka lat. Kozeta rosła.